



Ona nie szukała wrażeń,
on łaknął ich we wszystkich
dziedzinach swojego życia.
A jednak spotkali się
na tej samej granicy.

Wieża z piasku

Agata Marzec


Replika



*Wieża
z piasku*

Agata Marzec

*Wieża
z piasku*


Replika

Nie wszyscy możemy wszystko.

Lucyliusz

Tytułem wstępu...

Kiedy postawiłam ostatnią kropkę w tekście niniejszej powieści, pomyślałam, że opisane w niej zdarzenia zostaną przez czytelników automatycznie przyjęte jako typowa dla beletrystyki fikcja literacka. Rzeczywiście, brzmią one niewiarygodnie, a jednak zaistniały w rzeczywistości i stanowią „zlepek” autentycznych wątków obyczajowych, jakie rozgrywały się na moich oczach w granicach mojego miasta. Nie jest w tej chwili ważne kiedy dokładnie, kim są pierwowzory bohaterów książki ani jak potoczyły się ich dalsze losy. Dla mnie zawsze istotny był i jest odarty z kategorii czasu i przestrzeni CZŁOWIEK! Dlatego pozwoliłam sobie zawłaszczyć osobiste historie kilku osób, których człowieczeństwo zostało nagle wystawione na poważną próbę. Ubrałam je w dobrze maskujący kostium, dość swobodnie uzupełniłam o brakujące informacje, doszukałam się analogii do klasycznego porządku rzeczy i uniwersalnej struktury człowieka, lecz warstwę emocji oraz psychologicznych następstw opisanych wydarzeń pozostawiłam niezmienioną. W ten sposób powstała *Wieża z piasku*, która jest po części wszystkim, co istniało przed nią: trojańskim koniem, Chimera, Ikarem, Minotaurem i puszką Pandory.

Każdy z nas jest Niną Ciesielską i Jerzym Dębskim. Budując swoje imperia, wciąż przekraczamy ustalone granice, choć najlepiej czujemy się w obrębie własnej strefy komfortu. Wydaje się nam, że stanowimy o sobie sami, podczas gdy faktycznym reżyserem naszych poczynań oraz nastrojów są zwykle okoliczności zewnętrzne. Nina nie szukała wrażeń, Jerzy przeciwnie – łaknął ich we wszystkich dziedzinach swojego życia. A jednak spotkali się na tej samej granicy. Przekonali się, że nie jest łatwo zaprojektować wzorcowe człowieczeństwo.

Osobowość *borderline* to zaburzenie, które zaczyna się we wczesnym dzieciństwie, ale często nie jest w pełni ujawnione aż do wieku dorosłego. Gdy przejmuje ster, potrafi z powrotem sprowadzić człowieka do poziomu dziecka. Życie ludzi z osobowością *borderline* potrafi przeobrazić się w prawdziwe piekło. Często też nieświadomie zapraszają do niego innych. Osobowość *borderline* oznacza kłopoty, niestabilność i chaos. A przecież niczego nie pragniemy bardziej niż świętego spokoju, stabilnego gruntu pod nogami i panowania nad własnym światem.

Wszyscy żyjemy na pograniczu. Jak grom z jasnego nieba spada na nas nagła zmiana stanu psychicznego. Jesteśmy zbudowani z paradoksów i wewnętrznych konfliktów. Balansujemy na linie lub żyjemy na ostrzu noża. Depersonalizujemy się. Stygmatyzujemy sobą bliskich. Czasem jesteśmy tak okropni, że najchętniej oddalibyśmy swoje życie komuś innemu. Częściej jednak odbieramy mu jego własne prawo do godnego życia.

Czy czujesz chroniczną pustkę, mając wszystko, czego pragnąłeś? Przejawiasz działania autoagresywne? Nie potrafisz stworzyć stabilnego związku, chociaż uwielbiasz swojego partnera? A może innym razem kochasz siebie tak bardzo, że mógłbyś nawet zostać Bogiem i Architektem Świata?

Jeśli właśnie przytaknąłeś, powinieneś poznać historię Niny Ciesielskiej i Jerzego Dębskiego. Spisałam ją dla Ciebie, Drogi Czytelniku, i ku chwale zuchwałemu człowieczeństwu! Bo w gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy ulepieni z tej samej gliny...

Mam nadzieję, że w dobie prymatu powieści sensacyjnych, kryminalnych oraz fantastyczno-naukowych znajdziesz czas na to, aby pochylić się nad gorzkim realizmem, którego autorem stało się życie. Nie zniechęcaj się przewagą partii opisowych nad liczbą dialogów, chłoń narrację słowo po słowie, cierpliwie, uważnie i bez oczekiwań. Niech zasieje w Tobie odpowiedzi na pytania, z których się składasz. A jeśli zamiast tego rozmnoży Twoje wątpliwości – pamiętaj, że na nich wzrosła cała nasza genialna cywilizacja. Masz prawo nie rozumieć. Masz prawo nie czuć więzi z samym sobą. Masz prawo cofać się do początku dziejów. Ale nie wolno Ci zejść z areny bez walki!

Gladiatorka Agata

1.

W życiu Niny Ciesielskiej od dawna nie działo się nic, co można by uznać za wydarzenie istotne, przełomowe lub godne zwrócenia na jej osobę uwagi.

Nieziennie od kilku lat wczesnym rankiem wychodziła do pracy, u lokalnych możnowładców przepędzała godziny na księgowaniu biznesowych rachunków, a po ich odłożeniu raczyła podniebienie promocyjnym espresso w ulubionej kawiarni, by za kilka złotych kupić sobie energię do przeżycia dalszej części przewidywalnego dnia. Gdy wracała do wynajętego w bloku drugiej kategorii mieszkania, najczęściej zapadała się w wygodnym fotelu i kierowana nadzieją na znalezienie edukacyjnych rozrywek, którymi mogłaby choć w małym stopniu pobudzić oziębiający umysł, włączała telewizor. Nim zdążyła wpłynąć na głębokie intelektualne wody Kultury TV lub chociaż podryfować u koralowych brzegów Australii za sprawą Discovery Travel, zapadał wieczór i musiała wykonać cały szereg czynności niezbędnych do logistycznego zakończenia dnia. Podrywała się więc z wygodnego siedziska, po czym z wpisaniem w każdy ruch przymusem ospale przedzierała się przez labirynt konieczności prowadzących ją do świętego Graala zlokalizowanego na miękkiej poduszce łóżka. Najpierw składała na niej wycieńczony liczeniem umysł, potem w objęcia Morfeusza przekazywała strudzone popołudniowym odpoczywaniem ciało. Zасыpiała w poczuciu braku wyższego sensu czegokolwiek, w czym brała udział.

W weekend spała zazwyczaj ponad przewidzianą dla zdrowego człowieka normę, każdorazowo stwierdzając, że skoro głowa nie wyraża woli podniesienia się z poduszki, to nie należy jej siłą do tego zmuszać. Według Niny resetowanie umysłu czasem wymagało najwyraźniej dłuższego pochodzenia wskazówek zegara po białej taflach. O zjedzeniu śniadania zazwyczaj zapominała, bo organizm już dawno przestał oczekiwać regularnie dostarczanej strawy. Zdany był na przypadek i łaskę swojej żywicielki, ale ta rzadko obdarowywała go pożywnym oraz wartościowym dobrodziejstwem. Zakupy dzielnie dźwigała ze sklepu sama, zawsze w niedzielę, bo wtedy w hipermarkecie królowały najatrakcyjniejsze przeceny. Zabierała ze sobą dokładnie wcześniej przeanalizowaną gazetkę informacyjną i nurzała się w wąskie korytarze sklepowych półek, eksplorując ich kolorowe ekspozycje. Dzierżone przez dumną konsumentkę reklamówki, których przeznaczeniem było wylądowanie w koszu na śmieci, przekazywały mijanym przechodniom komunikat, że dyndają w rękach samodzielnej i potrafiącej zarobić na sobie kobiety. Przechodząc pod oknami sąsiadów z bloku, zwalniała kroku. Po południu spędzała czas na niebieskim portalu, z ciekawością zaglądając do wirtualnych żyć bliższych lub dalszych znajomych. Czasem delectowała się wielogodzinną konwersacją w małym bocznym okienku, będącym jej oknem na zewnętrzny świat. Początkowo pełniło ono dla niej jedynie funkcję narzędzia służącego sprawnej komunikacji, jednak szybko stało się silnym narkotykiem. Uzależnienie od niekontrolowanych czasowo konwersacji tłumaczyła sobie powszechnie panującą wśród znajomych pandemią. Jej negatywne przejawy uznała w końcu za walor – facebook idealnie wypełniał nadmiar singielstwa wielokrotnością żyć oraz zajmował uwagę obyczajowymi ciekawostkami, za którymi nie trzeba było gonić po miejskiej przestrzeni. Gdyby wszystkie choroby przebiegały tak przyjemnie jak facebookoholizm, Nina nie obawiałaby się ich. Przyjemnie było istnieć, fizycznie nie istniejąc.

Po spędzeniu zbytecznych weekendowych godzin na klikaniu – jeszcze bardziej oziębiała i ołowiana w gestach – składała ciało w trumiennej niecce wysłużonej sofy. Zatapiała się w niej całym swoim lenistwem, następnie włączała muzykę. Nina Ciesielska kochała ludzi, którzy potrafili pięknie śpiewać. Zazdrościła im nadanego przez Boga talentu, żałując, że gdy był on rozdawany, ona stanęła w kolejce do szafy z modnymi ubraniami. Od tego czasu jedyną ponadprzeciętną umiejętnością Niny było trafne zestawianie ze sobą kolorów oraz faktur. Tymczasem doskonała muzyka w cudowny sposób relaksowała ją, rozweselała, innym razem koła zbolące serce lub łagodziła sejsmiczne wstrząsy nerwowe. Muzyka zmieniała Ninę w niematerialny czujący twór. Muzyka, jak Bóg, czyniła ją lepszym człowiekiem. Melodie z różnych stron świata towarzyszyły zapracowanej księgowej niemal w każdej życiowej rewolucji. Gdy umierał dziadek, zgodnie z jej wolą na pogrzebie odśpiewano *Who wants to live*

forever. Po odebraniu prawa jazdy w podskokach przemierzyła miasto, nucąc pod nosem *Highway to hell*, a inicjację seksualną odbyła w towarzystwie Marysi Sadowskiej i jej *Kiedy nie ma miłości, co dalej*. Dźwiękami wypełniała także głuchą, szarą codzienność. Wsłuchując się w ulubione piosenki, mimowolnie właczała dopaminę do swojego krwioobiegu. Szczególnie zimowymi wieczorami wraz z Kayah wprowadzała się w lekko intymny knajpiany klimat, nieporadnie uzupełniając ruchem warg znane kompozycje przearanżowane na smyki. Stała się gorliwą wyznawczynią kultu wyrafinowanej muzyki akustycznej, w której głos boskiej piosenkarki okazywał się najlepszym instrumentem. W ten sposób Nina odkryła swoją wrażliwość. Kaśka Nosowska rozpostarła przed swoją wymagającą słuchaczką podcięte skrzydła wewnętrznego rozdarcia. Razem zaczęły miotać się między doznawaniem szczęścia a strachem przed jego utratą. Psychedeliczne gitary szturmowały ucho niczym trąby jerychońskie. W ten sposób Nina odkryła tragizm istnienia. Z Renatą Przymyk smakowała elektronikę jak subtelne wino, z Anną Marią Jopek odrealniała znajome kształty, a z Anką Dąbrowską naiwnie marzyła. Kobiece głosy były, zdaniem Niny, mową zesłanych między ludzi aniołów, które czuwały nad odtwarzaniem ich zakrzyczanego przez jazgot kapitalistycznych żądz dobra. Robiły, co było w ich mocy, by najprostsze melodie nadal poruszały najbardziej skomplikowane i zagubione dusze.

Jednak ostatnimi czasy wiele się w muzycznym świecie Niny zmieniło. Zanim zdążyła zorientować się, z jakiej płyty wypływa magiczny głos, melicznie i cicho łkający wśród oliwkowych ścian, spała już snem twardszym niż spiżowy gład. Mocno ugruntowana w granicach każdego dnia rutyna pozbawiła wrażliwą dotąd słuchaczkę nie tylko czujności, ale i zdolności aktywnego odbioru rzeczywistości. Nina słuchała, ale nie słyszała. Jedynym rejestrowanym zmysłowo i automatycznie rytmem stało się płynne następowanie po sobie pór roku. W tym samonapędzającym się cyklu dni odpływały niezauważone, a zmienność natury Nina rejestrowała za sprawą swojej wydelikacowanej cielesności. Skóra Ciesielskiej nie znosiła zimy, bo wysuszała się wtedy jak papier i traciła blask. Wczesną wiosną, dzięki ciepłu słonecznej kuli, powoli powracała do formy. Jesienią serce biło Ninie szybciej, ale płytko, jakby oszczędniej. Prawdziwie głęboki oddech mogła zaczerpnąć jedynie w pełni lata, a i to na krótko, bo bałtyckie lato przemijało, nim ludzie zdążyli je na dobre powitać. Jeśli prawdą było to, co głosiły życiowe poradniki, w których światli znawcy wszechrzeczy stwierdzali jednoznacznie, że: *Miarą długości życia jest ilość poprawnie wykonanych wdechów i wydechów*, to stąpanie Niny po ziemskim padole należało zakwalifikować do kategorii cudów.

W ciągu dnia oddychała głównie stresem, w nocy cierpiała na bezdech. Weekendowe spowolnienie tempa nie było w stanie wyregulować pracy styrynych narządów. Zwłaszcza serce nie miało z Niną łatwego życia. Każdego dnia wystawiała je na ciężką próbę wytrzymałości, a i rzadkie chwile spokoju podszyte były zwykle jakąś obawą, czającą się za dobrą karmą. Sen tej pozornie zrównoważonej kobiety wypełniony był prefiguracją złowrogiej jawy. Poranne pobudki nie przynosiły ukojenia. Ostatni raz prawdziwie spokojna była w bezpiecznym, bo odizolowanym od świata, łonie matki.

Po weekendzie, przebudziwszy zregenerowane tylko połowicznie członki, z niezmiennie towarzyszącym jej zdziwieniem odkrywała, że zastawał ją poniedziałkowy początek, a wraz z nim misternie opracowany harmonogram tygodniowy kierat. Ratował ją i przytłaczał jednocześnie. Doznawała poczucia wythnienienia od samej siebie, ale w zamian musiała zmagać się z gaszeniem finansowych pożarów, a te potrafiły wybuchnąć w najmniej oczekiwanym momencie. Ta nieprzewidywalność uwierała Ninę. Wiedziała, że z chwilą zamknięcia ważnego rozliczenia, jeszcze tego samego dnia złośliwy los otworzy jej kolejne. Nie miała wpływu na przeznaczenie, więc pozostawało jej zwiesić głowę i przejść ze swoim krzyżem do następnej stacji. Pasja księkowej nie kończyła się nigdy.

W poniedziałki siłą woli Nina wydobywała się ze strefy komfortu, by według doskonale znanego jej schematu odwzorować kolejny tydzień zwyczajnego życia. Piątkowe popołudnie zwiastowało chwilowe porzucenie schematu. Piątek wraz ze swoim pojawieniem się przenosił wędnącą ciało Niny do wynajmowanego mieszkania na okres dwóch bezproduktywnych, ale na swój sposób wolnych dni.

W życiu Niny Ciesielskiej nie było miejsca na nic, co można by uznać za wydarzenie istotne,

przełomowe lub godne zwrócenia na jej osobę uwagi.

Nastał jeden z wielu podobnych do siebie wtorków. Oznaczało to zwykle zejście do archiwum firmy w celu wypchania go kolejnymi segregatorami. Ale tym razem Nina miała poprzedzić piwniczne pielgrzymowanie wizytą u kardiologa. Gdy szykowała się do wcześniejszego niż zazwyczaj wyjścia, nieoczekiwanie zadzwonił telefon. Stała już w przedpokoju, obładowana teczkami, nerwowo poszukując klucza. Pojemne torby kobiet stają się zwykle bezdennymi czeluściami, w których rozplývają się najtwardsze przedmioty. Torba Niny nie była pod tym względem wyjątkiem, a jej właścicielka nie znalazła sposobu, by się z problemem znikających kluczy uporać. Powracał on jak bumerang, pomimo doczepienia do pęku kluczy dużego breloka. Teraz również jedną ręką mocowała się spazmatycznie z głębokim dnem jak Jakub z Aniołem, gdy drugą machinalnie dotknęła na wyświetlaczu symbol zielonej słuchawki. Było zbyt wcześnie, by normalny człowiek dzwonił do kogokolwiek, jednak w ferworze walki nie zwróciła na ów fakt uwagi. Z jakiejś innej, znajdującej się po drugiej stronie telefonu rzeczywistości przyplýnął ciepły, aczkolwiek stanowczy męski głos:

– Dzień dobry, pani Nino, mam nadzieję, że dodzwoniłem się bezpośrednio do pani.

– Tak, z tej strony Nina Ciesielska. Z kim mam przyjemność?

– Wiem, że jest wczesny ranek, a ja bezczelnie łamię etykiety. Narażam się na pani gniew, bezceremonialnie pogwałciwszy zasady *savoir vivre*'u. Mimo to osmielę się mówić tak, jakby nie stało się nic niestosownego. Sprawa jest pilna, poza tym: „Kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje”. Kłania się Jerzy Dębski, a kontaktuję się z panią w bardzo typowej, choć o nietypowej porze dnia, sprawie.

Dopiero teraz dotarło do niej, że jest szósta trzydzieści. Rzeczywiście, Jerzy Jakiśtam miał tupet, dzwoniąc o tej porze. A jednak poczuła chęć kontynuowania rozmowy.

– Podobno jest pani najlepszą księgową w okolicy – ogłosił, po czym na chwilę zamilkł.

Tym jednym zdaniem od razu zbił ją z tropu. A więc nie był natrętnym telemarketerem, pracownikiem gazowni ani właścicielem wynajmowanego mieszkania. Był kimś, kto miał słuszne pojęcie i znał jej zawodową wartość. Natychmiast złagodniała, uznawszy, że wypowiedzianą przed chwilą konstatację Jerzy Jakiśtam miał prawo wyrecytować o każdej porze dnia lub nocy.

– A pan skąd o tym wie? – postanowiła szybko wpisać się w konwencję rozmowy.

– Przeprowadziłem tajną misję wywiadowczą, ale, proszę mi wybaczyć, nie zdradzam szczegółów swoich strategii. Po prostu wiem. I zamierzam tę wiedzę wykorzystać na użytek własny oraz całej ludzkości.

Ninie spodobała się ta prostolinijna odwaga o znamionach męskiej buty. Telemarketerzy byli obrzydliwie uprzejmi, pracownicy gazowni – nudni, a właściciel wynajmowanego lokum – schizofreniczny. Ten typ przynajmniej przełamywał schematy.

– No dobrze, skoro wie pan już o mnie to, co najważniejsze, proszę zdradzić celowość pozyskania owej informacji – drążyła dalej.

– Czyli wyraża pani wolę kontynuowania rozmowy ze mną, świetnie. I odważnie. Pewnie myśli pani, że będę teraz owijał w bawełnę, pocił się nerwowo i wił się przed telefonem jak piskorz. Nic z tych rzeczy, droga pani Nino. Ja jestem konkretny, choć uprzejmy, facet. Potrzebuję pani w swojej firmie, najlepiej od zaraz. Czekają nas wielkie projekty i wymagające maksymalnego zbiorowego wysiłku zadania. Każdy dzień zwłoki hamuje nas w ich realizacji i pozbawia świat szansy na technologiczny przełom. Kiedy możemy podpisać umowę i rozpocząć współpracę?

Wraz z rozbrzmieniem tego pytania torba Niny powędrowała na podłogę, poszukiwania klucza zeszły na drugi plan, a sama gospodyni opuszczanego jeszcze przed chwilą mieszkania przysiadła w kącie ciemnej kuchni. Cała była teraz uchem, choć głos z drugiej strony domagał się jej transformacji w język. Cisza okazała się słabym wstępem do odpowiedzi, dlatego Jerzy postanowił rozwinąć swój zamysł. Czuł, że ma Ninę w garści, ale chciał mieć pewność.

– Jeśli to prawda, co o pani mówią w branży, nie ma się nad czym zastanawiać – kontynuował zachęcającym tonem. – Najlepszy pracownik musi realizować się w najlepszej firmie. Tak się składa, że jej właścicielem jestem ja.

– Znam wszystkie firmy w okolicy. A pana jakoś nie kojarzę...

– Bo to, co powszechnie uchodzi za najlepsze, niekoniecznie takim jest. Miejscowe periodyki chełpią się popularnością swoich plebiscytów na najsprawniej zarządzane przedsiębiorstwo, pracodawcę roku, najlepiej rozwinięty konglomerat, a tubylcy przyjmują ich wynik za niepodważalny pewnik. I tak rodzą się legendy Morpoli oraz innych, choć w gruncie rzeczy podobnych, tworów. Tymczasem za kulisami tych pseudorankingów kryje się gorączkowe wysyłanie esemesów przez samych właścicieli, a nawet zmuszanie swoich podwładnych do robienia tego samego. Potem otwieramy gazetę, odczytujemy na pierwszej stronie werdykt rzekomo niezależnej i absolutnie obiektywnej grupy odbiorców wystawionych do rywalizacji usług i...

– ...i zostajemy nabici w butelkę. Tak, wiem, jak to działa. Dlatego też mój telefon nie bierze udziału w tej tragifarsie.

– Czyli myślimy podobnie, droga pani Nino. Zatem pozwolę sobie przedstawić się raz jeszcze. Mam na imię Jerzy. Jestem właścicielem niedawno powstałej fabryki, której siedziba znajduje się w naszej podślupskiej strefie ekonomicznej. Wciśnięta jest niewidzialnie między dwa ogromne molochy obrabiające rybę. Jednak od kilku miesięcy rozpycha się między nimi łokciami na tyle skutecznie, że ich fundatorzy spoglądają na nią z coraz większym respektem. Zdezorientowani dziennikarze zaglądają do nas przez bramę w poszukiwaniu źródeł nagłego wzrostu naszej pozycji na rynku giełdowym. Przechadzający się niby-przypadkiem włodarze sąsiednich przedsiębiorstw godzinami obserwują zewnętrzne manewry naszych koparek i wózków widłowych. Dziwią ich odwiedzający nas licznie inwestorzy zagraniczni, którzy wypełniają okoliczną ciszę egzotycznymi językami. Patrzą i nie rozumieją. Wiedzą tylko tyle, że zaczynamy podbijać najbardziej odporne rynki krajowe i zagraniczne. Idziemy do przodu jak burza! Nie odnotowują tego żadne rankingi, bo też słabo za naszym sukcesem nadążają.

Próbowała zlokalizować w myślach afirmowane superlatywami Eldorado, ale wszystko wskazywało na to, że i ona nie odnotowała faktu jego pojawienia się w lokalnym wszechświecie. Ostatnio pobliskie firmy częściej zwiły żagle niż rozpościerały skrzydła. Pomyślała, że wstydem będzie wykazanie się ignorancją w zakresie znajomości środkowopomorskiego rynku nowych usług, więc przekierowała swoje pytania na inny front:

– Jakim cudem osiągniecie zyski dzisiaj, podczas gdy pozostali w strefie ledwie zarabiają na wypłaty? Jak to możliwe, że osiągniecie znaczący sukces w dobie żarłocznego kapitalizmu i monopolu wielkich koncernów produkujących wszystko, co objęte ludzkim zapotrzebowaniem? Wybacz pan, ale samo sformułowanie tych pytań wydaje się czynić je retorycznymi.

– Nie wierzy mi pani. Wyczuwam ironię na odległość. Tym bardziej cieszę się, że mogę na nią odpowiedzieć. Jeśli spotka się pani ze mną osobiście w celu podpisania umowy o pracę, w ciągu minuty udowodnię, że jesteśmy obecnie najprężniej działającą firmą w mikroregionie dawnego województwa.

– Jest pan magikiem?

– Nie, skutecznym zarządcą wyrosłem z tej samej ziemi, co tamci, mającym po prostu lepszy instynkt do robienia interesów.

– Drwi pan ze mnie, prawda?

– Jedyne, co mnie bawi, to pani programowe niedowierzanie.

– Takie czasy...

– Takie nasze zwyczajowe i utrwalone historycznie nastawienie.

Nie uraził jej, ale poczuła, że uzyskał przewagę w tym słownym ping-pongu. Musiała bronić się atakiem:

– A co tak rewolucyjnego pańska firma produkuje, że udało się jej przechytryć korporacyjne rynki?

– Otóż, droga pani Nino, budujemy domy z gliny.

Wyartykułowane ze stoickim spokojem zdanie rozbawiło ją niemal do łez. Jakże naiwny wydał się jej teraz ton głosu nieznanego Jerzego. Jakże mały wydał się jej sam rozmówca!

– Pan żartuje, prawda?! Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku! Ludzie stawiają domy w technologii 3D, a pan sugeruje, że cofa się produkcją do glinianych lepianek i rewolucjonizuje nimi

świat.

Drwiący śmiech Niny wypełnił obie słuchawki.

– Wyczuwam, że poziom ironii wzrasta u pani wraz ze zdziwieniem i niedowierzaniem. To dobrze, tym większa będzie pani ochota na współtworzenie tego biznesu. Wątpić jest rzeczą ludzką. Wierzyć nieznanemu na słowo – niebezpieczną. Liczyłem się z taką reakcją. Ale urodziłem się po to, żeby przekraczać granice zarówno konwenansów, jak i rzeczy niemożliwych. Los mi sprzyja, droga pani Nino. Zanim odłoży pani słuchawkę, proszę zamknąć oczy, wziąć głęboki oddech i wyzwolić się na chwilę z powszechnych mniemań. Istnieją po to, żeby ograniczać wyobraźnię, a w konsekwencji – poczynania człowieka. Za chwilę przekonam panią, że wcale nie żartuję.

Gdyby wiedział, że wykonanie głębokiego oddechu graniczy u niej z cudem, ugryzłby się w język. Postanowiła jednak wykonać nadprogramową próbę. Ku własnemu zdziwieniu odkryła, że jest to możliwe o tej porze roku. Zapał, z jakim przemawiał do niej Jerzy, najwyraźniej zasilł także jej płuca. Kierowana instynktowną wdzięcznością, nie zakończyła rozmowy:

– Do kardiologa i tak już się nie dostanę, bo siedzące w poczekalni kobiety rozerwą mnie na strzępy zanim otworzę oznajmiające spóźnienie usta. Pracę zaczynam za dwie godziny, więc teoretycznie jestem gotowa zamienić z panem parę zdań. Chętnie dowiem się, jak powstają te rzekome cuda.

Poluzowała pod szyją apaszkę, zrzuciła z ramion płaszcz, następnie uniosła kuchenną roletę. Zwykle robiła to dopiero po przyjsciu z pracy. Wyłaniający się zza okna świat witał ją ponurą zapowiedzią doskonale znanej zwyczajności. Ciekawsze rzeczy działy się aktualnie po drugiej stronie telefonicznych łącz.

– No, niechże pan opowiada dalej.

– Otóż, droga pani, po kilku latach życia w dużym mieście, w pogoni za pieniędzmi, czasem i nie wiadomo czym, w otoczeniu wszechobecnego konsumpcjonizmu, nabywszy wszystko, co było mi potrzebne do szczęścia, spełniwszy wszystkie swoje materialne pragnienia, postanowiłem zerwać z dotychczasowym trybem życia. Stałem się sobie obcy. Nie miałem marzeń, przyjaciół ani powodu do narzekań. Dysponowałem za to masą bezdusznych przedmiotów, których posiadanie przestało sprawiać mi jakkolwiek radość. Zrozumiałem, że służę sztucznie napędzanemu systemowi, choć to system powinien służyć mnie. Dusilem się we własnym cieple, coraz gorzej czułem się w wielkim mieście. Z dnia na dzień rzuciłem korporację i wróciłem do naszego prowincjonalnego, ale dzielnie walczącego z kompleksami Słupska. Raz na zawsze pożegnałem aglomeracyjny stres i kompulsywne gromadzenie. Początkowo było mi trudno przystosować się z powrotem do tutejszych warunków bytowych. Podjąłem pracę wartą tyle, co działalność charytatywna. Zarobione pieniądze wystarczały na przedłużenie o miesiąc dostawy prądu i gazu. Ale stopniowo dojrzywałem do minimalizmu. Nauczyłem się recyklingu, ubrania zacząłem kupować w second handach, a warzywa u zaufanego ogrodnika w małej budzie przy markecie. Z ciasnego mieszkania pozbyłem się zbędnych przedmiotów. Nagle okazało się, że nie jest ono takie małe. Wokół mnie zrobiło się przytulnie, swojsko i przestronnie. Zaprzyjaźniłem się z ciszą, która zastąpiła mi gwar galerii handlowych. Zrozumiałem, że byłem samotny w tłumie.

Nina po raz pierwszy uważnie wsłuchiwała się w słowa telefonującego do niej o szóstej trzydziści człowieka. Wydał się jej niezwykle bliski i autentyczny. Zaczęła wierzyć jego słowom.

– I wtedy przypadkiem natrafiłem na artykuł, w którym autor przekonywał, że gdzieś tam, w innych krajach, żyją ludzie wolni od kapitalistycznej uwięzi i szczęśliwi sami ze sobą. Podobno coraz częściej przenosili się do glinianych domów, hołdując nie tylko naturze, ale i pierwotnej normalności.

– Normalności? A czym jest dzisiaj normalność?!

– Normalność, droga pani, to brak sztucznie wytworzonego skomplikowania. Świat jest w gruncie rzeczy prosty, to ludzie go sobie komplikują. A potem płaczą nad własnym nieszczęściem i rozkładają bezradnie ręce w poszukiwaniu pocieszenia.

– I gliniane domy są w stanie podobne zjawiska powstrzymać? Wybacz pan, ale to brzmi jak utopijna wizja „szklanych domów” Żeromskiego, z których śmiał się Cezary Baryka, a i sam autor nie pozostawił złudzeń co do ich istnienia. Fikcja musi pozostać w sferze fikcji. Chyba zbyt łatwo ulegamy dziś fascynacji nieograniczonymi możliwościami nauki i umysłu ludzkiego. Szczęścia nie można ani

zbudować, ani ulepić.

– Ale trzeba próbować je skonstruować według własnych wyobrażeń, nie czekać na gotową instalację. Często dla architekta największą radością jest sam projekt, bo stanowi odzwierciedlenie układu wnętrza duszy. W niej kryje się stwórczy porządek mikroświata jednostki. Lubimy lepić go z własnej gliny. Wtedy świat i my to jedno! Ja doszedłem do wniosku, że prócz gliny do szczęścia wystarczy mi słoma i drewno. Im prościej, tym bliżej prawdy. Bezduszne cegły budują ogromny mur między człowiekiem a jego przestrzenią. Według mitologii, człowieka ulepiono właśnie z gliny pomieszanej ze łzami. Dlaczego nie ulepić mu z niej także domu?

– Nigdy nie myślałam o architekturze w ten sposób.

– Podobnie jak ja. Do momentu, w którym uduśmiłem się w zimnych wielkomięjskich molochach.

– Faktycznie, glina, słoma i drewno to produkty łatwo dostępne, tanie i przyjazne.

– A nade wszystko – naturalne, droga pani Nino. Co nie znaczy, że starodawne. Proponowane przez moją firmę projekty w żaden sposób nie przypominają dawnych tradycyjnych lepianek. Ja jestem człowiekiem postępowym, uszytym na miarę dwudziestego pierwszego wieku! Zakotwiczylem w tradycji tylko po to, by wprowadzić ją w gościnne progi nowoczesności. Kreujemy i produkujemy nowoczesne energooszczędne przestrzenie niezawierające toksycznych oraz szkodliwych dla zdrowia substancji. Mają one jeszcze jedną cenną zaletę. Materiały używane do ich produkcji są mało przetworzone, a odpady z budowy wracają do natury, nie zanieczyszczając środowiska. Po zakończonej eksploatacji domu budulec może zostać przetworzony lub w krótkim czasie rozłożyć się w ziemi. W ten sposób śmierć staje się ponownymi narodzinami – jak w odwiecznym cyklu natury. Czy to nie jest genialne?

– Na pierwszy rzut oka może i jest, ale dostrzegam pewną słabość pańskiego systemu. Skoro wspomniane składniki budulcowe szybko wracają do łona Matki Natury, to co dzieje się z samymi domami? Nie mogą one stanowić solidnej konstrukcji. Proszę wybaczyć, ale sam pan podważył przed chwilą ich trwałość.

– Otóż, droga pani Nino, myli się pani. Architekci to jednak genialne stworzenia. W Niemczech stoją gliniane domy, które mają ponad siedemset lat. Ząb czasu nie potrafi ich nadgryźć. Wystarczy technikę gliny układanej ręcznie połączyć z innymi, na przykład z metodą dodawania słomianych beli. Okazuje się to ponadczasowym rozwiązaniem!

– Czyli domy te nie są niczym nowym ani odkrywczym? To dlaczego nie zwojowały jeszcze świata? Dlaczego przegrały z tak pogardzaną przez pana cegłą?

– A kto powiedział, że przegrały? Od wieków towarzyszą ludzkości we wszystkich kulturach świata. Ale w tych kulturach, w których najważniejszy jest myślący o przyszłości swojej planety człowiek. Pierwotna metoda budowania spotykana jest do dziś w krajach Afryki, natomiast w krajach o wysokiej kulturze ekologicznej technika ta doczekała się bardziej zmodernizowanej wersji. Europa upomina się o gliniane domy coraz częściej, jednak oddychający pieniądzem kapitaliści skutecznie blokują ich rozwój. Wolą tańsze, tradycyjne rozwiązania. One zapewniają im dający się zaplanować zysk. A chęć zysku jest dziś silniejszym afrodyzjakiem niż jakość życia człowieka.

– I pan to zmieni?

– Przynajmniej spróbuję stworzyć ambitną alternatywę. Kto wie, co za kilka lat wybierze świat.

– Melodia niepewnej przyszłości...

– Niekoniecznie, pewne zjawiska łatwo przewidzieć. Zobaczysz pani, że w dobie wzrastającej konieczności ochrony środowiska i kryzysu ekonomicznego zwojujemy rynki wszystkich nowoczesnych państw! Ludzie zaczną myśleć, nie tylko kalkulować. A potem sami będą pukać do naszych drzwi. Jestem tego pewien. Wtedy wyjdziemy im naprzeciw i z powitalnym uśmiechem powiemy: *Witamy w równoległym świecie! W świecie, w którym nie produkujemy kolosów na glinianych nogach, ale z gliny lepimy mądrą i stabilną przyszłość!*

– Życzę panu tego z całego serca. Szkoda by było ponieść porażkę, wykazując tak idealistyczne zaangażowanie.

– Idealistyczne? Droga pani Nino – interesują mnie tylko rozwiązania praktyczne!

– To dlaczego Polska nie poszła tą drogą? Przecież nie brakuje u nas proekologicznych idealistów. Wiele razy byliśmy prekursorami podobnych idei.

– Widzi pani, w pewnym sensie byliśmy prekursorami. Pod koniec lat pięćdziesiątych uruchomiono w naszym kraju nowoczesne budownictwo z gliny niepalonej. Ale trzeba było zakończyć wielkie inwestycje planu sześcioletniego dla przemysłu ciężkiego. Przy hucie imienia Lenina powstała cementownia, a wraz z nią nagromadziły się olbrzymie ilości hutniczego żużla i taniego cementu. Coś trzeba było z nimi zrobić. Polityka państwa zmieniła się wówczas radykalnie. W Polsce nastąpiła era żużlobetonów, a o budowaniu z gliny zapomniano.

– I teraz sobie przypominano?

– Nie, nie, droga pani, pamiętano cały czas. Nigdy nie przerwano zaawansowanych prac naukowo-badawczych. Wypracowano nawet zbiór norm dla budownictwa glinianego, a niewiele krajów go posiada.

– Ciekawe, cisi prawie pionierzy. Jakież to typowe dla Polaków.

– Owszem, tu się z panią zgodzę. W 2009 roku zaczęła obowiązywać u nas unijna dyrektywa w sprawie charakterystyki energetycznej budynków. Każdy nowo powstały budynek musiał posiadać świadectwo potwierdzające jego klasę energetyczną. A to dla mnie i dla mojej firmy kluczowa wiadomość.

– Jeśli tak, to muszę przyznać, że faktycznie potrafi pan prześcignąć rzeczywistość.

– To najważniejsza umiejętność w moim zawodzie. Projektować i przewidywać!

– I tworzyć projekcje.

– Nie inaczej, droga pani Nino.

– Ale ta glina... Jej pierwotna symbolika nie daje mi spokoju. Chce pan znów uczynić z ludzi jaskiniowców? Przecież jeśli powie pan pierwszemu z rzędu biznesmenowi, żeby zamieszkał w domu z gliny, pomyśli, że drwi pan z niego i z jego stanu posiadania.

– Rzeczywiście, dawniej budowanie z gliny kojarzyło się z sytuacją biedy, na szczęście powoli staje się synonimem bogactwa i postępowości. To wartości, których głodni są dziś wspomniani przez panią biznesmeni. Trzeba wiedzieć, jak pomyślnie sprzedać. Tak się składa, że przez lata kontaktu ze środowiskiem kastowych wybrańców doskonale poznałem metody skutecznego ich łechtania. Są one jeszcze prostsze niż składniki moich domów.

Nina nie znosiła lokalnych bogaczy. Pracowała dla nich, pomnażała dobrobyt ich rodzin, ale w głębi duszy czuła pogardę do tych wiecznie nienasyconych midasów. Poznała wielu cwaniaków, złodziei i krwiopiczów. W uczciwość pozostałych wierzyła połowicznie. Nie brała udziału w powszechnym gloryfikowaniu rzekomej wyjątkowości posiadaczy wypchanych portfeli. Uważała, że gdyby nie sprzyjały im niegdyś przemiany systemowe, nigdy nie dorobili by się choćby pary prawdziwych skórzanych butów. Wielu ostentacyjnie obnosiło się z bogactwem, co czyniło ich karykaturalnie śmiesznymi i demaskowało osobowościową płytkość. Rzadko spotykała wśród miejscowych krezusów jednostki ciepłe, światłe i skromne. Chociaż zdarzali się tacy, którzy, kierowani mądrością, inwestowali w kapitał, czyniąc go czynnikiem generującym powiększanie swoich biznesów, to jednak stanowili oni zdecydowaną mniejszość. Prawie wszyscy wpychali w swoje łapy banknoty służące do podtrzymania wystawnego stylu życia na niezmiernie wysokim poziomie, jak i do epatowania bogactwem wśród maluczkich. Z miejsca rozróżniała te dwie postawy. Przejawiały się w mowie, gestykulacji, ubiorze oraz w częstotliwości plądrowania galerii handlowych. Ci od kapitału byli zazwyczaj zbyt zajęci produkcją, by tracić czas na konsumpcję. Tamci, jak słusznie sugerował Jerzy, dawali się nazbyt łatwo kupić, zachwycić i omamić. Wystarczyło kilka kolorowych neonów, by myśleli, że znajdują się na skraju tęczy przy garncu złota. Wystarczyło powiedzieć im, że *zasługują na odrobinę luksusu*, żeby bez wahania fundowali sobie *cały ten blichtr*.

– Chyba zaczynam rozumieć pańską strategię – przyznała, poczuwszy autentyczne powinowactwo własnych myśli z ideą Jerzego. – Doceniam też entuzjazm, z jakim pan ją realizuje. Dobrze opracowany plan działania w połączeniu z charyzmatycznym przywództwem potrafi przekonać największego sceptyka.

– Tyle że ja nikogo nie chcę oszukać ani omamić. Wiem, że oferuję produkt wartościowy, który naprawdę zapewni ludziom wygodę, zdrowie i bezpieczeństwo. Jeśli się upowszechni, stanie się niedrogim standardem dostępnym wszystkim klasom społecznym. Tak dzieje się już w innych państwach.

– Szczerłość pańskich intencji nie pozostawia wątpliwości. Przebija przez każde wypowiedziane w tej rozmowie słowo. Dziwię się tylko, że w czasach informacyjnej powodzi wzmianki o glinianych domach nie przedarły się przez moje oko czy ucho. Śledzę wiadomości ze świata regularnie...

– A mnie to już dziwić przestało. W pierwszym odruchu świat odrzuca to, co awangardowe i niekonwencjonalne. Woli przemilczeć raczkujące pomysły, poobserwować je z dystansu, dopiero gdy się udają, trafiają na czołówki gazet. Wtedy wszystkie wiodące tytuły ścigają się o palmę informacyjnego pierwszeństwa. Ale moja firma wychodzi światu naprzeciw. Nie chce być oklaskiwana, pragnie służyć człowiekowi rewolucyjną myślą ludzką! Na razie działa sobie na uboczu podślupskiej strefy ekonomicznej. Nikt nie zwraca na nią większej uwagi i nie domyśla się, jak wielkie rzeczy dzieją się w jej wnętrzu. Świat niebawem o nas usłyszy.

– Nie brakuje panu odwagi.

– Nie brakuje mi wiary w słuszność reprezentowanej koncepcji.

Jerzy Dębski od najmłodszych lat zdradzał nietypowe dla swojego wieku zainteresowania, które nieuchronnie oddalały go od spraw powszednich omawianych przez grupę rówieśników w piaskownicy. Podczas gdy inne dzieci przemieszczały się z prędkością światła po gładkiej tafli zjeżdżalni, wykrzykując swoją radość z faktu istnienia w czasie i przestrzeni, on stawiał na piasku geometryczne budowle. Utwardzał je wodą, patykami i kamieniami. Potem dumnie strzegł ich trwania niczym mityczny Cerber wejścia do krainy zmarłych. Niestety, banda okolicznych chuliganów nie bała się trzygłowego psa i przy każdej nadarżającej się okazji solidnym kopniakiem likwidowała architektoniczne wytwory. Płacz rozlegał się wówczas okrutny. Jerzy zanosił się nim tak głośno, że przestraszona matka wybiegała w kapciach i fartuchu na podwórko, by przytulić lamentującego syna do piersi. Korzystał z jej spokoju tylko przez ułamek sekundy, po czym wyrwał się z impetem i gwałtownie do piaskownicy usypywać nowe fundamenty.

Wakacje spędzał, sklejając z ojcem i dziadkiem skomplikowane modele wojskowych samolotów. Nauczyło go to precyzji, cierpliwości oraz przestrzennego przewidywania. Potrafili siedzieć w milczeniu całe przedpołudnie, kontemplując papierową instrukcję. Świat wówczas zamierał w oczekiwaniu na kolejne jej genialne zrealizowanie w praktyce. Przekazywali sobie tajemną wiedzę z pokolenia na pokolenie, każdy z nich był w tym demiurgicznym akcie uczniem i mistrzem. Zdolności manualne odziedziczyli po równo, za co wdzięczni byli losowi, który scalał tę ambitną trójkę niewidzialnym twórczym spoiwem. Już pierwszy udział w konkursie dla konstruktorów pasjonatów zakończył się ich bezapelacyjnym zwycięstwem. W nagrodę otrzymali niedostępny w tamtych czasach zwykłego śmiertelnikowi profesjonalny zestaw majsterkowicza. Za jego sprawą nie tylko podarowali rodzinnemu salonowi kurzące się bibeloty, ale także wyremontowali kuchnię i uzdatnili wodę w sieci. W ciągu tygodnia opanowali sztukę majsterkowania do perfekcji.

Nikt w klanie Dębskich nie był zdziwiony, gdy Jerzyk wybrał popularną w mieście „Budowlankę” i z wypiekami na twarzy uczył się na zajęciach, zwłaszcza praktyczne. W tamtym czasie było to jedno z najlepszych techników w województwie. Zaangażowany we wszystko, co się w nim działo, wygrał dla szkoły osiem konkursów rangi krajowej oraz dwa rangi międzynarodowej. Przyozdobił wejście do szkolnego budynku licznymi dyplomami i listami gratulacyjnymi, a nawet pojawił się kilkakrotnie w telewizji publicznej, której przedstawiciele specjalnie dla niego przyjechali ze stolicy. Słupska „Budowlanka” sukcesami Jerzyka stała. Maturę oraz egzamin zawodowy zdał brawurowo, nic więc dziwnego, że co zaciejsze politechniki były się o jego głowę. Każda chciała ugościć Jerzyka w swoich progach i zaadaptować jego umiejętności do swoich potrzeb. Oferowali mu darmowy internat, stypendium naukowe, indywidualny tok studiowania, możliwość uczestniczenia w badaniach znanych profesorów, a nawet darmowe wymiany zagraniczne, co było wówczas rzadkim przywilejem. Stawali na rękach, by nabyć uczelniane prawa do dysponowania Jerzykiem. I słusznie, bo

rzadko profesorowie mieli okazję obcować z tak chłonnym umysłem technicznym.

Dokonawszy wyboru, Jerzyk pożegnał dziadka i ojca, uspokoił splakaną matkę, następnie odważnie wsiadł do pociągu relacji Słupsk–Gdańsk Główny. Zabrał ze sobą nieduży plecak wypchany przedmiotami codziennego użytku oraz wżerający się w każdą komórkę ciała głód wiedzy. Postanowił nie oddalać się nadto od rodzinnego domu, w razie gdyby matka nie była w stanie dostarczyć mu swojskiej kaszanki własnego wyrobu czy skąpanych w pomidorowym sosie gołąbków z kaszą gryczaną i drobno zmielonym mięsem. Na dzień dobry założył dwa studenckie koła naukowe, których nowatorskie pomysły rozślawiły Politechnikę Gdańską w całej Europie Centralnej. Krótko mówiąc, był jednocześnie największym wynalazcą i odkryciem w swoim roczniku.

W tej sytuacji naturalną decyzją było napisanie pracy doktorskiej i pozostanie na uczelni w roli wykładowcy. Ale wyzwanie to okazało się mało pociągające dla młodego stwórcy, który czuł, że marnuje czas i kreatywną energię podczas przewidywalnych spotkań ze studentami. Nudzili go stereotypowymi pytaniami, odtwórczym myśleniem i intelektualną powściągliwością. Ziewali na arcyinteresujących wykładach, podczas gdy on, opowiadając, unosił się dwa metry nad ziemią. Szybko więc poprosił o oddelegowanie go na naukowy staż zagraniczny. W obawie przed utratą tak utytułowanego pracownika, załatwili formalności poza wszelkimi kolejkami. Upłynął tydzień, po którym Jerzyk zapomniał o sali wykładowej pełnej drzemiących chochołów, deszczowej aurze i trójmiejskich bataliach o właściwe oznakowanie tras objazdowych. Przechadzał się zatłoczonymi ulicami Londynu, który stanowił zlepek prawie wszystkich kultur globu. Miasto roztoczyło nad jego głową słoneczną aureolę, w pubach spijał bosko pieniający się nektar, w małych restauracyjkach degustował pyszną, acz tłustą ambrosję w bekonowej otoczce. Raczył oko architektoniczną mieszanką nowoczesnego stylu i tradycyjnych budowli. Pomimo industrialnego pomruku ulic, doświadczał w centrum rustykalnego wytchnienia. Jego ulubionym miejscem odpoczynku stał się ekologiczny ogród będący częścią Vauxhall City Farm. Wszystkie główne muzea i galerie sztuki oferowały darmowe wejścia. Przyzwyczajony do odmiennych standardów ojczyznianych, czuł się w nich początkowo jak w programie „Ukryta kamera”. Radowała go niezliczona ilość bibliotek pełnych osławionych „białych kruków”. Nade wszystko zaskoczył Jerzyka wysoki poziom edukacji oraz fakt, iż najbardziej popularnymi kierunkami studiów w Wielkiej Brytanii były architektura, budownictwo oraz *civil engineering*. Poczuł się widzialną i konstytutywną częścią tej przestrzeni.

Nie zdążył na dobre wypakować rzeczy z plecaka, a już wygłosił dwa referaty z zakresu technologii przyszłości w budownictwie. W rekordowym tempie przyswoił język angielski, który to stał się oficjalnym narzędziem propagowania jego technologicznych koncepcji. Brytyjczycy z zachwytem patrzyli na młodego Polaka, który dla nich wydobył się z precyzyjnie zaprojektowanej otchłani – *znikąd*. Najwybitniejsi akademicy słuchali jego uwag, a zwykli studenci z dumą taszczyli za Dżerym odczynniki, wydrukowane plany i opasłe tomiska. Notowali każde słowo, nawet jeśli nie do końca pojmowali kontekst jego użycia. Dżery chłonał Londyn, Londyn chłonał Dżerego.

W tym czasie, niezmiennie każdego popołudnia, z zapartym tchem czytał o osiągnięciach starożytnych Rzymian, którzy byli nie tylko wielkimi budowniczymi, ale także światłymi wynalazcami. Zaintrygował go zwłaszcza beton rzymski wykazujący niezwykłą trwałość i wodoodporność. Wiele zabytków starożytnego Rzymu w całym basenie Morza Śródziemnego zostało wykonanych właśnie z betonu. Szybko dowiedział się, jak powstawał ów słynny rzymski materiał. Rzymianie produkowali cement z mieszaniny wapna i skał wulkanicznych. Gatunek stosowany do struktur podwodnych składał się z wapna i popiołu wulkanicznego, a uzyskaną w ten sposób zaprawę mieszano z tufem i umieszczano w drewnianych formach. Po zanurzeniu w wodzie dochodziło do natychmiastowej gorącej reakcji. Wapno ulegało uwodnieniu i reagowało z popiołem. Powstawał wyjątkowo odporny cement, którym wylano ku pamięci cywilizację. Rzymianie nie ustawiali w twórczej przemianie. Dzięki ulepszeniu betonu mogli wznosić wysokie mury z kamienia lub cegły, a z czasem – budować akwedukty. Nad głowami ludzi zaczęły wznosić się stałe mosty na dużych rzekach, na przykład na podziwianym i uwielbianym przez młodego naukowca Dunaju. Rzymianie budowali także doskonałe drogi, które miały grubą warstwę kamiennej nawierzchni, zapewniającą stabilność i wytrzymałość na obciążenie.

Budowali jednocześnie użyteczność i sztukę, wymierzoną co do milimetra doskonałości tymczasowość, a także legendarną trwałość. Nikt nigdy potem nie prześcignął ich w biegłości obu rzemiosł. Panteon, Koloseum, bazyliki, łaźnie, akwedukty oraz łuki tryumfalne – były najpiękniejszą ludzką mową.

Jerzy miał tylko jedno marzenie. Postanowił, że zostanie współczesnym Rzymianinem. Jak nic innego, pragnął podarować światu kolejny architektoniczno-budowlany przełom, który pozwoliłby myśli ludzkiej zatryumfować nad wszechobecną stagnacją i przyzwyczajeniem do przeciętności. Według niego, najlepsi w fachu byli dziś jedynie leniwymi epigonami dawnych mistrzów, nastawionymi na szybki i duży zysk. Bezpiecznie powielali cegłę jak rozrodcze komórki. Doprowadzili cywilizację do martwego punktu, który dla nich był tryskającym banknotami źródłem, dla przeciętnego człowieka – ujściem wyobrażeń o jakości przysługującej im domowej przestrzeni. Jerzy dzięki pieniądзом chciał rozszerzać granice wyobrażeń. Zyski początkowo miały dla niego znaczenie drugorzędne, wyobrażał je sobie jako efekt uboczny wytężonej pracy umysłu. Ich przeznaczeniem był obrót w ciągu inwestycyjnym. Część posiadanych pieniędzy przeznaczał na podróże, by osobiście i namacalnie doświadczać inspirującej genialności poprzedników. A potem, po nadejściu długich zimowych polskich wieczorów, godzinami zachwycał się w myślach Londynem, z sentymentem wspominał Barcelonę, przed oczami, jak w kalejdoskopie, przesuwał Dubaj, Nowy Jork, a nawet Zamość – renesansowe miasto idealne. Wszystkie te miasta miały w pewnych momentach dziejowych swoich niezłomnych Jerzyków.

Jerzy Dębski ze Słupska coraz silniej czuł, że powołano go do szczególnego aktu kreacyjnego. Poprzez jego realizację miał złączyć się z tamtymi, którzy żyli życiem wmurowanym w geometryczne bryły. Czuł, że nie przypadkiem do głowy wtłoczono mu bystry umysł, w dłonie wsadzono glinę, a serce wybrukowano nieprzeciętną wolą. Hojnie wyposażony w rzadkie narzędzia prowincjusz przygotowywał się do spełnienia dziejowej misji. Aż w końcu całkowicie zapadł na naukowy autyzm i umarł dla świata. „Geniusz” – mówili jedni, „przyszły noblista” – dodawali drudzy. Pozwolili mu odejść w tymczasową niepamięć, wierząc, że powróci z niej w blasku chwały.

Jakież było ich zdziwienie, gdy pewnego dnia znów wyłonił się ze swojej pieczary, by zaprzedać duszę kapitalistycznemu diabłu i zamienić karierę naukowca na lukratywną posadę w korporacji. Gdańsk ponownie powitał go drapaczem chmur, obciążonym wysokiej jakości skórą gabinetem oraz prezesurą międzynarodowego koncernu. Pracował bez wytchnienia i opamiętania. Chadzał w dobrze skrojonej marynarce, każdego dnia aktualizował na nadgarstku kolekcję zegarków, z salonu samochodowego wyjechał ekskluzywnym pojazdem. Porzucił samodzielne gotowanie, jadał starannie wyselekcjonowane potrawy, poznając wykwintną kuchnię świata serwowaną przez najdroższe restauracje. O spotkanie z nim zaczęli zabiegać lokalni ludzie sukcesu. Imponował im wyglądem, dobrymi manierami i skutecznością w pomnażaniu majątku. W ciągu roku został krezusem, który złożył sobie świat u stóp. Przekuł intelekt na elitarny standard życia. Nikogo nie informował o tym, co robi i co planuje. Rodziców odwiedził zaledwie dwa razy, o starych znajomych zapomniał zupełnie. W tygodniu głowił się nad podwojeniem zysków budowlanego koncernu, w dni wolne odwiedzał najdroższe ośrodki SPA i hotele o królewskich standardach. Wypoczęty, zrelaksowany, wymasowany przez zgrabne dłonie Wietnamek – wracał do swojego zawodowego przybytku. Jerzyk był teraz nie tylko mądry, ale i bogaty.

Na założenie własnej rodziny czasu nie znalazł. Zresztą, nawet gdyby ją założył, ciążyłaby mu ona swoim istnieniem. Było mu dobrze samemu.

W przeciwieństwie do Niny, której zegar biologiczny zaczynał wyznaczać wieńczącą cykl narodzin godzinę i napastliwie alarmował ją „ostatnim dzwonkiem” o konieczności rozrodu. Zaczynała powoli dusić się w swojej samotni. Wynajmowane mieszkanie stanowiło słaby punkt wyjścia do uwicia rodzinnego gniazda. Równie dobrze mogło mieć ono ceglaste, jak i gliniane ściany, było jej to obojętne, jeśli miała w nim pozostać na zawsze sama. Coraz częściej czuła, że jest przestrzennym wyrzutkiem i że nie zauważa jej żadna istota żyjąca poza właścicielem podupadłego lokalu przy ulicy Rybackiej oraz nadopiekuńczą matką. Po godzinach pracy Nina Ciesielska przepadała dla świata. Podczas gdy Jerzy Dębski chciał zbudować najbardziej ekstrawagancki i jednocześnie klasyczny dom, Ninie marzyło się posiadanie absolutnie przeciętnego, ale własnego domostwa.

Wprawdzie naukę ukończyła nie tak dawno, jednak wydawało się jej, że okres edukacji stanowił

odległą, zadawnioną już przeszłość. Czas kobiety płynął innym nurtem niż przemijanie mężczyzny. Szybciej mijała jej data wszelkiej przydatności. Era nastania obowiązków oznaczała zwykle ostatnie stadium rozwoju osobowościowego. Po nim przychodziło już tylko umieranie. W rok po skończeniu studiów ekonomicznych Nina poczuła się stara i pokryta pyłem zapomnienia. Z narastającą obojętnością obserwowała, jak dni zlewają się w gigantycznie bezkształtną całość. Jakaś niewidzialna i niezależna od jej woli siła zamieniła ją od razu w podrzędny trybik kapitalistycznej machinerii. Wyczerpująca umysłowa praca wyznaczała rytm dni, tygodni, lat. Ich upływ spostrzegała w lustrze, ze zgrozą zauważając pojawianie się kolejnych zmarszczek na zmęczonej twarzy. Trudno określić, dlaczego tak szybko pogodziła się ze smętną rzeczywistością. Po prostu pewnego dnia stwierdziła, że nie odczuwa potrzeby szukania dodatkowych doznań. Wyzwał bała się z natury. Spodobało się jej poczucie ulgi, jakiej doznawała na myśl, że nie uczestniczy w ważnych wydarzeniach, że nie zależą od niej losy innych i że nie dźwiga na barkach ciężkiego brzemienia. Była na tyle mądra, żeby nie być głupią, i na tyle niestara, żeby mieć jeszcze podtrzymującą przy życiu nadzieję. Zmieniłaby się, gdyby przeciętny żywot chociaż ją uwierał.

Doskwierał jej jedynie brak bliskich osób, z którymi mogłaby jeść śniadanie, chodzić do kina czy spacerować po deptaku. Robiła wszystko, żeby nie poddać się czarnowidztwu oraz nie ulec społecznej potrzebie bycia za wszelką cenę skategoryzowaną. Skoro los, póki co, nie widział jej w kooperacji z mężczyzną, musiała jakoś żyć w pojedynkę. Ale postawiła losowi warunek – miał jej to szybko wynagrodzić skonstruowaniem i podstawieniem jej pod nos wymarzonego partnera gotowego spędzić z nią resztę swojego życia. Tymczasem, cierpliwie na niego czekając, wykladała na drewniany blat poobijanego biurka stopy kartek. Szeregi zapisanych na nich cyferek oczekiwały znalezienia im właściwego miejsca w rozliczeniowej tabeli. Godzinami trenowała palce na kalkulatorze, aż traciły czucie i krew odpływała z ich końców. Był to sygnał oznajmujący, że wreszcie mogła spokojnie odetchnąć i spłynąć na sofę w poczuciu dobrze wykonanego obowiązku. Każdy spędzony w ten sposób dzień zbliżał ją do „tego” dnia.

Zdarzyło się kilkakrotnie, że musiała przerwać rachunki przed ich ukończeniem, gdy serce zaczynało bić w piersi stalowym młotem, odbierając oddechowi płynność i regularność. Oczy zachodziły jej mgłą, a błędnik obijał się o ścianki czaszki. Według Niny była to kara za nałogowe picie kawy. Każda księgowka z czasem uzależniała się od tego mrocznego generatora. Ciesielska ulegała uzależnieniom z podwójną słabością. Piła i przeklinała swój brak asertywności. Wiedziała już doskonale, że po odsunięciu od siebie filiżanki syndrom odstawienia spowoduje, że kawa popłynie jej żyłami z jeszcze większą częstotliwością niż zwykle. Dlatego konsultację z kardiologiem uznała za stosowną, choć niekoniecznie pilną, jeśli za jej sprawą miała rozstać się z kawą raz na zawsze.

I właśnie wtedy, kiedy wybierała się do niego w celu oczyszczenia skapanego w czarnej kawie sumienia, wśród porannej ciszy rozbrzmiał nieoczekiwany telefon. Rozmowa z Jerzym przedłużyła się na tyle, że Nina nie była już w stanie zrealizować pierwotnego planu dnia. Rozmówca zachował się tak, jakby zapomniał o tym, że mogła mieć przed sobą szereg obowiązków do wykonania. Kontynuował dialog bez cienia wątpliwości, że jest nim żywo zainteresowana. Niesiony budowlanym natchnieniem, odkrywał przed obcą sobie kobietą kolejne tajemnice technologicznej koncepcji, która – jak zdążył poinformować – miała zmienić życie zarówno ich samych, jak i milionów zasługujących na dobrą zmianę ludzi. Nie odważyła się mu przerwać. Przeniósł ją w czasie do korzeni budownictwa, a sam przywrócił sobie pierwotny zapał działania. Rozmowa ta nieoczekiwanie stała się dla obojga najbardziej twórczym z możliwych rozpoczęciem dnia. Chociaż chwilami przechodziła w ekspresywny monolog podnieconego idealisty, nie pozbawiło go to poczucia, że dobrze rozmawia mu się z Niną. Uważnie słuchała, zadawała niegłupie pytania, wygłaszała rzeczowe komentarze. Wydała mu się całkiem bystra na tle innych kobiet. Niewiele z nich było zdolnych pojąć jego geniusz. Nina okazała się na tyle bystra, że zapomniał, w jakim celu wybrał do niej numer.

Postanowiła mu o tym przypomnieć:

– Dobrze, skoro wiem już, czym zajmuje się reprezentowana przez pana firma, chcę dowiedzieć się, jaka miałaby być w niej moja rola.

– Znudziłem panią? – roześmiał się do słuchawki. – No tak, zadzwoniłem w sprawie propozycji pracy, a włożyłem w pani uszy długi wykład o historii budownictwa glinianego. Przepraszam za tę niestosowność. Zbyt łatwo odrywam się od ziemi.

– Nie szkodzi, pozwoliłam panu na to. A nawet ze zdziwieniem odkrywam, że serce bije mi teraz wyjątkowo regularnym rytmem. Rozmowa z panem ma na mnie dobry wpływ – odpowiedziała, zdziwiona własnym brakiem powściągliwości.

– Jest pani bardzo miła. Zatem przyjmę teraz surowy, oficjalny ton, charakterystyczny dla właściciela prężnie rozwijającej się firmy, i zaproponuję pani pracę. Droga pani Nino, poszukujemy zdolnej i pracowitej księgowej, gotowej całym sercem poświęcić się naszej firmie. Dołączy ona do grona równie zdolnych i pracowitych księgowych, które już związały się z wymodlonym przez siebie podmiotem. Są one najszczęśliwszymi kobietami w uśpionym Słupsku. Ba! Część z nich dojeżdża codziennie z Koszalina i okolic. Dwie przeprowadziły się na stałe do naszego miasta, trzecia kończy właśnie remontowanie nowego deweloperskiego mieszkanka na Zatorzu. One już znalazły swoją ziemię obiecaną, teraz składam ją u pani stóp.

– Jest pan cudownie oryginalny – wycedziła przez roześmiane zęby autentycznie rozbawiona Nina. – Dlaczego sądzi pan, że właśnie moje stopy powinny po niej chodzić?

– Bo potrzebuję najlepszej kadry. Od miesiący uruchomione przeze mnie służby wywiadowcze badawczo obserwowały lokalny potencjał w tym zakresie, a rezultatem tych obserwacji było znalezienie pani jako jednostki spełniającej wszystkie nasze kryteria – ogłosił triumfującym nad jej zmieszaniem tonem.

– Dziękuję za pochlebne słowa, ale pański wywiad nie doniósł panu, że jestem zatrudniona na pełnych etatach w dwóch niezależnych firmach, co raczej eliminuje możliwość dołączenia do trzeciej.

– Ależ wiem o tym doskonale! Poznałem nazwy owych firm, jak również wysokość zaproponowanych przez nie pani wynagrodzeń. Jeśli są one takie, jak podali mi uprzejmie donoszący, wyrażam moje absolutne oburzenie. Księgowa to filar firmy, a nie tani wyrobnik! Sprowadzono panią do rzędu niewykształconych pracowników szeregowych. Na zachodzie, a nawet u nas, w większych miastach, takie gafy kosztują bankructwo. Oczywiście są one świadome i bezwzględnie popełniane w imię zysku. U mnie miałyby pani jak u Pana Boga za piecem.

– Ale ja wybrałam życie w mniejszym mieście. Nie narzekam na warunki zatrudnienia i pensje. Wydaje mi się, że w lokalnych warunkach jestem i tak wyniesiona na płacowy piedestał.

– To typowe myślenie mieszkańców mniejszych miast. Naprawdę nie pragnie pani od życia więcej?

– To typowe dla mniejszych miast zjawisko. Rozumiem jego logikę i akceptuję ją.

– Typowe staje się to, na co ludzie cicho się godzą. W dodatku z braku odwagi lub ambicji.

– Mogę zaraz obrazić się i zakończyć rozmowę.

– Nie robi pani tego, bo w głębi serca zgadza się pani ze mną i marzy o tym, żeby odważyć się zrealizować swoje wyższe ambicje. I dzwonię dlatego, by zaproponować pani nie kolejną orkę za marne grosze, ale właściwie opłacaną pracę w firmie, która produkuje dla ludzi, dla nowoczesnej cywilizacji, dla pani przyszłych dzieci. Osoba jej właściciela znajduje się na końcu tego łańcucha. Pani praca może w końcu mieć sens.

– Sensem mojej pracy jest poczucie dobrze wykonanego obowiązku.

– Bzdura! Nedorzeczny mit małych miasteczek. Praca nie stanowi celu, droga pani Nino, jest jedynie narzędziem dającym możliwość korzystania ze świata w taki sposób, na jaki ma się ochotę. Dobrze wykonywana, pozwala umacniać swoją pozycję na rynku i możliwość tę rozszerzać. Nie wolno mieć wobec pracy postawy służalczej. Dlaczego listonosz, który w Słupsku roznosi dziennie tyle samo przesyłek, co jego kolega w Warszawie, ma otrzymać mniejszą nagrodę za ten sam trud?

– Bo nie odważył się spakować i wyjechać do stolicy.

– Nie, droga pani Nino, bo się na to zgodził. Bo wmówiono mu, że jest mniej znaczącym od stołecznych obywateli prowincjuszem, który od życia również musi oczekiwać mniej.

– Taka jest rzeczywistość.

– Rzeczywistość, droga pani, wytwarzamy my.

– Tworzą ją pracodawcy. To oni ustalają reguły gry.

– Gry, w którą wszyscy bez namysłu gramy. Polscy przedsiębiorcy są światowym ewenementem pod względem wykorzystywania pracowników oraz wmawiania im, że wyzysk jest obligatoryjnym składnikiem biznesu. Pamięta pani stalinowskie metody sterowania tłumem? Jedna z nich zakładała, że wystarczy przez pewien czas wpajać człowiekowi jakąś myśl, aż w końcu w nią uwierzy. U nas metoda ta nadal cieszy się popularnością. Zapłać pracownikowi grosze i wmów mu, że na więcej cię nie stać. A potem pędzi taki retor do salonu po nowe bmw lub leci na Seszele, zachłyśnięty swoją kastowością. On też zaczyna wierzyć w to, że innego porządku świata nie ma.

– Ale sponiewieraną historycznie Polską nie rządzi ten sam porządek, co pozostałymi regionami świata. Nie jest ona na takim samym poziomie rozwoju gospodarczego, co wiodące kraje. Na przykład Niemcy tuż po wojnie wprowadziły ortoliberalizm, dzięki któremu szybko się wzbogaciły. Mimo że przegrały wojnę, zdołały stać się największą potęgą kontynentu! Polacy tyle szczęścia nie mieli – nie poznali ani smaku liberalizmu, ani wolnego rynku. Za to przybierali się w formę najpierw komunizmu, potem socjalizmu i oligarchii. Niemcy Wschodnie też miały komunizm i do dziś nie mogą nadrobić braków. Tak już jest, po prostu socjalizm pozostawia za sobą duże opóźnienie. Kiedy Europa bogaciła się metodą kapitalistyczną, nas rujnował socjalizm. Halo, jest tam pan jeszcze?

– Tak, droga pani, słucham cierpliwie i uśmiecham się.

– To, co mówię, wydaje się panu śmieszne?

– Absolutnie! Rozszerzam usta na myśl, że wpadła pani w typową dla tej rozmowy pułapkę. Ja zapytałem panią o różnice płacowe wewnątrz Polski, a pani opowiedziała mi jej płacziwą i męczeńską historię. Tacy właśnie jesteście.

– Kto?

– Polacy! Stoimy nad grobem przeszłości i stale dokonujemy jej rozliczenia. Uważamy, że wrosła ona na zawsze w naszą teraźniejszość i przyszłość, a to nie jest prawda! Uwolniliśmy się od dawnych błędów wraz z narodzinami wolnych pokoleń. To wina młodych, że pozwalają starym systemowcom obciążać swoje barki cierpiętniczym światopoglądem. Sami nakładają na siebie ten ciężar! Tamci wmówili im, że zawsze już trzeba będzie dzielić Polskę tak jak dawne Niemcy Wschodnie i Zachodnie, choć kapitalizm nakazuje ich zrównanie! Nasz kapitalizm, droga pani, nadal ma wymiar socjalistyczny. A jedyne, co jest w nim równe, to poziom braku wiary w to, że może być inaczej, lepiej.

– To są ogólniki. Wpisuje się pan w ogólny trend narzekania.

– To są podstawy krępujące nasze działania.

– I pan zamierza te pęta rozerwać?

– Ja i wielu do mnie podobnych. A pani może brać udział w wychodzeniu z systemowej niewoli, a przy okazji zacząć zarabiać godne pieniądze.

Po obu stronach zapanowała refleksyjna cisza. Oboje czuli, że nie żyją na najlepszym z możliwych światów. On był zdeterminowany do jego zmiany, ona – bała się jej konsekwencji. Spojrzała na swoje smutne lustrzane odbicie. Imitowało ono nędzę wschodniej granicy.

– Rozumiem, że jesteśmy umówieni na spotkanie wieńczące naszą rozmowę podpisaniem stosownych dokumentów.

– Muszę przyznać, że przechytrzył mnie pan w tej rozmowie. I cieszę się, że to pan zostanie obciążony za nią rachunkiem.

– Droga pani Nino, rozmowy o Polsce i człowieku są bezcenne. Do zobaczenia w piątek.

Po odłożeniu słuchawki z trudem próbowała przypomnieć sobie szczegóły rozmowy zakończonej całkowitym poddaniem się woli interlokutora. Pamiętała, że została umówiona na rozmowę w sprawie podjęcia nowej pracy lub raczej – transferu z zajmowanych dotąd stanowisk w wielką niewiadomą. Ktoś ośmielił się dokonać korekty w jej pilnie strzeżonej rutynie. I udało mu się to – bez konieczności złamania sprzeciwu, jaki powinna dla zasady wykazać. Było to nowe doświadczenie w życiu Niny, a mężczyzna, którego głos wypełnił jej cały misternie zaplanowany poranek, fascynował ją i drażnił jednocześnie. Gdy w końcu znalazła klucze, wrzuciła je z powrotem do torby. Porzuciwszy myśl

o nawiedzeniu kardiologa, przestała się spieszyć. Usiadła przy kuchennym stole, obrała soczyste jabłko i zaczęła intensywnie myśleć o swojej przyszłości.

2.

– Jesteś gotowa na wizytę u szefa? – to krótkie pytanie wyrwało Ninę z zaawansowanego procesu myślowego, jaki odbywała nad stertą faktur do zaksięgowania.

Gdy Monika Różańska przyjmowała pozę surowej matrony i zmieniała dźwięczny zwykle ton na przyspieszony potok słów wyrzucanych z lekko ściśniętych warg, wiadomo było, że nad głowy pracowników nadciągają czarne chmury. Wprawdzie Nina nie spodziewała się gradobicia, w końcu swoje obowiązki wykonywała sumiennie i bez zastrzeżeń, ale mimowolnie oderwała wzrok od porzucanych kartek, po czym z zaciekawieniem spojrzała na próbującą wzbudzić poruszenie koleżankę po fachu. Zrozumiała, że pytanie było skierowane bezpośrednio do niej i domagało się określenia jej poziomu podenerwowania.

– Nie, a powinnam? – zapytała, dopiero teraz uświadomiwszy sobie dużą częstotliwość pielgrzymek odbywanych od rana z biurowych stanowisk do gabinetu wodza naczelnego.

– Nowakowa ci nie przekazała? Masz pójść do szefa jako ostatnia w kolejności. Czyli za chwilę, teraz rozmawia jeszcze z nią.

– A w jakim celu to zwołane naprędce spotkanie?

– Lepiej, żebyś dowiedziała się sama, bezpośrednio od szefa. Ja i tak mam już przypiętą łatkę biurowej plotkary.

– Nie przesadzaj, nikt tu tak o tobie nie mówi, ja przynajmniej nie słyszałam.

– Ty nie, bo jesteś w porządku i masz za dużo pracy, by zajmować się błahostkami. Ale ludzie gadają.

– Cokolwiek mówią, a mija się to z prawdą, nie powinno cię zajmować. Daj spokój. Jak świat światem, biurwy zawsze muszą przemielić życie każdego z osobna i wszystkich naraz. Taka ich wtórna natura.

Zachichotały obie porozumiewawczo, ale czuły, że atmosfera wokół nich nie jest wesoła.

– Dlaczego więc wycelowaly grot swojej strzały właśnie we mnie?! Plotkują wszyscy, ale na mnie skupia się atak – kontynuowała plotkarski wątek Różańska. Stanowił w tej chwili zajmujący temat zastępczy.

– Najwyraźniej dałaś im powód. Albo same go sobie dały.

– Raz jeden zdarzyło mi się powiedzieć w większym gronie, że Nowakowa nie może mieć dzieci, a to, które przedstawia jako własne, urodziła jej siostra, która wkrótce po porodzie zmarła, o czym mało kto wie, bo to jakaś straszna rodzinna historia z samobójstwem w tle. Podobno mąż ją zdradzał z sąsiadką, która zaszła w ciążę, której nie donosiła. Ja tam nie wiem, nie interesuję się...

– Rzeczywiście, tajemnicza historia – uśmiechnęła się do siebie Nina, podziwiając wyrafinowany plotkarski kunszt koleżanki. Lubiała ją i nie znosiła jej jednocześnie.

Monika chyba wyczuła ironię, bo spuściła nos na kwintę i grzecznie kontynuowała pracę. Znów zaczęła myśleć o sobie w kategorii ofiary. Nie jej winą było to, że w rodzinnym domu od świtu do zmierzchu interesowano się losami lokalnej społeczności bardziej niż członków najbliższej rodziny. W interpretowaniu ludzkich żywotów prym wiodła matka, która wpadała zwykle po pracy rozpalona i zniecierpliwiona, bojąc się, że jeśli przekaże skandale z opóźnieniem, nie odda słowami wszystkich istotnych szczegółów. Opowiadała je serią wystrzałów z karabinu zanim na dobre zamknęła za sobą drzwi. Gdy zasiadała do stołu, dochodziła już zwykle do punktu kulminacyjnego. Dlatego obiad każdorazowo przyprawiony był pikantną historią miłosną lub kwaśną nutą konszachtów między prawnikami w rejonowym sądzie. Degustowali go w ciszy i zaszuchaniu. Z czasem uzależnili się od jego smaku. A po kilku latach ciszę zastąpiła lawina pytań: kto z kim?, dlaczego z nią?, czy mąż wiedział? W rodzinie Różańskich obiad stał się najważniejszą częścią dnia. Po nim nie potrzebowali już deseru.

Główna reprezentantka rodu stanowiła żywą formę codziennej kroniki towarzyskiej, jaka od najdawniejszych czasów służyła porządkowaniu rzeczywistości i klasyfikowaniu ludzi na tych dobrych oraz złych, moralnych i niemoralnych, uczciwych i oszustów. Jej dzieci wiedziały, że muszą godnie

przejąć ustną tradycję miejskich opowieści. Taka była naturalna kolej rzeczy. Dbały więc o jej płynne wkomponowywanie w bieżący rytm własnych żyć. Aktualizowały bazę danych regularnie i skrupulatnie. Mieszkańcy Słupska pozbawieni zostali wszelkiej intymności oraz z trudem izolowanych od świata sekretów. Różańska nie uznawała praw autorskich słupszczan do własnych rodowych tajemnic. W mieście stawały się one dobrem ogólnym. Serwowano je bądź w formie przystawki, bądź w postaci dania głównego. Najsmaczniejsze kąski zostawiano na ostateczne nasycenie się. Szczególnym zainteresowaniem w gronie Różańskich cieszyły się kobiety, jako istoty naturalnie predysponowane do mnożenia skomplikowanych wątków obyczajowych. Ich historie zaspokajały najwytrawniejsze gusta. W Słupsku nie brakowało kobiet niezależnych o podwójnej moralności i bujnym życiu towarzyskim. Każdego dnia tłoczyły się one w niewielkich kawiarnianych przybytkach, by przy okrągłych stolikach odprawiać swój taniec godowy. Zapraszały do niego przede wszystkim żonaty, bogaty i pozornie niedostępny mężczyźni. Demaskowały ich seksualne wynaturzenia, wywracały do góry nogami piramidę głoszonych przez nich wartości, a na koniec prezentowały efekty owych przeobrażeń zdziwionym żonom. W ten sposób tworzyły się lokalne publiczne skandale. Ich rejestr skrupulatnie prowadziła pani Różańska, dbająca o to, by jej dzieci miały zawsze świeże i sprawdzone informacje prosto z rynku. Tak wychowywana Monika mimowolnie stała się kopią wszechwiedzącej matki, nad czym ubolewała bardzo krótko, albowiem różnorodność wątków roztaczanych przed głodnymi słuchaczami czyniła ją osobą społecznie pożądaną. Czuła się potrzebna i akceptowana, a czasami nawet wszechwiedząca oraz decydująca o tym, jaki skrawek swojej wiedzy powierzyć danej osobie. Na czerpanie z jej pojemnej skarbnicy informacji trzeba było sobie zasłużyć. Tylko lojalne względem Moniki Różańskiej jednostki uzyskiwały pierwszeństwo w obnażaniu co ciekawszych przedstawicieli lokalnego środowiska mieszczańskiego. Kto chciał być poinformowany przed innymi, musiał trzymać z Moniką.

Nina ze skrywanym wstrętem podziwiała niegasnący apetyt Moniki oraz jej biegłość w wyszukiwaniu nowych składników potraw. Niezależnie od własnej woli wiedziała wszystko o wszystkich. Była zmuszana do przeżuwania dań razem ze swoją księgującą przyboczną, która wypracowała nowoczesny system, jakiego nie znała jeszcze jej obrotna matka. Wyszukiwarka młodej Różańskiej miała najwyraźniej zaprogramowane ustawienia zaawansowane, o których istnieniu Nina jedynie słyszała. Jakimś cudem informacyjny potok spływał wprost na twardego dysku rzekomo zapracowanej i niemającej na nic czasu księgowej. Ciesielska profilaktycznie ściągnęła na swoje usta skuteczny program antywirusowy. Monice nie udało się, póki co, wejść na teren jej dzieciństwa i wczesnej młodości, choć podbijała go wytrwale. Dzięki sprawnemu działaniu trudnej do sforsowania zapory w postaci informacyjnej powściągliwości Niny współpraca dwóch kobiet układała się wyśmienicie. Choć Monika nie raz próbowała zmusić Ninę do zwierzeń, ta na bieżąco kasowała historię.

Siedziały teraz obok siebie, raz po raz wpatrując się w drzwi gabinetu szefa. Ciszę wyprodukowaną przez konieczność zrealizowania pilnych rozliczeń „na wczoraj” przerwał trzask najpilniej strzeżonych w firmie wrót, z których jak poparzona wybiegła Nowakowa. Szlochała przeraźliwie, rozmazała precyzyjnie zaprojektowany i wykonany makijaż, nie pozostawiając na powiekach śladu po geometrycznym mistrzostwie kresek. Uspokoila się dopiero po kwadransie. Zignorowała spojrzenia koleżanek, nie czując potrzeby tłumaczenia im czegokolwiek. Wyciągnęła z szafy wysoki karton i zaczęła wypełniać jego wnętrze zawartością wszystkich szuflad z przypisanego jej biurka. Upychała przedmioty potrzebne i niepotrzebne, miażdżąc je swoją złością. Gwałtowne, agresywne ruchy wyprowadzonej z równowagi kobiety zdradzały najwyższy stopień zdenerwowania, choć była ona spokojna z natury. Monika nie wytrzymała tej emocjonalnej erupcji wyrażonej wprowadzeniem biura w stan chaosu i jako pierwsza zapytała o jej powód. Chciała wiedzieć, w jakich okolicznościach rodzi się podobny stan skrajnego uniesienia oraz jakie лихо wstąpiło w Nowakową.

Po chwili pokój księgowych poznał źródło obserwowanego szaleństwa.

– Podobno firma od miesiąca notuje spadek sprzedaży – cedziła przez gniewnie zespolone wargi Nowakowa, wyrzuszając karton do granic pojemności. – W związku z tym szef musi ciąć etaty. Nie zastanawiał się długo, z naszej trójki do kasacji wybrał mnie. Jestem rzekomo najwolniejsza

w księgowaniu, a wy macie tyle pary, że możecie bez problemu rozdzielić moje zadania między siebie. Zatem od teraz przejmujecie moje obowiązki i część mojej pensji jako dodatek do swoich. Od jutra zyskacie też więcej miejsca w pokoju, bo moje biurko konserwator za chwilę wystawi na korytarz. Widać zużyło się, jak ja. Łatwo jest zatrzeć po człowieku wszelki ślad. Była sobie księgowa i nie ma księgowej. Zapalcie świeczkę w miejscu, gdzie stał dotąd mój kubek do kawy. Tak wyobrażam sobie nasze ostatnie pożegnanie. Tymczasem pozwólcie, drogie panie, skupię się na upakowaniu mojego zawodowego dorobku w ten oto rozpadający się karton – idealny symbol mojej osoby. Jakże pięknie on przetarty i wyszczerbiony. A teraz przytłoczę go nadmiernym ciężarem, przecież zniesie wszystko. O, widzicie, jak walczy? Deformuje się, ale nie daje się całkowicie zniekształcić. Wie, że rozluźnienie dna będzie dla niego oznaczało upadek totalny.

– Dlaczego jesteś dla nas zgryźliwa? – zapytała urażona Monika. – Mówisz tak, jakbyśmy były winne twojej krzywdy. Nikt w tym pokoju nie potrzebuje więcej miejsca, to niedorzeczna uwaga.

– Nie? To dlaczego Nina ma za chwilę dostać podwyżkę i awansować na główną księgową? Przecież ta logika nie trzyma się kupy. Mnie ten tam za ścianą mówi o konieczności oszczędzania, a jej pozwala rozwijać ekspansywny instynkt zawodowy za pieniądze firmy. Ja nie jestem taka głupia, jak myślicie. Wygryzła mnie i tyle. Zadziałało prawo silniejszego, choć bardziej chyba dżungli. Do realizacji nowych arcyważnych obowiązków będzie potrzebowała teraz znacznie więcej przestrzeni niż dotychczas. Proszę, niniejszym oddaję ci, królowo, mój kawałek podłogi. Władaj nim godnie.

Biernie uczestnicząca do tej pory w zajęciu Nina wylała na policzki kolor ogromnego zdziwienia. Dosłownie przed sekundą zdążyła pomyśleć, że Nowakowa przetarła na wykładzinie łzawy szlak, którym po odbyciu swojej wizyty w jaskini szefa podąży. Dźwigając w świadomości dwa wysokie kredyty, które zaciągnęła w celu poprawienia swojego statusu społecznego, nie była przygotowana na apokaliptyczny wyrok. Zanim poskładała myśli w logiczną całość, do jej uszu wdarły się kolejne gorzkie słowa:

– Osobiście nie zgadzam się z opinią, jakoby Nina była wydajniejszym pracownikiem ode mnie, przeciwnie, nie raz pomagałam jej nadrobić zaległości, gdy biegła do drugiej firmy. Niestety, przy pracy na dwóch etatach nawalała się w nich po równo. No ale jak ktoś musi jeździć salonową toyotą...

– Przestań! – przerwała sarkastyczną mowę koleżanki Monika. – To nie twoja sprawa, czym jeździ Nina. Jeśli zgadzałaś się podać jej pomocną dłoń, nie każ się teraz w nią całować. Jest nam przykro, że została podjęta taka decyzja, jednak to nie my jesteśmy jej źródłem. Kto mógł przypuszczać, że szykuje się reorganizacja? Myślałyśmy, że firma działa sprawnie i generuje zadowalające zyski. Przecież wszystko szło zgodnie z planem...

– Was czeka reorganizacja, a mnie redukcja. Najwyraźniej plan był taki. Oto nagroda otrzymana po ośmiu latach rzetelnej pracy na wyłączność i wyczyszczeniu „stajni Augiasza” po poprzedniczce. Ostatni rok pracy był pierwszym, w którym wprowadziłam te wszystkie segregatory w świat logicznej ekonomii. Załatałam finansowe dziury i zbilansowałam wydatki. Zapewniłam tej firmie spokojny byt oraz solidny grunt pod dalszy rozwój. Spodziewałam się raczej przyznania mi medalu w kategorii *Największy heroiczny wysiłek woli*. No i zostałam hojnie obdarowana – krzyżem na drogę. Nie docenił mojej pracy. Niepotrzebnie włożyłam w nią tyle zaangażowania.

– Jest mi przykro, że nas opuszczasz – przemówiła szczerze Nina. – Żadna z nas na to nie zasłużyła, stanowiłyśmy wzorcowo działającą trójcę. To, że mogłyśmy na siebie nawzajem liczyć, było jej największą siłą. Nie dyskredytujmy tego teraz. Nie w takich okolicznościach. Czułam, że dzieje się coś złego, że szef coś przed nami ukrywa. Myślę, że chronił nas przed okrutną prawdą najdłużej, jak mógł. Ale jesteś pierwszą osobą, która informuje mnie o rzekomym awansie. Dopóki nie odbędę swojej rozmowy z szefem, wstrzymajmy się od ocen.

Podparta wiarygodną mową ciała postawa stoicko spokojnej, ale jednocześnie przestraszonej Niny nie przekonała Nowakowej. Naprędce stworzyła sobie w pulsującej złością głowie teorię spiskową. Uznała, że w czasie gdy dawała się bezwzględnie wykorzystywać obficie zarobkującej koleżance, ta cichaczem umacniała w firmie swoją pozycję i pozyskała względy szefa. Stanowiło to okrucieństwo najwyższego rzędu. Nowakowa uznała, że Nina Ciesielska buduje swoją pozycję na trupach innych.

Pożalowała wszystkich przysług, jakimi obdarowała koleżankę.

Rzeczywiście stało się tak, że spośród całego grona pracowników firmy to Nina była ulubienicą zagranicznych inwestorów i lokalnych władz samorządowych. Swobodnie rozmawiała po niemiecku i parzyła najsmaczniejszą kawę z ekspresu, który podobno wszystkim gościom dawkowało to samo i po równo, ale tylko w rękach Ciesielskiej wznosił się na wyżyny swojej wylewności. Filiżankę kawy zawsze przyozdabiała pyszną bezową kulą lub migdałem zanurzonym w gęstej czekoladzie. Odgadywała preferencje gości po jednym rzuconym w ich stronę spojrzeniu. Nigdy nie powiedziały tego głośno, ale wykazywała też najkorzystniejsze z całej trójki walory cielesne. Swój wieczny pośpiech maskowała kokieteryjnym uśmiechem lub głębokim patrzeniem prosto w oczy rozmówcy. Odziewała się w barwy skutecznie hamujące typowe męskie nerwice, które na stałe wpisane były w biznesowe biografie. Ciepłe i nienarzucające się odcienie okazywały się jednocześnie silnymi afrodyzjakami, wobec których kontrahenci szybko łagodzili swoje szorstkie obyczaje. Pracowała nad głosem od najmłodszych lat, dzięki czemu udało się jej biegle opanować sztukę dźwięcznego przemawiania. Była wzorcowym modelem pensjonarskości. Była miłą dla oka wizytówką firmy.

Jako że reprezentowała typ osobowości skrajnie zadaniowej, z obowiązków wywiązywała się terminowo i bez zarzutów. Zostanie księgową było naturalną konsekwencją uporządkowanej pod względem nawyków natury. Czasem jednak Jej Doskonałość Nina korzystała z dobrowolnej pomocy Nowakowej. Ale tylko wtedy, gdy sama już nie była w stanie prześcignąć czasu. Jej drugi szef często musiał mieć ją „od ręki”. Nie lubiła rozczarowywać, dlatego też bez głębszego zastanowienia czerpała z ofiarności koleżanki po fachu. Wiedziała, że powierza zadania osobie trudnej, ale także sumiennej. Dopóki dwa koła zawodowej maszyny kręciły się w porównywalnym tempie, Nina spała spokojnie. Podwykonawczynię nie raz nagrodziła sporą kwotą pieniężną, finezyjną apaszką z prawdziwego jedwabiu lub smacznymi pralinami sprezentowanymi jej przez zagranicznego kontrahenta. Zaspokojone w ten sposób obie strony wykazywały podobny poziom zadowolenia z nieformalnej współpracy. Przebiegała ona harmonijnie, w ukryciu, a przede wszystkim z dala od wścibskich spojrzeń innych, pozornie ze sobą zaprzyjaźnionych, przedstawicielek tej samej profesji. Działy na uboczu, kompletnie nie ufając tamtym. Sławiona w babskich kręgach „solidarność jajników” zaistniała pomiędzy Niną a Nowakową jako rodzaj niewytłumaczalnej rozumem synergii. Nikt w firmie nie przypuszczał, że Nina regularnie posiłkuje się wiedzą i nadliczbowym czasem Nowakowej, by wypełnić swoje dwuetatowe obowiązki. Kobiety nie lubiły się, ale z niewiadomych powodów postanowiły zainicjować tę tajemną kooperację. Warunkiem jej trwania było lojalne milczenie.

Dlatego Nina o mały włos nie zadławiła się własną śliną na dźwięk pretensjonalnych oskarżeń płynących z ust Nowakowej. Owszem, sytuacja była teraz napięta, ale żaden argument nie tłumaczył tak drastycznego zerwania paktu lojalności. Nowakowa, której wszystko już było obojętne, podobnie jak wysokość zaproponowanej przez szefa odprawy, wystosowała głośno jednoznaczne uwagi sugerujące zawodową samoniewystarczalność świeżo awansowanej Niny. W ciągu kilkunastu sekund zdemaskowała cały misternie wypracowany system, wykrzykując, że za właściwymi sukcesami stoją zawsze niewidzialni bohaterowie z tła. Od razu poczuła się lepiej. Gardziła teraz Niną bardziej niż zniechęconym szefem. Poczucie jej zadowolenia rosło wraz ze zdziwieniem skupionych w gabinecie słuchaczek. Jakże rade były one na wieść, że święta Ciesielska od Aniołów ukryła jednak diabła za skórą! A więc niesłusznie miesiącami topiły się w morzu wyrzutów sumienia, które każdego dnia przypominało im, jak dalece są niewydatne i ułomne w zarządzaniu czasem. Nawet nie próbowały się z automatem-Niną ściągać. Nad ich tonącymi głowami trójzębem wymachiwała tryumfująca Oblubienica-Ulubienica. Pokornie uniały przed nią całą swoją ledwo jednoetatującą księgowatość. Podziwiała umiejętności Ciesielskiej, zazdrościły jej dyscypliny, z żalem obserwowały podziw szefa, którym regularnie namaszczał tę nierealnie wydajną istotę. Dzięki słowom Nowakowej okazało się, że niepotrzebnie spędzały noce na bezsensnym oplakiwaniu własnej nieudolności.

Doskonałość i biegłość Niny Ciesielskiej były więc fikcją! – mówiły do siebie w myślach. – Jakże podle z nas zadrwiła!

– Czy możemy ci jakoś pomóc? – nieświadoma doznanego przez koleżanki olśnienia Nina

postanowiła wzbic się na wyżyny empatii i zwróciła się do Nowakowej. – Nie zostawimy cię w tej sytuacji bez wsparcia. Możesz na nas liczyć, pamiętaj.

– Słowa, słowa, słowa! – zareagowała teatralnie Nowakowa. – Wyświechtane frazesy. A co wy możecie zrobić, siedząc tu, na ciepłych stołkach, przyklejone do klawiatur jak dziecko do łona matki?

– Możemy uruchomić kontakty i znajomości – nie dawała się sprowokować do kontynuowania dramatu Nina. – Popytać, czy ktoś nie potrzebuje księgowej do pracy. Stanowisko to często jest do wzięcia od zaraz, zanim palące się ognisko zdąży przejść w jakiejś firmie w pożar.

– A jakie wy macie kontakty? Każdego dnia parzycie kawusie zleciendawcom, dla których jesteście niewidzialne. Same nic nie znaczą i macie tego pełną świadomość. Deklarujecie wykorzystanie rzekomych stosunków, jakbyście faktycznie takowe nawiązały. Kogo chcecie oszukać – mnie czy siebie?

– Chcemy ci po prostu pomóc...

– Od ciebie nie chcę już nic więcej. Przechytrzyłaś mnie, otwieraj szampana!

– Porozmawiam z szefem, może zmieni decyzję.

– Taki masz na niego wpływ? Gratuluję pewności siebie. Potwierdza ona waszą zażyłość. Pewnie wiedziałaś o jego planach od dawna, mimo to nadal korzystałaś z mojej pomocy. Chciałaś wycisnąć mnie jak gąbkę, do ostatniej kropli!

– Nie wiedziałam. To jego własna decyzja.

– Ciekawe, co sprawiło, że obdarował cię tak wielkim uwielbieniem. Przychodzi mi do głowy tylko jedno...

Wzburzona śmiałą sugestią Monika Różańska właśnie szykowała się do podniesienia głosu i brutalnego słownego kontrataku, gdy drzwi gabinetu szefa rozwarły się. Po chwili ich próg przekroczyła wezwana do środka Nina. Po raz pierwszy od dawna bała się. Tego, że ktoś z niej zadrwił, mówiąc o awansie, że złośliwy los za chwilę pozbawi ją ochronnej otoczki rutyny, że przez brak możliwości spłacenia kredytów popadnie w obłąd, że nie będzie jej się chciało walczyć od nowa, że drugi pusty karton w pokoju czeka na nią. Szła jak na ścięcie, z trudem dźwigając ołowianą głowę. Kilogramy natrętnych myśli próbowały przedostać się do wnętrza obolałej czaszki ozdobionej zeszytyniałymi włosami. Serce biło jej jak po ogromnym dzbanku kawy wypitej jednym haustem. Gdyby mogła, zapadłaby się teraz pod ziemię na wieki.

– Proszę usiąść, pani Niecezko – zachęcił dobrodusznie domniemany kat, odsuwając jej krzesło.

– Dokończyłam właśnie to pilne rozliczenie, o którego przygotowanie prosił pan rano. Wiem, że miało być gotowe na jutro, ale zrobiłam je od razu. Po co czekać? – reklamowała się profilaktycznie, włączysz natychmiastowy mechanizm obronny.

Ale pan Dobrucki nie zamierzał jej atakować. Ich rozmowa była krótka i rzeczowa. Ponarzekał na średnio zadowalające go wyniki firmy, odciął Ninę od wszelkiej za ów stan rzeczy odpowiedzialności, po czym pogratulował sympatii u klientów, rzetelności i sprawnego godzenia pracy na dwóch etatach. Istnienia tego drugiego – dodał – właściwie nie zauważał. Następnie poinformował ją o ukrytym wewnętrznym audycie, jaki prowadzony był w firmie w ciągu ostatniego kwartału i którego ona właśnie była najcenniejszym odkryciem. Spośród wszystkich pracowników to Nina spędzała najmniej czasu w toalecie, w aneksie kuchennym, a w palarni nie przebywała w ogóle. Nie odnotowano spóźnienia czy przedwczesnego opuszczenia stanowiska. Nie trzeba było zakładać dla niej segregatora archiwizującego korekty. Księgowała systematycznie, pismo miała wyraźne, a na jej biurku panował wzorowy porządek. Telefonu używała tylko w celach zawodowych. Z żalem stwierdził, że gdyby Nowakowa potrafiła wziąć przykład z tak blisko usytuowanej względem siebie koleżanki, nie byłoby dziś w firmie tych dantejskich scen. Następnie wygłosił laudację pochwalającą fakt, iż Ciesielska na własną rękę poszerzała wiedzę zawodową podczas kursów i szkoleń, a była to rzadka u zasiedziałyh księgowych aktywność. Krótko mówiąc, pełen był zachwytu i uwielbienia dla najlepszej ze swoich przybocznych księgowych. W jednej chwili Nina Ciesielska wyrosła na naczelny filar firmy, bez którego jej szef nie wyobrażał sobie dalszego funkcjonowania.

Z gabinetu wyszli razem: on – majestatycznie pozujący na Boga Ojca chlebobawca, i ona –

pokornie oddająca cześć wyrokom boskim owieczka. Podążyła za swoim pasterzem niczym jego cień. Razem stanęli naprzeciwko pozostałych członkiń księgującego stada. Pan przemówił. Podsumował zmiany, raz jeszcze przedstawił nowy rozkład sił, na koniec nakazał wszystkim zgromadzonym paniom bezwzględne posłuszeństwo wobec wytycznych głównej księgowej. Pakującej swoje rzeczy Nowakowej nawet nie zauważył, tak jak od wielu miesięcy nie zauważał jej zawodowego trudu. Widział tylko te nadprogramowe telefony. Zdążyła przyzwyczaić się do gorzkiego smaku zawodu. Porządkując wrogi sobie teren, była już z redukcją etatu wewnątrznie pogodzona. Mimo to z premedytacją robiła wokół siebie szum, ciskając martwe przedmioty w plastikowe skrzynki. Oczyszczała w ten sposób szafki i zmętniała, odrzuconą duszę.

Podczas gdy Dobrucki ignorował jej ostentacyjne gesty, Nina z niepokojem obserwowała każdy ruch rozwścieżonej ekskooperatorki. Było w niej coś przerażająco demonicznego, co zwiastowało nieuchronne nadejście destrukcyjnego kataklizmu. Nie wiedziała jeszcze, czy będzie miał on wymiar dziejowy czy jednostkowy, ale była pewna, że nastąpi. W tym kontekście z ulgą myślała o następującym właśnie opuszczeniu firmy przez owładniętą niszczyielskim szałem kreaturę.

Gdy Katarzyna Nowak w końcu opuściła budynek, w którym spędziła najlepsze pod względem zawodowej energii i zapału lata, było już popołudnie, a z nieba zaczął spływać na jej gęste brwi sążnisty deszcz. Człapała bezcelowo po błotnistych chodnikach, przygnieciona segregatorami i ciężkim kartonem. Zaczął on rozpylić się w jej dłoniach od nadmiaru deszczu, ale była zbyt zajęta swoim wewnętrznym bólem, by to zauważyć. Krople niebiańskiej wody całkowicie zawładnęły rozpuszczającym się kobiecym ciałem, deformując kolejne fałdy niedopiętego płaszcza oraz morderczo skręcając pasma jasnych włosów. Wyglądała tak, jak się czuła – fatalnie.

Pierwszy raz od dawna spojrzała w niebo. Ostatnio po prostu nie znajdowała na to czasu. Zaciągało się ono powoli chmurami, było szare i złowrogie, ale dostrzegła w nim jakiś szczególny rodzaj piękna. Pojawiające się kolejno po sobie warstwy nieuchwytnego pierza piętrzyły się i kotłowały, prowadząc zabawną grę. Układały się w fantazyjne konstelacje bujnych kul pękających radośnie z nadmiaru gazu. Uśmiechały się do siebie zaczepnie, obijały brzuchami o swoje krągłości i płynęły anielskim bezruchem w sobie tylko wiadomym kierunku. Deszcz mienił się cudownym blaskiem, bijąc impresją prosto w oczy. Zieleń koron drzew stawała się coraz głębsza, a powietrze zapachniało wrzosem. Ludzie uciekali do swoich kryjówek, kwaciarki w mig rozpostarły foliowy baldachim nad przydrożnymi straganami, dzieciaki chowały się w wąskich bramach. Jedna tylko Nowakowa powolnym tempem przemierzała podziurawione kałużami ulice. Szła miarowo i z coraz większym spokojem. Każdy krok oddalał ją od znieawidzonej pustyni, na której już nie byłaby w stanie zakwitnąć. Początkowy żal ustąpił miejsca błogiemu nicnieczuciu. Pomyślała, że skoro nawet niebo pochyliło się nad jej stratą, nie jest sama w przestrzeni, i że malowane deszczowym pędzlem obrazy dopominają się zauważenia.

Przechodząc obok kontenera na śmieci, wrzuciła do niego wypełniony produktami jej pracy karton. Zrzuciła go z siebie niczym odcięty jednym ruchem garb. W jednej chwili stała się lekka i wolna od wszelkich ciężarów.

Pozbywszy się księgowych niepotrzebności, jeszcze tego samego dnia pożegnała męża i swoją prawie córkę, po czym wsiadła w pociąg do Zakopanego. Podobno żaden widok nie równał się tatrzańskim pejzazom. Musiała uciec na krótką chwilę od samej siebie, a w górach łatwo było się ukryć.

Nina wyszła z pracy nieco później niż zwykle, gdyż zmiana stanowiska wymagała uprzedniego przygotowania się do zarządzania kadrami. Podłączono jej najnowszy komputer, zainstalowano odpowiednie programy, a nawet wymieniono klawiaturę na zupełnie nową, jakby ta prawie nowa obciążona była kłatwą ostatniego użytkownika. Sama wybrała cieszące jej oko kolory segregatorów oraz wzór ozdabiający nową wykładzinę. Sprzątaczkę wypucono solidne biurko, którego blat namaściły błyszczącym olejem. Obok niego, na zgrabnym stolczku, postawiły elektryczny czajnik, zaś w centralnym punkcie zamontowały blaszany pojemnik na herbatę. Parapet obrósł nagle rozłożystym kwieciem, a zwykły kalkulator wymieniono na najsprytniejszy z możliwych egzemplarz. Poczuli się prawdziwie nagrodzona za swój księgowy zmysł podlany ciężką pracą. Była teraz królową gabinetu. Zarządzała nie tylko ludźmi, ale i biurową przestrzenią.

Rozglądając się wokół nowej siebie, przyznała, że ostatnimi czasy zblądziła. Każdego dnia pochylała się w ubolewaniu nad swoją przeciętnością i podlewała ją rzewnymi łzami własnej bierności. Zapomniała, że *należy cierpliwie czekać, a będzie dane*. Przeklinała w duchu swój księgowy los, który nie przynosił jej ani radości, ani samorealizacji. Praca w firmie Dobruckiego zaczęła ją potwornie uwierać. Podobnie jak cały ziemski żywot. Niecierpliwie czekała, aż zdarzy się cud, który albo przywróci jej radość istnienia, albo przynajmniej zmotywuje ją do dalszej rzetelnej pracy.

Cud się zdarzył! Zrozumiała, że czekanie ma sens, bo nagroda spływa na tych, którzy wypełniają je dobrze wykonanymi obowiązkami.

– Przeciętność wcale nie zniewala! – mówiła do siebie odkrywco, przeprasząc własne „ja” za brak dobrego nastroju. – Przeciętność pozwala przygotować się na nadejście przełomu. Z przeciętnością nie wolno walczyć, trzeba się z nią ułożyć. Wypłakałam w ostatnim czasie wiele łez, nie mogąc pogodzić się z powtarzalnością dni i zdarzeń, obwinałam świat o bezustanne obracanie się wokół własnej osi zamiast wokół mojej. Byłam bezradna wobec uwiadu własnych ambicji i pragnień. Odkryłam, że jest mi z tą bezradnością coraz lepiej. Do kogo ja właściwie miałam pretensje i o co? Zachowywałam się jak rozkapryszona księżniczka. Dość tej niestabilnej iluzji życia!

W obliczu najnowszych wydarzeń poczuła, że musi natychmiast porzucić zgnuśniałą Ninę. Awans w firmie Dobruckiego stał się bezpośrednim impulsem do skrojenia sobie nowego kostiumu. Natychmiast ubrała się w profesjonalną i niedostępną służbistość. Była od teraz kobietą przedsiębiorczą, zaradną i przebojową, zaczynającą poruszać się w granicach intensywnego rytmu dnia oraz wypełnionej zasłużonym wychnieniem krótkiej nocy. Za chwilę miała stać się kobietą sukcesu. Zaledwie jeden krok dzielił ją od przewyciężenia rutyny i bylejakości.

Na skrzydłach baśniowych wyobrażeń wleciała ponad stan fizycznego odrętwienia i z wigorem zabrała się w mieszkaniu za porządkowanie przyziemności, którą ostatnimi czasy bardzo zaniedbała. Wytarła z kurzu ciemne meble, a wewnątrz szafy opróżniła gwałtownym wypchnięciem na podłogę kłębowiska poupychanych nieskładnie ciuchów. Przez dwie godziny układała ometkowane jeszcze i nietknięte materiały w zgrabne prostokąty. Segregowała je kolorami, rozmiarami, fakturami, wzorami, sezonami. Była miła nawet dla zwykłych szmat, które głąskała niczym żyjące stworzenia. Z uśmiechem na twarzy stwierdziła, że jest typowym przykładem zakupoholiczki zapominającej o nabytych trofeach. Pomyślała, że należałoby zrobić spis zawartości ogromnej drewnianej skrzyni, bo niektórych jej lokatorów widziała jakby po raz pierwszy. Bluzki, sukienki, marynarki – nawet jeśli nie wyszły z mody, to z pewnością straciły już wyniesiony ze sklepu zapach nowości, a mimo to nigdy nie doczekały się publicznej prezentacji. Nie pamiętała już nawet okoliczności, w jakich musiała je za wszelką cenę nabyć. Pewnie spodobały się jej, gdy owinięto nimi wystawowe manekiny. Zwykle wtedy zapalała się w jej poszerzonych źrenicach dioda z napisem *Must have!* I tak kolejne ubrania wędrowały na blat przed oblicze bladego manekina stojącego za ladą. Od niepamiętnych czasów właśnie w ten sposób kupowała sobie dobry nastrój oraz poczucie społecznej przynależności do wyższych partii klasy średniej. Kwestią drugorzędną były poniesione straty finansowe. Odmówić sobie zakupu znaczyło dla Niny przyznać się przed sobą do niewydolności czy raczej – nieudolności. Mogło jej brakować na vipowski pakiet programów telewizyjnych, ale nie na zwykły bawełniany sweterek w seksowne prążki. Dopóki stać ją było na realizację podobnych fanaberii, spała spokojnie. Co ciekawe, chorobliwy odruch kupowania wielokrotnie krytykowała u biedniejszych od siebie koleżanek. Dziwiła się ich beztróskiemu podejściu do spraw materialnych, zwłaszcza gdy miały dzieci. Ponieważ Nina przedła nić żywota w pojedynkę, czuła się predysponowana do częstszych inwazji na galerie handlowe. Rościła sobie prawo do zadośćuczynienia za życiowe braki, podczas gdy tamte zachowywały się po prostu nieodpowiedzialnie.

Siedząc teraz na wynajmowanym skrawku podłogi, segregowała barwną materię z myślą o tym, by zrobić miejsce dla kolejnych przedstawicieli odzieżowej rodziny. Awans równoznaczny był z koniecznością podniesienia swojego statusu wizerunkowego o kolejny poziom. *Jak cię widzą, tak cię piszą* – powtarzała w myślach niczym mantrę, tak naprawdę ciesząc się, że znalazła dodatkowy impuls do rozwijania pasji kolekcjonerskiej. Jej szafa wciąż nie była w pełni nasycona.

Geometryzowanie koszul przerwał dźwięk dzwonka u drzwi. Po chwili ich próg przekroczył

Maciej Zimiński – właściciel mieszkania. Był to typ oschły, nieprzyjemny i budzący powszechną antypatię. Zglądał tu co jakiś czas, by upewnić się, że Nina prowadzi się godnie, cztery ściany stoją tam, gdzie stały, a inwentaryzowane naprędce wzrokiem meble nie zmieniły kształtu lub położenia. Dokonywał nalotu o różnych porach dnia, więc trudno było się go spodziewać, toteż Nina postanowiła dać się swobodnie zaskakiwać. Nic do ukrycia nie miała, gospodarowała przestrzenią oszczędnie i ostrożnie, zresztą i tak nie umiałaby się przyzwyczaić do czegoś, co nie należało do niej.

Rzuciwszy okiem na stopy ubrań z nieoderwanymi jeszcze etykietami, Maciej Zimiński upewnił się, że wiadomość o podwyżce czynszu zostanie przez Ninę przyjęta jako naturalna kolej rzeczy.

– Niestety, pani Ciesielska – rozpoczął swój krótki monolog wygłaszany tonem żołnierskim i bezkompromisowym. – Zarząd wspólnoty zdecydował o podniesieniu składki na fundusz remontowy, więc i ja zmuszony jestem do podwyżki czynszu. Od tego miesiąca będzie mi pani przelewać na konto stówę więcej. W zasadzie tyle z mojej strony, ale wolałem osobiście.

Osobiście też uznał, że Nina nie musiała wiedzieć o decyzji wspólnoty, która podwyższyła składkę jedynie o 60 złotych. Skoro zawsze płaciła bez marudzenia, był przekonany, że bez zbędnego gadania zapłaci i teraz. Przywiązała się do tego mieszkania, tak przynajmniej myślał zimny Zimiński. W rękach dzierżył wydrukowany i podpisany już jednostronnie aneks do umowy. Podstawił go Ninie pod nos, wręczając długopis. Przytknęła jego piszący koniec do kartki, ale wstrzymała się ze złożeniem podpisu.

– Ja jednak się jeszcze zastanowię, proszę pana – oznajmiła z jakąś dziwną chytrą w oczach.

– Tu się nie ma nad czym zastanawiać. Podpisze pani albo zrobi to ktoś inny, kto chętnie wprowadzi się do tego apartamentu.

– Niepotrzebnie się pan gorączkuje. Proszę po prostu o czas do namysłu.

– Więc daję go pani do jutra. Wóz albo przewóz. Jeśli się pani nie zgodzi na nowe warunki, oba będą pani potrzebne.

Doskonale wiedziała, ile wynosi wzrost kwoty składki, bo szefowa wspólnoty osobiście wręczała mieszkańcom stosowne zawiadomienia. Nawet nie miała mu za złe, że ją oszukuje. Jeszcze wczoraj pomstowałyby nad skandalicznym zachowaniem Zimińskiego i obsypałyby go najgorszymi epitetami. Zdążyła poznać się na jego lisiej naturze. Całymi tygodniami marzyła tylko o tym, żeby pluć mu całą swoją niechęć w twarz. Ale była teraz kobietą sukcesu stojącą u progu obiecującej kariery. A to oznaczało, że nie mogła dłużej mieszkać w takiej norze.

Dzień ogłoszenia awansu Nina Ciesielska zakończyła uprzejmym pożegnaniem zdeorientowanego Macieja Zimińskiego i wydrukowaniem ofert bankowych kredytów umożliwiających jak najszybszy zakup własnego mieszkania. Tego dnia w swojej wewnętrznej prywatnej przestrzeni awansowała przede wszystkim opinię o sobie.

3.

Podniecenie, jakie wywołało w Ninie powierzenie jej nowego zawodowego posłannictwa oraz wyniesienie na księgowy piedestał w firmie, w której dotąd była tylko jedną z trzech szeregowych rachmistrzyń, nie ustępowało przez kolejne dni. Spała płytko, jakby obawiając się utraty świadomości sytuacji i przeniesienia jawy w sferę pięknych, ale jednak fikcyjnych snów. Po raz pierwszy od dawna od snu bardziej podniecało ją wstawanie i życie. Poranne przebudzenia nigdy wcześniej nie smakowały tak dobrze jak teraz, gdy otwierała oczy w poczuciu, że bez przeprowadzonej przez nią odprawy nikt w biurze nie odważy się zasiać do pracy. Wszystko, co ważne, zależało teraz od niej – organu decyzyjnego. Wyraz jej twarzy zaczął dla innych pracowników pełnić funkcję porannej zorzy zwiastującej aurę nadchodzącego dnia. Odczytywali z niej nastroje, nastawienie i poziom rozdrażnienia. Zaczęli obchodzić się ze swoją szefową ostrożnie, zachowując odpowiadający jej dystans. Grzecznie podchodzili do biurka po wytyczne, a gdy ich niedospane oczy demaskowały brak chęci zaangażowania się w pracę, motywowała ich swoją oschłością oraz surowym tonem. Nina postanowiła zacząć wymagać. Uznała, że jeśli chcą dobrze zarabiać, muszą na nowo udowodnić swoją przydatność. Pierwsze dni rządów miały być pod tym względem kluczowe.

– Wyrobię w nich porządną etos pracy, bo to, co wyczyniają teraz, woła o pomstę do nieba – zapowiedziała telefonicznie matce, która na wieść o awansie córki podskoczyła radośnie w fotelu, wygłosiwszy jednocześnie oburzenie, że o tak znaczącym sukcesie dowiedziała się ostatnia.

– Wiesz najlepiej, jacy są – przytakiwała pani Krystyna. – Znasz wszystkich razem i każdego z osobna, a jest to wiedza bezcenna przy przejmowaniu berła. Prędzej czy później będziesz musiała ją obrócić przeciwko najslabszym jednostkom. I nie będzie to twoją winą, pamiętaj. Obserwuj ich teraz uważnie. Najwięcej uwagi poświęć lizusom, oni zawsze są w swojej uprzejmości interesowni. Najczęściej kamuflują nieróbstwo.

– Mają pecha, bo znam doskonale ich wszystkie słabości i sposoby udawania, że pracują. Wiem, ile czasu potrafią bezproduktywnie zmarnować. Obserwuję to każdego dnia pracy w tej firmie. Ależ musi być im głupio teraz, kiedy postawiono mnie po drugiej strony barykady. Kłamstwo ma jednak krótkie nogi. Łatwo się o nie potknąć.

– Uważaj, żeby nie podstawili nogi tobie. Sama mówiłaś, jak paskudne rzeczy wygadywali o Dobruckim. Odbierz im możliwość wspólnych spotkań. Inaczej padniesz ofiarą pokątnego knucia. Bądź konsekwentna, Nino.

– Będę. Nie zmarnuję swojej szansy.

– W końcu cię doceniono. Przed tobą najlepsze lata pracy zawodowej. Lepsze zaczyna się właśnie teraz, córeczko. Nawet nie wiesz, jak bardzo się z tego cieszę!

Krystyna Ciesielska faktycznie cieszyła się jak dziecko. Do niedawna bała się, że życie Niny popłynie niezmiennym jednostajnym rytmem, niezdolnym do wyprodukowania jakiegoś spektakularnego przełomu. Ubolewała nad służalczą Niny wobec wszelkich systemów. Zazdrościła matkom, które godzinami opowiadały o dziarskich i zaradnych pociechach, bez trudu wspinających się po kolejnych szczeblach zawodowych karier. Żałowała, że nie przekazała córce w genach podobnej brawury. Nina rzadko dopominała się o swoje, a jeszcze rzadziej wymuszała na pracodawcy podwyżkę czy symboliczną choćby premię. Pracowała wcale nie gorzej niż dzieci tamtych kobiet, mimo to zawsze akceptowała pierwotne warunki wynagradzania. I choć pragnęła od materialnego świata więcej, nie potrafiła wynegocjować korzystniejszych do jego zwojowania narzędzi. Awans w firmie Dobruckiego był pierwszym, jakiego smak poznała.

– Miałaś rację, ciężka praca zawsze popłaca – kontynuowała telefoniczne zwierzenia Nina. – Wierzyłam w to od momentu usłyszenia tej złotej myśli.

– Zbyt długo czekałaś.

– Bo zwątpiłam po drodze. Bałam się zostania pracoholiczką. Ostatnio moja codzienność wypełniona była jedynie liczbami. Przyznaję, że chwilami miałam jej dość. Albo liczyłam, albo spałam.

Wystraszyłam się takiego życia i takiej siebie.

– A czy jest w tym coś złego? Robi komuś krzywdę? Pracujesz, bo chcesz dla siebie dobrego życia. Ile rozliczysz, tyle do ciebie wróci. Szefa interesują końcowe wyniki. Dzięki tobie i twoim staraniom stały się one wyjątkowo korzystne. Dobrucki rozwinął skrzydła, widać to na rodzinnym parkingu. Nic dziwnego, że poczuł potrzebę wynagrodzenia twójemu trudowi awansem. Nie jest on dopustem Bożym, to naturalna i oczywista kolej rzeczy. Zastanawiam się tylko, dlaczego tak długo zwlekał. Pewnie dlatego, że się nie upominałaś...

– Nie umiałabym. Ale wierzyłam, a teraz dostaję tego potwierdzenie, że ciężka praca prędzej czy później zostanie zauważona. Nawet jeśli odebrała mi kilka nocy i świeżość cery.

– Nieprzespane noce odeśpisz później, a odpowiednio dobrany krem rozświetli ci cerę w mig. Takie jest dzisiaj życie, Ninuszkko, trzeba napracować się na wszystkich frontach. Trzeba wyrwać światu to, co inni dostają w prezencie, bez wysiłku. Trzeba wykupić sobie wygodę i komfort. Nie żałuj poświęcenia. Warto było.

– Tylko ten stres związany z szybko upływającym czasem... Przygniata mnie. Ścigam się ze wskazówkami zegara, a potem zapominam, dokąd gonię.

– Nie ma życia bez stresu, Ninuszkko. Żadna praca nie jest od niego wolna. Ale czas, masz rację, trzeba szanować bardziej. Będziesz nim teraz swobodnie gospodarować, więc dostaniesz cenną lekcję. Pamiętaj – najpierw praca, potem upewnienie się, że można ją w danym dniu spokojnie odłożyć, dopiero na końcu tego ciągu znajduje się myślenie o przyjemnościach. Żebyś tylko nie przegapiła założenia rodziny. To wszystko da się pogodzić.

– Ty znów o tym? Wiem, że każda matka chce zaprowadzić swoją córkę do ołtarza, ale nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i czekać na księcia z bajki. To nie w moim stylu. Przyjedzie to przyjedzie.

– Nie unosi się, Ninuszkko. Ja tak tylko...

– Teraz cały swój czas wypełniam pracą. Zakochała się we mnie bez opamiętania.

– Śmiejesz się, a ja naprawdę się martwię. Obyś nie przegapiła...

– Nie przegapię. I obiecuję ci, że gdy książę zajedzie pod bramę, wyjdę mu naprzeciw.

– Pewnie przypadkiem, spiesząc się na poranną odprawę w firmie.

– Jeśli przyjedzie specjalnie po mnie, na pewno poczeka ustawowe osiem godzin.

– Musisz być niezależna finansowo. Nastąpiły trudne czasy dla kobiet. Za równouprawnienie musimy zapłacić wysoką cenę.

– Cenę upływającego bezwzględnie czasu.

– Cierpliwi zostaną nagrodzeni.

– Muszę być atrakcyjna finansowo. Wtedy odjadę z właściwym księciem.

– Córka Kornackich wyszła w weekend za prawnika. Ustawiona jest do końca życia. Cała dzielnica mówi o ich ślubie. Podobno kosztował fortunę. W ciągu jednej nocy awansowała społecznie i finansowo.

– Na biednych nie trafiło. Przygotowywali przyjęcie od roku, sprowadzając z zagranicy jakieś oryginalne bibeloty. Suknię wybierała jeszcze dłużej. Myślę, że go nie kocha. Nienawidziła biedy, musiała się z nią rozwieść.

– Już rzuciła pracę w magistracie. Stwierdziła, że woli być teraz po prostu żoną.

– Szkoda, bo miała dobry zmysł do zarządzania kadrami. Lubiła swoją robotę. Dziwne, że tak łatwo przyszło jej porzucenie planów i ambicji. Najwyraźniej uznała, że majątny mąż to najlepsza inwestycja.

– Teraz cieszy się z wygody, ale kiedyś pożałuje. On wie, że ją kupił. Ty na szczęście masz więcej rozumu. Dlatego ciesz się awansem, mądrze inwestuj pieniądze i uważaj na podstępnych ludzi. Ci, których znasz, mogą się teraz zmienić, a raczej odkryć swoje prawdziwe oblicza.

– Bądź o mnie spokojna, mamo. Wypracuję skuteczny system zarządzania. Nie będę nikogo wyróżniać ani piętnować. Przejdę na tryb bezosobowy. Nie interesuje mnie, jaki obraz mojej osoby stworzą w swoich głowach. Udowodnię Dobruckiemu, że potrafię zaopiekować się jego finansami lepiej

niż ktokolwiek. W końcu sroce spod ogona nie wypadłam.

– Ty naprawdę jesteś gotowa na przekroczenie nowych granic. I nie boisz się ludzi. Brawo! Jestem z Ciebie dumna! Nareszcie zaczynasz wychodzić z cienia.

– Postanowiłam nie ograniczać swoich wyzwań, ale rzucić wyzwanie swoim ograniczeniom.

– Lepsze zaczyna się właśnie teraz, Nino.

Jak każda matka, pani Krystyna Ciesielska pragnęła dobrego życia dla swojej jedynaczki. Porzucona przez męża w niecały rok po narodzinach płacziwego berbecia, musiała zmagać się z rzeczywistością w pojedynkę. Zamiast walczyć, postanowiła jednak łagodnie się z nią ułożyć. Pewnego dnia po prostu opanowała w złamanym sercu toksyczne emocje, zakasała rękawy i ostro wzięła się do pracy. Pracowała bezustannie: od świtu do zmierzchu. Nie wiedziała, czym jest zwolnienie lekarskie, z prawa do urlopu skorzystała raz, w dodatku tylko po to, by popracować miesiąc za granicą. Postanowiła zapewnić córce stabilny grunt pod nogami i zrobić wszystko, co mogłoby wynagrodzić jej półsieroctwo. Chwytała każde zlecenie, realizując je w przerwie pomiędzy pracą na etacie a snem. W tej sytuacji małą Ninuszkę wychowywała niemalże przyspawana do niej babcia. Pokochała wnuczkę miłością matczyną i bezwarunkową. Zorganizowała jej beztrudne dzieciństwo, zapewniła dobre wychowanie oraz materialną przystawalność względem rówieśników. Babcia i pani Krystyna okazały się najlepszymi rodzicami na świecie. Gdy Antonina Ciesielska zakończyła swój ziemski pobyt, Nina wypłakała za nią Bałtyk i Morze Śródziemne razem wzięte. Na szczęście miała jeszcze wyrozumiałą, choć ciągle nieobecną matkę. Ostatecznie razem ułożyły się z rzeczywistością całkiem godnie, nie szczędząc sobie wzajemnie wsparcia w najtrudniejszych chwilach.

Jak każda matka, pani Krystyna Ciesielska pragnęła dobrej pracy dla swojej jedynaczki. Cieszyła się, że Nina sprawnie godzi obowiązki wynikające z dwóch etatów, nie prosząc nikogo o pomoc. Wierzyła, że przekazała jej w genach wytrwałość, przedsiębiorczość oraz ogólną życiową zaradność. Nie miała pojęcia o tajnym pakcie córki z Nowakową. Informacja o nim rozdarłaby jej serce. Ze spokojem obserwowała kolejne etapy dojrzewania młodszej wersji siebie. Coraz częściej zdarzało się jej pomyśleć, że gdyby Pan zechciał nagle powołać ją do nieba, jak Antoninę, mogłaby podążyć w jego stronę bez poczucia lęku o los Ninuszki. Ninuszka poradziłaby sobie ze wszystkim sama.

Jak każda matka, pani Krystyna Ciesielska pragnęła, żeby jej córka nie musiała żyć sama. Modliła się o dobrego męża i zdrowe dziecko dla swojej jedynaczki. Na to jedno nie miała bezpośrednio wpływu, co spędzało jej spokojny sen z powiek. O ile udało się jej osiągnąć pewność, że w życiu zawodowym Ninuszka zawsze spadnie na cztery łapy, o tyle regularnie przerażała ją wizja wiszącego nad córką staropanieństwa. Czas upływał coraz szybciej, codzienność uformowała się w rutynę, a nowa komórka społeczna nie chciała się utworzyć. Pani Krystyna zweryfikowała więc pierwotne założenie i – podobnie jak matka Kornackiej – uznała, że potencjalnego męża jej córka kochać nie musi. Tracąc nadzieję na rychłe zamążpójście Ninuszki, ośmieliła się przechytrzyć nawet plan starej Kornackiej. Według najnowszej wiary pani Krystyny, mężczyzna mógł pojawić się w życiu Niny tylko na chwilę, by spłodzić dziecko.

Ale dziwnym zrządzeniem losu od Niny uciekali kolejni kandydaci. Trudno było to racjonalnie wytłumaczyć. „Potrafisz tupnąć nóżką” – ogłosił jeden z byłych. „Przy tobie nie czuję się potrzebny” – dodał drugi. „Za wysokie progi na moje nogi” – podsumował ostatni. Jednocześnie każdy z nich zapewnił Ninę, że jest jedyna i niepowtarzalna, ma seksowne ciało, cudowne serce i piękną duszę. Według ich słów Nina Ciesielska była idealną kandydatką na żonę. Jednocześnie żaden nie zdecydował się na złączenie z nią swojego życia. Mówili jej, że jest kompletna, ale odchodzili do innych, z którymi natychmiast płodzili dzieci i wiązali się przysięgą.

– Pamiętaj, że dopóki żyję, pomogę ci pogodzić wszystko – przekonywała pani Krystyna, nie chcąc zakończyć tej ważnej rozmowy.

– Wiem, mamo. Jesteś kochana i niezastąpiona, jak babcia. Czuwasz nade mną jak dobry duch – odpowiedziała z autentyczną wdzięcznością Nina. – Będiesz cudowną babcią. Ale musisz poczekać. Najwyraźniej ktoś uznał, że powinnaś się jeszcze wyszumieć.

Zaśmiały się sztucznie po obu stronach słuchawki.

– Kto wie, może w firmie pojawi się jakiś nowy wartościowy przodownik pracy. Będiesz teraz odbywać więcej biznesowych spotkań.

– I dlatego muszę skupić się na merytorycznym ich przygotowaniu. Nie mogę zawieść szefa ani samej siebie. Miłość jeszcze chwilę poczeka. Teraz nastał czas pracy.

Po zakończeniu rozmowy z najbliższą jej w tej chwili osobą Nina wróciła do celebrowania swoich porannych rytuałów. Uruchomiła ekspres z kawą, wypełniła jej aromatem wnętrze pokoiku, którym brzydziła się od jakiegoś czasu, ale istnienie którego tymczasowo akceptowała, wyczekując pozwolenia na zaciągnięcie kredytu. Spijała energię łyk po łyku, delektowała się gorzkim smakiem świeżo zmielonych ziaren, starannie kroićła pełnoziarnisty bochen chleba. Wydawało się jej, że za sprawą awansu życie samoistnie zaczęło smakować lepiej. Wystraszona laboratoryjnym składem niby-zdrowego pieczywa sklepowego postanowiła, że będzie samodzielnie wypiekać chlebowe prostokąty. Pierwszego poranka po ogłoszeniu awansu sformułowała sobie wiele innych postanowień.

Po wypełnieniu cielesności czarną energią domalowała do twarzy niezaprzeczną urodę i uzupełniła braki w lakierze na paznokciach. Od kiedy przeczytała, że zadbane dłonie z pomalowanymi paznokciami są wizytówką księgowej, a dla niektórych zleceniodawców – nawet fetyszem, nie opuściła mieszkania bez sprawdzenia, czy jej wizytówka nie budzi zastrzeżeń. Włosy upięła wysoko, eksponując długą łabędzią szyję, dekolt uzłociła brązującym balsamem, jako że z natury bardziej przypominała japońską gejszę niż namaszczone słońcem Słowiankę. Wyglądała kobieco, profesjonalnie i młodzieńczo. Była gotowa na podbijanie świata i wdrażanie nowego kodeksu pracy.

Zanim opuściła wynajmowane mieszkanie, starannie wyselekcjonowała w zalewie ofert swoje pierwsze własne gniazdko. Chciała mieć pewność, że zaczyna się teraz wszystko, co dobre. Skorzystawszy z dobrodziejstwa, jakim jest nienormowany czas pracy, natychmiast pojechała zobaczyć je osobiście, chociaż przedstawiciel dewelopera stawiał opór. Podobno tylko gotowy efekt prac budowlanych i wykończeniowych mógł pozwolić zakochać się w tym miejscu od pierwszego spojrzenia. Jednak ona zakochała się już w pustych, surowych białych ścianach. Zarezerwowała je zaliczką. Pozostawało czekać na klucze, a w międzyczasie spotkać się z projektantką wewnątrz, porozmawiać o zaleceniach sztuki feng shui, przejrzeć katalogi z meblami, a nade wszystko – zamówić już stolarza. Najlepsi przedstawiciele tego zawodu opuścili Słupsk lata temu, goniąc za chlebem, potem za szynką, a na końcu – za kawiozem. Mniej odważni lub mniej zdolni przejęli zlecenia kolegów, a potrzeb „remontów na gwałt” było więcej niż codziennych informacji o kryzysie gospodarczym. Zatem umówienie się z robotnikami na szybki remont graniczyło z cudem. Wrodzona przezorność Niny wykręciła numer do rekomendowanego przez sąsiadkę sztukmistrza, który obiecał, że do czasu uzyskania przez niecierpliwą właścicielkę upragnionych kluczy na pewno upora się z przyjętymi już zobowiązaniami. Obok nowego apartamentowca na Zatorzu budował się awans społeczny Niny Ciesielskiej.

Wyposażona w pozytywne nastawienie, zewnętrzną doskonałość i poczucie ważności, dumnie wsiadła do zadbanej toyoty, by zalotnie pouśmiechać się z niej do obcych mężów nudzących się w korku i przysypiających zwykle w świetle sygnalizatorów. Biernie spoglądali zza szyby na piękną i wyzwoloną kobietę sukcesu, z którą seks z pewnością byłby równie dynamiczny jak obroty rozgrzanego silnika. Niestety, obiecującą silne wrażenia grę wstępną kończyło pojawienie się pomarańczowego światła. Odjeżdżali ze swoimi niespełnionymi pragnieniami dalej.

Do gmachu firmy Dobruckiego Nina wleciała na niewidzialnych skrzydłach. Umaskowała twarz chłodną niedostępnością, wymusztrowała chód, po czym zwolniła tempo i paradnie powędrowała w stronę swojego gabinetu. Rozglądała się wokół siebie uważnie, chcąc naprędce zorientować się w prawdziwym stosunku do pracy swoich starych-nowych podwładnych. Niestety, większość z nich poległa w konfrontacji z nadprogramowym audytem. Najpóźniej przebudzeni dojadali kanapki, niedospani surfowali po portalach społecznościowych, a kobiety nadal walczyły z porannym makijażem. Nina pokręciła tylko głową i wybrała osoby, którym odpowiedziała „dzień dobry”. Indywidualnie przywitani w ten sposób szczęśliwcy odetchnęli z ulgą. Przyłapani na nastrajaniu się do pracy poczuli, że lada moment będą musieli rozejrzeć się za nową posadą. Nina uznała, że od progu odbyła się właśnie

naturalna pracownicza selekcja. Nie lubiła kompromisów, a ponieważ znała umiejętności i krojone na miarę bieżących potrzeb hochsztaplerstwa wszystkich zatrudnionych w firmie osobników, szybko oddzieliła ziarno od plew.

Zanim zasiadła w obrotowym skórzanym fotelu, zjrzała do szefa. Ich współpraca układała się idealnie i bezkonfliktowo. Pan Dobrucki obdarzył Ninę dużym zaufaniem, wielokrotnie przez nią potwierdzonym w sytuacjach ekstremalnych. Marzył o ograniczeniu swojej roli w firmie, zajęciu się odkładanymi w wieczność pasjami oraz odbyciu egzotycznej podróży do Amazonii. Potrzebował kogoś, kto był w tej chwili w punkcie, w którym on znajdował się dwadzieścia lat temu, gdy aspirował do wyższego szczebla drabiny klasy średniej.

– Jak to dobrze, że pracuje tu pani już dłuższy czas – zaczął na powitanie. – Nie muszę tłumaczyć strategii firmy od podstaw, a – szczerze mówiąc – nie mam na to ochoty. Z panią rozumiem się bez zbędnych słów.

– Bo zamiast gadać musimy działać – odpowiedziała charyzmatycznie Nina. – Przyniosłam ze sobą propozycję rozkładu zadań na dzisiaj. Gdyby miał pan ochotę zerknąć...

– Nie trzeba. Proszę go po prostu zrealizować. Będę teraz rzadkim gościem w firmie, więc musi pani przyzwyczaić się do samodzielności. I odpowiedzialności za nią, naturalnie.

– Jeśli ekipa nie zawiedzie, wypracujemy wysoki ekwiwalent.

– Pani Nino, to od pani zależy teraz strategia zarządzania kadrami. Proszę wybrać taką, żeby nie zawiodła. Daję pani wolną rękę.

Nina Ciesielska uwierzyła, że praca czyni wolnym.

Uzyskawszy błogosławieństwo swojego szefa, a także pełnię stanowionej na jego terenie władzy, postanowiła stworzyć mocny, skonsolidowany zespół, gotowy do pracy na najwyższych obrotach. Realizacji tego ambitnego celu służyć miały między innymi poranne narady z udziałem całej załogi, których do tej pory w firmie nie było. Chciała usprawnić komunikację, zaszczepić podwładnym planowanie oraz nauczyć ich właściwszego podejmowania decyzji. Oczami duszy widziała wpatrzonych w jej surowe oblicze twarze koleżanek, pełne podziwu spojrzenia kolegów i szacunek przechodzącego obok miejsca zbiórki szefa. Wszyscy oni musieli wiedzieć, że Nina zna się na rzeczy i zasłużyła na wywyższenie jej w pracowniczej hierarchii. Po współpracownikach spodziewała się teraz głośniejszej burzy mózgów oraz gejzerów wyrzucających pod niebiosa genialne pomysły. Była pewna, że stała się dla nich naturalnym supermotywatorem. Taką wizualizację przeprowadziła w swojej głowie.

Jednak rzeczywistość poza gabinetem Dobruckiego wyglądała zgoła odmiennie, co okazało się w momencie pojawienia się Niny w drzwiach wejściowych. Zamiast ożywionej dyskusji rozległo się soczyste ziewanie wylewające z pracowniczych wnętrza strumienie zniechęcenia. Żadna siła nie była w stanie wlać w ich miejsce twórczego żywiołu. Podpierali się o biurowe meble, strzelali wkoło oczami, wędrowali świadomością w odległe krainy, nieudolnie udając swoją obecność w realnej przestrzeni. Niby słuchali, ale gdyby poprosiła ich o powtórzenie choćby jednego słowa, spuściliby pokornie głowy. Dla nich dzień był wystarczająco długi, by w pracy najpierw pomyśleć o ważnych sprawach prywatnych, ułożyć listę zakupów, zaplanować obiad, dopiero potem zając się na krótko tym, do realizacji czego ich tu spędzono. Widok nieświadomego swego zawodowego istnienia ekipy przeraził natchnioną Ninę, która aktualnie reprezentowała przeciwny stan umysłu. Z żalem stwierdziła, że jest osamotniona w aktywnej postawie. Przemawiała bardziej do ścian niż ludzi, co przez moment wydało się jej nawet zabawne. Rozświetlone monitory biurowych komputerów wykazywały więcej woli działania od tego beznamietnego skupiska człowieczych mar.

Tak musiał wyglądać jeden z kręgów w dantejskim piekle – pomyślała podłamana. – Znaleźli się w nim cisi, niemrawi, leniwi, zaledwie egzystujący i na wszystko obojętni.

Najbardziej wytrwałych w udawaniu zainteresowania nagrodziła kontaktem wzrokowym oraz wyznaczeniem mniej skomplikowanych zadań. Czuli, że narastająca w niej złość może za chwilę uderzyć w nich destrukcyjną siłą rażenia. Byłoby to nieprofesjonalne, więc stłumiła naturalny odruch i zachowała stoicki spokój. Powstrzymała wybuch oburzenia tylko dlatego, że sama jeszcze niedawno ogarnięta była podobną apatią. W głębi duszy rozumiała ich.

Ale nie zamierzała długo im pobłażać i cierpliwie czekać na cudowne przebudzenie, nie wiedząc, czy ono w ogóle nastąpi. Przystąpiła więc do porannego ataku:

– Moniko, czy przygotowałaś już miesięczny raport z dostaw do firmy? Pamiętasz, że to jeden z najważniejszych dokumentów kwartalnych? – zaczęła koleżankę tonem oficjalnym i zdecydowanym, lekko tylko odwołującym się do niedawnej zażyłości. Najlepiej ze wszystkich wiedziała, jak często Monika przegapiała ważne terminy. I jak mało sobie z tego robiła.

– Tak, jest prawie gotowy, jutro zajmie centralne miejsce na twoim biurku – skłamała Monika, nie zaczerwieniwszy się nawet na białych policzkach. Zrozumiała, że czeka ją długa, bezsenna noc.

Nina bezbłędnie odczytała w wypowiedzi podległej księgowej zatajoną intencję, ale nie czuła się jeszcze na tyle pewna siebie, żeby przywódczo i kategorycznie zareagować na obłudę. Obiecała sobie, że już nigdy więcej nie pozwoli Monice przegapić pilnego terminu. Jeśli będzie zmuszona pozbawić ją pracy, robi to bez wahania.

– Jak czujesz się w nowej roli? – zapytała Monika, zręcznie zmieniawszy temat.

– Zaczynam przyzwyczajać się do sytuacji – odpowiedziała szczerze Nina, uświadomiwszy sobie, że właściwie od pierwszej chwili, gdy Dobrucki obwieścił innym jej awans w firmie, nie miała z jego przyjęciem problemu. – Przecież tak naprawdę nic się nie zmieni. Nadal będziemy grać do tej samej bramki.

Słowa te nie uspokoiły Moniki. Pomyślała, że pod wodzą takiej trenerki zacznie się za chwilę wyjątkowo intensywne zgrupowanie.

Nina Ciesielska i Monika Różańska znały się już ponad dziesięć lat. Pierwsze spotkanie nastąpiło w grudniu, gdy obie zgłosiły się jako wolontariuszki do udziału w akcji charytatywnej „I ty możesz zostać Świętym Mikołajem”. Jej celem było przygotowanie kilkunastu paczek żywnościowych dla najbiedniejszych dzieci w mieście. Nina odpowiadała za sprawiedliwy podział zebranych produktów, zadanie Moniki polegało na wytypowaniu odpowiednich adresatów, których hojnie mieli obdarować oszczędzeni przez okrutne wyroki fatum słupszczanie. Obie wolontariuszki wywiązały się ze swoich ról wyśmienicie. Ciesielskiej udało się nawet skompletować cztery dodatkowe paczki, natomiast Różańska przyniosła domownikom do wyprania cały wór rodzinnych brudów maluczkich. Tym sposobem prawdziwą beneficjentką przedsięwziętej kampanii okazała się najstarsza z żyjących pań Różańskich. Ale wtedy zachowanie Moniki wydało się Ninie niegroźne, a nawet zabawne. Dziewczyny zapalały do siebie wielką sympatią, która przerodziła się w wieloletnie koleżeństwo. Każdego roku wspierały słupecki oddział królestwa Świętego Mikołaja jako dwie główne siły napędowe szlachetnej akcji. Razem zapisały się ponadto na kurs przewodników turystycznych i zajęcia pilates. Spędzały ze sobą dużo czasu i choć charaktery miały skrajnie odmienne, wypracowały wspólny język.

Gdy Różańska zyskała przychylność pana Dobruckiego podczas rozmowy kwalifikacyjnej w jego firmie, po czterech miesiącach wprowadziła do biura Ninę. Rekomendowała ją najlepiej jak umiała. Dobrucki nie zastanawiał się długo i drugie z proponowanych na rynku stanowisk powierzył koleżance rezolutnej Monice. Najważniejszym kryterium rekrutacyjnym okazała się, zwiastująca bezkonfliktową współpracę, bliska zażyłość obu kobiet. Różańska bardzo chciała podarować sąsiadujące ze swoim biurko Ninie. Dlatego osobiście zaprowadziła ją przed oblicze nowego pracodawcy, po czym wygłosiła tak zacną laudację, że Dobrucki postanowił zrezygnować z wyznaczanego zwykle trzymiesięcznego okresu próbnego. Natychmiast zapragnął mieć ten zgrany żeński tandem u siebie na stałe. A sprawdzał się on doskonale: dziewczyny wyzbyte były charakterystycznej dla pracujących razem samicy zazdrości, nie podkładały sobie świń oraz wspierały się w najbardziej stresogennych zadaniach. Przed innymi świeciły przykładem jaśniej niż był to sobie w stanie wyobrazić. I tylko każdy, kto znał je prywatnie, zastanawiał się, jaka siła sprawiła, że te dwa tak różne charaktery harmonijnie ze sobą współgrają.

Rysa na idealnie gładkiej tafli zażyłości pojawiła się pewnego marcowego popołudnia. Niejaka Marika Burzyńska, inna z bliskich koleżanek Niny, zapytała ją podczas wspólnej kawy, czy prawdą jest, jakoby Ciesielska rozbiła małżeństwo sąsiadki z pobliskiej kamienicy. Zdezorientowana Nina zamilkła, choć nie zaprzeczyła. W krótkim czasie ujawniło się źródło tej obyczajowej ciekawostki. Monika i jej

matka wzięły udział w nieoficjalnym publicznym sądzie kapturowym zawiązanym nie przypadkiem nad Niną przy starym dębie w parku. Kilka znudzonych swoim życiem słupszczanek w średnim wieku zaobserwowało kontakty Niny ze znanym w okolicy mężczyzną. Wiedziały, że szczegóły tej znajomości może opowiedzieć im tylko Monika Różańska. Skoro przyjaźniła się z córką Ciesielskiej, na pewno wysłuchiwała jej miłosnych zwierzeń. A były bardzo zdeterminowane, żeby poznać ich treść. Dopięły swego bez wywierania większego nacisku, albowiem matka Moniki uznała za stosowne poinformować pytające o zaistniałych okolicznościach. Nina faktycznie spotykała się wówczas z cenionym radcą prawnym. Był od niej starszy o co najmniej dwie dekady, ale wyglądał świeżo i młodo. Wiele kobiet wzdychało do niego ukradkiem. Przyjeżdżał po nią codziennie rano, obsypywał ją kwiatami, pocałunkami i czułymi słowami. Do pracy wbiegała cała w skowronkach i w miłosnej poświacie. Wieczorami odwoził ją pod same drzwi ostatniej klatki w bloku, a potem długo jeszcze siedział w samochodzie, wodząc za nią wzrokiem. Na wspólne zamieszkanie nie naciskała, choć coraz bardziej wyczekiwała dnia, w którym radca zaproponuje jej w końcu wejście w kolejny etap wspólnego pożycia. Skąd mogła wiedzieć, że w jego domu codziennie czekała na powrót zapracowanego męża żona z dwójką dzieci?

Różańskie wiedziały i wszystkim zainteresowanym, poza samą Niną, chętnie informację tę przekazywały. Wzbudziła ona powszechne oburzenie słupek Aniel Dulskich. Przez pewien czas Nina traktowana była jak Jagna z *Chłopów* Reymonta – wytykały ją palcami, złorzeczyły jej pod nosem, przestały mówić „dzień dobry”, a niektóre nawet zamykały okna, gdy pod nimi przechodziła, wracając z pracy. W ciągu jednego dnia otaczające Ninę kobiety stały się jej wrogie i nieprzyjazne. Nie wiedziała, co wywołało tę nagłą zmianę.

Zresztą to nie ich piętnująca postawa bolała Ninę najbardziej. Nigdy więcej nie zobaczyła swojego radcy, który nagle spakował rodzinę i poinformował ją, że przeprowadzają się do centralnej Polski. Wyjechał w nocy, porzuciwszy Ninę bez słowa pożegnania. Następnej nocy siedziała już w małym pokoiku Moniki, wypłakując się jej w rękaw rzewnymi łzami. Osłabiona wewnętrznie, zatopiona w tęsknocie, musiała przyjąć na złamaną siebie prawdę o prawdziwym obliczu radcy. Monika zadbała o to, by jej przekazanie odbyło się jak najmniej boleśnie. Wy tłumaczyła koleżance, że istnieje w przyrodzie taki typ mężczyzn, który nie zasługuje na miano człowieka i należy potępić go jednoznacznie, bez tworzenia okoliczności łagodzących. Jego zdemoralizowanie nie zna barier. Po takich typach nie warto płakać. Nina łatwo dała sobie wmówić, że powinna wybaczyć koleżance małą niesubordynację długiego języka, a już na pewno docenić fakt, że ocalił on Ninę od zniszczenia sobie życia.

– Czuję, że będziesz świetną przełożoną – teraz, po latach, Monika kontynuowała ugruntowywanie swojej pozycji.

– Zrobię wszystko, żeby tak było. Trzeba szanować pracę, zwłaszcza na takim stanowisku. Nie jest ono dane każdemu. To jednocześnie nobilitacja i odpowiedzialność.

– Zabrzmiało jak groźba. Spokojnie, dajmy sobie wszyscy czas. Trzeba się na nowo przyzwyczaić...

– Do czego? Do pracy? To akurat pozostaje niezmiennie i niezależne od zmian kadrowych. Kto będzie pracował uczciwie, nie musi się obawiać. Odpowiadam teraz bezpośrednio za wynik finansowy firmy, więc i wasza odpowiedzialność będzie przeze mnie częściej monitorowana.

– No tak, masz teraz do tego dodatkowe uprawnienia.

– Których nie zamierzam nadużywać.

– Czyli teoretycznie nic się nie zmieni?

– Teoretycznie nadal będziemy wspólnie przeobrażać firmę pana Dobruckiego w dochodowe przedsiębiorstwo. Ale w codziennej praktyce zmieni się wiele.

Nie tylko Monika zamilkła pod wpływem pewnie wypowiedzianych przez Ninę słów. Pozostali pracownicy również przerwali wykonywane przez siebie czynności i wyteżyli słuch. Widząc to, Nina zwróciła się oficjalnie do wszystkich:

– Od jutra wprowadzam nowe zasady. Wiecie, że znam tę firmę doskonale. Dostrzegam jej

mocne i słabe strony. Dobrze orientuję się w relacjach panujących między pracownikami.

– Chyba nie są takie złe? – ośmieliła się przerwać Monika, która przeczuwała, że monolog Niny zmierza w jakimś niewygodnym kierunku.

– Złe może nie, ale z pewnością nie są szczere i prawdziwe. Musimy skończyć z udawaniem. Trzeba brać się do pracy i tyle. Przestajemy plotkować, patrzeć na siebie wilkiem i kombinować. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

– Czyli stajemy się białymi kartami?

– Tak jest, bez wcześniejszych zasług. Jedynym kryterium oceny waszego działania będzie teraz praca. Każdy, kto postanowi utrudnić ją innym, pożegna się ze stanowiskiem w trybie natychmiastowym. Na przerwę będziecie schodzić osobno.

– To po co nam ona?

– Żeby naładować baterie, a nie, jak dotąd, głowy tanimi skandalami.

– Czyli nie wolno nam już nawet rozmawiać o życiu prywatnym?

– A czy Dobrucki płaci wam za to?

Pomilkli, automatycznie utraciwszy wszelki zapał.

Jak w każdej kapitalistycznej komunie, również i w firmie pana Dobruckiego zafunkcjonował system o dwóch obliczach. Jedno z nich wykreowane zostało na potrzeby szefa oraz umożliwiała jakąkolwiek zgodną współpracę. Było wypolerowane, nie budziło zastrzeżeń, miało twarz anielską. Ale tuż za nim podążało mroczne widmo z diabolicznie wykrzywioną twarzą. Chociaż szkaradne, wyrażało prawdę. Nie ufali sobie, życzyli rezydentom sąsiednich biurów wszystkiego, co najgorsze. Nosili swoje stłumione złe instynkty w zakamarkach zimnych serc, podlewali je codzienną rywalizacją o względy pana Dobruckiego i wysokość premii uznaniowej. Stworzyli prawdziwe pole bitwy, na którym walczyli orężem w postaci krzywych spojrzeń, donosów lub złośliwych uwag. Sygnał do ataku dawała najczęściej pochwała szefa, ale i lepszy ubiór koleżanki służył za powód wystarczający do odarcia jej z godności. W tej dzikiej dżungli każdy jednak potrafił się doskonale odnaleźć, wytworzywszy skuteczne mechanizmy obronne. Nowakowa kończyła pracę w domu, ślęcząc nad papierami prawie do świtu, Różańska łądowała baterie podczas częstych zwolnień lekarskich, Ciesielska korzystała z pomocy Nowakowej. Dopóki barbarzyński system jakoś działał, nikt nie zastanawiał się nad jego autentyczną formą i prawdziwą hierarchią wartości.

Ale teraz Nina postanowiła poddać je publicznej analizie.

– Powiem jak ktoś, kto zna was doskonale: do tej pory panowała tu epoka obłudy i pokątnego plotkarstwa. Musi się ona skończyć właśnie teraz. A zatem – resetujemy dawne błędy, pozbywamy się uprzedzeń i złej woli. Zlepiamy się od podstaw. Proponuję wam nowy model współpracy: w miejsce bezwzględnej rywalizacji wprowadzamy życzliwość i wzajemne wsparcie. Będziemy wspólnie cieszyć się pracą, obecnością kolegów w pokoju oraz efektami naszych działań. Będziemy wyrażać swoją postawę potrójny szacunek: do tego, co się robi, do pozostałych członków ekipy i do samego siebie. Otworzymy się na dodatkowe wyzwania, zmiany w programach księgujących oraz usprawnienia technologiczne. Wkrótce możecie naprawdę polubić swoją pracę!

– Ależ entuzjazm w tobie zagościł. Powinniśmy się cieszyć czy bać? – zażartowała Monika, choć poczuła powagę sytuacji.

– Wchłonać jego przesłanie! Ambicje, marzenia, rozmach – wszystko to nosimy w sobie od początku pracy zawodowej. Nie wiedzieć czemu gubimy je w gąszczu codziennych relacji z innymi. Sami je sobie komplikujemy. Już nawet nie potrafimy odbyć bez wzajemnych złośliwości spotkania wigilijnego. Nie musimy być jak rodzina, ale możemy być jak przyjaciele. Pamiętacie początki pracy w firmie? Byliście pogodni, radośni i pozytywnie nastawieni do świata. Teraz snujecie się korytarzami jakby od niechcienia, z przymusu. Zmuszacie się do jakiegokolwiek aktywności, a jeśli brakuje wam sił, szukacie winnych tego stanu. Oczywiście nigdy nie dopatrujecie się winy w sobie. Chcę przerwać ten nielogiczny ciąg przyczynowo-skutkowy. Chcę przywrócić wam wiarę w sens pracy. Inaczej wypalicie się szybciej, niż sprawdzicie, na jak wiele was stać.

Nina nigdy nie wystosowała w stronę owieczek Dobruckiego tak długiego monologu. Zazwyczaj

urywała go po jednym zdaniu. Nie lubiła dużo mówić ani dyskutować z pracownikami firmy. Dała się poznać jako jednostka rzeczowa, konkretna i powściągliwa. Wiedzieli doskonale, że Nina Ciesielska nie strzępi na próżno języka, ona działa, ewentualnie z konieczności odpowiada na pytania. Ale tego dnia odkryła przed nimi jakąś inną wersję siebie.

– Nie brakuje ci odwagi – raz jeszcze wyrwało się zdziwionej Monice.

– Nie brakuje mi wiary w słuszność reprezentowanej koncepcji – odpowiedziała zgodnie z prawdą Ciesielska.

– Wierzysz w tę firmę bardziej niż jej założyciel.

– Wierzę w was. Chcę pomóc wam odkryć nowy wymiar zaangażowania w życie zawodowe.

– Myślisz, że jest ono warte jeszcze większych poświęceń?

– Zasluguje przynajmniej na poważne i uczciwe traktowanie. A sama wiesz, że z tym bywa u nas różnie.

– Nie jesteśmy maszynami.

– Często zachowujemy się nawet gorzej niż płytki ludzie. Śmiejemy się, gdy oszukamy system, ale lamentujemy, gdy system demaskuje nas.

– Jaka płaca, taka praca.

– Dobrucki nie płaci nam mało.

– Widziałaś, jak potraktował Nowakową.

– Jej pieniądze rozdzielił między nas obie.

– Nie ponosząc już kosztów utrzymania trzeciego etatu. Reszta została w jego kieszeni.

– Ma do tego prawo.

– Nikt nie ma prawa nas oszukiwać.

– Dobrucki jest przyzwoitym człowiekiem, nikogo celowo nie skrzywdził.

– Przyzwoitość... Jeśli istnieje w nim, jak mówisz, pojmujemy ją inaczej. Póki co, nieprzyzwoicie zaskoczył nas redukcją etatu. A najbardziej Katarzynę.

– Zrób więc wszystko, aby nie podzielić jej losu.

– Ja nie boję się pracy, ja boję się przyzwoitych ludzi.

Monika odmaszerowała, a zdezorientowana Nina znów utonęła w myślach. Wcześniej, przed awansem, wierzyła w jeden tylko porządek rzeczy – naturalną skłonność człowieka do bycia przyzwoitym. To wieloaspektowe pojęcie uprościła sobie do dającego się łatwiej zrealizować minimum: przyzwoite było nieprzeszkadzanie innym w realizacji celów, szanowanie życia, które otrzymało się imiennie z jednostkową dedykacją, przeciwdziałanie plotkom i wypełnienie codzienności rzetelną pracą. Przyzwoitością było nie dać się poniżyć, tolerować wrogów oraz wybaczać im zboczenie na ułomną ścieżkę. Kwintesencją przyzwoitości Bóg uczynił stwarzanie dobra i dzielenie się nim przy jednoczesnym odepchnięciu od siebie wszystkiego, co negatywne. Wreszcie – przeznaczeniem przyzwoitości było infekowanie nią pozostałych. Tę filozofię życia Nina wypracowała sobie jako efekt fazy psychicznego dojrzewania wśród w większości przyzwoitych ludzi, którzy nauczyli ją odpowiedzialności za stwarzany każdego dnia autoportret. I chociaż niełatwo było być przyzwoitą, walczyła o tę cnotę bezustannie, wzorując się na niezłomnej babce oraz dzielnej matce.

Poddała się dwukrotnie. Pierwszy raz, gdy porzucił ją radca i zaczęła mu życzyć najgorszego, drugi – gdy Nowakowa zaproponowała drobne oszukanie systemu utajnioną pracą podwykonawczą. Obie sytuacje wymusiły na Ninie przesunięcie granic przyzwoitości. W pierwszym przypadku odreagowała wystrzeloną jak z karabinu serią agresywnych wiadomości wysłanych na służbowy e-mail żony byłego kochanka, w drugim – wytłumaczyła się sama przed sobą chęcią oszczędzenia matce rozczarowania. W pozostałych chwilach swojego życia z pewnością była przyzwoitym człowiekiem.

Porządek przyzwoitości rozszerzyła teraz o wiarę we własne szczególne posłannictwo, jakim stało się nauczenie tych ziewających osobników owocnej i solidnej pracy w kolektywie. Niemożliwe przybrało kształt zadania do wykonania. Na szczęście Nina była typem zadaniowca i nie bała się przyzwoitości, jak Monika.

Rozkoszując się zarysowaną w głowie wizją pracowniczego monolitu, zapomniała, że fundament

jej własnej piramidy wartości stał się ostatnio wyjątkowo niestabilny. I że sama jeszcze kilkadziesiąt godzin wcześniej była przezroczystym cieniem snującym się bez celu po podniebnym przestworzu. Na końcu tego przestworza był – zupełnie jej obojętny – gabinet w firmie Dobruckiego. Znow wypełniła się palącym wstydem i poczuciem winy.

Przejrzała się w ekranie monitora, który rozświetlała teraz iskra z jej oczu. Była w nich dziewczęca radość i nadzieja, która przebudziła uśpioną twarz. Rozsiewała wokół siebie niewidzialną, ale wyczuwalną energię. Zrozumieli, że skończył się w firmie „złoty wiek”, a zaczął okres kompulsywnego picia kawy. Utwierdził ich w tym sam Dobrucki:

– Moi drodzy, stało się tak, że musiałem wprowadzić kilka ważnych zmian, które pozwolą nam utrzymać się na powierzchni. Jeśli zakasamy rękawy i nie popadniemy w stan letargu, przetrwamy najbliższe miesiące. Zależy to nie tylko od liczby kontrahentów, ale i od naszej postawy. Dlatego też powierzyłem zarządzanie finansami pani Ciesielskiej, która wielokrotnie udowodniła, że nie ma sobie równych w organizacji pracy własnej. Do jej kompetencji należeć będzie bieżąca ocena wydajności państwa pracy. Poprosiłem, żeby odsunęła na bok dotychczasowy pogląd na temat każdego z was i sportretowała w swojej głowie kadrę od nowa. Jesteście białymi kartami, które zapiszą się stworzoną przez was treścią. Zadaniem pani Ciesielskiej jest sprawienie, by nowy rozdział spodobał się również mnie. Do dzieła, moi drodzy! Czas to pieniądz! Kto stoi w miejscu, ten się cofa!

Wygłoszenie przez Czcigodnego Chlebodawcę tych oraz podobnych frazesów sprawiło, że ruszyli z miejsc – każdy w stronę swojego biurka. Konieczność powrotu do pracy zawodowej zepsuła im resztki dobrego nastroju. Ubolewali nad faktem, iż po latach przyjemnego lawirowania ktoś zmuszał ich do uczciwego zajęcia się obowiązkami. Zgroza! – myśleli zbiorowo, choć każdy z nich z osobna.

Nina była pewna, że wygłoszona przez dwie najważniejsze osoby w firmie mowa motywacyjna po dwakroć zmobilizowała towarzystwo do wyteżonej pracy. Ale wystarczyło, że przesiadła się w odległy kąt gabinetu i zatopiła wzrok w morzu papierów, by utartym rutyną zwyczajem powyciągali swoje surfingowe deski w postaci klawiatur i popłynęli nimi na niebieski portal. Twarze mieli skupione tak, że nikt nie podejrzewałby ich właścicieli o niewykonywanie pilnych rachunków. Firma Dobruckiego pod skrzydłami Niny Ciesielskiej otworzyła nowy rozdział działalności, po staremu.

Świeżo upieczona zarządczyni zainaugurowała z kolei tworzenie swojej bajki:

Ależ skrupulatnie liczą – pomyślała, uradowana widokiem zaangażowanej w twórcze procesy kadry. – Moje słowa podziałały. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Raz po raz obejmowała ich zza grubych oprawek ukradkowym spojrzeniem. Spokojna i opanowana, z nadzieją rozmyślała o najbliższej przyszłości, która przynieść jej miała powszechne uznanie, szacunek współpracowników oraz dodatkową gratyfikację w postaci odnalezienia celu swojego wyjąłowego istnienia. Jej apetyt rósł w miarę jedzenia: miała ochotę stać się lepszym człowiekiem, nie tylko dla samej siebie, ale także w oczach innych. Tych innych, ponad których została teraz awansem wyniesiona. Potrzeba zostania zauważoną szybko ewoluowała w potrzebę bycia docenioną.

Sama najbardziej doceniła teraz to, że w końcu została zmuszona do przebudzenia się z umysłowego letargu. Pogardliwie spojrzała wstecz na siebie z minionych dni bezbarwności, bierności i nudy. Wzbudzała politowanie, próbując w dodatku wmówić sobie, że stała się ofiarą depresji. Kierując się podobnym myśleniem, można było założyć, że na depresję cierpieli wszyscy, którym los nie podarował skrzynki złota, modelowej rodziny i posady marzeń. W ten sposób odsuwali od siebie odpowiedzialność za własny los. Wyzdrowienie wiązało się z powrotem do normalności, a więc i zobowiązań. Tak pojmowana normalność wcale nie była dla Niny stanem pożądanym. Jeszcze kilka dni temu wołała przez cały czas nie robić nic i obwiniać o to cały świat.

Jeszcze kilka dni temu Nina czuła, że swoim istnieniem nic nie daje światu. Zobojętniała na wszelkie odczuwanie, wypełniła ją przeogromna pustka, która karmiła się słodką melancholią, gorzkim unicestwieniem i cierpkim nieistnieniem. Stała się czarną materią, ściągającą na dno wszelkie przejawy aktywności. Ninie spodobało się leżenie w tej usłanej beznadziejskością otchłani.

Ale teraz jakaś niewidzialna siła podniosła ją, postawiła do pionu i poprowadziła w górę. Świat znow zapragnął obecności Niny. Była mu potrzebna, a nawet więcej – miała zarządzać jego skrawkiem.

Wykonała telefon do pobliskiej szkoły językowej. Po siedmiu latach postanowiła reaktywować naukę angielszczyzny, którą porzuciła bez wyraźnego powodu. Przejrzała też strony internetowe oferujące ciekawe kursy specjalistyczne dla księgowych. Czowała w sobie potężną moc sprawczą oraz chęć do życia. Uśmiechała się do ekranu komputera, lustra w toalecie, okrągłego okienka w pudernicze. Po raz pierwszy od dawna było jej ze sobą dobrze. Dno wydawało się teraz bezpiecznie odległe.

W życiu Niny Ciesielskiej coś zaczynało się dziać. I było to dobre.

4.

Zdecydowanie w życiu Niny Ciesielskiej działy się teraz rzeczy istotne i wielkiej wagi. Pojedyncza egzystencja kobiety w średnim wieku nagle nabrała znaczenia dla zbiorowości, a będąca do tej pory rusztowaniem osobowości Niny przeciętność nagle ufortyfikowana została młodzieńczym zapalem. Z połączenia władzy oraz chęci powstała dobrej jakości zaprawa, której wytwory miały wbudować się w rzeczywistość, tworząc solidne konstrukcje finansowych sukcesów firmy pana Dobruckiego.

Pochłonięta pracą oraz ogarnięta silnym entuzjazmem, w ostatniej chwili przypomniała sobie o wieczornym spotkaniu z Jerzym, na które umówili się, choć potrzebowała go teraz jak piątego koła u wozu. Telefoniczna rozmowa z Dębskim wydała się jej odległym wspomnieniem. On sam stał się w jej myślach jakąś niewiele znaczącą niematerialną formą dźwięcznego bytu w słuchawce. Sprawa transferu do jego firmy wydała się zabawna i całkowicie nietrafiona w czasie. Jednakże wychowana w poszanowaniu dla raz danego słowa Nina uznała, że należy zachować się kulturalnie i zgodnie z etykietą, co oznaczało konieczność doprowadzenia spotkania do skutku, niezależnie od aktualnego stanu ducha czy planów. Poza tym, w obliczu czekających ją teraz w firmie Dobruckiego wyzwania, praktyczny trening asertywności wydał się jej kuszącą propozycją. Postanowiła pójść i grzecznie odrzucić ofertę pracy, by przekonać się, co czuje człowiek sukcesu, taki jak ona, gdy to praca skomle o jego łaskę. Miała w tym momencie potężną przewagę sytuacyjną nad Jerzym, którego planowała przeistoczyć za chwilę z reżysera w drugoplanowego statystę. Podniecona własnym scenariuszem, łatwo pogodziła się z myślą, że domowy seans skandynawskiego filmu został odroczony na kolejny wieczór. Za to w skandynawskim stylu zamierzała szybko uciąć temat pracy, rozwiać iluzje tamtego pewnego siebie typa i ulotnić się z restauracji przed dwudziestą drugą.

Jako że reprezentowała typ osobowości wybitnie kawiarnianej, w dodatku była w dobrym nastroju, wyjście do jednego ze swoich ulubionych lokali, który był też ulubionym miejscem spotkań Jerzego, postanowiła odbyć w odpowiedniej oprawie. Estetyzm kobiecej natury najsilniej wyrażał się uwielbieniem dla takich właśnie urokliwych kawiarnianych przybytków. Gościła w nich często, pieszcząc w dłoniach delikatne papierowe serwetki, ciesząc oczy widokiem ręcznie wyhaftowanych obrusów i podziwiając abstrakcyjne malunki lokalnych picassów wiszące na odważnie pomalowanych ścianach. Nie bywała tam sama – zazwyczaj wraz ze sobą wyprowadzała z domu swoją samotność. Przestawszy znosić jej obecność w cichym mieszkaniu, chwytiała ją za dłoń i prowadziła do ludzi, choćby najbardziej im obojętnych i obcych. Rozplatała uścisk dopiero po usadzeniu samotności przy jednym z okrągłych stolików.

I tak siedziały naprzeciwko siebie – świdrując się wzajemnie głębokimi spojrzeniami. Ciszą odmierzaly spokojnie upływające minuty popołudnia, które w dni wolne od pilnych zleceń zbliżały je do upragnionego wieczornego spoczynku. Karmiły się skąpanym w sosie malinowym sernikiem lub cynamonowymi piernikami. Oddychały spokojnie, bez pośpiechu charakterystycznego dla pory porannej. W tym czasie to siedzącej nad kalkulatorem Nowakowej przyspieszał puls. Jakże cudownie smakowała świadomość, że dzięki pracowitości i uczynności tamtej można było zatracać się w błogim kawiarnianym niebycie. Podczas gdy Nowakowa heroicznie dopełniała drugi etat Niny, ona sama brała czasem emocjonalny urlop na żądanie. Bez niego z pewnością już dawno zwariowałyby od nadmiaru dobrowolnych przymusów.

Jednak ostatnio rzadziej miała ochotę wychodzić po pracy z domu. Wyprawa do centrum miasta wiązała się z koniecznością poprawienia makijażu, a potem zejścia do wynajmowanego garażu, rozgrzania silnika samochodu i bezkolizyjnego przemieszczenia się w tymczasową przestrzeń parkingową przyklejoną do południowej ściany kawiarni. Najczęściej zaparkowanie w niej samochodu graniczyło z cudem, w dodatku mnogość manewrów do wykonania przed wyciągnięciem kluczyków ze stacyjki skutecznie zniechęcała Ninę do podjęcia wysiłku. Kawiarnie musiały poczekać na lepsze czasy, tak jak Nina czekała na przyptyw sił.

Siły przyplęły wraz z awansem! Tego wieczoru, stęskniona za zapachem świeżo zmielonej kawy i zanurzonym w owocowym nektarze sernikiem, z przyjemnością roztoczyła myśl o byciu obsłużoną przez kelnera oraz patetycznym pochyleniu się nad kartą oferującą bogaty wybór przekąsek. Nawet jeśli zamiast samotności naprzeciw niej miał zasiąść niejaki Jerzy, warto było zrezygnować z projekcji filmu. Nina postanowiła podarować sobie miły wieczór bez obyczajowych skandali szwedzkiego miasteczka w tle, ale za to wśród zmysłowych zapachów i wyrafinowanych zdobień.

By poczuć swoją oddelegowaną na długie wakacje wyjątkowość, starannie zaprojektowała wyjściowy wizerunek. Otworzyła szafę i zaczęła przyglądać się obciążonym ciuchami wieszakom. Po długim namyśle dokonała wyboru – przyozdobiła się najlepszą gatunkowo marynarką oraz obcisłą ołówkową spódnicą skrojoną z drogiej skóry, apetycznie opinającą jej kształtne pośladki. Kwiecista apaszka dodała niezwyklej kobiecości tej stworzonej naprędce stylizacji. W końcu znalazł się pretekst do założenia nowych butów, które kurzyły się już nawet w zamkniętym kartonie. Ninie trudno było rozstać się z lustrem w łazience, bo odbijało właśnie jeden z najładniejszych widoków, jaki ze sobą – w roli pierwszego planu – obserwowała. Sięgnęła po perfumy, by dopełnić idealną stylizację delikatną, niewidzialną kompozycją kwiatową. Przed wykonaniem makijażu włączyła klimatyczną Sade, która uniosła ją na śpiewnych skrzydłach wysoko ponad ziemię. Szybowały razem nad *miłością większą niż granice Jeziora Wiktorii* i *sięgającą wyżej niż drapacze chmur*. Namalowały na powiece regularne kreski i rozmyły ich kontur srebrnym cieniem. Kołysały się w takt jednostajnej magicznej melodii jak zaklęte w lekkości bytu mary. Przerzucały na bok jedwabiste pasma włosów, dopełniały czerwienią kształt warg, rozświetlały szlachetną czerń ubrań drobnymi złocistymi zawieszkami. Odbyły ze sobą najbardziej romantyczną randkę, choć tylko jedna wiedziała o istnieniu drugiej. Ruchy ich ust skoordynowały się przy słowach: *Is it a crime / is it a crime / that I still want you / and I want you to want me too*. Rozłączyły się dopiero z chwilą nadejścia drugiej zwrotki.

– Ulotność chwil bywa najtrwalszym wspomnieniem – mówiła Nina do swojego odbicia w lustrze. – A największą zbrodnią jest odebranie sobie prawa do drobnych przyjemności. Skoro nie doświadczam kochania, to chociaż nacieszę się chwilę sernikiem.

Życie miłosne Niny Ciesielskiej nie było usłane różami. Wraz z zakończeniem studiów znacznie ograniczyła się liczba randek, miłosnych schadzek i seksualnych uniesień. Wprawdzie stworzyła kilka związków, ale ostatecznie najwierniejszego partnera u jej boku stanowiła praca. I chociaż zdarzały się relacje miłe, żadna z nich nie przetrwała próby czasu. Amora coś niezmiennie uwierało w wąskiej przestrzeni serca Niny. W końcu poddał się, uznawszy, że jego właścicielka po prostu mężczyzn nie lubi.

Miał rację. Mężczyźni drażnili Ninę swoją zwierzęcością, prymitywnym pojmowaniem kobiecości, a najbardziej – brakiem estetyki w wyglądzie narządów płciowych. Ponieważ zwykle unikała tego, co zozydza, odsunęła od siebie źródła nieestetycznych doznań. Nie czuła zachwyty na widok strojnego współczesnego dandysa, po seksie dokuczały jej zwykle zawroty głowy, z lękiem myślała o koncepcji spędzenia życia z mężczyzną. Androfobia narastała w niej wraz z wiekiem, choć nie przeszkadzała jej marzyć o założeniu szczęśliwej rodziny. Potrzeba odbywania randek systematycznie słabła, a skórzane spódnice straciły swoje pierwotne przeznaczenie.

Ciepły głos Sade przywołał nagle dziewczęce wyobrażenie miłości abstrakcyjnej i filozoficznie splecionej z cielesnością. Widziała teraz przed oczami jakiś doskonały byt, który rozumiał jej uwodzicielski nastrój i potrzebę samozachwyty. Ten mężczyzna bez twarzy i torsu onieśmielał ją swoją uwagą przejawiającą się w śledzeniu jej ruchów opętańczym wzrokiem. Sade śpiewała dalej, a Nina zaczęła uwodzicielsko tańczyć. Tańczyła niczym biblijna kusicielka, ale udoskonalona twarzą Marilyn Monroe. Uwolniła skrywaną dotąd pod ciasnymi zakietami lekkość, pozwalając jej swobodnie falować wewnątrz geometrycznej bryły niewielkiego pokoju. Spod dryfującej po czole grzywki wydostała się młodość, o której istnieniu w swojej cielesnej formie Nina zapomniała. Przelewając się w żyłach krew rozogniła ziemistą cerę i napompowała życiem przywiedle tkanki. Tancerka rozkwitała z każdym orgiastycznym gestem odmierzającej takt dłoni. W błogim roztańczeniu odechciało się jej opuszczenia melodyjnie nastrojonego mieszkania.

Z podniebnego uniesienia na ziemię szybko sprowadził ją głośny dźwięk telefonu. To Jerzy

pragnął upewnić się, że księgowa Dobruckiego pamięta o umówionym wcześniej spotkaniu. Szybko więc zrzuciła z siebie domową metafizyczność, przyoblekła się w oficjalność i wyruszyła w miasto.

W „Intrydze” czekał już na nią nieznamy z symbolicznym kwiatem róży w dłoniach. Wybór gatunkowy wydał się jej mało oryginalny, ale doceniła przejaw kultury osobistej obcego sobie – bądź co bądź – mężczyzny. Zastosował najwyraźniej powszechnie sprawdzoną metodę przełamania pierwszych lodów. Z uśmiechem na łagodnej twarzy przejęła długą łydę, a nawet zachwyciła się kształtnym pękiem. Nie wiedzieć czemu, była miła i cierpliwie czekała na dalsze gesty nieco onieśmiałego inicjatora spotkania. Jednak gdy zajęli wygodne miejsca za stolikiem, Jerzy przybrał pewną siebie pozę i zdecydowany ton:

– Proponuję odsunąć na bok etykietę i zwracać się do siebie po imieniu. Pozwolisz, Nino? – zapytał dla porządku, otwierając kolejne w swoim życiu podobne spotkanie służbowe.

– Nie widzę przeciwwskazań – odpowiedziała bez wahania, od kilku godzin znów będąc dziewczyną młodą.

– Znałem dwie Niny. Obie wywarły na mnie ogromny wpływ. Pierwsza z nich była moją babką, prawdziwą kobietą z klasą i ponadprzeciętnym intelektem. Umarła na raka płuc. Nie potrafiła rozstać się z papierosem.

– A druga?

– Drugą poznałem w czasie studiów. Wykładała na wszystkich kierunkach filozofię z etyką. Sypiała ze studentami pierwszego roku. Taki miała zwyczaj. Tylko pierwszorocznicy mogli przedrzeć się do jej alkowy.

– Rozumiem, że tobie też się udało?

– Ja wtedy średnio interesowałem się filozofią – odpowiedział wymijająco.

– A jednak wspomniałeś o tym, że wpłynęła na ciebie.

Jerzy zrozumiał, że będzie musiał bardzo pilnować wyrzucanych teraz z siebie słów.

– Owszem, przekonała mnie, że od czasów starożytnych Rzymian nikt nie wymyślił w budownictwie nic użytkowego i monumentalnego zarazem.

– A babcia?

– Babcia udowodniła, że można być jednocześnie aniołem i szatanem, mieć szlachetne instynkty, ale pokrętną naturę.

– Łączyła przeciwieństwa?

– W niej zawarła się cała mądrość świata. I cała jego skomplikowana treść.

– Ja z kolei imię Jerzy kojarzę jedynie ze Skolimowskim.

– Tym reżyserem?

– Ha! Mało kto wie, że to absolwent etnografii, autor dwóch poetyckich tomów i muzyk jazzowy.

Jerzy Dębski nie lubił czuć się ignorantem, zwłaszcza gdy przeglądał się w lustrze oczu kobiety.

Niewiele wiedząc o Skolimowskim, zręcznie zmienił temat:

– Pozwolę sobie przejść do meritum. Jakiś czas temu zdecydowałem się otworzyć w średnio rokującej podśląskiej strefie ekonomicznej nową firmę. Lubię wyzwania i trudne tereny, więc ten wydał mi się wyjątkowo trafnie dobrany. Firma okazała się strzałem w dziesiątkę i dość szybko stała się finansowym potentatem.

– Wiem, sprawdziłam to. Gratuluję.

– Nie uwierzyłam moim słowom?

– Musiałam utwierdzić się w wierze.

– Nasz dział marketingu wspiął się na wyżyny swoich umiejętności, by proponowaną przez nas ideę budowy domów z gliny postawić na równi z budownictwem tradycyjnym. Niestrudzeni, przeczekaliśmy pierwsze odruchy odrzucenia przez potencjalne grono zainteresowanych i rozwijaliśmy się dalej, zaciągawszy wysokie kredyty inwestycyjne. Instynkt podpowiadał nam, że misję zakończymy sukcesem. Nie wywiódł nas w pole, zleceń przybywało, zgłosili się do nas deweloperzy z większych miast, dając impuls tym z mniejszych.

– Błogosławieni cierpliwi.

– I konsekwentni. Opowiedziałem ci genezę w wielkim skrócie. Aktualnie to my starannie selekcjonujemy zlecenia i wybieramy najbardziej dla nas opłacalne. Doczekaliśmy wieku złotego. „Gliniana Oaza” jest podślupskim Olimpem.

Między nimi zapadła ołowiana cisza, którą postanowił natychmiast przerwać:

– Nadal traktujesz mnie z góry.

– Wybacz, ale to wciąż brzmi dla mnie jak fantasmagoria.

– Widzisz, droga Nino, w dobie hipermarketów, sieciówek oraz monopolu kilku ogromnych firm produkujących mydło i powidło są tylko dwa sposoby na zrobienie dobrego interesu: trafienie w produkt niszowy lub bycie pionierem w jakiejś dziedzinie.

– Wygląda na to, że jesteście jednym i drugim – spróbowała schlebić współmówcy, rekompensując mu wcześniejszy sceptycyzm.

– Byli już śmiałkowie przed nami, ale jesteśmy pierwszymi, którzy potrafili skroić biznes na miarę współczesnych potrzeb. Inni nadal nieudolnie go naśladowają. Okazuje się, że najważniejszy patent na niedrogi, ale mądrze zaprojektowane gliniane domy mamy właśnie my! Połączyliśmy możliwości ludzkiego rozumu z osiągnięciami pierwszych matematyków, konstruktorów oraz budowniczych. Wzbogaciliśmy je mądrością własną, uwzględniając głos ludu.

– Zatem gratuluję skuteczności. Założmy, że zaczynam wierzyć w to, co mówisz. Chowam do torby niedowierzanie i otwieram się na opiewaną przez ciebie projekcję.

– Cały czas próbuję cię przekonać, że to nie jest projekcja. To jest rzeczywistość, Nino, najprawdziwsza. Ale doceniam, że się starasz.

– Dobrze, uznaję sukces twojej firmy za fakt. Pozostaje mi zapytać, co moja osoba może mieć z nim wspólnego? Przecież udało ci się stworzyć kompletny zespół, masz zapewne pod sobą zaufanych ludzi. Domyślam się, że pracują dla ciebie najlepsze księgowy w okolicy! Mnie dopiero teraz poznajesz osobiście. Wybacz, ale z trudem przychodzi mi myślenie o tym, że właśnie mojej osoby potrzebuje twoja firma do pełni szczęścia.

– Twój opór wewnętrzny jest typowy.

– Typowy dla kogo?

– Dla kobiety, która boi się wyjść poza swoją strefę komfortu.

– Póki co, rzeczywiście nigdzie się nie wybieram.

– Nie o to chodzi. Wyobraź sobie, że twoja strefa komfortu to taka mała bezpieczna wyspa, w granicach której żyjesz i po której możesz się poruszać. Dopóki chodzisz po rozgrzanym piasku, jest to dla ciebie naturalne. Ale wokół cudownie lśniąca wstęgą płynie błękitna woda. Chciałabyś przyjrzeć się jej z bliska, zanurzyć w płynnej tajemnicy swoje drobne stopy, ale samo wyobrażenie tego wywołuje pewne obawy czy nawet dyskomfort. Nie wiesz, czy woda przy brzegach wyspy jest płytka czy głęboka. Boisz się sprawdzić. Podświadomie zakładasz, że błękit jest zdradliwy i zwodzi cię. Opuuszczasz. Każdy krok, który chciałabyś wykonać, by sprawdzić stan faktyczny, to już wyjście poza twoją strefę komfortu.

W życiu przerażające bywa to, jak szybko obcym ludziom udaje się przebić przez najgrubszy pancierz człowieka chroniący jego skrywane przed światem wnętrze. Nina poczuła, że siedzącemu naprzeciw niej Jerzemu właśnie udało się ta sztuka. Tak, ponad wszystko uwielbiała gniazdowanie na swojej bezpiecznej wyspie. Ceniła stan, w którym działała w przewidywalny sposób, akceptowała jego zamknięte szczelnie granice. Nawykowość i naturalność zachowań stały się jej drugą naturą. Dryfowanie po bezkresnych wodach oceanu nie było stworzone dla tej lękliwej istoty. I tylko czasem zdarzało się jej kupić butelkę drogiego czerwonego wina, wypełnić jej zawartością wewnętrzną pustynię, pomieszać ze sobą żywioły i powłóczyć się bez celu po zakamarkach falującej duszy. Jednak gdy tylko butelka wędrowała do kosza na śmieci, podróżniczka powracała na bezpieczny brzeg swojej wyspy. Żałowała skoku na głęboką wodę. Wstydziała się własnego popędu.

Wyczuł to momentalnie.

– Myślę sobie, droga Nino, że podświadomie czekasz na to, żeby jakiś zewnętrzny bodziec wyrzucił cię poza twoją strefę komfortu. Ale cała jesteś obawą i nigdy tego przed sobą nie przyznasz.

– Więc powiem ci, że kilka dni temu taki bodziec się pojawił.

- Mówisz o naszej telefonicznej rozmowie?
- Nie. Awansowano mnie w firmie na kierownicze stanowisko.
- Czyli ktoś dał ci certyfikat jakości w dziedzinie bezpiecznego zarządzania jego mieniem.

Schlebił ci pisemnym potwierdzeniem swojego zaufania i uznania, na które pewnie zapracowałaś dawno temu. Czy w ślad za tym poszła znacząca podwyżka?

– Po prostu podwyżka.

– Ha! A zatem czapki z głów przed tym, który zaspokoił twoją potrzebę bycia docenioną. Niestety, nie pokryje ona kosztów zagranicznych podróży, zakupów z nowej kolekcji, pobytu w SPA czy wcześniejszej spłaty kredytu.

Jerzy stanowczo za dużo o niej wiedział. Dowiedział się czy wyczytywał z jej twarzy? Należało to sprawdzić:

– Dlaczego myślisz, że mam właśnie takie marzenia?

– Bo jesteś kobietą, która wie, że zasługuje na więcej niż to, co otrzymuje na co dzień.

– Dostałam awans.

– Awansowałaś się już wcześniej sama. Po prostu dopiero teraz dostałaś za to nagrodę.

– A ty chcesz mi ją podarować przed ewentualnym awansem.

– Nie oferuję ci nagrody. Proponuję ci szansę na odbycie podróży życia. Pod warunkiem, że oddalisz się od swojej wyspy. Pracują u nas najbystrzejsze przedstawicielki płci pięknej, wyposażone w wiedzę, refleks i błyskotliwość matematyczną. Brakuje nam jednej, która spełniałaby te rygorystyczne wymogi, a przy tym – jak tamte – była miła, miała klasę oraz potrafiła wyjść cało z każdej opresji. Z obserwacji moich tajnych źródeł wywiadowczych wynika, że tylko ty, droga Nino, możesz wpasować się bezkolizyjnie w nasz zespół.

Jeśli kiedykolwiek wcześniej poczuła słodki smak pochlebstwa, był on niczym wobec tego, którym rozkoszowała się teraz. Ktoś zwrócił na nią uwagę, ktoś ją obserwował, ktoś uznał, że jest lepsza niż inne, ktoś stwierdził, że jest najlepsza!

– A więc proponujesz mi pracę, chociaż jej nie szukam i właśnie awansowałam.

– Tak, oficjalnie zapraszam cię do mojej „Glinianej Oazy”. Potrzebujemy kogoś, kto będzie pilnował przestrzegania umów kredytowych i przyczyni się do jak najszybszej ich spłaty, realizując jednocześnie odważne inwestycje. Potrzebujemy mądrego stratega o analitycznym usposobieniu zawodowym; kogoś, kto skoordynuje szereg podpisanych już umów inwestycyjnych, a nawet pozyska kilka dodatkowych. Poszukujemy kogoś, kto będzie miał apetyt na ciekawe życie, przyjemną pracę i swobodne przepływanie oceanu.

To ostatnie zdanie sprawiło, że przestała się tak spieszyć z opuszczeniem lokalu. W ogóle zapomniała o świecie, który czekał na nią za drzwiami restauracji. Po raz pierwszy wyczuła u pracodawcy zainteresowanie swoim losem. Zwykle pracodawców interesował jedynie los prowadzonych przez nich firm. Tymczasem niejaki Jerzy zbadał uposażenie jej wyspy.

Zerknęła na restauracyjne menu, które kusiło ją zapomnianymi smakami. Jerzy cierpliwie czekał, aż Nina dokona wyboru. Po chwili złożyła zamówienie na roladki z cukinii i koziego sera podawane z burakami gotowanymi w kardamonie. Zaserwowane przez samego szefa kuchni danie popijała chłodnym mojito pachnącym miętą pochodzącą podobno z ekologicznego podwórka. Jakże wykwintnie smakowały potrawy jedzone powoli i z namaszczeniem każdego kęsa.

– Masz w torbie *Pokój Jakuba* Virginii Woolf? Poznają fragment okładki. Niesamowite, czytasz tę książkę? – zmieniła nagle temat, ożywiając się na twarzy.

– Czytam, a w zasadzie doczytuję. Skończę pewnie dzisiejszej nocy. Dobra lektura.

– Tylko tyle?! Mów dalej – poprosiła Nina.

– Dostałam ją w prezencie od dawnej nauczycielki języka polskiego. Spotkaliśmy się podczas zjazdu z okazji jubileuszu szkoły.

– Nie, nie o tym. Co myślisz o Jakubie? – naciskała zniecierpliwiona i po raz pierwszy autentycznie zainteresowana rozmową.

– Bardzo nieprzeciętnie nakreślony portret młodego mężczyzny.

– Wiesz, że jego pierwowzorem był Thoby Woolf – brat Virginii, który umarł na tyfus?
– Oczywiście, znam cały kontekst biograficzny tej lektury, jak i wielu innych książek autorstwa Woolf.

– Niesłychane... – wyszeptała do siebie.

Od lat była w północnej Polsce najgorętszą wyznawczynią kultu Adeline Virginii Woolf. Znała wszystkie tłumaczenia jej dzieł, a do nauki angielskiego powróciła głównie po to, by móc czytać je w oryginale. Rozpływała się nad każdym wysublimowanym słowem mistrzyni, czyniąc z nich jądro swojej czującej duszy. Nina i Virginia stanowiły jedność, o której nie wiedzieli najbliżsi posiadającej, według nich, ścisły umysł panny Ciesielskiej. Sami też nie bardzo orientowali się w istnieniu Angielki na kartach światowej literatury. Gdy jedna z bohaterek jej powieści – Rachel – mówiła z pasją: *Mężczyźni to bydła. Nienawidzę mężczyzn!*, Nina Ciesielska podskakiwała w fotelu. Gdy Virginia zdradzała w *Pamiętnikach* niechęć do własnego ciała i pisała, że nie lubiła, kiedy na nią patrzono, Nina odczuwała podwójny lęk przed spojrzeniem w lustro. Virginia była świadoma, że warunkiem takiego życia, jakiego pragnęła, jest śmierć ojca. Nina Ciesielska kilka lat temu miała takie samo pragnienie. Obie z pasją śledziły najłżejsze drgania ludzkiej duszy, dla obu kobiet najszcześniejszą wyspą był „własny pokój”. Obie zastanawiały się nad tym, co by było, gdyby Szekspir miał zdolniejszą od siebie siostrę...

Jeśli więc Jerzy posiadał jakiegokolwiek pojęcie o twórczości Virginii Woolf, warto było porzucić dla niego skandynawski wieczór i znaleźć się w „Intrydze”.

– Odczuwam lekki niedosyt związany z lekturą – kontynuował, zauważywszy u Niny wzrost podniecenia. – Zauważ, że postać Jakuba poznajemy, śledząc jej odbicia w sercach kochających go ludzi, zwłaszcza matki oraz zafascynowanych nim kobiet. Ich wyobrażenia czyni go nadto posagowym. Za mało jest Jakuba w Jakubie.

– Ależ skąd! – wyrwało się z pulsującej kobiecej piersi. – To narracja typowa dla Woolf, zsubiektywizowana do granic. Kilka narracji odwołuje się do nadrzędnej jedności, a jednak jest ona od pierwszych stron jednością płynącą z różnorodności. To charakterystyczne dla Woolf skomplikowanie uruchamia powstanie niezwyklej głębi psychologicznej postaci. Dodatkowo w ten sposób podmiotem jest nie tylko Jakub, podmiotami stają się wszyscy obcujący z nim. Ale Jakub i tak jest w centrum.

– Można odnieść wrażenie, że postać Jakuba rozmywa się w tym wielorefleksyjnym świetle.

– Nie zgodzę się z tobą. To złudzenie, po prostu narrator ogranicza się do „podrzucenia” nam młodego mężczyzny jako preparatu do analizy wykonywanej pod spojrzeniami głodnych poznania obserwatorów. To znacznie ciekawsze niż wszechwiedza wprowadzającego nas w granice niby-świata narratora. Jakub jawi się jako bardziej zdeintegrowany, mozaikowy, nieuchwytny. Taki jest. To głęboka i skomplikowana psychologicznie postać.

– Rozumiem, że zawładnąłby tobą całkowicie, gdyby żył naprawdę? – uśmiechnął się Jerzy.

– Nie wiem, może tak, może nie. Nie myślałam w ten sposób – zirytowała się przyziemnym odczytaniem jej intencji przez Jerzego. Na chwilę została ostudzona w literackim zapale interpretacyjnym.

Na szczęście zreflektował się:

– Przepraszam, to nietaktowny żart. Mężczyźni zawsze doszukują się odniesień do damsko-męskich poplątań. Jakub jest nieuchwytny, racja, ale – paradoksalnie – marzy o trwaniu w nieśmiertelności. Pamiętasz jego słowa wypowiedziane w czasie podróży do Grecji, gdy patrzył na Partenon?

– *Jedynie piękno jest nieśmiertelne* – odparła bez konieczności dłuższego zastanawiania się.

– To nie był tylko modernistyczny stan ducha, wyraził w ten sposób ogólne człowiecze pragnienie, które rozbrzmiewało echem nawet w pozostawionym przez niego pustym pokoju.

– Twoje domy z gliny mają odwzorować podobne marzenie o trwałości? – pozwoliła sobie na sarkastyczny żart.

– Partenonem raczej nie będą, ale – kto wie – może i ja wyrażam to odwieczne pragnienie w dostępnej sobie formie? – odpowiedział śmiertelnie poważnie.

– Jesteś idealistą, ale to nie grzech – próbowała rozbawić go mimo wszystko.

– Lubię obserwować świat przez uchylone drzwi, dokonstruowując mu wejścia alternatywne. Choć bliżej mi chyba do biblijnego Jakuba. Wadzę się z Bogiem, a moja modlitwa do niego to bezustanna walka wiary i wytrwałości ze zwątpieniem oraz słabością. Walczę o rzeczy trwałe.

– W uczuciach też jesteś stały? – wymknęło się jej pod wpływem drugiej lampki czerwonego wina.

– Moje uczucia nie są z gliny lepione, są trwalsze niż spiż – odpowiedział poetycko, otwierając kolejną butelkę.

Nie miała pojęcia, czemu o to zapytała. Przecież znali się zaledwie godzinę, a połączyła ich na ten czas rozmowa w sprawie pracy. Zbyt łatwo otworzyła się na inne tematy, ale uznała, że nie ma w tym jego winy, skoro sama wywołała literacką dyskusję. Zauważyła, że jej zamknięta postawa straciła początkowe napięcie. Rozluźniła ramiona i pozwoliła im swobodnie spłynąć wzdłuż wyprostowanego ciała. Siedziała teraz na brzegu swojej wyspy, czując, że chce zamoczyć w oceanie skrawek stopy.

By nie wydać się mu nadmiernie wylewną, zajęła usta konsumpcją. Jerzy również oddał się tej czynności. Postanowiła ukradkiem przyjrzeć się mu z bliska. Był niski, szczupły i źle ostrzyżony. Miał bruzdy na twarzy, a spod grubych powiek spoglądały na świat oczy niewiadomego koloru. Mówił mało męskim głosem i zakładał nogę na nogę. Natychmiast przypomnieli się Ninie skarłowaciały mężczyźni z grafik Brunona Schulza. Hybrydyczne postacie pół ludzi, pół zwierząt z radością przyjęłyby do swojego grona tego oto osobnika. Byłby idealnym szefem, niewzbudzającym w niej strachu.

– Myślisz, że Virginia i Leonard naprawdę nie skonsumowali małżeństwa? – zapytała, by niezręczny temat uczuć ponownie przenieść w literacką przestrzeń.

– A to ma jakieś większe znaczenie? Byli razem, kochali się, dzielili zainteresowania literackie oraz polityczne. Jeśli, jak mówią, przejawiała „safańskie” skłonności, czy przez to duszą kochała Leonarda mniej?

– Nie czuła do niego pociągu fizycznego.

– Może dlatego, że miał żydowskie pochodzenie.

– E tam, to nie mogło mieć dla tak oderwanej od przyziemności kobiety znaczenia. Molestowano ją w przeszłości.

– Nie ją pierwszą, nie ostatnią. Była wyzwolona umysłowo, nie nałożyłaby sama na siebie takich pęt.

– A jednak załamała się nerwowo i została w rzece.

– Bo w ten tylko sposób mogła przejść do nieśmiertelności. U boku Leonarda czekałaby ją gnuśna codzienność, powoli uśmiercająca ich miłość i sens życia.

– Leonard podjął za nich oboje decyzję o tym, iż z uwagi na stan zdrowia żony nie będą nigdy mieć potomstwa, czego później bardzo często Virginia żałowała, widząc, jak kwitnie życie rodzinne Vanessy. Tamta umiała połączyć miłość do dzieci z artystyczną działalnością.

– Myślę, że w głębi serca sama nie chciała mieć dzieci. Virginia żyła innymi sprawami.

– Fakt, często czuła, że do niczego się nie nadaje. Najbardziej w świecie uwielbiała rozmyślać. Urodziła dzięki temu wiele genialnych dzieci. Była ojcem i matką w jednym.

– Leonard chciał mieć potomka. Ale bał się.

– Czego?

– Że odziedziczy on po matce obłąd.

– Tego nie mógł być pewien.

– Ale kochał Virginie ponad wszystko i wiedział, że jeśli los obciąży ją tak wielkim balastem, nie wytrzyma ona presji.

– Nie wytrzymała i bez tego.

– Ale spójrz na Leonarda obiektywnym okiem. Troszczył się o stan ducha swojej wybranki, poświęcił dla niej własne pragnienie.

– Może po prostu nie widział się w roli ojca?

– A który z nas widzi się w roli ojca?! Chociaż bywamy najlepszymi reproduktorami,

opiekunami, żywicielami i wychowawcami w świecie natury, decyzję o powołaniu do życia małego stworzenia pozostawiliśmy kobietom. Gdy kobieta pragnie dziecka całą sobą, my to czujemy. I poddajemy się tej odwiecznej woli żeńskiego pierwiastka, nawet jeśli jawi się nam ona z początku abstrakcyjnie. A potem przychodzi miłość do dziecka, bo jest ono skrawkiem wydartym kochanej przez nas kobiecie.

– Sugerujesz, że Virginia zbyt słabo kochała Leonarda?

– Nie chcę w tej materii wyrokować. To małżeństwo z pewnością nie było konwencjonalne. Czego innego chciała Virginia od swojego męża. Tak, z pewnością nie chciała dziecka. Założyła, że on też go nie pragnie.

– A pragnął?

– To, czego naprawdę pragnął Leonard, to normalność. Ale nie dla siebie, dla niej. Woolf kochał żonę bardziej niż samego siebie. Bezradnie obserwował jej psychiczny uwiąd. Może myślał, że ciąża sprowadzi ją na ziemię.

– A on stanie się w końcu częścią jej niedostępnej duszy...

Wino znikало coraz szybciej. Popijali je w zamyśleniu i nie spostrzegli, że zniecierpliwiony kelner wystukuje palcami na kasie fiskalnej nerwowy rytm, zwiastujący chęć jej zamknięcia. Przyklejony do jego twarzy uśmiech wydał się im groteskowy. Nina spojrzała na swego partnera porozumiewawczo, po czym Jerzy uregulował należność i pomknęli pieszo szarymi przemysłowymi ulicami do „Księgarni”.

– Najładniejszy kawałek miasta – podsumowała wędrowanie Nina, gdy mijali gotycki kościół i zabytkowy spichlerz. – To prawdziwe perły wśród betonowych kłoców. Dumne, wzniosłe, choć szczątkowe i zniszczone. Ratujemy je jak tylko możemy, ale kto by dziśłożył pieniądze w mury przeszłości, kiedy brakuje ich na terażniejsze potrzeby?

– Znak czasu. Pielęgnowanie przeszłości nie jest w cenie. Za to współcześni przynajmniej idealnie oświetlili piękno historii, popatrz na te wieżyczki. Zachwycają najdrobniejszym szczegółem. Uśmiechają się.

– Wstyd przyznać, ale zauważyłam to dopiero niedawno. Ile piękna i logiki jest w tym układzie strzelistych kształtów ożywionych białą luną...

Mieli minąć próg kawiarni będącej przedłużeniem zabytkowych murów i czynnej do późnych godzin, ale postanowili zejść jeszcze nad rzekę. Milczeli, zapatrzeni w migoczącą toń onirycznie odbijającą architektoniczne perły. Zatopione w wodzie kontury odrealniały geometryczne kształty coraz bardziej, zmieniając je w kołyszące się ceglastoczerwone bryły. Pomimo masywności, poruszały się po gładkiej tafli z anielską lekkością. Małe witraże w wąskich okienkach pokryły się granatową i fioletową ciemnością. Pomiedzy nimi ogniła się królewska purpura.

– Gotyck zawsze wypełniał mnie niewymownym zachwytem i duchowym uniesieniem sięgającym szczytu najwyższej wieżyczki – przerwała kontemplację Nina, mimowolnie dzieląc się z Jerzym swoją powołaną na chwilę do istnienia wrażliwością.

– Nie ma bardziej wypełnionego treścią stylu – szczerze zgodził się Jerzy. – To bez wątpienia święta geometria. Bóg stworzył gotyk po to, by podziwiać go z kosmosu jako dzieło doskonałe. *Bo skroś wszechświata wnika światło Boże / I wedle zasług różnie się rozdziela / A nic mu stanąć oporem nie może. / Owo królestwo ciszy i wesela.* Poznajesz?

– Dante. *Boska komedia.*

– On również wiedział, że gotyk wykracza poza wymiar czysto ludzki.

– I że przemienia czas świecki w sakralną wieczność.

– Mógłbym stać tu już zawsze.

– Świątynią piękna jest cały świat. Ale faktycznie, z tej perspektywy jest ono szczególne. To piękno uświęcone z najwyższego kręgu Boskiego panowania.

– Jesteś wierząca?

– Byłam, ale nie starczyło mi tej wiary – skłamała, wyczuwając, że ma do czynienia ze skrajnym ateistą, dla którego piękno jest najwyższym bożkiem.

Roześmiali się oboje głośno, doświadczony natychmiastowej desakralizacji. Skanowali

oczami drobnoceglastą Basztę Czarownic, chłonąc oryginalność jej pomarańczowego szkieletu. Niegdyś przechodzący obok niej Kaszubi pospiesznie kreślili znak krzyża, by złe moce nie mogły ich osiągnąć. Uznali, że lepiej omijać szerokim łukiem to miejsce z przekłętą historią. Owiana złą sławą konstrukcja, w której niegdyś uśmiercano kobiety rzekomo zajmujące się magią, stanowiła osobliwy zabytek Słupska, silnie pobudzający wyobraźnię. Ze szczytu baszty spoglądała teraz na snującą się brzegiem rzeki parę cieni ruszająca się na wietrze wiedźma. Zachowanie tej dwójki wskazywało na to, że wydarła ona śpiącej twardym snem budowli zastygła w grubych murach magię ciemnych wieczorów. Nina wyglądała jak uwolniona z ciasnej wieży księżniczka, która spłynęła na uplecionym ze złocistych odbić gwiazd warkoczu wprost w ramiona Jerzego. Oboje nie pojmowali jeszcze znaczenia tej chwili, ale oddychali nią dostojnie i uroczyście. Poczuł, że siedząca naprzeciwko niego wiedźma naprawdę potrafi pomieszać zmysły bardziej niż mocne wino. Nina pomyślała, że chciałaby urodzić mu dziecko.

Chwycił ją za rękę. Nie wyrwała jej. Przeżywała teraz cielesne drżenie wywołane niespodziewanym przejawem bliskości. Jerzy pachniał drogimi perfumami, w przefiltrowanym gotykiem świetle spostrzegła, że ma regularną linię brwi i zadbane dłonie. Z Schulzowskiego karła zmienił się nagle w pewnego siebie Petroniusza. Twarz miał może i wychudłą, ale oczy błyszczały szlachetną jasnością. Trupia bladość jego skóry wylała na siebie oliwkową gładkość. Idealnie przyszyżona broda dopiero w blasku księżyca osadziła się koroną męskości na długim owalu. Spostrzegła skrywaną pod marynarką atletyczność oraz doskonałą proporcję rozdzielonych kręgosłupem części tułowia. Chód miał lekki i zgrabny, a zniewieściały w pierwszym wrażeniu głos brzmiał patriarchalnie w głębinach wszechotaczającej ich ciemności. Głębokim spojrzeniem w oczy spłycał oddech rozanielonej kobiety. Odniosła wrażenie, że znają się od wieków i zawsze trzymali się za ręce. Nie wstydziła się tych złudzeń. Gdy objął jej gotyckie plecy silnym romańskim ramieniem, wyprostowała się jak struna. Zastygli na moment w posągowym połączeniu.

– Nigdy wcześniej tego nie robiłem – przerwał milczenie Jerzy.

– I dla mnie jest to nowy rodzaj emocji – wyznała Nina.

– Cholera, mam przecież czterdzieści trzy lata, jestem dojrzałym facetem. Jestem stoickim mędrce i rozsądnym Markiem Aureliuszem. Nie ulegam nastrojom nocy. A jednak czuję, że emocje biorą nade mną górę. Czy to wino?

– Jeśli tak, to podobne działanie na mnie potwierdza jego dobrą jakość – z łagodnym uśmiechem odpowiedziała na jego zdziwienie.

– Chodźmy do tej kawiarni, zamówimy kolejne. Jest czynna do późnej nocy.

– Nie chcę się dzisiaj z tobą rozstawać.

– Nie musisz.

Ostatni raz spojrzeli w rzeczne odbicia swoich wpasowanych w gotyckie mury sylwetek. Ścisnęła jego dłoń mocniej, wtuliła oszołomioną głowę w ramię przewodnika, po czym powolnym krokiem udali się w stronę zabytkowych mosiężnych drzwi kawiarni.

5.

Pierwsze prawdziwe miłosne uniesienie Nina przeżyła dość późno, w dodatku zakończyło się ono dramatem. Miała wówczas dwadzieścia siedem lat, rozpoczęła studia podyplomowe z zakresu rachunkowości, a wraz z nimi – studiowanie przystojnej fizjonomii Macieja. Był starszy od niej o pięć lat i charakteryzował się ustabilizowaną dojrzałością emocjonalną. Był błyskotliwy, otwarty na świat i odpowiedzialny. Reprezentował wybitnie matematyczny typ umysłowości, dzięki czemu mógł swobodnie przebierać w ofertach pracy. Zwykle to potencjalni pracodawcy ustawiali się w kolejce do niego. Maciej Grochulski znany był wszystkim poważnym biznesmenom, którzy poszukiwali kadry niedrogiej, ale uczciwej, pracowitej oraz wydajnej. Obce były mu materialistyczne zapędy, częściej inwestował w rozwój osobisty i pasje podróżnicze. Gdy tylko uzyskał dyplom jednych studiów podyplomowych, natychmiast wyszukiwał w internecie kolejne możliwości rozwinięcia intelektualnych skrzydeł. Podobnie jak pan Dobrucki uważał, że stać w miejscu znaczyło cofać się. Parł więc do przodu jak burza.

Jednak Ninie spodobał się przede wszystkim jako przystojny mężczyzna. Spojrzała na niego okiem rasowej samicy polującej na model idealny i wiedziała, że takowy znalazła. Miał pełne i zmysłowe usta, których rozchylenie odkrywało rząd równych, zadbanych zębów. W jej przekonaniu mężczyźni rzadko dbali o stan jamy ustnej. Spoglądał na nią życzliwie, ale z „diabelskimi chochlikami” ukrytymi w żrenicach. Uwielbiała obserwować ruchy jego zadbanych dłoni, którymi namaszczał kanty marynarki, wsłuchując się w tok rozważań prowadzącej zajęcia wykładowczyni uniwersyteckiej. Był zawsze ogolony i nie odpychał owłosionym wilkołaczym torsem. Szerokie ramiona zwiastowały silny instynkt opiekuńczy i podświadomie programowały myśl o tym, że musi być świetnym kochankiem.

Zaproponował jej randkę, wkrótce potem drugą i trzecią, ostatecznie zostali parą. Zamieszkali razem w wynajmowanym mieszkaniu, gdzie spędzili fantastyczne trzy lata wspólnego pożycia. On dbał o rozliczenia i stały dochód, ona ugruntowywała swoją pozycję w firmie, uczyła się języka, chodziła na jogę, a wieczorami wpadała w jego ramiona – szczęśliwa, spełniona i zakochana. Gdy zarabiali już całkiem przyzwoicie, zaczęli podróżować do najodleglejszych zakątków Europy.

Przechadzali się wąskimi uliczkami Lizbony, uciekając przed pojawiającymi się zniecka tramwajami. Słuchali melancholijnej muzyki fado, wędrowali najdłuższym na kontynencie mostem, raczyli podniebienia złocistym piwem w przyulicznych tawernach. Przejechali samochodem tysiące kilometrów, by znaleźć się w północno-wschodniej części Włoch. Ta pociągała ich najbardziej. Padwę chcieli zobaczyć z tego samego powodu – oboje uwielbiali *Mefistofelesa* skomponowanego przez Arrigo Boita. Postali na katedrze, z której wygłaszał wykłady Galileusz, zakupili porcelanowe bibeloty na pchlim targu, spróbowali prawdziwej pizzy. Jednak największej rozpuście oddali się w Oslo na placu Vestkanttorvet, gdzie można było kupić wszystko, czego dusza zapagnęła! Nabyli dziesiątki skandynawskich antyków i kilka niekonwencjonalnie wydanych lektur norweskich mistrzów. Zmęczeni wielogodzinną włóczęgą, ogrzewali swoje dłonie gorącym kubkiem aksamitnej czekolady w kawiarni z widokiem na fiordy. Koniecznie chciała zobaczyć irlandzkie wybrzeże Antrim słynące z białych wapiennych klifów, które tworzyły osobliwy krajobraz. Wyrzeźbione przez wieki i naturę, uformowały labirynty tajemniczych jaskiń, przecinające horyzont łuki, magiczne cyple oraz wznoszące się dumnie z oceanu skały o ludzkich kształtach. Dwóm największym nadali swoje imiona – Słowiańskiej Niny i Nadmorskiego Macieja. Zawiózł ją wszędzie tam, gdzie głodna dusza znaleźć się zapagnęła. Naznaczyli swoją obecnością prawie każde europejskie państwo.

Połączył ich również magnetyczny seks, za sprawą którego stali się całkowicie niewidzialni dla dawnych towarzystw i już nie tak bliskich znajomych. Wieczorami zanurzali się w głębinach swojego wygodnego łóżka, przemierzając oceany rozkoszy i odkrywając baśniowe nadbrzeża. Jedli w nim, spijali z siebie upajający nektar, splatali swoje ciała w nierozłączeniu, a potem zasypiali, zmęczeni cielesnymi uniesieniami.

– Chciałbym mieć z tobą dziecko – ogłosił pewnego dnia Maciej po kolejnym cudownym tańcu

w pościeli.

– Nie jestem na to gotowa – odpowiedziała ze spokojem i szczerością. – Dopiero układam swoje życie zawodowe, spotkałam ciebie. Chcę nacieszyć się tobą na wyłączność. Poczekajmy.

Po tygodniu od tej rozmowy Nina znów mieszkała u mamy. Maciej docenił szczerść, ale nie zrozumiał decyzji Niny. Nie chciał czekać, a pragnienie posiadania dziecka narastało w nim opętańczo. Mały berbecz pojawiał się regularnie w jego snach, myślał o nim także na jawie. Wyobrażał sobie przewijanie, karmienie butelką z pachnącym mlekiem, obcinanie papierowych jeszcze paznokci i przytulanie małej główki niemowlęcia do swoich policzków. Budził się w środku nocy, jakby miał czuwać nad regularnym oddechem dziecka. Z zazdrością mijał młodych ojców popychających do przodu wózki. Doznawszy odrzucenia, stracił wszystkie miłosne uczucia do Niny. Nie pomogły jej prośby o powrót, pojednawcze rozmowy oraz zapewnienia o zrealizowaniu jego marzenia w niedalekiej przyszłości. Maciej pragnął dziecka tu i teraz, nie przewidywał negocjacji. Po czterech miesiącach od rozstania z Niną ożenił się z Martą o Szerokich Biodrach, a po roku samodzielnie przeciął pępowinę, oddzielając upragnionego syna od bezpiecznego łona matki.

Nina przeżyła wówczas bolesną traumę.

– Nikt nie ma prawa zmuszać cię do robienia czegoś wbrew tobie – przekonywała Krystyna Ciesielska, pocieszając córkę tonem doświadczonej matrony. W głębi duszy była jednak zawiedziona jej postawą. Lubiła Macieja i wyobrażała go sobie jako idealnego przyszłego zięcia.

– Chociaż ty mnie rozumiesz. Jeszcze nie chcę. Dziecko jest dla mnie abstrakcją.

– Ale kiedyś je urodzisz, prawda?

– Pewnie tak. Nie teraz.

– Nie z nim?

– Kocham go.

– Ale siebie bardziej.

– Powinien mnie wysłuchać.

– Nie myślał racjonalnie. Poddał się instynktowi.

– Nikt mnie nie uprzedził, że mężczyźni potrafią tak mocno chcieć dziecka.

– To potrzeba niezależna od płci.

– Gdy podróżowaliśmy, byliśmy tylko we dwoje. Mówił, że nie zamieniłby naszego życia na inne.

– Miał pewnie na myśli siłę waszego przywiązania. Dziecko nie osłabiłoby jej.

– Bronisz go czy mnie? Bo nie rozumiem twoich sugestii.

Nie doczekała się odpowiedzi, albowiem przezorna pani Krystyna, by uniknąć gniewu córki, postanowiła pozostawić ją niewyglłoszoną. Zmieniła pościel na świeżą, skroiliła kilka cienkich kanapek i dowiesiła jeden ręcznik w łazience. Zrozumiała, że w jej przytulnym mieszkanku skończyły się dni ciszy i jednoosobowych rządów.

Przez dwa kolejne lata Nina nie mogła odnaleźć wewnętrznej stabilizacji po tym nieoczekiwanym rozstaniu. Płakała za każdym razem, gdy tylko przekraczała próg swojego pokoju. Mało jadła, nie spała, aplikowała swoim uśpionym narządom trawiennym ciężkie tabletki przynoszące chwilową ulgę. Mniej więcej w tym czasie porzuciła zainteresowania literackie i muzyczne, przestała chadzać do teatru i śledzić recenzje najnowszych światowych publikacji. Nie wiedziała nawet, kto otrzymywał corocznego literackiego Nobla. Przerwała naukę języka obcego i śledzenie bieżących informacji prasowych. Odrzuciła w kąć duchowe wytwory genialnej Virginii Woolf, a do pieca powędrowały ładnie wydane klasyki polskiego kina, które wspólnie z Maciejem oglądali do późnych godzin nocnych. Zapadła w umysłowy i fizyczny letarg. Zajmowała ją jedna tylko czynność – projektowanie pomnika swojego bólu. Drażyla cierpienie na różne sposoby, a jedyny świat, jaki ją interesował, znajdował się w niej samej. Odrzucenie zagnieździło się w niej na dobre, gryzło ściśnięty żołądek, szczypało chropowatą skórę, osłabiało paznokcie i włosy. Całkowicie pozbawiło ją siły i woli przeżycia kolejnego dnia. Gniew i wściekłość ustąpiły pola beznadziejności. Skulona przed komputerem, wyglądała jak wynaturzenie człowieczeństwa. Chudła z dnia na dzień i gdyby nie wstrząsający jej ciałem od czasu do czasu szloch,

można by było mieć wątpliwości co do tego, czy w ogóle żyje. Łzy toczyły się po jej zapadniętych policzkach, rozbijając się o nienaturalnie wystające kości kolan. Natrętne myśli o swojej winie tłoczyły się w granicach opuchniętej czaszki. Nie była dość silna, by dzielić się nimi z matką. Obsesyjnie przywoływała wspomnienia radosnych chwil z Maciejem, oglądała wspólne zdjęcia z wyjazdów i odtwarzała krótkie filmiki w telefonie. Dokonywała samoudręczenia, raz jeszcze wsłuchując się w beztroski śmiech ukochanego, wypełniający norweskie uliczki. Bała się, że zapomni jego głos. Zaniepokoiły ją bolesne skurcze macicy, które wywoływały potworny ból w podbrzuszu. Wyobrażała sobie, że to niewidzialne dziecko próbuje na siłę wbić się pazurami w jej łono.

– Zjedź coś – błagała matka.

– Nie mogę – odpowiadała krótko.

– Nikniesz w oczach, nie można tak żyć. Trzeba wziąć się w garść.

– Nic nie trzeba! Będę tu siedzieć do końca.

– Bólu czy życia?

– To jednoznaczne.

– Może umówię cię z psychologiem...

– A czy on przywróci mi Macieja?

– Nie, ale być może przywróci ci wiarę w...

– W co, mam? W miłość?

– W siebie.

– Mnie nie ma. Umarłam za życia w dniu, kiedy umarł tamten związek.

– Przechodzisz chwilowe załamanie, to minie. Życie to nie tylko cienie, to także blaski. Daj sobie szansę. Poukładaj ten emocjonalny galimatias.

– Galimatias?! Przeżywam wewnętrzny rozpad wszelkich emocji. Tu nie ma już czego układać.

– Opowiedz mi o tym, co czujesz.

– Czuję, że się kończę. To wszystko.

– Nineczko, twoje życie dopiero się zaczyna.

Kilkakrotnie poprowadziły jeszcze podobną wymianę zdań, równie jałową i bezcelową jak nadzieje Niny na powrót Macieja. Był szczęśliwy jako mąż tamtej i ojciec ich dziecka. Widywała go z okna swojego pokoju, gdy wprawiał w jednostajny ruch dziecięcą karocę, troskliwie okrywał ją przezroczystą folią chroniącą przed ulewą czy wkładał do niej pluszowego misia. Podobnego dostała od Macieja w prezencie na pierwszą rocznicę.

Po dwóch latach Nina Ciesielska powróciła do punktu wyjścia: aby przetrwać, musiała wyobrazić sobie, że nadal żyje z Maciejem u boku. Stworzyła alternatywną rzeczywistość, w której granatowa karoca należała do nich, leżące w niej maleństwo było owocem ich związku, a tamta kobieta pełniła jedynie funkcję opiekunki. Nie podzieliła się z matką swoim szaleństwem, za to pewnego dnia rozwarła wrota pograżonego w piekielnym smutku pokoju, uśmiechnęła się szeroko i powróciła do świata żywych. Krystyna odetchnęła z ulgą. Widok rumianej na pełnych policzkach Ninuszki, samodzielnie przyrządzającej jajecznicę i poprawiającej krzywo wiszącą firankę, przywrócił zatroskanej rodzicielce wewnętrzny spokój. Uwierzyła, że Nina przeboleła stratę i wstąpiła na nową ścieżkę.

Było w niej wówczas mnóstwo radości i niespożytej energii. Nina gotowała, piekła ciasta, sprzątała w swoim pokoju, a nawet przyozdabiała go kwiatami i aromatyzowała kadzidłami. Na stoliku zawsze leżała misa pełna soczystych owoców, z ekranu telewizora pobrzmiwały dźwięki skandynawskiej mowy, w szafie pojawiły się dodatkowe wieszaki na ubrania. Ninuszka dawniej kochała zakupy. Matka uznała, że wyjście do ludzi znów cieszy jedyńca. Na wszelki wypadek podjęła się dodatkowej pracy, żeby wspomóc córkę w pokrywaniu kosztów drobnych fanaberii.

– Widziałaś nową kolekcję biżuterii? Zaprojektowała ją sama Anja Rubik! Jest genialna! Piękna jak jej autorka – zachęcała Ninę, podsuwając jej katalog z jubilerskimi wytwornościami.

– Zerknę w wolnej chwili.

– Zrób to od razu! A najlepiej biegnij do galerii i podziwiał ją osobiście. Wybierz sobie najładniejszą blaszkę i zapłać za nią z mojej karty. Przy okazji rozejrzyj się za nowym płaszczem, ten

z zeszłego sezonu jest już lekko znoszony.

– Pójdę, mamo – rzuciła dla świętego spokoju, choć zamiast do galerii wyruszała na spacer lawendowymi polami, które szczególnie upodobał sobie pewien ojciec z wózkiem.

W sercu Niny wciąż kwitła miłość.

Umarła ostatecznie w dniu, kiedy zobaczyła, jak jej Maciej kocha się z żoną na lawendowym dywanie. Bezkręś pola był jedynym – poza Niną – świadkiem tej śmiałej sceny. Rodzice oddalonej o zaledwie metr karocy dali się ponieść erotycznemu uniesieniu i skorzystali z uprzejmego łona Matki Natury. Większej traumy Nina nie doświadczyła nigdy przedtem ani nigdy potem. W jednej chwili otrzeźwiała na umyśle, zmroziła się w sercu i opanowała w emocjach. Po powrocie do mieszkania zwymiotowała, a potem spała jak kamień ponad dziesięć godzin. Gdy się obudziła, było już po wszystkim.

Stojąc teraz obok Jerzego, który otwierał ciężką mosiężną bramę, po raz pierwszy od tamtych wydarzeń poczuła pełną duchową wspólnotę z mężczyzną. Radca wydał się jedynie epizodyczną zjawą, która zniknęła prawie tak nagle, jak pojawiła się w jej życiu. W tym świetle pozostałych partnerów mogła sklasyfikować jako co najwyżej rekwizyty wypłowiałej scenografii. Myślała, że już nigdy nie będzie jej dane oderwanie się od ziemi za sprawą mężczyzny, że nie wzniesie się w miłosne przestworza i nie poniosą jej ponad przyziemność skrzydła zatracenia. Dotychczasowe związki wydały jeden tylko plon – zwątpienie w ich sens.

Tymczasem wtulała się w ramiona prawdziwie istniejącego mężczyzny, który twierdził, że przeżywa nieznaną mu dotąd rodzaj mistycznej inicjacji na wzór średniowiecznych misterii. Rozdziewiczała go Nina oraz gwieździsta noc. Poczuli się jak potężna bogini o niezwykłej mocy sprawczej. Otworzyła przed nim całą swoją kobiecość i łagodność, podsunęła mu kielich swoich wilgotnych ust i ołtarz gładkiego dekoltu. Chciała być Matką Boską, ale przypominała bardziej Marię Magdalenę sprzed przemiany. Kawiarniane wrota otwierały przed nią zapomniany już rodzaj doznań, wobec których znów była bezradna i pokorna. Jerzy pachniał wiarą, nadzieją i miłością. Jerzy znał Virginie! Jej Virginie! Głowę Niny znów wypełniły „skrzydlate słowa” uśmierconej przez podszepty zmysłów Angielki. Chciała tańczyć, krzyczeć, recytować i płakać ze wzruszenia. Pragnęła rozmawiać o jej książkach do rana. Najchętniej otworzyłaby wytrychem kino, by obejrzeć w nim ostatni film Wajdy, albo wdarłaby się do sklepu muzycznego po najnowszą płytę Goi.

– Ja widziałem już *Powidoki* – zaczął, zanim znaleźli odpowiadający im kąt lokalu. – Nikt nie dobiera się do zbiorowej świadomości sprawniej od mistrza Wajdy. Pokazał życie jednostki, ale zdiagnozował cały naród.

– Mówią, że nie jest to „łabędzi śpiew” najwyższych lotów.

– Czyli nie widziałas? Koniecznie musimy obejrzeć ten film razem! Nie mają racji, to kolejne genialne dzieło naszego mistrza.

– Podobno zawiera nazbyt wyidealizowany obraz głównego bohatera. Czytałam, że powstała hagiografia zamiast filmu.

– E tam, niesprawiedliwie krzywdząca teza. A ogłosili ją pewnie ci, którzy musieli zwrócić na siebie uwagę jeszcze przed oficjalną premierą.

– Czyli Wajda nie postawił Strzeмиńskiemu pomnika?

– Nie, zaakcentował po prostu jego niezłomność. Pokazał, jak malarz nie ugiął się pod wszelkimi naciskami. Przeciwwstawiał się ustrojowi, dla którego nie był jednym z najważniejszych artystów XX wieku, ale kimś, kto zwyczajnie przeszkadza.

– Tak, komunizm nie liczył się z nikim, nie uznawał żadnej świętości. Niszczył wszystko, co stało mu na drodze.

– Cieszę się, że to mówisz, bo wielu ludzi w naszym wieku wypowiada się o czasach komunizmu z jakimś nielogicznym, nieuzasadnionym sentymentem.

– Potępiam każdy system, który uzurpuje sobie prawo do wpływania na kulturę.

– I na filozofię epoki.

– Ale mam świadomość, że ten wpływ jest nieunikniony, a nasza wolność – iluzoryczna.

– Polacy przyzwyczajeni są do zniewolenia. Czasem mam wrażenie, że nie potrafią inaczej... Że gubią się, gdy dostają wolność.

– Tymczasem zewsząd przekonują nas, że Polacy wolność mają zawsze w sercu.

– No właśnie, w sercu, jako ideę i odwieczne marzenie. Szkoda że nie potrafią pojąć jej rozumem.

– Płacili za nią krwią.

– A potem nie wiedzieli, jak się z tą hostią obchodzić. Złożyli ją na ołtarzu i czekali, aż pojawi się jakiś pomazaniec, który według własnej wizji rozdzieli wolność między maluczkich. Polacy potrzebują dyktatorów, to silniejsze od nich. Rzymscy cesarze czuliby się u nas jak w ojczyźnie.

– Masz rację, Rzymianie – jak Polacy – bez większych oporów akceptowali różnice społeczne i wszelkie jarzma niewolniczego systemu jako naturalny stan rzeczy. Tam i tu rzekomo władzę sprawował lud...

– Władzę sprawuje ten, kto potrafi sięgnąć po nią przed innymi. I na pewno nie sięga po nią po to, by się dzielić. Władza to jednostkowe trofeum.

– Ale wolność może być dana wszystkim.

– Nie, bo wtedy nie byłoby miejsca na władzę.

Nina znów zaczynała pojmować zjawiska i rozstrzygać wewnętrzne dylematy. Z bogini szybko zamieniła się w pokorną uczennicę, wsłuchującą się uważnie w słowa mistrza. Ani Maciej, ani radca nigdy nie sięgnęli tak głęboko w sferę jej intelektu i światopoglądu. Przeczuli, że była mądra, ale nigdy się o tym naprawdę nie dowiedzieli. Jerzy traktował ją jako równorzędną partnerkę w rozmowie. Podziwiał już nie tylko jej wyrafinowanie zewnętrzne, ale i bogactwo kryjące się wewnątrz tego idealnie prezentującego się tej nocy ciała. Silnie działający w niej zwykle instynkt samozachowawczy tym razem zapomniał o sprawowaniu warty. Zaczynała się przed Jerzym otwierać, zaczynała mu ufać, zaczynała go lubić. Ku własnemu zdumieniu pomyślała, że mogłaby zostać nawet niewolnicą takiego cesarza.

Młoda kelnerka o nietuzinkowej urodzie coraz wyraźniej wlepiła swoje spojrzenie w Jerzego. Nina zauważyła, że wpadł jej w oko, choć w lokalu nie brakowało przystojnych mężczyzn. Gdy przyniosła im czerwone wino, nachyliła się nienaturalnie blisko nad cesarską głowę, wystawiając ją na próbę męskości. Ale Jerzy nawet nie objął jej sylwetki wzrokiem. Pozostał też obojętny na słowiczko skonstruowany głos zalecającego się dziewczęcia. Jednoznacznym gestem dłoni podziękował kelnerce za obsługę i nakazał oddalić się w stronę innych stolików. Odeszła, wyraźnie zawiedziona. Za to Ciesielska dumnie wyprostowała plecy, przrzuciła najdorodniejszy pukiel zadbanych włosów na drugie ramię i założyła nogę na nogę.

Kolejną butelkę wina zabrali już do hotelu.

Do rana odprawiali inicjacyjny akt, jaki powinien zaistnieć między Virginią a Leonardem w noc, kiedy zostali małżeństwem. Owijali swoje podniecone ciała błyszczącymi kartami pościelowej bieli, przywierali do siebie żarłocznie, pragnąc skleić się w jedną opowieść. Delikatnie gładził jej napiętą skórę, malował na niej palcem inicjały, które ona uzupełniała pełną napięcia treścią. Obracał ją w dłoniach niczym stronicę legendarnego kodeksu. Drżącymi dłońmi obejmowała doskonałą skórzaną oprawę. Podnieceni, napisali pod hotelowym sufitem wiele rozdziałów, stworzyli wyszukane wątki i kilkakrotnie dotarli do punktu kulminacyjnego. Była zakurzona księgą, której nadał drugie życie.

Odkleił ich od siebie dopiero poranny telefon z recepcji. Zapomnieli, że zamówili pobudkę. W mgnieniu oka pozbierali swoje rzeczy, zaścielili łóżko i wyrzucili opróżnioną butelkę. Nie wiedzieli, jakimi słowami skonstruować epilog, więc przemieszczali się po hotelowym pokoju w milczeniu. Pragnęła, by schował ją do torby i zabrał ze sobą, ale rozumiała, że tymczasem musi trafić z powrotem na półkę. Podczas gdy jasny dzień witał wyspanych gości, oni zegnali się w głównym holu gorącymi pocałunkami, czując piekielne niedospanie. Po pięknej gotyckiej nocy nie było już śladu. Tylko hotelowa sprzątaczką długo jeszcze pozbywała się oznak historycznego w życiu tej przypadkowo zespolonej dwójki aktu zjednoczenia.

6.

Do firmy Dobruckiego wbiegła późnym przedpołudniem, mając nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na jej szaleńczy galop korytarzami. Chaotycznymi i nerwowymi ruchami mimowolnie zachęcała pracowników do rzucania w jej kierunku ukradkowych spojrzeń. Tego dnia nie przypominała samej siebie.

– Przepraszam za spóźnienie – zaczęła nieporadnie się tłumaczyć, zdziwiona własną postawą.

Była przecież teraz szefową i nie musieli być informowani o tym, dlaczego wkroczyła do gabinetu z wieczorowym makijażem na niedospanej twarzy. Mimo to czuła potrzebę zakamuflowania prawdy:

– Byłam wczoraj w teatrze na spektaklu, potem zepsuł mi się samochód i nocowałam u koleżanki. Nie opłacało się wracać do domu.

– Zdarza się najlepszym – pospieszyła jej na odsiecz Monika, która domyśliła się, że tak odmieniona Nina może wracać tylko z upojnej randki.

– Tym sposobem nie zdążyłam wskoczyć w służbowy mundurek.

– Szefowa tak ładnie wygląda, że trudno narzekać – spróbowała rozładować napięcie Terlecka, która wróciła z urlopu macierzyńskiego i nie do końca jeszcze obejmowała swoim umysłem zakresu nowych obowiązków. Na wszelki wypadek postanowiła więc nadrabiać poczuciem humoru.

– A więc już zdążyli cię poinformować o zmianach. Szefowa... Daj spokój! Nina, po prostu – odpowiedziała przyjaznym tonem, prostując dłonią wygniecioną bluzkę. Lubiła Terlecką, więc nie zamierzała utrzymywać chłodnego dystansu.

– Wiem, wiem, i gratuluję awansu. To było kwestią czasu. Od teraz będę słuchać tylko ciebie.

– Tutaj wsłuchiwać się należy przede wszystkim w dźwięk kalkulatora – odburknęła żartem

Nina.

– Jasna sprawa. Muszę na nowo do niego przywyknąć po długiej rozłące.

Terlecka była jedną z tych pracownic, które z chwilą zobaczenia dwóch kresek na teście ciążowym natychmiast gnały do lekarza po długoterminowe zwolnienie i zostawiały je na biurku pracodawcy, a potem przepadały bez wieści na kilka miesięcy ciążących im nadmiarem czasu. Gdzie dojrzewała do macierzyństwa, kiedy urodziła i jak się czuła – nikt w firmie nie wiedział. Ale wiadomo było, że wróci, choć w najpóźniejszym z możliwych terminie. Łaknęli jej powrotu wszyscy, albowiem jak nikt inny umiała rozładowywać napięcie i wprowadzać humor tam, gdzie wiało grozą. Przy niej stres wydawał się jedynie chwilową niedogodnością. Terlecka nie miała imienia, a jeśli zaistniała potrzeba oficjalnego jej nazwania, nikt nie czuł potrzeby zdobycia tej informacji. Dla nich była po prostu Terlecką. Każdy nowo zatrudniony pracownik początkowo brał ją za wariatkę lub przynajmniej przedstawicielkę jakiejś bliżej nieokreślonej, ale i niegroźnej bohemy. Mówiła, co jej ślina na język przyniosła, a przynosiła maksymalny subiektywizm wszelkich ocen, ciętość ripost i humorystyczną odległość skojarzeń. Gdy zobaczyła kiedyś Ninę w dwóch różnych butach, bez zastanowienia wygłosiła naukową rozprawę na temat możliwości rozdzielenia zbioru na dwa rozłączne możliwie równoliczne podzbiory. Przy niej nic, co ludzkie, nie było straszne. Wystarczyło spędzić kilka dni w towarzystwie Terleckiej, by przekonać się, że jej barwna osobowość może i czasem męczy, ale z pewnością nie jest zdolna do wyrządzenia komukolwiek krzywdy. Najbardziej cenili w niej niedający się zgasić w żadnych, nawet ekstremalnych okolicznościach optymizm, który wypływał z tezy głoszącej, że dobre myśli przyciągają dobre wydarzenia. Terlecka była kwintesencją psychologicznego prawa przyciągania i nie rozumiała, dlaczego tak trudno jest zarazić nim pozostałych.

Nina ceniła w niej nie tylko radość wypływającą z samego faktu istnienia, ale także zdrowe podejście do obowiązków zawodowych. Wielokrotnie była świadkiem rozmów koleżanki z szefem, podczas których oskarżał ją o zbyt słabe zaangażowanie lub zbyt częste korzystanie ze zwolnień lekarskich. Pytała wtedy prosto i zaczepnie:

– Czy chory i ledwo patrzący na oczy pracownik jest w stanie skutecznie zarządzać sobą? Natury

jeszcze nikomu nie udało się oszukać. Więc chyba lepiej jest zostać w domu, pod ciepłą pierzyną, i nie drażnić innych pokasływaniem czy głośnym wysmarkiwaniem drobnoustrojstwa w chusteczkę.

Wobec takich uwag pan Dobrucki pozostawał bezradny, a Terlecka – bezpieczna.

Poza jego gabinetem, z dala od czujnego ucha Dobruckiego, dodawała, że za takie psie pieniądze, wypłacane w dodatku z kilkudniowym opóźnieniem, to i wyzdrowieć trudno.

Terlecka była głosem stada i nieformalną przewodniczącą związku zawodowego. Jej mąż zarabiał na tyle dobrze, że sama mogła pracować jedynie dla idei. Mimo to wyjątkowo mocno wyczulona była na strategię wynagradzania pracowników przez właścicieli dobrze prosperujących firm. Brała w obronę ich ciężką pracę, prawo do wypoczynku czy korzystania z pakietu socjalnego. Patrzyła na ręce Dobruckim, w których uczciwość wierzyła tyle, co w znalezienie przez Ninę odpowiedniego kandydata na męża. I miała w tej materii dobry instynkt. Świat ukrył przed nią informację, że Ciesielska zarabia więcej niż pozostałe księgowo w głoszącej hasła płacowej równości firmie. Dobrucki tylko udawał światłego szefa.

Lubiła Ninę za to, że chociaż nie założyła własnej rodziny i nie miała męża, trzymała się z dala od mężów koleżanek. Można ją było zostawić ze swoim partnerem sam na sam i mieć pewność, że nie rzuci się mu na szyję z seksualną propozycją. Lubiła Ninę również za to, że gdy zapytała ona, co słyhać, zawsze oczekiwała odpowiedzi. Terlecka, pomimo wielu zorganizowanych naprędce prowokacji, nie znalazła w koleżance egoizmu czy skłonności do współzawodnictwa. Toteż na wieść o jej awansie, choć dowiedziała się o nim jako ostatnia, zareagowała wzruszeniem ramion. Bać mogły się te, które regularnie ją oplatkowały.

Terlecka od razu zauważyła dziwne zachowanie nowej szefowej i bezbłędnie uznała, że wypływa ono z oczywistego źródła – miłosnego zauroczenia. A ponieważ owijanie w bawełnę wychodziło jej wyjątkowo nieudolnie, zapytała wprost, roszcząc sobie prawo do pełnej wiedzy w zakresie prywatnych wzlotów Niny Ciesielskiej:

– Nie spałaś u koleżanki, prawda?

– Aż tak słabo wychodzi mi kłamanie? – zbita z tropu Nina odpowiedziała pytaniem. Wiedziała doskonale, że pogrywać w ukrywanie prawdy z Terlecką mógłby jedynie sam Pan Bóg.

– Ludzka natura nie ma przede mną tajemnic, a już najmniej ma ich kobieca.

– Jesteś prawdziwą współczesną wiedźmą.

Atmosfera żartu wytworzyła między nimi intymną więź. Oddaliły się pod pretekstem zaparzenia herbaty, pochyliły smukłe sylwetki nad wypolerowanym blatem i ledwie słyszalnym dla innych pracowników szeptem kontynuowały rozmowę:

– Spotykasz się z nim od dawna?

– Widziałam go pierwszy raz.

– W nocy? To koniecznie przyjrzyj się mu ponownie, ale w świetle dziennym.

– Nie żartuj sobie. I tak zobaczyłam już więcej niż przewidywałam.

– Czyli krótko mówiąc – poddałaś się bez walki. Musi być bardzo przystojny, wysoki i postawny.

– Przeciwnie, jest niepozorny.

– Cóż więc spadło ci na głowę?

– On sam. Pierwszy raz mężczyzna dobrał się do mnie właśnie od głowy! Zobaczył we mnie kobietę i człowieka.

– To faktycznie fenomen. Co z nim nie tak?

– Pogadajmy poważnie. Wierzysz w to, że twój mąż stanowi twoje dopełnienie? Czujesz, że wskoczyłabyś za nim w ogień?

– Nie. Nienawidzę go i najchętniej uciekłabym od niego na drugi koniec świata. Wiesz przecież o tym...

– Tak, wiem. I pamiętam, jak mówiłaś, że od pierwszego spotkania z nim jakiś wewnętrzny głos podpowiadał ci, że ten mężczyzna nie będzie umiał docenić głębi twojego intelektu, nie będzie cię szanował i podziwiał.

– I głupia byłam, że nie posłuchałam podszeptu instynktu. On rzadko się myli.

– Serce ci go zagłuszyło. Widzisz, my – kobiety – mamy naprawdę dobry instynkt do mężczyzn. Z reguły od razu diagnozujemy, z jakim typem mamy do czynienia. Nie potrafię tylko wytłumaczyć, co dzieje się z nami potem, że przestajemy słuchać samych siebie. Wchodzimy w bagno, wiedząc, że w nim utoniemy.

– Ja weszłam w nie, bo podobno nikt inny by mnie nie wziął. Powiedział, że uratował mnie przed całkowitym zwiędnięciem w oczach mężczyzn. Nigdy nie należałam do urodziwych...

– Jeśli prawdą jest to, co mówisz, od teraz dwie kobiety nienawidzą twojego męża z taką samą mocą. Przecież to okrutne!

– Okrutne dopiero przyszło, gdy zamieszkaliśmy razem. Zaczęły się kłótnie, wyzwiska, a nawet rękoczynny. Każdego dnia dawał mi do zrozumienia, że jestem ofiarą losu i wynaturzeniem kobiecości. Znęcał się nade mną szczególnie w dniu urodzin, powtarzając, że nawet moja matka nie przypadkiem o nich konsekwentnie zapomina.

– To dlaczego chciał mieć z tobą dziecko?

– Prawie wyrwał mi je z łona w dniu porodu! On nie chciał dziecka ze mną, tylko ze mnie! Brak urody Matka Natura zrekompensowała mi zdrową i pojemną macicą, która gwarantowała swoim wytworom najwyższej jakości zdrowie. Traktował mnie jak obcą sobie surogatkę, podlewał jogurtem, brokułowym kremem i bananowym koktajlem, ale nie miłością czy czułością. Aż wyhodował sobie wzorcowy produkt, którym mógł pochwalić się w spragnionej potomka rodzinie. A potem wszyscy przestali zwracać na mnie uwagę, rozumiesz? W dniu porodu pominęli mnie, odtrącili i zeskrobali z małej jak skorupkę z jajka. Nie stanął w mojej obronie.

– Jak mała?

– Dziękuję, chowa się przykładowo, wręcz podręcznikowo. Żadnych problemów zdrowotnych, śpi całe noce, w dzień gaworzy. Jest prawdziwą małą księżniczką.

– No widzisz, oto światełko w tym ciemnym tunelu.

– Mówimy o mnie, a to ty miałaś powiedzieć mi o jasności, która rozpromieniła ostatnią noc.

– Ma na imię Jerzy. Jest biznesmenem i właścicielem niedawno powstałej firmy, która okazała się świątynią sukcesu. Reprezentuje typ intelektualisty o ciekawej świata naturze, czyta książki i interesuje się filozofią. Jest tym wszystkim, kim byłam kiedyś ja. Wymaga od siebie dużo, potrafi sprawić, by kobieta czuła się tak, jak ty nie czujesz się przy swoim mężczyźnie. Docenia głębię kobiecego intelektu, zna Virginie Woolf.

– Tak dobrze zdążyłaś go poznać w ciągu jednej nocy?

– Nie zapominaj, że inne kobiety również miewają dobry instynkt.

– Mówisz o nim jak o biologicznym preparacie badanym pod okiem mikroskopu.

– Bo po wcześniejszych doświadczeniach wolę od razu przedrzeć się do jądra skrywanego przez miliony zewnętrznych komórek.

– Czyli wstępne oględziny nie ostudziły twojego zapału?

– Przeciwnie, dopiero teraz, po wspólnej nocy, jestem Jerzego naprawdę ciekawa. Zamierzam rozłożyć ten podarowany mi przypadkiem przez los preparat do nieskończonych drobin.

– Niechże przynajmniej tobie szczęście sprzyja. Póki co, nie musisz się martwić o powodzenie. Wiedzie ci się na wszystkich frontach.

– A ty?

– Ja? Będę odpoczywać w pracy od nieudanego życia rodzinnego. Nie spieszy mi się z powrotami do domu. Mogę zostawać po godzinach, nie bój się mnie o to prosić.

– W takim razie poproszę się o coś jeszcze. Obserwuj uważnie każdego z pracowników. Zaapelowałam o zmiany, chcę mieć pewność, że je wdrażają.

– Mam donosić?

– Masz jedynie dzielić się ze mną wnioskami z obserwacji. Dla dobra firmy.

Terlecka zamieszała w szklance z herbatą, przy okazji podlała zapomniane kwiaty stojące na parapecie i leniwie udała się w stronę swojego biurka. Nie czuła wyrzutów sumienia z powodu okłamania przełożonej, której naprawdę zrobiło się żal koleżanki po fachu, tak srodze doświadczonej

przez życie i uciemienionej przez męża. Tymczasem prawda była taka, że każdego dnia wracała ona do domu pachnącego tęsknotą troskliwego partnera i niemowlęctwem bezproblemowej córki. Zostawanie po godzinach było dla Terleckiej niezbędne do wyrobienia swojej, przewidzianej etatem, normy. Pracowała wolniej niż inni. Szybciej po prostu nie umiała, ale za nic w świecie nie potrafiła się do tego przyznać. Smutną historię rodzinną wymyśliła po to, aby uzyskać w firmie Dobruckiego taryfę ulgową. Takie rozwiązanie podpowiedział jej niezawodny i nieomylny instynkt, którym została w zastępstwie bystrego myślenia hojnie obdarzona. I tym razem okazał się skuteczny, bo Terleckiej dość szybko udało się stworzyć specjalną strefę ochronną oddaną do użytku w obecności całej załogi, a potwierdzoną szczerą empatią Niny Ciesielskiej. Terlecka wiedziała, że Nina nienawidzi mężczyzn i pochylił się nad losem skrzywdzonej przez jednego z nich kobiety. Kłamała więc poetycko dalej.

Jakże zdziwiła się, gdy następnego poranka u progu firmy przywitało ją chłodne spojrzenie szefowej, karcące dziesięciominutowe spóźnienie.

– Wypałaś się? – zapytała ironicznie Nina, która przestała przejawiać oznaki dobrego nastroju wywołane pamiętną nocą.

– Okoliczności wskazują na to, że tak, ale... – zaczęła próbę wytłumaczenia się Terlecka.

– Wyśmienicie. To bardzo ważne, żebyś była w pracy wypoczęta. Sama wiesz, ile znaczy tu u nas skupienie. Tylko zregenerowany umysł jest w stanie poddać się rzetelnej koncentracji. I podołać obowiązkowi. A tych ci dziś nie zabraknie. Bierz notes i szykuj się na poranną naradę. Czekamy już tylko na ciebie.

Terlecka w mig zrozumiała, że prywatna zażyłość z Niną i włożenie na jej barki ciężaru historii o trudnym małżeństwie i tak zbyt długo stanowiły skuteczną zaporę w kamuflowaniu nieidealnej postawy zawodowej. Rozpieszczana najpierw przez rodziców, potem przez męża, zaczynała poznawać gorzki smak zarobkowania. Dotarło do niej, że urlop macierzyński przeminął, a wraz z nim skończył się okres słodkiego nieróbstwa. I chociaż nie była gotowa na wrzucenie drugiego biegu, pokornie przyjęła złośliwość losu. Zrozumiała, że może ją uratować tylko regularne donoszenie.

Rozkojarzona Nina, oczekując nadejścia całej załogi, nerwowo zerknęła na telefon, który z jakiegoś powodu nie dzwonił ani nawet nie wyświetlił jej kilku ciepłych słów. Spodziewała się przynajmniej troski o to, czy nie zasnęła na kierownicy samochodu i zdążyła do pracy. Chciała pochwalić się mu swoim wytrzymałościowym bohaterstwem oraz mandatem, który zachowała na pamiątkę jako kronikę poprzedniej nocy oraz dowód na to, że się wydarzyła. Rozpalone zmysły wciąż panowały nad jej ciałem i nie mogła ostudzić ich czwartą już szklanką zimnej wody mineralnej. Tęskniła za Jerzym, ukradkiem wdychając woń pachnącej nim apaszki. Nie знаła go na tyle, by przewidzieć, jak zachowa się po wspólnej nocy. Zakodowała w głowie dwa typy reakcji występujące u mężczyzn. Jedni wpadali już na długo w sidła swoich łóżkowych ofiar: wtulali się w nie, łaknęli z nimi kontaktu, telefonowali i zasypywali skrzynkę odbiorczą wylewnymi wyznaniem. Wiadomo było, że czekają na dalszy ciąg. Inni przepadali: wracali do swoich światów bez potrzeby recenzowania miłych chwil. Niekiedy, po upływie kilku tygodni, wysyłali lakoniczną wiadomość z klasycznym zapytaniem: „Co u Ciebie?”. Wiadomo było, że nie oczekują odpowiedzi zwrotnej. Dałaby głowę, że Jerzy reprezentuje pierwszą grupę. Najwidoczniej jednak słabo znała się na mężczyznach, bo jej telefon milczał.

Niechętnie odbyła spotkanie z podopiecznymi, złośliwie skumulowała im zadania z tygodnia w trzy dni robocze, po czym nakazała dyscyplinę czasową oraz liczbową. Sama znów zatopiła wzrok w monitorze.

Kiedy dźwięk telefonu poderwał ją z krzesła na nogi, zapłonęła widocznym dla wszystkich rumieńcem. Przyzwyczajeni do jej opanowania i powściągliwości w gestach, spojrzeli na siebie wymownie z wyraźnie wypisanym na twarzach komunikatem: Ciesielska wariuje! Profilaktycznie zamknęli się w sobie, zgarbili plecy i wprawili klawisze w szaleńczy ruch. Gdy przestali wgapiać się w nią, szybkim ruchem odblokowała telefon. Jednak wyświetlacz nie zaanonsował jej Jerzego. Długi sygnał domagający się odbioru pochodził od drugiego pracodawcy Niny, dla którego przez dekadę prowadziła całą księgowość. I chociaż momentalnie opadł jej entuzjazm, odebrała.

– Dzień dobry. Rozumiem, że jeśli dzwoni pan do mnie o tej godzinie, będziemy zaraz gasić jakiś

pożar – zażartowała, wypełniwszy się złymi przecuciami.

– Nie mam dobrych nowin, pani Nino – oznajmił pan Adam po kurtuazyjnym przywitaniu swojej ulubionej pracownicy. – Kataklizm jakich mało! Nabroilem. Żona wykryła niewinną zdradę, spakowała walizki i chciała opuścić nasz rodzinny przybytek. Po kilku nocach spędzonych na jej spazmatycznym płaczu oraz moich nieudolnych tłumaczeniach udało mi się sprawić, by została. Wybłągałem drugą szansę, ale postawiła warunek. Dzwonię, żeby poinformować panią, że zgodnie z wolą mojej żony jutro wyjeżdżamy z kraju. Lecimy za ocean, zacząć nowe życie i odciąć się od przeszłości. W związku z tym zamykam firmę.

– Jak to? Pozbywa się pan swojego dziecka, nad rozwojem którego tak długo razem pracowaliśmy? Tego też wymaga od pana żona?

– Nie, ona nie ma teraz głowy do interesów. To konieczność, pani Nino. Muszę szybko zgromadzić kapitał potrzebny na wystartowanie z nowym biznesem tam, w wielkim świecie, wśród tuzów finansjery. Lekko nie będzie. Tam zaczęć od zera.

– Nawet nie zna pan języka...

– Nauczę się. Podobno angielski nie jest trudny.

– Nie zna pan tamtejszego rynku...

– Ani on mnie i moich możliwości, więc możemy się wzajemnie pozytywnie zaskoczyć.

– Jest pan w stanie rzucić wszystko, co pan zna, kocha i z czym się identyfikuje, by przekonać żonę o swojej miłości? To dosyć bezwzględna pokuta.

– Jestem pod ścianą, pani Nino. Chwilowo nie decyduję o sobie. Większą karą byłoby dla mnie żyć bez rodziny. To wybór tragiczny.

– Czyli nasze zawodowe drogi rozchodzą się? – zapytała retorycznie zasmucona Nina.

– Niestety tak. Oczywiście wszystko odbędzie się jak należy, proszę się nie martwić, pani Nino. W związku z redukcją etatu otrzyma pani kilkumiesięczne zadośćuczynienie, najlepsze z możliwych świadectwo pracy oraz moją rekomendację w gronie najbardziej wpływowych w regionie postaci – obiecywał stanowczym tonem pan Adam.

Zapewniona o finansowym zabezpieczeniu, myślała już tylko o kończącej się właśnie współpracy z uwielbianym przez nią człowiekiem. Czuła autentyczny żal połączony z troską o dalsze losy pana Adama. Chciała powiedzieć mu, że był dla niej kimś więcej niż szefem:

– Wszystko to, co oferuje mi pan na odchodne, nawet w połowie nie wynagrodzi mi braku możliwości dalszej współpracy z panem. Przywiązałam się do pana jak do ojca, którego nie miałam. Wiedziałam, że pieniądze nie stanowią dla pana wartości nadrzędnej i dzięki temu możemy wszyscy czuć się bezpiecznie pod pańskimi skrzydłami.

– Czasem bywałem nerwowy. Ale to wina cholerycznego usposobienia.

– Jednym żartem potrafił pan sprawić, że napięta atmosfera rozplywała się w powietrzu.

– Nie zawsze mogłem was solidnie wynagradzać za pracę.

– Za to nie zapominał pan o publicznym pochwaleniu się nami i naszą pracą. Okazywał nam pan dużo serca. I zrozumienia.

Nina Ciesielska i Adam Nagórny znali się od dwudziestu siedmiu lat. Mieszkali na jednym osiedlu, ukończyli tę samą podstawówkę, choć w dużym odstępie czasowym. Wiedział, że dziewczynka wychowuje się bez ojca, więc postanowił stać się anonimowym patronem tego energicznego i zawsze uśmiechniętego brzdąca. W tajemnicy przed całym światem podrzucał do skrzynki pocztowej pani Krystyny koperty z okazałymi sumami pieniężnymi. Przez krótki czas myślała, że to w okrutnym mężu, który uciekł gdzie pieprz rośnie przed płaczem Niny oraz odpowiedzialnością za niewinne stworzenie, obudziła się ojcowska natura i że to od niego pochodzą hojne datki. Gdy jednak wyparł się tego, parsknąwszy na dowód sarkastycznym śmiechem, straciła złudzenia. I nie poznałaby prawdy nigdy, gdyby nie drobne przeoczenie, jakiego dopuścił się pan Adam. Otóż pewnego dnia przez roztargnienie wrzucił do koperty nie tylko pieniądze, ale i pokwitowany odbiór przesyłki kurierskiej ze swoim nazwiskiem i odręcznym podpisem. Pani Krystyna najpierw trzy kolejne noce spędziła na wylewaniu rzewnych łez, ale potem odwdzieczyła się wzruszającym listem zwrotnym, który tym razem sama

podrzuciła państwu Nagórnym wraz z przepięknie wyhaftowaną serwetą.

Pan Adam nie przestał interesować się losem dorastającej w utrudnionych warunkach Niny, dlatego gdy tylko ukończyła szkoły, wziął ją do siebie, powierzając jej najbardziej odpowiedzialne stanowisko w swojej firmie zajmującej się przetwórstwem ryb hodowlanych. Okazało się, że dziewczyna ma niezwykle zmysł finansowy i szybko zrozumiała prawa rynku. Zarządzała działem handlowym sprawnie i skutecznie, nigdy w swojej pracy nie powołała się na zażyłość z właścicielem. Zawładnęli europejskim rynkiem brawurowo, ich starannie wyselekcjonowane podwędzane łososie trafiły podobno nawet na angielski dwór królowej Elżbiety II. Dzięki przytomnej głowie i zapałowi udawało się Ninie jednoosobowo dokumentować i rozliczać cały eksport, za co pan Adam był jej niezwykle wdzięczny. Rzadko pojawiał się w jego zespole tak wszechstronny i ambitny pracownik. „Przodownica pracy”, „kobieta na łososiowym traktorze”, „kochanica Adamowica” – wrywało się regularnie z ust szyderczo usposobionych kolegów, ale nie przejmowała się tym. Znała prawdę, wiedziała, że z szefem łączy ją niemalże ojcowska relacja, a na swoją pozycję uczciwie zapracowała. W swoim własnym sumieniu była rozliczona.

Pan Adam był dobrym człowiekiem, ale nade wszystko – świetnym managerem. Doskonale znał światowe tendencje w dziedzinie motywowania swoich pracowników do wyteźzonej pracy oraz nagradzania najlepszych za ponadprzeciętne wyniki. Wiedzieli, że dzięki własnemu wysiłkowi mogą spełniać materialne marzenia. Nie odmawiał im prawa do wypracowania nadgodzin, pozwalał pojawiać się w firmie w wolne soboty, jeśli tylko potrzebowali zastrzyku gotówki. Żadne z nich nie miało prawa narzekać na swój zawodowy los, jednak czynili to bezustannie – dla zasady lub realizacji złośliwych instynktów. Ninę dopieścił najwyższą podwyżką, elastycznym czasem pracy, najnowocześniejszym sprzętem biurowym oraz pozwoleniem na pracę w firmie Dobruckiego. Wiedział, że Ciesielska potrzebuje pieniędzy jak mało kto w jego firmie. Wciąż przechowywał w głowie obraz małej radosnej dziewczynki wychowywanej przez ledwo wiążącą koniec z końcem matkę. Ignorował fakt, że Nina stała się już dorosłą, samodzielną kobietą, której skarbonka pęczniała z dnia na dzień, podobnie jak potrzeba korzystania z jej zasobów. Nie znał się na modzie, więc nie mógł oszacować kwoty dumnie noszonej przez Ninę każdego dnia w postaci ubrań czy biżuterii. Skoro błagała o możliwość pracy na drugim etacie, znaczyło, że egzystuje na granicy ubóstwa i należy pomóc jej odbić się od dna. Ponieważ Dobrucki zaoferował jej jeszcze lepsze warunki finansowe, pan Adam nie miał wyjścia – postanowił uczynić z Ciesielskiej pracownicę „na telefon”. Od tamtej pory nie musiała dokumentować swojej obecności w firmie, a wszelkie rozliczenia, bilanse i analizy wykonywała w domu lub – okazjonalnie – w uśpionej po godzinach pracy innych siedzibie łososiowego eldorado. Dzięki niepisanej umowie z Nowakową, która zapewniała temu systemowi płynność, działał on bez zarzutu.

– Pani Nino, ja doskonale rozumiem sytuację, nie musi pani tłumaczyć – hamował jej nieskładną mowę, gdy całą sobą próbowała przekonać go, że potrzebuje dodatkowych pieniędzy i grzechem byłoby odrzucić ofertę Dobruckiego.

– Ja naprawdę szanuję pieniądze, wydaję je rozsądnie i unikam zbędnych wydatków. Ale chcę w końcu odwdziżyć się mamie za to, że przez całe moje życie musiała wstawać rano głównie po to, by zarobić na moje potrzeby. Zasłużyła na zwolnienie tempa i bardziej beztroskie pobudki.

Zręczną manipulacją Nina przypieczętowała pracę na dwóch etatach. Powołanie się na trudny los matki zamykało dyskusję i nakazywało panu Adamowi duchowo wesprzeć córkę Krystyny Ciesielskiej. Nigdy nie dowiedział się, że według Niny, matki wcale nie należało żałować. Skoro chciała ona mieć dziecko, musiała liczyć się z konsekwencjami w postaci trudu wychowania i zarabiania. Taki był naturalny porządek rzeczy i nie należało go komplikować ani zbyt hiperbolizować.

– Ma pani całkowitą rację. Krystyna już wystarczająco długo pracowała i dźwigała swój krzyż. A i pani, droga Nino, powinna mieć w końcu pieniądze na porządny samochód czy zagraniczną wycieczkę z partnerem – kontynuował wrażliwy pan Adam.

– To w ostatniej kolejności, panie Adamie. Potrzebuję pieniędzy „na życie” – spuentowała rozmowę, zachowując dla siebie definicję ostatnich słów.

Nagórny nie robił więc trudności. Pozwolenie na dodatkowe zatrudnienie potraktował jako

kolejny sposób okazania Ninie wdzięczności za sprawne zarządzanie lawinowo mnożącymi się finansami wyhodowanymi wraz z łososiem. Oboje dzięki nim realizowali swoje marzenia i korzystali ze światowych rozkoszy. Zarabiali razem, wydawali osobno.

I trwałoby to nieskończenie, gdyby nie drobna zdrada, jakiej dopuścił się pan Adam, poznawszy młodą, inteligentną i seksowną kelnerkę, która nienagannie obsługiwała go podczas kolacji biznesowych. Okazała się bystrą i przebojową kosmopolitką o liberalnych poglądach na damsko-męskie stosunki, dzięki czemu udało się panu Adamowi pokonać wewnętrzny opór moralny. Spotykali się regularnie i namiętnie, ale wpadli podczas jednej ze schadzki, a nakrył ich nie kto inny jak pies Cerber w postaci węższej od dawna żony. Znała swojego męża doskonale, więc zmiana jego zachowania nie mogła pozostać niezauważona. Godzinami milczał nad gazetą, nerwowo zerkał na telefon, częściej niż zwykle chodził do fryzjera. Oznaczało to jedno – miał kochankę. Wynajęła więc prywatnego detektywa, który swoim talentem zaprowadził ją wprost w ramiona domniemanej Afrodyty. Pech chciał, że akurat obejmowała nimi swojego Adonisa, który natychmiast poderwał się z łóżka i padł żonie do stóp. Podobno dopiero wtedy zrozumiał, jak bardzo ją kocha i że nie potrafiłby bez niej żyć. Kosmopolitka nakryła się kołdrą i pierwszy raz w życiu poczuła, czym są granice.

Pan Adam kochał je obie, ale musiał dokonać wyboru, bo żyć mógł tylko z jedną. Wybrał dalsze życie z tą, którą kochał dłużej. Natychmiast zarządziła ona przeprowadzkę na skraj świata, aby uniknąć publicznego poniżenia i szyderstw ze strony cnotliwych koleżanek. Decyzja o likwidacji firmy zapadła w jeden wieczór. Następnego dnia pani Nagórna osobiście dopilnowała wszczęcia niezbędnych procedur kończących działalność. Chciała jak najszybciej pozbyć się łososiowego magazynu, przykrych wspomnień oraz możliwości kontaktu męża z tamtą kobietą. Powodzenie męzowskiej firmy i jego sentymenty wobec zatrudnionych w niej pracowników zeszyły na ostatni plan. Poza tym, w ramach rewanzu, musiała mu odebrać coś, co było dla niego ważne, tak jak on zabił część jej osoby.

W taki to sposób Nina straciła wygodne i stabilne źródło utrzymania oraz cichego patrona czuwającego nad jej losem. Miała na szczęście alternatywne – w firmie Dobruckiego. Odetchnęła z ulgą. Szybko dokończyła rozmowę z panem Adamem, by umożliwić Jerzemu skomunikowanie się z nią. Niestety, nie dążył do tego już drugi dzień.

Chcąc skrócić czas niewygodnego oczekiwania, zaczęła rozmyślać o zdradzie. Dopiero teraz dotarło do niej, że pan Adam uległ urokowi młodej kokietki. Choć był niezwykle mężczyzną o gołęmbim sercu, zachował się jak klasyczny samiec. Wystarczyło kilka prostych zabiegów tamtej, by spuścił spodnie i stracił rozum, wystawiwszy żonę na pośmiewisko. I choć wiedział, że to najgorszy z upadków, jakich mógł dopuścić się w życiu, poddał się mu. A skoro on to zrobił, zrobiłby to każdy inny mężczyzna.

Na szczęście wobec Niny zawsze zachowywał się odpowiednio, choć wszem i wobec głosił, że jego księżowa jest nie tylko bystra, ale i najbardziej reprezentatywna w całej okolicy. Przez myśl jej nie przeszło, że mógł po cichu jej pożądać. Podświadomie uspokajało ją to, że pan Adam nie zatrudniał tylko wymiarowych kobiet, jak czynili jego koledzy, oraz że zdjęcie żony ceremonialnie zdobiło jego biurko. W licznych opowieściach głoszonych między kolejnymi poleceniami do wykonania barwnie i z zachwytem opisywał jej zalety. Kobiety – codzienną pracą swoich rąk wynoszące na piedestał pomorskiego łososia – mogły spać spokojnie, wiedząc, że ich szef jest amatorem i admiratorem jednej, złowionej dawno temu, sztuki.

Pani Nagórna była wprawdzie o pięć lat starsza od męża, jednak różnicę tę niwelowała młodzieńczym wyglądem. Miała świeżą cerę, wąską talię i kształtne uda, które regularnie podrzeźbiała ćwiczeniami pilates. Miała coś, czego brakowało wielu innym kobietom, niezależnie od wieku: klasę. Anorektyczne modelki z kretesem przegrywały z nią rywalizację o najkorzystniejsze rozpostarcie szlachetnych dzianin na korpusie. Królewsko wyglądała w ostrej czerwieni, która przydawała jej zmysłowej kobiecości, a na szpilkach poruszała się z gracją baletnicy. Dbała o dom, dzieci, zdrowe posiłki, organizowała życie towarzyskie, pomagała mężowi załatwiać pilną dokumentację w urzędach. W czasie gdy wystawała w długich kolejkach, on pilnie pracował z Niną nad zdobyciem kolejnych tysięcy polskich złotych. Nagórni mieli wszystko – zdrowie, szczęście rodzinne i pomyślny interes. Czas zatrzymał się dla nich w chwili największego szczęścia. Pieniądze traktowali jako wartość drugorzędą

i prawdopodobnie dzięki temu udało się im stworzyć związek udany oraz oparty na niematerialnych wartościach.

Jednego tylko nie mógł znieść pan Adam w żonie – gorliwej pobożności. Żył w jej cieniu, nie rozumiejąc, dlaczego tak mądra kobieta daje się otumaniać kościelnym dogmatom i zdemoralizowanym klechom. Krzywo patrzył na jej coniedzielną pielgrzymkę do kościoła, czytanie dzieciom przed snem fragmentów Biblii zamiast baśni o śpiących królewnach czy wolontariacką działalność w radzie parafialnej. Poświęcała się tym czynnościom z przerażającym go zaangażowaniem i śmiertelną powagą. Uznawaną wizję świata uprościła do dwóch kolorów: białego i czarnego. Jej konserwatywne poglądy na naturę ludzką nie uwzględniały duchowych upadków i moralnych dwuznaczności. Malowały jej świat pędzlem jednoznacznego dobra lub bezwzględnie czynionego zła. Gdy przyłapany na zdradzie mąż okazał się słabym malarzem, postanowiła zniszczyć jego dzieła i naszkicować je od nowa. Egzorcyzmy zamierzała odprawić za oceanem.

Troska o stan psychiczny lubianej przez nią pani Nagórnej oraz jej własne przykre przeżycia w tej materii kazały Ninie zastanowić się nad istotą bolesnego doświadczenia, jakim była zdrada. Dręczył ją pewien paradoks, który powracał wraz z często zadawanym sobie pytaniem: skoro większym i piękniejszym wyzwaniem dla człowieka jest dochowanie wierności, dlaczego ludzie tak chętnie szli na łatwiznę, zdradzając? Przecież od wieków walczyli o to, by nie pojmować człowieczeństwa jako degradowania się do rzędu zwierząt, pragnęli uszlachetnienia słabego charakteru do rangi anielskiej, tymczasem bez większego oporu wyrządzali krzywdę innym. Rodziło to kolejne pytanie: co w ten sposób zyskiwali? Próbując na nie odpowiedzieć, zagubiła się jeszcze bardziej. Trudno jej było uwierzyć, że właśnie tak może być skonstruowany świat, że ci sami, którzy głoszą pochwałę miłości jako największej wartości, potem wskakują do obcego łóżka, robią, co robią, otrzepują się z dowodów cudzołożenia i wracają do swoich oficjalnych partnerów lepszymi rzekomo ludźmi. Za sprawą zdrady stają się lepszymi żonami, mężami, rodzicami. Czytała niedawno, że stopień satysfakcji osiągniętej w małżeństwie nie wpływa na prawdopodobieństwo dopuszczenia się zdrady przez mężczyzn. Aż 56 procent mężów, którzy mieli romans, oceniało swoje małżeństwo jako „bardzo szczęśliwe”. Tak naprawdę nie musieli szukać żadnego dopełnienia, ale najwidoczniej potrafili znudzić się nawet usatysfakcjonowaniem. Te same artykuły próbowały przekonać ją, że zdrada niesie za sobą szereg korzyści, takich jak: podniesienie samooceny, psychiczne odreagowanie, zaprzestanie fizycznego napastowania żony niemającej ochoty na seks. Kolejne akapity informowały, że w typologii zdrad istnieją pewne trendy zależne od zmiennych czynników. Tak więc zdrada stała się powszechnym, naukowo opracowanym zjawiskiem, często występującym w przyrodzie.

Nina uważała, że zdrada materializuje się tylko tam, gdzie człowiek odkrywa w sobie przestrzeń dla obcego człowieka i zaprasza go do wspólnego igrania z ogniem. Sam jest źródłem zdrady, rodzaj intencji nie ma znaczenia. Osiągnąwszy stan uczuciowego bezpieczeństwa, zaczyna rozglądać się za nowym zagrożeniem, które pozwoli mu zawładnąć żywiołami, odkopać nowe lądy czy po prostu – odbić się od ziemi i żywiołów już oswojonych. Ta pokusa stale czyha na człowieka, a on ulega jej wbrew logice i rozumowi. Albo postępuje jeszcze prościej – zaczyna utożsamiać miłość ze zobowiązaniem lub/i nadludzką odpowiedzialnością, które każą mu zapomnieć o sobie samym. Wtedy włącza się naturalny mechanizm obronny i zdrada okazuje się konieczna do odzyskania utraconej tożsamości. Tyle że w jej konsekwencji znów wpada się w te same sidła, bo jednostkowe istnienie, jak powracająca fala, domaga się usprawiedliwienia i potwierdzenia w kolejnym człowieku. Zdrada jest rozpięta pomiędzy indywidualnością a prometeizmem, między odpowiedzialnością za drugą istotę a pragnieniem wolności.

Myślała również o konsekwencjach zdrady, jakie dotykały człowieka dawniej i z jakimi musiał zmierzyć się on aktualnie. Wśród Indian Ameryki Północnej cudzołóstwo karane było okaleczeniem ciała: obcięciem włosów łonowych, uszu, ust lub nosa. W niektórych rejonach Afryki kobiety kupowało się, płacąc za nie bydłem lub innym inwentarzem. Gdy mężczyzna został przyłapany na cudzołóstwie z żoną innego mężczyzny, musiał zapłacić własnej żonie rekompensatę w bydle. Gorzej miały kobiety, które poddawano infibulacji, czyli zszyciu warg sromowych większych, które wykonywano zazwyczaj zaraz po usunięciu łechtaczki. Niezależnie od modelu kultury, wszędzie popularną praktyką było

zhańbienie niewiernej kobiety, najczęściej publiczne. Analogiczne czyny męskie nie podlegały aż tak bezwzględnej ocenie. Nina zdziwiła się, że aż do XIX wieku zdrada mężczyzny nie była traktowana jak wykroczenie przeciw prawu. We Francji utrzymywanie kochanki i jej obecność w domu małżonków była przestępstwem tylko wówczas, gdy żona sprzeciwiała się temu. Dopiero w 1952 roku Austria, jako pierwszy kraj na świecie, uznała niewierność obu płci za takie samo wykroczenie. Dla współczesnych zdrada znów przestała nim być, stała się co najwyżej „nabrojeniem”, jak zdefiniował ją pan Adam. I bezdyskusyjnie zasługiwała na drugą szansę.

Pan Adam zdradził! Nie odpowiedział wiernością na wierność swojej małżonki. Czy ukarał ją za to, że dzieliła swoją miłość między niego a Boga i Kościół? Jakież byłoby to okrutne! A jeśli zdrady dopuścił się ktoś taki jak on, znaczyło to tyle, że lot ku sferom anielskim jest aktualnie passé. Zamiast autouszlachetniania, wciąż popularnością cieszyło się wykazywanie instynktownych zachowań animalistycznych.

Nina pomyślała o seksie ze swoim radcą, który zapomniał poinformować ją, że kochają się w trójkącie. W dodatku ona sama była jego najmniej znaczącym ramieniem. Przeżyli niewyobrażalne uniesienia cielesne, takie, jakie najwidoczniej możliwe są tylko w przypadku zdrady. Przypomniała sobie Macieja. Gdy zobaczyła go wchłoniętego przez uda jego lawendowej żony, poczuła się zdradzona. Odkryła w sobie ogromną pogardę dla niewiernych obyczajów oraz dla siebie samej, bo stała się ich ofiarą.

Rozmyślenia nad istotą znieawidzonego procederu przerwał jej donośny dźwięk telefonu, z którego nareszcie popłynął aksamitny głos Jerzego:

- Jak mija dzień? Mam nadzieję, że udało ci się odnaleźć pod nogami stały grunt.
- Owszem – skłamała. – Jestem już obiema półkulami po stronie zaksięgowanego świata.
- Świetnie, więc jak tylko skończysz z porządkowaniem ciągów liczbowych, przyjdź, proszę, do „Księgarni”. Zapomnieliśmy o najważniejszym.
- A ty jak się czujesz?
- Uśmiecham się szerzej niż zwykle, wypilem też więcej kawy.
- To była magiczna noc.
- Inna niż wszystkie.
- Trudno przestać o niej myśleć.
- A dlaczego mielibyśmy to zrobić?
- O czym zapomnieliśmy?
- O pracy, Nino. Nie ustaliliśmy warunków współpracy. Zadzwoń, jak tylko będziesz w drodze do „Księgarni”.

Odłożyła nie tylko telefon, ale i wszystkie pilne zlecenia, jakie piętrzyły się teraz na jej biurku. Wymknęła się cichaczem z gabinetu, a potem zaszyła się w kącie firmowej łazienki, by od podstaw wykonać świeży makijaż. Dłoń drżała jej jak podczas egzaminu na prawo jazdy, mimo to zmobilizowała ją do profesjonalnych ruchów. Znowu nieskazitelnie piękna, bez słowa wyjaśnienia opuściła siedzibę firmy. Nie pamiętała szaleńczej jazdy samochodem w kierunku światła kawiarnianego neonu. Resztką przytomności kodowała w głowie pojawianie się na sygnalizatorze zieleni, która zwiastowała coraz szybsze zobaczenie Jerzego. Ignorowała telefony od matki, nie słyszała szumu ulicy w centrum miasta. Chciała już zasiąść w wygodnym fotelu ich „Księgarni” i poczuć zapach jego skóry.

Na szczęście przyszedł punktualnie. Wyglądał niezwykle męsko, lepiej niż wtedy, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Ten Jerzy był tajemniczy, wrażliwy i nieprzeciętnie inteligentny. Ten Jerzy znał literaturę, kinematografię i afirmował gotyk. Poruszał się lekko, nie drażnił nadmierną gestykulacją, nie podnosił głosu, rozmawiając. Zauważyła, że ma on na sobie modne ubranie i wyperfumował się nowym zapachem. Szarmancko przystawił swoje usta do jej dłoni, odsunął krzesło i posadził Ninę w blasku rozpalonej świeczki. Przez dłuższy moment z nieskrywanym zachwytem wpatrywał się w modre oczy onieśmiałej partnerki, w końcu jednak zainicjował rozmowę:

- Zaskoczyło mnie to, co przyniosła nam ubiegła noc. Zwłaszcza preludium, jakie rozegrało się nad chilijskim winem. Była w tym jakaś głębia...

– Tak, to prawda – ucieszyła się, słysząc wiarygodnie brzmiący entuzjazm w jego głosie. – Po raz pierwszy przeżyłam podobne uniesienie wywołane konwersacją z obcym mężczyzną i nie do końca jeszcze rozumiem wszystko, co się wydarzyło.

– Nie musisz. Pozostaw to podświadomości, ona będzie wiedziała, co z tymi chaotycznymi reminiscencjami zrobić.

– Obawiam się, że przeceniasz jej możliwości.

– Gdy nie potrafisz czegoś zrozumieć, porzuć usilne poszukiwanie odpowiedniej definicji. Życie nie polega na nazywaniu.

– A na czym?

– Na przeżywaniu.

– Więc minionej nocy żyłam pełnią życia.

– Cieszę się, że przypisujesz mi stwórcze moce.

– A ja cieszę się, że widzę cię ponownie, w świetle dnia.

– Dnia, który zaczniemy od kolejnego aktu zespolenia się w jedność.

Nina znieruchomiała i pobladła. Siła oddziaływania jego słów była tak ogromna, że z trudem przeprowadzała przez siebie każdy oddech. Starła się zachowywać naturalnie, ale przerastało to jej możliwości. Od kilkunastu godzin Jerzy miał nad nią całkowitą władzę. Nie była w stanie racjonalnie zarządzać swoimi myślami, emocjami ani zachowaniami. Usłyszawszy zmienny tembr jej głosu, natychmiast wyczuł tę słabość, ale powstrzymał się przed jakąkolwiek reakcją. Przekonana o tym, że udało jej się ukryć podenerwowanie, mogła przynajmniej złożyć składnie kilka wyrazów:

– Masz na myśli powrót do idei mojej pracy w „Glinianej Oazie”?

– To już nie jest idea, droga Nino. Właśnie staje się faktem. Proponuję ci pracę w mojej firmie. Chcę, żebyś została główną nadzorczynią finansową naszych najważniejszych projektów. Ich szczegóły wytłumaczę ci potem. Zleciłem już przygotowanie dla ciebie gabinetu, przyniosłem umowę. Oczywiście nie musisz rezygnować z pozostałych etatów. Proponuję ci elastyczny czas pracy. I wielkemiejskie zarobki. Będziesz szczęśliwa, spełniona i zadowolona z atmosfery, jaka u nas panuje. Stawiamy domy, więc sami musimy czuć się jak w domu. Podpisz ten dokument, a otworzysz nowy rozdział w swoim życiu.

Nie potrafiła stwierdzić, czy na jej decyzji zaważyło ostatnie wypowiedziane przez Jerzego zdanie czy nieodparta chęć bliższego poznania jego samego, ale bez zbędnego komentarza podpisała umowę. Tym sposobem Nina Ciesielska i Jerzy Dębski zamieszkali w jednym domu.

Po pożegnaniu pana Adama i przymusowym rozstaniu się z jego firmą znów pracowała na dwóch etatach. Wewnętrzny instynkt nakazał jej natychmiastowy powrót do stanu równowagi. Podczas gdy pan Adam uzyskał jej błogosławieństwo na wyjazd za granicę, Dobrucki modlił się o to, by „Gliniana Oaza” nie podkupiła mu najbardziej zaufanej pracownicy.

7.

Wieczorem krzątała się po wynajmowanym mieszkaniu bez logicznie nakreślonego planu. Jakaś niewidzialna siła przestawiała ją z miejsca w miejsce, za nic nie chcąc Ninie podarować wygodnego położenia. Coraz bardziej obco czuła się w zimnej przestrzeni należącej prawnie do Zimińskiego. Na szczęście już niedługo miała ją opuścić, w dodatku w poczuciu wielkiej osobistej satysfakcji. Deweloperski blok dumnie wznosił się, podlewany potem wykwalifikowanych robotników. Efekt ich trudu na bieżąco podglądała w aplikacji telefonicznej. Niecierpliwiła się, pragnąc w końcu zobaczyć minę Zimińskiego, ze zdziwieniem przyjmującego wiadomość o wyprowadzce niedocenianej lokatorki. Zasługiwał na przyjęcie nieprzyjemnego zaskoczenia bardziej niż ktokolwiek. Czuła, że mężczyzna życzy jej wszystkiego najgorszego, choć był regularnym i pewnym płatnikiem. Pomyślała, że nie lubił jej, bo była ładna, a nie mógł z jej urody w żaden sposób skorzystać.

Zbierała siły na rutynowe sprzątanie, ale wyczerpana długą bezsennością fizyczna nie wrożyła powodzenia w realizacji zamysłu. Rozkojarzona Nina postanowiła zadzwonić do matki, by poinformować ją o nagłych zmianach zawodowych. Pani Krystyna początkowo oburzyła się, słysząc, że ośmieliły się one zająć bez czynnego udziału jej osoby. Dotąd sama decydowała o tym, co jest dla córki najlepsze, co się najbardziej opłaca i gdzie będzie czuła się bezpiecznie. Była jej nieformalnym i samowolnym agentem, który – dzięki wieloletniemu doświadczeniu i doskonałemu rozeznaniu na rynku pracy – potrafił przygotować Ninie najlepszy z możliwych gruntów. O „Glinianej Oazie” nie słyszała, a to natychmiast zrodziło sytuację alarmową, rozsierdzenie i skrajny sceptycyzm:

– Dziwię się tobie, Nineczko, że tak łatwo dałaś się zmanipulować temu Dębskiemu.

– Nie zmanipulować, a przekonać, mamó. W zasadzie to spadł mi teraz z nieba, jakby wiedział o występku pana Adama.

– Nie występku, tylko ciężkim grzechu. Takiej to maści anioły latają między nami...

– Zostawmy pana Adama w spokoju, on i tak już nie pamięta, co to pojęcie znaczy.

– Sam sobie spokój zburzył, nie żałuj go!

– Ja mu po prostu współczuję. Czekają go zmiany totalne, a wiesz, jak on ich nie lubi.

– Jestem mu wdzięczna za wszystko, co dla nas zrobił. Ale prawdziwego mężczyznę poznaje się po tym, jak kończy.

– On jeszcze nie powiedział ostatniego słowa. Dajmy mu szansę.

– Na co? Na nawrócenie?

– Na zrozumienie tego, co poczuła jego żona.

– Nie przywróci jej to pierwotnego stanu szczęścia, jakie miała w rodzinnym gronie. Zniszczył ją na zawsze. Kobieta pamięta, nawet jeśli wybacza.

– Może uda jej się zapomnieć, tam, za oceanem.

– Lepiej dla niej, żeby pamiętała.

– Nie wierzysz w ludzi. Wszyscy popełniamy błędy.

– Owszem, najczęściej wtedy, kiedy nie chcemy czegoś wiedzieć. Ani widzieć. A ty? Co wiesz o tym Dębskim? Przecież to jakiś ubrany w marynarkę szatan! Nikt uczciwy nie osiąga dziś sukcesu zawodowego w tak krótkim czasie, a już z pewnością nie tutaj, na słupskim podwórku.

– Nie mierz wszystkich miarą swoich wątpliwości.

– Ja po prostu staram się być ostrożna. Zrozumiesz to, gdy będziesz miała własne dziecko.

Argument ten skutecznie zamykał Ninie usta. Nie zamierzała opowiadać matce o zrodzonej wśród gotyckich murów zażyłości oraz chęci urodzenia dziecka mężczyźnie, który właśnie złączył się z nią pępowiną w postaci umowy o pracę. Uznała, że wysłuchiwanie przestroż matki automatycznie zamykało ją na potencjalne związki. Tym razem należało odsunąć od siebie matczyne umoralnianie i podążyć za własnym instynktem.

– Myślę, że warto podjąć ryzyko. Czasem człowiek musi przekroczyć granice znanego. Praca dla Dobruckiego, nawet po awansie, to za mało, żeby mogła spać spokojnie. Zawsze oczekiwałaś ode mnie pracy na dwóch niezależnych etatach. Bądź więc konsekwentna w swojej postawie.

– Zawsze też oczekiwałam od ciebie lojalności. Nie skonsultowałaś ze mną swojej decyzji. Po prostu ją podjęłaś. Zaufałaś bardziej jemu niż mnie.

– Jestem już dorosła, mam. Nie musisz stać za każdą moją decyzją.

– Nie muszę, jeśli jest ona podparta racjonalnym myśleniem.

– Więc przyjmij do wiadomości, że i tym razem przemyślałam sprawę dokładnie. Nie mam nic do stracenia. Mogę tylko zyskać.

– Wiążąc się z kimś takim, jak ten Dębski, możesz stracić wszystko, na co z takim trudem pracowałaś.

– Drażni mnie twoje uprzedzenie do tego człowieka. Nie znasz go.

– Za to ty poznałaś go ze wszech miar, prawda?

– Rozmawiając w podobny sposób, nie znajdziemy wspólnego języka.

– Nineczko, ja cię proszę, przemyśl to dobrze. Nigdy pochopnie nie podejmowałaś życiowych decyzji. Z trudem poznaję własną córkę.

– Oczekuję od ciebie wsparcia, nie zrozumienia.

– Przecież ty w ogóle nie znasz się na tej glinianej branży.

– Będę poznawać ją w toku pracy, dzień po dniu.

– I myślisz, że ten Dębski będzie cierpliwie czekać, aż nauczysz się podstaw alfabetu?

Nina miała ochotę wykrzyknąć matce, że Jerzy zaoferował się zostać jej prywatnym korepetytorem oraz cierpliwym nauczycielem. Najwyraźniej był lepszym człowiekiem niż inni, lepszym niż pani Krystyna – porzucona przez męża matka, której nie udało się osiągnąć znaczącego sukcesu. Gdyby wiedziała, jak głęboka relacja zaistniała między mistrzem a uczennicą w czasie gotyckiej nocy, pozbyłaby się obaw. Jednak otrzeźwiona pouczającym tonem matki Nina postanowiła zachować tę wiedzę dla siebie.

– Nastął czas działania, a nie myślenia, mam – starała się uspokoić panią Krystynę. – Jutro zacznę pracę w nowej firmie.

– Czuję, że nie przekonam cię ani nie odwiędę od tej decyzji. Kiedyś słuchałaś moich sugestii...

Ale wtedy nie znałam Jerzego – pomyślała Nina. – Tym razem to on chwycił mnie za rękę i poprowadził za sobą. Czuję, że czeka mnie najbardziej odkrywczą podróż w życiu. Nie mogę w nią zabrać ze sobą ciebie, mam.

Podjęcie pracy na stanowisku specjalistki od finansów w firmie, o której istnieniu i funkcjonowaniu nie miało się najmniejszego pojęcia, faktycznie było nowym doświadczeniem w życiu Niny Ciesielskiej. Jeśli istniała ogólna skłonność człowieka do podejmowania ryzyka, córka pani Krystyny z reguły nie wykazywała jej wcale. Ceniła to, co bezpieczne i przewidywalne, tak jak uczyła ją matka. Zwykle odtrącała od siebie wszelkie kategorie niepewności czy wieloznaczności. Planowanie było jej drugą naturą. I chociaż życie nie raz wymknęło się jej spod kontroli, wierzyła, że minimalizowanie ryzyka stanowi gwarancję prawidłowego psychicznego funkcjonowania. Unikała więc ludzi, którzy wystawiali ją na pokuszenie lub zachęcali do poszerzania granic uformowanej już odwagi. Gdy komukolwiek zdarzyło się skłonić ją do ryzykownych zachowań, umiała dobrze skalkulować swoje szanse. W końcu była księgową. A księgowo po prostu traktowały ryzyko jako zło konieczne. Takie myślenie wpajała jej przez lata pani Krystyna i myślała, że córka zawsze będzie mu ulegać w chwilach kuszenia.

Jakże była zdziwiona teraz, kiedy Nina, jakby na przekór, próbowała przekonać ją, że wpojony schemat postępowania nie jest uniwersalny:

– Wiesz, że zawsze liczyłam się z twoim zdaniem i że stanowiło dla mnie główny drogowskaz – przyznała Nina, łagodząc swoją postawę. – Dzięki temu uniknęłam w życiu wielu katastrof. Ale są sytuacje, kiedy trzeba wykroczyć poza swoją strefę komfortu. Inaczej człowiek nie dowie się, na co go jeszcze stać. Czuję wewnętrzny impuls do wystawienia siebie na próbę. Cokolwiek powiesz, nie powstrzymasz mnie przed tym.

– Ale dlaczego, Nineczko? Dlaczego nie mogłaś poczekać z decyzją?

– Bo zrobiłabyś wszystko, żeby jej nie podjęła. A ja naprawdę chcę spróbować zmierzyć się

z tym wyzwaniem.

- Czasem przeraża mnie twoja odwaga.
- Jeszcze niedawno cieszyłaś się, że zaczęłam ją wykazywać.
- Zbyt szybko uległaś mężczyźnie.
- Uległam sobie, mamo.
- I nie zmienisz zdania?
- Nie. Właśnie wsiadłam na tratwę i odbiłam od stałego lądu. Czuję, że to będzie piękny rejs.

Krystyna Ciesielska po raz pierwszy poległa na polu bitwy. Była pewna, że szatan w marynarce zamierza zrobić Ninie krzywdę i uczyni to niechybnie na jej własne życzenie. Zakończyła telefoniczną konwersację, a potem gorzko zapłakała w poczuciu bezradności.

Rozdrażniona pełną napięcia rozmową z matką Nina zajęła się szukaniem w internecie informacji na temat domów z gliny oraz firmy, której pracownicą od kilku godzin była. Z satysfakcją odkryła, że na branżowych forach „Gliniana Oaza” uzyskiwała jak najbardziej pochlebne rekomendacje. Ponadto zdobyła europejskie certyfikaty jakości, uhonorowano ją nawet tytułem *Innowacyjnej Formuły Roku Europy Środkowej*. Firma była nieduża, ale działała prężnie i według najnowocześniejszych standardów. Absolutnie nie przypominała korporacyjnej pustyni, której tak bardzo obawiała się Nina, wkroczywszy na rynek pracy. Do podślupskiej strefy ekonomicznej można było dojechać w ciągu dziesięciu minut, bez trwania w korkach i przyulicznym jazgocie. Sama nawierzchnia jezdni obiecywała przejażdżkę płynną i nieszkodliwą dla zawieszenia jej nowej toyoty. Strona internetowa „Glinianej Oazy” zawierała zakładkę umożliwiającą odbycie wirtualnego spaceru korytarzami firmy oraz zajrzenie do jej pomieszczeń. Nina zaparzyła zieloną herbatę i zasiadła wygodnie w fotelu, by odbyć inicjacyjną podróż do krainy stworzonej przez Jerzego.

Wnętrze budynku było kawowo-białe, odpowiadało więc estetycznym gustom młodszej z Ciesielskich, podobnie jak i waniliowe wyposażenie gabinetu szefa. Zaprojektowane zostało ono w stylu nowoczesnym, realizującym idee minimalizmu i przestrzennej otwartości. Funkcjonalny układ gabinetów zapewniał płynną komunikację między pracownikami. Wśród mebli dominowały te o prostych geometrycznych kształtach i zaskakujących formach. Nie przesadzono z ich zdobieniem, jakby ktoś założył, że uroda masywnych pudeł zawiera się w formie, proporcjach i zastosowanych materiałach. Zauważyła różnorodność zastosowanych materiałów, prym wiodły stal, szkło i kamień, z rzadka pojawiało się także egzotyczne drewno, którym wyłożone zostały kawałki podłóg. Nienaprzekrzające się swoją obecnością ścianki działowe wykonano z tafli szkła i luksferów. W głębi holu dostrzegła kuchnię z modną „wyspą”, zabudowaną najwyższej jakości sprzętem AGD. Jej lokatorami stały się: srebrna lodówka produkująca naprędce kostki lodu, pojemna zmywarka, nieskazitelnie czysta płyta indukcyjna, a nawet amerykańska kawiarka spieniająca mleko. Uwydatniona na śnieżnobiałej ścianie i skomponowana z wielu fragmentów fotografia reprezentowała wysoki stopień artystycznego wyrafinowania, nadawszy pomieszczeniu światową perspektywę klasy premium. „Gliniana Oaza” zdawała się być pomostem, na którym klasyczna idea minionego spotkała się z nowoczesną formą trwającego.

Zawartość internetowej zakładki *Kadra* wskazywała na to, że trzon kierowniczy firmy stanowią głównie kobiety, które w swoim krótkim życiu zdążyły zgromadzić większą od liczby przeżytych wiosen ilość certyfikatów i dyplomów. Prawie każda z nich zajmowała osobny gabinet. Były podobno znanymi w branży specjalistkami, o czym świadczyły skany artykułów prasowych. Robotnicy, określani jako *Nasi Rzemieślnicy*, pracowali wyłącznie na zewnątrz budynku, więc nie nanosili błota do działów biurowych. Siedziba firmy lśniła czystością, fascynowała precyzyjnie zaprojektowanym układem przestrzennym oraz zachęcała do odwiedzin wszystkich, którzy cenili komfort i schludne wnętrza.

– Sterylne biurwy i ubłoceni najemnicy – szeptała do siebie Nina, powoli przesuwając kursor po ekranie. – Jak świat światem, społeczeństwo zawsze musi być podzielone dwubiegunowo. Jak to dobrze, że starczyło mi chęci do nauki. Dzięki temu mogę spokojnie realizować się wytwórczo wśród piękna i pedanterii. Jerzy myśli chyba podobnie. Trzeba przyznać, że stworzył wyjątkowe miejsce. Patrząc na nie, zaczynam rozumieć, dlaczego zapragnął do swojej świątyni właśnie mnie.

Oczami wyobraźni wieszala już na ścianie swoją kolekcję dyplomów i obmyślała zestawienie kolorystyczne pierwszego kostiumu, jakim idealnie wkomponuje się w obcą sobie i wymagającą zachowania najwyższych estetycznych standardów przestrzeń. Wierzyła, że pierwsze wrażenie bywa dla podświadomości podstawowym kodem charakteryzującym daną osobę. Chciała ukazać się podwładnym Jerzego w pełnej krasie.

Zaproponowana jej kwota wynagrodzenia wydawała się tak nierealna, że Nina z trudem powstrzymywała się przed układaniem listy pobożnych życzeń. Wszystko wskazywało na to, że już za chwilę rozpocząć się miało beztroskie, niekoniecznie kontrolowane, wydawanie. Przez myśl przeszło jej, że niechęć matki do jej nowej pracy wynika z zazdrości. Nikt nigdy nie zaproponował Krystynie Ciesielskiej podobnych warunków zatrudnienia, chociaż uważała się za niezastąpioną rachmistrzynię w każdym przyjmującym ją do pracy zakładzie. Najwidoczniej matka nie była przygotowana na to, że prześcignie ją w zaradności jej własna córka, która za szybko stała się samowystarczalna. Ale Nina nie zamierzała za siebie przepraszać. Oczekiwała od matki pełnego zrozumienia oraz uznania dla swoich dokonań zawodowych. Nie uzyskawszy jednego ani drugiego, straciła potrzebę kontaktowania się z nią.

Przeglądając się uważnie lustrzanemu odbiciu swojej sylwetki, zauważyła na przedramieniu drobne siniaki, których obecność zdradzała lubieżny charakter gotyckiej nocy. Podrażnienie skóry nad wargami spowodowane było łapczywym całowaniem, a ostrze rozkoszy nadal wbijało się, choć tym razem już tylko wspomnieniem, w podbrzusze. Śmiałymi myślami ciągle jeszcze falowała w jedwabnej pościeli, łapiąc resztki oddechu. Widziała płaski brzuch Jerzego i jego wydatne pośladki, z których delikatnie zsuwała białe bokserki. Skrywał pod ubraniem ładnie umięśnioną sylwetkę, której istnienia nie podejrzewało się w pierwszej chwili kontaktu z tym niepozornym człowiekiem. Miękkości skóry mogłaby pozazdrościć mu niejedna kobieta. Był zmysłowy i szybko się podniecał. Zarządzał jej ciałem odważnie, zachowując jednak reguły przyzwoitości. Naznaczał ją sobą za sprawą delikatnych muśnięć wargami, a potem niegroźnym kąsaniem. Zdominował jej ruchy, ale nie skrępował ich.

Nina zawstydzila się, więc odeszła od lustra. Poczula potrzebę podzielenia się z kimś wspomnieniem doświadczonej rozkoszy. Postanowiła zadzwonić do Terleckiej, ale podświadomie hamowała się przed nawiązaniem z nią bliższej zażyłości. Przypomniała sobie, że była przecież teraz w firmie Dobruckiego szefową i nie mogła pozwolić na to, by jedna z podwładnych poznała nazbyt intymne sekrety swojej królowej. Damy dworu powinny trzymać się swojego miejsca w szeregu. W sferze relacji damsko-damskich Nina z pewnością nie była gotowa na podjęcie ryzyka. Odłożyła telefon. Zresztą, wszystkie kobiety świata nagle stały się jej obce: matka, Terlecka, nawet zdradzona pani Nagórna. Nina była przekonana, że żadna z nich nie zrozumiałaby cudu wypadków minionej nocy.

By nie karmić zmysłowym napięciem stęsknionej za Jerzym duszy, postanowiła zająć się terazniejszością. Usiadła na podłodze i włączyła telewizor. Na przypadkowo wybranym kanale zaczynał się właśnie amerykański film *Godziny*. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że jedną z bohaterek uczyniono w nim Virginię Woolf, która zainspirowała twórcę ostatecznym poddaniem się „głosom” i prześladowującej ją samobójczej manii. Nina drżała na dźwięk imienia Virginia, jednak tryb spracowanego życia sprawił, że nigdy wcześniej nie znalazła czasu na to, by uważnie prześledzić ten dar dziesiątej muzy dla całej egzystencjalnie myślącej ludzkości.

Zgasila światło, zaciągnęła rolety, po czym przeniosła się na fotel. Nie było jej dla świata. Oblana rumieńcem, odpłynęła wraz z pierwszym ujrzanym kadrem. Napisy wymieniły nazwiska trzech jej ulubionych aktorek: Meryl Streep, Julianne Moore i Nicole Kidman. Każda z nich była w filmie głosem Virginii! Ktoś wykonał mistrzowską robotę, dobierając obsadę. Tym kobietom powierzyłaby najskrytsze myśli. Gdy w końcu zajaśniały na szklanym ekranie, stwierdziła, że wyglądają cudownie metafizycznie. Stopiły się ze swoimi rolami w jedność. Wraz z niezwykłą trójcą zagęściły się psychologiczne znaczenia, wątki i komplikacje. Nina w skupieniu śledziła ich biografie: Virginie na pozór miały wszystko, co potrzebne jest do szczęścia: kochającą rodzinę, dzieci, poczucie bezpieczeństwa i dobrobytu. Wszystkie trzy były uwielbiane, zamożne i podziwiane. Obcowały z pięknem, naturą i sztuką. Virginia Kidman pisała w liście do męża, że trudno wyobrazić sobie szczęśliwsze małżeństwo niż to, które ją spotkało. Virginia Moore żyła jak w reklamie „amerykańskiego snu” z lat pięćdziesiątych. Virginia Streep

rozkoszowała się smakiem prawdziwej kobiecej wolności, ciesząc się związkiem z inną kobietą. Wydawałoby się, że wspólnym mianownikiem łączącym te trzy historie jest szczęście. A jednak okazało się ono jedynie cieniem czegoś, co pograżyło się w bezkresnym mroku Virginiowych wnętrz. Trzy różne tła wyreżyserowały ten sam dramat niespełnienia i lęku.

Załamaly się – niezależnie od czasu historycznego, okoliczności zewnętrznych i indywidualnych cech charakteru. Namalowały sobą egzystencjalny obraz głębokiego, wewnętrznego niepokoju, a nawet przerażenia tym, że jest tak, jak jest. Były bezradne wobec swoich demonów, które straszły je nie tyle przykrymi wydarzeniami, ile codziennymi godzinami. Virginie pokazały kobiecą wrażliwość i metafizyczny uwiad wzniosłych oczekiwań. Odegrały drgania kobiecej duszy rozpiętej między szaleńczym pragnieniem szczęścia a masochistycznym rozplywaniem się w pustce i nicości. Marząc o śmierci, zapragnęły żyć. Nie znały się, a jednak pozostawiły po sobie te same pytania: kim naprawdę były i czy możliwe jest istnienie w zgodzie ze swoją prawdziwą naturą?

Nina – nieznaną życia innego poza tym, które miała – poczuła głęboką wspólnotę z trzema obnażającymi się na ekranie wcieleniami uniwersalnej kobiecej psychiki. Dawniej mieniła się wielością nastrojów i odcieni radości, uczciwie pracowała na swoją pozycję oraz uznanie, aktywnie rozglądała się za dopełniającą porywy duszy miłością. Ostatnimi czasy przygasła, zmęczona i rozczarowana naturalistyczną sferą rzeczywistości, w której poruszała się z coraz większą apatią. Żadna z wyznawanych dotąd wartości nie chciała zagościć w niej na stałe.

Pojawienie się Jerzego zwiastowało nadchodzący przełom. Znów chciała być nieokielznanym żywiołem, z którego wytryśnie strumień świadomości istnienia. Miał on przedostać się do świata zewnętrznego, by rozmyć zgliszcz rozczarowań i niedokonania. Nina Ciesielska postanowiła, że od teraz będzie już naprawdę szczęśliwa.

Pod wpływem filmu zaczęła odważniej odtwarzać w swojej głowie fantastyczną noc z ciekawym mężczyzną. Odwzorowywała ją szczegół po szczególe, przenosząc strzępy dialogów do pamięci długotrwałej. Pragnęła ich kontynuacji w blasku świec i nieśmiałych przejawów rozplywania się Jerzego nad głębią jej oczu. Pragnęła miłości i namiętności. Pragnęła właściciela „Glinianej Oazy”.

Przypomniała sobie fragment rozmowy, która zaistniała między ich cielesnym aktem a pójściem spać. Wyczerpany i odległy myślami Jerzy zapytał:

– A gdyby okazało się, że jest to jedyna noc, jaką spędzimy razem, żałowałabyś swojej spontanicznej decyzji?

– Zapach kwitnącej róży pamięta się przez całe życie, nawet jeśli zwiędnie ona nad ranem – odpowiedziała poetycko, szukając odpowiednich metafor obrazujących stan jej emocji.

– Jesteś wyjątkową kobietą. Inną niż te, które dotąd spotkałem.

– Nie wiem, jakie były i są tamte, ale o mnie możesz być spokojny. Nie będę cię zmuszać do wyprawienia róży pogrzebu.

– Ależ ja wcale nie chcę go urządzać! Wsadzę cię do wazonu i będę napawać się twoim pięknem.

– Oby szybko nie zwiędło.

– Podleję cię sobą.

– Lubisz kwiaty?

– Lubię róże.

– *Pani Dalloway powiedziała, że sama kupi kwiaty.*

– Bo żaden mężczyzna nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo chciałaby je dostać.

– Opiekowała się nimi jak mężczyznami.

– Raczej jak ich wyobrażeniem. Ukwieciła sobie rzeczywistość.

– W moim mieszkaniu nie ma nawet wazonu.

– Najwyraźniej przyzwyczaiłaś się do braku kolorów.

– Za to teraz czuję się, jakbym leżała na wielobarwnym pachnącym dywanie, który wyściela bezkresną łąkę ukrytą za gotyckim murem.

– To zamknij oczy i wykradnij ten widok wyobraźni. Niech pozostanie najpiękniejszą reminiscencją tej nocy.

Nina spełniła kolejną jego prośbę.

Gdy spod uniesionych powiek patrzyła teraz na świat, wszędzie odbijał się cień konturów Jerzego. Wszędzie też jaśniały kwiaty. Zrozumiała, że podarował jej w najniezwykłej z możliwych form.

Przemawiające z ekranu Virginie przekonywały, że musi pozbyć się wewnętrznej dekadencji, która wyrządziła jej już wystarczająco dużo krzywd. Nina Ciesielska, Bóg jeden wie kiedy, stała się zlepkiem smutku, próżni i zrezygnowania, a Jerzy z pewnością oczekiwał spotkania kobiety radosnej, spełnionej i inspirującej do działania.

– Skradziono mi życie – wydobyło się z głębi telewizora. – Żyję w mieście, w którym nie chcę żyć. Prowadzę życie, jakiego nie chcę prowadzić. Tylko ja mogę zrozumieć swój własny stan. Mogę odejść, kiedy chcę. To moje prawo. Prawo każdej ludzkiej istoty. Oto mój wybór. Nie można odnaleźć spokoju, unikając życia.

– Nie można odnaleźć spokoju, unikając życia – powtórzyła Nina.

Przez ostatnie lata swojego życia postępowała dokładnie odwrotnie.

Ale oto nadszedł Dzień Sądu. Zapragnęła rozliczyć przeszłość i wyprawić jej symboliczny pogrzeb, na gruzach dawnego mikroświata zasiać nowy – wrastający w nią pąkami kwiatów i korzeniem miłości. Znowu poczuła żal do matki, która wychowywała ją w surowym przekonaniu o braku sprawiedliwości na świecie i uczciwości mężczyzn w relacjach z kobietami. Kontrolowane przez panią Krystynę dojrzewanie córki i jej wejście w epokę pracy wyposażyły Ninę nie tylko w odpowiedzialność, ale także w silny mechanizm hamujący spontaniczność. Być może dlatego zdębiała na myśl o tym, że mogłaby tak po prostu urodzić Maciejowi dziecko. Nie było ono ujęte w rozplanowanym na najbliższe lata biznesplanie. Nie potrafiła też przystać na przypadkowe randki, skorzystać z urlopu na żądanie czy spędzić sylwestra ze znajomymi zamiast z matką. Była posłusznym tworem, który żył i rozwijał się z dala od większych skupisk ludzkich oraz kształtujących człowieczeństwo problemów dnia codziennego. Ochronny klosz rozpostarty przez matkę nad jej głową okazał się ciasną i duszącą szklarnią. Zamiast rozkwitać w tych specjalnie dla niej wyselekcjonowanych warunkach, dzień po dniu marniała. I choć początkowo próbowała sama nawozić się marzeniami lub złudzeniami, potem umarły nawet one. Choć była młoda, nie miała za czym tęsknić, czego oczekiwać, z kim dzielić „godzin”.

Kończąc studia, postanowiła – zgodnie z wolą matki – po prostu żyć przyzwoicie: częściej działać niż myśleć, wyznaczać sobie drobne cele zawodowe, potem większe i trudniejsze, aż do osiągnięcia mistrzostwa w księgowym fachu. Dzięki wrodzonej inteligencji realizowała je bez przeszkód, odhaczając w myślach kolejne wykonane zadania. Nie oczekiwała w zamian nic poza poczuciem, że zrobiła to, co do niej należało. Gdy rodziło się w niej pobudzenie intelektualne, poddawała się mu na krótki czas, ale zawsze w tajemnicy przed matką. Wszelkie szaty namiętności nie były w tej dwuosobowej rodzinie mile widziane. Pani Krystyna żywiła przekonanie, że na nic zdadzą się twórcze akty myślenia, skoro rzeczywistości i tak nikomu nie uda się zmienić. Podobno od wieków trwa ona niezdolna do przeobrażeń.

Nina unikała zatem wylewności, roznamiętnienia i nadmiernego psychologizowania. Mężczyzn traktowała z dystansem, kobiety z podejrzliwością, pracę – z niezbędnym do przetrwania w niej zaangażowaniem, które w skażonych kombinatorstwem czasach i tak okazywało się nie lada wyczynem. Za agenta gwarantującego Ninie zdobywanie kolejnych zleceń robiła dobra reputacja wypracowana w pierwszych dniach zatrudnienia. O nic więcej nie musiała się w życiu starać. Znakomita opinia o Ninie Ciesielskiej pracowała na jej materialne potrzeby.

I tak mijały lata, dni, godziny odmierzane zleceniami dojrzałego życia, które niewiele miało wspólnego z pełnią rozwoju intelektualnego napędzanego gejzerem sił witalnych. Zwłaszcza w ostatnim czasie codzienne czynności ograniczały się do zmagania z poranną niechęcią do wstawania, ze spadkiem motywacji i narastającą biernością ogólną. Godziny ciążyły Ciesielskiej albo swoją niewystarczalnością, albo nadmiarem.

A przecież gdzieś tam obok toczyło się normalne życie! Ludzie cieszyli się nim, łaknęli jego przejawów, przyjmowali je z płaczem lub radością. Gdzieś tam obok były kobiety, które nie zaszywały

się w mieszkaniach po zakończeniu pracy. Czekali na nie spragnieni wrażeń mężczyźni, dzierząc w dłoniach pachnące bukiety. Bukiety te symbolizowały więc życie! Życie, którego Nina Ciesielska dawno pozbyła się ze swojej prywatnej przestrzeni. I nagle wtargnął do niej Jerzy Dębski, a wraz z nim przyszła wiara w to, że rzeczywistość jednak pozwoliła na dokonanie zmian.

– *Zawsze patrz życiu w twarz. Dopóki się nie przekonasz, do czego ono jest. Do końca, aż je poznasz. Aby pokochać je takie, jakim jest* – kolejne werbalne iskry rozpałały zasluchaną duszę Niny. – *Oto początek szczęścia. W tej chwili się zaczyna i od tej chwili zawsze będę je odczuwać. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że to nie był początek. To było szczęście!*

Gotycka noc stała się początkiem szczęścia kobiety, która była teraz czwartą, nadprogramową bohaterką *Godzin*. Czowała zespolenie ze wszystkimi Virginiami świata, dawnego i współczesnego. Zrozumiała, że czas złączył je niewidzialnym konturem trwania obok wysp radości, spełnienia i prawdziwego czucia.

– Jak mogłam liczyć na szczęście, gdy nie miałam odwagi po nie sięgnąć i gdy myślałam, że należy się ono wszystkim, ale nie mnie? – pytała doznającą właśnie olśnienia siebie.

Trąby jerychońskie rozbrzmiały delikatnie pulsującym rytmem smyczkowego kwartetu z fortepianem, którego dyrygentem został Philip Glass. Koił on nagły wybuch emocjonalnej burzy w sercu Niny, regulował poszarpany oddech, zatrzymał u źródła łzy. I po zakończeniu sądu nastąpiła emocjonalna neutralność. Nina zasnęła, nie doczekawszy końca filmu.

W tym samym czasie zmęczony przeerotyzowaniem Jerzy zaszył się w swoim przytulnym mieszkaniu, otworzył whisky i włożył do odtwarzacza płytę ze *Wściekłym bykiem* w reżyserii Martina Scorsese. Trudno stwierdzić, skąd wzięło się jego uwielbienie dla tego filmu, a zwłaszcza dla kreacji Jake'a La Motta, którego brawurowo zagrał Robert De Niro. Było to typowo męskie kino akcji, którego raczej nie oglądało się ze swoimi partnerkami, za to często pojawiała się podczas samczych schadzek z mocnym trunkiem w tle. Bohaterowi filmu przyszło walczyć nie tyleż z pięściarskimi przeciwnikami, ile z wewnętrznymi demonami, a pośród nich największą władzę miał nad nim gniew. Mężczyznę irytowało wszystko: dźwięki, codzienność, ludzie. Najmniej cierpliwości miał dla własnej żony. Gdy ta podejrzewała go o zdrady, odpowiadał jej argumentem siły. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnie zagrażającego jej zdrowiu, gdyby nie fakt, że Jake został zawodowym mistrzem świata w boksie. Na ringu odznaczał się wyjątkową brutalnością, masakrując swoich rywali. Kolejne zwycięstwa nie przynosiły mu psychicznej stabilizacji, coraz bardziej przypominały krwawą rzeź serwowaną rywalom przez rozjuszone zwierzę cierpiące w człowieczej formie. Pięściarz niszczył przeciwnika, ale nie dawało mu to pełnej satysfakcji. Osiągnąłby ją pewnie wówczas, gdyby mógł go zabić. Brutalny instynkt nagradzany był laurami, rosnącą sławą i fortuną. Ale obok nich rosło w potęgę coś jeszcze – obłąd. Zawładnął on kruchą duszą człowieka, który nie potrafił poradzić sobie ze swoim charakterem. Jediną kobietą, której Jake okazywał przez lata wierność, była Furia. To ona wykrzywiła twarze widzów i kazała im zakrywać oczy. Po wyjściu z kina wiedzieli jedno – nienawidzili Jake'a bardziej niż on samego siebie.

Ale Jerzy Dębski – ku własnemu zdumieniu – rozumiał go.

– Wiecie, na czym polegała potęga tego człowieka? – pytał kolegów, polewając im kolejne porcje whisky podczas jednego z „tych” spotkań. – Nigdy nie pozwolił nikomu zniszczyć się, zmodyfikować, przeformować. Aby nie dać się znokautować, musiał przenieść prawa ringu do życia codziennego.

– Oj tak, nawet ognisko domowe uczynił swoim ringiem. Baby bywają najgorszym punktem zapalnym – wtórował mu Adam Walecki, najświeższy w stadzie rozwodnik. – Ja to czasem miałem ochotę udusić swoją za to, że oddychała. Tylko ręka złożona w pięść do niej przemawiała.

– A nie bałeś się, że któregoś dnia naprawdę zrobisz jej krzywdę?

– Bałem się jedynie utraty wolności. Wiem, że to ścierwo od razu zrobiłoby obdukcję i uziemiłoby mnie na długie lata. Powstrzymywała mnie więc wizja świata oglądanego zza krat. Nie mogłem dać jej tej satysfakcji.

– Trudno żyje się na co dzień z kobietą.

– Bardzo szybko zaczyna ona przeszkadzać.

– Ciekawe, czy są takie, które nie domagają się bezustannej uwagi.

– Obawiam się, że wszystkie porodzone z wytatuowanym na czole napisem: *Patrz, podziwiał i zapomnij, że wcześniej żyłeś sam.*

– Próbowalem kompromisu, ale poziom mojej irytacji wzrastał z każdym dniem. One nie rozumieją, co znaczy oddać się idei innej niż miłość. Najpierw chciały odciągnąć mnie od książek, potem od projektowania, w końcu – od budowania. Nie miałbym dziś „Glinianej Oazy”, gdybym poddał się ich woli.

– My zawsze myśleliśmy, że nasz Jerzyk – stwórca domów idealnych – będzie pierwszym, który odpadnie i zaprzeda duszę małżeńskiemu diabłu.

– Cieszę się, że udało mi się was rozczarować.

– Żartuj sobie, żartuj. Tymczasem to my przegraliśmy swoje życia, a ty jesteś panem swojego losu. Skoro potrafisz zlepić z gliny te domy, to może uda ci się cofnąć czas.

– Przecież w każdej chwili możesz od niej odejść. I ty, Krzychu, od swojej również. Macie jedno życie, należy do Was. Jeśli nie odpowiada wam aktualny stan rzeczy, wystarczy go zmienić.

– Łatwo ci mówić, bo nie masz z żadną babą wspólnego kredytu, nie spłodziłeś dzieciaka, nie podlegasz władzy teściowej, która może narobić ci koło dupy tak, że wywiozą cię z miasta na wozie z gnojem.

– Ale właśnie dlatego, że tłumicie swoje rozgoryczenie, siedzimy dziś pijani w sztok i heroizujemy Jake’a.

– Myślisz, że to baby są winne naszej agresji?

– Myślę, że żadna nie zasługuje na to, żeby którykolwiek z nas musiał toczyć walkę z samym sobą.

– Ty nigdy nie uległeś?

– Uległem niejednej, ale nie poległem w konfrontacji z ich oczekiwaniami.

Dziesięć lat wcześniej Jerzy na wszelki wypadek postanowił, że nigdy nie będzie mieć żony. I chociaż przez jego łóżko przewinęły się tuziny kobiet, konsekwentnie trwał w tym postanowieniu.

Koledzy nie wiedzieli, że bał się obłędu, odkąd skończył czternaście lat i wpadł w furję po tym, jak podczas nocowania u kolegi zdarzyło się mu zobaczyć jego ojca okładającego pięściami swoją żonę. Celując w jej czaszkę, był niewytłumaczalnie podniecony. Nikt nie wiedział, czym go zdenerwowała i czy w ogóle się odezwała. Z reguły siedziała w ciemnej kuchni, zupełnie niewidoczna i przezroczysta. Mimo to mąż zawsze znalazł powód, by oskarżyć ją o spowodowanie jakiegoś fragmentu zła na ziemi. Wielokrotnie obrażał ją na oczach tych dwóch dorastających chłopców, którzy w końcu przestali czuć do niej empatię, chociaż robiła im najlepsze tosty pod słońcem. Wmówił im, że kobieta jest nie tylko ofiarą losu, ale i najgorszą z możliwych matek. Nie raz więc szturchnął ją ramieniem, aż przewróciła się na podłogę. Zaczęli robić zakłady, których przedmiotem stało się obstawianie, jak szybko podniesie się i wróci do swoich codziennych czynności. Spodobała się im różnorodność stosowanych przez mężczyznę wyzwisk. Zafascynowani wulgaryzmami, powtarzali je pod nosem, odgrywając sceny małżeńskich utarczek. Jerzyk wcielał się zwykle w pana domu. Okładał kolegę z niewymuszoną wściekłością, czasem aż do krwi. Tamten nie wiedział już, kiedy zabawa przeradzała się w autentyczną bitwę.

Ale gdy pewnego dnia ojciec kolegi przyłożył kuchennemu kopciuchowi tak mocno, że słycać było trzask łamiącej się szczęki, obaj chłopcy instynktownie schowali się za grubą zasłoną w małym pokoju. Zakrywali uszy, by nie dochodził do nich przeraźliwy kobiecy pisk. Błagała ich o pomoc, jednak strach przed reakcją oszalałego mężczyzny paraliżował im ruchy. Przestał znęcać się nad wątłym ciałem dopiero po kilku minutach, po czym odszukał przerażonych malców i oznajmił tryumfalnie:

– Uczcie się od mistrza, bękarty! Nie będzie baba pluć wam w twarz! One tylko w dniu ślubu stoją wystrojone, radosne i pełne zapału. A potem zrzucają z siebie seksowne fatałaszkę, uśmiech i chęci. Stają się zakałą mężczyzny, wiszą na nim i jego ciężkiej pracy. Gnoić je i patrzeć, czy równo puchną! I regularnie stawiać do pionu! Jak się baby nie bije, to wątroba jej gnije!

Jerzy wiedział, że nigdy nie zapomni tej lekcji, choć przez kolejne lata usilnie starał się to zrobić.

Zanim zdołał wytłumaczyć sobie, co się wówczas stało, wyparł złe wspomnienie ze świadomości. Niestety, regularnie przejawiało się ono w sferze podświadomości, zwłaszcza gdy zasypiał snem twardym i spokojnym. Budził się w środku nocy spocony i dyszący, przebijając powietrze uderzeniami pięści. Wypełniała go agresja najwyższego stopnia i żałował, że nie mógł przywalić komuś naprawdę. Oczami wyobraźni widział się w roli gladiatora oprzemieniającego swoją siłą ogromną arenę. Jego bronią nie był miecz, ale ściśnięty do granic możliwości zestaw składający się z dłoni i piekielnie wytrzymałego nadgarstka. Siał nim totalne spustoszenie wśród wyimaginowanych wrogów. Prosił go o łaskę, czołgając się u jego stóp, ale tłum pokazywał kciuk skierowany do dołu. Wtedy, wezwany do wykonania ostatecznego gestu destrukcji, uderzał ofiarę w sam środek szczęki.

Miał dwa wyjścia: udać się do psychiatry albo pomóc sobie samodzielnie. Wstydził się obnażenia przed kimś słabości, więc postanowił poświęcić swój spragniony wrażeń umysł nauce i pracy. Wyżywał się intelektualnie do granic wytrzymałości, śledził nowinki technologiczne, do rana czytał branżowe czasopisma w języku angielskim. Z czasem postanowił stworzyć budowle własnego pomysłu. Na studia poszedł po to, by uciec od miejsc, które kojarzyły mu się z agresją: faktyczną lub wyobrażoną. Musiał oderwać się od dawnych znajomych i nadopiekuńczej rodziny. Musiał uciec od samego siebie. Wróżyli mu wielką karierę pokojowo usposobionego intelektualisty, więc należało spełnić ich oczekiwania. Zaprojektował swój świat od nowa, użył do tego przemyślanych metod i trwałych narzędzi. Gladiatorską sławę zamienił na wyrazy uznania środowiska akademickiego, a potem biznesowego. Profilaktycznie osadził się w samotności, którą raz na kwartał porzucał, by stać się duszą towarzystwa stolikowego skupionego nad dwiema butelkami whisky. Jerzy mógł być każdym, kim tylko zapragnął, tak mu się przynajmniej wydawało.

Gdy budziła się w nim agresja fizyczna, wyciągał z szafy treningową torbę i wydzwaniał do instruktora Łukasza z prośbą o prędkie zorganizowanie lekcji tenisa. Tamten wiedział, że takiemu klientowi nie odmawia się usługi. Zawoził go na kort, a potem obserwował, jak Juras tnie rakietą powietrze, przewraca się i potyka o własne nogi. Mimo to przebiegał rogi boiska w zawrotnym tempie, broniąc przed upadkiem najtrudniejsze piłki. Łukasz nie krył zadowolenia ze zwoływanych naprędce sparingów, bo żaden inny klient nie zmuszał go do takiego wysiłku.

– Grasz dzisiaj jak rozjuszony byk! – zaczął Juras w celu wzbudzenia w nim nadprogramowej sportowej agresji.

– Lubię zapach ringu – odpowiadał zgodnie z prawdą Jerzy.

– Masz w sobie silny zwierzęcy instynkt.

– Nie jestem zwierzęciem. Nie jestem zły.

– Ale bywasz nieobliczalny jak zwierzę.

– A tobie podoba się taka corrida. Dlatego spotykamy się niezależnie od pierwotnego układu grafiku, prawda?

– Prawda. Lubię grać z kimś, kto przekracza granice.

– Lubisz grać ze mną.

Gdyby Jake La Motta nie został bokserem, odbierałby długi dla miejscowych mafiosów. Gdyby Jerzy Dębski nie zajął się gliną i tenisem, znęcałby się nad kobietami.

I tak spotkali się w jednym łóżku: ona – szukająca swego dopełnienia Virginia, i on – oswojone na czas gotyckiej nocy dzikie zwierzę. Jakaś nieznana im i bezrozumna siła zadrwiła sobie z miłosnych prawideł. Ani przez moment nie przeszło mu przez myśl, żeby po jednej upojonej nocy wpaść w sidła wygłodniałej Niny i stać się jej ofiarą. Była wyjątkową kobietą, czuł to pod skórą, być może nawet przewyższała go erudycją, a do tego miała idealną sylwetkę i zjawiskowe oczy. Ale nie szukał partnerki.

Nina pomyślała, że do czasu „tej” nocy nie spotkał jeszcze odpowiedniej kobiety i dlatego zwlekał z założeniem rodziny. Dodatkowo wywnioskowała, że jest wycofany, a lata twórczej pracy w samotności pozbawiły go śmiałości do kobiet. Postanowiła cierpliwie popracować nad przywróceniem mu normalności. W końcu miała teraz widywać go zarówno na gruncie zawodowym, jak i prywatnym.

Póki co, spóźniał się z telefonem na dobranoc.

8.

Następnego dnia – niesiona ciekawością nowego miejsca pracy – pomknęła uskrzydłona pod gmach firmy Jerzego. Była gotowa. Wprawdzie nie dodał jej otuchy wieczornym telefonem – bo i w ogóle go nie wykonał – ale czuła, że może liczyć na jego wsparcie. Wkroczenie na nowy teren zawsze wymaga odwagi, a tej trochę Ninie w porannych godzinach brakowało. Chciała usłyszeć jakiś przyjazny głos, ale nie potrafiła wybrać w myślach osoby, która mogłaby powiedzieć jej teraz coś z głębi szczerego serca. Dzwonienie do matki miało się z celem, choć dotąd to pani Krystyna najskuteczniej umiała podsycić upadłego ducha córki. Pan Adam miał aktualnie inne zmartwienia, a Terlecka pewnie zmagala się właśnie z przebudzonym dziecięcym i męzowskim żywiołem. Nina stanęła więc u wejścia do jaskini lwa sama ze swoimi lękami. Na szczęście zorganizowała się zawczasu: uprzedziła Dobruckiego o tym, że w nadchodzącym tygodniu odwróci kolejność zmian i wykona swoje obowiązki w jego firmie późną porą popołudniową. Najbliższe dni miały być poświęcone przede wszystkim poznawaniu „Glinianej Oazy”. Nie był zadowolony, bo i nie tak wyobrażał sobie nowe kierownictwo, a doskonale wiedział, jak uważnie trzeba monitorować każdy ruch swoich pracowników. Jednak zgodził się, wzbiwszy się na wyżyny zrozumienia, po czym uprzedził, że sytuacja nie może trwać dłużej niż pięć dni roboczych i że nie wyobraża sobie podobnego układu w kolejnych tygodniach. Dla każdego pracodawcy usługi świadczone na rzecz jego firmy automatycznie stawać się miały dla zatrudnionych w niej wybrańców priorytetem. Nina akceptowała to i nie zamierzała tego stanu rzeczy zmieniać. Potrzebowała tylko jednego tygodnia na splecenie ze sobą dwóch podobnych wyzwań, by potem samoistnie mogły realizować się równolegle względem siebie.

Nie wiedziała o jeszcze jednej rzeczy, która dawała jej sytuacyjną przewagę. Dobrucki był cichym admiratorem „Glinianej Oazy” oraz biznesowego talentu Jerzego Dębskiego. I chociaż reprezentowali różne branże, to obaj stali się rozpoznawalnymi twarzami swoich firm. Byli skuteczni i przedsiębiorczy, ale wzbudzali różny odbiór społeczny. Podczas gdy o Dębskim mówiono: „geniusz”, Dobruckiego opatriono etykietą: „dorobkiewicz”. Pierwszego chwalono pod niebiosa za talent organizatorski, drugiego ganiono za skąpstwo i zatrudnianie po tanioci całej rzeszy psujących rynek pseudospecjalistów. Rzeczywiście, Dobrucki zatrudnił wyjątkowo szeroką kadrę, bo wydawało mu się to przejawem biznesowego powodzenia. W ten sposób trzynastka śmiazków robiła to, co u Dębskiego obrotna siódemka. Podczas jednego ze szkoleń skierowanych do właścicieli średnich przedsiębiorstw Dobrucki dowiedział się, że współczesne trendy są odwrotne do tych, które wdrożył u siebie, i jeśli chce się być „nowoczesnym szefem”, należy raczej minimalizować ilość rąk do pracy przy jednoczesnym kumulowaniu stanowisk.

Tajemnicę tę odkrył przed właścicielami lokalnych firm zgromadzonymi w auli drogiego pensjonatu człowiek światowy, wykształcony i wykazujący ponadnaturalny zmysł do zarządzania. Zasłuchali się w niego jak w wyrocznię. Był nim Jerzy Dębski. Z charakterystyczną dla siebie skromnością objawiał przyszłym krezusom tajniki prowadzenia nowoczesnej i nowatorskiej firmy. O wykład poprosili go przedstawiciele gminy, która wciąż zajmowała jedno z ostatnich miejsc w rankingu rozwoju regionów.

Słupskie osiągnięcia w dziedzinie współpracy samorządu z biznesem prywatnym były szczątkowe oraz wzbudzały poczucie wstydu, albowiem i na tym polu obnażały prowincjonalną nieporadność. Skłócenie potomkowie dawnych wielkich rodów aktualnie nie mówili sobie na ulicy nawet „dzień dobry”, choć wszyscy oni tak samo zgodnie uczestniczyli w procederze okazyjnego wykupu specjalistycznych maszyn pozostałych po ogłoszeniu upadłości niegdyś największych fabryk w kraju. Kto tylko był wystarczająco jeszcze żywy i wyposażony w oszczędności, stanął w kolejce do licytacji śladów istnienia „Alki” czy „Sesamoru”. Niektórzy nawet w ciągu jednego dnia przebranzowali się z drobnych sprzedawców wiejskiego twarogu w światłych producentów obuwia. Pozostała po dawnym systemie kadra kosztowała tyle, co jedna z maszyn. Tylko nieliczni, głównie kawalerzy i rozwodnicy, zdecydowali się na wyjazd do rozwijających się prężnie aglomeracji, gdzie początkowo z trudem

znajdowali dla siebie miejsce w warunkach nowego systemu. Z czasem jednak kapitalizm przypomniał sobie i o nich. Każda para zdrowych rąk była potrzebna do wytwórczej pracy, a budowano nie byle co, bo *Zachód!* Pozostali przeczekali w Słupsku zawirowania transformacyjne, uratowali rodziny przed rozpadem, a nawet uwierzyli w lepszą przyszłość. Pracodawcy wiedzieli, że nadzieja ta sprowadza się do gwarancji uzyskania stałej umowy i w miarę regularnego otrzymywania najniższej przewidzianej przez władze centralne kwoty. W koncepcję indywidualnego i uznaniowego wypłacania pieniędzy przez właścicieli firm nie wierzyli.

I tak – rok po roku – wyrastały pod Słupskiem mniejsze i większe zakłady pracy, które były sercem minionego, ale służyły realizacji marzeń kolejnych pokoleń. Sukcesy większości z nich okazywały się dziełem przypadku. Do czasu, aż pojawił się niejaki Jerzy Dębski ze swoją oazą wzniesioną na fundamencie ogólnoeuropejskich standardów, o których istnieniu nie mieli pojęcia. Poprosili go więc o lekcję tworzenia skutecznego biznesu. Licznie zgromadzonej w auli gawiedzi próbował wytłumaczyć, że sukces można nie tylko zaplanować, ale i samodzielnie skonstruować:

– Przede wszystkim musicie widzieć swoją firmę w perspektywie nie tygodnia, miesiąca czy kwartału, ale roku! Kluczem jest strategia rozumiana jako nakreślenie planu działania odpowiadającego na pytania: jakie cele stawiamy przed naszą firmą? Jak je możemy osiągnąć? Innymi słowy – strategia jest jak mapa, która prowadzi do wyznaczonego celu. Wiedzieliście, że miasto Szczecin ma opracowaną strategię rozwoju do 2050 roku? A Słupsk? Wciąż dryfujemy po pomysłach i ich kolejnych modyfikacjach. W konsekwencji mamy to, co mamy. Miasto przypadku. Czy chcecie, aby wasze firmy poszły tym śladem?

– Proponuje pan powrót do planu sześcioletniego? Dzisiaj rynek bywa bardziej nieprzewidywalny niż kobieta! – ktoś krzyknął zaczepnie z głębi sali, w której odbywało się spotkanie miejscowych elit.

– Nie, proponuję wam roczną strategię zarządzania, uwieńczoną dokładnym zbadaniem jej efektów.

– Moja firma w ogóle nie posiada ani strategii, ani jasno sprecyzowanych celów. Jakoś udaje nam się pozbyć towaru z magazynu.

– No właśnie, „jakoś”. Jako zasadę wszystkich podejmowanych działań uczyniliście uniwersalne założenie, że „jakoś to będzie”, a za najważniejszy cel uznaliście życzenie „byle przetrwać na rynku”. I dlatego wasz interes „jakoś” przędzie, ale kaszmiru na tym nie utkacie. Proponuję wam koncepcję S.M.A.R.T.

– A cóż to za diabelski skrót?

– Bardzo prosty, ukrywa dobrze sprecyzowany cel, który musi być: szczegółowy, mierzalny, atrakcyjny, realistyczny i terminowy.

– Pseudobiznesowy bełkot!

– Czy aby na pewno? Pozwólcie, panowie, że przedstawię wam go na konkretnym przykładzie. Dwa lata temu założyłem sobie, że zwiększę sprzedaż moich domów o 10% w stosunku do roku ubiegłego. W roku kolejnym powtórzyłem to życzenie. Zapisałem je na kartce jako cel, a kartkę przyczepiłem do komputera dyrektora działu sprzedaży. Niżej dodałem, że jeśli uda mu się zamienić ów cel w fakt, otrzyma 10% podwyżki. Jesteście ciekawi efektu? Otóż dyrektor zrealizował założenie do połowy roku! Zbierał na egzotyczne wakacje z rodziną, podczas których nie musiałby oszczędzać na dostępnych atrakcjach.

– To pan tak chętnie dzieli się dodatkowymi zyskami z pracownikami? Jaki ma to sens? Wychodzi pan na zero.

– Ja tak, ale firma rozwija się i zatacza coraz szerszy krąg oddziaływania na rynku. A to już inwestycja.

– No dobrze, a jeśli, założmy, pański pracownik zrealizuje cel do połowy roku? Co dalej?

– To proste i wynika z przyjętej strategii. Monitorujemy nasz plan na bieżąco i wprowadzamy do niego zmiany. Podnosimy poprzeczkę i trzymamy rękę na pulsie. Żywo reagujemy na rynek, zamiast czekać, co on zrobi z nami.

– No a skąd wiadomo, która strategia jest właściwa?

– Z doświadczenia, panowie. Odcinamy się od projektów niedochodowych, wyciągamy wnioski z ubiegłorocznych zestawień, nie forsujemy nic na siłę. Nie musimy być prorokami, wystarczy, że będziemy uważnymi obserwatorami teraźniejszości.

Dobrucki stał się najgorliwszym wyznawcą idei Dębskiego, który miał odpowiedzi na wszystkie pytania świata, aczkolwiek starał się za wszelką cenę swój podziw ukryć. Słuchał go uważnie, notując najdrobniejsze szczegóły wystąpienia, nawet jeśli nie rozumiał połowy skierowanych do słuchaczy słów. Za osobistą porażkę uznałby publiczne przyznanie się do tego, że czerpie z wiedzy i doświadczenia młodszego o dwie dekady człowieka. Do niedawna sam doradzał innym i uchodził za lokalny autorytet. Naturalna zmiana przyszła wraz z powrotem Jerzego z korporacyjnego świata. Wówczas wszystkie oczy i uszy zwrócone były w stronę genialnego potomka lokalnych Dębskich. Na obrzeżach miasta budował on nową cywilizację.

Dlatego kiedy Nina Ciesielska poprosiła o umożliwienie jej pracy w „Glinianej Oazie”, Dobrucki interesownie zgodził się, licząc na niesprecyzowane jeszcze profity. Wcześniej jednak, aby zaimponować nowemu idolowi, postanowił przeprowadzić w swojej firmie nietrzymającą się jakichkolwiek założeń reorganizację. Jej ofiarą padła między innymi Nowakowa. Strategii nie sformułował, ale zaczynała się ona powoli wyłaniać z odmętu myśli. Jeśli Dębski sugerował łączenie etatów, należało to zrobić, a potem czekać na efekt tej i podobnych decyzji. Nina miała stać się nieformalnym pośrednikiem między dwiema firmami, który przetacza genialną myśl z jednej z nich do drugiej.

Tymczasem kobieta zdecydowała się wreszcie przekroczyć próg „Glinianej Oazy”. W rzeczywistości prezentowała się ona jeszcze lepiej niż w komputerowej wizualizacji. Wnętrze było tak sterylne, że Nina z podwójną ostrożnością stawiała kolejne kroki. W powietrzu unosił się zapach waniliowego odświeżacza powietrza. Z aneksu kuchennego dobiegały dźwięki ekspresu do kawy i kobiecy śmiech. To przedstawicielki handlowe rozgrzewały swoje aparaty mowy przed wykonaniem telefonów do potencjalnych nabywców. Uśmiechały się naturalnie i bez poczucia, że robią coś niestosownego. W firmie pana Dobruckiego głośny śmiech nie był wartością pożądaną.

Zauważyła, że część grupy udała się na taras, który natychmiast zamienił się w zbiorową palarnię. Skupieni w kole, opowiadali sobie wieczorne sny i anegdoty z dnia poprzedniego. Atmosfera rozluźnienia nie zwiastowała gotowości do wytężonej pracy, tym bardziej Nina zdziwiła się, gdy bez wyraźnie danego sygnału oddelegowali się do przypisanych sobie pomieszczeń i rozpoczęli realizację swoich zleceń. Na korkowych tablicach wisiały kolorowe karteczki z firmowym logiem oraz zapisanym celem miesięcznym. Na tych z poprzednich miesięcy znajdowały się odręcznie dopisane adnotacje: *Cieszę się. Gratuluję. Jestem z Ciebie dumny. Jerzy*. Przetarła zdumione oczy, by przekonać je, że nie wypaczają rzeczywistości.

Pracowali bez nerwowości w ruchach i lęku na twarzach. Ktoś włączył radio, ktoś głośno rozmawiał przez telefon z ojcem, ktoś przechadzał się korytarzem w celu znalezienia natchnienia. Nikt nie spoglądał ukradkiem na innych.

– Poinformuj Jerzego o zmianach w prawie budowlanym – podpowiadała starsza księgowa młodej asystentce, która nie nadążała jeszcze za wypracowanym rytmem oazy. – Wydrukowałam ci dokument tekstowy i kolorowym mazakiem zaznaczyłam kluczowe dla nas paragrafy.

A więc byli dla siebie życzliwi.

– Kaśka, miałaś już wczoraj zadzwonić do dermatologa i umówić termin wizyty. Czekasz, aż wypali ci skórę całkowicie? – przypomina koleżance brunetka w finezyjnie dobranej do koloru butów marynarce.

A więc troszczyli się o siebie nawzajem.

Jeszcze inna podeszła z kartką do sąsiadki, szturchnęła ją przyjaźnie w ramię i ze szczerym uśmiechem na twarzy oznajmiła:

– Przemyciłaś takiego babola w sprawozdaniu, że piekło drży w posadach. Zobacz, napisałaś wyposażenie przez rz.

– Niemożliwe, mnie się to nie zdarza. Musiałam wtedy spieścić się na masaż i zupełnie wyłączyć myślenie. Czy mówiłam ci już, że byłam kiedyś wicemistrzynią województwa w ortografii?

– Tak, sto razy. A potem wywróciłaś się na rowerze, uderzyłaś czołem w krawężnik i zdolności ortograficzne przeobraziły się w umiejętność odszyfrowywania wyższej matematyki. Popraw to szybko, zanim Jerzy zauważy.

A więc byli ambitni, czujni i pomagali sobie nawzajem.

Do uszu Niny zaczynały dobiegać fragmenty rozmów związanych z wykonywaniem codziennych zadań. Posługiwali się specjalistycznym słownictwem, którego nie rozumiała. Uznała, że nie zna jeszcze specyfiki branży, dlatego też szybko odrzuciła od siebie pierwszy lęk. Dysponowali nowoczesnymi komputerami, których obsługi nie знаła. Na szczęście miała przy sobie prywatnego laptopa. To, co naprawdę ją zaniepokoiło, wiązało się z jej odwiecznym kompleksem – płynnie rozmawiali z kontrahentami po angielsku, niemiecku i włosku. Postanowiła, że najpóźniej wieczorem dobierze sobie najlepszego native speakera w mieście i wyznaczy mu jednoznaczny cel krótkofalowy – w kwartał nauczy ją biegle władać angielszczyzną.

Odbywszy pierwszy spacer firmowym korytarzem, który odkrył przed nią szereg ciekawych osobliwości, odnalazła swoje biurko. Było nowe, porządnie wykonane i w pełni wyposażone. Na blacie leżała plakietka z wydrukowanym imieniem i nazwiskiem, a obok niej – barwna kompozycja materiałów biurowych wysokiej jakości. W żadnym z wcześniejszych miejsc pracy nikt nigdy nie zainwestował tak dużo w przywitanie Niny na stanowisku. Poczula się lekko onieśmielona. Młoda asystentka cierpliwie prowadziła ją od jednego regału do drugiego, tłumacząc zawartość teczek z dokumentami oraz ich udział w procesie wytwórczym glinianych domów. Uspokoiła ją stwierdzeniem, że wszystkiego można nauczyć się w tydzień, a biegłość przyjdzie już po miesiącu regularnej pracy. Przedstawiła się jako koordynatorka działu, w skład którego weszła Nina – zbyt przejęta, by zapamiętać jego nazwę. Od razu dało się zauważyć, że asystentka budziła grupowy respekt, ale także sympatię. Trudno też było przeoczyć jej nieprzeciętną orientalną urodę. Miała zaopiekować się Ciesielską do czasu osiągnięcia przez nią stanu samodzielności działania. Stojąc przy niej, Nina poczuła się mniej urodziwa niż w dotychczasowym o sobie samej pojęciu.

– Musisz bardzo uważać na poprawność wprowadzanych do komputera danych – instruowała ją egzotyczna Ines. – To twój laptop? Nie możesz go tutaj używać. Te firmowe podłączone są do specjalnej sieci chronionej skuteczną zaporą. Poza tym pracujemy na kilku oryginalnych programach, które zakupiliśmy za duże pieniądze. Nikt w Polsce nie ma do nich dostępu. Są naprawdę genialne, choć trochę skomplikowane, zresztą – sama uznasz, czy mam rację. Jerzy mówił, że masz doświadczenie w kreatywnej księgowości, więc z pewnością poradzisz sobie z bieżącymi zadaniami. Jeśli czegoś nie będziesz wiedziała, pytaj.

– Jasne – odpowiedziała krótko Nina, jednocześnie obiecawszy sobie, że na pewno nie zdemaskuje swojej ewentualnej niewiedzy jakimkolwiek zapytaniem. – Nie wiem, co dokładnie mówił ci Jerzy o zakresie moich obowiązków...

– Niewiele, ale powiedział wszystko, co powinnam wiedzieć. Będiesz teraz odpowiedzialna za politykę inwestycyjną firmy, a przede wszystkim za racjonalne zaciąganie kredytów. Ja nie mam czasu się tym zająć, więc potrzebny jest nam ktoś, kto sprawnie obsłuży temat. Cieszę się, że Jerzy tak szybko uporał się z rekrutacją.

Nina poczerwieniała na wspomnienie nieoczekiwanego procesu rekrutacyjnego. I poczuła przewagę sytuacji. Drażniła ją nieskazitelna uroda Ines, która musiała być młodsza od niej przynajmniej o dekadę. Miała oliwkową cerę i wyraziste ciemne oczy. Przeszywały one spojrzeniem na wylot. Kanarkowożółta marynarka nieziemsko kontrastowała z czarnymi włosami o jedwabistym połysku. Były mocne jak sznur. Na jej drobnych ramionach rozpościerała się bogato zdobiona etnicznymi wzorami chusta zdradzająca bliskowschodnie pochodzenie. Wraz z jej właścicielką tworzyły zwiewną całość.

– Znam się na kredytach standardowych – profilaktycznie broniła się Nina, która w mig pojęła poziom oczekiwań względem jej osoby. – Tu nie ma dużego pola manewru. Będziemy musieli odwołać

się do oryginalnych, choć jednocześnie bardziej ryzykownych rozwiązań.

– Ryzyko jest naturalne w biznesie. Ale ciebie zatrudniono podobno po to, by zminimalizować jego niepożądane skutki. Postaraj się, żeby tak było. Wszyscy pracujemy tu na standard życia wszystkich.

Nina zrozumiała, że właśnie sformułowany został warunek bezproblemowej współpracy. Przypieczętował go złośliwy uśmiezek orientalnej proveniencji, który oddalił się wraz z jego właścicielką. Pozostawiła po sobie okazały plik dokumentów do pilnego zaksięgowania i przeanalizowania. Posegregowane były z najwyższą precyzją i niepodważalną logiką. Reprezentowały bogatą zawartość merytoryczną, podobną Nina ostatni raz widziała na modelowej prezentacji podczas kursu doszkalającego. Wielu zawartych w treści dokumentów sformułowań nie rozumiała. Stanowiły jakiś obcy rodzaj nowomowy. Wczytywała się w nie kilkakrotnie, z każdą próbą rozumiejąc jeszcze mniej.

– Sprawdzają mnie – pomyślała, usilnie poszukując w sobie dystansu. – To pewnie pomysł tej diabolicznej Ines. Chcą wepchnąć mnie na głęboką wodę, by przekonać się, czy zatonę, czy jednak nie złożę wiosła i wypłynę w dalszą podróż. Testują moją psychiczną wytrzymałość. Najwyraźniej takie tu panują reguły. Przecież te zapisane w dokumentacji zwroty są w języku polskim. Do cholery, ostatecznie nie można ich nie zrozumieć!

Przejęta niemożnością ruszenia z miejsca, odruchowo sięgnęła po komórkę. Chciała zadzwonić do Nowakowej, która w podobnych sytuacjach okazywała się zwykle niezastąpioną skarbnicą wiedzy. Przypomniałszy sobie jednak okoliczności ostatniego z nią spotkania, natychmiast schowała aparat z powrotem do kieszeni marynarki.

Była teraz zupełnie sama, w dodatku zagubiona w ciemnym lesie białych kartek i bijącego rozświetloną luną monitora. Prośbienie matki o pomoc wydało się dziecinadą, a wystosowanie prośby o poradę do którejś z młodszych koleżanek po fachu – rażącą niekompetencją. Jerzy nie odzywał się od poprzedniego dnia. Zrozumiała, że została wtłoczona w system, który nie przewidywał braku umiejętności. Nie zapewnił jej też wsparcia bliskiej osoby. Główny konstruktor budował swój świat, opierając go tylko na pewnych fundamentach.

Tymczasem ona chwiała się u podstawy. Starła się za wszelką cenę ukryć płochliwe spojrzenie i drżące dłonie. Wiedziała jedno – od nieznanym branzowych niuansów gorsze jest tylko przyznanie się do tego. Zatem musiała szybko wziąć się w garść.

Odpaliła obowiązujący w firmie program do księgowania. Zbladła, gdy okazało się, że jego struktura znacznie przewyższa poziomem skomplikowania zaszyfrowane w papierowych aktach dane. Istnienia czegoś takiego jak ów zestaw plików, zakładów i odsyłaczy nawet nie podejrzewała. Nikt też wcześniej – na żadnym z kursów czy szkoleń – nie wpadł na pomysł, aby opowiedzieć o najsprytniejszych, acz arcyskomplikowanych i szczegółowych programach dla niegłupich księgowych, do których przecież Nina się zaliczała. Zakładano, że lokalne firmy nie dysponują tak zaawansowanymi technologiami, a możliwość zakupu podobnego sprzętu pozostaje w nich pobożnym życzeniem. Nie było więc sensu opowiadać o czymś, czego Nina miała nigdy nie sprawdzić w praktyce. Niezmiennie od wielu lat wykładano tradycyjnie pojmowaną księgowość. Tę przyswoiła Nina w mig i pewnie dlatego żyła w przekonaniu, że obdarzono ją szczególnie chłonnym umysłem. A jednak teraz kierowała swoje zdziwione spojrzenie na interfejs uosabiający technologiczny tryumf myśli ludzkiej. Nie było między nimi chemii i zrozumienia.

– Nie martw się, pod koniec zmiany będziesz już znała obsługę – usłyszała za swoimi plecami. – Każda z nas musiała w tej materii przejść przez ciemny tunel. Na szczęście na końcu było światło.

Ta „Ines” była słowiańska i swojska. Uśmiechała się do Niny przyjaźnie, jakby czytała w jej myślach. Ciesielska potrzebowała teraz dobrego słowa bardziej niż instrukcji obsługi programu. Odpowiedziała jej równie życzliwym uśmiechem, który tamta postanowiła nagrodzić wzmacniającą uwagą:

– Jerzy ma nosa do wykwalifikowanej kadry i zatrudnia tylko inteligentne babki. Potrafią w ciągu tygodnia pojąć zasady funkcjonowania „Glinianej Oazy”. Dlaczego więc ty miałabyś stanowić wyjątek?

– Absolutnie nie zamierzam nim zostać – zaśmiała się Nina.

– No właśnie. Dam ci jedną tylko radę: nasz szef wymaga od swoich pracowników pełnej samodzielności umysłowej.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Oczekuje, że jeśli czegoś nie rozumiesz, tak jak teraz, dokonasz autoedukacji. W najgorszym razie poprosisz o pomoc przydzieloną ci asystentkę. Nigdy nie przyznawaj się mu do braku jakiegś umiejętności. Uzupelnij ten brak sama, zaskocz go efektem.

– Przecież Jerzy to wyrozumiały i empatyczny człowiek...

– Tak, nasz Jerzy to człowiek o wielu pozytywnych przymiotach. Dlatego sownie nagrodzi cię za włożony w pracę trud.

– Wystarczy mi obiecana pensja.

– Przekonasz się, że szybko przestanie ci wystarczać. Zapragniesz więcej, tak jak my budujemy coraz większe i lepsze domy. Człowiekowi zawsze apetyt rośnie w miarę jedzenia. Popracujesz u nas trochę, a spełnisz wszystkie swoje kobiece marzenia.

– Tak planuję – odpowiedziała szczerze Nina, roztaczając w głowie wizję wspólnoty stworzonej z „jej” Jerzym. Dla nich był tylko pracodawcą, szefem i finansowym dobrodziejem, dla niej – obietnicą sensownego życia wypełnionego intelektualną ambrozją.

Pomyślała, że „jej” Jerzy z pewnością przymknie oko na wzajemną wrogość Niny i programu do księgowania, jeśli nie nawiązą do końca dnia współpracy. Tamte nie wiedziały, że ona będzie pracować tu na innych warunkach. Jej wolno będzie wykraczać poza normy ustalone w firmie. Jednocześnie głęboko wierzyła w swój talent, który zamierzała już za kilka chwil rozwinąć jako starannie wyselekcjonowana z tłumu jednostka. Uspokojona, przystąpiła do wykonania w programie pierwszych kroków. Bawiła ją własna nieporadność, ale oddała się nauce podstaw z pełnym zaangażowaniem i poczuciem powagi sytuacji. Pogodziła się z tym, że w „Glinianej Oazie” nie od razu zaznaczy swoją wysoką wartość. Ale warto było czekać, skoro ostatecznym trofeum miał być podziw Jerzego.

Nieprzeciętnie łaknęła teraz jego obecności. Śledząc wzrokiem wzory umów, wszystkimi pozostałymi zmysłami oczekiwała nadejścia genialnego pracodawcy. Chciała, żeby zapytał, jak się czuje, czy nie miała problemów z zaparkowaniem samochodu, co myśli o Ines i jak podoba się jej kolor ścian w biurze. Nie musiał jej publicznie przytulać, mógł nawet zwracać się do niej „pani Nino”, ale powinien być na miejscu, kiedy wkraczała do jaskini pełnej zżytych ze sobą lwic.

Gdy po trzech godzinach pojawił się na korytarzu, poczuła przyspieszone bicie serca. Liczyła na jakąś dyskretną reakcję z jego strony, dzięki której mogłaby w końcu uzyskać potwierdzenie swojej fizycznej obecności w jego oazie. Póki co, nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, że od kilku chwil jest jej nową rezydentką. Niestety, Jerzy był profesjonalistą i nie zamierzał zachowywać się wobec niej inaczej niż względem pozostałych pracowników.

Zbliżył się do Niny w asyście dwóch roślących kontrahentów, kurtuazyjnie przywitał ją ucałowaniem dłoni, następnie dokonał oficjalnego przedstawienia „najlepszej finansicy w promieniu kilkuset kilometrów” i powędrował dalej, nie przemyciwszy najdrobniejszego choćby nawiązania do zeszłej nocy. Została sama z kontrahentami, którzy zasypali ją lawiną pytań o możliwości kredytowania materiałów budowlanych oraz całych domów. Bardzo chciała zrobić na nich dobre wrażenie, ale natychmiast rozbiła się o ścianę. Wiedziała, że poniesie porażkę, jeśli zacznie tłumaczyć się wyświechtanym frazesem: „to mój pierwszy dzień w tej firmie”. Na szczęście z odsieczą szybko przybyła słowiańska „Ines”, która doskonale zdiagnozowała sytuację, z przeciwległego kąta korytarza obserwując ożywionych rozmówców. Grzecznie i cierpliwie roztaczała przed dwójką wsłuchanych w nią uważnie biznesmenów zasady finansowania wielkich inwestycji za pomocą nieobciążających spokojnego snu kredytów. Do uszu Niny dobiegały jedynie wyrwane z całościowego kontekstu zdania:

– Oczywiście działka traktowana jako wkład własny – zdecydowanym tonem tłumaczyła Mariola Jaźwińska, która o istnieniu imienia Ines usłyszałaby po raz pierwszy w życiu. – Dobrze, gdyby była wolna od obciążeń. Wkładem własnym jest też to, co wybudujemy na działce przed uruchomieniem kredytu. W kosztorysie, potrzebnym do wniosku kredytowego, musimy uwzględnić wcześniej wykonane prace. Oczywiście to również jest weryfikowane, bank sprawdza, czy kredytobiorca nie zawiąza wkładu

własnego.

– Czyli dobrze jest zabezpieczyć spory wkład własny? – próbował upewnić się wyższy z gości.

– Generalnie im wyższy wkład własny – tym lepiej, bank chętniej zabezpieczy się na nieruchomości, jeśli jej wartość zdecydowanie przekracza kwotę kredytu. Najczęściej wtedy kredyt jest tańszy i łatwiej dostępny. Wkładem własnym może być też gotówka, aczkolwiek musi zostać spożytkowana na budowę.

– No tak, wydaje się to logiczne.

– Bo to jest logiczne i w gruncie rzeczy prostsze niż zakłada się w głowie, myśląc o całości procedur.

– A jak technicznie odbywa się wypłacanie i rozliczanie kredytu?

– Kredyt na budowę domu rozliczany jest w transzach wypłacanych po wykonaniu kolejnych prac. Kwota dzielona jest na części, z których każda odpowiada jakimś pozycjom w kosztorysie. Pierwszą transzę zazwyczaj bank wypłaca zaliczkowo. Kiedy skończą się pieniądze, należy zgłosić się do banku z wnioskiem o wypłatę drugiej transzy, a warunkiem jej wypłaty jest rozliczenie tej pierwszej. Banki wysyłają inspektora, który sprawdza postęp prac oraz to, czy pieniądze zostały właściwie wydane.

– Czyli lepiej nie ryzykować kombinacji?

– Wie pan doskonale, że „chytry traci dwa razy”.

– No tak, to wystarczy za odpowiedź. Jak bank zabezpiecza kredyt?

– Ustanawiając hipotekę na nieruchomość będącą przedmiotem kredytowania lub inną, o odpowiedniej wartości.

– Jest pani nie do zagięcia.

– Robię to, co do mnie należy, i wiem tyle, ile wiedzieć powinnam.

Przysłuchująca się rozmowie Nina poczuła, że wie tyle co nic. By zakamuflować to odkrycie, zabrała się za parzenie gościom kawy. W tej chwili była to jedyna czynność, która wychodziła jej poprawnie. Potem szybko skryła się w swoim gabinecie. Nienasycona dostatecznie spotkaniem z Jerzym, próbowała zmobilizować się do wytężonej pracy umysłowej, która całkowicie pochłonęłaby jej myśli. Ze wstydem wyszukała w Internecie „Wirtualny Poradnik Księgowej” i rozpoczęła studiowanie podstaw wiedzy, jaką rzekomo wniosła swoją osobą do firmy. Gdy podniosła głowę znad przydzielonych jej papierów, wybiła siedemnasta. Nie ruszyła żadnego z dokumentów, nie wypełniła ani jednej rubryki, tkwiła w martwym punkcie. Zorientowała się, że od godziny powinna być w drugiej – a do niedawna pierwszej – pracy. Chwyciła w dłoń samochodowe kluczyki i poderwała się z krzesła.

Po dwudziestu sekundach była już na parkingu. Bardzo spieszyła się teraz do miejsca, w którym uchodziła za finansowego omnibusa. Zatęskniła za swoim małym biurkiem i wyszczerbionym kubkiem na kawę. Przedostawszy się w końcu do wylotówki otwierającej się na centrum Słupska, ze zgrozą stwierdziła, że trafiła na wzmożony popołudniowy ruch i spóźni się do pracy jeszcze o godzinę. Ostatecznie wbiegła do firmy Dobruckiego wkrótce po tym, jak pozostali pracownicy z niej wyszli. A więc już pierwszego dnia nie dotrzymała obietnicy złożonej pracodawcy oraz samej sobie. Misternie zaplanowany system zespolenia dwóch etatów nawet nie wystartował. Mimo to zasiadła do swoich obowiązków i spróbowała poświęcić im resztkę sił oraz uwagi. Niestety, walka z czasem wykończyła ją do tego stopnia, że uciemżony umysł zapadł w stan letargu. Różowe karteczki pozostały na biurku – pominięte i niezrealizowane.

Sytuacja powtórzyła się w kolejnych dniach. Jerzy wymagał jej obecności w kluczowych negocjacjach prowadzonych w trybie nagłym i przyspieszonym, za to dobrze rokujących dla rozwoju firmy. Naszpikowana świeżo przyswojoną teorią, dzielnie stała u jego boku, walcząc o korzystne dla „Glinianej Oazy” warunki zaciągnięcia wielomilionowych kredytów. Z dnia na dzień czuła się pewniej, coraz rzadziej prosiła słowiańską „Ines” o pomoc, coraz mniej tajemnic miały przed nią zagadnienia kredytowe. Z radością towarzyszyła Dębskiemu, roztaczając przed gośćmi wdzięk, urok osobisty i obsypując ich uszy kwiecistą polszczyzną. Znów była intrygującą Niną – kobietą mądrzejszą i piękniejszą od innych. Z restauracyjnego menu wybierała dla wszystkich mistrzowskie pozycje, oferty pakowała w teczki z firmowym logiem, a nawet zaczęła dołączać do nich drobne gadzety. Słowiańska

„Ines” zbyt pochłonięta była na co dzień odpowiedzialnością za finanse, by w tym samym czasie myśleć dodatkowo o sprawach wizerunkowych. Jerzy wydawał się być dumny z dodatkowego talentu Niny, która postanowiła nauczyć innych poszanowania dla wzorowej reprezentatywności. Starła się czynić to dyskretnie i nienachalnie. Najwyraźniej była biegła również w tej sztuce, bo słowiańska „Ines” coraz częściej uśmiechała się do Niny łagodnie.

Interesy pana Dobruckiego jakoś się kręciły, niezależnie od narastającej absencji jego ulubienicy. Była albo niedostępna czasowo, albo zbyt zmęczona, by każdego dnia pędzić do swoich podwładnych. Wmówiła sobie, że ostatecznie można im zaufać.

– Zarządzaj nimi pod moją nieobecność – mówiła do Terleckiej przez telefon. – Daję ci pełne przyzwolenie na podejmowanie samodzielnych decyzji. Ja się chwilowo nie rozdwoję.

– O nic się zatem nie martw, wiem, co robić, żebyś ty mogła przez chwilę nic nie robić – uspokajała ją Terlecka, wyraźnie zdumiona brakiem u Niny chęci do dyktatorskiego wykorzystania możliwości niedawnego awansu.

– Po prostu za dużo mam teraz na głowie w nowej firmie.

– Widzisz, rozchwytują cię. Każdy chce mieć Ninę Ciesielską u siebie. Masz swoje pięć minut, wykorzystaj je.

– Uważaj na Monikę, niech plotkuje poza firmą.

– Tego jednego nie jestem w stanie ci obiecać.

– Dzwon do mnie w razie wątpliwości.

– Żartujesz? Mam zamęczać cię telefonami, kiedy ty i bez tego nie wiesz, w co ręce włożyć? Nie ma mowy!

– Swoją drogą, ciekawe miejsce, ta oaza... U Dobruckiego jesteście sto lat za Murzynami...

– A więc nie marnuj się u nas. Awans awansem, ale jeśli masz okazję nauczyć się nowego, podążaj za tym. Przekonamy Dobruckiego do mobilnego zarządzania.

W ten sposób Terlecka stała się ważna. Zaczęli traktować ją z estymą i powagą. Za nic w świecie nie umiałyby już pracować na tych samych prawach co oni.

„Gliniana Oaza” pracowała na najwyższych obrotach. Cały zespół zmobilizował się do pozostawiania po godzinach. Ktoś, nucąc, strawestował graną w radiu popularną piosenkę: *We built this city on wisdom and clay wall*. Zapomnieli o istnieniu własnych domostw. Jedna Nina zmuszona była opuszczać firmę chwilę przed 16.00. Komplikowało to realizację projektów, więc Jerzy postanowił wykupić jej czas na wyłączność.

Po miesiącu magicznego przemieszczania się w czasie i przestrzeni Nina Ciesielska pracowała już tylko dla właściciela najnowocześniejszej firmy w regionie. Pan Dobrucki nie uwierzył w skuteczność mobilnego zarządzania. Z nieskrywanym żalem pożegnał Ninę sentymentalną przemową. Na jej miejsce naturalną kolejną rzeczą awansował Terlecką.

9.

– To niesamowite, jak dalece splotły się nasze losy – podsumowała wzruszona Nina podczas jednej z nielicznych konwersacji odbytych z Jerzym na osobności. – Nie planowałam w życiu większych zmian. Ty zaplanowałeś je za mnie. Myślałam, że było mi dobrze z tym, co miałam i kim byłam. Ale teraz czuję, że wcale nie było dobrze. Zmusiłeś mnie do podniesienia poprzeczki. Dziękuję, sama bym się nie odważyła.

Rozejrzał się ukradkiem dokoła, by upewnić się, że nikt nie dostrzegł jej chwili słabości, której ofiarą stała się wbrew własnej woli. Na szczęście wszyscy zajęci byli ważnymi lub mniej pilnymi sprawami i nie zwracali na nich uwagi.

– Tak naprawdę to nie moja osoba, ale twórcza żarłoczność firmy zaprojektowała twój etat – odpowiedział z wymuszonym humorem, chcąc zrzucić uwierające go poczucie, że właśnie rozgrywa się na korytarzu jedna z „tych” scen. – Po prostu w pewnym momencie zapragnęła niekontrolowanego rozwoju, a ten z kolei zaczął domagać się obecności kogoś takiego jak ty. Dotarła do punktu, w którym poprosiła mnie o Ninę Ciesielską. Nakazała mi sprowadzić ją w błyskawicznym tempie.

– I dlatego zadzwoniłeś o tak wczesnej porze?

– Odpowiedziałem na potrzebę mojej „pani”. I oto jesteś. Tu, gdzie twoje miejsce...

– A więc jest w tym wszystkim jakaś logika – skwitowała, ułożywszy usta w najbardziej zalotny uśmiech świata.

– Osiągam cele najprostszą metodą – natychmiastowej reakcji. Poznałaś mnie już trochę, więc wiesz...

– ...że potrafisz przekonać swoim zapalem każdego?

– Że nie lubię spoczywać na laurach, nie zadowala mnie sukces tu i teraz, wolę projektować przyszłość. W niej tkwi postęp, który ja staram się wykraść dla teraźniejszości. Czekanie to umieranie. Jednak zanim zainwestuję w projekcje mojego umysłu większość finansowych środków, zdecydowałem się zainwestować w ciebie.

– I czuję się wyróżniona. Jestem w wyjątkowym miejscu, czuję to na każdym kroku. „Gliniana Oaza” to firma inna niż wszystkie. Teraz już rozumiem, skąd brał się entuzjazm w twoim głosie podczas naszej pierwszej telefonicznej rozmowy. To miejsce jest wyjątkowe.

– Założyłem tę firmę, by służyła nie tylko mnie, ale i tym, którzy mają piękne marzenia. Szanuję poświęcenie swoich pracowników. Nie hamuję ich potencjału, przeciwnie, pozwalam im rozwijać go w nieskończoność, a przynajmniej do granic ich wyobraźni czy możliwości. Marzenia są w stanie same na siebie zarobić, Nino. Niech moi ludzie je spełniają, na tym polega życie.

– Trzeba przyznać, że wszyscy tutaj są niezwykle zmotywowani do pracy. To twoja zasługa. Masz władzę nad ich umysłami.

– Jedyłą moją zasługą jest to, że uczciwie nagradzam ich twórczy trud. Nie jestem ani Bogiem, ani złotą rybką, nie realizuję marzeń zawodowo. To efekt uboczny zawartej przez nas umowy. Podarowałem im pełną swobodę w dysponowaniu sobą. Zrozumieli, że zewnętrzne źródła motywacji działają na krótką metę, więc odkryli własne, wewnątrz siebie. Z tych źródeł wypłynęła życiodajna woda. Skąpali w niej swoje pragnienia, by mogły spokojnie dryfować po dnie w czasie, gdy zaopatrują się w niezbędny do zanurkowania po nie ryszstunek. Nurzają się po marzenia i wypływają z nimi na brzeg, choć wymaga to odwagi i wytrwałości. Nikt ich nie zmusza, nikt nie naciska. Wiedzą, że chcę w zamian rzetelnej i uczciwej pracy, która z kolei pomaga zrealizować moje marzenie.

– A jakie ono jest?

– Pragnę skonstruować nieśmiertelność z certyfikatem jakości podobnym do tego, którym opatrzyli swe dzieła starożytni.

– I pewnie szczęśliwie żyć?

– Nie, to nie jest konieczne. Szczęście jest jedynie ulotnym stanem umysłu, nie pozostawia po sobie trwałych śladów.

– Ja nawet nie umiem pływać. I to jedno mnie martwi. Nigdy nie nurzałam się za swoimi marzeniami.

– Jest to pewnego rodzaju ułomność ludzkiej natury, ale uleczalna. Jestem pewien, że szybko nauczysz się skoków na głęboką wodę. Pokochasz je!

– Muszę więc prędko wymyślić jakieś marzenie.

– Koniecznie! Bez tego nie znajdziesz w sobie impulsu. A potem ulepisz je z tej samej gliny, co my.

– Czy podołam? Zebrałeś tu tak wielu wykształconych i oddanych pracy ludzi, którzy swoją wiedzą mogliby projektować i stawiać co najmniej egipskie piramidy. Ja nawet nie wiem, jaki jest skład chemiczny cegły.

– I dobrze! Po co ci magazynowanie zbędnej wiedzy? Możesz nigdy nie zobaczyć na oczy naszej gliny! Od jej oglądania są inni. Ty masz ograniczyć pole zainteresowania do kredytów inwestycyjnych. Jeśli to zrobisz, osiągniesz sukces. Stań się mistrzynią tej jednej wąskiej działki! Baw się nią, doskonal się w niej, a potem wykorzystaj do realizacji swoich celów. Zagarnij wiedzę w powierzonym ci temacie dla siebie. Wtedy inni zaczną ci za nią płacić.

Nina była rozczarowana, że nie zrozumiał jej strachu i nie odpowiedział na niego zapewnieniem, że jest najlepsza i z pewnością sobie poradzi. W jej spionizowany na zgrabnych nogach kręgosłup wbiły się kolce jego wysokich wymagań. Zesztywniała z bólu, ale nie utraciła równowagi.

– Przejrzałam dokumentację projektową – zmieniła temat, widząc znużenie Jerzego rozmową o szczęściu. – Jestem pewna, że w ciągu tygodnia będę gotowa do zawalczenia o spore pieniądze dla twojej firmy.

– Naszej firmy, Nino. Im szybciej to przyswoisz, tym łatwiej zrozumiesz resztę ekipy.

– Jest tego sporo...

– Tak, dlatego, póki co, Ines obarczyła cię najłżejszym zestawem obowiązków. Cierpliwości, większe wyzwania przyjdą z czasem. Ponudzisz się na wstępie, ale potem z pewnością podarujesz swojemu mózgowi bardziej wymagające kalambury.

Kłujący kręgosłup znów dał o sobie znać. Przysiadła na parapecie, który podarował jej cudowne chwilowe wytchnienie. Pomyślała, że jeśli w tej chwili bierze udział w prowizorycznym zaledwie realizowaniu swojej funkcji w jego firmie, to z pewnością szybko przestanie być ona oazą spokoju.

– Czy Ines musi stale nade mną czuwać? – odważyła się zapytać.

– Nie polubiłaś jej? Nie szkodzi. Ona ma specyficzną osobowość i trudny charakter.

– Jest niemiła.

– Ale skuteczna i kompetentna. Nie oceniaj jej, zanim się o tym nie przekonasz.

– Czuję, że jest do mnie uprzedzona.

– Jest po prostu ostrożna. To zboczenie zawodowe.

– Nie pospieszyła mi z pomocą.

– Bo i nie takie dostała polecenie. Tutaj, Nino, uczymy się sami. Inni nas tylko informują.

– Czyli do niej mam zwracać się zawsze wtedy, gdy poczuje informacyjny deficyt?

– Tak, Ines wie o firmie wszystko. Ufam jej bezgranicznie. Jeszcze nigdy mnie nie zawiodła.

Będzie dla ciebie najlepszym mentorem.

Raczej koszmarem – pomyślała Nina, obiecawszy sobie w duchu pełną samowystarczalność zawodową. – Drugą Nowakową nie zostanie. Nic na mnie nie będzie miała. Jestem sprytniejsza, niż myśli.

Euforia wywołana bliską obecnością Jerzego przeplatała się w Ninie z paraliżującym brakiem pewności siebie. Chciała gładzić go po aksamitnych włosach i wykrzykiwać swój bunt jednocześnie. Nie zgadzała się na zbyt ostentacyjne, jej zdaniem, rozdzielanie pracy od ich utkanej nocą więzi. Preparowała w głowie jej dalszy ciąg, podczas gdy Jerzy znów był emocjonalnie niedostępny. Wyraźnie trzymał ją na dystans.

– Kolacja dziś wieczorem? – zaproponował, chcąc odpokutować zaserwowaną Ninie w formie niestrawnej przystawki surowość.

– Z przyjemnością. Tam, gdzie ostatnio, o tej samej porze – odpowiedziała, wierząc, że już za chwilę ból kręgosłupa ustanie.

Czekała inaczej niż wtedy, gdy mieli spotkać się po raz pierwszy. Przyszła wcześniej, by naznaczyć teren swoją osobą oraz uspokoić mowę cielesności, która krzyczała jakimś dziwnym uniżonym poddaństwem. Siedząc w teoretycznie wygodnym fotelu, Nina dygotała z napięcia i wierciła się na wszystkie strony. Pragnęła skrócić wydłużające się chwile, więc wertowała stronicę lokalnego periodyku. Udając zaczytanie, regularnie jednak sprawdzała dłonią, czy podkład nie zaczyna przebijać spod warstwy sypkiego pudru. Podświadomie szukała idealnej pozycji podkreślającej jej apetyczny wygląd: zakładała nogę na nogę, układała przy talii ręce i przrzuciała pasma włosów z jednego ramienia na drugie. Odłożywszy gazetę, obejrzała uważnie ognistą czerwień swoich paznokci, ukradkiem skropiła się drogimi perfumami, po czym niecierpliwie zaczęła spoglądać na połączony zegarek. Kelnerka dwukrotnie próbowała przyjąć od niej zamówienie, ale Nina oddaliła ją jednoznacznym gestem. Powinna wiedzieć, że siedzi przed nią kobieta, która nie musi otwierać wina sama. Jerzy tym razem spóźnił się, ale – jako szef – miał do tego prawo.

Gdy w końcu przyszedł, zapomniał przeprosić. Zamiast tego odebrał przy niej dwa służbowe telefony. Spojrzawszy w jej smutne oczy, szybko jednak zreflektował się. Obiecał, że nikomu więcej nie pozwoli już zakłócić ich wieczoru. Wyglądał klasycznie i niepretensjonalnie, a mimo to od razu poczuła do niego seksualny pociąg. Nina rzadko reagowała na widok przystojnego mężczyzny fizycznym zainteresowaniem, a obniżenie popędu seksualnego w ostatnich latach traktowała jako skutek rozczarowania mężczyznami w ogóle. Tymczasem w Jerzym Dębskim zogniskowała dawne uśpione potrzeby.

Ubrany był w idealnie dobraną koszulę włożoną w wysokiej jakości garniturowe spodnie. Finezyjnie zaprojektowane obuwie zdradzało skłonność jego właściciela do awangardowych porywów estetycznie usposobionej duszy. Przecudnie pachniał męskością i klasą. Z trudem ukrywała zafascynowanie, które wyrysowało na jej twarzy jaśniejący stan uduchowienia. Gdyby ustawiono teraz przed nią stu najprzystojniejszych mężczyzn świata, i tak pobiegłaby za Jerzym.

Poza chłodnym przywitaniem, w dalszej części spotkania traktował ją ciepło i z atencją. Dostrzegł niecodziennosc wieczorowego ryszunka, pochwalił jego wysublimowanie, a nawet zatrzymał wzrok na idealnej linii talii. Ucieszył się w duchu, że choć jadła dużo słodkich przekąsek, zachowywała anorektyczną figurę. Krótko rozmawiali o pracy, albowiem oboje mieli ochotę odpocząć od niej choćby na okres jednego wieczoru. Nina wzbiła się na wyżyny, by na ten czas pogrzebać w pamięci swój nieudany książkowy debiut w „Glinianej Oazie”, Jerzy hamował eksplozję nowych pomysłów na rozwój firmy, jakie samoistnie rodziły się po erotycznym upojeniu.

Kilka lat wcześniej wyczytał w naukowej prasie, że naukowcy z Uniwersytetu Princeton w Stanach Zjednoczonych dowiedli dobroczynnego wpływu seksu na rozwój intelektu mężczyzny. Miał on podobno stymulować wzrost komórek w hipokampie – części mózgu odpowiedzialnej za pamięć i przyswajanie wiedzy, a wydzielane podczas stosunku większe dawki adrenaliny i kortyzolu wzmagają rzekomo aktywność szarych komórek. Dodatkowo, potężna dawka endorfiny i serotoniny, będąca wynikiem orgazmu, w dużym stopniu potęgowała wiarę we własne siły, wzmacniając organizm psychicznie i fizycznie. Na to wskazywały wyniki badań. Jerzy lubił czuć się mocny.

Po zaaplikowaniu przystawki zapytał Ninę o coś, co zaskoczyło ją równie mocno, jak wcześniej zaproponowana przez niego kwota wynagrodzenia w „Glinianej Oazie”:

- Wierzysz w Boga?
- Dlaczego pytasz właśnie o to?
- Bo chcę znać odpowiedź.
- Wydaje mi się, że podczas naszego pierwszego spotkania przemyciłam ją w rozmowie.
- Pamiętam bardzo dokładnie, co wtedy mówiłaś. Jednak szybko zamknęliśmy temat stosunku do wiary.
- Tak. Nie wydawał mi się on wystarczająco ciekawy.
- Dlaczego?

– Dlaczego go nie kontynuowałam?
– Dlaczego wierzysz?
– Raczej: po co? – zaśmiała się. – Wiara w Boga od najmłodszych lat była dla mnie naturalna jak oddychanie czy mruganie powiekami. Zostaliśmy tak stworzeni, że całkowity brak wiary jest dla nas czymś niemożliwym.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak myślę i wierzę. Nasza ziemská droga jest jasno nakreślona, a wszyscy, prędzej czy później, spotykamy się na tym samym rozdrożu: możemy albo kochać Boga aż do rezygnacji z samych siebie, albo też kochać samych siebie aż do odrzucenia Boga. Każdy musi wybrać. Trzeciej opcji nie ma.

– Święty Augustyn?

– Tak, to jego słowa. Ja wybrałam tę pierwszą drogę.

– I myślisz o tym w natłoku codziennych spraw do załatwienia?

– Nie muszę. Myśli te mimowolnie napędzają mnie do trwania i działania. Kręgosłup też dźwiga kilogramy cielesności bez udziału twojej świadomości. Ustawia je rozumnie względem siebie, rozkłada po obu stronach osi, byś nie upadał od nadmiaru ciężaru.

– Skąd w tobie przekonanie, że każdy potrzebuje wiary?

– Z życia. Chcąc wykonać jakikolwiek krok, musimy wierzyć, że pod stopą znajdziemy twardy grunt. Żeby żyć, musimy całą masę rzeczy „przyjmować na wiarę”. Wierzymy, że świat, w którym znajdziemy się jutro, będzie podobny do tego, w którym żyjemy dziś.

– Ale przecież on nie musi być taki sam. Może się nagle zmienić.

– I robi to bezustannie. Nie możemy wszystkiego o nim wiedzieć. W to, czego nie wiemy, musimy wierzyć. Wszystkie drogi prowadzą do wiary.

– I nie ma, twoim zdaniem, alternatywnej ścieżki?

– Trzeba w coś wierzyć, żeby żyć – nie tyle w znaczeniu pragmatyki przetrwania, ile w sensie uczynienia życia czymś sensownym. Życie to wiara, wiara to życie.

Niewygodna cisza uniosła się nad zdobionym drewnianymi ornamentami stolikiem, a przerwało ją jednoczesne pochwycenie przez Ninę i Jerzego swoich filiżanek z kawą.

– Jest jeszcze coś, co czyni mnie wyznawczynią boskiej obecności we wszechświecie – kontynuowała. – To idea wybaczenia. Pomyśl: zrobiłeś coś okropnego, cały świat cię potępia, ale wiesz, że jest ktoś, kto ci wybaczy. Wystarczy, że szczerze będziesz żałował swoich czynów, a On ci wybaczy. Czy chociaż dla tej jednej myśli nie warto wierzyć w Boga?

– Ty nie byłabyś zdolna do wyrządzenia komuś krzywdy.

– Każdy z nas rani innych, świadomie bądź nie, ale robi to.

– Może to konsekwencja wolności?

– Wolności bez ograniczeń, czyli bez Boga. Taka hołduje chaosowi. Nie uznaję jej. Tak nie można.

– A ile, według ciebie, można?

– Ja uważam, że ograniczenia dają możliwość mądrego korzystania z wolności. Wolność nie przestaje być wolnością, a mądrość staje się jej częścią. Piękne połączenie, prawda? Jednak strażnikiem obu musi być zawsze Bóg. Musi naprawiać to, co psujemy...

– Czyli krzywdzenie innych jest nieuniknione?

– Tak myślę. Dlatego wybaczenie krzywdzącym staje się najwyższą sztuką. Człowiek – w swojej duchowej ułomności – nie jest zdolny do opanowania jej na równi z Bogiem.

– Dlaczego wybaczenie jest takie trudne?

– Bo stoi w sprzeczności z nowym bożkiem, którego stworzyliśmy sobie w toku rozwoju ludzkości.

– Jak mu na imię?

– Odpowiem ci pytaniem: czy wiesz, co jest antonimem empatii, od której zaczyna się przebaczenie?

– Obojętność.

– Otóż nie! Egocentryzm, czyli nieumiejętność i niechęć wczuwania się w stan emocjonalny drugiej osoby, który często wynika z dbałości o własną wygodę. Skrzywdziłeś kiedyś kogoś tak mocno, że spędziło ci to sen z powiek na długie tygodnie?

Nie doczekała się odpowiedzi. Szybko też pożałowała swojej brawurowej słownej szarży, bo zmarszczył czoło w akcie niezadowolenia. Oboje uznali, że za daleko wkroczyła na jego teren.

Aby przywrócić miłą atmosferę intelektualnej konwersacji, powróciła do tematu Boga:

– Bardzo głęboko wierzę w to, że przebaczenie to siła, która daje wewnętrzny impuls do przemiany. Możemy stawać się, kim chcemy. Wszyscy możemy wszystko. Nie zgadzasz się ze mną?

– Nie, moje milczenie nie oznacza negacji. Wsłuchuję się uważnie w każde wypowiedziane przez ciebie słowo – odparł zdziwiony śmiałą sugestią Jerzy. – Osobiście uważam, że ciągle pokutuje wśród żywych błędne przekonanie o tym, iż to Bóg nadał nam prawa moralne. Skąd wiesz, że normy etyczne pochodzą od Boga? Ludzie „wierzący” wnioskuje, że ateści są w związku z tym źli i nie mają zasad moralnych. Interesowałaś się kiedyś wierzeniami Pigmejów? Posiadają oni zakodowane genetycznie prawa moralne. Podczas zabijania zwierząt towarzyszy im niskie samopoczucie. Wiesz, jak sobie z tym poradzili? Wymyślili specjalne obrzędy, w których przepraszają dusze zwierząt! Sami sobie ofiarowują wybaczenie. W ich świecie nie ma arbitra – Boga.

– Może po prostu inaczej go pojmują. Ktoś musiał wyznaczyć im granice dobra i zła. Muszą przed kimś drzeć. To leży w naturze każdego człowieka.

– Naprawdę tak uważasz? Sugerujesz, że rodzimy się z czołobitnością?

– Wierzę, że rodzimy się z poczuciem istnienia kogoś, do kogo musimy dociągać.

– I przez całe życie czuć jego wyższość nad każdym swoim aktem stwórczym?

– Człowiek jedynie odtwarza... Tylko wydaje mu się, że tworzy. Twórczość jest próżnością. Bóg stworzył już wszystko, co powinno być stworzone.

Bardzo chciał zadać jej ostateczny cios, nokautując wygłoszone tezy:

– Skoro pogrzebałaś nadzieje artystów, co powiesz o zbrodniarzach wojennych? Wojny mają najczęściej podłoże religijne. Czy to wystarczający powód do zabijania? Żadne zabijanie nie może być dobre, nie ma takiej intencji, która by je dobrym czyniła. Dobro albo jest, albo go nie ma. Nie trzeba o nie walczyć. Zabijanie jest złem.

– *Ludzie ludziom zgotowali ten los.* Bóg nie zna wojen, to my sami stworzyliśmy konkurencyjne własne piekielko na ziemi. W tym temacie moje myślenie jest kategoryczne.

– Słyszę – Jerzy zdziwił się, słysząc podniesiony ton jej głosu.

– A może trzeba zamienić twoje pytanie na inne: czy ja wierzę w Boga, czy wierzę Bogu?

– To dla mnie drugorzędna kwestia i zbędne filozofowanie. Wolałbym, żebyś zapytała samą siebie o coś innego: czy wiem, że Bóg istnieje? A może jedynie znam fakt istnienia Boga?

– Tomiści nie mieli takich wątpliwości.

– Tomiści bluźnili rozumowi! – wzburzył się Jerzy, przeistoczywszy się nagle w warczącego lwa.

– Teizm tomistyczny uczy, że Bóg, będąc przyczyną wszystkich bytów, posiada w sposób wyższy, doskonalszy, pełniejszy, wszystkie te cechy bezwzględne stworzeń, których pojęcie nie zawiera braku, niedostatku, niebytu. Tomiści wiedzą, że Bóg posiada rozum nieskończony i nieskończoną wolną wolę; że jest osobą. Wierzą, że Bóg jest nie tylko najwyższym Bytem i źródłem wszystkich bytów, ale także najwyższą wartością, nieskończoną Prawdą, Dobrem, Pięknem, Miłością, Wiedzą. Jest wszystkim, czego potrzebujemy! Wszelki byt skończony zależy od Boga w istnieniu i istocie! Bóg jest jedynym Stwórcą, Arbitrem i Rozumem!

– Cała jesteś teraz Bogiem, Nino – roześmiał się kpiąco, widząc ją niemalże uniesioną nad ziemią.

Wymachiwała nerwowo stopami pod ciasnym stolikiem. Po raz pierwszy w tej rozmowie nie potrafiła ujarzmić mowy ciała. Zapomniała o byciu miłą i zdystansowaną. Zamiast tego z obłudą w oczach gestykulowała, chcąc przekonać go do swoich racji. Bo o tym, że miała rację, była święcie przekonana. Rozdrażniło go niekontrolowane fanatyczne szaleństwo rozmówczyni. Odruchowo chwycił

jej ramię, boleśnie ścisnął i przytrzymał przez dłuższą chwilę. Zorientowawszy się w swoim zuchwalstwie, natychmiast przyłożył ręce do ceramicznej filiżanki.

– Zawsze jestem gotowa dać świadectwo – odpowiedziała pokornie, wrywając się z niespodziewanego uścisku, który nie miał nic wspólnego z romantycznym gestem.

Kelnerka postawiła na stoliku dwie porcje przykrytego upłynniającymi się waniliowymi lodami jabłeczника. Przecudnie pachniał ciepłem i dobrem. Zaczęli dłużyć w nim widelcami. Byli teraz jak dwaj obcy sobie ludzie, którzy natarczywym rozdrabnianiem pulchnego ciasta wyrażali swoje wzburzone emocje. Ich oczy powędrowały w przeciwne kierunki, a myśli odpłynęły w odległe sobie przestrzenie.

Ależ on klasycznie racjonalny – myślała Nina.

Ależ ona głupia i naiwna – pomyślał Jerzy.

W tle kawiarni słychać było liryczne dźwięki gitary. Zapach kardamonu pomieszanego z wanilią próbował ukradkiem przedostać się do nozdrzy dwóch głów pochylających się nad aromatyzowanymi świeczkami. W bezbarwności powietrza mieniło się żółte światło latarni. Czerwone kotary tajemniczo osłaniały ludzkie postacie. Jerzy uznał, że wygłoszonym z poetyckim zacięciem świadectwem głębokiej wiary Nina została odarta z wszelkich intrygujących tajemnic. Zmysłowa cielista kotara odsłoniła bezpłodną, jego zdaniem, duszę. Jeśli tak mocno kochała się w Tamtym, a był On dla niej wszystkim, niepotrzebnie próbowała zdobyć uczucie innego. W jednej chwili przestała go interesować jako kobieta.

W tym samym czasie, podczas refleksyjnego rozmyślenia nad porcją jabłeczника, oczom Niny ukazała się nagle twarz splakanej Nowakowej. Gdy zrzuciła ona swoje przedmioty do czeluści głębokiego kartonu, próbowała ściągnąć na siebie wzrok świeżo awansowanej koleżanki. Przyciągała ją błagalnym wejrzeniem, ale ta za nic nie chciała dać się schwytać. Jeśli miała nadzieję, że wydarzy się cud i Nina własną pierś obroni jej posadę, straciła ją z chwilą opuszczenia przez ulubienicę pomieszczenia, w którym rozgrywał się jednostkowy dramat. Ciesielska ukryła się w toalecie, gdzie w spokoju przeczekała akt główny zawodowej rozłąki Nowakowej z biurkiem, po czym wróciła do zajmowanego wspólnie biura, by upewnić się, że oddelegowana w niebyt lojalnie zabierze ze sobą tajemnicę nieformalnej współpracy. Z ulgą zatrzęsła za nią drzwi i znów zatopiła się w ciszy. Świadomość istnienia zarówno owej współpracy, jak i samej Nowakowej, przestała istnieć wraz z powrotem Niny na swoje krzesło. W tamtym momencie Bóg nie mógł być dumny z panny Ciesielskiej. Zrozumiała, że przekroczyła granice nieformalnej relacji i nie miało to wiele wspólnego z mądrością.

Tego dnia, we wnętrzu klimatycznej kawiarni, w nienaturalnie powiększonych źrenicach Jerzego raz jeszcze zobaczyła cierpiące oblicze średnio lubianej przez siebie koleżanki. Cierpienie to stanowiło widoczny dowód grzechu drugiej osoby, a oprawcą wcale nie był Dębski. Ktoś wyrządził zło i odciął się od niego drzwiami. Ktoś poczuł się lżej, gdy zło zatartło wszelkie ślady swojej działalności i wyprowadziło kobietę na ulicę. Ktoś próbował pocieszyć się, że zło jest substancjalną cechą każdego bytu i całej rzeczywistości, a więc wyprodukowało się niezależnie od woli.

Być może myślę grzech z poczuciem winy moralnej – myślała w duchu Nina, udając rozkoszowanie się kawałkiem jabłeczника. – A rzekome zło wyrządzone przeze mnie utożsamiałam z cierpieniem odczuwanym przez nią. Przecież to nie ja zdecydowałam o redukcji etatu, nie ja dokonałam wyboru tej, a nie innej, pracownicy do zwolnienia. Nie znałam planów Dobruckiego. Dekalog jednoznacznie stwierdza związek przyczynowo-skutkowy między danym zachowaniem a świadomością zła. Zakazuje tylko jednej rzeczy: wyrządzenia krzywdy z premedytacją, z intencją wywołania zła. Ja nie złamałam tego zakazu. A jednak sprawić komuś cierpienie, znaczy – czynić zło. Po wyjściu z kawiarni zadzwonię do Nowakowej. Muszę mieć pewność, że nie zlorzeczy mojej osobie.

Kobiety potrafią wzbudzić fascynację najwyższego rzędu i jednocześnie najbardziej brutalnie rozbić ją o bruk – myślał w duchu Jerzy. – Moja mizoginia nie była wrodzona, narodziła się wraz z pierwszą jałową damsko-męską konwersacją. Zamiast silić się na intelektualne próby, niechże lepiej ograniczą swoją rolę do bycia ozdobą mężczyzn. Udają chrześcijanki, a nie dostrzegają fundamentalnego założenia ich religii, czyniącego z kobiety istotę poddańczą wobec męskiego pierwiastka. Są seksualnymi obiektami wywołującymi frustrację u tysięcy mężczyzn wychowywanych w bezwzględnym nakazie szacunku do nich. Od dzieciństwa wpajają nam, że zainteresowanie kobietą

tylko w aspekcie seksualnym jest czymś godnym potępienia, że najważniejsza jest jej osobowość i to na nią należy zwracać uwagę. Uczą, że kobiety mają swoje prawa, coś im się należy. I ja muszę to uszanować, mam obowiązek szanować ich prawa i dawać im to, co im się ode mnie należy, nawet jeżeli ja od nich niczego nie dostaję. To, co myślą kobiety, jest istotne. Ich odczucia i poglądy są istotne. Mam obowiązek je szanować, przejmować się tym, co myślą i czują. I ten obowiązek nakazuje mi marnować czas na konwersowanie z kolejną cnotliwą Marią Magdaleną, która oddała mi się po jednej butelce dobrego wina. Kobiecie nic się automatycznie nie należy. Jeżeli zaspokoi moje potrzeby i sprawi, że sam z siebie będę chciał być dla niej dobry, to taki właśnie będę. A jeśli zechcę odwrócić się na pięcie i odejść, to bez słowa wyjaśnienia odejdę. Mężczyźni potrzebują kobiet, nasze wspólne relacje są nieuniknione. Ale to, czego potrzebuje mężczyzna, sprowadza się do seksu, i błogosławiony ten, który potrafi uczciwie się do tej powszechnej prawdy przyznać. Miłość? Uroda? Emocjonalna bliskość? Na Boga, a który z nas chciałby uprawiać seks z brzydką kobietą podobną do niewyuczonego niemowlęcia?! Niech czytają, uczą się języków, projektują, liczą i wierzą, ale niech wystrzegają się myślenia. Wygłaszanie teoretycznych herezji powinno odbywać się jedynie w wewnętrznym babskim gronie. *Bóg stworzył już wszystko, co powinno być stworzone. Człowiek jedynie odtwarza* – oto przykład sprowadzenia myślenia do rzędu bezrozumnych procesów. Dlatego mogę zaakceptować istnienie żeńskiego pierwiastka na poziomie społecznym, seksualnym, a nawet emocjonalnym, ale nigdy nie zaakceptuję go na płaszczyźnie intelektualnej.

Dalsza rozmowa nie kleiła się, więc przemilczawszy wspólnie spożywanie dania głównego, zdecydowali o powrocie do swoich światów. Po wyjściu z kawiarni Nina zadzwoniła do Nowakowej. Był to jednak jałowy gest – pozostał bez odpowiedzi. Jerzy obiecał sobie, że dobrze wykorzysta umiejętności Niny w zakresie doboru korzystnych kredytów na dalsze stwarzanie „Glinianej Oazy” i że znów oddali ją na bezpieczny dystans. Jedyнным jasnym wspomnieniem tego napiętego spotkania pozostał pyszny jabłecznik.

10.

Kolejny poranek, tym razem wieńczący bliższą zażyłość ze swoją nową pracownicą i jednorazową kochanką, zapowiadał się dla uwolnionego od złudzeń Jerzego niezwykle obiecująco. Słońce rozgrzewało wychłodzone mury budynków mieszkalnych, wdzierając się wprost do szczelnie zasklepiionych powiekami oczu ślupszczan, którzy twardo dosypiali miniony dzień pracy, odraczając nadejście nowego ranka. W powietrzu unosiła się woń świeżości i wilgotnej pary. Namaściła ona okna mleczną poświatą. Ptaki delikatnie wystukiwały o blaty parapetów dźwięczne melodie, a szelest wysokiej trawy poruszanej przez wiatr energetyzował budzące się do życia ciało gladiatora. Był to jeden z tych poranków, kiedy wszystko stawało się samoistnym ruchem.

Jerzy uwielbiał poranne poczucie mocy i chęci do działania. Od najmłodszych lat nie miał problemów ze wstawaniem. Nie reagował agresją na dźwięk budzika i szybko opuszczał wygodne łóżko, by zapoznać się z ofertą zdarzeń przygotowaną na dany dzień przez Fortunę. Miała do niego wyraźną słabość, bo zwykle zatrzymywała obrót swojego koła na dobrych wypadkach losowych. Celebrował poranki na własną modłę również wtedy, gdy wchodził w dłuższe relacje z kobietami. Błyskawicznie wykladał im reguły gry: nie zamierzał spędzać z nimi bezproduktywnych, jego zdaniem, i niepotrzebnie kulturowo naznaczonych przymusowym zespoleniem chwil tuż po przebudzeniu. Śniadania organizowały sobie we własnym zakresie, nie mogły liczyć nawet na krótką konwersację przy ekspresowej kawie. Czuli się wyprowadzane wzrokiem z mieszkania, zanim wykonał poranną toaletę. Przyjmowały zwykle założenie, że dla takiego tęgiego umysłu „czas to pieniądz”, więc pewnie spieszy się po prostu do swoich interesów, skoro został powołany do bycia generatorem sukcesu.

Jedna tylko Karolina Wysocka odważyła się zapytać go kiedyś o powód wczesnoporannego zrywu:

– Czy ty naprawdę nie odczuwasz satysfakcji wpływającej z możliwości beztroskiego powylegiwania się w tym idealnie zaprojektowanym przez jakiegoś magika łóżku? Przecież masz nienormowany czas pracy, możesz wynurzyć się spod kołdry dopiero w południe – wyspany, zregenerowany i naładowany pozytywną energią miękkiej pościeli.

– Przeleżeć najbardziej produktywną dla umysłu część dnia – oto twoja propozycja. Wybacz, nie skorzystam z niej – odpowiedział z charakterystyczną dla siebie zawziętością. – *Rzymianin zwycięża, siedząc*. Wiesz, kto to powiedział?

– Nie znam się na tęgich głowach.

– To słowa Marka Terencjusza. Widzę, że najchętniej przerobiłabyś je na: *Rzymianin zwycięża, leżąc*. Prawdziwy strateg wychodzi życiu naprzeciw wraz z pierwszym otwarciem powiek. Inaczej nie zdąży zamienić w czyn choćby jednej czwartej swoich myśli. Myślisz, że starożytna cywilizacja zrodziłaby swoją genialność, gdyby jej twórcy zalegali w sypialniach do południa?

– A skąd wiesz, że tak nie było?

– Jak ty mało wiesz o fundamentach cywilizacji, Karolino – naigrywał się pieszczotliwie, przeglądając pierwsze odebrane maile. – W kulturach starożytnych liczenie godzin zaczynało się o wschodzie słońca. Tak więc świt wyznaczał początek pierwszej godziny, południe zaczynało się z szóstą godziną, a zachód kończył ostatnią, dwunastą. Natura sama wyznaczała człowiekowi moment rozpoczęcia codziennej aktywności i najwyraźniej uznała, że musi się ona rozpoczynać wcześniej, tuż po przegonienu ciemności.

– Ale czy moment przebudzenia się musi być jednoznaczny z automatycznym wytworzeniem ruchowego pobudzenia, jak u ciebie? Zrywasz się na równe nogi jak poparzony! Przerazasz mnie czasem.

– O nie, to mnie przeraża nadmierna prędkość gnającego od wschodu do zachodu słońca czasu. Nie mogę sobie pozwolić na marnowanie poranka – zaśmiał się przyjaźnie, choć drażniła go już ta przydługa poranna wymiana zdań, odciągająca go od spraw naprawdę pilnych i wymagających jego obecności. – Jeśli zbyt późno wystartujesz, dotrzesz do mety za innymi. Oni stworzą to, czego nie

zdasz stworzyć ty. Oddasz im najbardziej skuteczne narzędzie.

– Czyli chcesz przeżyć życie, ścigając się z czasem, zamiast unicestwiać go i zatrzymywać podczas niepowtarzalnych chwil? Odbierasz sobie całą radość istnienia.

– Dla kobiet czas jest radością, dla mężczyzn – wyzwaniem. A ja jestem człowiekiem czynu, nie uczuć. Więc powtórzę raz jeszcze: poranki są po to, by strateg mógł mądrze zaplanować realizację swoich wyzwań, a nie po to, by dawać kobiecie to, co dostała już w nocy.

Karolina wytrzymała rok podobnych przebudzeń, aż przeniosła się do dawnego przyjaciela Jerzego z czasów szkoły średniej, który wyznawał odmienną teorię, u podstaw której legło przekonanie, że z czasem powinni ścigać się jego nieźle opłacani najemcy-ochotnicy, by on sam mógł spijać poranny nektar rozkoszy ze swojej piękności nałożnicy. Jerzy nie zdążył nawet rozżłościć się na nielojalnego kolegę, ponieważ wkrótce po zamknięciu drzwi za Karoliną otworzył je dla bystrej Patrycji. Ta – wspaniałomyślnie odgrywająca rolę tolerancyjnej anielicy – wracała potulnie do swojej kawalerki, by w niej przez cały dzień kipieć zazdrością o swego niedostępnego fizycznemu postrzeganiu niby-partnera.

Podobny krzyż dźwigała od kilkudziesięciu minut przebudzona Nina. Nieznajomość porannych obyczajów Jerzego sprowadziła na rozgoryczoną księgową strumień zniecierpliwionych łez i wydłużające się w nieskończoność oczekiwanie na telefon. Wprawdzie tej nocy spali osobno, poróżnieni, ale wciąż była jego Niną, którą posiadał w sposób nieoczekiwany i niezaplanowany, a sprezentował mu ją rozświetlony neogotycką nocą księżyc. Do takiej Niny powinno dzwonić się przed wykonaniem jakiegokolwiek innej czynności! Powinno się natychmiast sprawdzić, czy na pewno nadal istnieje. By zająć sobie przykry czas oczekiwania, z sentymentem wspominała rozmowę o Bogu, zakończoną intymnym wyznaniem wiary i jednocześnie odkryciem przed Jerzym swojej hierarchii wartości. Czuli, że łączy ich coraz głębsza więź i wzajemna ciekawość, zwiastująca zwykle narodziny silnego uczucia. Jednak – nie wiedząc czemu – zwlekał z potwierdzeniem tego telefonem lub przynajmniej esemesem.

W masce tolerancyjnej matrony, ze stoickim spokojem wyczekującej wieści od swojego wybranka, nie było Ciesielskiej do twarzy. Zdjęła ją więc natychmiast i płakała w przyklejone do twarzy dłonie. W końcu nawet Jezus upadał.

Jerzy daleki był od smutku wywołanego rozczarowaniem. Rzeźki i naznaczony szczególną energią poranek postanowił spędzić na tenisowym korcie, gdzie przeistaczał się zwykle w mistrza dyscypliny. Gdy tylko pochwycił w dłonie raketę, stawał się mitycznym herosem o nadludzkiej sile i zwierzęcej drapieżności. Grał całym sobą, jakby od jego poczynań zależały losy wszechświata, choć sam zapominał o jego istnieniu. Zaabsorbowany taktycznymi sztuczkami, wyęczał wszystkie zmysły, by osiągnąć poziom doskonałości rzemiosła. Spływający po czole pot podniecał go bardziej niż głęboki dekolt Niny. Ból zmęczonych mięśni wywoływał w nim szczególny rodzaj cielesnej ekstazy, silniejszej nawet od orgazmu. Żadna z żyjących kobiet nie była w stanie zapewnić mu podobnych porannych uniesień. Przegrywały w konfrontacji z tenisem, chociaż miały swoje niezaprzeczalnie boskie atuty.

Dla Jerzego dodatkową motywacją do podjęcia wczesną porą ekstremalnego wysiłku była chęć przechytrzenia na korcie Łukasza. Ten rozchwytywany przez wszystkich samozwańczych mistrzów instruktor słynął z niezłomności i sprytnego przewidywania uderzeń przeciwnika, co – w parze z wrodzoną inteligencją przestrzenną – czyniło go wybitnym władcą rakiety, do którego codziennie ustawiały się tłumy śmiazków najwyższej lokalnej rangi. Każdy z nich chciał sprawdzić się w starciu z tytanem, każdy z nich po cichu marzył o widowiskowym pokonaniu go na oczach pozostałych grubych ryb. Ich poupychane w sejfach pieniądze nie zawsze gwarantowały powodzenie misji, albowiem Łukasz nie schlebiał tym, którzy próbowali kupić sobie chwilowe poczucie zwycięstwa. Traktował tenis śmiertelnie poważnie i zmuszał swoich podopiecznych do prawdziwej rywalizacji. Najślabi odpadali po kilku lekcjach, po czym udawali się do konkurencyjnych firm, w których od zasad fair play ważniejsze było zapewnienie swoim klientom dobrego nastroju. Kupowali go sobie wraz z miesięcznym karnetem i serią oczywistych wygranych. Mimo to do Łukasza ustawiały się tuziny tuzów, choć jego czas był ograniczony prawami dnia i nocy. I chociaż kochał swoją pracę ponad wszystko, z równym oddaniem dbał o cielesną regenerację oraz niczym niezmacony sen. Potrafił odmówić gry samemu prezydentowi

miasta, jeśli miał tego dnia umówiony tajski masaż.

Jednak poranny telefon od Dębskiego z „Glinianej Oazy” zawsze był dla Łukasza uprzywilejowany i stanowił wyjątek od reguły życia według precyzyjnie skonstruowanego rozkładu dnia. Dla tak wymagającego rywala mógł poderwać się z łóżka wcześniej niż zwykle. Dębski był jedyną osobą skłaniającą go do użycia na korcie wszystkich swoich potwierdzonych certyfikatami umiejętności.

Rozgrywkę zaczęli więc punktualnie o piątej trzydzieści, ekstremalnie rozszerzając granice wczesnoporannej aktywności. Obaj profilaktycznie opili się mocną czarną kawą i wzmocnili solidną porcją owocowych węglowodanów. Gdy wtargnęli na kort, wygłodniali jak wilki, zimne pomieszczenie natychmiast rozgrzało się niczym fińska sauna. Ich samych ochładzał lejący się nieprzerwanym strumieniem pot i czerpany pospiesznie z plastikowego bidonu haust wody. Po odbyciu rozgrzewki zatrzymali się na chwilę w celu uspokojenia przewentylowanych nagłym zrywem płuc, wyrównali pracę tętna, następnie popatrzyli sobie w oczy z powagą zwiastującą doniosłość mającej rozegrać się zaraz batalii.

– Jesteś gotowy przegrać dziś ze swoim uczniem? – zażartował Jerzy, próbując rozproszyć koncentrację swojego mistrza.

– Na to mistrz nigdy nie jest gotowy – odpowiedział poważny do bólu Łukasz. – Dlatego nie przegra.

– A ja postaram się rozdrażnić osobę mistrza i zasiał w jego pewności siebie odrobinę niepokoju.

– Nieudany interes?

– Ja reprezentuję tylko udane interesy. Po prostu mam dziś energię inną niż zwykle, czuję ją pod skórą, domaga się ujścia.

– Zrodzoną z agresji.

– Przyjechałem po zwycięstwo!

– Zatem zaczynamy!

Nie było nikogo, kto mógłby udokumentować heroiczne rozpoczęcie tej zorganizowanej naprędce dziejowej bitwy. Publiczność przewracała się dopiero na drugi bok, śpiąc w najlepsze, więc los pozostawił ich na korcie samych ze swoimi zwierzęcymi instynktami oraz ludzkim pragnieniem uzyskania dominacji totalnej. I tak jak gwiazda wśród innych gwiazd, gdy noc letnia zapada, gwiazda wieczorna, co wschodzi najpiękniej na ciemnych niebiosach – tak połyskiwał uchwyt wysłużonej rakiety, którym potrząsał prędkonogi Jerzy w prawej swej dłoni. Rozbieganymi oczami szukał w tartanowej nawierzchni miejsca, gdzie lądowanie piłki najłatwiej wbiłoby się sztyłem w serce rywala. Ale tan cały czas okryty był niewidzialną zbroją koncentracji, zdobytą wieloletnim doświadczeniem na placu boju. Tylko tam, gdzie dwa obojczyki od ramion łączą się z szyją, stękające gardło zdradzało, że boski Łukasz czerpie już z zapasów siły i wytrzymałości. Dyszało ono ciężkim od nadmiaru testosteronu powietrzem, łączywie wypełniając nabrzmiałe płuca mocodajnym pierwiastkiem. Kolejne odbicia piłki wprawiały ziemię w sejsmiczne wstrząsy, a świst tańczącej nad siatką białej kuli wzniewał apetyt na wygraną. Włosy obu herosów powiewały niczym kity w hełmach najdzielniejszych greckich rycerzy. Rozjuszeni, z każdym ruchem potęgowali swoją dzikość, która wzrastała wraz z oporem rywala. W meczu nastąpiła era równowagi.

– Co dziś w ciebie wstąpiło? – dopytywał się zziębły Łukasz.

– Moc! – śmiał się z oddali rozbiegany Juras.

– Gdybyś nie miał pieniędzy, pomyślałbym, że postawiłeś u bukmachera wszystko na jedną kartę i od pokonania mnie zależy całe twoje dalsze istnienie.

– Poza pieniędzmi potrzebuję jeszcze poczucia glorii. Wykarmia mnie ono jak dawnych Rzymian.

– A jeśli go za chwilę nie doświadczysz?

– To będzie znaczyło, że twoi kolejni klienci spotkają się już tylko na twoim pogrzebie.

– Mam przegrać „na niby” albo stracić życie?

– Przegrasz naprawdę. I to ocali ci życie.

Pojedynek długo nie znajdował rozstrzygnięcia. Minuty miały niezależnie od wiedzy dwóch

walczących ze sobą gladiatorów. Gromadzący się wokół kortu inni ujęci w grafiku poranni śmiałkowie niecierpliwymi gestami zaczęli domagać się zauważenia. Ich czas był ściśle zawarty w wąskich granicach, a Łukasz zwykle ich nie przekraczał. W końcu rozbrzmiały gromkie brawa i gwizdy. To właściciel „Glinianej Oazy” wywołał je ostatnim decydującym ruchem styranej dłoni. Mistrz poległ, podczas gdy uczeń zszedł z areny w glorii i złotej poświacie zwycięstwa. Nie raz słyszeli, że jest wielki i przyciąga powodzenie jak magnes. Teraz znaleźli na to dowód. Jerzy Dębski nie napawał się demonstracyjnie zwycięstwem. Pozbył się przemokniętej koszulki, opróżnił bidon, podał co zaciejszym biznesmenom dłoń na powitanie, na koniec poklepał boskiego Łukasza po ramieniu i odjechał do swojej kuźni powodzenia wszelkiego. Łukasz długo siedział na ziemi milczący i odrętwiały. Nie miał śmiałości spojrzeć w stronę swoich klientów, których zawiódł niespodziewaną porażką, nadwyrężywszy znacznie swój autorytet. W głowie próbował ustalić jej przyczyny, jednak żadna z nich nie miała racjonalnego charakteru.

Boski Łukasz nie wiedział, że prawdziwym autorem zwycięstwa w tym diabelskim meczu było rozczarowanie kobietą.

Jerzy postanowił wynagrodzić Łukaszowi bolesną dla niego porażkę, więc jeszcze przed południem sięgnął po telefon.

- Miałeś dziś farta, wybacz – zażartował z imitowaną pokorą.
- To raczej ja miałem pecha – odpowiedział poważnym tonem instruktor.
- Możesz być dumny z tego, że wytrenowałeś tak ambitnego ucznia.
- Musiałeś upokorzyć mnie na oczach moich klientów?
- W ferworze walki nawet nie zwróciłem na nich uwagi, nie wiedziałem, że się nam przyglądają.
- Tak bardzo skupiony byłeś na skopaniu tyłka ich nauczycielowi?
- Nie myślałem wiele, po prostu wyrzucałem z siebie ten rodzaj ognistej energii, który pojawia się w człowieku zaledwie kilka razy w ciągu całego życia. Coś kazało mi walić w tę małą piłkę bez opamiętania.
- Dokonałeś na niej mordy. Gdyby była kobietą, z pewnością nie uszłaby z życiem.
- Ty mnie tego nauczyłeś.
- Ja uczyłem cię sportowej zadziorności, a nie wyzywania się na przedmiotach.
- Oglądałeś *Wściekłego byka*?
- Kilka razy. To moja prywatna klasyka filmu.
- A więc zrozumiesz.
- Co?
- Jak przejawia się męskość.
- Z pewnością nie poprzez bycie damskim bokserem.
- Skondensowana jest w uporze, zawziętości i brutalności rozumianej jako nagłe wydobycie na powierzchnię własnej mocy.
- Brutalność nie jest zaletą.
- Ależ jest! Właściwie pojmowana może stać się nawet wartością.
- W sporcie wystarczą upór i twardy charakter.
- Ale w życiu trzeba być brutalnym. Żeby skutecznie przedrzeć się przez przeszkody czy beznamietną masę tych, którzy swoją nijakością hamują cię w transformacji.
- W kogo próbujesz się zmienić?
- We współczesnego gladiatora. Chcę być dla siebie jednoosobowym wojskiem broniącym się przed przeciętnym życiem, bezbarwnymi kobietami i społeczną wizją męskich powinności. Zniewieściliśmy, Łukaszu. Podziwiają nas już tylko za umiejętność wytwarzania fortun służących spełnianiu zachcianek krwiopijczych samic, które ubierają się w kostium żelaznych dam. Tak naprawdę są jedynie bogobojnymi służkami marzącymi o skradzeniu nam całego cennego czasu. Wiszą na naszych szyjach, błagając o uwagę. A gdy zdecydujesz się ją im poświęcić, okazuje się, że masz bez końca patrzeć im w oczy, odizolować się od świata i porzucić wielkie idee. Albo słuchać, jak mówią o Bogu, któremu przypisują człowiecze moce. Gladiator nie godzi się na to!

- I dlatego przywdziewa bokerskie rękawice i dowala innemu mężczyźnie?
- Nie, robi to, do czego został powołany. Zwalcza przeciętność. Zmusza otoczenie do wygenerowania maksymalnego wysiłku.
- Czasem boję się ciebie.
- Niepotrzebnie, jak we *Wściekłym byku* – gladiator jest groźny tylko dla samego siebie.
- Wolę, gdy jesteś po prostu Jerzym.
- Obiad po południu?
- Jestem skłonny dać się w ten sposób przeprosić.
- Ale ja nic złego nie zrobiłem. Zjedźmy coś wartościowego i wracajmy do swoich zajęć.
- Nigdy więcej nie staraj się mnie publicznie upokorzyć.
- Zachowujesz się jak kobieta.

W czasie gdy przygnieciona kolejnym stosem papierów stanowiących nowy fundament „Glinianej Oazy” Nina podświadomie czekała na telefon, odpierając złowrogie spojrzenia Ines, jej Jerzy konsumował pieczonego łososia z bukietem gotowanych warzyw. Obok niego siedział boski Łukasz, który wciąż nie mógł pogodzić się z poranną porażką na tenisowym korcie. Nadal też podejrzliwie przyglądał się swojemu sparingpartnerowi.

– Od dawna odczuwasz nienawiść do kobiet? – zapytał, chcąc zamknąć ten niewygodny dla obu temat.

- To nie jest nienawiść. Po prostu za każdym razem rozczarowują mnie przy bliższym poznaniu.
- Przecież w swojej firmie zatrudniasz prawie wyłącznie kobiety.
- Bo są świetnymi pracownikami: punktualne, skrupulatne, pracowite jak mrówki. Mogą ślęczeć przed komputerem od świtu do zmierzchu, a nawet długo po nim. Nie spoczną, zanim nie wykonają powierzonego im zadania. Są pod tym względem godne podziwu, choć nie wiedzą, że ich niezłomność jawi się jako groteskowa. Udają kolektyw, a w rzeczywistości bezwzględnie ze sobą rywalizują, co bezpośrednio przekłada się na pozytywny wynik finansowy firmy. Patrzą na siebie wilkiem, choć na pozór zachowują się jak potulne owce. Pracy podporządkowują wszystkie dziedziny życia, rezygnując najczęściej z prawa do sfery prywatnej. Każdego dnia dźwigają na swoich plecach zawodowy krzyż, wmawiając sobie samym, że to skrzydła.

– I mówisz o tym z takim spokojem? Skoro rozumiesz, jak wiele muszą poświęcić, by udowodnić swoją wartość...

- Żeby zarobić.
- Żeby spełnić oczekiwania...
- Niepotrzebnie zapędzamy się w koziego róg. Dostają to, po co przyszły do firmy. To uczciwa wymiana.

– A ty? Biernie przyglądasz się ich rywalizacji na glinianym korcie?

– Przeciwnie, daję im wolną rękę, czyli coś, co wyzwala w nich męskość. Zaczynają myśleć, przewidywać, specjalizować się. Krążą wokół spraw firmy na najwyższych obrotach. Ja w tym czasie mogę spokojnie projektować kolejne rewolucje, wiedząc, że jeśli którejś z nich zachce się kombinować, inna z prędkością światła uprzejmie mi o tym doniesie.

- Sprytnie zaprojektowałeś sobie i to.
- Poznałem w życiu wiele kobiet i mogę zaryzykować stwierdzenie, że wszystkie ulepione są z tej samej gliny. Nigdy nie użyłbym jej do budowy choćby jednego domostwa.
- Podobno widziano cię z Ciesielską.
- Tak, przeszła do mojej firmy i pracuje teraz dla mnie.
- Widziano cię z nią w hotelu.
- Nasze miasto oddycha jednak typową prowincjonalnością. Już o tym mówią?
- Wspomniano w rozmowie ze mną.
- Twoi klienci powinni bardziej skupić się na obsłudze rakiety niż na przekazywaniu ci bezużytecznych informacji. Może wtedy mogliby powtórzyć mój wyczyn z rana.
- Zauroczyła cię?

- Przeciwnie, odczynyła na mnie ostateczny urok.
- Mówią, że jest piekielnie inteligentna. I do wzięcia.
- Zawsze wierzysz we wszystko, co mówią?
- Wnioskuje, że ty nie, i dlatego zweryfikowałeś to osobiście.

– Jest małym zakompleksionym człowiekiem cierpiącym na chroniczny brak ambicji, które bardzo chciałaby mieć, żeby czuć się lepszą od innych kobiet. Ma wygórowane mniemanie na temat swojej kobiecości, a rzekome przynioty umysłu sprowadzają się u niej do powtarzania przeczytanych na pseudointelektualnych podrzędnych portalach formułek i recenzji. Wystarczy zmusić ją do samodzielnego myślenia, a traci grunt pod nogami, kamuflując ignorancję trzepotem rzęs. Jest gotowa oddać się mężczyźnie podczas pierwszego z nim spotkania. W dodatku wierzy, że okaże się on rycerzem na białym koniu, który zsiądzie z niego, żeby paść do jej stóp, bo przeczytała kilka książek.

– To dlaczego zatrudniłaś ją na odpowiedzialnym stanowisku w „Glinianej Oazie”?

– Bo takie kobiety zdolne są do największych poświęceń. Poza tym bez oporu wpasowują się w system.

– Spałeś z nią?

– Zdążyłem szybko poznać ją od podszewki. Będzie pracowała jak tamte.

Łosoś zaspokoił ich wilczy głód oraz potrzebę wewnętrznej regeneracji. Czuli się kulinarnie dopieszczeni i fizycznie mocni. A jednak dręczyło ich nienasycenie.

Udali się więc do hotelowego pokoju w „Portusie”, który znajdował się w przylegającej do restauracji dobudówce. Miał on intymny i kameralny charakter. Lubili jego miętowe ściany oraz skórzane obicia zestawu wypoczynkowego. Czas ograniczał ich znacznie, zatem bez zbędnych ceregieli przystąpili do konsumpcji deseru. Zafundowali sobie spontaniczną frywolność seksualną, jaka pozwalała im w pełni zaprezentować swoją męskość. Na kilka minut obaj stali się gladiatorami, mistrzowsko władającymi najpotężniejszą z ludzkich broni – seksualnością. Przekazywali ją sobie jak piłkę na korcie, przyjmowali wygodne pozycje w ataku i sprawdzone w obronie. W cudowny sposób pozbyli się negatywnych emocji tłumionych przez ostatnie godziny. A potem wrócili do podległych im krain.

Sypiali ze sobą od ponad roku, nieregularnie i bez zobowiązań. Obaj lubili ostry seks, drobne perwersje i dynamiczny rozwój wydarzeń. Zupełnie tak jak na korcie. Obaj nadal interesowali się kobietami i wiedli udane życie zawodowe. Zarabiali duże pieniądze, osiągnęli sukcesy i zasłużenie wspinali się po coraz to wyższych stopniach swoich różnych karier. Żaden z nich nie założył rodziny, unikając zniewolenia damsko-męskimi zobowiązaniami. Jerzego interesowała głównie architektura świata, Łukasza – jego szaleńczy pęd. Stanowili idealne połączenie myśli i siły.

Po raz pierwszy wpadli na siebie w modnej siłowni, która szumnie ogłosiła swoje otwarcie na jednym z pięter galerii handlowej. W prowincjonalnym mieście wydarzenie tego pokroju urasta do rangi okolicznościowego święta. Gromadzi przedstawiciele wszystkich warstw społecznych i różnych profesji. W siłowni niekoniecznie się ćwiczy, ale koniecznie się bywa. Tam samotne kobiety znajdują płodnych mężczyzn lub przynajmniej dojnych sponsorów, a mężczyźni polują na wygimnastykowane kochanki. W zaciszu klubowych pomieszczeń rozmawia się o interesach i biznesplanach. Najbardziej obrotni w szatni rekrutują nawet pracowników. Siłownia żyje własnym, wyznaczanym serią powtórzeń, życiem.

Nie inaczej było w przypadku otwarcia oddziału modnej pomorskiej sieciówki. Na znak dany przez recepcjonistkę w holu stłoczyła się cała śmietanka towarzyska, która przybyła w odpowiedzi na obiecująco brzmiące hasło: *Elity ćwiczą z najlepszymi!* Jako że w tym mieście samozwańcych elit nie brakowało, na parkingu zjawili się główni ich przedstawiciele. Już tam odbywała się wstępna segregacja na podstawie kształtu samochodowych znaczków, dumnie zdołałych maskę. Widząc je, natychmiast poznawało się swoje miejsce w szeregu. Potem zjeżdżało się ruchomymi schodami do kuźni zdrowia i urody, prezentując snującym się korytarzami galerii przechodniom drogą sportową torbę transportującą jeszcze bardziej cenne gadżety. Informowała ona otoczenie, że oto spływa z góry pan swojego zdrowia i dobrego samopoczucia. Od dawna marzyli o miejscu, w którym ktoś stworzyłby im – wzorem większych miast – solidny grunt do nawiązania kontaktów biznesowych oraz stosunków matrymonialnych. Chcieli przenieść do niego centrum życia. Doczekali tej doniosłej chwili.

Po przecięciu karminowej wstęgi przez właścicieli i symbolicznym zanurzeniu ust w szampanie zainaugurowano szturm na urządzenia. Nie każdy wiedział, jak ich użyć i jakie cele mogą realizować, ale próbowano rozdziewiczać je, bez opamiętania szarpiąc wajchy czy przekręcając wystające śruby. Wokół luster zgromadzili się siermiężnie sapiący zwolennicy wolnych ciężarów, u których występowała jedynie faza wdechu. Na wydech zwyczajnie brakowało im sił. Męskie hormony natychmiast wzniosły się w powietrze, a ukradkowe spojrzenia rzucane znad hantli i gryfów sprawiały, że łatwo dało się zauważyć prawdziwe powody aktywnego uczestnictwa w otwarciu. Najhojniej wyposażeni przez Matkę Naturę w siłę regularnie monitorowali postępy innych ćwiczących, uważnie obserwując cyferki wylane w pachnącym nowością żeliwie.

Wkrótce pojawiły się w kularach rozmowy na temat prowadzonych przez miasto inwestycji, niedokończonej budowy wodnego parku, konieczności zbudowania nowej hali widowiskowo-sportowej, powstał nawet siłowniany ranking pracodawców i ulubionych radnych. W ślad za tym pojawił się sam prezydent miasta – człowiek od lat dbający o stan swojej kondycji i konserwujący rusztowanie w postaci kręgosłupa. Jako jednostka stołeczna z zaciekawieniem obserwował lokalne osobowości i wsłuchiwał się w osobliwe wywody rdzennych mieszkańców swojej „Syberii”. Ćwiczył pod bacznym okiem personalnego instruktora, który z nadmiernym zaangażowaniem pokazywał mu technikę wykonywania poszczególnych ćwiczeń, w rzeczywistości odbywając trening trudniejszy od sesji samego zainteresowanego. Po tygodniu wszyscy, już bez większych emocji, pompowali bicepsy, wzmacniali czworogłowe mięśnie ud, utwardzali poprzeczne linie brzuchów. Siłownia stała się świątynią kultu ciała, prestiżu i stadnej egzystencji, choć samo słowo „siłownia” szybko przeszło do lamusa.

– Do zobaczenia wieczorem w gymie! – słyszało się teraz w mieście, podobnie jak w Trójmieście oraz innych większych od Słupska miastach.

Łukasz nie tylko pozyskał tu elitarną klientelę gotową do rozpoczęcia przygody z tenisem, ale także sam popadł w silne uzależnienie od treningu siłowego. Co drugi dzień pierwszy zapalał światło w rozległym magazynie żelastwa i gęstej gumy, będąc jednym z najpewniejszych klientów, regularnie opłacającym „złotą kartę”. Odkrył, że posiada jeszcze wiele ukrytego w mięśniach potencjału, który może go uczynić sportowcem prawie doskonałym. Niczym mitologiczny Herkules przekraczał granice ludzkiej siły i wytrzymałości: przerzucał największe ciężary, lekko podciągał się na drążku, zawstydzając bardziej rosnących od niego śmiałków. Izolował najsłabsze, według siebie, partie mięśniowe, by zmusić je do morderczego wysiłku, jakby chciał ukarać je za to, że są słabe. Popadał w szczególny rodzaj amoku charakterystyczny dla jednostek kompulsywnych. Nie słyszał rozmów unoszących się w gęstwinie uwolnionych kalorii, nie przyglądał się wyginającym ciałom paniom, ignorował wszelkie przejawy siłownianego życia. Za to zachłannie i ekspansywnie opanowywał kolejne sprzęty naprężające jego skórę niemalże do rozerwania.

I właśnie takiego – wyposażonego w podźwignięty z ziemi na plecy rynsztunek – zobaczył go pewnego dnia Jerzy. On także został stałym bywalcem porannej zmiany rozpoczynającej pracowitą dobę energetycznym zrywem ciała. Natychmiast poczuł do Łukasza fizyczny pociąg. Znużony powtarzalnością kobiecych widoków, wolał uważnie wpatrywać się w pracujące wytrzymałościowo idealne mięśnie znanego w całej okolicy instruktora. Były szlachetne – dobrze wyrzeźbione, wyraźnie od siebie pooddzielane, sprawne i proporcjonalnie układające się na długich kościach. Zroszone potem, błyszcząły tryumfująco w blasku fioletowego światła. Sam Herkules zazdrościłby mu ciała. Łukasz ćwiczył z taką zawziętością, że wydał się Jerzemu jakąś oderwaną od rzeczywistości marą. Dematerializowała się ona w płynnych seriach i powtórzeniach, stając się anatomiczną ideą wyrażającą samonapędzający się mechanizm ludzkiego doskonalenia.

Początkowy wstyd, jaki zrodził się w Jerzym na wspomnienie swojej seksualnej, a jednocześnie potępianej społecznie reakcji, szybko zamienił się w nieodpartą chęć zbliżenia się do obiektu westchnień. Poznawszy jego siłowniane zwyczaje, podążył za nim do sauny, choć nie znosił ekstremalnego ciepła. W intymnej atmosferze wydychanej z rozgrzanych nozdrzy pary leżeli obok siebie zupełnie nadzy. Jerzy dyszał coraz głośniej, z trudem ukrywając podniecenie. Postanowił więc zakamuflować podniecenie nawiązaniem dialogu, zagłuszającego brzmiające jednoznacznie dźwięki.

– Prawdziwy facet musi znaleźć w życiu taką pracę, która pozwoli mu regularnie dbać o swoje ciało. To wynika z naszej zaprogramowanej przez naturę macierzy. Jerzy Dębski.

– Natura wie, czego potrzebujemy. Łukasz Tęśny.

– Starożytni określili to jasno i niepodważalnie: *W zdrowym ciele – zdrowy duch.*

– I mieli rację. Ciało i duch to dwa elementy, które tworzą całość. W zmęczonym ciele dusza nie może rozwinąć skrzydeł, i analogicznie, gdy dusza cierpi, to ciało choruje. Ja wyznaję kult ich obu, ale dzień zaczynam od zadbania o ciało. Spokój ducha przychodzi potem.

– Zgadza się. Czuję podobnie. Kiedy człowiek wzmacnia swoje ciało, wówczas wzrasta spirytualnie. Zasada jest prosta i kto ją zrozumie, ten wygrywa.

– Gdy kobieta skarży się na ból głowy czy melancholię, mam ochotę wykrzyknąć jej w twarz: „Rusz tyłek i idź pobiegać!”. Powinny brać z nas przykład. Wystarczyłoby, żeby zamiast pomstowania na niedostatki aury, częściej odwiedziły siłownię albo salę fitness. Zobacz, jest wczesny poranek, a do boju ruszyli tylko mężczyźni.

– Bo one w tym czasie malują twarze.

– Czyli tworzą coś na niby, podczas gdy my robimy coś naprawdę.

– Takie już są. Chociaż coraz częściej zaczynają się pojawiać i tutaj.

– Łowią. Szukają męża. Ćwiczenia traktują jako zło konieczne. Profanują ideę fizyczności.

– Uplłynął „wiek złoty”. W antycznej kulturze greckiej wypracowano ideał człowieka doskonałego w postaci połączenia dwóch terminów: piękny i dobry. Stał się on kluczowym terminem greckiego humanizmu. Dzisiaj połączenie tych wartości nie jest w cenie, trudno więc dziwić się współczesnym, że zaniedbują starania o fizyczną estetykę. Zwłaszcza kobietom, które mają dziś tak wiele możliwości zakamufłowania niedoskonałych form.

– Zawsze wybierają pójście na łatwiznę.

– Kiedyś człowiek poprzez sport wkraczał w inną rzeczywistość – w krainę dobra, piękna, symetrii i harmonii. Dziś zadowala się komercyjną przeciętnością. Nic na to nie poradzimy.

– Ale nie musimy się pod tym podpisywać. Ja walczę – po swojemu i dla siebie.

– Chcesz osiągnąć fizyczną doskonałość?

– Pragnę nowego rozumienia godności ludzkiej jedności. Takiego, które wypływa z szacunku dla powłoki cielesnej.

– Rozumiem.

Gdy Łukasz spotykał kogoś, kto podzielał jego entuzjazm do treningowego szału, natychmiast czynił go swoim przyjacielem i bratnią duszą. Uśmiechnął się do Jerzego na znak, że rozmową tą stali się sobie bliżsi niżli na mocy braterstwa krwi. Jednocześnie zauważył wyśmienitą, atletyczną budowę ciała nowego kolegi, która stanowiła potwierdzenie wiarygodności jego słów. Z radością kontynuował więc konwersację:

– Muszę przyznać, że od kiedy trenuję w siłowni, szaleńczo władam na korcie rakieta – zaśmiał się, podkreślając temperaturę w drewnianej budce. – Mogę trenować z klientami do dwudziestej drugiej, nieprzerwanie, nie odczuwając paraliżującego zmęczenia i nie tracąc dynamiki.

– Ja z kolei po każdej treningowej sesji ze wzmożoną, bo przemnożoną przez ilość wykonanych powtórzeń, pasją wymyślam kolejne udogodnienia w projektowanych przez moją firmę domach – zgodnie z prawdą odpowiedział Jerzy. – Kto wie, czy szłoby mi tak dobrze, gdyby nie poranny trening na rozruch.

– Ale tenis to jednak tenis. Majstersztyk wśród sportów – kontynuował Łukasz, nie rozwierając rozgrzanych powiek. – Wolałbym umrzeć niż żyć bez możliwości zajmowania się nim. Dlatego tak bardzo dbam o formę. Muszę się dobrze zakonserwować. Chcę grać do końca. Rozumiesz, o czym mówię?

– Próbowałem gry w tenisa parokrotnie, ale nie szło mi najlepiej – wyznał Jerzy, sugerując potrzebę zajęcia się jego niedoskonałą w tej materii osobą.

Wyznaniem tym wszedł w specyficzny i trudny związek cielesno-duchowy, którego współcześni nie byli w stanie zrozumieć. Łukasz został przewodnikiem genialnego stwórcy architektonicznych

i budowlanych cudów. Wprowadził go w świat niewidzialnego ruchu, spontanicznych decyzji oraz emocjonalnej ekspresji wyrażanej zasięgiem ramienia. Wczesnym rankiem, gdy poziom testosteronu był najwyższy, spotykali się sami na korcie. Uzbrojeni w ciężkie rakiety, ciskali nimi w nieskończenie wielu kierunkach. Stale podtrzymywany kontakt wzrokowy zbliżał ich do siebie na odległość zagrażającą utrzymaniu dystansu. Przeciągana coraz dalej granica intymności w końcu rozmyła się w przestrzeni i zniknęła, dając początek pasmu lubieżnych spotkań dwóch mężczyzn. I nie był to oparty na modelu greckim związek starszego sponsora i efeba. Była to czysto partnerska relacja. Żaden z nich nie marzył o założeniu homorodziny czy wspólnej przyszłości, chcieli po prostu razem grać, wystawiać ciało na ekstremalne próby wytrzymałości i wzajemnie podziwiać ich wyrzeźbione efekty. We własnych oczach obaj byli posągowymi wcieleniami antycznego kanonu piękna, a jednocześnie największymi jego wielbicielami. Obu połączyło przekonanie, że kobieta nie umiałaby tak podziwiać.

Różniło ich jedno – boski Łukasz szanował matkę, opiekuńcze ciotki i pracującą fizycznie w sortowni pomidorów siostrę, Jerzy o wszystkich kobietach świata miał jak najgorsze zdanie.

Tolerował jedynie wszędobylską Ines, bo była przydatna w firmie i nie zadawała pytań. Poza tym, jak nikt inny, posłusznie wysłuchiwała jego górnolotnych monologów, gdy na chwilę unosił się na skrzydłach swojej idei. Nie była w stanie pojąć istoty jego talentu, ale przynajmniej próbowała. Nagradzał ją ciepłymi uśmiechami oraz wyróżniał w gronie pozostałych pracowników. Ines była jego prawą ręką, bez której spokojnie mógłby żyć. Pozostałe kobiety nie miały w sobie ani krwi, ani taktu Ines.

11.

Potajemnie odbywszy energodajną ucztę cielesną z boskim Łukaszem, wyposażony we wzmożony zapał do działania Jerzy przekroczył próg „Glinianej Oazy”. Jego myśli skupione były teraz na finansowym aspekcie najbliższych inwestycji, które miały zapewnić mu monopolistyczną pozycję na środkowoeuropejskim rynku. Pragnął rozszerzyć „glinianą ideę” na kolejne grupy mieszkańców średnio opiekujących się nimi miast. Były one zwykle tanią siłą roboczą, która zamieszkiwała podupadające bloki rodem z martwych już systemów, gnieźdzące w ciasnocie kolejne pokolenia ludzi pracy. Po cichu współczuł im z powodu braku swobodnej przestrzeni, jednocześnie wiedział, że w cenie, za jaką nabywali swoje mikroskopijne gniazdko, może zapewnić im kilkakrotnie większe powierzchnie o lepszym standardzie. Zawsze gdy czuł się „piękny i silny”, myślał o brzydkich i słabych. Tymi natrętnie powracającymi myślami regularnie dzielił się z rozumiejącą go z racji wielkich zarobków i specjalnych względów Ines:

– Czuję, że nadchodzi nasz czas. Czas przełomu.

– Wiesz, kiedy zadzwoniłeś do mnie pierwszy raz z propozycją pracy i roztoczyłeś przed moimi oczami wizję glinianych domów, pomyślałam – „szalony utopista”, a zaraz potem – „wariat”. Wyobraziłam sobie moją babkę mieszkającą w jednoizbowej lepiance albo w jakimś cuchnącym skansenie. Albo w innej ciemnej, biednej, glinianej chatce z malutkim oknem, z malutką kuchnią, ze starym durszlakiem zawieszonym na ścianie. Śmiałam się na samą myśl, że mogłabym porzucić moją wygodną posadkę głównej konstruktorki obuwia na rzecz twoich wyimaginowanych tworów.

– A teraz co myślisz?

– Teraz myślę, że podjęłam najlepszą decyzję w życiu. Od zawsze marzyłam o pomaganiu ludziom. Na Matkę Teresę zadatków nie miałam, bo za bardzo kocham pieniądze, ale jeśli inni mogą dzięki mnie, nam, za to samo mieć więcej i lepiej, muszę wykorzystać szansę.

– Cały czas mam wrażenie, że nasza rewolucja obejmuje śladową zaledwie grupę ludzi. Musimy projektować i budować więcej!

– Powiedz to tej nowej. Zdaje się, że zatrudniłeś ją właśnie po to, żeby umożliwiła nam potężny krok do przodu.

– I zrobi to, choćby miała przebierać nogami od rana do nocy.

– Na razie ślęczy nad papierami w milczeniu. Mam nadzieję, że to po prostu jej warsztat pracy i już niebawem krzyknie: Eureka!

– Już moja w tym głowa, droga Ines. Pomyśl – kolejne pokolenia dzieci będą dorastały w naturalnych, oddychających i nietoksycznych domach. Uratujemy tysiące maluchów z alergią. Nikt nie będzie dla zysku oszczędzał na ich zdrowiu.

– Przecież ty nie znosisz dzieci.

– Nie znoszę myśli, że mógłbym je mieć. Ale tym, które już powito, chciałbym stworzyć jak najlepsze warunki do rozwoju.

– Cały ty – chcesz ratować ludzkość przed samozagładą.

– Przed tym ludzkości nie uchroni nikt. Chcę podarować światu realizację jednej z naczelných idei człowieczeństwa: godnego egzystowania w sprzyjającej przestrzeni. Przecież natura istnieje po to, by nam służyć swoją doskonałością. Tylko ona potrafi nas chronić przed własnymi toksycznymi wytworami.

– Większość klientów odwiedzających „Glinianą Oazę” wciąż decyduje się na zakup tradycyjnego domu.

– Nasi klienci kierują się strachem przed zmianą myślenia. Latami wpajano im, że „era cegły i betonu” stanowi wyższy etap budowlanej ewolucji. Uwierzyli, że ktoś wie lepiej, co jest dla nich najlepsze.

– Nie zmienisz tego. Siła stereotypu jest silniejsza niż rozum.

– Mam plan, droga Ines. Myślałem, myślałem i znalazłem sposób na to, żeby zdobyć przewagę

nad tamtymi! Klienci będą mogli wybudować gliniany dom samodzielnie. Materiały pozyskuje się przecież lokalnie, nie trzeba wędrować po niej na drugą półkulę. Technologia jest dość prosta i spokojnie mogą ją opanować nawet niewykwalifikowani budownicy. Rozumiesz? Mogą sami, z pomocą rodziny i przyjaciół, zbudować swój dom! Mogą związać się z nim od dnia poczęcia! Nasz plac budowy nie przypomina wprawdzie placu zabaw, ale jest o wiele bezpieczniejszy niż ten konwencjonalny.

– Moglibyśmy opatentować formy służące teoretycznej samoedukacji: książki, publikacje...

– W ten sposób stalibyśmy się również cenionymi naukowcami. Zyskalibyśmy możliwość wpływu na ludzkie umysły.

– Ludzie zaczynaliby naukę od zbudowania czegoś małego, na przykład szopki na działce, altanki w ogrodzie czy składziku na drewno.

– My ostatecznie bylibyśmy jedynie konsultantami pomysłów i wyroczniami w rozstrzygnięciu architektonicznych dylematów.

– Ale nie stracilibyśmy zysków?

– Nie martw się, droga Ines. Przekroczywszy próg tej firmy, już na zawsze podarowałaś sobie materialny dobrobyt.

– Trzymam cię za słowo. Chcę jeszcze w tym roku odwiedzić Orient.

– Sam zafunduję ci tę podróż, jeśli uda się nam zrealizować mój... nasz plan.

– Czyli teraz będziesz zmieniał świat...

– Tak, mam już konkretny projekt tej globalnej zmiany. Budownictwo będzie szło w kierunku zdrowego, nietoksycznego „zrób to sam”. Będzie ono wykorzystywać coraz więcej naturalnych materiałów, które są przyjazne środowisku i człowiekowi. Gliniany dom będzie czymś więcej niż przestrzenią do zamieszkania. Stanie się oazą naturalności, prostoty i piękna. Stanie się synonimem życia w harmonii z naturą.

– A ty?

– Mnie zapamiętają jako społecznika i samowystarczalnego entuzjastę, który uciekł z korporacji, bo wołał znów stać się jednym z nich. To wystarczy.

Ines nie dała wiary tym słowom. Doskonale знаła Jerzego i jego przywiązanie do zbytku, pieniędzy oraz sławy, choćby o zasięgu lokalnym. Właśnie dlatego nadawali na tych samych falach. Oboje obnażyli niegdyś przed sobą motywację ciężkiej pracy, której poświęcili życie prywatne, czas oraz szlachetność duszy. Gdy zaczęli, byli idealistami i proekologicznymi działaczami, ale nie nakarmili się tym dostatecznie. Poznawszy smak wielkich pieniędzy, uzupełnili rewolucyjną ideę o tradycyjne dorobkiewiczostwo. Kochali gliniane oazy i papierowe banknoty równą miłością. Z tą różnicą, że Ines mówiła o tym wprost, nie wstydząc się przymiotów własnej natury, a Jerzy skrył chęć za fasadą prometejskiej wynalazczości. Nawet rodzice Jerzyka nie wiedzieli, że kocha on materię bardziej niż starannie wychowanego edukacją ducha.

Matka Ines pochodziła z Syrii, skąd przywiódł ją do Polski lęk o własne życie. Przedarła się przez granicę w białej ślubnej sukni, gdy kilkadziesiąt kilometrów dalej trwał ostrzał moździerzy i karabinów maszynowych. Miała wyjść za wieloletniego sąsiada, jak zaplanowali jej rodzice, ale powodowana brakiem autentycznej miłości, czmychnęła przed ołtarza. Myśl o życiu w biedzie, fizycznym obrzydzeniu, wśród zwalczających się narodów, wyhodowała w niej odwagę niezbędną do porzucenia wszystkiego, co znała, i wyruszenia w lepszy świat. Zatrzymała się nad Wisłą, gdzie wpadła w oko wysoko postawionemu urzędnikowi państwowemu, który zawsze dostawał to, czego chciał. A ponieważ był mniej obrzydliwy niż niedoszły syryjski mąż, uległa jego zalotom i po kilku miesiącach zawarli związek małżeński. Żyli szczęśliwie, zgodnie i dostatnio. On stale przebywał w delegacji, ona wychowywała małą Ines, popijając kawę w luksusowej galerii oraz opłacając mężowską kartą najdroższe sukienki europejskich projektantów. Dzieciństwo upłynęło jej w straszliwej nędzy, toteż postanowiła choć połowę tego straconego czasu zrekompensować sobie pobytem w miejscach kolorowych, rozświetlonych neonami i oferujących przyjemne rozrywki. Mała Ines nie znała innego życia niż to, którym żyła matka z chwilą przyjazdu do Polski. Jako że niedaleko pada jabłko od jabłoni, tak samo mocno przywiązała się do blichtru, wygody i swobodnego dysponowania pieniędzmi. Z tą różnicą, że

wolała sama na nie uczciwie zarobić, dlatego pracę u Jerzego traktowała poważnie, poświęcając się jej bez reszty. Karierę w branży budowlanej zrobiła błyskawicznie, bo po ojcu odziedziczyła zmysł techniczny i umiejętność projektowania przestrzennego. Zresztą w innych branżach szło jej równie dobrze. Jednak to telefon od Dębskiego przesądził o kierunku jej zawodowego rozwoju. Była to najlepsza inwestycja w kartę telefoniczną, jaką widział świat.

Ines stała się wizytówką „Glinianej Oazy” – firmy, o której wiedziała wszystko. Wniosła do niej porządek, ekonomizację kosztów produkcji oraz nowoczesne standardy wewnętrznego zarządzania. Miała umysł jak mężczyźni i wdzięk najwytworniejszych kobiet. Potrafiła zastąpić pracowników na każdym stanowisku, nawet podczas morderczej fizycznej harówki przy skrajnym mrozie. Nigdy nie narzekała, nie chorowała, nie szukała wymówek. Porzuciła myśl o założeniu rodziny, której i tak nie byłaby w stanie się poświęcić. Zadowalały ją rzadkie jednorazowe przygody z przypadkowymi kochankami. Poza ojcem, najbardziej podziwiała Jerzego, który uosabiał ideał geniuszu i pracowitości związanych ze sobą optymistyczną wiarą w to, że jednostka ludzka jest w stanie ulepić świat na nowo, według własnych wyobrażeń. Ufała mu bardziej niż pracownica powinna ufać pracodawcy, ale był to kompromis uzgodniony z samą sobą.

Jerzy odnalazł pracoholiczną perłę we wszechświecie, zachwyił się nią i bez wahania wrzucił do szkatułki ze starannie wyselekcjonowanymi egzemplarzami, które pracowały lepiej niż inni. Dał jej wysoką pensję, by mogła realizować swoją podróżniczą pasję. Przydzielił młodej pół-Polce o nieskazitelnej orientalnej urodzie jedno z najwyższych stanowisk, a ona odwdzieczyła się mu gorliwym zaangażowaniem, wzorcową prezencją oraz wsparciem jego śmiałych planów. Jeden raz w roku, w sierpniu, opuszczała „Glinianą Oazę”, wyposażona w podróżny plecak i przewodnik po odległych lądach. Był to dla Ines miesiąc poświęcony tylko swojej osobie. Wiedział, że nie dodzwoni się do niej, choćby miał zwiastować nadejście końca świata. Ines odpoczywała od wszelkich przejawów świata, w którym poruszała się na co dzień.

W tym czasie eksplorowała Filipiny, nasycając wzrok widokiem przepięknych, rajskich, białych plaż z otaczającą je ciepłą wodą o szafirowej barwie. Odkrywała niesamowite bogactwo życia podwodnego, zachwycała się rafami koralowymi i sympatycznymi wyrakami. W amazońskiej dżungli poznawała granice swojej wytrzymałości, a w dzikiej Afryce doświadczała acywilizacyjnej błogości. Do Polski wracała wypoczęta, naładowana wiarą w powodzenie najbardziej ryzykownych inwestycji i stęskniona za kilkunastogodzinną pracą.

Uwierzyła, że jest prawą ręką Jerzego, mającą jego pełnomocnictwo do zawierania kluczowych umów. W rzeczywistości co jakiś czas testował jej lojalność. Musiał być jej pewien, w końcu wyszukiwała dla niego potencjalnych kontrahentów. Gdy pozostawiali w firmie swoje pieniądze, z podziwem obserwował, jak sobie tylko znanym sposobem usidlała prawie każdego z nich. Jej właśnie zlecał poszukiwanie nowych pracowników, którzy gwarantowaliby firmie płynny rozwój. Mieli oni odpowiadać nie tylko Jerzemu, ale i samej Ines.

Jakże była zdziwiona, gdy Ninę Ciesielską wybrał sobie sam. I właśnie dlatego z miejsca poczuła do niej niechęć. Z satysfakcją obserwowała jej zagubienie w – bądź co bądź – przyjaznej oazie. Desygnowana na mentorkę „nowej”, postanowiła nie dawać jej taryfy ulgowej, więc od razu wypchnęła ją na głęboką wodę. Po cichu liczyła na to, że ta zatonie, zanim odbije się od brzegu. Rozkoszowała się widokiem roztrzęsionej Niny, która zdradzała swoje blade pojęcie o finansach. Dostrzegała każdy dekonspirujący jej niepewność ruch. I pewnie Nina szybko wróciłaby tam, skąd przyszła, gdyby nie dziwna słabość Jerzego do jej osoby. Nakazał Ines zachować względem panny Ciesielskiej cierpliwość i wyrozumiałość. Stwierdził nawet, że jest wyjątkowa. Na szczęście monitoring nie rejestrował audialnie okazywanego stosunku do danej osoby, toteż Ines systematycznie pozwalała sobie na drobne zgryźliwości kierowane wprost do uszu panny Ciesielskiej. Szybko odkryła, że kompletnie nie zna się ona na kredytach inwestycyjnych i stosuje przedpotopowe metody księgowania. Była do bólu zwyczajna, wolno przyswajała nowe informacje i nie znalazła pomysłu na finansowe zbilansowanie ekspansywnych planów Jerzego. Upewniwszy się, że „nowa” nie pasuje do ambitnej ekipy, a tym samym działa na szkodę firmy, Ines natychmiast poinformowała o tym swojego szefa.

Minęły dwa miesiące, zanim doczekała się z jego strony reakcji. Pewnego dnia stała się mimowolnym świadkiem długo wyczekiwanej sceny. Zamknięty w swoim gabinecie Jerzy zaczął nerwowo przeglądać analizy prowadzonych projektów, które wyraźnie wskazywały na to, że koszt budowy glinianych domów systematycznie zwiększa się, zamiast zmniejszać, a najnowszy z wziętych kredytów ma jednocześnie najwyższe oprocentowanie z dotychczasowych. Rozdrażnienie nie opuszczało go do późnego popołudnia, kiedy to przywołał Ninę, by zadać jej kilka związanych z tym pytań. W tym czasie Ines miała już wsiadać do swojego auta na parking, ale skryła się w pomieszczeniu obok i wsłuchiwała się w treść rozmowy:

– Zdaje się, że umawialiśmy się na korzystne inwestowanie. Tymczasem zaalarmowano mnie, że tracimy spore pieniądze na zaciąganych kredytach.

– Takie czasy, ostatnio wiele się zmieniło w polityce banków. Dniami i nocami analizowałam dostępne oferty, wszystkie sprowadzone zostały do podobnego schematu, którego nie da się obejść.

– Wiesz, że nie znam sformułowania „nie da się”. Wszyscy możemy wszystko, pod warunkiem, że przechytrzymy tych, którzy tworzą ograniczenia.

– Banki są zamknięte na nasze genialne pomysły.

– Banki chętnie nawiązują współpracę z tymi, którzy otwierają przed nimi nieznane jeszcze horyzonty. Tacy ludzie są obietnicą zysku...

– Daj mi jeszcze trochę czasu.

Była wyraźnie zdziwiona jego służbowym tonem i przejawiającą się w mowie ciała oziębłością.

– Póki co, zaplanowane inwestycje nie znajdują u nas pokrycia w kosztorysie, droższą materiały, większych płac domaga się wykwalifikowana kadra robotnicza, a i konkurencja nie śpi, tylko zaniża ceny domów. Produkuje na ilość, nie zważając na jakość. Zupełnie inaczej niż my. To ostatni dzwonek na reakcję z naszej strony. Musimy wyprzedzić wydarzenia.

– Myślałam, że zaciągane przez nas kredyty inwestycyjne służą głównie finansowaniu dodatkowych pomysłów, a nie utrzymaniu się na rynku. Nie czułam presji czasu.

– Tak pierwotnie miało być. Niestety, jak sama stwierdziłaś, ostatnio wiele się zmieniło w polityce. Wybrane przez ciebie oferty nie są trafne i źle wpłynęły na realizację celów. Ponosimy straty, droga Nino, po raz pierwszy od czasu założenia firmy. Więcej sobie obiecywałem, zatrudniając ciebie.

Powiedział to surowo i bez delikatności. Nina poczuła, jak niewidzialny obuch trafił ją w głowę.

Spodziewała się spokojnej merytorycznej wymiany zdań zakończonej przytuleniem i pocieszeniem z jego strony. Wiedziała, że nie wykazuje genialności Ines, że wciąż wie za mało o firmie i samych kredytach, mimo to domagała się uznania za tytaniczną pracę nad sobą. Spędzała całe noce, szukając najważniejszych parametrów finansowych, sporządzała tabele i wyliczenia, które miały pomóc jej w zrozumieniu skomplikowanych procedur. Nauczyła się trudnego programu do księgowania, przyswoiła budowlaną nomenklaturę, odbyła dziesiątki spotkań z bankowymi doradcami, którym z własnej kieszeni fundowała kawy i szarlotki. Powoli znajdowała stabilny grunt pod stopami. A teraz on zignorował jej wysiłek. Wiedziała, że w tej sytuacji nie zaproponuje jej wspólnej kolacji, podczas której będzie mogła pożalić się na oschłość stosunków panujących w firmie i słabą komunikację między pracownikami.

– Nikt z biura finansowego nie zgłaszał uwag – podjęła próbę obrony. – Myślałam, że dokonuję właściwych wyborów.

– Więc jestem pierwszym, który musi wyprowadzić cię z błędu.

– Zamierzasz mnie zwolnić?

– Nie, chcę zapobiec kolejnym rozrzutnościom z naszej strony. Musimy zmienić kierunek działania. Potrzebujemy dużych pieniędzy.

– Do tej pory mówiłeś, że potrzebujemy głównie nowych pomysłów, dlatego pracowałam w spokojnym tempie. Czekałam, aż banki zaproponują korzystniejsze warunki.

– A jeśli nie zamierzają tego zrobić ani teraz, ani nigdy?

Zabrakło jej riposty, więc skwitowała pytanie poddańczym milczeniem. Gdyby skoncentrowali się na dźwiękach dochodzących z sąsiedniego pomieszczenia, usłyszeliby pisk tryumfu zaczajonej Ines.

– Droga Nino – kontynuował, nie odczuwając potrzeby złagodzenia tonu. – Płacę ci naprawdę duże pieniądze za to, żebyś skupiła się na swoim wąskim działaniu i zrealizowała założenia firmy. Przecież tak jest wszędzie.

– Nie zapominaj, że ja już nie pracuję „wszędzie” i dla „Glinianej Oazy” porzuciłam wcześniejszych pracodawców.

Rozdrażniła go ta uwaga.

– Doceniam to. Ale czasem praca wymaga od nas dodatkowego poświęcenia, wprowadzenia umysłu na najwyższe tryby. Nie interesuje mnie, jak było u innych. U mnie musisz starać się bardziej.

– A jeśli już bardziej nie potrafisz?

– To zaprzeczasz swojej mądrości, którą niewątpliwie w sobie przechowujesz. Przekuj inteligencję na zysk.

Zrozumiała, że miał teraz za nic ją i jej znajomość Virginii, skandynawskiego kina czy filozoficznych doktryn.

– Przestałeś we mnie wierzyć.

– Podobno jest coś silniejszego od mojej wiary w ciebie.

– Przestań! Bóg nie jest tobą. On mi wierzy, a ja wierzę Jemu. A ty nie wierzysz żadnemu z nas.

– Bóg nie jest mną, a ja nie jestem Bogiem, to prawda. Dlatego nie opieram biznesu na religii.

Gdybym miał stosować się do zasady: *Sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie* – jak pisał jeden z ewangelistów – nie miałbym czego szukać tutaj, na ziemi. To podważa sens prowadzenia działalności gospodarczej. Twój Bóg nie zna pojęcia „wypracowanego sukcesu”. Uważa, że tylko On może stwarzać, dawać i zabierać. Boi się konkurencji, bo okazuje się, że stwórców jest wielu, w dodatku radzą sobie na rynku nie najgorzej.

– Dlaczego Go obrażasz?

– Nie obrażam, tylko stosuję wobec Niego biznesową nomenklaturę.

– Jest mądrzejszy od nas, bo jako pierwszy zrozumiał coś, czego nie wie większość współczesnych obywateli i biznesmenów – że konsumpcjonizm to ślepy zaułek, a do udanego życia potrzebne są, oprócz pieniędzy, inne wartości, humanistyczne albo religijne.

– A w którym momencie rozmowy zaczęliśmy mówić o konsumpcjonizmie?! A więc tak pojmujesz interesy. Nie widzisz w nich nic poza chęcią wzbogacenia się. Myślałem, że rozumiesz prawdziwe intencje mojego zaangażowania w „Glinianą Oazę”.

– Rozumiałam. A nawet zachwyciłam się nimi i rzuciłam wszystko, by pomóc ci je wypełnić.

– Zmieniłaś zdanie? Twój Bóg ci kazał?

– Jako wyznawcy religii monoteistycznej reprezentuję pogląd, że to, co należy do ciebie, tak naprawdę należy do kogoś innego. Dla mnie nie jesteś właścicielem „Glinianej Oazy”, ale jedynie dzierżawcą firmy powierzonej ci przez Boga. Najwyraźniej wybrał ciebie właśnie dlatego, że miałeś czyste intencje.

– I mogę być bogaty pod warunkiem, że będę żył w biedzie, odmawiając sobie wszelkich rozkoszy życia doczesnego?

– Tak to rozumiem jako osoba wierząca.

– Przecież ekskluzywne przejawy mojego stanu posiadania zaintrygowały cię bardziej niż ja sam.

Widziałem, jak mnie wtedy obserwowałaś. Zliczałaś rachunek złożony z ubrań i gadżetów, a pomagał ci rozświetlający gotyckie mury księżyc.

– Bzdura. Zobaczyłam w nich nagrodę od Boga, którą obdarował cię w zamian za szlachetne intencje. Tamtej nocy widziałam tylko twoją duszę. Ale teraz już nie wiem...

– Czego nie wiesz?

– Dlaczego zmieniłaś do mnie stosunek?

Rzeczywiście, od dwóch miesięcy prawie w ogóle nie mieli ze sobą kontaktu. Szybko porzuciła nadzieję na otrzymywanie od niego wieczornych esemesów czy porannych telefonów z „dzień dobry”. Przekroczywszy próg „Glinianej Oazy”, stała się zabiegającą o jego uwagę skrajną pracoholiczką. W końcu zapomniała, w jakim celu zarywa noce i przeznaczają je na finansowe śledztwo w internecie.

Wspomnienie gotyckiej nocy mętniało, a kolejnego wspólnie nie wytworzyli. Ich rozmowy przeradzały się w nieprzyjemną wymianę odmiennych zdań. Zrodzone uczucie zostało uśpione i najwyraźniej zagubiło się w lochach oazy. Nina zносиła tymczasowe odrzucenie godnie, ale zaczęła przejawiać już pierwsze oznaki zniecierpliwienia. Nie reagował.

Gdy chciała gniewać się na niego, uderzał w altruistyczny ton, który tłumaczył wszelkie stany miłosnego złodowacenia:

– Wyjaśnię ci, jak pojmuję biznes. Pewien bogaty, świeżo nawrócony kanadyjski przedsiębiorca zapytał Matkę Teresę z Kalkuty, co powinien zrobić ze swoim majątkiem. Rozwazał rozdanie go ubogim, sprzedanie, a nawet wstąpienie do zakonu. W odpowiedzi usłyszał, że bycie przedsiębiorcą to powołanie, takie jak każde inne, a sztuka polega na tym, żeby talent oraz powierzony przez Boga kapitał wykorzystać efektywnie i zbożnie. Nie jestem jednostką wierzącą, to już wiesz, ale najwyraźniej ta zasada jest uniwersalna, bo właśnie ją staram się stosować w codziennym trudzie prowadzenia firmy. Chcę być skutecznym przedsiębiorcą, który pozwoli sobie i innym pożyć w spokoju i poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, a także dobrym człowiekiem, którego projekty pozwolą spełnić marzenia ludzi o posiadaniu własnego, niedrogiego i sprzyjającego ich zdrowiu domu.

Słuchając go, Nina czuła się podle. Nadal był jedynym w swoim rodzaju Jerzym, zatroskanym nie tyleż o własną sławę, ile o standard życia obcych mu, ale jednak ważnych dla niego ludzi. Ten Jerzy nie miał głowy do romantycznych uniesień. Wytężał umysł, by wycisnąć z niego pomysły na realizację swoich szlachetnych zamiarów. Serce musiało czekać na swoją kolej. Ostatecznie przecież potrzebował jego bicia. Jeśli faktycznie miała do niego żal, to nie dlatego, że był majątnym szefem zatroskanym o rozwój swojej firmy, ale dlatego, że przestał zwracać na nią uwagę. Przeszło jej przez myśl, że to podświadoma zazdrość o Ines wywołała w niej werbalną agresję. Natychmiast pożałowała wszystkich wypowiedzianych w jego obecności negatywnych słów. Dokonała zbyt śmiałej i surowej oceny człowieka, który dał jej szansę poprawienia swojego losu. Korzystała z jego pieniędzy, choć nie przyczyniła się jeszcze do ich pomnożenia. Pracowała w prestiżowej firmie, choć nie radziła sobie dobrze z panującymi w niej wymaganiami. Miał prawo zaapelować w końcu o poprawę skuteczności jej działania i domagać się opanowania sztuki zaciągania korzystnych kredytów.

Tymczasem Jerzy, zachowując stoicki spokój, którym skutecznie maskował wewnętrzne rozwścieczenie, kontynuował:

– Jak pisał John Stuart Mill w *Zasadach ekonomii politycznej*, istnieje głęboka różnica między bogactwem a kapitałem. Otóż bogactwo konsumowane jest bezproduktywne. Ale kapitał jest tą częścią bogactwa, którą ponownie inwestuje się w działalność produkcyjną, może więc dostarczyć wielu korzyści, takich jak nowe miejsca pracy, nowe dobra czy wynalazki. W encyklice *Centesimus annus* Jan Paweł II wręcz chwalił przedsiębiorców za odwagę potrzebną do podejmowania ryzyka. Rozumiał takich jak ja.

– To mądre, że się na niego, mimo wszystko, powołujesz – przyznała, szczerze zaskoczona.

– Neguję istnienie Boga, nie bystrych ziemskich umysłów. Opowieść papieża o Bogu traktuję jedynie jako literacki przykład. Może być symbolem, alegorią, bohaterem przypowieści, czymkolwiek. Dał zgodę na to, żeby pomnażać majątek, ale bez szkody dla pracowników, klientów, środowiska naturalnego i pobierającego podatki państwa. Dla mnie oznacza to jedno: pracownicy mają dostawać godziwe wynagrodzenie, klienci – dobry jakościowo towar za uczciwą cenę, nie można oszukiwać urzędu podatkowego i należy unikać branż bardzo rentownych, ale wątpliwych moralnie. To wszystko. Czy twój Bóg potępiłby mnie tylko za to, że w Niego nie wierzę?

– Przepraszam. Wstydzę się własnych słów. Jeszcze bardziej wstydzę się poprzedzających je myśli.

– Być może twoje wątpliwości, droga Nino, wynikają z tego, że twój Bóg podobno bardzo sprzeciwia się kredytom. W przeszłości zakaz pożyczania pieniędzy na procent obowiązywał we wszystkich wielkich religiach, nie licząc judaizmu, który zezwalał na udzielanie oprocentowanych pożyczek wyznawcom innej wiary. Ale dziś obowiązuje już tylko w islamie. Nawet twój Kościół zrozumiał, że prawdziwe znaczenie ma wewnętrzna motywacja czynu. Powiem więcej, twoje

chrześcijaństwo jest najbardziej przyjazne rozwojowi gospodarczemu i biznesowi. Kładzie nacisk na potrzebę ciężkiej pracy i pomnażanie powierzonego przez Boga majątku. Potępia lenistwo i bezczynność niezależnie od statusu materialnego, zakładając, że nawet bogaty człowiek powinien nadal pomnażać majątek. Upatruje głównego potencjału kapitałowego nie w pieniądzu czy majątku trwałym, lecz w kapitale ludzkim, czyli inwencji, wiedzy i talencie. Za chwilę dojdę do wniosku, że jestem najbardziej gorliwym wyznawcą twojej religii.

Zaśmiali się oboje. Za ścianą zaśmiała się nawet Ines.

– Ty nie jesteś osobą niewierzącą – skonstatowała Nina. – Ty jesteś jednostką poszukującą. Człowiek taki jak ty – dążący do samorealizacji i doskonałości – prędzej czy później zetknie się z problemem wiary w Boga i własnej duchowości. To nieuniknione.

– Jak na razie zetknąłem się z tobą, i to twoją obecność w moim życiu chcę dobrze spożytkować.

Nina odetchnęła z ulgą, jednak jeszcze bardziej uspokojona była Ines, która opuściła siedzibę firmy z szyderczym uśmiechem na twarzy. Tej nocy spała wyjątkowo spokojnie, w przeciwieństwie do swojej znów roznamiętionej podwładnej.

Nina należała do grupy tych kobiet, u których wytworzona podczas pierwszej upojnej nocy oksytocyna objawiała się chorobliwym przywiązaniem do partnera. Moment seksualnego spotkania stawał się jednocześnie załącznikiem wielkiego uczucia. Ale tym razem było jeszcze gorzej, bo błagała o nie prawie na klęczkach. Dziwiła się jego sile, nigdy wcześniej nie czuła czegoś podobnego do żadnego mężczyzny. Za sprawą tego diabelsko działającego hormonu wypełniła swoje wnętrze głębokim pragnieniem obcowania z Jerzym. Było ono nieodparte i domagało się odpowiedzi z jego strony. Chęć jej uzyskania mocno skomplikowała Ninie życie w ostatnich tygodniach. Rozpaczliwie wypatrywała wzroku swego oblubieńca lub choćby zwrócenia twarzy w jej stronę. Niestety, rzadko przypominał sobie o tym, że ma oblubienicę na wyciągnięcie ręki. Pomimo otwartości glinianej przestrzeni, potrafił się w niej szczelnie zamknąć. Pracę notorycznie przerywało Ninie bezustanne śledzenie kątem oka jego ruchów. Nie umiała skupić się na analitycznym myśleniu, gdy w powietrzu unosił się zapach jego wody toaletowej. Oblewała się krwistą czerwienią, gdy pochylał się nad biurkiem Ines. Momentalnie traciła zapał, gdy opuszczał siedzibę firmy. Początkowo próbowała wmówić sobie ograniczenie zaistniałej między nią a Jerzym relacji wyłącznie do seksu, ale było to sprzeczne z jej uczuciową naturą. Teoria ta upadła więc szybciej, niż się zrodziła.

Wiedziała, że Jerzy nie nakarmi głodnej i nie napoi spragnionej tylko dlatego, że spotkał ją na drodze żywota swojego. Wyznawał mniej oczywisty system wartości i należało poruszać się w jego granicach bez wywierania zewnętrznego nacisku. Postanowiła usunąć się na bok, ustępując pola nieposiadającej długich smukłych nóg idei i pamiętając, że *królestwo należy do cierpliwych*. Dopóki przegrywała tylko z gliną, wciąż była dla niego najważniejszą z kobiet.

– Jak ci upływa czas w nowej pracy? – zapytała przez telefon Krystyna, która po kilku tygodniach milczenia porzuciła dąsy i zdecydowała się powrócić do dawnej zażyłości z córką.

– Jestem zachwycona tym miejscem – skłamała Nina.

– Towarzystwo życzliwe twojej osobie?

– Nawet nie wiesz jak bardzo. Mam swoją prywatną asystentkę, która spieszy mi z pomocą na każde wezwanie.

– A to już jakieś wielkomięskie standardy.

– Czysto ludzkie, mamo. Po co zostawiać pracownika z problemem, tracąc czas, kiedy może on z czyjąś pomocą rozwiązać go od ręki?

– Dawniej każdy musiał sobie radzić w pracy sam, wstydem było przyznać się do nieradzenia sobie z zakresem powierzonych obowiązków.

– I dlatego uważam, że dzisiejsze standardy są lepsze. Nie pozwalają człowiekowi na zszarganie nerwów i błędzenie po ciemnym lesie. Pracuje się w zespole, więc i metoda działania musi być zespołowa.

– A szef?

– Co chciałabyś usłyszeć?

– Rzeczywiście jest geniuszem i skutecznym strategiem?
– Jest jedyny w swoim rodzaju, mamó. Spotkało mnie ogromne szczęście, że trafiłam do jego firmy.

– Daj Boże. Chociaż nadal uważam, że postąpiłaś nierozsądnie, rezygnując z poprzedniego stanowiska. Pieniądze to nie wszystko.

– Nie zrobiłam tego dla pieniędzy.

– Jesteś jeszcze zbyt młoda, by wiedzieć, że pracuje się wyłącznie dla pieniędzy, a prawdziwe życie zaczyna się poza pracą.

– Nigdy nie osiągniemy kompromisu w tym temacie. A idee? Samorealizacja?

– To nadbudowane bzdury służące wyeksploatowaniu pracującej jednostki do granic możliwości.

Uważaj na te i podobne hasła.

– Jerzy zbudował na nich małe gliniane imperium.

– Którego fundamentem są takie podatne na manipulację jednostki jak ty.

– Mam swój rozum i potrafię ocenić czyjeś intencje.

– Więc jakie są intencje Jerzego względem twojej osoby?

Nina zrozumiała, że od początku rozmowy matka próbuje jej powiedzieć, że wie o nagłym porwywie kobiecego serca. Najwyraźniej doświadczenie życiowe Krystyny było silniejszym graczem niż zręczny kamuflaż Niny. Mimo to nie chciała dać jej potwierdzenia.

– Jerzy Dębski dostrzegł we mnie przede wszystkim dobrą księgową.

– Zmusił cię do porzucenia pewnej pracy, i to chwilę po awansie. Ma cię na wyłączność.

Zachowanie to wydaje mi się podejrzanе. Za szybko mu uległaś, Nino.

– Do niczego mnie nie zmuszał. Zdecydowałam samodzielnie.

– Tak ci się tylko wydaje. Tacy jak on nie lubią samodzielności swoich podwładnych. Każde imperium wyrosło na rozkazach swego dyktatora.

– Gdybym rozumowała w ten sposób, mamó, nigdy nie zrobiłabym w życiu kroku naprzód.

– Czasem tkwienie w miejscu jest bezpieczniejsze od ryzykownych eksperymentów.

– Ale nudne. Zmęczyła mnie rutyna.

– Nie rozglądaj się za fajerwerkami. Potrafią wybuchnąć w dłoniach.

– Patrzę w przyszłość, mamó.

– Uważnie obserwuj teraźniejszość, tylko o to cię proszę.

Po odłożeniu telefonu Nina postanowiła nie kontaktować się z matką przez kolejne dni. Drażniła ją protekcyjność rodzicielki, która uznawała jedynie to, co przewidywalne i dające się zamknąć w sztywnych ramach. Jeśli chciała przestrzec ją przed Jerzym, osiągnęła odwrotny efekt.

Pojawił się jednak problem natury biologicznej. Podobno wzrost poziomu oksytocyny postrzegano jako dobrodziejstwo umożliwiające dwojgu ludziom dalsze wspólne trwanie w monogamii. Rozczarowanie przychodziło wówczas, gdy jeden z partnerów pozostawał obojętny na wzmożoną aktywność swojego podwzgorza. Podczas gdy Nina Ciesielska po cichu liczyła na to, że przygodnie nawiązany z Jerzym Dębskim związek wywoła w nim wieloletnie przywiązanie, on starał się jak najszybciej zapomnieć o Ninie Ciesielskiej.

Kierowana nadzieją na ostateczne przechylenie szali na swoją stronę, Nina postanowiła objawić mu swój geniusz. Odtąd, po wyjściu z pracy, godzinami śleczyła w domu nad propozycjami kredytów oferowanych przez wszystkie banki świata. Badała możliwości zapewnienia wkładu własnego przez firmę i przeliczała korzyści, jakie mogłyby popłynąć wprost do jej koryta. Krótko mówiąc, poświęciła swój czas ubraniu marzeń Jerzego w skrojony na miarę jego potrzeb kostium. Postanowiła wykorzystać sytuację na udowodnienie mu swojej wartości i inteligencji. Postanowiła stać się lepszą wersją Ines. Przez kolejne dni jedynym partnerem i świadkiem fizycznej egzystencji Niny poza „Glinianą Oazą” był rozgrzany do najwyższej temperatury laptop.

W międzyczasie rozmyślała o zmieniającej się jak w kalejdoskopie postawie Jerzego. Trudno jej było zrozumieć zanik zainteresowania mężczyzny, z którym spędziła tak magiczną noc. Drżała na samo jej wspomnienie, podczas gdy on wydawał się ledwo pamiętać imię kochanki. Nie dzwonił, nie pisał,

rozmawiali tylko o sprawach firmy. Interesowały go wyłącznie kredyty. A przecież wyłowił ją z tłumu zdolnych księgowych jako jednostkę wyjątkową, ponadprzeciętną i mającą stanowić jego dopełnienie. Najpierw zaprosił ją do swojej glinianej oazy, a potem do zmysłowego świata męskiej duszy. Byli dopasowani nienagannym wyglądem, intelektem oraz osobliwą wrażliwością na zjawiska kultury. Stanowiliby doskonałą parę. Mogliby razem pracować, realizować jego marzenia i wracać do domu pachnącego herbatą z imbirem. Okoliczności zewnętrzne sprzyjałyby sparowaniu tej łaknącej się wzajemnie dwójki, a i matka dałaby w końcu błogosławieństwo. Byłby to głęboki i oparty na prawdziwych emocjach związek. O cielesność martwić się nie musiała – odczuwała samoistne wyrzucanie oksycytocyny do krwi za każdym razem, gdy Jerzy pojawiał się obok jej rozdygotanej sylwetki.

Dlaczego nie odpowiada na wysyłane mu sygnały? – zastanawiała się, przerywając kontemplowanie kredytowych ofert. – Pewnie chce zachowywać się w firmie profesjonalnie, nie budząc podejrzeń i nie wznecając uszczypliwych plotek. Jeśli tak, to dlaczego ignoruje mnie po godzinach pracy? Nagle zniknęłam z powierzchni jego ziemi. Nie wierzę, że feromony wietrzeją tak szybko, a mężczyźni mogą być aż tak odporni na wspomnienie boskiej nocy z wyśnioną kobietą. Jerzy nie jest takim mężczyzną. Ma w sobie silny pierwiastek kobiecy, który nakazuje mu adorować kochankę dalej. Jest idealistą, a więc nie nosi w sobie interesownych zamiarów. Jednak jego zachowanie nie wykazuje najmniejszej logiki. W dodatku te słowa matki... Skoro jest takim omnibusem, za jakiego się uważa, dlaczego nigdy nie wyjaśniła mi, na czym polega rzekome zło drzemiące w każdym mężczyźnie? Właściwie to nie tyle przestrzegала mnie przed mężczyznami, co dzieliła się ze mną swoim wobec nich uprzedzeniem. Powinna była powiedzieć, dlaczego uciekają lub przynajmniej wycofują się. Nie będę słuchać żadnych jej rad! W ogóle już nikomu nic o sobie nie opowiem. Tylko Jerzemu. Dostał klucz do mojego wnętrza i albo sam otworzy drzwi, albo zrobię to za niego, po czym siłą wepchnę go do środka. Wiem, że chce wejść, udowodnił to tamtej nocy.

Kobieta odrzucona ma dwa wyjścia: pod odsłoną niezauważenia oddalić się na dalszy plan, a potem zniknąć ze sceny, lub wdrzeć się na nią po trupach i przebojem wydrzeć główną rolę. Nina postanowiła za wszelką cenę udowodnić Jerzemu, że – wbrew niedopingującym im jednostkom oraz lękom ich samych – stworzą razem oscarową parę. Zamierzała jak najszybciej poinformować go o tym, że tylko przy niej będzie szczęśliwym, spełnionym oraz wzbudzającym podziw mężczyzną. Zamierzała potrząsnąć nim, by wymusić w tym temacie uległość. Mógł sobie lepić kosmos z gliny lub czegokolwiek, ale w ich związku miłosnym to ona miała większe predyspozycje do zarządzania. Tak myślała Nina, gdy odpoczywała od ujarzmiania kredytów.

Głośny dźwięk dzwonka u drzwi przerwał rozmyślania panny Ciesielskiej. Zza progu straszyla swoją podupadłą urodą sąsiadka – pani Marianna Kowalewska.

Była to kobieta dalece już zaawansowana wiekiem, a jednocześnie pełna wigoru matka niepełnosprawnego umysłowo syna, którego urodziła tuż po tym, jak lekarz ogłosił jej rozpoczęcie fazy przekwitania. Zaskoczona nieoczekiwanym zwrotem wypadków, postanowiła być dla niego najlepszą z możliwych matek. Niestety, życie szybko zweryfikowało ambitny plan. Piotruś nie potrzebował mądrej matki, wymagał jedynie sprawnej opiekunki. Sam skutecznie odciął ją od żyjących istot, by mogła skupić się tylko na nim. Tym sposobem pani Marianna dołączyła do grona matek wychowujących dzieci głęboko niepełnosprawne, których nie widać na co dzień ani nawet odświętnie na chodnikach miasta. Ich specyficzne doświadczenie, pełne drobnych radości, ale i poważnych problemów, jest schowane w głębi mieszkań. Skazane na ponadludzki trud opieki oraz podporządkowanie swojej egzystencji wyszczerbionemu stworzeniu, po cichu cierpią swoje społeczne wykluczenie.

Marianna Kowalewska cierpiała najbardziej godnie, jak umiała. Tłumaczyła sobie, że macierzyństwo nigdy nie jest wolne od trosk i niepokojów, a w jej przypadku codzienność rodziła po prostu troski zupełnie innego rodzaju. Niepełnosprawność dziecka wymagała całkowitej sprawności zajmującego się nim dorosłego. Piotruś od chwili narodzin cierpiał na zaburzenia sprawności intelektualnej, uniemożliwiające mu samodzielne funkcjonowanie w społeczeństwie. Nie radził sobie z najprostszymi czynnościami, wybuchał niewytłumaczalną agresją, a nawet dokonywał częstych samookaleczeń. Wprawdzie był już dojrzałym fizycznie mężczyzną, w dodatku silnym, wytrzymałym

i odpornym na różnego rodzaju infekcje, jednak nie korzystał z wewnętrznej mocy w celu zaopiekowania się sobą. Rolę tę los przypisał ofiarnej z natury matce. Dzień po dniu starała się minimalizować skutki zaburzenia rozwojowego syna, któremu towarzyszył deficyt w zakresie zachowań adaptacyjnych, zwłaszcza niezależności i odpowiedzialności. Rehabilitacja służyła jedynie utrzymaniu potężnego ciała Piotrusia we względnym uruchomieniu. Najczęściej siedział on po prostu na podłodze, obserwując przeciwną ścianę, lub walił plastikowym klockiem w i tak już obdrapane meble. Gdy już opanował podstawową samoobsługę, przy stałej opiece matki wyuczył się nawet kilku czynności domowych, ale absolutnie nie był zdolny do wyuczenia się zawodu.

Pani Marianna wiedziała, że syn będzie mógł pozostawać w tym stanie, dopóki ona będzie żyła. Bała się myśleć o tym, co może stać się z Piotrusiem później. Ojciec „nieporadnego szkaradztwa”, jak nazywał syna w oficjalnych rozmowach, zostawił ich w dniu, kiedy zrozumiał, że upragniony potomek nigdy nie stanie się cenionym spadkobiercą jego menadżerskiego talentu oraz nie przejmie dzieła jego życia, jakim była fabryka tworzyw sztucznych. Następnie szybko dokonał poprawki – w ciągu roku wyprodukował sobie drugiego potomka, z pewniejszej, bo młodszej, matki. Urodziła mu dziecko zdrowe, silne i niegłupie. Pokochał je wielką miłością ukrytą w głębi pełnosprawnego serca. Pan Kowalewski nie miał wielu marzeń, ale spośród tych, które miał, największym było splodzenia wybitnego przedstawiciela rodu. Majątku dorobił się błyskawicznie, drzewo zasadził w odziedziczonym po dziadku ogrodzie, brakowało mu jedynie rezolutnego syna. Gdyby musiał, płodziłby go do skutku. Obecność Piotrusia na ziemskim padole pominął zupełnie, a żonę znienawidził za to, że pokrzyżowała mu plany. Nie mogąc znieść życia z przekląną przez siebie kobietą oraz wyśmianym przez los chłopięciem, zostawił ich oboje.

Pani Marianna została sama. Ale nie na długo, bo chwilę potem dołączył do niej szereg czynności opiekuńczych, porządkowych, pielęgnacyjnych i wychowawczych. Żyli razem w nieformalnym związku, spędzając ze sobą nieprzerwanie całą dobę. Jeśli posiadanie dziecka niepełnosprawnego – jak instruowała panią Mariannę fachowa literatura – może powodować zakłócenia w realizacji podstawowych funkcji rodziny, to familia Kowalewskich nie zdążyła potwierdzić tego swoim przypadkiem. Rozpadła się na dwa niezależne twory w dniu narodzin klęski.

Dziarska matka rzadko zaglądała do Niny, właściwie tylko wtedy, gdy potrzebowała skonfrontować się ze światem lub jakąś bezduszną instytucją. Tym razem zakomunikowała, że jeśli nie pojawi się w ciągu kilku godzin w skarbowce, zostanie jej naliczona jakaś niewyobrażalnie wysoka kara, której nie zdoła zapłacić ani w tym, ani w kolejnym życiu. Sprawę należało wyjaśnić od razu, zanim podli urzędnicy przekażą ją okrutnym organom prawnym. Tradycyjnie problemem w tej sytuacji była opieka nad Piotrem.

– Kochano pani Nineczko, ratuje mnie pani – cedziła przez zaciśnięte zęby pani Kowalewska z przenikającym duszę słuchaczki autentyzmem. – Do skarbowki podjechać muszę, inaczej puszcza mnie z torbami! Podobno jestem winna państwu kilkanaście tysięcy złotych, bo niepoprawnie wcześniej zaksięgowano moje dochody. A teraz trzeba wyrównać różnicę pod groźbą kary. Piszą, że jeśli nie pojawię się dzisiaj u naczelniczki, postawią pieczętkę i wdrożą procedury. Muszę tam jechać, w przeciwnym razie wraz z nadejściem ranka zostanę bankrutem i kłoszardką jednocześnie. Boję się myśleć, co wtedy stanie się z Piotrusiem.

– Nie ma problemu, ja dziś i tak pracuję do późna w domu, więc zajmę się Piotrkim jak należy – pospieszyła z pomocą Nina. – Włączymy sobie jakąś bajkę, posiedzimy razem i nim się obejrzymy, nadjedzie pani z powrotem z dobrymi wieściami.

– Dziękuję z całego serca. Jest pani nieoceniona. Jakie to wielkie szczęście mieć taką sąsiadkę. Dobra karma powróci, proszę czekać na nią cierpliwie.

– Póki co, jeszcze nikt nie odważył się poprosić mnie nawet o bycie matką chrzestną – odpowiedziała z uśmiechem Nina.

– Dla mojego Piotrusia jest pani kimś więcej niż matką chrzestną. On uwielbia spędzać z panią czas. Nabiera rumieńców za każdym razem, gdy go tu przyprowadzam.

– Cieszę się, ja także przywiązałam się do tego chłopca. No właśnie, czy aby jeszcze chłopca?

Czy instynkt dobrze mi podpowiada, że nasz Piotruś jest już pełnoletni?

– Tak, od trzech miesięcy. Ale nie powinien zostawać sam...

– Ja nie dlatego pytam. Niepotrzebnie tracimy czas. Zaopiekuję się nim pod pani nieobecność.

Proszę już jechać do urzędu. I uspokoić się, inaczej wykończy się pani sama, zanim oni to zrobią.

– Nie dam im tej satysfakcji. Ruszam! Niech pani czeka cierpliwie, kochana pani Nineczko.

Mieszkanie Niny, choć tylko tymczasowe, podjęło wymagającego szczególnej uwagi gościa, jakby był on co najmniej dawnym hrabią lub baronem. Grube ściany odbijały dźwięczny kobiecy monolog, który – pomimo szczerych chęci gospodyni wynajmowanego ogniska – daleki był od przeistoczenia się w dialog. Piotruś nie był w stanie odpowiedzieć na wystosowane do niego treści. Ale za to uważnie słuchał. Pomyślała, że gdy już opuści ten szary blok, by przenieść się do swojego deweloperskiego skrawka raj, najbardziej będzie jej brakować właśnie Piotrusia.

12.

Po wyjściu pani Marianny Nina szybko zgarnęła ze stołu wydruki ofert bankowych kredytów dla firm i postawiła na nim talerzyki pełne kruchych ciastek i czekoladowych cukierków. Wiedziała, że na ich widok młody gość zareaguje dokładnie tak, jak normalni ludzie – wyprodukuje nadmiar śliny, a potem zanurzy łapczywie zęby w apetycznie przyozdobionym cukrze.

– Jedz śmiało, wszystko twoje – zachęcała, pragnąc choć w ten sposób sprawić mu radość. – Wiesz, jak byłam mała, uwielbiałam wysmarowywać twarz czekoladą. Wyglądałam wtedy jak najśłodszy Murzyn świata! Podchodziłam do lustra i stroiłam dziwne miny, o, takie jak ta. Ale czasy były inne, łakocie dostawało się w paczce od cioci z Niemiec dwa razy w roku. Jak ja się wtedy cieszyłam... Kolekcjonowałam szeleszczące złotka i sreberka, żal było wyrzucić do kosza na śmieci choćby jedno opakowanie. Dobrze, że ty urodziłeś się później. Jedz, kochanie, ile możesz. Smacznego.

Piotrusia nie trzeba było specjalnie zachęcać do pochłaniania słodyczy, ale tym razem rzeczywiście wyzbył się wszelkich zahamowań. Opróżnił zawartość talerzyków, zanim Nina skończyła ją rekomendować.

Już wcześniej zauważyła, że Piotruś żywo reaguje na głos Agnieszki Chylińskiej, toteż wrzuciła do odpowiedniej komory odtwarzacza płytę ekspresyjnej wokalistki. Ściany mieszkania natychmiast utworzyły muszlę koncertową, we wnętrzu której szalała perła polskiej muzyki rozrywkowej, śpiewając, że *placze do pustych ścian... – co za wstyd* lub oddaje *wszystko, a nie ma nic*. Piotruś kiwał się od prawej do lewej strony w sobie tylko rozpoznawalnym rytmie. Chylińska umiała na odległość dotrzeć do Piotrusiowego serca. Wydierając się, czyniła go spokojnym.

Na dużym szklanym ekranie zaczęły migotać tęcze aplikacje zwiastujące rychłe pojawienie się amerykańskich bajek. Po kilku minutach przestrzeń zimnego mieszkania wypełniona została pieszczotliwą mową podziemnych stworów i dźwięczną melorecytacją pięknych syren. W powietrzu zawisły strzępy prowadzonych przez bohaterów dialogów, wśród których najgłośniejszym była próba odgadnięcia miejsca ukrycia się złej królowej. Gdy Piotruś czekał w napięciu na przechytrzenie wstrętnej baby, gospodyni wynajmowanej bajkowej krainy przygotowała ich wspólnie wielbiony przysmak – czekoladowy budyń. Podała go w fantazyjnie iluminowanych popołudniowym słońcem salaterkach. W bloku przy ulicy Rybackiej zrobiło się miło, przytulnie i beztrasko, jakby zgiełk świata oraz miłosny bunt Niny nie miały dostępu do tego miejsca.

Niedaleko stołu zasiadła na podłodze dwójka rozumiejących się bez słów ludzi: tymczasowa matka i nieświadome zawilości otaczającego go świata dorosłe dziecko. Gapili się w ekran, wybuchając salwami śmiechu lub innych odgłosów wydobywających się z duszy chłopca, który postrzegał zdarzenia po swojemu. Radośnie polewali budyń gęstymi strugami malinowego sosu, brudząc nie tylko ręce, ale i kremowy dywan. Piotruś zarumienił się na widok kukulek wyciągniętych z tajemnej szafki właścicielki tego królestwa. Uwielbiał rozgryzać je silnymi zębami, by jak najszybciej dostać się do ich pysznego wnętrza. Musiała wycierać mu ślinę z umoczonej łakomstwem koszuli. Miał do Niny zaufanie. Była jedyną – poza biologiczną matką – kobietą, jakiej pozwalał zbliżyć się do siebie na odległość mniejszą niż metr. Wszystkie inne odrzucał od siebie przeraźliwym krzykiem. Potrafił wtulić się w nią zniecka, a nawet zarzucić ręce na jej szyję i przez kilka minut wisieć na swojej dobrej wróżce, jakby chciał jej powiedzieć, że jest najlepszą wśród dobrych wrózek.

– No, już dobrze, jestem tu i skupiam się tylko na tobie – mówiła, gładząc go po fikuśnej czuprynie. – Obronię cię przed wszystkimi potworami, czarownicami i smokami. Nikt nie ma prawa zrobić Piotrusiowi krzywdy, prawda? Piotruś jest grzecznym chłopcem, sam nie skrzywdziłby nawet muchy. Dlatego dostanie jeszcze jedną porcję kukulek.

Sielankowy seans został zakłócony niespodziewanym dzwonkiem u drzwi. Nina nie spodziewała się gości, więc wystraszona zerwała się z podłogi i pobiegła w kierunku epicentrum alarmu. Z ulgą stwierdziła, że po drugiej stronie judasza stoi Monika Różańska – patronka skandalu. Przez chwilę wstrzymywała się z otwarciem drzwi, gdyż nie była w stanie przypisać obecności koleżanki czekającej

cierpliwie za progiem żadnego logicznego powodu. Jednak natarczywe ponawianie dzwonka zwiastowało jedno – Monika zamierzała do skutku czekać na podjęcie jej w mieszkaniu. Doczekała się po niespełna minucie, podczas której Nina poprawiła przed lustrem swoją warstwę wizualną, upchnęła oferty kredytowe głęboko w szufladę, przesadziła Piotrusia z podłogi na sofę oraz ściszyła telewizor, by słuchać już tylko najnowszych plotek z firmy Dobruckiego, a najpewniej i z całego miasta. Nie wiedziała, że Monika Różańska, zachęcana przez matkę, przysłała w celu zdobycia nowych informacji, a nie dzielenia się tymi, które już posiadała.

Przywitały się czule i z autentyczną tęsknotą wpisaną w uściski, nie szczędząc sobie wzajemnych drobnych pretensji z powodu zawieszenia kontaktu. Odkąd Nina odeszła z firmy, nie znalazła czasu na to, by zadzwonić do koleżanki i zwyczajnie, po ludzku, zapytać, jak sobie bez niej radzą. Ale teraz szybko uzyskała odpowiedź. Monika z żalem opowiadała o „erze kolejnej stajni Augiasza”, jaka nastąpiła w biurze z chwilą zamknięcia przez Ciesielską firmowych drzwi. Nie radzili sobie z najprostszymi sprawami, którymi do tej pory zarządzała ulubienica szefa. Zrozumieli, dlaczego nią była. Przekraczali wskazane terminy, mylili się w rozliczeniach, gubili faktury. Nieobecność Niny wprowadziła chaos na wszystkich etapach biurowych zadań.

W rzeczywistości radzili sobie świetnie, kto wie, czy nie lepiej niż za czasów „ery faworyzowanej Ciesielskiej”, ale tego Różańska przyznać nie mogła, bo inaczej nie usłyszałaby cennych informacji, po które z drugiego końca miasta przysłała. Ktoś widział Ninę wymykającą się z hotelu po owej pamiętnej gotyckiej nocy, kiedy to księżyc dawał im błogosławieństwo, a stare mury były świadkami narodzin ponadczasowego uczucia między dwojgiem obcych sobie ludzi. Ktoś inny był świadkiem ich spotkania przy kawiarnianym stoliku i w tajemniczym nieznanym bez trudu rozpoznał Jerzego Dębskiego, najpopularniejszego pracodawcę w regionie. Zadaniem Różańskiej było zdiagnozowanie, jaki charakter ma ta zażyłość.

Przesłuchanie rozpoczęła zaraz po podaniu kawy przez gospodynię:

– Wciąż parzysz ją idealnie – pochwaliła koleżankę, choć w duchu wiedziała, że byle ekspres do kawy robi to o niebo lepiej od Niny. – Dorabiasz po pracy jako opiekunka?

– Nie mam takiej potrzeby – stanowczo zaprotestowała zdziwiona sugestią Nina. – Moje aktualne zarobki wystarczają na zrealizowanie wszystkich potrzeb. To syn sąsiadki, zajmuję się nim chwilowo pod jej nieobecność.

– Wygląda... dziwnie.

– Jest niepełnosprawny. W ogóle nie zwraca na nas uwagi. I tak pozostanie do końca twojej wizyty, więc nie obawiaj się go.

– Jest przeciwieństwem mojej ruchliwej małej. Przeszło mi przez myśl, że chciałabym się zamienić z jego matką.

– Jej życie nie jest usłane różami, obserwuję to każdego dnia. Ciesz się tym, co masz.

– Cieszę się, bardzo się cieszę. Tylko ten ciągły brak pieniędzy...

Monika zbliżała się do centralnego punktu przygotowanego przez siebie scenariusza, który po cichu przemyciła ze sobą w głowie do mieszkania Niny. Zamierzała prosić ją o protekcję w transferze do „Glinianej Oazy”. I chociaż powszechnie wiadomo było, że Dębski wyszukuje pracowników sam, odświeżenie relacji z Niną miało sprawić, że jednorazowo złamie tę zasadę.

Zanim jednak odważyła się spytać, postanowiła przy okazji rozstrzygnąć kwestię domniemanego romansu, o którym coraz głośniejsze mówiono we wszystkich firmach podmiejskiej strefy ekonomicznej. Załatwienie zlecenia matki okazało się ważniejsze niż potrzeba zreformowania własnego życia zawodowego. Nestorka rodu tak bardzo była ciekawa historii domniemanego związku, że wizyta córki w mieszkaniu Niny wydała się jej czymś naturalnym.

– Wiesz – zaczęła nieporadnie Monika – ten Jerzy, twój szef, to podobno jakiś skrajny ekscentryk. Pewnie nie jest łatwo dla kogoś takiego pracować.

– Ekscentryk? To geniusz! – odpowiedziała przecząco Ciesielska. Wystarczyło to, by Różańska przekonała się o autentyczności sugestii czynionych przez uważnych obserwatorów rzeczywistości.

– Mówią, że w całości oddany jest pracy i pojmuję ją fanatycznie. Inne działające w podmiejskiej

strefie firmy traktuje z góry, chociaż nie przeszkadza mu to w podkradaniu im najlepszych pracowników.

– Tak mogą mówić tylko ci, którzy nigdy nie prowadzili własnej firmy albo prowadzą ją w stylu naszego Dobruckiego.

– Czyli jak?

– Bez perspektyw dalszego rozwoju, z dnia na dzień, dla bieżącego zysku i bez głębszej idei. Dla Dobruckiego wszyscy byliśmy tak samo ograniczeni w swoich możliwościach, nawet jeśli kogoś z nas nagle awansował.

– Dobrucki ma przynajmniej rodzinę.

– Jerzy też by miał, gdyby znalazł odpowiednią dla siebie kobietę. Niestety, najwyraźniej żadna nie umiała zmierzyć się z jego wielowymiarową osobowością.

– Raczej z jego trudnym charakterem.

– Przecież go nie znasz.

– Poznali go inni.

– I zazdroszczą mu.

– A ty znasz go dobrze?

– Jest wymagającym, ale cierpliwym szefem. Potrafi przekraczać granice niemożliwego. Co dla jednych jest sufitem...

– ...dla niego jest podłogą, rozumiem.

– Ma nieosiągalne dla innych wykształcenie, zna języki, reprezentuje niedoścignioną kindersztubę.

– A prywatnie?

Uśmiech Moniki natychmiast zdradził jej skrywaną dotąd w rozmowie sugestię. Nina zrozumiała, że w mieście już są na językach i nie ma sensu wypierać się tego, co zaistniało. Poczowała nawet ulgę i dumę, mogąc w końcu podzielić się z kimś informacją o swoim nowym związku.

– Prywatnie Jerzy jest najmądrzejszym facetem, z jakim miałam do czynienia. Przeczytał setki wartościowych książek, ma światły i otwarty umysł, nie boi się wyzwań, pracuje nad nowatorskimi projektami, które już niebawem zrewolucjonizują rynek. Cudownie pachnie i ma aksamitną skórę. Dotyka kobietę z takim namaszczeniem, jakim zwykle obdarza się grecki posąg.

Różańska zamilkła, nie spodziewając się aż tak bezpośredniego wyznania. Natychmiast przeszło jej przez myśl, że za nagłym awansem Niny w firmie Dobruckiego mogła kryć się podobna historia. Zachowała zimną krew i drażyła dalej:

– Chcesz mi powiedzieć, że sypiasz ze swoim szefem? To ryzykowne.

– Pewnie myślisz teraz, że w taki sposób trafiłam do „Glinianej Oazy”. Nic bardziej mylnego. Zakochaliśmy się w sobie po odbyciu wstępnej rekrutacji. W zasadzie na umowie brakowało już tylko mojego podpisu.

– Czyli to coś więcej niż seksualne uniesienie?

– To coś znacznie więcej. Połączyła nas niewidzialna głębia podobnego postrzegania świata. Wrzuciła nas do bezdennej otchłani niezależnie od naszej woli. Ja wiem, że innym trudno będzie to zrozumieć.

– Nikt w firmie o was nie wie?

– Nie, i niech tak pozostanie. Jerzy lubi porządek wokół siebie. Skoro uznał, że tak będzie lepiej, ja nie domagam się zbytecznej uwagi.

– Dawno nie byłaś z mężczyzną. Martwiliśmy się o ciebie.

– Niepotrzebnie.

– Dlaczego zrezygnowałaś z pracy dla nas?

– Bo chciałam, żeby miał mnie na wyłączność.

– Ufasz mu.

– Nie mam wyjścia. Wybrał mnie, zaprosił do swojego świata i teraz razem go tworzymy.

– Zniknęłaś tak nagle. Nawet pani z twojej ulubionej kafejki zaczepia twoich znajomych, by dowiedzieć się czy „tej przesympatycznej Ninuszcze” nie stało się coś złego. Nie odbierasz telefonów,

nie zaglądasz do matki. Na twoim miejscu w kościele też siedzi ktoś inny.

– Nie zniknęłam, tylko zaczęłam poruszać się w równoległej przestrzeni. I dobrze mi w niej. „Gliniana Oaza” to cudowne miejsce, z którego nie chce się wychodzić. Poza tym muszę czasem w domu pochylić się nad zleceniami. Rozwijamy się, to wymaga dodatkowej pracy wszystkich zaangażowanych w nią pracowników.

I właśnie wtedy przyszło Ninie do głowy, że zaspokojenie próżnej ciekawości Moniki powinno doczekać się za chwilę nagrody. Może i nie była ona tytanem pracy, często symulowała przemęczenie, a w najbardziej napiętych okresach rozliczeniowych koła swoje nerwy lekarstwem w postaci L4, ale wykazywała niezwykły talent w dziedzinie zaciągania kredytów inwestycyjnych. Talent ten nie mógł być wykorzystany w firmie Dobruckiego, która ledwo nadążała za terażniejszością. Drzemał sobie uspiońy we wnętrzu równie ospałej pracownicy, czekając na odpowiedni moment.

Nina podstawiała pod zmarznięte dłonie Różańskiej kolejny kubek z gorącą kawą, drugi wsunęła w swoje. Gdy Piotruś na dłuższy moment zatopił wzrok w bajkowych widziadłach, oddaliła się w stronę swojego biurka i wydobyla z szuflady plik upchniętych wcześniej naprędce papierów. W czasie gdy Monika raczyła podniebienie gorzkim płynem, Ciesielska poukładała je według logicznego klucza, po czym obie pochyliły się nad wydrukowanymi ofertami kredytów inwestycyjnych dla firm. Były umarłe dla świata przez pół godziny, aż ciężkie cielsko młodego gościa zaczęło domagać się uwagi. Zaczęło wgniatać się w Ninę z niezwykłą siłą, prawie strącając ją na podłogę. Popatrzyły na chłopca zdumione, potem spojrzały w oczy sobie i podczas gdy Różańska zapisywała coś szybko w pustych rubrykach, desygnowana na opiekunkę sąsiadka ponownie zajęła się swoim podopiecznym.

Zasiedli razem na dywanie, odgradzeni od niespodziewanego intruza w postaci „pańci Moniki” kilkoma wysokimi krzesłami. Znów mieli swój własny kawałek podłogi we wszechświecie. On podawał jej białe kartki, ona wmalowywała się w nie całą swoją wyobraźnią. Szkicowała na nich elfy, zamki, księżniczki i krasnoludy, tworzyła precudnie baśniowe tła skąpane w zielonych lasach oraz bezkresnych morzach. Później chłopiec koślawą kreską ozdabiał je sobie tylko znanymi formami. Następnie razem zaprojektowali samolot bez skrzydeł, autobus bez dachu, rower bez kół. Obok pojazdów pojawili się osobliwi kierowcy bez rąk i nóg, ale z ogromnym okiem pośrodku czoła. Na końcu malował już tylko Piotruś. Bohaterem ostatniej strony bloku technicznego został wysoki mężczyzna z długą brodą, który tulił do piersi dużego chłopca. Siedzieli obaj na gęstym trawiastym dywanie, wpatrzeni w siebie, zafascynowani swoją obecnością. Nina widziała już wcześniej tego mężczyznę na jednej z fotografii w starym albumie pani Marianny. Tylko jego postać chłopiec potrafił ubrać kredką w rozpoznawalne kształty, choć widział go zaledwie kilka razy w życiu. Życiu, które od niego dostał...

Wystraszona i zdezorientowana tym przebłyskiem świadomości Nina sięgnęła po przekazane przez matkę chłopca tanie tendencyjne malowanki. Wydawały się bezpieczniejszą od stworzonej właśnie przez chłopca sztuką. Wybrali majestatyczną postać lwa wylegującego się na słońcu w towarzystwie smukłej pantery i wypełnili oba stworzenia głębią przypisanych im przez naturę barw. Z kotem Garfieldem Piotruś rozprawił się już sam. Kilkoma ruchami zatarł wszelki ślad jego pierwotnego zgrabnego istnienia na białym papierze. Znawczyni malarstwa – opiekunka Nina – szczerze zachwyciła się awangardowością wizji i postanowiła podzielić się swoim podziwem z mniej światłą w tej dziedzinie koleżanką. Ale ta rzuciła tylko na kartkę okiem, nie wykazawszy większego zachwyty. Miała własny pomysł na wykorzystanie młodego artysty, a oglądanie jego bohomazów nie wchodziło w zakres planu. Monika była pragmatyczką, dla której sztuka stanowiła jakiś wynaturzony akt skomplikowania tego, co z natury było proste i czytelne. By nie spłoszyć nieprzewidywalnego stworzenia, spróbowała je ze sobą oswoić dziecinną mową, wygłaskaniem bujnej czupryny i zapisaniem na jednej z kartek swojego imienia.

Spodobała mu się sztuka kaligrafii, choć nie był w stanie opanować podstawowych jej prawideł. Bezskutecznie dłuwał mazakiem w tekturze, chcąc namaścić ją tryumfalnym „P”. Monika zachęcała go do podjęcia kolejnych prób, przekonując, że każdy prawdziwy artysta musi podpisać swoje arcydzieło, inaczej zrobi to ktoś inny, przypisując sobie jego autorstwo. I chociaż nic nie rozumiał z jej mowy, czuł, że musi sprostać wyzwaniu. Wytężył więc cały swój szczątkowy intelekt i po kilkunastu próbach

zaprezentował niecierpliwącemu się już gościowi wyraźny oraz czytelny zapis: PIOTR KOWALEWSKI. Różańska natychmiast nagrodziła go największym piernikiem ze stołu. Zjadł go w poczuciu dobrze wykonanej misji.

– Bystry chłopiec – przekonywała na głos samą siebie. – Metodą prób i błędów doszedł do prawie biegłości. Będą z niego ludzie.

– Już są – zaprotestowała Nina.

– Jest wyuczalny, mamy szczęście w nieszczęściu.

Jednak Nina nie kryła rozczarowania koślawością autografu mistrza, toteż nakazała mu dalszy trening dzierżenia mazaka w dłoni. Podkładała pod niego kolejne czyste kartki, a potem porównywała je w świetle lampy i życzliwie komentowała postępy. Obie kobiety natarczywie pochylały się nad wykaligrafowanymi próbkami i marszczyły na ich widok brwi. Wiedziały, że prawdziwa biegłość wymaga pracy i cierpliwości, więc pochylały się zarówno nad chłopcem, jak i kolejną dawką mocnej czarnej kawy. Nikt nigdy nie poświęcił młodemu Kowalewskiemu tyle uwagi co one, nawet kochająca go szczerze matka. Zamarzył o tym, żeby podarować kibicującym mu niewiastom wyczekiwane przez nie spełnienie. Cały był teraz przedłużeniem mazaka. I choć była to najdziwniejsza rehabilitacja, w jakiej uczestniczył, po dwóch kwadransach mistrzowsko zapisał swoje personalia pod wizerunkiem lwa i pantery. W ten sposób na oczach zdumionych kobiet uwieńczył symboliczny akt przeistoczenia się w prawdziwego artystę. Niezlomna wola zatryumfowała nad ułomnością. Nie wiedział, że zwycięstwo to stało się początkiem tragicznego końca jego samego.

– Jest gotowy – wyszeptła Monika. – Jest absolutnie gotowy.

– Ma teraz sposobność przyczynić się do powstania dzieła życia. Nada sens swojej z góry przeznaczonej na zmarnowanie egzystencji.

– Będzie to największa zasługa, jaką może podarować komuś swoim wybrakowaniem. Może dokończyć coś ważnego, chociaż sam nie został dokończony.

– Lubię tego chłopca, nie wie, co to krzywda.

– My mu jej nie wyrządzamy. Dajemy temu chłopcu szansę. Ma okazję wpłynąć na bieg lokalnej historii.

– Jest taki ufny.

– Ufa dobrym ludziom. Znasz tę zasadę: niepełnosprawni mają nieomylny instynkt do stykających się z nimi jednostek. Jakimś sobie tylko znanym sposobem potrafią odróżniać dobrych od złych. Skoro z nami czuje się komfortowo, znaczy to, że wyczuwa nasze dobre intencje.

– Piotruś może stać się dzieckiem sukcesu, wielkiego sukcesu.

– A my jego matkami chrzestnymi. Nie zwlekajmy.

W końcu podsunęły mu plik świeżo wydrukowanych dokumentów, na których dorosły, bo pełnoletni, Piotr Kowalewski miał złożyć w zaznaczonych wcześniej ptaszkiem rubrykach najzgrabniejsze i popisowe podpisy, wytrenowane z trudem przed chwilą. Po kilku zaledwie minutach ledwie obdarzony pełnoletnością młodzieniec stał się beneficjentem kilkumilionowego kredytu. Na jego spłatę nie wystarczyłoby żyć czterech chłopców takich jak on.

– Chcesz jeszcze kilka kukulek? – zapytała troskliwie Nina. – Nie musisz odpowiadać. Zasłużyłeś na całą paczkę.

Wszystkie niezbędne do wypełnienia rubryk dane znalazły w pozostawionych przez panią Mariannę kartach identyfikacyjnych. Wręczała je Ninie za każdym razem, gdy pozostawiała u niej syna, na wypadek gdyby nieoczekiwanie straciła przytomność pośrodku jezdni, zginęła pod kołami samochodu i nie mogła już po niego wrócić. W świetle tych obaw takie profilaktyczne zachowanie matki wydało się Ninie naturalne i uzasadnione. Kowalewscy mieli do swojej sąsiadki pełne zaufanie.

– Już jestem, kochana pani Nineczko – zameldowała się pani Marianna po kilku godzinach nieobecności. – Jestem, chociaż to dzieło opatrzości.

– Co się stało, pani Marianno? Proszę siadać, budyń jeszcze ciepły – zaniepokojona Nina usadowiła sąsiadkę na sofie, wlewając do kubka płynną rozkosz.

– Niewiele brakowało, a byłabym już na tamtym świecie. W ostatniej chwili uciekłam spod kół

rozpędzonego autobusu wiozącego pracowników do Morpolu. Na własne życzenie znalazłam się w ich pobliżu. Straciłam głowę! Po tym, co usłyszałam w skarbowce, trudno było zachować trzeźwość myślenia i postrzegania.

– Czyli nie udało się wyjaśnić pomyłki w rozliczeniu?

– To nie była pomyłka, kochana pani Nineczko. To była moja ignorancja! Wie pani, że dawniej prowadziłam biznes ze swoim, pożałuj Boże, mężem. Zainwestowaliśmy w niego wszystkie oszczędności, a nawet przekazane nam w testamencie pieniądze mojej babki. Byliśmy młodzi, pełni nadziei i wiary w swoje możliwości. Łaknęliśmy materialnego sukcesu, jak wszyscy dorabiający się od podstaw ludzie. Dość szybko doczekaliśmy się wypracowania pokaźnego majątku. Mój mąż zarządzał firmą doskonale. Mnożył zyski jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ja z kolei wyspecjalizowałam się w wydawaniu pieniędzy. Nie miałam zielonego pojęcia na temat zasad funkcjonowania naszej firmy. I to mnie zgubiło.

– Oszukał panią?

– Wtedy jeszcze nie. Pasował mu ten układ. On pracował, kontrolował cały system i powiększał kapitał, a ja beztrudno go pomniejszałam. Zaszłam w ciążę. Cieszył się jak dziecko. Położył mnie w domu na jedwabnej pościeli i obiecał, że od teraz będę królową, która nic nie musi. Jedyne jej zadaniem będzie urodzenie mu zdrowego i silnego potomka. Wylegiwałam się tak przez dziewięć miesięcy, wolna od trosk i wszelkiego myślenia, kąpiąc się w mleku i miodzie. Która z nas zrezygnowałaby z podobnego rajy na ziemi? Aż nadszedł dzień, kiedy królestwo upadło.

– Dzień narodzin Piotrusia?

– Tak. Przy porodzie nastąpiły komplikacje, zwołano kilku lekarzy, którzy pochyliłi się nade mną i kleszczami wyciągnęli go na światło dzienne. Nie wiem, co działo się potem, nie pamiętam. Okazało się, że ani rozleniwiona ja ani mój zapracowany mąż nie wpadliśmy na to, by przeprowadzić wcześniej badania prenatalne. Płód od momentu poczęcia był „genetycznym bblem” – jak stwierdził potem ordynator wydziału.

– Rozumiem, że mąż nie przyjął dobrze tej wiadomości.

– Spakował się i bez słowa wyjaśnienia porzucił mnie, dom i Piotrusia.

– Za to została mu firma.

– Tak, prawie wszystko było zapisane na niego. Bezwzględnie wykorzystał moją nieznajomość biznesowej materii i przywłaszczył sobie dzieło naszego życia. Na moje nieszczęście, słabo orientował się w sprawach rozliczeniowych, a z przyjętą do pracy księgową częściej gruchał przy sejfie, niż faktycznie rozliczał. Zajęci szyfrowaniem własnych żądań, nie dopilnowali najważniejszych dla firmy procedur. Po kilku latach skarbowka dopatrzyła się zaległości z czasu naszego rzekomo wspólnego zarządzania firmą. Wtedy jakoś je zręcznie zakamuflował, ale teraz, po kilkunastu latach, jeden z nadgorliwych urzędników wykazał szczególne zainteresowanie tematem i wrócił do sprawy. I chociaż po rozwodzie przeprowadziliśmy rozdzielność majątkową, poinformowano nas, że za tamte sprawy firmy w dalszym ciągu odpowiadamy razem. Nie wiem, kiedy i jak zaingerował w system podatkowy, ale nagle na konto starego zaczęły spływać tylko profity, na moje – kolejne ponaglenia do spłaty zaległości. Od pewnego czasu już tylko ja odpowiadam za długi powstałe w wyniku nieuregulowania należności płatniczych wobec państwa. Skarbowka zaprezentowała mi dziś całą ich historię.

– Był tam z panią?

– A jakże! Pojawił się w całym swoim majestacie tylko po to, aby bezczelnie zaśmiać mi się w twarz i oznajmić, że za długi „tej pani” nie odpowiada. To koniec, pani Nineczko! Większego chama trudno w świecie znaleźć. Siedział uśmiechnięty, ociekał złotem jak król, uśmiechając się szyderczo wybielonymi kłami. Patrzył na mnie z taką pogardą...

– Nie mogę uwierzyć, że pozostaje obojętny na waszą niedolę. Czy to z punktu widzenia natury w ogóle możliwe?

– Możliwe, pani Nineczko. Jemu wydaje się, że stoi ponad wszelkimi prawami, w tym także prawem natury. Nie czuje z nami żadnej więzi.

– Mój ojciec również nie czuł więzi ze mną i z moją matką, ale nigdy nie odważył się nas poniżyć.

– Bo od praw natury jest coś bardziej bezwzględnego, pani Nineczko.

– Co takiego?

– Niepodlegająca żadnym uniwersalnym determinizmom natura ludzka. Jeden znajdzie w sobie względy dla drugiego człowieka, inny wypnie się na niego całym swoim człowieczeństwem. Proszę sobie wyobrazić, że ja i Piotruś niemal przymieramy głodem, podczas gdy tamten niebawem pęknie z przejedzenia. A najpewniej udusi się jednym z tych złotych łańcuchów na szyi. Jest w nim wiele barbarzyńskiej podłości: macha do mnie zza okna restauracji zawsze, gdy wracam z opieki społecznej. Siedzą tam sobie razem – on, jego ubrana w najdroższe metki żona i ich wspólne dziecko.

– To niesprawiedliwe i okrutne – przerwała niespodziewaną opowieść Nina, tłumiąc w sobie wyrzuty sumienia. – Ale jakoś udało się wam związać koniec z końcem. Radzicie sobie z Piotrusiem całkiem dobrze.

– Ledwo. Dopóki żyła moja matka, nie musieliśmy martwić się o chleb powszedni. Starowinka pomagała nam najlepiej jak potrafiła. Ale i to się zmieniło. Ja pracować nie mogłam, bo przy Piotrusiu nie byłoby to możliwe. Instytucje społeczne powątpiewały w to, że nie czerpię z istnienia firmy żadnych profitów, a eksmąż całkowicie zubożniał na nasz los. Zostałam sama ze sobą, z odrzuceniem, niepełnosprawnym synem i brakiem pomysłu na utrzymanie go przy życiu. Tu, w Polsce, nikogo nie obchodzi trud rodzicielki zmagającej się z pielęgowaniem niepełnosprawnego dziecka. Urodziłaś potworka, to wychowuj go sama i wedle sobie tylko znanego sposobu!

– Pani nie mówi tak przy Piotruku – zaprotestowała instynktownie Nina.

– A pani myśli, że on cokolwiek rozumie? Nic a nic – studziła jej wybuch pani Marianna. – Otworzyłby drzwi każdemu, kto miałby ochotę wejść do naszego mieszkania. A gdyby – nie daj Boże! – wyszedł z niego sam, szukanie wiatru w polu okazałoby się łatwiejszym zadaniem.

– Po prostu ufa ludziom.

– A ponieważ nie ma większej głupoty od tej właśnie, pani Nineczko, trudno traktować go jako jednostkę przewidywalną. To kochany dzieciak, ale w głowie, niestety, ma próżnię zamiast mózgu. Nie potrafi nawet nienawidzić ojca. On nic nie rozumie, kompletnie nic.

Ostatnie wypowiedziane przez panią Kowalewską słowa uspokoiły pobudzoną nerwowo Ninę. Dorobiła kolejną porcję budyniu, zaparzyła kawę i upewniła się, że zatarła wszelkie ślady obecności Moniki Różańskiej w mieszkaniu oraz w życiu Piotrusia. Jeśli matka chłopca mówiła prawdę, a знаła go przecież lepiej niż ktokolwiek inny, wdrożone przed jej powrotem dzieło budowy wielkiego pomnika myśli ludzkiej pozostawało niezagrożone. Monika obiecała, że żaden trop nie doprowadzi urzędników z powrotem do Niny. Ostatecznie oskarżą o machlojki i nieuczciwość względem własnego dziecka starego Kowalewskiego. Nina przeczuwała, że zasługuje on na najwyższy rodzaj potępienia. Wysłuchawszy zwierzeń pani Marianny, upewniła się w swoim przecuciu.

Monika Różańska była specjalistką w swojej dziedzinie: kombinowanie płynęło w jej żyłach od momentu przyjścia na świat i nie przysparzało dylematów natury moralnej, poza tym miała znajomości w bankach, a w nich kilka długów wdzięczności do odebrania od szeregowych pracowników, którym dawniej załatwiła to i owo. Postanowiła odebrać je sobie bezgotówkowo w dogodnym dla siebie terminie. Choć ryzykowały głową, nie stawiały oporu. Nina uznała, że z Moniką mogą spać spokojnie, w przeciwieństwie do jednej z „tamtych”, którą los zmusił do transformacji w chciwego i starego Kowalewskiego. Chytrze sprowadziła na pulpit komputera jego dane osobowe, założyła teczkę z podpisanymi prawie-przez-niego dokumentami, napisała stosowny wniosek, a potem poza kolejnością pozyskała przychylną dla niego odpowiedź. Zabezpieczyła teren i osobiście nadzorowała przebieg spektakularnej operacji bankowej. Wydarła centrali pieniądze tak sprawnie, że otrzymała nawet prowizję od dyrektora swojej filii. Natychmiast przekazała gotówkę Monice i z ulgą przyjęła od niej zapewnienie, że mąż nigdy się nie dowie, gdzie była, jak jej nie było. Z kolei Monika podarowała walizkę Ciesielskiej, zapewniwszy koleżankę, że nikt nigdy się nie dowie.

– Tylko nie rób scen – instruowała lekko spłoszoną Ninę. – Żeby ci nie przyszło do głowy leżeć krzyżem w kościele. On też nie musi wiedzieć. Czasem cel uświęca środki.

Nina uwierzyła swojej wybawczyni bez zbędnego wikłania się w myślowe analizy. Była teraz

zajęta próbą zyskania pojęcia na temat tego, co sprawiło, że biologiczny rodzic mógł tak modelowo wyprzeć się swojego dziecka. Sama przeżyła odrzucenie ojca, którego nie zdążyła dobrze poznać. A przecież była dzieckiem skrojonym na miarę najlepszych marzeń i wyobrażeń. Myślała, że dzieci kocha się bezwzględnie i niezależnie od wszystkiego.

Jakaś siła natury sprawia, że ojcowie nie są w stanie podjąć wysiłku zaakceptowania sytuacji – wyjaśniała w duchu samej sobie. – Wystraszeni własną nadprodukcją, uciekają przed odpowiedzialnością i trudem miłości. Nowa kobieta staje się dla nich łodzią ratunkową, w której odpływają od codziennego obowiązku zajmowania się kimś. A potem odpływają i od tamtej, gdy zakotwiczy ona przy bezpiecznym brzegu, jak poprzedniczka. Na szczęście matki zostają. Potrafią pomnożyć się do roli obojga rodziców, działać na cztery ręce i myśleć dwiema głowami. Najczęściej okazują się lepszymi ojcami niż mężczyźni. Ich heroizm i cenę poświęcenia zbywa się milczeniem. Matki *muszą* kochać, podczas gdy ojcowie *mogą*. Matki z założenia zaprogramowane są na uznawanie kompromisów, ograniczeń, zasad i reguł, konieczność brania pod uwagę potrzeb drugiej osoby i spełnianie jej oczekiwań. Mężczyźni niezbyt dobrze je znoszą. Czy jest to przeoczeniem natury czy raczej kulturową aprobatą tej wygodnej postawy? Nie rozumiem, dlaczego aż tak źle znoszą zależność od partnerek oraz obecność dzieci w swoim życiu. Traktują je jako nieusuwalny balast przywiązany im do szyi, zbyt kosztowny i problemowy w utrzymaniu. Uważają, że nagle tracą swoją męskość, więc odchodzą. Nie potrafią zrezygnować z wolności, chcą być sobą, chcą wrócić do stanu sprzed zniewolenia. I to, co dla kobiety jest niepojęte, czyli opuszczenie potomstwa, im przychodzi łatwiej, niż sami by się spodziewali. Świat pełen jest Krystyn Ciesielskich i Mariann Kowalewskich, a Piotrusie i Niny lgną do siebie instynktownie.

Wieczorem, gdy została już sama w cichym mieszkaniu przy ulicy Rybackiej, unieruchomiła sylwetkę w fotelu i słowo po słowie odtwarzała monolog pani Marianny wygłoszony na okoliczność podsumowania relacji ojców z dziećmi:

– To tchórze, jakie rozwinęły się na marginesie ewolucji, droga pani Nineczko – przekonywała sąsiadka. – Martwią się jedynie o swój święty spokój, stan posiadania i odbiór w oczach społeczeństwa. To jedyne wartości, jakim hołdują. Niepełnosprawność dziecka traktują jako coś, co naznacza. Oczywiście nie samo dziecko, bo i kogo obchodzi, co ono czuje, ale przede wszystkim ich samych. Mój nawiał od razu, ale widziałam i takich, którzy gorliwie próbowali wytrzymać. Efekt był podobny: nagle zaczynał taki ciężko pracować, musiał zostawać do późnych godzin w biurze, a potem całkowicie odsuwał się od rodzinnego domu i jego mieszkańców. Mówię „mieszkańców”, bo członkami rodziny przestali być dla niego znacznie wcześniej. Nie miał pojęcia, co znaczy jechać z dzieckiem do specjalisty, tułać się od gabinetu do gabinetu. Cierpliwość tracił przy każdej, nawet najmniej angażującej jego osobę, terapii. W końcu oznajmiał kobiecie, że skoro wydała na świat niepełność bytu, musiała ją sobie uzupełniać samodzielnie. Ja to się nawet cieszę, że starego przy nas nie ma i nie rozsiewa toksycznej energii. Dziecko wcale nie potrzebuje ojca, potrzebuje co najwyżej jego pieniędzy. Ale ten podstarzały bawidamek pozbawił nas nawet ich. Oni nic nie muszą, droga pani Nineczko. Na szczęście też niewiele mogą, choć wydaje im się co innego. Ja go jeszcze urządzę. Piotruś zagości w każdym jego sennym koszmarze. Nie chciał żyć z dzieckiem na jawie, będzie musiał zmagać się z jego obecnością w środku nocy.

Nina wiedziała, że groźby odrzuconej kobiety nie są głosem wołającego na puszczy. Jeśli Marianna Kowalewska zapowiadała zemstę, staremu Kowalewskiemu z pewnością kończył się okres spokojnego snu. Oddałaby teraz wiele, żeby dowiedzieć się, że i jej ojciec poznał smak nocnych dusiołków.

Tymczasem minął tydzień od dnia narodzin artystycznej nieświadomości Piotrusia Kowalewskiego, po upływie którego Nina Ciesielska, wydarłszy bankowi potężny kredyt inwestycyjny, po raz pierwszy weszła do „Glinianej Oazy” pewnym krokiem i bez zapowiedzi odważnie powędrowała do gabinetu swojego szefa. Złożyła u jego stóp dwa trofea: walizkę pełną banknotów oraz świadectwo swojego przywiązania. Wyraziła pełną gotowość do zaangażowania się w nowe projekty oraz służenia im wszystkimi swoimi atutami. Z dumą położyła na biurku kartkę, której treść głosiła, że „pani Nina

Ciesielska przekazuje panu Jerzemu Dębskiemu darowiznę w postaci oszczędności własnych”. Nie miał pojęcia, że zgromadziła je w jednej chwili, żyjąc wybitnie nieoszczędnie i z dnia na dzień, oraz że ktoś będzie musiał je spłacić. Gdy – podniecony – wspomniał o konieczności zatrudnienia dodatkowej osoby w celu kontrolowania realizacji dodatkowych inwestycji, natychmiast przyszła mu z pomocą. Od tej chwili do biurka Niny dostawiono kolejne, dzierżawione przez Monikę Różańską.

„Gliniana Oaza” miała teraz wszystko: fundament w postaci genialnej myśli Jerzego Dębskiego, pieniądze na jej zrealizowanie oraz dwie wspierające monumentalną konstrukcję kolumny – sprytnie księgowe. Pozycja Ines została nagle sprowadzona do poziomu piwnicznego archiwum.

Całe szczęście, że Piotr Kowalewski był niespełna rozumu, a los uznał, że jego bezduszny ojciec musi odpokutować swoją rodzicielską dezercję.

13.

Tymczasem w głowie Jerzego momentalnie zaczęły rodzić się kolejne odważne pomysły, które w ostatnim czasie porzucił, cierpiąc na spadek poziomu intelektualnej aktywności.

Chadzał smętny i rozdrażniony, denerwowała go codzienność oraz każda osoba, z jaką przebywał w jednym pomieszczeniu dłużej niż kilka minut. Zaczynał mieć alergię na ludzi, a zwłaszcza na ich płytkość oraz głupotę. W takich okresach ratowała go wspaniałomyślna Ines, która posiadała nadprogramowy zmysł rejestrujący wszelkie wahania nastrojów swojego pracodawcy. Nie mówił jej, że czuje się źle, ona sama znajdowała tę informację w jego mętniejących oczach. Zakasywała wówczas rękawy, izolowała szefa w jego bezpiecznym i chronionym przed wtargnięciem intruzów gabinecie, następnie w pojedynkę zarządzała wszystkimi działami w firmie. Ona jedna mogła sobie pozwolić na taką szarżę. Była Dębskim w spódnicy – świetnie wykształcona, bystra, doświadczona zawodowo i w całości oddana pracy. Za wszelką cenę chciał ją mieć u siebie. Dyrygowała ekipą konsekwentnie, zachowując w firmie płynność w zarządzaniu. Nadmiernie dociekliwych oddelegowywała komunikatem oznajmiającym, że szef potrzebuje teraz maksymalnego skupienia, ponieważ jest bliski opatentowania kolejnej metody zapewniającej im przyływ zleceń na najbliższe dwa lata. Stanowiło to wystarczającą odpowiedź na ich pytania dotyczące samopoczucia chlebobawcy. A że dostawali chleb z najdroższej mąki w okolicy, woleli upewnić się, że nikt im tego dobrodziejstwa nie odbierze. Po tygodniu dzielnych rządów Ines zapominali, kto jest prawdziwym szefem „Glinianej Oazy”. Karawana nieprzerwanie jechała dalej; robili swoje, Jerzy melancholizował się w swoim biurze, ale namaszczona przez niego Ines heroicznie czuwała nad prawidłową realizacją poszczególnych zadań. Trybiki w maszynie działały sprawnie i same napędzały się do wytężonej pracy.

Jerzy sposepniał, bo przy Łukaszu pojawił się podejrzany element w postaci niemieckojęzycznego inspektora-planisty, który przybył do miasta na kilka miesięcy w celu nadzorowania rozbudowy galerii handlowej. Był zagorzałym fanem tenisa i wykupił u najlepszego instruktora w okolicy ciąg lekcji. Grali więc niemalże bezustannie. Łukaszowi spodobała się międzynarodowa sława, bo filmiki z pojedynków Alex wrzucał na niebieski portal, który stał się wirtualną księgą wyrażania przez niemieckich przyjaciół zachwyty nad talentem polskiego trenera. Najchętniej przetransferowaliby go do siebie. Chronologia zaplanowanych przez tę dwójkę spotkań na korce znacznie uszczupliła czas, jaki trener mógł przeznaczyć na pojedynki ze swoim niedawnym pogromcą. Widywali się krótko i bez głębi. Jerzy źle znosił w życiu wszelkie przejawy bycia odrzuconym. Lepiej wychodziło mu odrzucanie.

W tej sytuacji – znudzony i tłumiący w sobie agresję – ponownie zwrócił się w stronę Niny. Zauważył, że czuje się ona w firmie coraz pewniej, co przełożyło się na poprawę jej wyglądu. Znów olśniewała nieskazitelnym makijażem zdobiącym rumianą twarz oraz błyskotliwym połączeniem wzorów na kostiumie. Nie była ekspansywna i natarczywa, pracowała w swoim gabinecie, nie podnosząc czoła znad papierów. Przestała napastować go spojrzeniem, zarzuciła niby-przypadkowe spotkania przy ekspresie do kawy, nie dzwoniła nawet w pilnych sprawach zawodowych. Głowę wyraźnie miała pochłoniętą czymś nowym. Pewien był tylko tego, że nie myślała o innym mężczyźnie. Czuł jej adorację z każdej strony, nawet gdy na niego nie patrzyła. Ostateczne wkomponowanie się Niny w zespół „Glinianej Oazy” zrodziło w nim satysfakcję. Znów nie pomylił się w doborze odpowiedniej osoby na ważne stanowisko. Wprawdzie musiała na własną rękę uzupełnić braki w finansowej wiedzy, ale zrobiła to szybko i bezkolizyjnie dla działania firmy. Nawet jeśli nie była tak zdolna, jak początkowo założył, należało oddać jej to, że wykazała godną pochwały sumienność w zwalczaniu własnej ignorancji. Poza tym, ciekawie było uprawiać seks z prawie dziewczyną.

Pewnego dnia postanowił odwiedzić ją w gabinecie i sprawdzić, jak dalece zdążyła już pojąć mechanizmy finansowania glinianych projektów przyszłości. Zaczął się bezszelestnie w chwili, gdy kończyła opracowywać wniosek w ramach jakiegoś unijnego projektu dofinansowania. Zza jej pleców przyglądał się wypełnianiu przez nią miliona rubryk i googlowaniu znaczenia co trudniejszych

paragrafów. Zauważył, że korzysta z pomocy członków jakiegoś forum, którzy życzliwie wspierali się w doinformowywaniu. Uśmiechnął się pobłaźliwie, bo wiele raz sam wcielał się w wolnych chwilach w internetowego eksperta. Nie wszyscy mieli to szczęście, by urodzić się tak bystrymi jak on. Nina wypracowała sobie całkiem stabilny system, który może i obnażał jej intelektualną ograniczoność oraz niesamodzielność, ale jednocześnie zdradzał silną zaradność połączoną z niechętnym przyznawaniem się do zawodowego uszczerbku.

Gdy w końcu zdecydował się ujawnić swoją obecność, natychmiast zminimalizowała w komputerze pomocniczy pasek i przyjęła pozę profesjonalnej księgowej. Od pewnego czasu wzorowała się na Ines, która stanowiła wzór chłodnej kobiecości. Przełożywszy jedną nogę przez drugą, Nina odsłoniła zgrabne kolana, splótła na nich dłonie, po czym wyprostowała kręgosłup i wbiła w Jerzego powiększone źrenice. Zauważyła, że i jego rozkurczyły się niepomierne. Upewniło ją to w przypuszczeniu, że wciąż nie potrafi on pozostać obojętnym na wytworzoną przez nich chemię, choć z gotykiem miała ona ostatnio tyle wspólnego, co gliniane osadnictwo ze współczesnymi drapaczami chmur. Ale jeśli ogień tlił się jeszcze w tym skomplikowanym męskim wnętrzu, wciąż była bliska ogrzania się w jego blasku. Z radością więc poddała się niezapowiedzianemu audytowi.

– Czeka nas wiele pracy – zaczęła optymistycznie brzmiący dyskurs. – Udało mi się zrealizować to, co zamierałam. Zaczyna się dla nas doba potężnych inwestycji. Europa już niedługo będzie musiała uznać nas za pępek glinianego świata.

– To akurat naturalna konsekwencja polityki firmy. Wypracowaliśmy ją wspólnie – uściślił, chcąc pohamować jej indywidualistyczne zapędy. – Mówiłem ci o tym podczas pierwszej rozmowy, nie pamiętasz?

– Pamiętam każde słowo – przyznała pokornie, trafnie odczytawszy sugestię.

Tak bardzo chciała teraz, by docenił jej wkład w rozwój firmy, niezależnie od wysiłku ogółu. Potrzebowała tego bardziej niż wypłaty, premii czy wyrażonego milczeniem uznania Ines. Pragnęła być genialną Niną, bez której sukces firmy z pewnością smakowałby mniej. Jednak nie doczekała się laudacji. A skoro nie uświadomił sobie jeszcze roli jej wkładu finansowego w rozstawianie „Glinianej Oazy”, postanowiła wytoczyć dodatkowe działo.

Ostatnie noce były dla Niny czasem przymusowego odrącenia Virginii, do której całym swoim jestestwem Ignęła, a jednocześnie przyspieszonym kursem historii glinianej architektury odbywanym eksternistycznie pomiędzy wyjściem z firmy a trzygodzinnym snem zwiastującym rychły do niej powrót. Życie Niny wypełniać zaczęło to, czym żył Jerzy – rozważanie nad możliwością dalszego stwarzania. Przeistaczała się w kreatorkę, nadal sumiennie wypełniając swoje wytwórcze obowiązki. Pojawszy ulepioną z gliny terażniejszość, planowała w myślach jej przyszłość. Tak naprawdę miała być ona fundamentem „ich” przeszłości.

Po raz pierwszy w życiu Nina nie bała się samodzielnie myśleć. Przywdziała kostium demiurga i z autentyczną pasją snuła swoje fantazmaty. Ich bieguny zogniskowała w cennym z punktu widzenia ludzkości punkcie – ekologii zdrowia. Już dawno pojęła, że biznesowy wymiar działalności firmy Jerzego zszedł na dalszy plan oraz że jej właściciel marzy o zrealizowaniu dziejowej misji, dającej nadzieję na możliwość powrotu do wspaniałomyślniej natury pierwotnej. Ceniła w nim ten gorejący prometeizm. Podziwiała odwagę porzucenia wygodnego życia w Trójmieście i chęć zmagania się z bardziej skomplikowaną, choć prowincjonalną rzeczywistością. Uznała, że nie może on przebijać się przez jej mur samotnie. Potrzebował cichej, nienachalnej współpracownicy do „czarnej roboty”. Takiej, która byłaby równoprawnym partnerem w dyskusji, powierniczką jego rozterek oraz inspiracją do zdradzania genialnej myśli teoretycznej. Przygotowała się do tej roli wyśmienicie. Ines miała klasę, wiedzę i doświadczenie. Nina miała wabiące Jerzego feromony, świeżość i asa w postaci wspomnienia gotyckiej nocy. Tak wyposażona, ogłosiła w sobie inaugurację ich nowej, głębszej wspólnoty.

– Przeglądam właśnie artykuły anglojęzyczne i z satysfakcją stwierdzam, że nasze technologie nie odstają znacząco od najnowszych osiągnięć w dziedzinie budownictwa alternatywnego. Realizujemy projekty wedle najskuteczniejszych dyrektyw. Wszystko wskazuje na to, że instynktownie podążamy z duchem czasu.

– Instynktownie? – nie zdołał ukryć wzburzenia. – Błędzisz, Nino. Tutaj nic nie dzieje się przypadkiem. Nie doceniasz siły naszego planowego działania. Być może jeszcze go nie dostrzegasz. Sukces „Glinianej Oazy” ma swojego autora.

– Przepraszam, źle się wyraziłam – odpowiedziała drżącym głosem, tłumiąc w sobie wybuch kolejnego rozczarowania. – Miałam jedynie na myśli to, że Polacy zwykle naśladują to, co zagraniczne. I dobrze, nie powinniśmy zamykać się na osiągnięcia innych.

– A gdyby to świat zaczął naśladować nas?

– To musiałabym mocno zweryfikować swoje myślenie o świecie.

– Lepiej zacznij to robić, bo praca w tej firmie zobowiązuje do odważniejszej postawy. Pozbądź się genu prowincjonalizmu. Przyjmij do wiadomości, że jesteśmy tu właśnie po to, by stworzyć nowy świat. Lepszy od tego, który powołali do istnienia tamci, „zagraniczni”, jak mówisz.

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz! Reprezentujesz pogląd, iż ludzka moc stwórcza nie jest godna konkurować z boską, może ją co najwyżej naśladować, a i to jawi ci się jako grzech ciężki. Uwierz tak samo mocno w człowieka!

– Nie twierdzę, że nie potrafi on zbudować rzeczy trwałych, ponadczasowych i odzwierciedlających prawa natury. Ale doskonała natura nigdy nie znajdzie pełnego odbicia w wytworach człowieka. Natura jest Bogiem! – wykrzyknęła, znów mimowolnie składając hołd Stwórcy.

– Jest coś doskonalszego niż boska natura.

– Co takiego?

– Cywilizacja stworzona rękoma człowieka. Rządzą nią prawa równie logiczne i doskonałe. Nad boską naturą ma taką przewagę, że nie odradza się sama w niezmienionej formie, ale pozwala swoim autorom na dalsze tworzenie. Inspiruje ich bez przerwy, stale zmienia pojęcie doskonałości, pozwala im czuć się potrzebnymi. Podczas gdy natura sprowadza byt człowieka do myślenia o swojej nicości i zbędności, cywilizacja wchłania go jako swoje rusztowanie. Bez niego rozpada się. Natura każe się podziwiać, cywilizacja – rozwijać! Twój Bóg jest złośliwy, odebrał ci prawo do nadania sobie dowolnego kształtu. Doprowadziło cię to do ślepego podziwiania „zagranicznych”, czyli gotowych tworów. A w czymże one są lepsze od naszych? I dlaczego twierdzisz, że naszą ambicją jest je naśladować?

W tej chwili jej aparat ustny zdolny był jedynie przełykać gorzkie łyż, jakie spływały wodospadem wprost do ściśniętego gardła. Nie zdążyła nawet wygłosić merytorycznego prologu do swojej ekologicznej idei, a już bolały ją podcięte przedwcześnie skrzydła. Zauważył wypisane na twarzy cierpienie i przez chwilę było mu jej naprawdę żal. Przecież dała mu pieniądze na rozwój firmy, nie wydzwaniała, nie domagała się kolejnych spotkań. Postanowił uspokoić sytuację i złagodzić ostry ton:

– Wciąż nie potrafisz pozbyć się sceptycyzmu? Nawet nie wiesz, jak bardzo się tym ograniczasz.

– Najwyraźniej jestem zbyt ograniczona, żeby pojąć skalę twojego geniuszu. Zatem oświeć mnie – wyraziła chęć kontynuowania tej nieprzyjemnej rozmowy.

Zaśmiali się głośno, co natychmiast wprawiło w nerwowy ruch czujną Ines, która zaczęła krążyć wokół gabinetu niczym elektron.

– Otóż, droga Nino, było wiele rewolucji w historii budownictwa, również tego z gliny. Najważniejsze przeprowadzili Rzymianie, którzy swoją architekturą postawili sobie najwłaściwszy pomnik. Nikt potem nie zdołał tak praktycznie połączyć matematyki z projektowaniem brył. Ale i Polacy mają swoje zasługi. W XVIII wieku glinę popularyzował Piotr Aigner, budowniczy dworów, pałaców, kościołów, który pracował dla Czartoryskich i Radziwiłłów. Z wypiekami na twarzy zaczytywałem się w treść jego poradnika *Budownictwo wieyskie z cegły glino-suszoney*. Po drugiej wojnie tematem tym zajął się profesor Andrzej Rzymkowski z Politechniki Krakowskiej, a później jego pracę kontynuowali architekci – Maciej Hyła i Danuta Kupiec-Hyła. Rozpropagowali u nas budownictwo naturalne, proponując na przykład dachy z geowłókien czy autonomiczne domy budowane własnymi rękami z materiałów recyklingowych. Teraz nadeszła moja kolej. Historia wyznaczyła mi rolę autora kolejnej

rewolucji.

– A na czym będzie ona polegać? Bo twoi poprzednicy nie pozostawili ci szerokiego pola do popisu. Jest w nim miejsce jedynie na drobne ulepszenia. W tej materii musiałbyś zaproponować jakiś rodzaj cudu, a tu nie ma miejsca na cud.

– I mówi to osoba, która wierzy w cudownie rozmnożenie chleba, narodzenie się z dziewicy i zmartwychwstanie?

– Masz rację, czasem brakuje mi elementarnej konsekwencji. Bywam niespójna.

– A ja głęboko wierzę w to, że do mojej głowy zbliża się meteoryt w postaci nowej idei. Chciałbym, żeby już się w nią z wielkim hukiem wbił. Chce już zacząć działać. To pozwoli mi odzyskać spokój i pozbyć się tej nieuzasadnionej nerwowości. Gdy wróciłem do miasta, wszystko było proste, przewidywalne i ciche. Ale teraz coś we mnie krzyczy i domaga się wydostania na zewnątrz.

– Co takiego?

– Rewolucja właśnie. Muszę opuścić stały grunt i wejść w płynne granice nieodkrytej jeszcze przestrzeni. Inaczej ugrzęznę w miejscu na zawsze. Muszę skonstruować przełom, jak oni.

– Kto?

– Starożytni. Rzymianie. Klasycy myśli i prekursorzy prawdziwej cywilizacji. Ich życie miało sens.

– A twoje nie ma?

– Moje jest na razie jedynie obietnicą.

– Czego?

– Przedłużenia ich myśli. Wybrali mnie, żebym kontynuował ich dzieło.

– Czyli to jest twoja wiara.

– Przynajmniej służy ludziom. I pozwala być Bogiem każdemu, kto zapagnie podarować im lepszą formę życia.

Zrozumiała, że rewolucja jest jednak nie tyle dziełem boskim, co człowieczym. Pojęła też, dlaczego tak bardzo ciągnęło ją do Jerzego, chociaż wydawał się być niezainteresowany ciągiem dalszym ich powołanej nagle do życia romantycznej metafizyczności. Ulżyło jej, a nawet w duchu uśmiechnęła się do samej siebie.

A więc nie chodzi o inną kobietę! – porządkowała naprędce myśli. – Nie zabiega o Ines. Nie szuka przygód. Po prostu zapadł się chwilowo w swój wewnętrzny świat idei, by projektować epigończą rewolucję. Teraz bawi się w Boga. Niech sobie będzie Bogiem, Rzymianinem, kimkolwiek zechce, byleby dzielił się refleksją na temat stwarzania ze mną, a nie z innymi kobietami. Przeczekam okres bolesnego połogu jego koncepcji, a nawet pomogę przeciąć pępowinę, gdy ów pomysł już pojawi się na świecie.

Do Niny dotarło, że właśnie odkryła racjonalny i zapewne właściwy powód jego „pogotyckiej” oziębłości. Jerzy był człowiekiem idei, a taki nie mógł koncentrować się jednocześnie na skomplikowanych procesach myślowych dotyczących istoty kreacji i prostych umizgach. Na tym tle związek z kobietą, nawet inteligentną, był jednak tylko rodzajem jakiejś komicznej zabawy opartej na przerysowanych teatralnych trikach rodem z komedii dell'arte. Jerzy nie miał aktualnie głowy do wcielania się w nadmiernie wylewnego aktora, bo w całości złożył ją na ołtarzu swojej wielkiej myśli. Pewnie sprawdzał, czy Nina to uszanuje, zrozumie i uświeci milczeniem. Pokazał wtedy, w nocy, ile dla niego znaczy jej osoba i najwyraźniej miało to być wystarczającym dowodem jego zainteresowania. Postanowiła nie domagać się na siłę uwagi i pozwolić wydarzeniom płynąć, choćby i pod prąd, w przeznaczonym im tempie. Pomyślała jeszcze o czymś, co ostudziło jej gwałtowną uczuciową wrywność. Chociaż zafascynowała go swoją osobowością, daleka była od ideału kobiety, jakiego mógł oczekiwać człowiek, który miał światły umysł, jednoznaczny charakter oraz jasno sprecyzowaną koncepcję ziemskiego pobytu. W konfrontacji z tak zaprojektowaną jednostką Nina siłą rzeczy poczuła swoją ułomność, co automatycznie zgarbiło jej plecy i ściągnęło uśmiech z twarzy.

Na szczęście Jerzy nadal wykazywał chęć kontynuowania konwersacji w przyjaznym tonie:

– Unowocześnić nowoczesność, przechytryć ludzkie ograniczenia, wyprzedzić kolejne ogniwo

rozwoju cywilizacji – to byłoby coś... Żaden wynalazek nie jest ostatecznym tryumfem myśli ludzkiej. Trzeba ożenić glinę z jakimś nieulegającym rozkładowi pierwiastkiem. Trzeba podarować człowiekowi nieśmiertelność, choćby pod postacią odpornego na działanie czasu domu. Pieniądze już mamy, teraz trzeba się już tylko poświęcić...

– Pamiętaj, że nawet najbardziej produktywny umysł musi czasem zjeść obiad i napić się herbaty. Jestem tu, w razie gdybyś sobie o tym przypomniał.

– Nie mój. Mój dopiero zaczął mi służyć. Pojął sekret swojego przeznaczenia. Nie mam teraz czasu na przyziemność. Będę karmił się jego wewnętrzną strukturą, będę pożerał jego własności i wydalal je w postaci nowych, nieznanym światu materiałów budulcowych. Muszę uruchomić całą aktywną przestrzeń mojego mózgu!

– Podobno nie jest ona tak wielka, jak myślimy.

– Uległaś powszechnemu mniemaniu. Od dawna powtarza się nam, że wykorzystujemy tylko dziesięć procent naszego mózgu. Mnie ta teoria wydaje się być dziecinny uproszczeniem. Stała się wygodna dla tych, którym nie chce się dążyć zagadnień głębiej. Wymyślili więc, że ich rozwój ogranicza szczątkowa zawartość myślowej substancji. Dziesięć procent mózgu – to kpina! Jeśli jest to ostateczny dla nas do osiągnięcia próg, to jak wytłumaczyć współistnienie geniusza i idioty? Skoro ich mózgi nie różnią się aż tak bardzo fizycznie, nie jest możliwe wytworzenie przez nich tak skrajnej jakościowo różnicy w pojmowaniu prawideł wszechświata. Natura nie zna takich dziwactw. Tylko człowiek mógł wymyślić absurdalne przekonanie o własnej ograniczoności. Paradoksy leżą w jego naturze.

– To prawda, co jakiś czas trafia do nas informacja o narodzinach nowego einsteina, któremu możemy co najwyżej otworzyć drzwi do pracowni. Nie każdy z nas może stać się odkrywcą, chociaż teoretycznie rodzimy się tacy sami, tak samo ograniczeni własnym punktem wyjścia. Większość z nas przeżywa całe swoje życie w intelektualnym niemowlęctwie, tylko einsteinom udaje się pojąć tajemnicę.

– A zatem na czym ona polega?

– Na odblokowaniu możliwości maksymalnego wykorzystania tych dziesięciu procent, które dla większości ludzi są niedostępne. Potrzebna jest ścisła specjalizacja mózgu – rozwój w jednym kierunku kosztem innych. Nie sądzę, abyśmy mieli jakieś niepotrzebne, nieużywane rejony mózgu. Po prostu nie potrafimy w równej mierze wykorzystać tych, które są. Przyroda nie znosi rozrzutności: narządy nieużywane zanikają, a używane rozwijają się.

– Idąc tym tropem, można by założyć pewną niedorzeczność. Otóż mężczyzna mógłby mieć żłudną nadzieję, że jak będzie ponadprzeciętnie używał męskiego organu, to osiągnie w końcu rozmiar afrykański.

– No widzisz, tak rozmawia się z kimś, dla kogo mózg i męski organ mają taką samą rangę. Mózg tylko umownie jest materia. Podlega odrębnym prawom.

Mimowolnie oburzała się za każdym razem, gdy mężczyźni posługiwali się seksualną metaforyką, chcąc wytłumaczyć kobietom zawilości swojego światopoglądu. Była mądrzejsza, niż myślał, nie musiał sprowadzać rozmowy z nią do płytkiej barbarzyńskiej erotyzacji.

– Twój Bóg znowu zakrywa ci wstydlive uszy? – zgasił ją krótkim retorycznym pytaniem, po czym wrócił do swojego wywodu. – Skoro nie przekonuje cię argument z mózgiem, odwołam się do innego. W naszym kręgu kulturowym, w dobie żarłocznego kapitalizmu służącego wybranym jednostkom, wychowują nas w przekonaniu o ograniczoności naszego potencjału. Mamy posłusznie służyć stworzonym systemom, odtwórczo posługiwać się wynalazkami, hołdować odkryciom ojców.

– Sam wielokrotnie powtarzałeś, że starożytni stworzyli prawie wszystko – próbowała złapać go na niekonsekwencji wywodu.

– Prawie! Rozumiesz znaczenie tego słowa? – oburzył się. – Byli o tyle mądrzejsi od nas, że zostawili potomnym wolne pole do kontynuowania dzieła, które sami przecież przejęli od Greków. I nie było to świętokradztwem, świadczyło właśnie o ich genialności. Pchali machinę do następnej stacji, by potem wskakiwali do niej następni śmiałkowie. Teraz dojechała ona do mojej stacji.

– Wiele wskazuje na to, że mieli jednak inny zamiar. Gdyby tylko Cesarstwo Rzymskie nie upadło, to już w średniowieczu posługivalibyśmy się maszynami parowymi, a niewiele później

komputerami. Po prostu zabrakło im czasu.

– Zabrakło im egocentryzmu, który ukrywa przed ludźmi ich własne ułomności. Wiedzieli, że nawet jeśli wymyślą wszystko, to nie będzie to nieskończenie doskonałe. Przekazali dziedzictwo tym „einsteinom”, jak ich wcześniej nazwałaś. Odkrywali w swoim tempie, nie żarłocznie, nie ścigając się z czasem. Nadali dziejom sens, który miał się odnawiać dzięki pojawianiu się tych einsteinów. Sekret ich geniuszu polegał przede wszystkim na wyzwoleniu się spod skrzydeł ograniczających ich pedagogów. Najpodlejszym jest, bez urazy, twój Bóg, Nino. Przywłaszczył sobie prawo do rozwijania potencjału. Wmówił wam, że musicie godzić się na swój niedorozwój, na owe dziesięć procent. I robicie to, bo boicie się żyć naprawdę. Gardzicie doczesnością i w trwodze oczekujecie swojego końca. Wasz koniec następuje każdego dnia.

Niezachwiana dotąd wiara Niny właśnie przeżyła pierwszy kryzys. Chrześcijańską służkę nagle opuściła odwaga, siła kontrargumentacji i chęć podważenia jego pewników. Poczula kobiecą potrzebę przyznania mu lauru zwyczajstwa w postaci swojej uległości.

Fascynacja Jerzym odradzała się podczas takich właśnie rozmów, kiedy to uzyskiwał nad nią intelektualną oraz psychologiczną przewagę. Potrafił jednym zdaniem zburzyć z trudem budowaną latami piramidę wartości, wokół których zorganizowała swój świat. Sprowadzał do poziomu bruku jej świętości, podważał istotę wiary, wskazywał religijne paradoksy mnożące wewnętrzny niepokój poszukującej uniwersaliów duszy. Nie potrafiła skutecznie bronić się przed siłą jego argumentacji. W końcu przyznała sama przed sobą, że Jerzy ma nad nią całkowite panowanie. Ale nie chciała dać zgody na intelektualne poddaństwo, instynkt napędzał ją do gonienia swojego nowego mistrza. Dalej śmiało brnęła w dyskusję, chociaż nigdy wcześniej nie miała tak niskiego poziomu samoakceptacji jak teraz, gdy pracowała w jego firmie. Im bardziej oddalał się od niej, tym mniej lubiła siebie. Jednocześnie z tym większym zapalem chłoneła wiedzę potrzebną jej do utrzymania z nim emocjonalnego kontaktu. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej rosnąca w wyniku nagłego awansu pozycja w „Glinianej Oazie” jest dziełem okrutnego i niemoralnego oszustwa. Było ono efektem jej prywatnego geniuszu i jeśli miało zbliżyć do niej Jerzego, musiała nauczyć się z tym fałszerstwem żyć. Na wszelki wypadek nie zaglądała teraz w taflę lustra.

Poczucie beznadziejności rekompensowała sobie zgłębianiem tajników wiedzy z zakresu glinianego budownictwa. Dzięki nim mogła rozmawiać ze swoim szefem prawie jak Ines. I to właśnie spowodowało, że coraz częściej odwiedzał jej gabinet.

Po wymianie poglądów na temat możliwości ludzkiego mózgu, przemilczeli razem kilka minut. Każde z nich utonęło w swoich myślach. Nie była to łatwa rozmowa, więc oboje musieli złapać oddech, jeśli planowali jej kontynuowanie. Nina udawała umysłowe zrównowazenie, Jerzy – emocjonalne opanowanie. Na pozór wyglądali całkiem normalnie: poprawiali elementy garderoby, przyglądali się swoim dłoniom, przerzucali leżące na biurku dokumenty. Zdobył się nawet na podanie jej filiżanki z letnią już kawą. Potem skierował wzrok w stronę okna i patrząc w nie, powrócił do artykułowania swoich myśli:

– Gdyby tak opanować trwalszą technologię... Prawda jest taka, że, póki co, nasze gliniane konstrukcje wytrzymują na słońcu, deszczu i mrozie dziesięć lat. Do tego czasu nie występują w nich ślady gnicia czy grzybów. Po dziesięciu latach deszcz zaczyna wymywać ze słomy glinę. Dziesięć lat to jednak bardzo krótki żywot. Ludzie mogą czuć się oszukani.

– Dajemy im gwarancję na siedem lat. Jesteśmy uczciwi.

– Ale to za mało. Tu chodzi o umiejętność wydłużenia życia.

– Chcesz ścigać się z naturą w walce o nieśmiertelność?

– Chcę wykorzystać ją do odroczenia śmiertelności naszych domów przynajmniej na czas życia jednej rodziny. Jesteśmy na fali dopóty, dopóki nikt nie docieka faktycznej długości ich życia.

– Nic nie trwa wiecznie.

– Mylisz się. Kiedyś, na początku rozwoju cywilizacji, ludzie lepiej radzili sobie ze sztuką utrwalania czasu w materii. Czy wiesz, że najstarszym fragmentem budynku z ziemi jest sklepienie w świątyni Ramzesa II, niedaleko miejscowości Al-Kurna w Egipcie, wzniesione trzy tysiące dwieście

lat przed Chrystusem? Tymczasem nasze rzekome „perły budownictwa” zapadają się przy byle wstrząsie sejsmicznym. Niewiele po nas pozostanie, Nino. Starożytne świątynie staną się naszymi grobowcami. Gotyckie wieże będą się śmiały, spoglądając z wysokości na naszą marność. Po współczesnych blokowiskach zostanie jedynie wgłębienie w ziemi. A te wszystkie galerie handlowe, parki rozrywki, domy kultury, kina i teatry – przeminą w silniejszym podmuchem wiatru. Gdyby tak wydrzeć naturze tajemnicę niezniszczalności! Gdy to zrobię, mogę umrzeć. Nie spocznę, nim nie przeistoczę gliny w odporną stałość.

Nina słuchała go z coraz większym skupieniem. Poczwała, że nadszedł właściwy moment, by podzielić się z nim swoją najświeższą wiedzą na temat glinianych konstrukcji. Wydarła ją internetowi oraz tajnym kontaktom Moniki w konkurencyjnych do „Glinianej Oazy” firmach. Skontaktowała się nawet z habilitowanym specjalistą w temacie, któremu w zamian za naukowe wnioski obiecać musiała darmowe roczne rozliczanie skomplikowanych rachunków. Teraz wnioski te zamierzała przedstawić jako luźne refleksje własne. Wzbraniała się przed tym, ale odwagi dodało jej nagłe poruszenie Ines, która – zwabiona widokiem zbyt blisko siedzących obok siebie rozmówców – przypomniała sobie o konieczności wyszukania „czegoś” w grubych segregatorach i jednym manewrem zbliżyła się do uczestników dyskusji na odległość dwóch zaledwie metrów. Nina zrozumiała, że Ines zaczyna traktować ją poważnie.

– Ja tymczasem wydarłam konkurencji tajemnicę ekonomizacji budowy – tryumfalnie ogłosiła dumna księgowa patrzącemu w okno chlebobawcy. – Glinę moglibyśmy dostawać za darmo od firmy, która wykopuje piasek – dla niej glina jest odpadem. Słomę moglibyśmy skupować od rolników z pobliskich wsi. Wyszłoby niedrogo, w końcu to teren popegeerowski i rolniczych hektarów jest na nim w bród. W dodatku pojawia się możliwość zaoszczędzenia nawet na ogrzewaniu, które pochłania nam najwięcej kosztów wykończeniowych. Pomyśl, domy mogą być ogrzewane przy pomocy specjalnych rurek z ciepłą wodą rozprowadzonych w ścianach i podłodze. To wystarczy, żeby zimą utrzymać dwadzieścia cztery stopnie, nawet przy słabym paleniu. Rurki można zamontować ręcznie, to proste rozwiązanie, nasi ludzie potrzebowaliby tylko obejrzenia kilkunastominutowej prezentacji zawierającej instruktaż. Sam wiesz, że koszt opłacenia robotnika jest zdecydowanie niższy niż koszt uruchomienia specjalistycznej maszyny.

Tym ostatnim zdaniem sprawiła, że oderwał się od przezroczystości okna i spojrzał na nią. Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia tej dyskusji nastawił się na jej żywy odbiór, sprowokowany próbą wyrażenia własnej opinii przez współrozmówczynię. Ines pobladła na twarzy i straciła orientację w odkładaniu segregatorów we właściwe miejsca. Unosząca się niemalże dwa metry nad ziemią Nina kontynuowała roztaczanie swojej wizji przeobrażenia glinianych domostw w trwalsze twory. Jako specjalistka od korzystnych inwestycji, musiała w końcu spektakularnie je ogłosić.

– Uważam, że powinniśmy jeszcze pełniej wykorzystać szansę, jaką daje nam nasz alternatywny budulec – dodała po chwili pewnym tonem. – Możemy rozpropagować glinę jako najbardziej uniwersalny produkt nowoczesnego budownictwa o charakterze użytkowym! Wystarczy uświadomić ludziom, że w dobie masowej produkcji żelbetowych mieszkań tylko glina może ochronić ich zdrowie. Tradycyjne tynki są martwe, a glina oddycha i to powoduje, że świetnie absorbuje wilgoć, kiedy jest jej za dużo. A potem tę wilgoć oddaje, tworząc sprzyjający płucom mikroklimat. Ma także właściwości antyalergiczne, pochłania zapachy i szkodliwe substancje, takie jak te z dymu papierosowego, którym oboje się brzydzimy. Glina to czysta ekologia! Glina to zdrowie! Glina to świadome życie!

Przypomniała sobie, że uciekł z większego miasta właśnie dlatego, że zrozumiał potrzebę przyjęcia w życiu szerszej, niżli tylko finansowa, perspektywy. Mówili o nim jako o pierwszym ekologu wśród lokalnych biznesmenów. Wyznaczał nowe standardy na tym terenie, a nawet pojawiał się w prasie w roli eksperta od proekologicznych rozwiązań. Niewiele było w kraju przedsiębiorstw, które stawiały na ochronę naturalnego dziedzictwa i z niego próbowały tworzyć świat. Na szczęście z zachodu wiał coraz mocniej ożywczy wiatr świadomości, który przemyczał do uszu właścicieli pierwotną, choć odrzuconą, prawdę, że człowiek powinien działać na korzyść środowiska, a nie uszczuplać je na rzecz wytworów cywilizacji. Nina dopiero teraz uświadomiła sobie, że cała „Gliniana Oaza” funkcjonowała

w sposób ściśle przystosowany do celów ochronnych. Nad urządzeniami wisały kartki przypominające o każdorazowym rozważeniu konieczności drukowania dokumentów i gaszeniu światła. Zrozumiała obecność licznych koszy umożliwiających sortowanie śmieci oraz miejsc zbiórki zużytych baterii. Firmowy papier, notatniki czy wizytówki drukowane były na papierze odzyskiwanym z makulatury. Tradycyjne żarówki ustąpiły miejsca energooszczędnym świetlówkom. Jerzy dbał nie tylko o cywilizację.

Jakże bezczelna była teraz w swoim proekologicznym monologu! Przed nią siedział wszechwiedzący Jerzy, a ona uczyła go podstaw wtórnego użycia surowca. Podczas gdy mówił jej o nieśmiertelności, oferowała mu tandetną koncepcję reinkarnacji zubożającej pierwotność materii. W dodatku ośmieliła się nazwać ją rewolucją. Nic dziwnego, że słuchając jej, pogardliwie milczał. Przecież tutaj, w tej profesjonalnie zarządzanej krainie zbudowanej z gliny i pełnej najwytrawniejszych starannie wyselekcjonowanych umysłów, każdy zakamarek hołdował naturalnym zasobom oraz filozofii ekonomicznego ich wykorzystania. Pracownicy prowadzili rejestr najnowszych artykułów ze światowej prasy branżowej, znali wszelkie proponowane w nich metody utwardzania glinianych ścian i bez problemu diagnozowali potrzebne na to nakłady finansowe. Wykazała się całkowitą ignorancją, nie zauważywszy tego wcześniej.

Obecność Jerzego odbierała Ninie zdolność jasnego myślenia. Czasami zachowywała się, jakby byli w firmie sami i od ich tylko pomysłów zależało jej funkcjonowanie. Jerzy był zmysłowym i pociągającym mężczyzną, który potrafił zawężyć granice kobiecego postrzegania do swojej twarzy. Wszystko, co znajdowało się poza nią, przechodziło w niewidzialne. W jego rozognionych oczach dostrzegła teraz nie tylko obraz technologicznej rewolucji, gwarantującej mu doczesną sławę, ale także altruizm. Troszczył się o losy rodzin, choć sam rodziny nie stworzył. Martwił się o trwałość domów, by dzieci glinianych rodziców nie musiały budować swoich gniazd od nowa. Stwarzał rzeczy niezwykle, miał absolutnie genialny umysł, kochał świat. I znał Virginie Woolf. Z powodzeniem mógłby zastąpić jej Boga.

Zresztą z Virginią miał więcej wspólnego niż pierwotnie przypuszczała. Tak jak ona wykazywał zamięłowanie do fantazjowania, które sprawiało, że często odlatywał w sobie tylko dostępne przestrzenie. Stawał się wówczas duchowo nieuchwytny. Popadał w nastroje depresyjne i stwarzał dziwaczną barierę w komunikacji. Bywał złośliwy, czasem nieuprzejmy i snobistyczny. Miewał mistyczne doświadczenia, które oddalały go od przyziemności tak dalece, że patrzył na bliskich sobie ludzi jak na obcych. Gdy przeżywał swoje tradycyjne stadium ekscytacji, przyjmował demoniczną pozę. *Chorowałam i cierpiałam na każdy rodzaj koszmaru i ekstrawagancką intensywność percepcji, której używałam do tworzenia* – pisała w *Pamiętnikach* Woolf. Pamiętnik Jerzego mógłby zacząć się od tego samego zdania.

Z Bogiem połączył się ideą nadawania doskonałych form nieukształtowanej materii. Dlatego wybrał glinę. Pozwalała mu stać się kimś więcej niż tylko sprawnym rzemieślnikiem, przeistaczała go w artystę. Wprawdzie uważał, że naśladuje i kontynuuje dzieło starożytnych, ale Nina wiedziała, że ma ambicje sięgnięcia boskiego piedestału. Był zdolny nawet do dokonania gwałtu na naturze, jeśli aktem tym miałby udowodnić swoją przewagę nad nią. Naturę szanował, ale pod warunkiem, że była mu posłuszna. Demiurg, gdyby Dębski wierzył w jego istnienie, mógłby być co najwyżej tym, który zazdrości mu intelektu i profetycznego technicznego umysłu. Dlatego Jerzy tak bardzo bał się skazy i wszelkiego błędu.

O tym wszystkim myślała Nina, gdy w milczeniu przyglądał się jej rozpędzonym ustom, butnie wygłaszającym najślusniejszą, według niej, strategię kolejnych działań „Glinianej Oazy”. Nie zdziwiła się, gdy zamiast entuzjazmu usłyszała surową reprimendę:

– Mówisz jak radykalna nawiedzona ekolożka. Przestań wychodzić poza pole swoich kompetencji.

Zaniemówiła. Krzątająca się Ines momentalnie odzyskała właściwy rytm segregowania i dobry nastrój. Wiedziała, że Ciesielska, podjąwszy próbę uzupełnienia geniuszu Najwyższego, właśnie strzeliła sobie w kolano. Była naiwna, jeśli myślała, że nie znał on metod od dawna stosowanych przez przedstawicielstwa koncernów niemieckich, holenderskich czy austriackich. Był jednym z pierwszych,

którym zaproponowano eksperymentalny miesięczny pobyt w luksusowej willi ze słomy i gliny. Szybko jednak uznał, że cena jej budowy wraz z konieczną bieżącą konserwacją przewyższa cenę podobnych willi budowanych w tradycyjnej glinianej technologii. Pomimo okazanego entuzjazmu, porzucił myśl o przeszczepieniu pomysłu na grunt krajowy. Nina nie wiedziała, że Jerzy Dębski od pewnego czasu odrzucał wszystko, co wydawało się niepewną inwestycją. Ekologię przeniósł do sfery fanaberii, a zarobione pieniądze wydawał beztrząsco na nowe markowe koszulki do tenisa. Przez chwilę był dorobkiewiczem, jak ci, którymi pogardzał. Rewolucje roił jedynie w głowie. W końcu nawet Rzymianie odpoczywali czasem od tworzenia cywilizacji, kąpiąc się w zbytku i karmiąc własnymi kaprysami.

– Może te pieniądze, które zdobyłam... – zaczęła nieśmiało Nina, ścisząc głos, by stał się on niesłyszalny dla nieproszonej intruzki Ines. – Może one pomogłyby...

Ines od kilku sekund nie było już w gabinecie. Uznawszy, że nie dowie się nic więcej, wymknęła się z niego, udawszy się na zasłużoną przerwę. Zostali sami – mistrz i jego uczennica, obiekt westchnień i wzdychająca, mężczyzna bez humoru i kobieta pragnąca przywrócić mu go za wszelką cenę. Jakiś wewnętrzny głos, który od kilku minut starała się stłumić, wydobył się na zewnątrz w postaci sugestii:

– Zainwestujmy w budownictwo skrajnie proekologiczne! Wyprzedźmy przyszłość. Stać nas na to!

Na słowo „nas” zareagował silną wewnętrzną agresją. Nie zauważyła jej, więc kontynuowała:

– Te pieniądze... Zawsze chciałam przeznaczyć je na jakiś wielki projekt, dzięki któremu świat zyska coś, czego dotąd nie miał. Ty sprawiłeś, że okazja pojawiła się szybciej, niż myślałam. Zaczytana w materiały o glinianych domach, już dawno postanowiłam przenieść je z kolorowych kartek w rzeczywisty wymiar. Twoja firma zbudowała ich tysiące, są wygodne, komfortowe i użyteczne. Jednak oboje wiemy, że aby konkurować z innymi w branży budowlanej, musimy wyprzedzić rzeczywistość, minąć ją wielkim milowym krokiem. Gliniane domy XXI wieku muszą być dalece stechnologizowane! Nie będzie w nich miejsca na niedoskonałości. Opłacimy najlepszych projektantów, zmusimy ich do wytężonej pracy umysłowej. Podaruj nam projekty tak kompletne, że aż nierealne. Ale my je zrealizujemy.

Pod wpływem kolejnego „my” stracił nad sobą kontrolę. Zbliżył się do Niny na odległość kilku centymetrów i posłał na jej twarz mocne uderzenie zaciśniętej pięści. „Wściekły byk” znalazł dla siebie kolejne wcielenie.

– Nigdy więcej nie mów mi, co powinienem zrobić – dodał równie wściekłym tonem.

14.

Wraz ze wschodem słońca, które zwiastowało nadejście kolejnego drażniącego dnia, Jerzy popędził na lekcję tenisa. Znudzony zagranicznym kolegą Łukasz znów zapragnął spotkań ze swoim najzdolniejszym uczniem mówiącym w ojczystym języku, w dodatku mało i bez zbędnej wylewności. Straciwszy go na chwilę z oczu, docenił jego nienachalną osobowość oraz umiejętność zajmowania się wyłącznie sobą. Tamten bezustannie domagał się uwagi, czuł się panem i pępkiem świata, a swoją „zachodniość” wyrażał notorycznym wydzwanianiem na prywatną komórkę Łukasza, sprawdzając, czy aby na pewno ten gotów jest rzucić wszystko, by najpóźniej w ciągu godziny znaleźć się na korcie. Typom podobnego pokroju potrzebne było poczucie, że są przed innymi.

Jerzy bywał chimeryczny, ale nigdy nie osaczał sobą. Pokonał Łukasza na korcie, ale poza nim uznawał zasadę partnerstwa. Przede wszystkim nie wymachiwał mu przed nosem plikiem banknotów, chcąc udokumentować swoją elitarność. Tamten wachlował się nimi każdorazowo podczas otwarcia portfela. Łukasza można było zdobyć, ale nie kupić.

– Wracam do gry – oznajmił Dębski, kończąc przytwierdzenie do stopy buta ciasnym wiązaniem. – Potrzebuję teraz dużo ruchu i tlenu.

– Jestem w stanie zaopiekować się tą potrzebą – zażartował Łukasz, po raz pierwszy od dawna odczuwszy z wybiegnięcia na środek pola autentyczną radość.

– Wkraczam na drogę prawdziwego przełomu. Niespodziewanie pozyskałem dodatkowy fundusz inwestycyjny. Zamierzam pokryć nim rodzącą się właśnie w mojej głowie ideę. Czuję, że nadszedł mój czas.

– Cokolwiek to oznacza, brzmi pewnie i obiecująco. Znajdziesz czas na regularną grę?

– Znajdę czas dla ciebie.

Jerzy również odczuwał wzmożoną tęsknotę za swoim nauczycielem, choć ostatnimi czasy częściej drażnił go on niż fascynował. Jednak relacja z Niną potwierdziła to, co instynkt podpowiadał mu od dawna: emocjonalność kobiety w parze z jej przywiązaniem stanowią największy hamulec swobodnego rozwoju mężczyzny. Brak zrozumienia ze strony Łukasza nie był tym samym, co nieświadomość Niny. Temu pierwszemu brakowało informacji, jej nie udawały się próby odpowiedniego ich przetworzenia. Wzdrygnął się na samą myśl o tym, że mógłby spędzić ten poranek we wspólnej pościeli z kobietą, która nie doceniała rangi starożytnych osiągnięć. Podziękował sobie w duchu za odwagę wymknięcia się społecznym uwarunkowaniom i niezałożenie rodziny.

Ostatecznie więc jednym ruchem rakiety strząsnął z siebie pamięć o erotycznym uniesieniu gotyckiej nocy. W odświeżonym umyśle pozostały już tylko dwa ważne założenia – przespać się z Łukaszem i ustalić wreszcie, jakim materiałem unieśmiertelnić konstrukcyjnie glinę. Okazja do zrealizowania pierwszego pojawiła się wraz z zakończonym sparingiem, drugie wciąż domagało się dokonania. Lubieżne obserwowanie gwałtownych ruchów Łukasza na korcie splotło się z intensywnym rozmyślaniami o Rzymianach.

W fascynację ich osiągnięciami popadł już w dzieciństwie, co było wyjątkowe dla dziecięcia, które ledwo opanowało umiejętność utrzymywania się w pionie. Przejawiała się ona nie tylko kolekcjonowaniem plastikowych figurek, kolorowych naklejek czy gier planszowych obiecujących rychło zostanie gladiatorem bez konieczności wychodzenia z domu, ale także szybkim opanowaniem nauki czytania w celu zapoznania się z literackim dorobkiem śródziemnomorskich myślicieli. W swojej kolekcji zebrał kopie prawie wszystkich naukowych rozpraw polskich, łacińskich i angielskich wydanych od czasu pojawienia się druku. Ślęczał nad ich treścią po kilkanaście godzin dziennie bez przerwy na życie. Samodzielnie stworzył w myślach makietę antycznej cywilizacji ze szczególnym uwzględnieniem technicznych wynalazków. Od tego czasu stracił swoją współczesność, stawszy się człowiekiem zakorzenionym w minionym systemie wartości.

Podobnie jak miliony turystów, przyjeżdżał do Włoch oglądać i fotografować zapierające dech w piersi zabytki. Jednak to nie wzniosłe katedry i miejsca religijne kultu ściągały jego uwagę.

Z niezwykłą przenikliwością obserwował ślady ówczesnych „blokowisk”, które dawniej wypełniała biedota, oraz przyglądał się pozostałościom bogatych willi patrycjuszy. Nie interesowało go, w co wierzyli i komu oddawali cześć, ale gdzie mieszkali. Szybko zorientował się, że zwykłym śmiertelnikom nie było łatwo żyć w zatłoczonym Rzymie. Z racji ograniczonej przestrzeni mieszkalnej w centrum, upakowywano ich w wysokich i przeludnionych domach czynszowych. Ponieważ mogli płacić tylko symboliczne czynsze, budowano więc tanio i tandetnie. Niektóre budynki sięgały trzydziestu metrów i miały siedem pięter. Ta zewnętrzna monumentalność podzielona była wewnątrz na niskie, małe i ciemne mieszkania. Gdy chciano przyszczędzić na drogim wówczas szkłe, zamiast szyb w wysoko umieszczone otwory okienne wstawiano drewniane żaluzje. Czasem woda i kanalizacja stanowiły dar niebios jedynie dla mieszkańców parteru. Nieszczęśnicy z wyższych pięter chodzili do studzienek publicznych po wodę lub myli się w miejskich łaźniach, a potrzeby fizjologiczne załatwiali do nocnika. Skrajna biedota zajmowała sutereny i piwnice pod schodami. O stałym oświetleniu nikt spośród nich nawet nie śmiał marzyć. Mieszkania na parterze miały jeszcze jeden przywilej – dostęp do ogrzewania. Prymitywne hypokausty działały tylko tam. Konserwacja budynków była rzadkością. Nic dziwnego, że zbudowane naprędce siedliska waliły się jedno po drugim. Podobno jako pierwsze – obdarzone instynktem przewidywania – wynosiły się z nich szczury. Tych, którzy nie zdążyli się ewakuować, najczęściej dotykały pożary. Nikt nie poznał lepiej od rzymskiej biedoty smaku niepewności, lęku i braku swojego miejsca na ziemi.

Za to o sprawy przyziemne nie musieli się martwić patrycjusze. Swoje stylizowane na greckie domy wypełniali licznymi apartamentami, niektóre z nich przeznaczając na basen czy prywatną bibliotekę. Chadzali po marmurowych podłogach, podziwiali wymalowane na ścianach modne wówczas freski, spozierali na lśniące złotem i kością słoniową kasetony. W sąsiedztwie domostw znajdowały się miejsca wypoczynkowe, pięknie utrzymane ogrody i pełnowymiarowe place sportowe. Prawo silniejszego pozwalało bogatszym kupować i wchłaniać w obręb swoich włości siedziby sąsiadów. W ten sposób nabywali jednocześnie poczucie bezpieczeństwa, przestrzennej przynależności i trwania niezależnie od warunków pogodowych. Myśleli, że ich świat będzie istnieć już zawsze.

Jerzy odkrył przedziwny paradoks tamtych czasów i cywilizacji w ogóle: podczas gdy patrycjusze z lubością zalegali w swoich wygodnych domach, biedota robiła wszystko, by z nich uciec. To wtedy postanowił skonstruować w przyszłości domy, które będą piękne i funkcjonalne jak wille Rzymian, a jednocześnie skromne, naturalne i swojskie – jak przeciętne lokum biednego wyznawcy potęgi kolejnych cesarzy. Tak wyobrażał sobie przełom, którym nie byli zainteresowani ani tamci, ani ich następcy. Z każdym kolejnym wiekiem – wbrew zniesieniu niewolnictwa – dolina rozdzielająca dwa społeczne bieguny stawała się coraz głębsza.

Choć rozwarstwienie społeczne drażniło go niepomiernie, sam wolał przebywać wśród przedstawicieli majątkowych elit. Bezskutecznie próbował zwalczać w sobie tę próżność. Spotkania biznesowe umawiał w najdroższych restauracjach, a w poszukiwaniu weekendowych rozrywek udawał się do luksusowych trójmiejskich przybytków. Równolegle oszczędzał i wydawał pieniądze. Żył jak patrycjusz, choć przekonywał siebie, że w głębi wciąż jest ubogim krewnym rzymskich niewolników. Podczas gdy w Rzymie rozwój igrzysk stanowił naturalną konsekwencję dążenia do przypodobania się tłumowi, rozrywki Jerzego miały służyć jedynie lepszemu samopoczuciu. Nie stronił od fanaberii w postaci używek, nieumiarkowanych zakupów i kobiet. W tej dziedzinie nie różnił się istotnie od swoich protoplastów. Jednak w przeciwieństwie do nich publicznie demonstrował swój materialistyczny minimalizm oraz idealistyczny styl działania. Ich przeciwieństwa realizował z dala od tych, którzy go znali i rozpoznawali. Wybierał kameralne i zaciszne miejsca. Wyszumiawszy się, pokornie wracał do trudu codziennej pracy.

Finansowa rozrzutność leczyła wewnętrzne lęki Jerzego. Choć wychowywany był w dostatku, twardo stąpał po ziemi i nigdy nie zajrzał w oczy jakiejś dłuższej niedoli, w swoim wnętrzu skrywał apartament zamieszkały przez liczne obawy i przeczucie katastrofy. Jego gospodarzem był lęk przed brakiem samorealizacji oraz istnieniem jako niewyraziste indywiduum. Marzył więc o wielkich czynach, rewolucyjnych odkryciach czy choćby zapisaniu się w pamięci kolejnych lokalnych pokoleń. Nikomu

nie pozwolił wprowadzić się do apartamentu. Im bardziej stawał się sobą, tym większą odczuwał samotność, ponieważ coraz głośniejszy dźwięczał wewnętrzny głos informujący go, że jest inny od wszystkich. Z czasem zdiagnozował u siebie pełną społeczną alienację. Potrafił wprawdzie stworzyć otwarty i przyjazny kolektyw w firmie, ale na jego potrzeby przywdziewał starannie zaprojektowaną maskę. Motywował innych do robienia tego, czym sam nie potrafił się zajmować przez dłuższy okres. Targany wewnętrznymi sprzecznościami, oddalał się od najważniejszych zadań, by za chwilę powrócić do nich ze zdwojoną motywacją. Naznaczyło go to stygmatem silnej neurotyczności. Nie było w jego osobowości wyraźnych autonomicznych granic.

By lepiej poznać własne rozchwiane „ja”, postanowił na wszelki wypadek nie filtrować go przez kontakty z innymi ludźmi. Nie założył rodziny, nie pokazywał się na klasowych zjazdach, nawet w pracy związał się w niewidzialny kokon przyrośnięty do masywnego biurka, który przez kilka dni z rzędu był nietykalny dla współpracowników. Unikał jakiegokolwiek zażyłości i zależności. Wszelkie nawiązywane przez niego relacje były tymczasowe i psychologicznie kontrolowane. Przestał oszukiwać się, że jest zdolny do zintegrowania ze swoją wizją życia tego, co było dalekie od jego natury, a – według społecznych stereotypów – miało uczynić jego człowieczeństwo kompletnym. Dla świętego spokoju próbował, ale zawsze kończyło się to porażką, tak jak plan zakochania się w Ninie Ciesielskiej i ułożenia sobie z nią życia na uboczu życia prawdziwego.

Najtrudniejsza do okiełznania okazała się dla Jerzego relacja z samym sobą. Miał niestabilny obraz siebie jako jednostki. Wahania nastroju przeżywał częściej niż znani mu neurotycy, w dodatku zniecałkowana napadały go niczym niepowodowane silne wybuchy gniewu. Dręczyło go chroniczne uczucie pustki, która teoretycznie nie miała prawa zaistnieć. Legitymował się prawie wszystkimi atrybutami współczesnego człowieka sukcesu: dobrze prosperującą firmą, dużymi pieniędzmi, ponadprzeciętną inteligencją, obszernym domem z ogrodem, funkcjonalnym i wyznaczającym społeczny prestiż samochodem. Cieszył się ogólnym zdrowiem, swobodnie dysponował swoim czasem, spełniał się seksualnie; krótko mówiąc: grzechem byłoby narzekanie na brak przychylności ze strony losu. A jednak nie umiał uporządkować w sobie najprostszych myśli i odnaleźć się wśród posiadanych dobrodziejstw.

O podporządkowaniu świata przestał roić wraz z wyjściem z okresu chłopięstwa. I może na złość sobie oraz wszystkim, którzy mieli go nigdy nie poznać, zainicjował relację z mężczyzną. Tak bardzo nie pasowała ona do ludzkich wyobrażeń na temat genialnego Dębskiego, że postanowił opuścić wszystkim szczęki. Ale spłoszył się i ostatecznie utrzymał ją w tajemnicy. Poza tym stwierdził, że w istocie nie ma większej różnicy między sypianiem z kobietą i mężczyzną. Zaspokajali oni na krótko tę samą potrzebę. Jednak to dzięki erotycznym schadzkom z Łukaszem najpełniej zrozumiał, jak bardzo podlega swojej cielesności.

Doskonale wiedział, że homoseksualizm w starożytnych czasach należał do powszechnie obowiązującego stylu życia, a nawet był przywilejem możnych. Kult fallusa obecny był w sferze religii i życiu codziennym: nawet zmarłym mężczyznom na ostatnią drogę życia przyczepiano do krocza sztucznego, symulującego erekcję penisa lub – dla zachowania sztywności narządu – owijano organ w nasączone żywicą bandażę. Z wypiekami na twarzy Jerzy wczytywał się w historię brutalnego Seta i uległego Horusa. Kiedy Set zaprosił Horusa do siebie na ucztę, miał się do niego zwrócić słowami: „Jaki masz piękny tył”. Gdy odurzony winem Horus zasnął, Set zgwałcił go – nie dla własnej przyjemności jednak, lecz po to, by dowieść dominacji nad młodszym bożkiem. Wtrysnął swoje nasienie między pośladki śpiącego. Był to wówczas czyn może i niezbyt godny, jednak nie naganny. Oznaczał przede wszystkim manifestację hierarchii społecznej bądź towarzyskiej. Nie poddawano go ostracyzmowi, co więcej, w kolejnych wiekach znajdowano mężczyzn pochowanych w pozach charakterystycznych dla małżeństwa. Mężczyźni spędzali czas głównie we własnym towarzystwie i w nim też szukali przyjaźni, zrozumienia oraz zrealizowania erotycznych fascynacji. Grecy młodzieńcy od dzieciństwa wychowywani byli wyłącznie w męskim gronie, w kulcie sprawności fizycznej i obsesyjnego niemal upodobania nagości. Uważano, że tylko związki dojrzałych mężczyzn z wchodzącymi w życie młodzieńcami mogą sprawić, że młodszy z partnerów pozna właściwe znaczenie pojęć takich jak: honor, odwaga, wierność ojczyźnie. Relacja taka miała więc nie tyleż cele erotyczne,

co pedagogiczne, intelektualne i duchowe.

Starożytny Rzym akceptował męski homoseksualizm, o ile kochankiem aktywnym nie był mężczyzna z niższej klasy społecznej – niewolnik czy wyzwolenc. Kto z wysoko postawionych pozwalał sobie podczas stosunku na bycie stroną bierną, narażał się na kpiny. Ich ofiarą padł między innymi Marek Antoniusz, który długo pozostawał w związku z Publiuszem Klodiuszem, a autor kpin – Cynceron – musiał zapłacić za nie głową. Z kolei cesarz Witeliusz miał dla swych młodych miłośników zawsze przygotowane ekskluzywne menu, mające pobudzić wyobraźnię i potencję: wątróbkę z dzika, mózdzek bażanta i jęczyczki flamingów. Podobno biseksualny był Juliusz Cezar. Na jego dworze wydatki na kupowanych niewolników oraz olejki wonne stanowiły dość poważną kwotę. Związał się z królem bizantyjskim, Nikomedesem, znacznie starszym od niego, zdeklarowanym gejem i niewiarygodnym bogaczem. Odwiedził go co najmniej dwa razy, za każdym razem spędziwszy z nim czas w zamkniętych dla osób postronnych komnatach. Plotki o Juliuszu Cezarze, wkraczającym do pokoi władcy w damskich szatkach, wielokrotnie obiegały towarzystwo rzymskich patrycjuszów. Dopiero nadejście chrześcijaństwa oficjalnie położyło kres oficjalnemu homoseksualnemu eldorado. Ale Jerzy nigdy nie uznał nad sobą prymatu Boga, jakiegokolwiek. W odosobnieniu tęsknił za namiętną starożytnością.

– Przecież nikogo nie krzywdzimy – przekonywał siebie i Łukasza, przygotowując nową rakietę do porannej batalii. – Obaj nie mamy rodzin ani nikogo, kogo moglibyśmy zniszczyć swoim postępowaniem.

– A Ciesielska? – próbował drażnić niezłomny instruktor, który na bieżąco aktualizował doniesienia z okolicy. – Mówią, że wodzi za tobą wzrokiem i ma zadatki na przyszłą panią Dębską. Pewnie chcesz już mieć dziecko.

– Skąd ci to przyszło do głowy? A więc tym karmi się teraz miasto?

– Najwyraźniej potwierdzasz ich przypuszczenia swoim zachowaniem.

– Jesteś zazdrosny! To niedorzeczne...

– Jestem ostrożny. Nie lubię, gdy ktoś wodzi mnie za nos. Wolałbym być poinformowany przed tamtymi.

– Przecież ustaliliśmy jasno, że nie będziemy poruszać się w sferze konwenansów.

– I że damy sobie to, czego nie dają nam kobiety, czyli wolność, niezależność i swobodę.

– Chcesz zmienić te zasady?

– Nie, po prostu nie chcę, by zmieniło je pojawienie się kobiety w twoim życiu. Sypiaj z nimi, ale nie wiąż się. Nie sprzedaj im duszy w imię posiadania dziecka.

– Jakiego dziecka, do diabła?! Ciesielska jest moją księgową, dba o rozwój firmy.

– Inne też dbają, a jednak nie patrzysz na ich pośladki, nie odprowadzasz ich wzrokiem do kserokopiarki i nie siadasz na krawędzi ich biurka.

– Ktoś z „Oazy” wynosi te rewelacje?

– A więc mają miejsce...

– Chcesz mnie pościć na własność, wbrew pierwotnym założeniom.

– Bądźmy wobec siebie uczciwi. Kobieta cię wykorzysta i emocjonalnie wypruje. Odbierze ci stabilny grunt pod nogami. Zmusi cię do robienia rzeczy, na które nie masz ochoty.

– I myślisz, że nie jestem tego świadomy? Zapamiętaj jedno: żadna kobieta nie sprawi, że porzucę myśli o tobie.

– Więc kim jest ta Ciesielska?

– Nikim.

I tak właśnie czuła się od kilkunastu godzin, raz po raz gładząc dłonią zaczerwieniony policzek. Nie rozumiała nic. Wiedziała tylko, że rozmawiali żywo o planach firmy oraz ewentualnym wkładzie finansowym Niny w glinianą rewolucję. Jak przez mgłę pamiętała, że nasycił się widokiem jej boskiego ciała i ciasnego ubrania. Był wyraźnie podniecony, jak wtedy, gdy otwierali pierwsze wspólne wino. Dała mu z trudem zdobyte pieniądze. Uśmiechnął się, przyjmując kopertę. Docenił. Zignorował nawet Ines, która próbowała zwrócić na siebie uwagę, głośno krzając się po gabinecie. Gdy rozmawiali, podał jej filiżankę z ciepłym naparem, a więc troszczył się o nią! Ostatecznie uznała, że nie miał prawa tak jej

potraktować.

Natłok myśli przerwany został wyjątkowo głośnym dźwiękiem telefonu. To pani Krystyna postanowiła złamać swoje wewnętrzne postanowienie niekontaktowania się z córką. Tęskniła za Niną, ale tą dawniejszą, zasłuchaną w słowa matki i wcielającą w życie głoszone przez nią moralne uwagi. Niestety, aktualnie Ninuszka buntowała się wszelkim jej sugestiom, była szorstka, nieprzyjemna i negatywnie nastawiona do matczynych ostrzeżeń. Jednak pani Krystyna wiedziała, że trzeba przeczekać emocjonalną burzę córki. Czas „przeczekiwania” zorganizowała sobie zdobywaniem informacji o niejakim Jerzym Dębskim – lokalnym wcieleniu światłej myśli, prawości i smykałki do pomnażania fortuny.

Dowiedziała się między innymi tego, że „Gliniana Oaza” marnuje się na pomorskim rynku i że wpisano ją w sztucznie stworzony nurt „przedsiębiorstwa ekonomicznego sukcesu”. Słupska strefa ekonomiczna na gwałt potrzebowała modelowej firmy generującej zyski dzięki pracy miejscowych wykształciuchów. Szybko więc skonstruowano jakiś poważny ranking, w którym przyjęto preferencyjne dla „Oazy” kryteria oceny. Po rzekomych obradach jury ogłoszono, że jest ona „ziemią obiecaną” i „powiem wielkiego świata” dla najzdolniejszej młodzieży z miasta. Za wszelką cenę chciano ją zatrzymać na Pomorzu, choć panujący trend wyraźnie wskazywał na chęć ucieczki młodych w jak najodleglejsze od Słupska okolice. Do „Glinianej Oazy” zaczęły za to lgnąć piękne, młode i zdolne kobiety, które w konkurencyjnych firmach pozbawione były możliwości awansu. Wmówiono im, że los wybrał dla nich wyrobniczą drogę zawodowej kariery i lepiej, żeby nie domagały się wyższej pozycji. Tymczasem Jerzy подарował im nie tylko swobodę awansu, ale i szacunek, solidne wynagrodzenie oraz poczucie wyjątkowości. Firma miała stać się ważnym instrumentem pobudzenia gospodarczego regionu i tak też było.

Do tego czasu specjalna strefa ekonomiczna żyła typowym dla podobnych tworów życiem. Szumnie i patetycznie przecinano wstęgi, wystrzeliwano w niebo korki od szampanów, po czym z otwartymi ramionami witano w strefie nowych śmiałków – w większości młodych spadkobierców rodzinnych fortun – niekoniecznie chętnych do ciężkiej pracy czy nowoczesnego zarządzania. Mnożył się więc kapitał rodzimy i zagraniczny, a miejscowi bumelanci zyskali dodatkowe miejsca tymczasowej pracy, przy czym – wrzuceni z jednego zakładu – z „białą kartą” trafiali do kolejnego. I tak profity spłynęły na wszystkich – właściciele zostali zwolnieni z płacenia kilku podatków, a robotnicy uzyskali nowe przechowalnie na czas udawanej przed żonami i dziećmi abstynencji. Zaledwie kilka kilometrów od głównego wjazdu do Słupska zakwitło przetwórstwo drzewne, rozpędziła się branża motoryzacyjna, pojawiły się setki grzejników, komponentów do systemów garderobianych, zbiorników gazowych. W ślad za nimi ruszyło przetwórstwo tworzyw sztucznych oraz masowe produkowanie łożysk do statków, urządzeń chłodniczych, okien i drzwi. Jednym z ostatnich gospodarzy strefy został Jerzy.

Od momentu postawienia nowoczesnego budynku zarządzającego budową glinianych domów jego właściciel stał się wiodącym biznesmenem i ekonomistą nie tylko w strefie, ale i w całym województwie. Pani Ciesielska dowiedziała się, że dokonał wielu małych rewolucji: w sekretariacie dokumentację papierową zastąpił elektroniczną, zamiast kserowania odbywać się zaczęło skanowanie najważniejszych pism, dzięki któremu w wewnętrznym przepływie dokumentów w firmie zapanowała rzadka mobilność. Prężni przedstawiciele handlowi i managerowie, często przebywający w podróżach służbowych, mieli stały dostęp do dokumentacji firmy przez Internet. Jerzy szybko zrozumiał, że to przede wszystkim kompetencje pracowników budują markę firmy, zadbał więc o przygotowanie dla nich najlepszych szkoleń. Pani Krystyna nie doświadczyła podobnych zjawisk na własnej skórze, choć pracowała już w wielu miejscach i dla wielu zacnych pracodawców. Wydały się jej co najmniej podejrzane. I nietutejsze. Bardziej ufała starym, sprawdzonym systemom i wysłużonym topornym meblom.

Jej wątpliwości budziło także enigmatyczne życie prywatne bogatego zarządcy, a raczej jego nieistnienie. Kto to słyszał, żeby dojrzały mężczyzna – przystojny, zaradny, schludny i inteligentny – nie zdołał znaleźć odpowiedniej kandydatki na żonę? Przecież statystycznie na jednego mężczyznę przypada półtorej kobiety! Niemożliwe było przeoczenie tej jedynej, która nadałaby się na żonę. Gdzieś musiał

być haczyk. Dlatego też musiała dowiedzieć się od córki więcej na temat tego niejednoznacznego człowieka.

– Masz jakiś dziwny głos – zaczęła pani Krystyna, chcąc dać do zrozumienia, że tym razem nie da się łatwo zbyć i uciszyć. – Płakałaś?

– Ależ skąd! – stanowczo zaprotestowała Nina, ocierając gęste łzy. – Zimno tu, więc pewnie brzmię inaczej za sprawą zwężonych strun głosowych.

– Jestem twoją matką...

– I pewnie dlatego stałaś się nadwrażliwa. Nic mi nie jest.

– Przepracowujesz się pewnie, stąd spadek odporności i nastroju.

– Przeciwnie, mam teraz wyjątkowo dobry i stabilny okres w pracy. Udało mi się pozyskać znaczącą kwotę pieniężną na dalsze inwestycje, jestem wdrażana w kluczowe projekty. Pełen sukces, mam. Przykro mi, że muszę cię rozczarować.

– Coraz częściej bywasz wobec mnie złośliwa. Odpuść. Czy twój szef zauważył twoje sukcesy?

– Zauważa i docenia je każdego dnia, od chwili mojego pojawienia się w „Glinianej Oazie”. Od niedawna to głównie ze mną konsultuje najdroższe projekty. Przychodzi do mojego gabinetu i rozmawiamy.

– Mówisz o tym tak, jakby spływało na ciebie jakieś dobrodziejstwo. Łaski nie robi! Każdy fachowiec wie, że wokół swoich spraw trzeba stale chodzić. Należy badać nastroje pracowników i patrzeć im na ręce.

– Sugerujesz, że właśnie w tym celu mnie odwiedza?

– Pracujesz u niego krótko, musi cię poznać lepiej.

– Poznaliśmy się wystarczająco dobrze, żebym mogła teraz zaprzeczyć twojej sugestii. Jerzy jest inny niż ci, o których mówisz.

Pani Krystyna nie miała już najmniejszych wątpliwości, że córka porzuciła religijny monoteizm i zaczęła wyznawać kult drugiego, konkurencyjnego bożka. Dopiero teraz zmartwiła się na dobre.

– Przyzwyczyłaś się do tych nowoczesnych standardów? Dziwne te wymysły.

– Dobrucki mógłby się od Jerzego uczyć. Tutaj pracownik jest największą wartością firmy. Sukces jest konsekwencją inwestowania w niego. U Dobruckiego musiałam sama kupić nawet kalkulator.

– A jego żona?

– Żona Dobruckiego? Przecież znasz ją.

– Nie, jaka jest żona Dębskiego?

– Nijaka.

– Czyli tradycyjnie: zahukana, podporządkowana i z lubością wydająca jego pieniądze. Taki z niego oryginał.

– Przewidzieć to można co najwyżej twoje zachowania. Usilnie starasz się go zaszufłdować. Żadna ze znanych Jerzemu kobiet najwyraźniej nie spełniła jego oczekiwań, bo pozostał wierny stanowi kawalerskiemu. A jeśli już zdecyduje się wybrać sobie żonę, z pewnością nie będzie ona taka, jak ją sobie przed chwilą wyobraziłaś.

– To zastanawiające, że zwleka z ułożeniem sobie życia.

– Nie zwleka, a czeka, mam. To zasadnicza różnica. Jerzy dużo pracuje.

– Praca jest ucieczką od życia. Sama wiesz to najlepiej.

– Dla Jerzego praca ma głębszy wymiar. Pozwala mu spełniać marzenia.

– A o czymże on marzy?

– O podarowaniu zwykłym ludziom niezwykłych i niedrogich domów, w których mogliby żyć zdrowo, bez lęku o rozwój swojego potomstwa i wysokość kredytu. Jest na dobrej drodze. Domy już powstają, zyskują coraz większe grono odbiorców i użytkowników. Wykorzystują zdobycze współczesnej technologii oraz genialne rozwiązania wymyślone przez Jerzego. Podobno wzorowane są na klasycznej rzymskiej architekturze. A to oznacza, że mają szansę trwać wiecznie.

– Wiecznie to trwa tylko tęsknota człowieka za idealną miłością i lepszym życiem.

- Ale jemu się uda. Zobaczysz.
- Dlaczego tak mocno wierzysz w jego możliwości?
- Uczylaś mnie, że trzeba w kogoś wierzyć, w dodatku totalnie i z otwartym sercem.
- Inną wiarę próbowałam ci zaszcześcić.
- Wyssałam ją z mlekiem matki. Ale tutaj, na ziemi, potrzebna mi wiara w kogoś z krwi i kości.
- I wybrałaś Jerzego Dębskiego?
- To on wybrał mnie, mamó.
- Więc dlaczego teraz płaczesz?

Pani Krystyna już nie grała. Skończyła udawanie, że pozostaje głucha na szlochanie po drugiej stronie słuchawki. Chciała poznać powód, ale córka nadal nie zamierzała go zdradzić. Zaproponowała więc odwiedziny, jednak Nina wymówiła się wizytą u lekarza.

Po raz pierwszy w życiu były sobie tak obce.

Siedząc samotnie w nie swoim mieszkaniu, młodsza z Ciesielskich nerwowo wyczekiwała drugiego telefonu. Była pewna, że Jerzy – tuż po tym, jak ochłonie – zadzwoni do niej i wygłosi jakąś niebanalną treść przeprosin. Wciąż patrzyła na niego oczami tamtej dziewczyny, którą chwycił za rękę, by wprowadzić do swojego świata. Jako że zbudowany był on z gliny, ciągle zmieniał swoją formę i konstytuował się w płynnych granicach, ale nadal czuła się jego częścią. Ta jedna pamiętna noc zrodziła niepojęte przywiązanie. Oblubienica znalazła swojego oblubieńca, wolna kobieta zapragnęła stać się rzymską niewolnicą. Wyobrażała sobie portret przyszłej żony Jerzego, który uzyskał jej twarz i zgrabną sylwetkę. W jej marzeniach policzek był już wolny od purpury, a na ustach znów gościł uśmiech. Wchodzili do firmy razem, on otwierał przed nią drzwi, ona zrzucała mu na ręce długi płaszcz. Nie ukrywał fascynacji doskonałą linią jej bioder, co zauważała nawet Ines. Jakże cudownie było zobaczyć jej zmarszczone czoło i zaciśnięte usta – choćby tylko w urojeniach! Potem bunkrowali się w gabinecie gospodarza i stamtąd zarządzali procesem stwarzania. A wieczorem znów włóczyli się od jednego kawiarnianego progu do drugiego, trzeciego i kolejnych. Jedynym świadkiem ich włóczęgi był gotycki księżyc. Dlaczego matka nie była w stanie zobaczyć tego samego?

Nina Ciesielska była jedną z tych kobiet, które nie potrzebowały uwielbienia wielu ludzi, by poczuć swoją wyjątkowość. Niestety, zakochiwały się wyjątkowo szybko i głęboko. Wbrew pierwotnym ambitnym założeniom, żyły na co dzień niedającą się odeprzeć miłością. Nie mogąc uzyskać jej odwzajemnienia, postanawiały zwykle wydrzeć je podstępem lub kupić.

Czekając na telefon od Jerzego, zajęła się prozaicznymi czynnościami. Tradycyjnie miały one wypełnić czas jakakolwiek aktywnością. Posprzątała, zmyła naczynia, odświeżyła wodę w wazonie, po czym otworzyła gazetę i zasiadła z nią przy kuchennym stole pachnącym jeszcze obraną pomarańczą. Przejrzała co ciekawsze działy, jednak z trudem przychodziło jej skupienie uwagi na długich akapitach. Jakimś szóstym zmysłem, na pół świadomie, rejestrowała dźwięczny śpiew ptaków odpoczywających na parapecie wynajmowanego mieszkania. Uchyliła okno, by nasycić się lekkością powietrznego oddechu. Od czasu do czasu zerkła na brodzące w błocie dzieci. Było chłodno, ale rozgrzały swój mały dziecięcy świat instynktowną beztroską i kipiącą energią sił witalnych. Ich śmiech odbijał się od bezdusznych ścian bloków. Nie wiedziały, że – jak podawał lokalny dziennik – dwie ulice dalej głębokie dziury uniemożliwiają kierowcom sprawne przemieszczanie się do centrum, w szpitalu wypowiedzenia złożyła połowa lekarzy, a łączone z powodu niżu demograficznego szkoły pozbawiają chleba kilkudziesięciu nauczycieli. Dzieci nie miały jeszcze prawa jazdy, były zdrowe, a do szkół trafić miały za parę lat. Tarzały w brudzie swoją czystość, jeszcze przed trafieniem na łamy gazet jako mordercy, złodzieje i gwałciciele. Nie były świadome czyhających na nie zagrożeń, funkcjonowały w błogiej niewiedzy o brutalnym wymiarze świata i człowieka. Nie były też zdolne do czynienia zła, dedykowały dorosłym co najwyżej nieszkodliwe psoty. Szczere, spontaniczne, brzydziły się wszelkim fałszem. Kłamstwo natychmiast burzyło ich logikę. Nikt z dorosłych nie oczekiwał na serio z ich strony odpowiedzialności za własne czyny.

Przytłoczona wielością myśli, nieprzerwanie porządkowała materialną rzeczywistość zamkniętą w granicach wynajętego mieszkania. Z radia dobiegała luźna w treści i kompozycji piosenka

wyśpiewywana sprawnymi ustami jakiejś młodej, debiutującej na krajowym rynku muzycznym piosenkarki. Wyższe piętro dudniło donośnym buczeniem konkurencyjnego pod względem mocy dźwięku odkurzacza. Nina lubiła wiedzieć, że gdzieś tam obok niej toczy się normalne życie, ludzie rutynowo wykonują swoje codzienne powinności i nie wadzą sobie nawzajem. Dawało jej to silne poczucie zakorzenienia w normalności. Poza tym uczyła się, jak powinno upływać tradycyjne życie rodzinne. Przyjęła do wiadomości, że koncentruje się ono na dwóch zadaniach: sprzątanii i wydzieraniu się na pozostałych członków rodziny w celach edukacyjno-naprawczych. Na szczęście wykazywała niezwykle cenną umiejętność izolowania się od wszelkich przejawów zewnętrznego świata. Potrafiła skupić w sobie całą ciszę kosmosu i funkcjonować w jej granicach.

Nagle na wspólnym dla wszystkich mieszkańców korytarzu rozległ się przeraźliwy kobiecy wrzask. W chwilę po jego ustaniu coś ciężkiego stoczyło się po kamiennych schodach. Ukradło to czasowi zaledwie ułamek sekundy. Jednocześnie pisku i ostatecznego upadku okazała się mistrzowsko zsynchronizowana. Momentalnie w stronę drewnianych poręczy pomknęli prawie wszyscy zalegający w wygodnych fotelach sąsiedzi. Półpiętro pokryło się ich milczącym znieruchomieniem oraz kilogramami spłaszczonego i powykręcane go ciała Piotrusia. U progu mieszkania stała grzmiąca Kowalewska:

– Idiota, debil! Ćwierć mózgu dostał od Boga najwyraźniej nieprzypadkowo!

– Co się stało, pani Kowalewska? – odważył się zapytać któryś z sąsiadów.

– Co się stało?! Koniec świata się stał! – odkrzyknęła nieprzyjemnie.

– Chciał się samookaleczyć?

– A gdzieżby! Ćwierć mózgu tylko ma, ale wystarcza mu, by wiedzieć, że krzywdę należy wyrządzać innym, nie sobie.

– Jak pani może, pani Kowalewska?! To przecież syn...

– Syn nie zrobiłby mi tego. Nie za trud wieloletniego poświęcenia i zrezygnowania z siebie.

– Czego?

– Zawarł umowę kredytową na kwotę, którą obdzieliliby całą afrykańską wioskę, a może nawet i dwie inne.

– Jak to możliwe?

– Dla banku nie ma rzeczy niemożliwych. Pewnie ten drugi idiota, ojciec, zmusił Piotrka do podpisania umowy. Nakazał mu posłuszenie się swoimi danymi, wykorzystał jego dokumenty, a nawet nauczył tę nedorajdę odręcznego podpisania się. Syn jest pełnoletni, więc idealnie zaczął nadawać się do robienia interesów. Tak przynajmniej uznał mój były mąż, któremu widocznie grunt palił się pod nogami. Zaciągnął wielomilionowy kredyt bez możliwości wcześniejszej jego spłaty. Piotrek zaciągnął! Właśnie odwiedził mnie bankowy konsultant, który przyniósł terminarz spłaty poszczególnych rat. Ich nie interesuje, że Piotrek nie jest normalnym dorosłym, że zrobił coś pod wpływem nacisku, bez udziału własnej świadomości. „Kredyt jest kredytem” i może go spłacić choćby pies.

– Spokojnie, na pewno da się to jakoś odkręcić.

– Próbowałam. Mogę co najwyżej odkręcić dziś kurki gazu...

– Nie wolno tak mówić, pani Kowalewska! Co też pani przyszło do głowy?

– Spłata tego kredytu i tak oznacza dla mnie koniec. Co on mi zrobił? Za dobra byłam. Pilnowałam go jak oka w głowie, chroniłam przed światem i samodzielnym funkcjonowaniem. A ten – nie wiedzieć kiedy i po co – podpisał cyrograf. Szlag by go trafił!

– Proszę się uspokoić, sąsiadko. To się na pewno da wyjaśnić. Jak nie w banku, to w sądzie. Przecież każdy widzi, że Piotruś nie jest sprawny umysłowo...

– Podpis to podpis. Jeśli miał możliwość postawić go we właściwym miejscu, oznacza to, że rozumiał. W świetle prawa bycie nie w pełni sprawnym umysłowo nie jest równoznaczne z utratą zdolności do podejmowania samodzielnych decyzji finansowych. Pieniądz nie pyta o ilość szarych komórek posiadanych w trakcie zgłaszania się po niego w banku. A najgorsze jest to, że wszelkie niezbędne procedury zostały skrupulatnie dopilnowane i nie rzucają cienia podejrzeń. Nikt nie jest w stanie udowodnić mataczenia. Ktoś musiał w tej akcji z zimną bezwzględnością uczestniczyć. I znać

się na finansach. To mógł być tylko stary Kowalewski!

– Ale nie powinna pani bić syna, skoro stał się ofiarą jakiejś niejasnej i nieczystej sytuacji – włączyła się lokatorka z parteru, oburzona tak drastycznym zakłóceniem jej domowego miru.

– Nic innego nie przeciwdziała jego głupocie! – broniła się Kowalewska. – Tylko w ten sposób mogę utrzymać go w ryzach. Musi zrozumieć, co zrobił.

– Kiedy pani sama mówiła, że on nic nie rozumie.

– Za szybko straciliśmy wiarę w pedagogiczne metody spod znaku kija od miotły czy prawego sierpowego. Poza tym, nie ma winy bez kary, tak świat urządzone! Piotruś jest twardy i wytrzymały, większa krzywda się mu nie stanie. Co ja teraz zrobię, Boże?!

W tej ożywionej dyskusji początkowo nie zwrócili na chłopca większej uwagi. Każdy poczuł ulgę płynącą z faktu nieposiadania wysokiego kredytu i niepełnosprawnego dziecka. Po chwili ktoś jednak skierował wzrok w stronę biernie leżącego i nieporuszającego się Piotrusia. Zainteresował go przedłużający się brak woli samodzielnego podniesienia się po upadku. Piotruś ani drgnął. Ktoś inny dopadł do niego, próbując na siłę postawić ciało dorosłego już mężczyzny na jego własne nogi, ale w mig runęło ono z powrotem na zimną posadzkę. Sprawdził tętno, lecz nie stwierdził jego obecności. Z tyłu głowy młodego Kowalewskiego sączyła się gęsta ciemnobrunatna krew, która zalała ręce spontanicznych ratowników. Po minucie nie mieli już wątpliwości – Piotruś nie żył.

Nina oglądała całą sytuację zza lekko uchylonych drzwi swojego mieszkania, nie zdradzając swojej obecności. Ona również miała teraz miękkie nogi i wstrzymała oddech. Słyszała każde słowo pani Kowalewskiej i wyczuła jej tragiczną bezradność. Modliła się w duchu o powodzenie akcji reanimacyjnej, nie do końca dowierzając temu, co widzi. Dramatyczność rozgrywających się wydarzeń wylała się na jej ciało strumieniem potu. Wzywała Boga, prosząc, by swoją ponadnaturalną mocą tchnął życie w sztywniejące zwłoki chłopca. Oczami nadaremnie stawiała go na nogi.

W końcu jej duszę wypełnił spazmatyczny lament bolejącej nad stratą syna Kowalewskiej, która uświadomiła sobie konsekwencje niekontrolowanego wybuchu emocji. Była pewna, że jej Piotruś jest zbyt silny i rosły na to, żeby dać się powalić ze schodów i roztrzaskać o nie skorupę twardej głowy. Przez myśl nie przeszło jej, że może tak łatwo złamać go fizycznie. Była drobna, krucha, a w podstawówce nie potrafiła nawet trafić piłką do kosza. Latami hodowała anemię, która odebrała jej wszelki potencjał energetyczny. Zakupy zносиła partiami, cierpiąc na chroniczne bóle kręgosłupa. Kumulujący się w odcinku lędźwiowym stres odcinał ją od przyjmowania swobodnych pozycji stojących. Z trudem popychała stare drewniane drzwi wejściowe. Nie mogła więc wprawić w ruch olbrzymiego syna! Nawet z jej łona wydobyto go cesarskim cięciem.

A jednak leżał on teraz na wysłużonej codziennym ludzkim pielgrzymowaniem posadzce ociekającej krwią, demonstrując zgromadzonym sąsiadom swoją martwość. Oni również znieruchomieli i patrzyli przed siebie szeroko otwartymi oczami. Pełna napięcia cisza wypełniła całą klatkę schodową. Przerwał ją ponowny spazm Kowalewskiej. Jej nerwowe ruchy wykonywane nad chłopcem, którego szczerze lubili i którym opiekowali się w razie potrzeby, obudziły towarzystwo na nowo. W pierwszej kolejności odciągnęli więc podłg dzieciobójczynię od jej ofiary, następnie zabarykadowali ciemny korytarz, by nie uciekła, i zadzwonili na komendę. Nie szczędzili jej przy tym obraźliwych słów oraz złorzeczenia. Patrzące na nią kobiety pukały się w czoło, wzburzeni mężczyźni powstrzymywali się przed bokserskim atakiem, a nie bardzo rozumiejące sytuację dzieci na wszelki wypadek pochowały się za rodzicami. Radiowóz oznajmił swoje pojawienie się pod blokiem kilka minut później. Dzieci pouciekały do swoich mieszkań. Jeśli był to ten sam radiowóz, co w bajkach o złych dorosłych, należało schować się pod kołdrą i zamknąć oczy. Tak też zrobiły.

Po godzinie pani Kowalewska została do niego wepchnięta jak najgorsi złoczyńcy. Uderzyła głową o krawędź drzwi, ale zignorowali to rutynowo. Podobnie jak jej dygocące przerażenie, brak obuwia oraz ciepłego okrycia wierzchniego. Tuż obok radiowozu zaparkował inny mroczny pojazd. Z największą uwagą i celebrą wniesiono do niego zwłoki Piotrusia. Spłakani sąsiedzi długo jeszcze nie mogli uwierzyć, że już na zawsze zabrał go najszybszy w regionie prędkokoły „Hermes”.

Nie czując potrzeby odbycia wspólnej lamentacji, mieszkańcy pochowali się za grubymi

ścianami swoich klitek. Chcieli oddzielić się od miejsca rozegranej przed chwilą tragedii i przytulić mocno do piersi swoje dzieci. Nina, nie mając kogoś, kogo mogłaby do siebie kojąco przytulić, owinęła się puszystym wełnianym kocem, który odciął ją od okrutnego świata. Zrozumiała, że Bóg właśnie pogroził jej palcem. Nie była w stanie płakać, myśleć, czuć. Zasnęła więc snem najgłębszym z możliwych. Spała nieprzerwanie co najmniej dobę, a może nawet i dwie – trudno to było stwierdzić jednoznacznie, bo – przebudziwszy się – nie odczuwała ani głodu, ani psychicznej ulgi, krótko mówiąc: niczego, co zwykle sen gwarantował. Ponownie uzyskawszy świadomość istnienia, sięgnęła po rozgrzany głośnymi alarmami telefon.

15.

Jerzy mógłby zostać naprawdę dobrym człowiekiem, gdyby tylko znalazł sposób na ustabilizowanie swojego płynnego wnętrza. Każdego dnia rozgrywała się w nim pełna dramaturgicznych napięć psychomachia. Bolesnie doświadczał wahań pomiędzy dwoma ekstremami: idealizacji i dewaluacji. Gdy spełnił oczekiwania rodziców i społeczeństwa, nagle zaczął przejawiać impulsywność w różnych sferach codziennego życia. Towarzyszyła mu ona głównie w niekontrolowanym wydawaniu pieniędzy, lekkomyślnym prowadzeniu samochodu, a nawet kompulsywnym jedzeniu lub niejedzeniu. Denerwował się bez powodu, napędzał kawą i papierosami, demonicznie wyśmiewał idee, które sam wcielał w życie. W dodatku nie potrafił uruchomić wewnętrznych hamulców przeciwdziałających autodestrukcji. Narcystycznie postrzegał swoją osobę, przyrównując się do godnych wiecznej chwały Rzymian. Podświadomie chronił się przed bliskimi związkami, które mogłyby spowodować dalszą fragmentację jego rozmytego „ja”. Randki z kobietami podnosiły jego – i tak już wysoki – poziom afektu, obniżając nastrój i nie ofiarując oczekiwanej satysfakcji. Poczul odrazę do całego niewieściego rodu, który mierzył go swoją przyziemnością oraz zbyt emocjonalnym odbieraniem zewnętrznych bodźców. Jego zdaniem kobiety czerpały chorą satysfakcję z komplikowania życia mężczyzn. Jedynym przejawem ich twórczości było wymyślanie coraz to przebieglejszych metod usidlenia potencjalnych ofiar. Gdy pracowały, jak te w „Glinianej Oazie”, to dlatego, żeby stać je było na zafundowanie sobie ekskluzywnych i wyrafinowanych narzędzi podboju. Jeśli osiągały w pracy sukcesy, natychmiast domagały się poklasku. Uzyskawszy go, stawiały się na równi ze swoim szefem. Wystarczyło z rzadka namaścić je pochwałą, by następnego dnia przestawały odzywać się do swoich koleżanek. Były płytkie, próżne i przemądrzałe. Nie chciał wypełniać się tymi pierwiastkami, więc buntowniczo zaczął łączyć się z mężczyznami.

Po zmianie frontu uspokoił się na pewien czas, a jego firmę zaczęto wskazywać jako wzorcową w dziedzinie zarządzania i ekonomii. Najświatlejsze lokalne umysły szturmowały biuro kadr, znajdując upragnione zatrudnienie skrojone na miarę ich geniuszu. Dowódca okrętu czuł się znakomicie, wiatr stale powiewał w jego szeroko rozpostarte żagle i niósł go na głębokie wody. Po drodze minął wszystkie „grube ryby” i rekiny finansjery. Zdecydowanie był na fali! Spłynął na niego lokalny splendor, nawet zazdrośni sąsiedzi przyzwyczaili się do sukcesów jego firmy i zaczęli okazywać publiczny podziw. Przyzwyczail się do stałej kwoty dochodu i lawinowej liczby zamówień, spośród których mógł wybierać te najbardziej opłacalne. Skoncentrował się na udoskonalaniu technologii. Nie była to może rewolucja na miarę rzymskiej, ale miejska architektura zyskała nowe, ciekawe rozwiązanie w postaci tańszych i zdrowszych od tradycyjnych domów z gliny. Udało mu się przełamać niechęć sceptycznie nastawionego do jego pomysłów środowiska. Udało mu się wśród chwastów zasiać nowe nasiono.

Ale to było za mało, by móc rozkoszować się swoją wyjątkowością i powinowactwem ze starożytnymi. Uznał, że należy jeszcze bardziej rozwinąć firmę, pchnąć ją na najgłębsze z możliwych wód i zawałczyć o przejście do podręczników historii. Tak zrodził się Jerzy Totalny.

– Polska to za mało, droga Ines – zwierzył się swojej ulubienicy, gdy przyszła zapytać go o przyczynę nieobecności Niny w pracy. Zanim zdążyła otworzyć usta, on zamienił ją w ucho. – Zdobyłem pieniądze na podbój Europy! Czas podarować jej już nie tylko zwyczajne domy mieszkalne, ale także nowoczesne obiekty użyteczności publicznej, sakralne i przemysłowe. Dlaczego mamy się ograniczać? Zbliża się kolejny kryzys energetyczny, co samoistnie daje nam nowy impuls do zainteresowania Europejczyków wyjątkowo energooszczędnymi glinianymi domami. Musimy działać szybko, zanim przodująca w tej chwili Francja zdobędzie monopol! W tej chwili to tam opracowuje się kompletne programy taniego budownictwa komunalnego dla ponad trzydziestu krajów świata i prowadzi się kursy budowania z gliny. Francja działa też jako konsultant techniczny i ekonomiczny rządów oraz inwestorów, współpracuje z ONZ, a także z Bankiem Światowym. Czas przerwać tę miażdżącą dominację! Najpierw zorganizujemy zaplecze naukowo-badawcze i instruktażowe.

– Nie boisz się, że posądzą nas o powielenie ich pomysłów? – odważyła się zapytać. Nie miała

pojęcia, czym skończyło się to dla poprzedniczki.

– A czy Rzymianie nie wystartowali z greckiego punktu wyjścia? I czy zablokowało ich to w pójsciu dalej, własną drogą? Od Greków pożyczyci rzemiosło, ale talent Rzymianie mieli już własny. Dzięki niemu prześcignęli tamtych we wznoszeniu monumentalnych budowli. To Rzymianie byli pierwszymi murarzami w świecie zachodnim. Przy wznoszeniu tych wszystkich architektonicznych cudów pracowali nie tylko oni, ale także mierniczowie, architekci i inżynierowie. Wydała ich włoska ziemia.

– Ale my, niestety, nie wiemy, jak tam dokładnie było. Jak budowali, myśleli...

– Nie trzeba jechać do starożytnego Rzymu, żeby się w nim znaleźć, moja droga Ines. Stworzymy rzymską formę polskości.

– Skąd w tobie tyle woli? – zastanawiała się głośno, patrząc, jak odpływa w sobie tylko znane krainy, gdzie ludzie są mądrzejsi, a wynalazki stanowią sól ziemi.

– Nie wiem – zaśmiał się. – Może oni mnie powołali. Wcielili we mnie dawnego ducha, który żyje, chociaż ich już nie ma. Każe mi lepić świat dalej. Nie każdy został stworzony po to, droga Ines, żeby korzystać z zastanego. Formy, kształty, materia – pragną rozrodu, a żyją dzięki przeistoczeniu.

– Nie lubisz stałości, drażni cię ona.

– Stałość jest ograniczeniem.

– A ty kochasz wolność.

– Szanuję jej otwartość na zmiany.

– Dlaczego pozwalasz tej Ninie decydować o najważniejszych sprawach w firmie?

– Nie pozwalam, po prostu przyglądam się temu, jak sama próbuje pomóc nam ukonstytuować z wolności wielkość. To nawet zabawne.

– Ale ona myśli, że ty naprawdę się z nią liczysz.

– Niech myśli, nie robi nam tym krzywdy.

– Ufasz jej?

– Takim kobietom jak Nina można zaufać bezgranicznie. Prędzej zawrze pakt z diabłem niż zrobi coś, co zawiedzie oczekiwania mężczyzny.

– Nie pasuje do nas.

– Ależ pasuje idealnie! Doskonale wypełnia lukę w zakresie, który nas interesuje najmniej. Walczy o każdą złotówkę jak lwica. Jakież to współcześnie imponujące! Niewiele rozumie na poziomie idei, za to świetnie porusza się w płytkich granicach finansów. Powinnaś być mi wdzięczna za to, że nie obarczyłem cię podobną przyziemnością.

– Chwaliła się ostatnio, że zdobyła dla nas duże pieniądze. Słyszałam, jak rozmawiała o tym z Moniką Różańską.

– Chwaliła się... Widzisz sama, droga Ines, że jesteśmy ulepieni z innej gliny niż ona. Nie zaprzataj sobie głowy jej osobą.

– A jeśli będzie chciała nas oszukać lub wykorzystać? Albo gorzej – zdradzi nasze tajemnice?

– Jest ktoś, kto nad tym czuwa, darmowy dla nas stróż jej moralności.

– Kto?

– Jej Bóg.

Ines znowu była sobą. Wyzbywszy się dręczących ją niepokojów, z nadludzką determinacją wróciła do kreślenia nowych projektów. Jerzy uwielbiał widzieć ją taką – pochłoniętą pracą i rozmyślaniami nad kolejnym etapem dalekich podróży. Chcąc ją ostatecznie udobruchać, zapytał o plan na najbliższy urlop:

– A więc gdzie ewentualnie będę musiał wysłać ekipę poszukiwawczą za kilka tygodni, żeby nie stracić najlepszego pracownika w firmie?

– Do Nepalu. Czas poznać sekrety tamtejszych plantacji herbaty. Żadna nie równa się z nepalską. Chcę zajrzeć do łona jej matki.

– Jesteś niemożliwa. Ale nie ekscentryczna. Masz w sobie wyjątkowo silną ciekawość świata. Chyba dzięki niej tak dobrze się rozumiemy.

O tym, że gdyby miał związać swoje życie z kobietą, to byłaby nią Ines, Jerzy wiedział od chwili pierwszego z nią spotkania. Była piękna, uporządkowana, mądra i pełna pasji. Kochała go skrycie chorobliwą miłością, do której nigdy się przed nim nie przyznała, jednakże oboje zdawali sobie sprawę z noszonej w niej słabości. Szanował ją za to, że nie domagała się wzajemności. Nigdy nie dręczyła go złym nastrojem czy trzepotaniem długich rzęs. Ines miała klasę nieporównywalnie większą niż wszystkie znane mu kobiety razem wzięte. I zrozumiała, że – póki co – Jerzy nie potrzebuje kobiet. Na wszelki wypadek jednak z nikim się nie związała. Gdyby nagle odkrył, że potrzebuje jej za fasadą swojego glinianego świata, była obok, w każdej chwili gotowa do zostania jego nieodłączną żoną. Zupełnie jak Nina.

– Czy wiesz, że Nepal to dom ośmiu najwyższych szczytów świata? – zapytała, pragnąc, żeby jeszcze chwilę przy niej pozostał.

– Pewnie wiem o tym kraju tak mało, że wstydzę się w ogóle zabrać głos – polechtał ją tradycyjnie, by choć trochę zrekompensować jej ból odrzucenia.

– I właśnie na tych szczytach uprawia się prawdziwy płynny bursztyń! Rosną tam jasne, dobrze zwinięte liście, z których przyrządza się jedyny w swoim smaku i aromacie napar. Ma on unikalny kwiatowy zapach, często również muszkatowy. Plantacje są trudno dostępne dla zwykłych śmiertelników, mimo że dzieli je zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od stolicy. Prowadzą do nich kręte górskie drogi, które nawet od prowadzącego samochód wymagają kunsztu kierowcy off-roadowego. Podobno gdy patrzy się na urwiste zbocza, przychodzi do głowy myśl, że wypita właśnie filiżanka herbaty może być ostatnią w życiu.

– Chcesz wystawiać tam swoje życie na próbę?

– Chcę zobaczyć te urokliwe miejsca otoczone zielonymi pagórkami i nieznośnie szumiącymi górskimi wodospadami. I sprawdzić, czy prawdą jest to, co mówią o tamtejszych kobietach.

– A co mówią?

– Nepalskie kobiety pracują na co dzień bardzo ciężko. To przede wszystkim one obrabiają hektary plantacji, ale zapłatę za ich trud otrzymują mężowie lub teściowie. Podobno na jednej z nich właściciel, emerytowany profesor nauk politycznych, wypłaca pensje bezpośrednio swoim pracownikom.

– Chcesz go za to nagrodzić?

– Nie, pragnę spojrzeć w oczy tamtym mężczyznom. I uświadomić im, jak niedoskonała jest kultura, w której traktuje się kobiety przedmiotowo.

– Ines będzie zmieniać świat.

– Ines na razie go poznaje i nie przestaje się mu dziwić. Podobnie jak jego mieszkańcom.

Chwilowe milczenie oznaczało, że po raz kolejny zgodzili się ze sobą.

– A wiesz, co Ines będzie robić na emeryturze? – zapytała, ożywiając się jak małe dziecko.

– Pewnie zdobywać szczyty.

– Nie. To robię teraz. Będę prowadzić własny sklep z najszlachetniejszymi herbatami świata. Znajdą się w nim tylko produkty wysokogatunkowe. Ja sama je starannie wyselekcjonuję. Stworzę miejsce, w którym zatrzyma się czas, a będzie on pachnieć wszystkimi porami roku. Ze zdobionych ręcznie puszek, zamiast listków, będę wyciągać ludziom ich marzenia i doznania estetyczne. A zza lady będę przyglądać się temu, jak rozlewają się one w wygłuszonych wnętrzach.

Tego dnia Ines nieoczekiwanie dostała od swojego szefa dwa cenne prezenty: podwyżkę oraz informację o skrywanej dotąd intencji zatrudnienia Niny Ciesielskiej w „Glinianej Oazie”. Skoro ona podzieliła się z nim swoim najskrytszym marzeniem, on postanowił zdradzić jej, że Ciesielska nie pojawiła się w firmie tradycyjną drogą. Poleciał ją dobry znajomy z czasu studiów, reklamując jako sprytną księgową doskonale radzącą sobie z kombinowaniem oraz skutecznie godzącą pracę na dwóch niezależnych etatach dzięki wyręczaniu się koleżankami. Potrafiła wznieść się na wyżyny kreatywności w oszukiwaniu czasu, osiągała przy tym niezłe wyniki i nie przekraczała ciężących nad nią terminów. Nigdy jednak nie oszukała swojego pracodawcy. Lojalność miała zaprogramowaną w swojej chrześcijańskiej i bogobojnej naturze. Poza tym była starą panną bez widoków na założenie rodziny,

cichą, zdewociałą i niewadzącą nikomu, stanowiła zatem obietnicę pełnego posłuszeństwa, uległości oraz dyspozycyjności.

Kogoś takiego Jerzy od dawna szukał. Potrzebował tworu, który wykonywałby nie naukową, ale finansową pracę naznaczoną ryzykiem oraz osobistym poświęceniem. Nie miał śmiałości obarczać nim pozostałych członków swojej elitarnej załogi. Uznał, że rzadkimi przymiotami swojego intelektu nie zasłużyli na ewentualny upadek, który wkalkulowany był nawet w najbardziej perspektywiczny biznes. Nina Ciesielska miała w sobie jakiś rodzaj cierpiętnictwa i wydawała się być z nim oswojona. Zadaniem Jerzego było najpierw przekonać ją do współpracy, następnie – odciąć od pozostałych pracodawców reprezentujących odmienne i niepotrzebnie mącące jej w głowie branże oraz strategię. Mając Ninę na wyłączność u siebie, mógł swobodnie manewrować swoim glinianym okrętem między Scyllą a Charybdą. Przyjmowała zagrożenie jako coś oczywistego i fatalistycznie wpisanego w naturę świata. W ten sposób wypełniła lukę.

Wbrew pozorom, osobowość Niny funkcjonowała w jasno wytyczonych granicach i mocno trzymała się sztywnych ram. Niezależność finansowa stanowiła – tuż po Bogu – trzon jej świata wartości, którego broniła niczym lwica. Przejęła go od samotnie zmagającej się z rzeczywistością matki. Obie wiedziały, że mogą polegać tylko na pracy własnych rąk. Jeśli trzeba było czasem nagiąć reguły, to tak, aby nie krzywdziło to drugiej osoby i nie zaburzało uniwersalnego porządku. W pracy nie uznawała kompromisów – księgowo rozliczenia miały jasno określone ramy czasowe, których bezwzględnie dopilnowywała, niezależnie od okoliczności zewnętrznych. W dwóch firmach działała z takim samym zaangażowaniem. Niestety, doba okazywała się czasem zbyt mało rozciągliwa nawet dla jej prędkich rąk i wytrzymałego mózgu. Wykonywała wówczas telefon do Nowakowej.

Nie znosiły się, ale niosły sobie wzajemnie pomoc w akcie jakiejś niewytłumaczalnej kobiecej solidarności. Księgowanie przez Nowakową nie raz uratowało spokojny sen Niny. Poza dodatkowym wynagrodzeniem, jakiego potrzebowała Nowakowa na swoją największą słabość – drogie markowe perfumy, otrzymywała przede wszystkim poczucie ważności i zabezpieczenia opinii o sobie u ulubienicy szefa. W ten sposób Nowakowa stała się *kimś*. Kimś niezbędnym Ninie.

Dlatego w dniu, w którym szef ogłosił Katarzynie decyzję o zwolnieniu, przeżyła największe w życiu zaskoczenie. Była pewna, że Nina stanie w jej obronie, a ostatecznie poświęci nawet swoje stanowisko na rzecz uratowania koleżanki, skoro miała drugie w innej firmie. W końcu zrobiła dla niej więcej niż ktokolwiek Ninie życzliwy. Katarzyna powstrzymała więc łzy i czekała, przeciągając pakowanie się w nieskończoność. Ale pomoc nie nadeszła. Zniknęła więc z firmy oraz z życia Niny, która poczuła natychmiastową ulgę. Wprawdzie księgowe wsparcie nadal było młodej Ciesielskiej potrzebne, a niezręczna sytuacja spędzała jej sen z powiek przez około tydzień, jednak nie mogła sobie pozwolić na altruistyczny poryw serca. W końcu wyrzuty sumienia zatopiły się w konieczności księgowania w domu do późnych godzin nocnych. Nie było czasu na analizowanie dalszych losów Nowakowej. Trzeba było jakoś sobie radzić i zarabiać na chleb. Nina żywiła głębokie wewnętrzne przekonanie, że kobieta, podobnie jak zwierzę, zawsze sobie poradzi i przetrwa. To prawo natury miało dotyczyć zarówno jej, jak i Nowakowej.

I przetrwała! Trafiła do „Glinianej Oazy”, miejsca, w którym – pomimo początkowych trudności adaptacyjnych – odnalazła wszystko, o czym marzyła i co odcięło ją od poprzedniego życia oraz przedawniło emocjonalne rozterki. Znalazła swojego przewodnika i mistrza.

Ktoś taki jak Jerzy miał prawo przywrócić mnie do porządku pięścią – przekonywała samą siebie. – Jak świat światem, niektórzy mężczyźni tylko w ten sposób potrafią okazać palące ich dusze uczucia. Zasłużyłam, to oberwałam. A to znaczy, że Jerzy wciąż liczy się ze mną. Pokochał mnie wraz z pierwszą rozmową o Virginii. Uczuciowe ekstrema połączyły nas już pierwszej wspólnej nocy, więc muszę być przygotowana na konfrontację z różnymi wcieleniami jego osobowości.

Wybaczyła mu nagły wybuch agresji. Zresztą przeżywała teraz emocje większego kalibru.

Najdłuższy w jej dotychczasowym życiu ciąg snu wcale nie przyniósł wytchnienia. Rozbudzona podświadomość przedarła się do wszystkich zakamarków pamięci, a zwłaszcza do tych, które obwarowała szczelnym zamknięciem. Śniła o Macieju trzymającym na rękach swoje upragnione

niemowlę. Przysłuchiwała się ich gaworzeniu oraz radosnemu śmiechowi pochylającej się nad nimi matki dziecka. Była piękna, kompletna i spełniona. Sprawiała, że po latach podróży odnalazł swoją przystań. Zresetowała w ten sposób jego pamięć o Ninie. Śniła o Monice Różańskiej, która znała jej sekret. Szantażowała ją, że może zrobić z nim, co zechce, a jednocześnie uspokajała, że dopóki pracuje w „Glinianej Oazie”, koleżanka może spać spokojnie. Nina nie ufała jej słowom nawet w projekcjach umysłu. Śniła o matce. Zapukała do drzwi jej mieszkania, a potem zagościła w nim na dłużej. Krystyna postanowiła zaopiekować się córką, bo już nie tylko instynkt podpowiadał jej zbliżanie się jakiegoś potwornego gradobicia. Nina w milczeniu snuła się po niewielkiej przestrzeni wynajętego lokum, dzielnie porządkując jego wyposażenie. Śniła o Ines, która stała oparta o ścianę jej gabinetu, śledząc każdy ruch nieulubianej przez siebie księgowej. Pod wpływem jej wzroku dłonie Niny trzęsły się coraz bardziej, aż w końcu gwałtownym gestem strąciły filiżankę z kawą. Ines wypuściła w stronę nieba diabelski śmiech, doprowadzając nieporadną rachmistrzynię do obłędu. Czuła się jak mała dziewczynka niepanująca nad swoim ciałem. Gdy była już bliska uspokojenia się, do gabinetu wszedł Jerzy i wymierzył jej siarczysty policzek. Upadła na posadzkę i nie mogła się z niej podnieść. Jak Piotruś. Pojawienie się we śnie zatopionego w worku z kukułkami sąsiada okazało się tak traumatycznym przeżyciem, że w chwilę po ujrzeniu jego twarzy Nina otworzyła oczy.

Zorientowawszy się w czasoprzestrzeni, zerwała się z łóżka i pobiegła w stronę grzmiącego na stoliku telefonu. Była przekonana, że dzwoni ktoś z komisariatu, kto odbierze jej właśnie resztki wolności i godności. Wstrzymała oddech, po czym niepewnie wcisnęła zielony guzik.

– Miałas dziś spotkać się ze mną i przedstawicielem jednostki rządowej – oznajmił bez powitania rozwścieczony Jerzy. – Tymczasem nie ma cię do teraz, a spotkanie musiałem odbyć sam, w dodatku nieprzygotowany, bo bez szczegółowego kosztorysu. Jesteś niepoważna.

– A więc dziś już nadeszło – wybełkotała do swojej słuchawki.

– Czy ty kpisz sobie teraz ze mnie?

– Próbuje odtworzyć fakty. Przychodzi mi to w tej chwili z trudem.

Póki co, zrozumiała tylko tyle, że – niezależnie od stopnia zaawansowania ogłoszonego właśnie końca świata – nie zapytał nawet, jak się czuje i czy wszystko z nią w porządku. A powinien, skoro nie pojawiła się tam, gdzie rutynowo bywała pół godziny przed ustalonym czasem, z kosztorysem niemalże przyklejonym do czoła. Skuliła plecy i w milczeniu przysłuchiwała się kolejnym skargom wycelowanym w jej stronę:

– Dzwonię, żeby poinformować cię, że straciliśmy w tym roku szansę dołączenia do wąskiej grupy firm, które mogły otrzymać bardzo wysoką dotację od Unii Europejskiej. Brak szczegółowo opracowanego kosztorysu postawił nas w niekorzystnym świetle. Wysłannik rządowy oddzwonił z odmową już po kilkunastu minutach. Do projektu wybrał inną firmę. Możesz być z siebie dumna, będziesz miała jedno zadanie do bieżącego monitorowania mniej.

– Zachorowałam. I to w najpodlejszy z możliwych sposobów – do utraty przytomności.

– I nie mogłaś mnie o tym zwyczajnie poinformować?

– Pewnie mogłabym, gdybym była w stanie świadomości.

– Że też musiałaś zachorować właśnie teraz...

Brak najmniejszego choćby przejawu empatii ze strony Jerzego nie zirytował Niny tak bardzo, jak można by było się tego spodziewać. Z żalem pomyślała, że brak kobiety w jego życiu głęboko odcisnęła piętno na sferze uczuciowości. Stała się ona nieludzko zaburzona, a nawet szczątkowa. W takim razie wymagała natychmiastowego wdrożenia programu naprawczego. Nina postanowiła, że gdy tylko wyzdrowieje, wniesie do niego duży wkład własny.

– Sama nie spodziewałam się takiego rozwoju wypadków – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Nigdy nie ruszymy do przodu, jeśli będziemy biernie poddawać się rozwojowi wypadków. To my mamy tworzyć zdarzenia. Przegapienie szans, takich jak dzisiejsza, to amatorszczyzna i nieodpowiedzialność.

– Tracimy jedne szanse, by zyskać inne. Wszystko, co najlepsze, przed nami!

– Przestań! Nie mogę cię słuchać.

– Do tej pory twierdziłeś inaczej. Uwielbiałeś mnie słuchać.

– Ale teraz rozmawia z tobą twój niezadowolony szef. On ma gdzieś Virginie, literackie dyrdymały i niekończące się dyskusje o abstrakcjach. To jest dobre na jeden, może dwa wieczory, pomiędzy którymi toczy się normalne, *konkretne* życie. Znaczna jego część upływa na pracy. Ty jej nie wykonałeś. Czy ty w ogóle wiesz, czym jest życie? Poznałeś jego wartość?

– Uczę się jej zwłaszcza w chorobie. Możesz być spokojny o stan mojej wiedzy.

– Nie bądź sarkastyczna, nie masz teraz prawa.

– Wrócę do pracy jutro, najpóźniej pojutrze. Proszę tylko o ten krótki czas na wyzdrowienie.

Na końcu jego języka zawisła myśl o przekazaniu obowiązków Niny Monice Różańskiej, która okazała się najlepszą, choć przypadkową, inwestycją firmy w ostatnim półroczu. Nie ubrał jej w słowa tylko przez wzgląd na otrzymane od kochanki pieniądze. Miał już pomysł na ich wydanie.

– Zatem zadbaj o siebie w domu. I wróć, gdy uznasz, że będziesz w stanie zająć się pracą – pożegnał się zimno i szybko.

– A więc przestałam być niezbędną... – wyszeptała do głuchej już słuchawki.

Odłożyła telefon, by powrócić do rzeczywistości i poskładać się w zwartą całość. Powoli przytomniała. Zaprażyła wody, co zwiastowało powrót sił fizycznych. Łapczywie przyłgnęła ustami do kranu i spijała sączący się z niego strumień, jakby od niego miało zależeć jej dalsze życie. Oddychała coraz bardziej miarowo, powoli zaczynała oswajać się z jasną wiązką wpadającego oknem światła. Obojętniała na bolesny ucisk w skroniach i kołatanie serca. Chociaż w jej opuchniętej głowie wciąż kotłowały się ponure myśli związane z Kowalewskimi, była w stanie wykonać rutynowe czynności zapewniające funkcjonowanie. Drętwiała na myśl o tym, że w końcu będzie musiała wyjść z mieszkania.

16.

Oszalałe pod wpływem silnych emocji ciało Niny, chociaż powoli osiągało homeostazę, nie współpracowało ze swoją właścicielką jak dawniej. Towarzyszyło jej ciągle uczucie zmęczenia i znużenia, które nie ustępowało nawet po odpoczynku. Przesuszone włosy łamały się samoistnie i gęstymi pasmami spadały na podłogę. Dręczyła ją duszność hamująca próby wykonania głębokiego wdechu, co skutkowało spłyceniem pracy serca. Być może dlatego kilka razy w ciągu dnia niespodziewanie omdlewała. Opuchnięte nogi nie chciały przemieszczać się w przestrzeni, zdecydowanie lepiej czuły się na sofie. W każdej chwili musiały być jednak gotowe do zrywu, ponieważ ucisk w żołądku wywoływał nagłe wymioty i należało jak najszybciej przetransportować cierpiącą Ninę do łazienki. Nie panowała nad sobą, nad pracą, nad niczym.

W tej sytuacji zmuszona była po raz pierwszy złamać złożoną Jerzemu obietnicę. Powrót do pracy wydawał się teraz abstrakcją oraz zawodowym samobójstwem. Z trudem lokalizowała w swoim ciele centrum dowodzenia, które działało tylko po to, żeby utrzymać podstawowe funkcje organizmu. Zapomniała, co znaczy kreatywnie myśleć, liczyć i uważać na podstępne zapisy w bankowych ofertach. Nina wiedziała, że w „Glinianej Oazie” nikt nie da jej taryfy ulgowej. Tam kobiety zawsze doskonale sobie radziły, wbrew gorączce, grypie czy powalającej z nóg infekcji. Żaden trybik w systemie nie mógł sam decydować o zrobieniu sobie przerwy. I nie dlatego, że wymagał tego Jerzy, ale dlatego, że „gliniane mrówki” same nie chciały narażać się na jego gniew.

Być może przez takie ich zachowanie nie rozumiał, co znaczy przymusowy rozbrat z pracą i domowy kuraż. Skoro pracowały, nie uskarżając się, przyjmował to jako naturalny bieg rzeczy. A ponieważ stworzył im przyjazną atmosferę, komfortowe warunki, poczucie zawodowej niezależności oraz elitarniej przynależności grupowej, założył, że drobne usterki zdrowotne nie podetną im skrzydeł i nie nadwyrężą chęci. Z czasem same zaczęły w to wierzyć. Złaknione pełnych wypłat, dzięki którym realizowały najpiękniejsze marzenia noszone w sobie od dzieciństwa, ignorowały wszelkie symptomy choroby. Rewolucyjnie odkrywszy, że po kilku dniach znikają one bez śladu, nawet nie informowały o nich otoczenia. Leczyły się pracą.

Mistrzynią w tej dziedzinie była Ines. Gorączkę denga bezwiednie przywiozła ze sobą do kraju z Ameryki Środkowej, gdzie spędzała jeden ze swoich urlopów. Ukąszenie komara wywołało lawinę następstw: plamisto-grudkową wysypkę, niezbyt górnych dróg oddechowych, potworny ból stawów i powiększenie węzłów chłonnych. Wyglądała jak egzotyczny gatunek nienotowany dotąd przez żaden atlas zwierząt. Po ustępującej wysypce zostały przebarwienia i łuszczący się naskórek. Gdy myślała, że już wraca do zdrowia, po pięciu dniach wystąpiło krwawienie do jam ciała uwieńczone silnym wstrząsem. Na szczęście wystąpił on, gdy była w drodze z pracy do domu, a więc z dala od znajomych twarzy. W najbliższej z najdroższych klinik błyskawicznie podano jej świeżo mrożone osocze, koncentrat czerwonych krwinek i kroplówkę z niezbędnymi elektrolitami. O świcie opatulila się gęstą warstwą fluidu i maskującego balsamu, do kieszeni schowała garść tabletek, szyję zakryła wysokim golfem, a węzły niewidzialnie wkomponowała w portorykańską apaszkę. Była ona tak oryginalna, że skutecznie odciągała uwagę od prezentującej ją światu osoby. Ledwo rozpoznająca barwy i kształty Ines przepracowała swoją zmianę wzorcowo, jak zawsze. Nikt nie zorientował się, jak daleką podróż odbyła, nawet Jerzy, któremu tego dnia wydała się jeszcze piękniejsza.

Ale Nina nie miała w sobie bohaterstwa Ines i z trudem przychodziło jej kamuflowanie cielesnych słabości. Wiedziała, że jeśli pojawi się w firmie w takim stanie, polegnie przy najprostszym zadaniu do wykonania. Nie chciała znów doprowadzać Jerzego do szewskiej pasji. Nie teraz, gdy postanowiła zawalczyć o odzyskanie jego zainteresowania i uwielbienia.

Resztką podupadłych sił podjęła w mieszkaniu lekarza domowego, który przyjechał, by ogłosić, że bladeść i ziemistość jej cery z całą pewnością oznaczają poważną anemię. Musiał być doświadczonym specjalistą, bo kilka rzuconych pośpiesznie spojrzeń oraz przytknięcie dłoni do czoła chorej wystarczyły mu do ustalenia diagnozy. Wygłosił monolog na temat konieczności jedzenia wątróbki wieprzowej,

cielęciny, białej fasoli i nieprzetworzonych zbóż, zapijania potraw sokiem z liści pokrzyw oraz wyeliminowania stresu i negatywnych myśli. Potem wypisał tygodniowe zwolnienie, życząc swojej podopiecznej błogiego lenistwa. Polecił jeszcze kilka tytułów filmów do obejrzenia, w razie gdyby nie umiała dobrze wykorzystać czasu.

Gdy odjechał, Nina dostarczyła cichaczem zwolnienie do działu kadr swojej oazy, po czym czmychnęła ewakuacyjnym wyjściem z powrotem na parking. Nie zdążyła zauważyć radości wymalowanej na twarzy Moniki Różańskiej, dla której nieobecność Niny znaczyła ugruntowanie własnej pozycji w ekipie Dębskiego.

Oslabiona Nina nie czuła się pewnie za kierownicą, więc zostawiła auto w najbliższej przecznicy i pieszo udała się drogą powrotną do domu. Błądziła ulicami oddychającego przyspieszonym pulsem miasta, zatraciwszy elementarne poczucie orientacji przestrzennej. Każdy budynek wydawał się jej teraz zwalisty i niebezpiecznie ogromny, a silnie wiejący wiatr potęgował wrażenie wielopłaszczyznowego ruchu. Co jakiś czas zakrywała głowę dłońmi i przystawała w ciemnych bramach, bojąc się ceglatego gradu, grożącego spadkiem z dachów starych elewacji. I choć murowany firmament trzymał się solidnie, oczami przerażonej duszy widziała apokaliptyczny rozkład XX-wiecznej architektury. Pospiesznie mijała przystanki pełne oczekujących na miejski transport ludzi. Przechodząc obok nich, zamykała szczelnie powieki, by nie zdążyć zidentyfikować znajomej twarzy. Odwracała głowę od sklepowych witryn, unikając zobaczenia w dzielących je od świata zewnętrznego szybach swojej zdeformowanej sylwetki.

Gdy kilkakrotnie z bólem odbiła się od kamiennych ścian, postanowiła jak najszybciej znaleźć ławkę, na którą mogłaby zrzucić swoje falujące ciało. Straciwszy zupełnie panowanie nad błędniakiem, runęła z impetem na drewniane deski luźno ze sobą połączone podrdzewiałymi gwoźdźmi. Plecy oparła o rozłożyste drzewo, które połączone było z ławką. Zastygła w bezruchu jak jego gruby pień. Wirujący przed oczami świat serwował Ninie sensoryczną mozaikę niezrozumiałych obrazów. Podniosła z ziemi brudną i zdeptaną gazetę. Otworzyła ją na przypadkowo wybranej stronie, która okazała się spisem bezwzględnych zasad obowiązujących „kobietę doskonałą”: *Pamiętaj, że zgłębiając sekrety dobrego wyglądu i poznając siebie, przekazujesz, jaka naprawdę jesteś; wybieraj kolory oryginalne, słoneczne, żywiołowe – niezależnie od pory roku, choćby tylko w dodatkach; kolorem wymodeluj sylwetkę; nie susz włosów suszarką do końca. Lepiej ułożą się, jeśli pozostaną minimalnie wilgotne i doschną same.* Przypomniała sobie siebie sprzed kilku dni – tak niewiele brakowało jej wówczas do doskonałości. Tymczasem teraz straszyla ławkę szkaradnym zgarbieniem pleców, mętną szarością i nieumyтыми włosami. Pewnie tak Jerzy wyobrażał sobie kobietę po ślubie i dlatego bał się go jak ognia.

Nieopodal ławki stał wysłużony kontener na śmieci, przy którym zwinnie krzątała się niestara kobieta. Nie wyglądała jak kloszardka, przeciwnie – było w niej coś szlachetnego. Na sobie miała schludne i czyste ubranie, uszy przyozdobiła finezyjnymi kolczykami, a płaszcz przepasała drogim, choć już niemodnym skórzanym paskiem. Trzy sezony wcześniej musiał wzbudzać powszechną kobiecą zazdrość. Poruszała się dystyngowanie i oszczędnie w ruchach. Z powodzeniem mogłaby być idealną żoną dla Jerzego, jak również pierwszą damą w państwie. A jednak zanurzała smukłe dłonie w śmierdzącym składowisku odpadów, nerwowo przerzucając jego zawartość. W końcu wydobyła z cuchnącej czeluści brązowe botki i poblakły flauszowy płaszcz. Upchnęła go do wielkiej podróźnej torby, zapewne również zdobyczej, bo nieco wytartej i wysłużonej po bokach. Buty wsadziła pod pachę, następnie raz jeszcze wetknęła głowę do wnętrza stajni Augiasza. Nina oczekiwała ujrzenia kolejnego trofeum, ale kobieta opadła z sił i nie była w stanie kontynuować zbieractwa. Ciężko dysząc, przysiadła więc na trawie.

Wyglądała znajomo. Ciemna karnacja jej młodzieńczej skóry obrysowana była idealnym owalem twarzy, a blask błyszczących oczu migotał w świetle dnia, zdradzając jakiś szczególny stan jednostkowego wyobcowania. Gdy zamaszystym gestem odgarnęła z czoła grzywkę, Nina rozpoznała w niej Katarzynę Nowakową.

Była to ta sama Nowakowa, która kilka tygodni temu przechadzała się po dywanie gabinetu w wąskich sukienkach z ażurowym kołnierzykiem, wystylizowana na zalotną pensjonarkę. Zawsze

dbająca o wygląd, stanowiła dla współpracownic wzór kobiecej zaradności w dobie posiadania niesforemego dziecka. Udawało się jej znaleźć czas na skompletowanie detali biurowej garderoby, ozdabianej oryginalnymi broszkami lub drobnym naszyjnikiem. Była piękna, kobieca i klasyczna. W dodatku pracowała nad wyraz solidnie i terminowo. Wprawdzie zdarzały się jej chwile słabości, ale sięgała wtedy po telefon i dzwoniła do matki, której zdanie ceniła bardziej niż niedzielne „skrzydlate słowa” księdza intelektualisty. Lubiła je – wzlatujące najpierw nad kazalnicą, a potem nad głowami łaknących podstawowej mądrości owieczek – lecz w życiu częściej wcielała matczyne morały. Kobiety potrafiły rozmawiać ze sobą godzinami, zawsze mądrze i konstruktywnie, jednak zalet tych nie były w stanie zarejestrować biurowe kamery. Odtwarzały jedynie nadmierną częstotliwość połączeń. Konieczność ich monitorowania jako pierwsze zgłosiły szefowi koleżanki Katarzyny, które na co dzień podręcznikowo wcielały się w miłosierne samarytanki, a od święta przy biurku Dobruckiego dokonywały indywidualnej interpretacji firmowego pożycia. Była to dobrowolna spowiedź prowadzona z głębi i potrzeby lojalnych serc.

Podczas jednej z takich duchowych sesji Dobrucki dowiedział się, że większość przeznaczonego na pracę czasu Katarzyna spędza, konwersując swobodnie przez telefon, w dodatku niekoniecznie z podmiotami zapewniającymi rozmnożenie kapitału. Automatycznie nabral do niej dystansu. Żadna z koleżanek nie zauważyła wkładu Nowakowej w zbilansowanie wydatków i upilnowanie terminów realizacji kluczowych dla firmy zamówień. Miały ją w garści i już.

Nina Ciesielska wiedziała, że jeśli okaże Katarzynie więcej zyczliwości niż tamte, zyska podwójnie. Stłumiła więc swoją pierwotną względem jej osoby niechęć, od czasu do czasu postawiła na biurku dwa kubki z herbatą, a potem już wprost zapytała o możliwość pozyskania jej czasu wolnego. Zabiegi opłaciły się, bo Nowakowa zgodziła się zostać dyskretną pomocnicą Niny w rozładowywaniu kumulacji pilnych rozliczeń księgowych. Ze zrozumieniem przyjęła argumentację, że praca na dwóch etatach zmuszała czasem Ninę do weryfikowania priorytetów zadaniowych. W duchu wiedziała, że po prostu przekracza ona próg zaradności Ciesielskiej. I wtedy zjawiała się ze swoim bystrym umysłem, dobrym refleksem oraz błogosławionym milczeniem. Była w księgowaniu szybsza od Niny, jak również mocniejsza od niej fizycznie i odporniejsza na brak snu. Poza tym lubiła ten moment, kiedy składała na biurku koleżanki plik starannie wypisanych faktur, każdorazowo wprawiając Ninę we wstydlive zakłopotanie. Uzyskiwała wówczas nad ulubienicą szefa przyjemną przewagę psychiczną. A może po cichu liczyła na to, że część sympatii Dobruckiego spłynie również na nią samą.

Nina i Katarzyna nigdy się nie zaprzyjaźniły, jednak potrafiły zsolidaryzować się w obliczu zawodowych zagrożeń. Ufały sobie jak w starym dobrym małżeństwie.

Katarzyna nie panowała nad jednym tylko aspektem swojego życia – była bezpłodna. Wizyty u medycznych magików rozwiały wszelkie jej nadzieje na urodzenie upragnionej potomkini, dla której już nawet wybrała imię. Marysia skonstruowana została w wyobraźni z nieprzeciętną precyzją, ale zmaterializować się i przyzwać w ziemskie kształty nie mogła.

Nowakowa nie poddała się, postanowiła za wszelką cenę zostać matką jakiegokolwiek Marysi, którą i tak przeistoczyłaby w swoje pielęgnowane latami wyobrażenie. Okazja pojawiła się w niespełna rok po złożeniu sobie cichej obietnicy zrealizowania marzenia. Przeklęte ubytki jej upośledzonych jajowodów nie były w stanie stanąć na drodze do najwyższego szczęścia. Domagała się od losu rychłego wynagrodzenia niezawinionego cierpienia, jakiemu została poddana. Nagrodę pocieszenia wymodliła i wyplakała chyba u samego Boga. Gdy siostra Katarzyny popełniła samobójstwo, Nowakowa zagarnęła świeżo narodzone niemowlę, które zaczęła wychowywać jako własne. Wszyscy wokół podziwiali ten altruistyczny odruch chroniący bezbronną sierotę. Nikt zatem nie wniósł sprzeciwu w chwili wybrania dziecięciu nowej matki. Formalności przekazujące dziecko Karoliny w swoje władanie Katarzyna załatwiła pomyślnie drogą najkrótszych z możliwych w tej sytuacji procedur. Poinformowała męża, że został szczęśliwym ojcem i że zaszczytem jest dla niego sprawowanie opieki nad niebiańską istotą, całkiem podobną do jego żony, jako że i siostry były dwiema kroplami z jednego akwenu. Rzeczywiście, mała Iwonka stanowiła odwzorowanie swojej niby-matki.

Trochę inaczej niż ona w dzieciństwie, spędzała czas głównie na rzewnym płakaniu lub rzucaniu

przedmiotami w żywe i martwe obiekty. Czas jej poświęcany musiał być zatem czasem szczególnie wytężonej uwagi połączonej z heroiczną cierpliwością. Nowakowa okazała się niezłomną gladiatorką. Dzielnie znosiła trudy wychowania i przez nieświadomych jej rozrodczej niemocy znajomych postrzegana była jako najlepsza z możliwych matek.

Gdy było jej źle, szczerze zamykała swój wewnętrzny świat, wciskała głowę między duże puchowe poduszki i płakała cicho do rana, aż posłyszała trzask zawistnie łamanych przez Iwonkę plastikowych klocków, które za nic nie chciały ułożyć się w bajkowy zamek. Jednym gestem zrzucała z siebie powłokę zniechęcenia, po czym dopadała małą, uposażoną w całą swą żarłoczną matczyność. Razem podejmowały jeszcze jedną próbę na placu budowy. Trwała ona nawet kilka godzin. Były wtedy same, oswojone ze sobą, swoim lękiem i manualnymi ograniczeniami. Był to czas matki i córki – tak, jak chciała natura.

Katarzyna pokątnie ubolewała z powodu topnienia środków finansowych, jakie lawinowo znikwały z rodzinnego konta na okoliczność stwarzania córce obiecaną bajki. Nie przypuszczała, że posiadanie dziecka generuje tak wiele wydatków. Przyjmowała więc coraz więcej skomplikowanych, ale dobrze opłacanych zleceń, nad którymi spędzała godziny przeznaczone niegdyś Morfeuszowi. W końcu wmówiła sobie i swojemu ciału, że potrzebuje wypaść się porządnie raz w tygodniu, w pozostałe dni może jedynie „podrzemać”. Ważnym źródłem gromadzonego z trudem dochodu stały się rozliczenia, na które nie znajdowała czasu Nina. Dlatego Katarzyna mobilizowała ją do odważnej pracy na dwóch etatach, wiedząc, że przynajmniej połowę jednego z nich tak naprawdę wypracuje sama. Potrzeby Iwonki były dla niej priorytetowe i nieodraczalne. Nina nie miała i nie mogła mieć o nich pojęcia.

Machina działała bez zarzutów do dnia, kiedy Nowakowej podziękowano za świadczenie dalszych usług na rzecz rodziny Dobruckich. Niespodziewanie zwolniono ją ze stanowiska, któremu poświęciła większą część swojej aktywności zawodowej. Nie miała pojęcia o roli spowiedzi koleżanek w pozbawieniu jej źródła chleba powszedniego. Gdy usłyszała, że szef awansował Ninę, po raz pierwszy w życiu wpadła w furję. Z Ciesielskiej uczyniono przodowniczkę pracy i jakąś cudowną nadkobietę, symbolizującą największe walory firmy. Nikt nie stanął w obronie Katarzyny. Podczas gdy tamta została nową złotą spinką przypiętą do mankietu Dobruckiego, Nowakowej pozbyto się jak starego wypłowiałego krawata. W tym samym dniu Nina podziękowała jej za okazywaną miesiącami pomoc, zapewniwszy zdumioną mistrzynię kalkulatora, że wkrótce na pewno znajdzie sobie ona dobrą posadę w innej firmie. Ich tajemna współpraca nie mogła funkcjonować na odległość. Rodziłoby to zbyt duże ryzyko popełnienia kosztownych błędów.

Bajka, w jakiej żyła mała Iwonka, od tego dnia miała się wypełnić złymi duchami. Jej niby-matka w jednej chwili straciła pracę, poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. Nie była zdolna do zbudowania nawet prowizorycznego zamku z klocków.

Świat szybko pozbył się pamięci o zwolnionej księgowej. Biurwy Dobruckiego wołały nie wracać do jej osoby ani myślą, ani mową. Chciały jak najszybciej zagłuszyć wyrzuty sumienia, które wywołało nagle zniknięcie ich ofiary. Przekonywały jedna drugą, że przecież donosiły szefowi w dobrej wierze, z troski – przede wszystkim o siebie – ale na pewno nie życzyły koleżance utraty pracy. Ustalały wewnętrzną hierarchię, ale nie wyrzucały Katarzyny poza jej granice. Dyskredytowały ją z konieczności. Ponieważ czasy były trudne, należało wszelkimi sposobami zabezpieczyć sobie grunt pod nogami. Wybrały metodę starą jak świat. Gdy obarczona kartonem Nowakowa opuszczała firmę, na chwilę zwątpiły w słuszność tej decyzji. Ale potem szybko zamknęły za nią drzwi i po prostu wróciły do swoich codziennych zadań. Powstała w wyniku redukcji lukę wypełniły sobą.

Dlatego teraz, siedząc na ławce, Nina zdziwiła się niepomiarowo na widok grzebiącej w kontenerze Katarzyny, znajdującej się zaledwie kilka metrów od wybranego przez nią miejsca wytchnienia. Nie miała ona kobaltowej marynarki i migoczących agatów na szyi. Nie uśmiechała się jak dawniej, wyzbyła się przebojowości oraz pewności w ruchach. Tylko ktoś, kto ją znał, mógł wiedzieć, że całkiem niedawno inne kobiety zazdrościły jej urody oraz dobrego gustu. Wizualnie postarzała się co najmniej o dekadę. Jednak największe zdziwienie budziło miejsce, w którym Katarzyna aktualnie realizowała swoją aktywność. Z tłem śmietnika było jej wyraźnie nie do twarzy. Kobieta ta pasowała do

ekskluzywnych biurowych przestrzeni, zadbanych domostw bądź drogich górskich hoteli, ale na pewno nie do getta odrzuć, smrodu i biedy.

Albo cierpi na pomieszanie zmysłów – myślała Nina – albo w rzeczywistości nie jest tą Katarzyną, z którą zawarłam u Dobruckiego niepisany pakt na świadczenie usług księgowych.

Dopiero gdy Ciesielska znów przyjrzała się swojej osobie, dostrzegła, że łączy ją w tej chwili z Katarzyną jakiś szczególny rodzaj podobieństwa. Wszystko wskazywało na to, że zarówno kontener na śmieci, jak i rozpadająca się ławka były teraz symbolami upadku goszczącymi dwie odarte z godności dusze. I chociaż Nina nie była w stanie otworzyć ust do kogokolwiek, to jednak zmobilizowała resztki sił fizycznych, by cudem zbliżyć się do znajomej postaci.

– Dzień dobry, Katarzyno – zainicjowała rozmowę, która od razu przerodziła się w milczenie. Kobieta w niemodnym płaszczu przepasanym skórzanym paskiem patrzyła na pobladłą zjawę długo i przenikliwie. Jej twarz obrysował przestrach.

– Nie poznałam cię – wycodziła w końcu z zaciśniętych ust.

– To pewnie dlatego, że długo się nie widziałyśmy – odpowiedziała Nina, która za wszelką cenę starała się zachowywać naturalnie. Wyobraziła sobie, że właśnie spotkały się przy kserokopiarce, a chwilowa dezorientacja wynikała z tego, że obie inaczej niż zwykle zaplotły włosy.

– Tak, minęło trochę czasu od naszego ostatniego spotkania. Jak widzisz, dużo się w moim życiu zmieniło. Ale i ty nie wyglądasz najlepiej. To dziwne, przecież dostałaś wszystko.

– Po prostu nie jestem dziś w oficjalnym służbowym mundurku – zaśmiała się Nina, chcąc rozładować napięcie.

– Nie jesteś też w pracy. Przy tylu zawodowych obowiązkach znalazłaś czas, by posiedzieć na ławce? Los cię jednak rozpieszcza.

– Chwilowo ma chyba urlop, bo sprezentował mi jakąś paskudną chorobę, przez którą zmuszona zostałam do wzięcia zwolnienia lekarskiego.

– Ty? Przecież nigdy tego nie robiłaś.

– Ale teraz naprawdę musiałam dostosować się do sygnałów wysyłanych przez mój organizm. Tym razem nie miał litości i nie pozostawił mi otwartej furtki.

– A więc nawet ty nie jesteś niezniszczalna...

– Nie, potrafię zmoczyć się w bagnie jak inni. I wyglądać jak zawartość puszki Pandory.

Zaśmiały się, przełamując lody, po czym Nina, zachęcona wolą kontynuowania przez Nowakową rozmowy, zaprosiła koleżankę na ławkę. Pomogła przetransportować w jej pobliże śmietnikowe zdobycze rzucone na rozchwiany wózek. Chwyciwszy Katarzynę pod ramię, posadziła ją na dębowych deskach.

– Mów, co u ciebie – zapytała najprościej i najnormalniej jak w tej chwili umiała.

– Iwonka nie żyje. Ale pewnie słyszałaś już o tym.

– Nie, nic nie wiem. Nie pracuję już u Dobruckiego.

– Zmarła we śnie jako ofiara śmierci łóżeczkowej, jedna z miliona na całym świecie. Raz jeden mnie przy niej nie było. Zasnęłam w pokoju obok.

– To nie twoja wina. Tak się zdarza u małych dzieci.

– Ale nie zdarzyłoby się Iwonce, gdybym wtedy siedziała obok jej łóżka i oddychała z nią. Wiedziałam, że cierpi na bezdech nocny. Nie raz podczas zabawy zaczynała zanosić się płaczem, nie mogąc nabrać powietrza w swoje małe płuca. Była wówczas przerażona i bezbronna. Chwytałam ją wtedy za dłoń i przytulałam ją do swojego policzka. Od razu odzyskiwała spokój. W nocy wyrывałam ją ze snu zawsze, kiedy zdawało mi się, że oddycha wolno i płytko. Instynktownie wyczuwałam nagłą zmianę rytmu pracy serca. Miałyśmy system.

– I pewnie nie raz uratował on jej życie.

– I raz jedyne zawiódł. Najwyraźniej nie nadawałam się na matkę. Prawdziwa rodzicielka nie przespałaby śmierci własnego dziecka.

– A jednak śmierć łóżeczkowa nie omija prawdziwych matek.

Nina przysiadła bliżej trzęsącego się przy dębowej gałęzi ciała. Jeszcze nie odważyła się go

przytulić, ale chciała, by poczuło jej empatyczne ciepło.

– Okropne było to, co wygadywali ludzie – kontynuowała Katarzyna. – Mówili, że na pewno zabiłam Iwonkę własnymi rękoma, gdy płakała i nie byłam w stanie jej uspokoić. Domyślasz się, że nie była moim prawdziwym dzieckiem. Różańska zdążyła już poinformować o tym cały świat. Kochałam ją jednak tak mocno, jak matki kochają własne dzieci! Strzegłam jej jak oka w głowie. Gdybym wtedy nie usnęła...

– Ja nie mam wątpliwości. Ja wiem. To nie twoja wina – powtarzała Nina, bo nic lepszego powiedzieć nie potrafiła.

– Oni twierdzą, że skapitulowałam i po prostu pozbyłam się niewygodnego problemu, który przez większość czasu spędzałam sen z powiek sąsiadom. Mnie nie przerażał. Ja nawet lubiłam wsłuchiwać się w jej spazmatyczny płacz. To przecież naturalne, że dziecko dużo płacze. W ten sposób wyraża emocje.

– Dzieci z prawdziwych matek płaczą tak samo głośno. My też kiedyś płakałyśmy i darłyśmy się wniebogłosy. A teraz same mamy sąsiadów przepraszających nas w imieniu swoich nieświadomych jeszcze konsekwencji płaczu dzieci. To się pod skórą rozumie...

– Widać niektórzy mają pancierz nie do przebicia zamiast skóry. Wydali na mnie wyrok. Nie było sensu się tłumaczyć.

– Zawsze jest sens, jeśli trzeba oczyścić swoje imię z niezасłużonych obelg. Skoro lekarze orzekli, że przyczyną zgonu była śmierć łóżeczkowa, potwierdzili twoją niewinność.

– Raczej bezradność.

– Nie jesteśmy w stanie oddychać za dzieci przez całą dobę. Ludzkim gadaniem się nie przejmuj, minie szybciej, niż myślisz.

– Gadać może i przestaną, ale nie zapomną. Pamięć przechowuje prawdę w takiej formie, jaką nadadzą jej ludzie. A oni chcą wierzyć w to, że zabiłam Iwonkę.

– Co teraz z mężem robicie?

– Mój mąż odszedł ode mnie w tydzień po tragicznej nocy. Nie wytrzymał mojego bólu.

– Nie okazał ci w trudnym momencie wsparcia? To okrutne.

– A czy wy okazałyście mi je wtedy, gdy zwolniono mnie z firmy?

Pytanie to zawisło nad głową Niny niczym najcięższa z gradowych chmur. Zdążyła zapomnieć o tym, co niedawno wydarzyło się w wyniku reorganizacji firmy Dobruckiego.

– Proszę cię, nie wracajmy do tamtego. To nie ma żadnego związku z tym, co aktualnie przeżywasz.

– Mylisz się. To ma ścisły związek z tym, przez co teraz przechodzę. Bo ja od czasu odejścia z firmy na rzesach stawałam, by związać koniec z końcem. Pracowałam za dwoje – siebie i męża, a może nawet i za dziesięcioro takich butnych leniwców jak on! Obrabiałam jedno zlecenie za drugim, bez mrugnienia powieką, dosłownie i w przenośni. Wyszarpywałam je zapracowanym koleżankom, przed którymi musiałam się nieudolnie płaszczyć. Gdy ja dzięki kolejnej filizance kawy preparowałam za nie cholerne słupki, one rozpuszczały się w jacuzzi albo gniły na rajskich plażach ze swoimi obleśnymi sponsorami. I dobrze, że ich miały, bo w ten sposób udawało mi się przechwycać kolejne zlecenia. Wilk był syty, a i owca cała. Jednocześnie prałam, gotowałam i liczyłam. Te trzy czynności stanowiły centrum mojego rodzinnego życia. Doba mijała z prędkością błyskawicy. Ale wiedziałam, że muszę robić to dla niej, dla mojej małej Iwonki, która powinna od życia dostać najlepszą z możliwych rekompensat za stratę matki. Tymczasem poszła za nią na drugą stronę.

– To dlaczego nigdy nie poprosiłaś o pomoc?

– Ja? O pomoc? Przecież nawet gdy razem pracowałyśmy, to ty potrzebowałaś mojej pomocy. Myślisz, że ktoś chciałby bezinteresownie pomóc kobiecie przy dziecku, które naznaczone było samobójstwem biologicznej matki i nieporadnością zastępczej? Ludzie ledwo obrabiają własne pole.

– Masz rację, zamykamy się w granicach swoich problemów, nie pozostawiając miejsca na współdzielenie krzywd innych. Podłe czasy.

– Zawsze takie były. W takich czasach nie prosi się o wsparcie.

– Szkoda, że straciłyśmy kontakt.

– Nie wiedziałam, że porzuciłaś Dobruckiego. I to w takim momencie, kiedy położył świat u twych stóp. Los nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać.

– Mnie również. Dlatego gdy postawił na mojej drodze Jerzego Dębskiego z „Glinianej Oazy”, sprawy Dobruckiego nagle przestały mieć dla mnie wysoką rangę. Pożegnaliśmy się z sentymentem, ale bez żalu.

– Pracujesz w „Glinianej Oazie”? Podobno zarabia się tam bajeczne sumy, a atmosfera w pracy przypomina tę z amerykańskich koncernów, gdzie wszyscy się przyjaźnią i ambitnie pracują w zespole. Tyle że szef sam dobiera sobie pracownicze towarzystwo. Zazdrościłam wszystkim, którzy w jego ręce trafili. Myślałam o tym, żeby jakimś cudem znaleźć tam zatrudnienie.

– Dlaczego nie spróbowałaś?

– Bo dowiedziałam się, jaka jest cena tej posady.

Nina myślała, że usłyszy o tym, jak naprawdę odnoszą się do siebie pracownicy i że nie wszyscy strzelają tam do jednej bramki. Może nawet dowie się czegoś więcej o bezwzględnej Ines.

Ale Katarzyna podzieliła się informacjami innej natury:

– Niejaki pan Jerzy sypia z każdą kobietą aplikującą do jego królestwa. Najpierw dzwoni do niej osobiście, a numer telefonu zdobywa na służbowe polecenie zdezonizowana poprzedniczka. Potem zamienia niezobowiązujące spotkanie w randkę i udaje inicjacyjne zafascynowanie. Potem zdradza, że rzekomo czyta „jej” książki, ogląda „jej” filmy, podziwia „jej” miejsca. Przychodzi mu to z łatwością, bo jest inteligentny i wykazuje wszechstronne zainteresowania. Potem daje jej świetną posadę, a ona robi wszystko, by ją utrzymać. Nie ma wyjścia: początkowa obietnica umożliwienia jej pracy na dwóch etatach szybko przeobraża się w nakaz porzucenia innych pracodawców. Zostaje jej tylko praca w „Glinianej Oazie”.

– A potem?

– Potem on porzuca zainteresowanie tą kobietą. Wybiera mądre kobiety, by przekonać się, że są głupie. Pracują ponad normę, by odzyskać jego zainteresowanie. Sięgają po ryzykowne metody, by udowodnić swoją wartość i przydatność. A potem zaprzędają duszę diabłu.

Nina zeszytniała. Przybrała kamienny wyraz twarzy, który zauważyła Katarzyna.

– Ale ciebie pewnie ominął ten schemat, ty jesteś inna – podsumowała, widząc zdziwioną minę koleżanki. – W końcu nawet taki typ jak Jerzy Dębski potrzebuje prawdziwie zdolnych pracowników, wobec których musi zachowywać się stosownie. Nie przypadkiem „Gliniana Oaza” stała się wiodącą firmą w regionie.

Nina zrobiła się jeszcze bledsza, a bezdech dzienny o mało nie obsunął jej wraz z ławką na ziemię. Z trudem powtarzała w głowie zasłyszane przed chwilą słowa. Brzmiały tak niewiarygodnie, że nie potrafiła w pełni przyswoić ich dosłownego przekazu. Jednak poległa wobec mechanizmów obronnych i przyznała, że w gruncie rzeczy były nad wyraz jednoznaczne.

Postanowiła nie dać się zdemaskować:

– Dobrze wnioskujesz, ja nie sprzedałam duszy ani diabłu, ani Jerzemu. Uczciwie u niego pracuję, otrzymując za swój trud adekwatne wynagrodzenie. Firma rzeczywiście rozwija się obiecująco i jest to zasługą całego zespołu. Powierzył mi odpowiedzialne zadania, ale wywiązałam się z nich tak, jak oczekiwał. Przyjaźnimy się, bo ma ciekawą osobowość i traktuje mnie z najwyższą atencją. Razem pracujemy nad koncepcją dalszego rozwoju „Glinianej Oazy”.

– Zawsze byłaś dobra w strategicznym myśleniu – przyznała Katarzyna. – Pewnie docenił to, podobnie jak wcześniej Dobrucki. A zatem odnalazłaś swój zawodowy raj i jesteś szczęśliwa.

– Tak, jestem – skłamała ledwo przytomna Nina, dławiąc się własnymi łzami.

– Dlaczego mnie nie było pisane podobne szczęście? Przecież jestem taką samą kobietą jak ty, stąpamy po tej samej ziemi, kończyliśmy ten sam uniwersytet, potem robiłyśmy te same szkolenia. Czy to kara za bunt moich jajników wobec pierwotnych oczekiwań Matki Natury?

– Nawet nie próbuj tak myśleć! – zaprotestowała stanowczo Nina. – Twój defekt nie ma nic wspólnego z sytuacją w pracy.

- Nazwałaś to defektem...
- Przepraszam. To właściwość organizmu, która po prostu nakazuje kobietom czerpać inspirację z innych wartości niż macierzyństwo.
- Ale ja kochałam swoje macierzyństwo i zasłużyłam na nie. W pracę również wkładałam całe serce.
- Nie możesz więc stale szukać w sobie winy. Musisz pogodzić się z rzeczywistością.
- A ty byś się z nią pogodziła? Straciłam pozycję zawodową, męża, dziecko, po drodze zagubiłam też swoją godność. Wygodne mieszkanie zamieniono mi na cuchnącą komunalną norę. Ludzie uważają mnie za wariatkę, dzieciobójczynię i czarownicę. Zostałam wypchnięta na margines społeczeństwa. Moją egzystencję przedłuża śmietnik. Nie mam nic. Nie ma mnie. Powinnam oddać swoje życie komuś innemu.

Po kilku minutach od zakończenia rozmowy Nina dobiegła do swojego bloku i zabarykadowała się w wynajmowanym mieszkaniu. Znów czuła, że opuszczają ją siły.

Powinnam oddać swoje życie komuś innemu – powtórzyła w duchu, uświadomiwszy sobie, że stała się źródłem życiowej tragedii kolejnej osoby.

17.

Naznaczone spotkaniem z Katarzyną kolejne godziny życia znów wypełniło Ninie głębokie penetrowanie pogranicza jawy i snu. Zatopiła się w największy z najciemniejszych koców, jaki miała w swojej kolekcji, a do wnętrza pokoju sprowadziła nieprzenikalność mroku, choć słońce domagało się w nim miejsca dla swojej jasności. Promienie rozgrzanej kuli drażniły teraz Ninę bardziej niż natrętne myśli. Słońce na siłę przypominało jej, że powinna uśmiechać się mimo wszystko. Oparła się o ręcznie zdobiony kaflowy piec. Otulona jego ciepłem, popadła w fizyczny letarg. Resztką czuwających zmysłów usłyszała alarm telefonu, ale nie przeszkadzał jej on na tyle, by musiała się go pozbyć. Ignorowała teraz rzeczywistość. Ostatni posiłek skonsumowała kilkanaście godzin wcześniej, powinna więc czuć świdrujący głód, ale na wspomnienie zalegającej w piekarniku warzywnej zapiekanki dostała odruchu wymiotnego.

Z tyłu głowy ciągle pobrzmiwało pomrukiwanie nieporadnego Piotrusia Kowalewskiego, który całym sobą starał się złożyć zgrabny podpis pod swoim cyrografem. Wciąż siedzieli razem na miękkim dywanie, zajadając się gorącym budyniem. Opowiadała mu wspomnienia z dzieciństwa, wśród których najjaśniejszym było to związane z karuzelą. Uwielbiała, gdy matka chwyciła ją za ręce, by w szaleńczym tempie zakołować swoją małą Ninuszką, czyniąc kilkunastokilogramowy ciężar najłżejszym balastem świata. Wirowały niczym dwie zwiewne nimfy pragnące zatracenia się w powietrznym żywiole. Wolne od ziemskiego pierwiastka, przechytrzały jego istnienie. Piotruś był za ciężki na podobne zabawy, dlatego Nina chciała rozbijać go chociaż opowieścią. Nie był jednak zainteresowany. Dłubał długopisem w kartce papieru, chcąc potwierdzić swoje człowieczeństwo i świadomą swojego istnienia tożsamość. Gdyby tylko umiał czytać...

Gdyby umiał czytać, żyłby dzisiaj w sąsiednim mieszkaniu, a ona cierpliwie pomagałaby mu wypełnić kolorami szkic w malowance pod nieobecność pani Kowalewskiej. Nadal tworzyłyby wspierającą się w potrzebie dwuosobową komunę wychowującą chłopca po tym, jak wyrzekł się go ojciec. We dwie dałyby radę, nawet gdyby Nina przeprowadziła się do własnego domu. Obie zgodnie przyznawały, że Piotruś zasługiwał na normalne życie, choćby sprowadził je do bezustannego domagania się przyjaznego głaskania po głowie. Zasługiwał na bycie głaskanym oraz na długie i beztrudne życie. Nie zdążył nacieszyć się ani jednym, ani drugim.

Ninie zdawało się, że w pokoju obok słyhać łkanie małej rozwścieczonej Iwonki oraz kojący śpiew spieszącej z odsieczą Katarzyny. Toczyły głośną walkę o wyrażenie niewyraźnego, przeobrażały komunikację w totalną onomatopeiczną dysfonię. Ich bunt naznaczony był ukrytą chęcią sprawienia drugiej stronie bólu. W ten sposób próbowały okazać sobie stworzone sztucznie, ale autentyczne, przywiązanie. Zbliżały się do siebie oddalaniem, oswajały ze sobą odtrącaniem. Były zawzięte i konsekwentne w przyjętej postawie. Płacz Iwonki przedłużał nadzieję na stworzenie w końcu prawdziwie głębokiej więzi. Wystawiona na próbę cierpliwość Katarzyny miała być najwyraźniej ceną, jaką musiała zapłacić za uzyskanie łaski stania się matką. Ale nagle płacz ustał. Pokój obok zamienił się w ciemną trumnę rozpadu życiodajnej więzi. I chociaż umarła jedna, świat przestał kręcić się nad głową drugiej. Ninie zdało się, że ma na sobie białe prześcieradło, a w rękę trzyma kosę.

Dwie niewinne dziecięce istoty były już po drugiej stronie tęczy, a ich matki znalazły się na społecznym marginesie.

A potem Nina zobaczyła ogromny kontener na śmieci, z którego wynurzyła się Nowakowa. Nie chciała uchwycić pomocnej dłoni podanej przez koleżankę. Była to pomoc spóźniona i bezcelowa. Powiedziała, że nie wierzy już w powrót do świata porządku oraz ludzkiej kooperacji. Zaprzęgnęła pozostać wśród odartych z godności szmat i zatrzymanych w biegu butów.

Na końcu dojrzała Nina samą siebie – stała samotnie przy gmachu „Glinianej Oazy”, trzymając wypchaną banknotami kopertę, którą za chwilę miała uroczyście przekazać Jerzemu. Nie chciała go kupić, pragnęła się ofiarować. Gdy przyszedł, odebrał biały prostokąt z drżących rąk, ale nie uściśnął ich w akcie wdzięczności. Dla niego ofiara nie miała nadawcy.

Jeśli Nina Ciesielska chciała żyć dalej, musiała przebudzić się z letargu i raz jeszcze nadać sobie imię oraz kształt!

Po piętnastu minutach wybrała numer Jerzego, by ogłosić mu natychmiastowy powrót do pracy. Obiecała przyprowadzić ze sobą nową energię, lawinę pomysłów oraz fizyczną odporność na wszelkie ciosy od losu. Potwierdziła swoją uległość, przeprosiła za wcześniejszą niesubordynację i zapowiedziała rozpoczęcie nowej ery w ich stosunkach. Uwierzył dopiero, gdy wspomniała o powrocie do klasycznego rzymskiego układu opartego na prostych, odgórnie ustalonych zasadach. Zgodził się na przypiecztowanie aneksu do umowy spotkaniem w ich ulubionej kawiarni. Miała pół godziny na zmycie z siebie wszystkich lęków, mrocznych wcieleń duszy oraz przejawów kontaktu z tymi, których już w jej świecie nie było. Zrobiła to błyskawicznie, heroicznym wysiłkiem woli i odrodzonej nadziei, ponownie stając do walki o uznanie ukochanego mężczyzny, jak gladiator.

Gdy przybyła do „Księgarni”, Jerzy czekał już przy ich ulubionym stoliku. Tym razem nie miał za plecami bukietu kwiatów. Leniwie przewracał karty menu, sącząc lampkę wytrawnego wina.

– Cześć, mam nadzieję, że nie czekałeś zbyt długo – powitała go, przyjmując w pełni kontrolowaną pozę dzielnej matrony. Wewnętrzne dychotomie ukryła pod precyzyjnie skrojoną sukienką i karminem na ustach. Jako baczny obserwator architektonicznie skonstruowanej rzeczywistości, nie potrafił wyzbyć się podziwu dla jej idealnej zewnętrznej powłoki. Postanowił jednak zachować kamienną twarz.

– Dałaś mi dostatecznie dużo czasu na wyszukanie w karcie dań oryginalnej potrawy. Zamówiłem zupę z soczewicy. Nigdy wcześniej jej nie próbowałem. Rzymianie uwielbiali soczewicę. Nalewkę z niej wzbogacali *garum*. Produkowano je w specjalnych wytwórniach mieszczących się w pobliżu portów. Każda posługiwała się własnym przepisem, a więc składniki sosu mogły się różnić. *Garum* wytwarzano w wielu odmianach, ale najwyżej ceniono hiszpańskie *garum sociurum* – bazujące na makreli. Krwiste *garum* zawierało krew i wnętrzności tuńczyka. Czy wiesz, że Rzymianie uwzględnili też wymagania zajętej przez nich Judei? *Nagarum castimoniale* składało się z ryb mających łuskę, zgodnie z zaleceniem żydowskich przepisów religijnych.

– Jedno pamiętam z wycieczki do Włoch. Przewodnik mówił nam, że Rzymianie wytwarzali podobno wyborne wino korzenne.

– Zgadza się. W miedzianym naczyniu rozcieńczali wino z miodem. Następnie podgrzewali ciecz na wolnym ogniu z suchego drewna i mieszały drewnianą łopatką. Przyprawiali ją pieprzem, prażonymi pestkami daktyli i liściem lauru. Musiało stanowić niespożyłą inspirację dla twórców tego okresu.

– I nie lada wyzwanie dla architektów tworzących według klasycznych prostoliniowych wzorców. *Po winie – wszystko płynie*. Rozcieńczało gęstość ich pomysłów.

Nina nie ustawała w trudzie rozładowywania napiętej atmosfery. Na szczęście rozluźniała się ona samoistnie wraz z kolejnymi przelewami wina z ciemnozielonej butelki do krystalicznie czystych naczyń na długiej nóżce.

– Wino absolutnie nie odbierało Rzymianom mocy! – zaoponował w swoim stylu. – Pili je nawet żołnierze, którzy odkryli w nim źródło waleczności i odwagi. Osobiście uważam, że wspomniani przez ciebie architekci właśnie dzięki winnym latoroślom, zakrzywiającym czasoprzestrzenne postrzeganie, doceniali piękno klasycznej geometrii. Jakże genialnie uwrażliwili się na matematyczny kształt i monumentalny bezruch form! Być może dlatego życie w starożytnym Rzymie było logiczniejsze od naszego.

Gdy Jerzy Dębski zaczynał wygłaszać swoim autorytarnym tonem monolog na temat rzymskiego świata, Nina Ciesielska przestawała dla niego fizycznie istnieć. Inaczej zachował się tylko podczas ich pierwszego spotkania. Potem na randki umawiał się już tylko z architekturą. Nagle zrozumiała, że architektura służyła mu jako szkielet życia, wokół którego nadbudowały się niepewne i łatwo odrywalne jego przejawy. Architekturę pojmował filozoficznie, porządkowała ona silnie naznaczoną męskim pierwiastkiem osobowość, stanowiła kręgosłup dla płynnych wartości, braku stabilizacji i równowagi emocjonalnej. Kompulsywne konstruowanie było efektem jego psychiki oraz przywracało mu jednoznaczność strukturalnie komplikowanego wewnątrz siebie świata. Gorączkowo szukał liczb,

wymiarów, proporcji i powiększających go skali. Jednocześnie jego gliniane domy uosabiały tęsknotę za istnieniem prostym, pierwotnym, nieskażonym wynaturzeniami cywilizacji i jej wygórowanymi oczekiwaniami. Chciał być zwyczajny i jedyny w swoim rodzaju, pragnął świętego spokoju, intymności i powszechnego uznania, wolności i ścisłego powiązania z wyższą ideą. Dlatego wybrał to, co minione i ograniczone jedynie pamięcią.

Zarabiał na swoich glinianych domach niezłe pieniądze, ale traktował je jako skutek uboczny architektonicznego myślenia. Im bardziej zapadały się fundamenty jego psychicznej aktywności, tym częściej zasiadał do nowych projektów, które miały prostować to, co załamane. Był istotą terytorialną. Wybrał glinę, bo dawała się łatwiej formować niż cegła. Nocami opracowywał logarytmy komputerowe, które zwiększyłyby prawdopodobieństwo sukcesu jego pomysłów. Badał stosunek części do całości, złożoność, uporządkowanie, symetrię osiową, obrotową, otwartość, zamkniętość. Chętnie korzystał z możliwości, jakie dawały optyczne złudzenia, aby stworzyć ludziom to, czego sam nie miał – przestrzenne bezpieczeństwo, z którego wychodziło się na kręte drogi labiryntu świata.

– Złudzenia optyczne jako nowe tworzywo w budownictwie? – zapytała zdziwiona.

– Korekty optyczne świadomie stosowano już od czasów starożytnych – cierpliwie wyjaśniał Jerzy. – Sprytni Rzymianie wiedzieli, że obserwator patrzy na budynek zwykle z dołu, a w świątyni raczej z głównej nawy. Narożne kolumny były więc u nich nieco grubsze i umieszczone bliżej sąsiadujących, tympanon wychylano ku przodowi, a litery w napisach w wyższym rzędzie nieco zwiększano, by – w chwili zbliżania się admiratora do budynku – wydawały się podobnego rozmiaru, jak te w dolnym. Iluzje to w rzeczywistości sprytnie rzymskie koncepty stwarzające prawdziwe piękno!

– Czyli świat rzymski nie istniał już wtedy? – zażartowała.

– Pomyśl o tej ironii losu: zbudowany był na iluzjach, a stał się trwalszy niż inne. Podczas budowania Partenonu wprowadzono szereg krzywizn, które miały na celu niwelację złudzeń optycznych oraz dostosowanie fryzu doryckiego do wymogów zasady tryglifów. Na zmniejszenie interkolumnium wpłynęło także powiększenie średnicy skrajnych kolumn. Dla zachowania wrażenia pionu kolumn wprowadzono entazis na wysokości dwóch piątych trzonu. Zastosowane krzywizny dały złudzenie idealnego pionu i poziomu wszystkich elementów świątyni.

Nic nie rozumiała, ale znów uniażała się przed jego geniuszem.

– W Mediolanie widziałam prezbiterium, które nie istnieje. To znaczy istnieje, ale jedynie w formie płytkiej wnęki z odpowiednio wykonanymi ze stiuku i namalowanymi kasetonami.

– Odzwierciedla to podstawę konstrukcji psychiki człowieka. Każdego dnia doświadczamy zacierania się granicy między realnością a wirtualnością. Architektura coraz wyraźniej otwiera się na dynamiczny proces związków z otoczeniem. Opierając się na symulacji, tworzy niematerialne, ponadczasowe sekwencje obrazów.

– Ale gdy ludzie są zbyt zajęci wymyślaniem iluzji, zaczynają coraz mniej potrzebować prawdy.

– Tylko w to, co iluzoryczne i zrodzone we własnej głowie, można naprawdę uwierzyć. Iluzje nie są czymś gorszym. Bywają prawdziwsze niż to, co powszechnie uznaje się za prawdę.

– Ty nie uznajesz prawdy powszechnej.

– Bo jest ona dogmatem. A dogmaty stworzono po to, byśmy wielbili gotowy świat w jego pierwotnym kształcie i nie mieli odwagi tworzyć innego.

– Lubisz powoływać do życia nowe...

– Lubię też przeformowywać to, co już istnieje.

– „Gliniana Oaza” jest twoim dzieckiem. Przejęła wszystkie najlepsze cechy swojego ojca. I jest prawdziwa.

– Nigdy tak o niej nie myślałem, ale to trafne porównanie. Jestem jej matką i ojcem jednocześnie. Rodziłem ją powoli, w bólu, ale odebrała dobre wychowanie i dojrzała wcześniej niż rówieśnicy. Stanowi dumę swego ojca.

– Twój ojciec jest dumny z ciebie?

– Bardzo.

– Ciekawe, jaki byłby twój syn.

– Samodzielny, twórczy i ze wszech miar uzdolniony.
– Więc dlaczego nie chcesz podarować światu kolejnego wynalazcy?
– Bo istnieje ryzyko, że w większości mógłby odziedziczyć cechy matki. Kobiety rzadko tworzą, raczej podziwiają to, co stworzone.
– Mają inne zalety.
– I powtarzalne wady.
– To historia ograniczała im prawo do tworzenia.
– Przecież to ludzie tworzą historię.
– Ale mężczyźni zagarnęli dla siebie najważniejsze dziedziny.
– A kto wam broni z nami konkurować?
– Wy sami. Nie uznajecie nas za równoprawne rywalki.
– Tak czułaś się podczas naszego pierwszego spotkania?
– Nie, ten jeden raz rozmawialiśmy szczerze i otwarcie. Słuchałeś mnie, jakbym nie miała określonej płci.

– Wtedy między nami nie było jeszcze jego.
– Kogo?
– Twojego Boga. Potem myślałaś już tylko o Nim.
Nina nigdy nie zrozumiała, dlaczego wiara w Boga odebrała jej mężczyznę życia.
Teraz miała do niego jeszcze jedną sprawę.
– Te pieniądze, które pozyskałam na rzecz rozwoju naszej oazy...
– Leżą i czekają na sfinalizowanie pewnej podjętej już decyzji. Możesz być pewna, że wydamy je z głową. Procedury inwestycyjne już ruszyły.

– Bardzo potrzebuję przynajmniej drobnej części tych pieniędzy. Mogą uratować komuś życie. O nic mnie nie pytaj, po prostu powiedz, że możesz mi je z powrotem przekazać. Zdobędę kolejne, obiecuję, najszybciej jak to możliwe.

– Niestety, spóźniłaś się. W całości przeznaczyłem je na budowę czegoś, czego jeszcze w okolicy nie było.

– Czyli dzięki nim powstaną nowe, jeszcze lepsze domy? To chyba dobrze...
– One powstaną niezależnie od twoich pieniędzy. Rewolucji technologicznej nie da się kupić, trzeba ją wymyślić!

– Czyli istnieje cień nadziei na to, że jednak mogę dzięki nim kogoś uratować?
– Właśnie informuję cię, że one uratują nie jedną osobę, a całą rzeszę potrzebujących. Wraz z kolegą zainwestowaliśmy w budowę najnowocześniejszych na Pomorzu krytych kortów tenisowych. Sfinansowanie niezbędnej infrastruktury pochłonie siedem milionów, ale uszczęśliwi wiele ambitnych jednostek, które w tej chwili nie mogą godnie rozwijać swoich talentów. To absurdalne, że w naszym regionie nikt dotąd nie zadbał o tych zapaleńców. Tak właśnie niszczy się u nas potencjał. Nie dorastamy zachodnim państwom do pięt.

Jakie to egoistyczne – pomyślała Nina.

Jaka ona zmienna i naiwna – nie pozostał dłużny Jerzy. – Kreuje się dla innych na Matkę Teresę z Kalkuty. Zamierza obdarowywać biednych, jakby bogaci już wszystko mieli.

Natchniony swoją wizją, roztaczał przed nią docelowe przeznaczenie otrzymanej kwoty:

– Wyobraź sobie, że już za dziesięć miesięcy stanie na piaskuli zadaszona hala o powierzchni ponad dwóch i pół tysiąca metrów kwadratowych. W środku będą trzy korty ze sztuczną nawierzchnią. Wiele pokoleń lokalnych tenisistów marzyło o obiekcie, w którym byłyby warunki odpowiednie do całorocznego uprawiania sportu. I ja im to marzenie spełnię. Dostaną komfort, stały dostęp i przyjazną atmosferę. Upowszechnię to, co aktualnie jest elitarne.

– Jest kobieta, której życie legło w gruzach. Można by jej pomóc, starczyłoby i na korty.

– Nie da się uszczęśliwić wszystkich, Nino.

Zaczęła drażnić ją rozmowa z Jerzym. Dopiero teraz dostrzegła, że wszystkie jego wizje malowane są z przesadnym rozmachem i wcale nie odzwierciedlają szlachetnego idealizmu, jaki

przypisywał swojej naturze. Bliżej im było do próżnego hedonizmu. Pogodziła się z tym, że nie wspomże Nowakowej darowizną. Z żalem stwierdziła kompletny zanik zainteresowania Jerzego jej osobą.

Nina Ciesielska była mądrą, ale uległą kobietą. Pozwalała mężczyznom ingerować w najbardziej intymne sfery psychiki, a oni chętnie demaskowali jej nierozwiązywalne konflikty. Odkrywszy skupisko słabości, przystępowali do swoich manipulacji. Szybko stawała się posłuszna, cicha i zafascynowana ich życiową zaradnością. Idealizowała męskie zalety, wstydziała się kobiecych wad. Pasował im ten niski poziom samooceny partnerki. Nie ufała ona swojej inteligencji, uważając ją za zbyt szcątkową do zwojowania świata. Panicznie bała się odrzucenia w obawie, że jest za słaba na to, by zaopiekować się sama sobą. Jej gotowość do trwania w pospiesznie zbudowanym związku wynikała z lęku przed samotnością. Wiedziała o tym doskonale, jednak wciąż niezmiennie powielala ów nieszczęśliwy schemat. Traciła zmysły, zanim zdążyła na dobre poznać partnera. Przywiązywała się do niego niczym pisklę do swojego gniazda. Otwierała przed nim najczarniejsze sekrety duszy, tolerowała każdy przejaw jego złego nastroju. Ostatecznie usuwała mu sprzed nóg najdrobniejszy pyłek, żeby przypadkiem się nie potknął. Zachęcani łatwością w sterowaniu jej osobą, dostosowywali Ninę do swoich celów. Była idealną kobietą do bezproblemowego pożycia i regularnego zdradzania. Była kobietą, o której żaden mężczyzna nie myślał poważnie.

Jerzy nawet przez moment nie pomyślał o tym, by odpowiedzieć na jej prośbę. Reprezentowany przez nią rodzaj altruizmu poczytywał za religijną fanaberię i bezrozumny instynkt. Uznał, że jeśli jakiejś dorosłej kobiecie świat nagle legł w gruzach, to musiała sobie na to zasłużyć. Dlatego też – niezainteresowany kontynuacją tego wątku – powrócił do refleksji nad winem:

– Najbardziej popularnym winem Rzymu był falern. Produkowali go od południowych granic Lacjum po rzekę Wolturnus. Horacy kochał się w falernie, a Pliniusz Starszy uważał je za naturalne lekarstwo. Ja i mój instruktor tenisa, Łukasz, zawsze serwujemy sobie wino na rzymski sposób – rozcieńczamy je wodą i pijemy ciepłe. Szkoda, że tak niewielu ludzi zastanawia się dziś nad tradycją wytwarzania wina. Sztuka ta w końcu zaniknie. Pomyśleć, że dawniej Rzymianie na wszystkich nowo podbitych terytoriach, tam, gdzie tylko klimat na to pozwalał, karczowali lasy i zakładali winnice. W chłodnych klimatach do walki z jesiennymi przymrozkami pomiędzy rzędami winnej latorośli rozstawiano specjalnie skonstruowane piecyki na słomę i drewno. Nawet osadzeni na straży rubieży imperium legionieści stopniowo przeistaczali się z dzielnych wojowników najpierw w winogrodników, a następnie w winiarzy i fachowych wytwórców wina. Przechowywali je w glinianych amforach o pojemności trzydziestu pięciu litrów, zatykanych szmatami, skórą i korkiem. Amfory posiadały maleńkie otwory służące wydalaniu dwutlenku węgla, to w nich dochodziło do ostatecznej fermentacji wina. Były smołowane i nie pozwalały na rozwój oraz utrwalenie się zapachu, więc zaczęto stosować aromaty. Początkowo do tego celu używano pieprzu, mirry, anyżku, cynamonu, jak również kadzidla. Sztukę wytwarzania szklanych butelek na wino rzymscy producenci przejęli z Syrii. Od tego czasu wino stało się nieodłącznym atrybutem przeciętnego Rzymianina, tak jak chleb i oliwa.

Nina pomyślała, że w istocie niewielu jest ludzi, którzy w codziennych zmaganiach z rzeczywistością mają czas na przemyślenie tradycji wytwarzania wina. Ale słuchała cierpliwie. Podpojony Jerzy wygłosił wykład o uwalnianiu się soku z winogron oraz wspaniałych ucztach Trymalchiona. Po godzinie raczył swą erudycją już tylko samego siebie, bo bierna słuchaczka w osobie Niny pobladła i poczuła się na tyle źle, że nie była zdolna do wsłuchiwanie się w czyjekolwiek słowa. Najbliżej było jej do tych, którzy kończyli Trymalchionową rozpustę w *vomitorium*. Grzecznie pożegnawszy się, opuściła pospiesznie lokal, by uchronić Jerzego przed konsekwencjami nagłej niedyspozycji. Uraczyła nimi pobliskie krzaki. Chciała jak najszybciej oczyścić wnętrze, żeby rankiem w pełni sił pojawić się znowu w pracy. Niestety, problem powracał kilkakrotnie, więc ostatecznie zamiast do domu, powędrowała do lekarza.

To pewnie reakcja organizmu na kilkudniową głódówkę – myślała, siedząc w poczekalni. – Za dużo się ostatnio działo. Żołądek skurczył mi się do mikroskopijnego rozmiaru i nie wytrzymał nagłego kulinarnego szturm. Może rzeczywiście powinnam, wzorem Jerzego, pić więcej wina.

W gabinecie lekarza dowiedziała się, że musi wziąć dłuższy rozbrat nie tylko z winem, ale i z każdym innym trunkiem, który mógłby uszkodzić rozwijający się płód. Ponadto musiała obiecać, że nie wsiądzie do samolotu przed upływem trzydziestego drugiego tygodnia ciąży, a ponadto będzie unikała przeciągów i towarzystwa palących.

Zaskoczenie Niny Ciesielskiej na wieść o ciąży było najbardziej niezapomnianym doznaniem w jej życiu. Przeczytała kiedyś, że kobieta niemal w każdym momencie swojego życia myśli o dziecku. Macierzyństwo jest zawsze istotnym aspektem jej równowagi psychicznej i emocjonalnej. Podobno staje się głównym bodźcem do pracy, źródłem życiowych ambicji, a także dopełnieniem treści życia. Daje poczucie radości i bycia potrzebnym. Jest przejawem miłości między dwojgiem ludzi, dopełnia ich relację i wiąże ze sobą na zawsze. Dziecko jest przedłużeniem kobiety.

Nina była połączona z Jerzym mocnym i obiecującym początkiem, jak również ogromnym dystansem w kolejnym etapie znajomości. Jeśli wtedy powołali dziecko do życia, to teraz wiadomość o ciąży brzmiała jak abstrakcja. Żadne z nich nie uwzględniło tej możliwości w planie gotyckiej nocy. Nina najpierw zbladła, skuliła ze strachu plecy, ale potem niekontrolowanie rozplakała się w radosnym porywie kobiecego serca. Pożalowała wszelkich negatywnych myśli, jakie sprowadziła do wnętrza swojej duszy podczas ostatniej rozmowy z Jerzym. Nie zasłużył na tak krzywdzącą ocenę swoich dokonań. Jeśli był nieco bardziej bezkompromisowy niż inni ludzie, to dlatego, że miał nieustępliwy charakter i wiedział, czego chce. Od niej wymagał najwyraźniej więcej niż od pozostałych, przeciętnych kobiet. Świadczyć to mogło o jednym – wiązał z nią poważne plany na przyszłość. Chciał, by sprostała próbie. Pragnął podarować jej siebie jako ostateczne trofeum długiej pielgrzymki po wyboistej drodze. W tym świetle wiadomość o ciąży mogła go tylko ucieszyć oraz przyspieszyć rozwój wypadków. Na uboczu architektonicznej działalności Jerzy Dębski stworzył coś równie wielkiego jak gliniane domy.

A jednak na samą myśl o tym, że miałyby go teraz o swoim błogosławionym stanie poinformować, traciła stabilny grunt pod nogami.

Po wyjściu z gabinetu lekarza wolnym krokiem powędrowała z powrotem do mieszkania. Przez całą drogę dłoń trzymała na płaskim jeszcze brzuchu, a po zamknięciu za sobą drzwi natychmiast profilaktycznie zamknęła wszystkie oddychające przeciągiem okna. Co najmniej godzinę zajęło jej rewolucjonizowanie kuchni: do worka na śmieci wrzucone zostały zapasy czarnej kawy, słodycze, a nawet świeże ryby, co do których naukowcy mieli poważne zastrzeżenia, badając ich wpływ na ciężarne kobiety. Nagrzała pomieszczenie do granic wytrzymałości. Skroiła warzywa do miski i połączyła je jedynie kilkoma kroplami drogiej oliwy, a nie – jak miała w zwyczaju – gęstym kremowym majonezem. Była teraz inkubatorem dla istoty, którą należało się zaopiekować. Nina Ciesielska w jednej chwili zaprojektowała najszczelniejszą i najbezpieczniejszą przestrzeń w świecie.

Chwyliła w dłoń komórkę, choć nie wiedziała, do kogo chce zadzwonić. W końcu wybrała numer męczyzny, którego głosu nie słyszała przez długie lata. Był to pierwszy mężczyzna, z którym rozmawiała o dziecku. I – jak dotąd – jedyny, któremu marzyło się, by urodziła je Nina.

– Przypomnij mi, proszę, w jakich okolicznościach zaczęliśmy burzyć to, co miesiącami w pocie serc budowaliśmy – poprosiła zdziwionego Macieja. – Dlaczego nam wtedy nie wyszło?

– Pewnie myślisz, że z powodu dziecka – odpowiedział po chwili namysłu, dzierżąc na prawym ramieniu małego berbecia. – Nie chciałaś go, nie byłaś gotowa. Zrozumiałem. Obiecałem sobie, że poczekam tak długo, jak będzie trzeba.

– Więc dlaczego nie czekałeś?

– Bo od tego momentu stałaś się innym człowiekiem.

– Innym?

– Tak, nieznośnym, zamkniętym w sobie, zbuntowanym i nieprzewidywalnym w reakcjach na proste sprawy.

– Odczuwałam wtedy ogromną presję z twojej strony.

– I przerodziła się ona w depresję. A ja naprawdę starałem się ciebie zrozumieć. Okazałem ci anielską cierpliwość.

– Jednak nie rozumiałeś.

– To ty nie chciałaś dać mi szansy. Uciekałaś w swój wewnętrzny świat, pozostawiając mnie z nieprzegadaniem problemem. Zamknięliśmy oboje. A potem zaczęło się...

– Co takiego?

– Twoje balansowanie na krawędzi. Raz wpadałaś w skrajną rozpacz, innym razem śmiałaś się bez powodu. Nie nadążałem za zmianami twojego nastroju. Uciekałaś w kompulsywne sprzątanie lub milczenie. Agresywnie wypytywałaś mnie o dodatkowy czas spędzany w pracy, sugerując zdrady. Płakałaś podczas wizyt u koleżanek, gdy wspominały o swoich małych dzieciach. Specjalnie nie odbierałaś telefonu, gdy próbowałem dzwonić, przeczuwając grożące ci niebezpieczeństwa. Doprowadzałaś do szału samą siebie. Potem przepraszałaś, zalana łzami, ale za chwilę znów waliłaś mnie w głowę. Chciałem ci pomóc, naprawdę robiłem wszystko, żeby wydobyć cię z tego bagna, które wciągnęło moją ukochaną kobietę po szyję.

– Nie panowałam nad emocjami. Czułam, że zawodzę.

– Te emocje były destrukcyjne. Najpierw zabiły ciebie, potem nas.

– Widziałeś mnie tylko przez pryzmat dziecka.

– Widziałem cię w każdej sytuacji: uśmiechniętą, spłakaną, złą i zawistną. Kochałem wszystkie twoje stany. Gdy przemierzaliśmy razem Europę, byłem najszczęśliwszym facetem na świecie. Wypełniałaś sobą każdą przestrzeń, jaką chciałem poznawać. I wtedy poczułem, że powinniśmy postarać się o dziecko.

– Czyli doszliśmy do punktu, w którym bez otrzymania ode mnie dziecka nie mogłeś mnie kochać dalej.

– Potrzebowałem cię w całości, takiej, która byłaby zwieńczeniem cudownej podróży. Bo przecież nie można przez całe życie podróżować. Trzeba w końcu wybrać swój stały brzeg. Trzeba zamieszkać w domu odpornym na zewnętrzne zawieje.

Słuchając go, pomyślała o Jerzym. Jeśli prawdą było to, co powiedział właśnie Maciej, potwierdzały się jej przypuszczenia dotyczące dzielnego gladiatora z „Glinianej Oazy”, świadomie walczącego o niezatapialny byt innych oraz podświadomie – o nierozmywalność bytu własnego. Jerzy, podobnie jak wszyscy mężczyźni, pragnął więc rodziny i dziecka! Pragnął Niny oraz tej niewidzialnej małej istoty zabezpieczanej w jej wnętrzu.

Tymczasem zmuszony do nieoczekiwanych zwierzeń Maciej rozwinął rozmowę w bolesnym dla swojej byłej partnerki kierunku:

– Poszedłem do specjalisty w dziedzinie psychologii, opisałem mu szczegółowo nasz przypadek. Zasugerował, że cechujesz się osobowością typu *borderline*. Ostrzegł mnie, że dla takich osób jak ty głębokie i romantyczne związki to trudne wyzwanie. Kochając, stają się najbardziej wrażliwe, odkryte, łatwe do zranienia. I tak się stało. Najpierw podarowałaś mi intensywną rozkosz, potem boleśnie rozdarłaś moje serce i pozostawiłaś zięjące zgliszcza. Niby byliśmy razem, ale każde z nas żyło emocjonalnie osobno. Z początkowego uniesienia nie pozostało nic, czego – ratując nas – mógłbym się chwycić. Twoje własne cierpienie nakazywało ci objąć swoim zasięgiem również mnie. Pastwiłaś się nade mną każdego dnia.

– Broniłam się!

– Przede mną? Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy, wiedziałaś o tym.

– Broniłam się przed twoją chorobliwą żądzą, która nakazywała ci wyrzucić ze mnie to dziecko choćby siłą. Czułam to nawet w twoim spokoju i opanowaniu.

– I dlatego burzyłaś je swoimi wybuchami?

– Wiedziałam, że są pozorowane.

– Wiedziałaś wtedy o mnie tylko tyle, ile podpowiedziała ci twoja zaborcza matka oraz pełna urojeń głowa.

– Chciałaś mnie ukarać za niezgodę.

– Ty sama wymierzyłaś sobie niepotrzebną karę. Obiecałem czekać. Ale zrozumiałem, że doprowadzę cię tym do ostatecznego upadku.

– Nie wierzyłeś w moją siłę?

– Ubóstwiany przeze mnie wszystkimi zmysłami kolos okazał się mieć gliniane nogi. Nie chciały podążać za moimi wskazówkami.

– Dość! Nie mogę tego słuchać. Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? Dlaczego wtedy po prostu odszedłeś?

– Bo nie byłem już w stanie postawić granicy uwolnionym przez ciebie emocjom. Zacząłem niebezpiecznie balansować na granicy razem z tobą. Stawałem się do ciebie podobny. Przestraszyłem się karykatury człowieka, którego zacząłem witać rankiem w lustrze. Odpychaliśmy się nienawistnym szalem i werbalną przemocą. Nigdy wcześniej taki nie byłem. Bezradnie obserwowałem, jak dążysz do autodestrukcji. Wewnętrzny głos podpowiadał mi, że za chwilę będziesz wołała nie żyć niż tak mocno cierpieć.

– Cierpiałam, bo nie byłem gotowa na dziecko.

– Nie, cierpiałas, bo nie byłaś gotowa na mnie. Lubiłaś nasze bez troskie, wygodne życie, fascynowały cię podróże i wyjścia do kawiarni. Spędzaliśmy czas dokładnie tak, jak tego chciałaś. To był twój czas. Wkładałem ci na stopy pantofelki, na których gnałaś przed siebie, ciągnąc w oddali mnie. Dziecko zburzyłoby ci ten stabilny schemat. W tamtym czasie odbierałaś rzeczywistość egoistycznie, bez potrzeby głębszej komunikacji z kimkolwiek. Dotarło to do mnie z opóźnieniem, ale uderzyło na tyle mocno, że poszedłem inną drogą. Sam.

– I szybko doszedłeś do innej kobiety.

– Doszedłem do prawdziwego siebie. Tylko w taki sposób mogłem bronić się przed upadkiem na dno, z którego ty nie umiałabyś mnie wydobyć na powierzchnię.

– Nie kochałeś mnie.

– Kochałem bardziej niż samego siebie. Ale to była toksyczna miłość. Ostatecznie zniszczyłaby nas oboje. Już nie wiadomo było, kto w tym związku jest katem, a kto ofiarą. Oboje przekroczyliśmy granice tej miłości.

Nina połykała gęste jak krople żywicy łzy. Każde wypowiedziane przed chwilą przez Macieja słowo rozcinało jej duszę na kolejne części. Nigdy wcześniej tak jednoznacznie nie pomyślała o prawdziwym ukaraniu siebie za krzywdę wyrządzoną innym. Nie zdawała sobie sprawy z toksyczności własnej natury. Jediną metodą doznania ulgi wydawało się teraz samobójstwo. Jak na ironię, wizja ta zbiegła się w czasie z ciążą. Podczas gdy w łonie Niny rozkwitał początek nowego życia, jego dawczyni odkryła, że jest naznaczona syndromem *borderline*.

Postanowiła natychmiast poprosić swojego Boga o przebaczenie.

18.

Po raz pierwszy od kilku miesięcy Nina poszła do kościoła. Wcześniej robiła to regularnie i niezależnie od stanu ducha.

Rozmowa z Bogiem stanowiła dla Niny ważny aspekt porządkowania osobowości oraz refleksji nad nie zawsze logicznymi jej przejawami. W świątyni czuła się bezpieczna i akceptowana, nawet jeśli świat chwilowo ją odrzucał. Rozmyślała o swoich udrękach, a tych nie brakowało. Dzieliła się smutkiem samotności, prosząc Jedyne Ojca o zesłanie prawdziwej bratniej duszy. Łkając, dziękowała za drobne sukcesy i radosne nowiny. Karciała się za materialne rozpasanie, zbyt swobodne korzystanie z teraźniejszości oraz milczenie w rozmowie z ateistami. Traktowała modlitwę jak podniesienie ducha do Boga. Dzięki niej odwracała się od widzialnego świata, a wszystkie siły swej duszy zwracała do Stwórcy, aby się wzmocnić w poznaniu i miłości prawdy. Im wyżej wznosiła się duchem, tym szerszy horyzont zakreślał jej wzrok: obejmowała rozumieniem większy obszar całości, podczas gdy poszczególne rzeczy wydawały się coraz mniejszymi. Uznawała swoją słabość i niemoc, szukała światła w mrocznej rzeczywistości zarządzanej przez człowieka. Modlitwa była dla niej ważna jak życie. Stanowiła oddech duszy i odwracała ją od podszeptów egoizmu.

Ostatnio Nina zapomniała, jak to jest wierzyć i ufać najlepszemu z mężczyzn. Targana wyrzutami sumienia, pomknęła więc na ukradkowe spotkanie ze swoim Bogiem. Tradycyjnie wybrała godzinę, podczas której byli zwykle w świątyni sami.

Kościół świętego Jacka może i nie był popisową perłą baroku, ale w jego wnętrzu zawsze udawało się Ninie zamknąć przed światem niczym w ozdobnej muszli. Wzniesiono go w XV wieku jako obiekt salowy, a w XVII wieku przebudowano według barokowych prawideł sztuki sakralnej. Wieżę zwieńczono hełmem pokrytym miedzianą blachą. Nina w patetycznym uniesieniu przechadzała się obok nagrobnych płyt oddzielających przedstawicieli dynastii Gryfitów i Croyów, którzy pomarli wieki temu, od świata żywych. Ołtarz główny i ambonę ufundowała bogobojna Erdmuta, żona księcia pomorskiego Jana Fryderyka, natomiast zabytkowe organy – księżna Anna de Croy. W jakiś cudowny sposób zawierucha dziejowa pozwoliła im prawie w całości zachować się w oryginalnej formie. Pozostała część domu Bożego nie miała tyle szczęścia. W XVI wieku, w czasie rozruchów związanych z wprowadzeniem reformacji, tłum napadł na klasztor, demolując go i grabiąc, a wnętrze kościoła spalono. Po tym incydencie dominikanie opuścili miasto. Ale dla słupszczan klasztor pozostał jednym z najważniejszych miejsc w grodzie nad Słupią: nieotynkowany, jednonawowy, ośmioprzęsłowy, z przylegającymi do obu stron wieży zdobnymi półszczytami, a nade wszystko – symetrycznie odbijający doskonałość sfer niebiańskich. Niezwykły klimat wnętrza tworzyły małe ostrołukowe okna z maswerkami. Wyposażenie oddzielonych od siebie pomieszczeń zdradzało wysoki poziom artystyczny ówczesnych twórców oraz hojność fundatorów. Razem stworzyli oni uniwersalne miejsce do modlitwy.

Architektura kościoła nie stanowiła dla modlitwy jedynie tła. Było w niej zawarte coś jeszcze – niewidzialne piękno. Podświadomie wpływało ono na chęć stania się kimś lepszym. Sprawiało, że rzeczywistość duchowa, choć z natury niewidoczna dla oczu, w cudowny sposób stawała się dostrzegalna i namacalna. Tutejsze piękno należało więc jednocześnie do porządku transcendentalnego i metafizycznego.

Nina lubiła zaglądać do wnętrza Jackowego przybytku, by w ciszy i skupieniu snuć swój monolog kierowany w stronę wizerunku ukrzyżowanego Chrystusa, spoglądającego na nią z głównego ołtarza. Nie oczekiwała od niego odpowiedzi, chciała jedynie czuć, że słucha, rozumie i dzieli z nią duchowe cierpienia. Spływała na nią refleksja, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Jeśli w życiu spotyka człowieka przykre doświadczenie, to powinien on zastanowić się, dlaczego tak jest. Do tego potrzebna była ogromna pokora, która często wskazywała na absurdalny charakter własnych zachowań czy wyborów. Dzięki tym spotkaniom Nina przestała szukać winy w Bogu, bo coraz częściej dostrzegała ją w sobie. Zrozumiała, że Bóg nie zrzuca na człowieka więcej, niż zdoła on udźwignąć.

Ale tego dnia przyniosła mu na swych kruchych barkach morderczy ciężar, pod którym łamała

się. Doszła z nim nad krawędź głębokiej przepaści. I nie była w stanie pójść dalej. Złożyła swój krzyż u stóp Ukrzyżowanego i milcząco wpatrywała się w jego zastygłe oczy. Nie wiedziała, od czego zacząć rozmowę: poskarżyć się na swój upadek czy od razu prosić o łaskę przebaczenia próżnej naiwności.

W pierwszej kolejności pozbierała więc w oszołomionej głowie opinie o Jerzym i postanowiła uporządkować je przed Wszechwiedzącym. Jej własna subiektywna ocena mogła wydać się Bogu niewiarygodna, dlatego też odwołała się do wiedzy, którą mieli również inni. Nikt nie poddawał w wątpliwość tego, że Jerzy Dębski to genialny architekt i wykwalifikowany w swoim zawodzie fachowiec. Doskonale zarządzał firmą, która stała się potentatem w swojej branży. Zmysłu do robienia dobrych interesów zazdrościli mu wszyscy. Niewielu jednak zauważyło, że sukces „Glinianej Oazy” zrodził się głównie z kobiecej naiwności. Jej twórca nauczył się żeńskiego pierwiastka mistrzowsko, tak jakby na chwilę stał się jakimś cudem kobietą, by przekopować do swojej duszy wszystkie jej pragnienia, niepewności i lęki. Dawał zatrudnianym przez siebie kobietom to, czego nie mogły uzyskać u swoich szefów inne: prestiż, pieniądze, elastyczny czas pracy. A gdy już w imię tych wartości zrezygnowały z siebie, on rezygnował z nich. Pozwalał im pracować na zrealizowanie swoich wizji, ale szybko stawały się niewidzialne. Nie mogły nawet w jego towarzystwie swobodnie się wypowiadać. Jerzy Dębski degradował kobiety do coraz niższych kręgów swojej oazy. Chociaż awansowały zawodowo, czuły się coraz mniej znaczące.

Nie dostrzegało się tego od razu, po wejściu do firmy widziało się uśmiechniętych, pewnych siebie ludzi, mocno zaangażowanych w pracę i powierzone im obowiązki. Tylko mężczyzna mógł od razu zauważyć, że wśród nich są prawie wyłącznie kobiety. I że nie uśmiechają się szczerze.

Stawały się jego ofiarami na własne życzenie. Współczesny świat otworzył przed nimi nieograniczone możliwości rozwoju ciała, ducha i umysłu. Podarował im niespotykany dotąd komfort, rozszerzył granice wolności osobistej, uczynił je prawdziwymi kowalkami swoich losów. W dobie szybkich i spektakularnych karier zaoferowane tym spragnionym luksusu niewiastom dobrodziejstwa okazały się pułapkami, w które łatwo wpadały. W krótkim czasie zburzyły jedyną słuszną i uniwersalną hierarchię wartości, na czele której stały cnota oraz prawość. Kobiety ulepione z gliny uznały owe pojęcia za archaiczne i niemodne. Szukały nowych autorytetów, takich jak awangardowy Jerzy. Opanował on ich zdeorientowane umysły z wyjątkową łatwością. Zaszczepił im bezwzględność oraz hipokryzję jako zjawiska powszechne oraz niesłusznie budzące poczucie winy. Przemienione wewnętrznie wyznawczyni dyktatora nowej mody zaczęły usprawiedliwiać własne agresywne zachowania. Dzięki nim dostały obiecany luksus. I na tym gruncie wyrosła nagle zbiorowa osobowość *borderline*. Związały się ze swoim Dawcą Rozkoszy więzami silniejszymi niż rodzinne.

Chcąc spełnić oczekiwania wymagającego świata, zapłaciły za nie wysoką cenę – sprzedały dusze Schizofrenii i Nerwicom, zapraszając do swego życia potężne Lęki i Depresje. Wystraszyły się drugiego człowieka, który mógłby być lepszy i bardziej wytrzymały niż one. Wyhodowały w sobie strach przed zostaniem „wchłoniętą” przez drugą osobę. Miały coraz większe trudności w jednoczesnym doświadczaniu „dobrych” i „złych” przejawów osobowości ludzi z bliskiego otoczenia. Odbierając je skrajnie, często zmieniały wobec tych ludzi postawy. Przechodziły od uwielbienia i idealizacji do nienawiści i dewaluacji, jak Jerzy wobec swoich Ines! On sam dawał im sobą najbardziej wyrazisty przykład ekstremalnego eksperymentowania z przekraczaniem granic.

I wtedy pojawiała się jakaś Nina, która myślała, że jako jedyna tak jasno to wszystko widzi. Przekonana o swojej nieomyślności, fantazjowała na temat ratowania rozchwianej wewnętrznie jednostki Pana Oazy przed nią samą. Ignorowała własną złość, akceptowała odrzucenie, zezwalała na przekraczanie względem niej etycznych norm, mając nadzieję, że w ten sposób otworzy błędacemu i zaślepienemu oczy. Jednak stopniowo traciła grunt pod nogami. Skacząc ponad kolejną przeszkodą, jaką jej serwował Ten Jedyny, wpadała w bezdenną otchłań poczucia winy i bezsilności. Wtedy rodził się syndrom *borderline* u niej, jako ofiary.

Przedstawiając Bogu Jerzego, Nina przypomniała sobie nagle przykre wydarzenie z zakurzonego w zwojach pamięci dzieciństwa. Uczęszczała do przedszkola, które słynęło z rozwijania wcześniej ujawnionych talentów. Matka nie odnalazła w córce żadnego, ale miejsce to miało sprzyjać precyzyjnym

poszukiwaniom. Mała Ninuszka śpiewała fatalnie, malowała raczej abstrakcyjnie, a piłka do siatkówki wypadła jej z dziurawych rąk. Wreszcie odkryto, że ciągnie ją do przygotowywanych na różne specjalne okoliczności teatralnych scenek. Pełna entuzjazmu wpadała na drewniane podwyższenie, bawiła widzów nienagannym gestem i wszechstronną modulacją głosu. Potrafiła wcielić się zarówno w krasnoluda, jak i złą macochę czy okrutną czarownicę.

Pewnego dnia do przedszkola przyszedli przedstawiciele miejscowego teatru, którzy postanowili wśród nieoszlifowanych jeszcze diamentów złowić te najbardziej obiecujące. Ninę wraz z innymi młodymi aktorami ustawiono w rzędzie pod ścianą, po czym starsza dystygowana aktorka z czerwoną szminką na ustach podchodziła do każdego z nich, uważnie oglądając zastygłe w niepewności dzieci. Było to ich być albo nie być! Po przeglądzie potencjalnych następczyń Marilyn Monroe i Clarka Gable'a, ogłoszono werdykt. Zaproszono do współpracy wszystkie dziewczynki poza Niną oraz wszystkich chłopców bez wyjątku. Nikt nawet na nią nie spojrział. I wtedy wydarła się wniebogłosy pięknym scenicznym śpiewem wydobytym z nadprogramowo utuczzonego mięsem ciała. Nie miała pojęcia, że może tak śpiewać. Zresztą nigdy potem już tego nie powtórzyła. Był to jakiś jednorazowy wypust talentu, którego nie odziedziczyła. Stanowił on formę nadprzyrodzonego buntu przeciwko tamtym. Chciała ukarać ich całym swoim jestestwem, które pominęli. Niestety, całą sobą przegrała konfrontację z walorami estetycznymi rówieśników. Od tego czasu Nina nigdy już nie stanęła naprzeciwko audytorium i nie najadła się do syta.

Myśląc teraz o Jerzym, czuła podobne odrzucenie. Na scenie „Glinianej Oazy” swoje role odgrywały piękne i zgrabne aktorki, które reżyser osobiście rekrutował do sztuki. Przechadzały się obok Niny – pewne siebie i tego, że jest gorsza od nich. Najczęściej po prostu nie zwracały na nią uwagi. A jeśli musiały ją zwrócić, jak Ines, odbywało się to wyłącznie z inicjatywy nieufającego statystom szefa. Tak, była jedynie statystką najdalszego planu, którego istnienie pomijał w toku codziennych spraw. Oddelegował ją w niebyt, nie dostrzegłszy, że dla niej praca w firmie stała się najważniejszą rolą w życiu. Biernie poddawała się nastrojom reżysera, ale on wciąż promował inne aktorki. Była o nie zazdrosna, bo w tłumie odbierały Ninie to, co miała, gdy spotykała się z Jerzym w duecie. Pracowały wydajniej, bo były w firmie dłużej. Nie zaliczały wpadek, bo były mądre i wykształcone. Pogodziła się z myślą o tym, że sypiał z każdą z nich, bo nie mogła rozliczać go z przeszłości, w której nie było jeszcze jej osoby. Cierpliwie czekała na zostanie jego Marilyn Monroe, ale z każdym dniem coraz bardziej spoglądał na nią jak na trędowatą. Wreszcie utonęła w sieci powstałych w ostatnim czasie sprzeczności.

Jerzy Dębski miał dwa skrajnie odmienne oblicza, których nie potrafiła zespolić w jednym człowieku. Potrafiła jedynie kochać go i nienawidzić jednocześnie. Również dwubiegunowo.

Gdy próbowała złożyć rozerwane myśli w zwartą całość, kilka ławek przed swoją dostrzegła kontur męskich ramion zakończonych modlitewnym splotem dłoni. W całości był on zwrócony w stronę Bolejącego Chrystusa i harmonijnie stopiony z pozłacaną iluminacją nawy głównej. Należał do rosnącego mężczyzny o szpakowatych włosach, których zaczesane na bok pasma wydały się Ninie znajome. Dopiero gdy zakaszła charakterystycznym dla siebie tonem, rozpoznała w nim dawnego pracodawcę. Naturalny instynkt poniósł ją do ławki bliższej Ukrzyżowanemu.

– Dzień dobry, panie Adamie – przywitała go subtelnym szeptem. – Widzę, że i pan lubi tu zajrzeć w ciągu dnia.

– Pani Nineczko kochana, jakże miło panią widzieć! – odpowiedział, szczerze zaskoczony i uradowany widokiem swojej ulubionej księgowej. – Czy lubię, to nie wiem, ale ostatnio spędzam tu większość czasu, jaki mi pozostał.

– Przecież mieliście wyjechać do Ameryki i zacząć nowe życie. Zmieniliście plany?

– Ten tutaj je zmienił – uśmiechnął się dobrodusznie, wskazując palcem na miedzianą figurkę Chrystusa. – Wyjechaliśmy, tak jak obiecałem żonie, by uratować nasze małżeństwo. Początkowo wszystko układało się dobrze, to znaczy, zgodnie z przyjętym przez nas planem naprawczym. Żona wybaczyła mi zdradę i przestała ciągle rozliczać mnie z błędów przeszłości. Postanowiliśmy z optymizmem patrzeć w przyszłość oraz obficie korzystać z dobrodziejstw terażniejszości, a nade wszystko – spędzać czas w swoim tylko towarzystwie. Chcieliśmy odzyskać stracone chwile,

wierzyliśmy, że jest to możliwe. Kupiliśmy niewielki domek pod Waszyngtonem: biały, jednopiętrowy, ze spadzistym dachem. Zakochała się w zapachu drewna białej boazerii! Całe dni spędzaliśmy na wystłonecznionej werandzie, wsłuchując się w odgłosy amerykańskiego przedmieścia. Rozmawialiśmy o dzieciach, ich talentach i zawodowych sukcesach. Wspominaliśmy pierwsze miesiące wspólnego życia. Byłem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, mogąc głaskać jej opalone popołudniowym słońcem policzki. Każdym ich muśnięciem starałem się wynagrodzić niedawne zbłądzenie. Uspokajała się, droga pani Nineczko, to naprawdę działało terapeutycznie i oczyszczająco.

– Czyli możliwe jest odzyskanie straconego czasu?

– Tak, ten cud jest nam dostępny. Pod warunkiem, że odpowiednio wcześniej zrozumiemy, po co zeszliliśmy na ziemię.

– Przyszliśmy, żeby istnieć, na Jego wzór i podobieństwo.

– I przyjęliśmy założenie, że życie jest nasze.

– A nie jest? Powołaniem człowieka jest realizacja jego najwyższych celów – stawanie się doskonalszym moralnie i mądrzejszym.

– A potem bogatszym, bardziej rozpoznawalnym w społeczeństwie, budzącym ogólne uznanie, kolekcjonującym coraz droższe fetysze, szukającym nowych podniet. W ten sposób świat zawsze służy człowiekowi jako narzędzie realizacji celów. A sam człowiek nie może już nasycić się światem. Czas przestaje być wartością. Podobnie jak to, po co został nam podarowany.

– Czyli świadome istnienie?

– Nie, pani Nineczko. Drugi człowiek.

– Chce mi pan powiedzieć, że istniejemy tylko przez drugiego człowieka?

– Istniejemy dla drugiego człowieka. I robimy wszystko, by tę prostą prawdę zdewaluować.

Tymczasem w niej tkwi nasza prawdziwa siła połączona z niezbywalnym bogactwem. Najważniejszą dziedziną w życiu, droga pani Nineczko, nie jest sfera rzeczy materialnych, lecz ściśle ludzkich. Oduczyliliśmy się dawać: swoją radość, swoje zainteresowanie, swoją wiedzę, humor i swój smutek. Zapomnieliśmy, że dawanie samo w sobie jest doskonałą radością i miłością. W akcie dawania coś się rodzi, a obie strony odczuwają wdzięczność dla życia, które zrodziło się dla nich obojga. Kwintesencją dojrzałej miłości jest dawanie bez oczekiwania na rewanż. I ja w końcu postanowiłem podarować swojej żonie po prostu siebie.

– Ma pan absolutną rację. Czulałam to pod skórą od dawna, ale zagubiłam tę złotą myśl gdzieś po drodze.

– Bo, jak większość z nas, biegła pani, zamiast po prostu iść. A wtedy to, co ważne i wymagające wysiłku, traktujemy jako zbędny balast. Szukamy lekkości bytu, nie kwintesencji.

– Od początku wiedziałam, że celem życia jest odpowiedź na miłość Boga – odwzajemnienie jej naszą miłością. A tę możemy zrealizować tylko poprzez uwielbienie drugiego człowieka. Zapomniałam...

– No więc ja nauczyłem się uwielbiać. Przeprosiłem moją Gołębicę za tamtą kobietę, która stała się dla mnie nośnikiem fałszywych wyobrażeń i próżnych pragnień mężczyzny w kryzysie wieku średniego. Wraz z dawnym życiem pogrzebałem wspomnienie upojnych nocy i fizycznych uciech przywracających mi młodość. Założyliśmy nieźle prosperującą w warunkach zagranicznych firmę transportową. Przestaliśmy oczekiwać kokosów, zadowalał nas przyzwoity zarobek umożliwiający minimalistyczne uczestnictwo w materialnym wymiarze rzeczywistości. Zaczęliśmy razem gotować, bo wcześniej włóczyliśmy się od jednej restauracji do drugiej. Czy pani może sobie wyobrazić, że ja zapomniałem, jak smakuje tradycyjny polski schabowy?! Zapisaliśmy się na lekcje angielskiego, z radosnym dystansem przyznając, że lata intelektualnej świetności mamy już dawno za sobą. Chodziliśmy do kina, biegaliśmy po usłanych miękką trawą nawierzchniach podmiejskich parków, wypiekaliśmy pachnący chleb i zapraszaliśmy do siebie przypadkowo spotkanych rodaków. Żadne z nas nie pamiętało już o wcześniejszym życiu. To, co zdarzyło się w Polsce, pozostało w Polsce.

– A jednak wróciliście do kraju. Dlaczego?

– Bo nie ma zbrodni bez kary, droga pani Nineczko. Rozsmakowałem się w nowym życiu tak

bardzo, żeby ten oto Wiszący na Krzyżu mógł tym srożej mnie doświadczyć. Nie da się po prostu przedawnić swoich krzywd wyrządzonych drugiej osobie, trzeba uregulować rachunek względem tego, którego dzieło wystawiło się na bolesną próbę.

– Przecież pan nie wierzył w Boga. Był pan zły na żonę, że ośmieliła się uwierzyć.

– Karałem ją za to każdego dnia. Moja miłość podszyta była wstrętną pogardą dla jej religijnych wartości.

Nina automatycznie znalazła analogię do relacji jej i Jerzego. Z jeszcze większym zainteresowaniem chłonęła słowa swojego dawnego pracodawcy, który wydawał się jej teraz zupełnie innym człowiekiem. Miała wrażenie, że oprócz niej, równie uważnie przysłuchuje się tej spontanicznej spowiedzi Wiszący na Krzyżu.

– Wyzbył się pan pogardy?

– Tak, lecz była to najtrudniejsza lekcja, jaką w życiu odbyłem. Rajska sielanka za oceanem została nagle przerwana wiadomością o chorobie mojej Anielicy. Miała raka. Diagnoza nie pozostawiała złudzeń – rozległy nowotwór płuc z przerzutami do innych kluczowych narządów. Nie wiedzieliśmy, że od kilku lat chytrze rozwijał się w milczącym oraz niewysyłającym żadnych sygnałów wnętrzu tej niezłomnej matki i żony. Pewnej nocy zaczęła dusić się, z trudem łapiąc oddech. Natychmiast zawiozłem ją do szpitala i w nim już została. Płakałem wtedy jak dziecko, po raz pierwszy w życiu. Płakałem tak mocno, że powieki spuchły mi, zasłoniwszy pół twarzy! Poczulem smak bezbronności, niemocy i lęku przed stratą najbliższej sercu istoty. Błagałem ją, by została. Groziłem odebraniem sobie życia. Zamieszkałem przy krawędzi jej szpitalnego łóżka, uczyniwszy z niej jedyne oparcie. Po krótkiej, lecz heroicznej walce odeszła – cicha, spokojna i pogodzona ze śmiercią. Załamałem się. Wróciłem do Polski, gdzie po cichu ją pochowałem.

– Nie wiedziałam.

– Nikt nie wiedział. Nie byliśmy w stanie odbierać kondolencji.

– To dobrze, że wróciła do domu.

– Pomyślałem, że lepiej będzie, gdy spocznie tu, gdzie się poznaliśmy, pokochaliśmy, założyliśmy rodzinę, staliśmy się sobie najpierw bliscy, a potem dalecy. Staralem się tradycyjnie, po męsku, szybko wrócić do normalnego funkcjonowania, ale nie wiedziałem, gdzie się podziać i do kogo pójść ze swoją skargą. Samotność zajrzała mi w oczy i wlała mi się gęsto do duszy. Tak jak moja Anielica, rozsypałem się w proch, tyle że za życia, którego nie umiałem sobie odebrać. Przestałem czuć własne istnienie: nie panowałem nad ciałem, utraciłem zainteresowanie czymkolwiek, nie reagowałem na dzień i noc. Spałem albo świdrowałem oczami ścianę. Podczas jednej z wieczornych włóczęg, na które czasem się zdobywałem, trafiłem przypadkiem do tego kościoła. Chciałem pogrozić palcem temu, któremu bezgranicznie ufała. Chciałem wyzwać go na pojedynek! Nigdy nie rozumiałem źródeł jej fanatycznej religijności. Rozmodlona – wydawała mi się ograniczona umysłowo i intelektualnie.

– Pańska żona dawała piękne świadectwo swojej wiary. Naśladowałam ją w tym i ja.

– Ja z kolei pielęgnowałem w sobie ogromną złość z tego powodu. Nam, współczesnym, wiara w Boga wydaje się czymś śmiesznym i anachronicznym. Oddala nas od ludzi, którzy zasługują na nasz największy podziw. Widzimy słabymi tych, którzy są prawdziwie silni i mądrzy. W gruncie rzeczy sami służymy kapitalistycznym bożkom. Stawiamy świątynie z firm, lokujemy w nich ołtarze z sejfów, rekrutujemy owieczki, oczekując, że będą składać nam należny odgórnie hołd i ofiarę swoją niewolniczą pracą.

– To prawda. Walcząc z Bogiem, zrodziliśmy różne zwyrodniałe formy jego wcieleń. Stanowią one odbicie naszego okrucieństwa.

– Ja zapragnąłem ukarać Go za okrucieństwo, jakie zesłał na moją rodzinę. Śmierć żony wydała mi się dostatecznym powodem, by podważyć Jego boskość. Ale gdy usiadłem w tej właśnie ławie – wzburzony i ociekający nienawiścią – zamiast własnych bluźnierstw usłyszałem Jego głos. Przemówił do mnie cicho i łaskawie. Zapewnił, że przebacza i dobrze się nią zaopiekuje do czasu ponownych zaślubin. Wtedy zrozumiałem, że to nie On jest winien mojej samotności. Ja sam ją na siebie sprowadziłem! Śmierć mojej Gołębicy była karą za grzech cudzołóstwa.

– Nie wolno tak myśleć. Choroba nie jest karą.
– Niezależnie od tego, czym, według pani i tego tam Wiszącego na Krzyżu, jest, zrozumiałem, że byłem złym człowiekiem, niegodnym miłości. Dlatego miłość ode mnie odeszła.

– Prawdziwa miłość nie umiera wraz ze śmiercią. Nie umiera już nigdy. To jedna z tajemnic Boga.

– Ja nawet nie próbuję ich pojąć. Będę się smażyć w piekle w najniższym kręgu Dantego, tam, gdzie przebywają zdrajcy. Ale przyjmę swój wyrok z pokorą.

– Piekło wymyśliliśmy sobie sami. Są kary większe niż ono. Jedną z nich jest stan naszej świadomości. Na szczęście, za sprawą naszego Boga, z tego piekła jest wyjście.

– Nie wiem, dlaczego zaglądam do tego kościoła. Wiary bezwzględnej się nie nauczyłem, dialogu z Bogiem nie nawiązałem...

– Ale nauczył się pan rozmawiać z samym sobą. To niezwykle ważne.

– Patrząc w martwe oczy Wiszącego na Krzyżu, zrozumiałem, że ważne jest to, droga pani Nineczko, żeby osadzić życie na silnych moralnych podstawach. I wcale nie chodzi o to, by stawiać sobie przesadne wymagania moralne czy ścigać się z Bogiem. Moralność to podstawa.

– Czymże jest dzisiaj moralność?

– Tym samym co zawsze. Składa się na nią kilka uniwersalnych drogowskazów życiowych, wspólnych wszystkim ludziom. Nie musi to być Dekalog – jak przekonywała moja żona. Ale w jednym miała rację – coś musi być!

– Była niezwykłą kobietą.

– Stała się moją nauczycielką życia, ale dopiero wtedy, gdy się z nim rozstawała. Nauczyła mnie, że tylko człowiek wyposażony w moralny kręgosłup potrafi stawić opór pokusom. Późno zrozumiałem jedną z podstawowych prawd o świecie: po to człowiek posiadał rozum, żeby posługiwać się nim w sprawach moralności. Trzeba umieć rozróżnić dobre skłonności od złych. Ja nie znosiłem religijności mojej żony i wykazywałem nadmierną skłonność do demonstrowania tego swoim zachowaniem. Irytowała mnie okrutnie infantylnymi modlitwami, odbierając sobie cały animusz, jaki przywiązał mnie do niej. Traciłem nie tylko cierpliwość, ale i zainteresowanie jej osobą. Uznawałem za śmieszne to, czego nie chciałem wyhodować w sobie. Nie uszanowałem jej prawa do wolności i samostanowienia, tym samym hamowałem mojej Anieliczy wyrażanie siebie. Ona chciała mnie tylko nauczyć tworzenia własnego kręgosłupa moralnego.

– I chyba udało jej się to.

– Ma pani rację, ona nie odeszła wraz ze śmiercią. Coraz częściej przemawiam jej głosem. Teraz to ja przekonuję nasze dzieci, że trzeba zakorzenić się w wartościach i nie pozwalać sobie na ciągle przesuwanie granic. Kręgosłup moralny jest związany z prawami wszechświata, wynosi nas na poziom prawdziwej wolności, tam, gdzie jest miłość, światło, radość i szczęście. Warunkiem przyjęcia i dawania miłości jest bycie wolnym. Życie jest w gruncie rzeczy proste, pani Nino, to człowiek je sobie komplikuje. Źródłem szczęścia jest stabilny fundament. Na glinianych nogach wzrastają jedynie kolosy bez kręgosłupa. Zwalają się swoimi cielskami na innych, uśmiercając ich dzień po dniu.

Nina wyprostowała się jak struna. Chciała, by przemawiał dalej. Zachęciła go do tego swoim milczeniem.

– Pani jest kobietą, pani rozumie. Akceptacja uczuć, skłonności i emocji drugiego człowieka jest niezbędnym elementem szczęśliwego z nim pożycia. A przecież wszyscy chcemy być szczęśliwi! Popęlniamy błąd, zakładając, że będziemy szczęśliwymi wtedy, gdy kochana przez nas osoba stanie się bliska wyimaginowanemu ideałowi. W pogoni za wyobrażeniem – obietnicą szczęścia, przestajemy kochać realną osobę. Roszcząc sobie prawo do posiadania ideału, szukamy jego ludzkich substytutów, które traktujemy jako narzędzia do wytwarzania szczęścia alternatywnego. Nigdy więcej nie zdradzę żadnej kobiety.

– Nie, panie Adamie, jestem pewna, że nigdy więcej nie zdradzi pan siebie.

– Jedyną osobę, która kochała mnie miłością bezwarunkową, zdradziłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem.

– Był pan przy niej, kiedy zęgnęła się ze wszystkim, co kochała. Z miłości do pana pokonała strach przed śmiercią. To najwyższy rodzaj przebaczenia, jaki mogła panu okazać.

– Byłem okrutny i bezwzględny. Sprawianie jej przykrości stanowiło dla mnie główną siłę napędową wszelkich przejawów małżeńskiej relacji.

– Ale ostatecznie nie dał się pan tej sile zniewolić.

– Człowiek jest tak dobry, jak jego najmniej etyczny czyn.

– Człowiek jest tylko człowiekiem.

Długie milczenie zawisło między nimi i wypełniło wnętrze zimnego kościoła jakimś nieracjonalnym ciepłem. Pan Adam wspomniął w myślach uśmiech swojej umierającej żony, która do końca trzymała go za rękę. Nina otwierała serce na przyjęcie wszystkich paradoksów Jerzego.

Myślała o dwóch światach: jego Rzymie i swojej pustyni zamieszkaną przez Boga. Pierwszy tworzyli głównie patrycjusze: ludzie zamożni, piękni, wybitni, z artystycznym zacięciem. Celem ich życia drugi człowiek był tylko wtedy, gdy przyczyniał się do zapewnienia im sławy. Kochali splendor, przepych, ale też kochali życie i chcieli je ulepszać swoimi wynalazkami. „Gliniana Oaza” była więc Rzymem! Tak jak dawniej, poruszały się w nim kobiety o niebywałej urodzie, ciągle zabiegające o to, by nie mieć konkurencji. Pomimo znacznego podobieństwa zewnętrznego różniły się charakterem i marzeniami. Jednakże cel miały wspólny – zabiegały wyłącznie o własne szczęście. Jego realizację zapewniał im cesarz o kamiennej twarzy gladiatora. Wybrukował drogę trzema narzędziami wytwórczymi: hedonizmem, estetyzmem oraz sceptycyzmem. Przyjęcie tych postaw gwarantowało powodzenie i zaspokajało żądze. To nic, że żyli w wewnętrznym zakłamaniu, w ich świecie prawda była mniej popularną wartością.

A jednak w duszy cesarza-gladiatora musiała toczyć się trudna walka, o której nie informował przedstawicielei swojego świata. Poinformował za to ją – skromną Ninę. Uciekł z większego miasta, wymknął się sidłom korporacji, porzucił salony i tytuły. Szczerze i wytrwale próbował zagnieździć się w prostszej, choć uboższej przestrzeni. Zrezygnował z wystawnych potraw oraz gromadzenia zbędnych przedmiotów. Zainteresowała go idea recyklingu. Obok prawdy, pragnął też umiaru, spokoju i wewnętrznej harmonii. Jednak panicznie bał się tego, że utonie w szarości drugiego ze światów. Najwidoczniej ubóstwo kojarzyło się mu z nędzą lub niedołą, a życie we wspólnocie – z uśmierceniem indywidualizmu. Bał się też kobiet z tamtego świata: dobrych, wrażliwych, wiernych i gotowych do poświęcenia siebie w imię rodzinnego życia. Poruszanie się w określonych granicach wydawało mu się nudne i podejrzanе, jakby założył, że w tym drugim świecie ktoś ulepi go raz na zawsze niezmiennego i niedysponującego własną wolnością.

Wpatrzona w barokowe ornamenty Nina doznała iluminacji.

– Nareszcie zrozumiałam – wyszeptęła do samej siebie. – W Jerzym Dębskim zatarły się granice dwóch światów. Przynależę do obu z nich jednocześnie, co zrodziło wewnętrzny konflikt. Jego tragizm pogłębia przekonanie, że pierwszy ze światów jest lepszy od drugiego. Obok tego, do czego się przyznaje, jest też tak naprawdę tym, czym wzgardził. Podświadomie prześladowuje gości z krzyżem w sercu, bo rozdzielili cesarskie od boskiego! A on jest Bogiem i cesarzem.

Odkrywszy faktyczne powody nielogicznych zachowań Jerzego, uśmiechnęła się porozumiewawczo do Gospodarza świątyni. Spostrzegęła, że usta siedzącego obok niej pana Adama ułożyły się do modlitwy. Wyszeptęwał ją tonem spokojnym i majestatycznym. Rozmawiał z Bogiem, żoną oraz samym sobą. Był prawdziwy. Przestał być szefem, stał się człowiekiem. Gdy skończył, zapytała:

– Słyszał pan o tragedii Katarzyny Nowak? Ona również poniosła okrutną stratę.

– Tak, w naszym mieście trudno jest ukryć takie rewelacje.

– To stało się niedługo po tym, jak opuściła firmę, w której razem pracowałyśmy. Podobno nie dawała sobie z tym wszystkim rady...

– Poniekąd czuję się winny śmierci tego dziecka. Przyszła do mnie w sprawie pracy, ale odprawiłem ją z kwitkiem. Wygodniej jest mi o niej nie myśleć.

– Katarzyna była dobrym pracownikiem, a te telefoniczne rozmowy, które zarejestrowała

kamera, o których pewnie opowiedział panu Dobrucki, nie były fanaberią.

– Wiem. Mówił, że za późno poznał ich tło. Uległ manipulacjom innych pracowników. Zbyt łatwo przyjął ich interpretację jako własną.

– Pracowała ciężiej niż oni. Chyba dlatego mieli do niej niechętny stosunek. Demaskowała ich brak zaangażowania.

– Podobno zawsze mógł powierzyć jej największe sekrety firmy. Nigdy nie zawiodła zaufania.

O względy Dobruckiego rywalizowała tylko z panią.

– A mimo to stałyśmy się sobie bliskie i pomocne.

– Nikt z nas nie zainteresował się potem jej losem.

– I tak nie dałaby sobie pomóc.

– Zapłaciła wysoką cenę za zrealizowanie potrzeby bycia matką. Cierpiała w milczeniu, jak moja Anielica. Dlaczego wy, kobiety, nie potraficie przyznać, że jest wam źle, że macie ochotę krzyczeć i płakać?

– Bo wtedy zamiast miłości dostawałybyśmy od was litość. A ta nie wykarmi naszych naturalnych pragnień.

– Pomóżmy tej kobiecie! Zrobmy to dla mojej żony. Niech widzi, że się zmieniłem. Ja załatwię Katarzynie pracę. Nie byle jaką, ale dobrze płatną, prestiżową i dającą jej możliwość awansu. Mam znajomości, wykorzystam je.

– Jest pan nieoceniony! Jeszcze dzisiaj spotkam się z nią i przekażę jej tę informację. Niech natychmiast bierze się w garść! Musi na nowo zadbać o siebie i znaleźć cel. Tylko co ja mogę jej dać?

– Pani da jej koleżeńskie wsparcie, to wystarczy.

Nina uściskała pana Adama gorąco, poklepała go przyjaźnie po plecach i wymknęła się z sakralnej groty, by pobiec w stronę światła. Przeżyła głęboką iluminację, więc potrzebowała teraz jasności. Niosąc swoje ciało na coraz mniej załamujących się nogach, pomyślała, że po raz pierwszy od dawna może zrobić dla kogoś coś dobrego.

Szła dziarsko przed siebie. Raz jeszcze zobaczyła w myślach podróżującego do Grecji Jakuba. Virginia Woolf złożyła jego obraz z tego, jak widzieli go inni ludzie, przede wszystkim ci, którzy go kochali: matka, przyjaciel i kolejne zafascynowane nim kobiety – Florinda, Klara, Sara. Jakub przypominał im grecki posąg, wzbudzał napiętność i silne pożądanie. Dokładnie tak jak Jerzy. To inni konstruowali idealne wyobrażenie człowieka, którego wartość okazała się – w przeciwieństwie do greckiego posągu – nietrwała. Być może dlatego tak bardzo fascynował się nieśmiertelnością rzymskiego świata, marząc o wielkich czynach, doczesnej sławie i pośmiertnej chwale. Może właśnie te pragnienia wywołały w nim zaburzenia osobowości? Prawdopodobnie najbardziej „żył” wtedy, gdy odczuwał przebłyśki tego, co wykracza poza codzienność. Jednak był w niej tragicznie zatopiony.

Nina zrozumiała, że Jerzy Dębski wcale nie został uformowany z lepszej gliny niż ci, którymi pogardzał. Nosił teraz w sobie jego dziecko, o którego istnieniu jeszcze nie wiedział. Być może miało ono moc wywołania transformacji na miarę tej, która dokonała się w panu Adamie. Zamiast śmierci i straty zamknięte na innych serce Jerzego otworzyć mogło budzące się za jego sprawą życie.

Wizyty na cmentarzu nie planowała, ale po kilkudziesięciu minutach stanęła przed grobem Piotrusia Kowalewskiego. Jego uśmiechnięte zdjęcie wbiło się niewidzialnym sztyletem w sam środek serca Niny. Zapłakała. Oto do wieczności przeszedł ten, z którego zadrwiła sobie teraźniejszość. Oblała się zimnym potem na myśl, że postanowił wrócić poprzez jej łono. Jerzy nie przyjąłby jej z niepełnosprawnym dzieckiem, przekląłby oboje i z hukiem wyrzuciłby ze swojego świata. Gładziła więc swój brzuch uzdrawiającym okrężnym ruchem, jednocześnie prosząc Piotrusia, by spoczywał w pokoju. Była bezpieczna. Nikt z żywych nie odkrył, kim jest prawdziwa winowajczyni odejścia małego Kowalewskiego, a Monika Różańska – brylująca w „Glinianej Oazie” – milczała na ten temat jak zaklęta. Ta niepanująca nad swoim językiem plotkara po raz pierwszy naprawdę wzorcowo przechowywała tajemnicę. O zaciągnięcie kredytu oskarżono ojca chłopca, prowadzącego z jego matką otwartą wojnę na wszystkich frontach. Ostatecznie śmierć dziecka sklasyfikowano jako nieuniknioną konsekwencję egoistycznych przepychanek nienawidzących się rodziców. Aktualnie opluwali się oni

wzajemnie przed emerytowaną sędzią, która z politowaniem słuchała ekspresyjnych i przepelnionych wulgaryzmami oskarżeń. Kolejne rozprawy nie przynosiły rozstrzygnięcia, bo wciąż brakowało w sprawie jakiegoś ogniwa.

Ogniwo to nie zamierzało się ujawnić. Gdy minął tydzień od wyczyszczenia schodów, nikt już o chłopca nie pytał, po dwóch tygodniach świat w ogóle o nim zapomniał. Napiętnowana wrogimi spojrzeniami sąsiadów pani Kowalewska samotnie dźwigała konsekwencje emocjonalnego gejzeru, jaki wystrzelił w jej umyśle z chwilą otrzymania wiadomości z banku. Czuła, że niebawem zamieni swoje mieszkanie na pokutną celę w więzieniu. „Zabiła własnego syna” – mawiali w mieście ludzie. Nikt nie pomyślał, że syna straciła.

Nina zmiotła liście z marmurowej płyty i podpaliła zgaszony podmuchem wiatru lampion. Pod doniczkę z chryzantemami włożyła złożoną w pół kartkę białego brystolu. Na jej drugiej stronie widniał nieudolnie naszkicowany koń, dumnie transportujący wyprostowanego Piotrusia. Za nim, na mniejszym koniu, jechała matka, trzeci koń był bez pasażera, ale dreptał posłusznie za tamtymi. Gdzieś po drodze musiał zgubić ojca.

Ciekawe, dokąd miała dojechać ta karawana? – pomyślała, uświadomiwszy sobie, że była to ich ostatnia wspólna podróż.

Patrząc na zdjęcie sąsiada, przypominała sobie zdanie wypowiedziane przez jedną z bohaterek *Godzin: Ktoś musi umrzeć, aby ktoś inny bardziej docenił życie*. Wstrząsnęło ono zapadłym wnętrzem Niny bardziej niż wtedy, gdy oglądała film. Jeśli śmierć miała człowieka uczyć czegośkolwiek, to tylko tego, żeby docenił dar istnienia, który stanowi dla niego najcenniejszą wartość.

– Jest więc nadzieja w tej beznadziei – przekonywała samą siebie. – Ludzie po prostu przestali utożsamiać szczęście z samym faktem istnienia. Dopiero w obliczu straty wyzwają się w nich zakurzone prawdziwe uczucia. Docenić życie to docenić stratę, a bolesne spojrzenie w twarz zmarłego to impuls do odrodzenia się. Śmierć wyzwala! Wyzwala życie w tych, którzy pozostają. Piotruś nie umarł, on będzie zawsze żyć we mnie, potem w moim dziecku i jego dzieciach.

W Ninie odrodziło się pragnienie stworzenia tradycyjnej wspólnoty z Jerzym. Tym Jerzym, którego spotkała podczas gotyckiej nocy. Postanowiła go odzyskać – poza czasem i przestrzenią! Postanowiła stanąć do walki z gladiatorem i przepchnąć go do swojego świata. A była teraz wyposażona w obiecujące oręż.

– Twój tatuś musi wspinać się do nas po wysokiej wieży – cedziła prawdziwie matczynym tonem, nieprzerwanie gładząc brzuch. – Ale nie musimy się martwić, on uwielbia wyzwania. Na razie próbuje odbić się od gęstego dna, potrzebuje więcej czasu, by odkryć nas czekających tam, na szczycie. Natura dała nam zapas czasu, dojrzej w swoim tempie. Gdy zapragniesz pojawić się wśród nas, obiecuję, że będziemy gotowi. Tylko trzymaj się z daleka od Piotrusia... na wszelki wypadek.

Grób Piotrusia zajaśniał nieziemską czystością, jaką potrafi zrodzić tylko pamięć o zmarłych. Ninie zdało się, że uśmiech bijący z medalionu chłopca poszerzył się. Odpowiedziała przyjaznym skinieniem głowy, zaciągnęła na wysokie czoło wełnianą czapkę i powędrowała w stronę cmentarnej bramy wyprowadzającej smętnych przechodniów ze sfery pogrzebanych występków. W sercu niosła teraz wiarę, nadzieję i miłość, z których najsilniejsza była miłość.

19.

Wyniesione z wanitatywnej sfery sacrum miłosierdzie zapragnęła złożyć na ołtarzu rozpościerającym się między ramionami Jerzego. Kochała go bardziej niż przewidział gotycki księżyc, mocniej niż dotąd kogokolwiek kochać umiała. Otoczyła szczególną troską jego dwubiegunową naturę i przysięgła sobie, że uratuje go przed samym sobą, zanim po raz kolejny straci on pewność, gdzie leży właściwa granica. Jeśli oddzielił się od współczesnego świata tęsknotą za minioną wzniosłością, potrzebował kogoś, kto wyprowadzi go z jaskini przeszłości. Gdzieś tam głęboko, w środku tej płynnej jak rozmoknięta glina osoby, skrywał się ponadczasowy rycerz walczący o kontynuowanie klasycznej myśli. Trzeba go było przekonać, że nie musi zazdrościć protoplastom, bo odziedziczył po nich gen Genialnej Kreacji. Przyszłość otwierała przed nim przestrzeń do ulepienia nieśmiertelnej sławy. Jego „Gliniana Oaza” stała się źródłem nowego, lepszego porządku, o którym marzyli współcześni patrycjusze i zwykli mieszczanie. Dzięki niemu wszyscy znów mogli równoprawnie zespolić się z naturą oraz poczuć podmiotowość swoich potrzeb. A dzięki niej on mógł spokojnie pracować nad realizacją potrzeb jednostkowych i zbiorowych. Zamierzała ogłosić mu swoją służalczość i dobrowolnie przejść w stan niewolnictwa. Była gotowa do morderczej pracy, wydzierania bankom kolejnych kredytów i szukania sprytnych sposobów ich spłacania. Zrozumiała, że ma wykonywać to, co wymyśli on. Za bramą cmentarza zostawiła swoją przeszłość i popełnione błędy. Byli sobie przeznaczeni – tak czuła, a pod sercem nosiła dowód tego śmiałego przekonania.

– Nauczę go stać w miejscu pomimo upływu czasu – obiecywała sobie nowa, odmieniona Nina. – Nie można przez całe życie gonić lepszego siebie, trzeba pokochać tego, którym się jest. Pozwolę mu budować swój Rzym, ale złoży go u naszych stóp, droga dziecińcu. To my jesteśmy teraz oazą Jerzego. Udowodnimy, że stanowimy najlepszy wytwór jego genialności. A potem, gdy już się z nami oswoi, zaprowadzimy w jego Rzymie współczesny porządek.

Wsiadła do swojej nadal błyszczącej nowością toyoty, by odbyć oczyszczający rajd ku glinianej świątyni zarządzanej przez najwybitniejszego z cesarzy. Nina głęboko wierzyła w to, że Jerzy znajdzie w uporządkowanym kobiecym wnętrzu wszystko, czego sam nie może sobie dać. Właśnie wiozła mu to na wygodnym skórzanym fotelu wraz z niespodziewanym i nadprogramowym prezentem od samej Fortuny. Była panią Nagórną, która posiadała magiczne narzędzie dokonujące metafizycznych metamorfoz. Jerzy, tak jak pan Adam, miał za jego sprawą odnaleźć w sobie życiodajną miłość i uwielbienie dla swojej wybawczyni.

– Jesteśmy dwiema częściami najdoskonalszego wcielenia jedności – mówiła do siebie, ściszywszy radio. – Stanowimy jej pierwotny klasyczny ideał. W tym oto nienarodzonym jeszcze dziecku złączymy mądrość pogańską i chrześcijańską. Pokocha ten dwubiegunowy monolit. To jego szukał przez ostatnie lata. Będzie on doskonalszy od gliny i ubóstwianej przez niego materii! Zbudujemy mu, droga dziecińcu, mur z materiału, o którego istnieniu nie ma pojęcia. Sam wybierze zamknięcie się w jego granicach. Ziścimy jego marzenie o istnieniu miasta wiecznego. Pokocha naszą myśl architektoniczną.

Zauważyła, że pochmurny dzień zrobił się nagle piękny, słoneczny i pokolorował szarość najpełniejszą paletą jesiennych barw. Szpalery rozłożystych drzew pochyliły się nad jej autem pędzącym długimi pasmami nierównych dróg, zamieniając je w asfaltowe fale. Niebo obniżyło swoją błękitną tafłę nad głowy przechodniów, którzy odpinali wyższe guziki grubych kurtek, by nasycić się rześkim powietrzem. Napęlniali nim spragnione płuca oraz wtłaczali je do coraz szybciej pulsujących tętnic. Nina opuściła samochodową szybę i wraz z mieszkańcami miasta oddychała cudowną świeżością. Gdyby mogła, zamknęłaby teraz oczy. Życ zachciało się nie tylko biegającym wzdłuż jezdni małym dzieciom, ale także ich zwykle ospałym o tej porze roku rodzicom. Życ najpełniej jak to możliwe zachciało się przede wszystkim Ninie. Nikt z poruszających się w granicach tego krajobrazu przypadkowych ludzi nie miał w sobie tyle wewnętrznego żywiołu, co podążająca w kierunku „Glinianej Oazy” brzemienna Ciesielska. Promieniała i wypełniała własne pole magnetyczne ludycznym szałem.

Była teraz święta, bo natura wezwała ją do wypełnienia dziejowej roli, tej, której kiedyś tak mocno się bała. Nina nie planowała ciąży, to ciąża miała swój plan na Ninę. Ale po raz pierwszy córka modlącej się o cudowne rozmnożenie pani Krystyny nie bała się udźwignąć jej ciężaru. Była autentycznie szczęśliwa. Niczym rzymska bogini płodności, rozniecała wokół siebie świętą matczyność. Wiozła ze sobą Mesjasza, który miał ocalić jeden ze światów. Była urodzajną Ceres i uważnie transportującym świętym Krzysztofem. Była oazą zbudowaną z krwi i kości.

Liczyła na to, że jak tylko wysiądzie z samochodu i znajdzie się w gabinecie Jerzego, zmieni się między nimi wszystko. Informacja o dziecku natychmiast wyzwoli w nim odruch budowania wspólnego gniazda. Wijąc je, niech bawi się swoją architekturą do woli. Przy dziecku dojrzeje i ułoży się z rzeczywistością. Pokocha jego matkę, którą otoczy szczególną opieką, a swoją wolność zaślubi z odpowiedzialnością.

– Już za chwilę staniesz się innym człowiekiem – prorokowała, zgrabnie wykonując parkingowy manewr.

Otoczona sobie tylko widoczną poświatą nadprzyrodzonego uduchowienia, pędziła w stronę oazy zalany wodą brukiem. Jej ręce same składały się na brzuchu w opiekuńczym geście, wyświęcając delikatnym głaskaniem kielkującą matczyność. Serce biło w niej teraz ze zdwojoną mocą. Chciała jak najszybciej znaleźć się w gabinecie Jerzego.

I gdy była oddalona od niego już tylko na długość jednego korytarza, spostrzegła wystrojoną od stóp do głów Ines. Jak zwykle wyglądała perfekcyjnie i nieoficjalnie strzegła wejścia do komnaty Demiurga. Udając zajętą przeglądaniem dokumentacji, ostentacyjnie ignorowała powracającą do świata zdrowych koleżankę. Ale gdy Nina przecięła linię jej wzroku, z zainteresowaniem zaczęła się przyglądać odmienionej twarzy wciąż jeszcze bladej zjawy. Dostrzegła w niej jakiś szczególny wymiar spokoju i pewności siebie, którego nie powinna wykazywać, wracając na wrogi sobie front. Tymczasem Nina szła energicznie, z uśmiechem napinającym usta i radością w ruchach. Jej wargi wytatuowane były ostrą czerwienią, jakiej nigdy wcześniej nie pozwoliła sobie wnieść do firmy. Błyszczącymi źrenicami rozsuwała na boki wszystkie przeszkody utrudniające dojście do celu. Miała kształtniejszy niż zwykle biust i pełniejsze biodra. Rozpuszczonymi włosami lekko smagała obciążone komputerowym zaduchem powietrze. Wysokie obcasy zamieniła na płaskie baleriny.

W ten sposób Ines jako pierwsza dowiedziała się o najmłodszym projekcie firmy. Mijał rok od czasu, gdy sama zrezygnowała z ulubionych szpilek. Na szczęście wyprawa w wysokie góry Tanzanii przerwała wymuszony nagłą sytuacją rozbrat z seksownym obuwem. Po powrocie do Polski znów mogła niestrudzenie paradować po oazie wyższa od innych, zanim się dowiedział.

– Jerzy jest u siebie, ale prosił, żeby mu teraz nie przeszkadzać – ostrzegła szczerze nielubianą przez siebie Ninę. – Poza tym, witam cię znów na pokładzie. Długo chorowałaś...

– Zdarza się najlepszym – odpowiedziała butnie Nina, której Ines właśnie zatarasowała swobodną drogę do gabinetu szefa. – Ale już wszystko jest dobrze. Będziesz musiała regularnie mnie oglądać.

– Nie każdy ma przywilej dobierania sobie pracowników.

– Tobie nie pasowałyby żaden wybór. Ty po prostu nienawidzisz kobiet, które coś znaczą.

W zdziwionej bezpośredniości wypowiedzi Ciesielskiej Ines automatycznie uruchomiła się trenowana latami złośliwość:

– Dlatego też do ciebie nie żywię żadnych uczuć, jesteś mi obojętna jak twoja praca dla „Glinianej Oazy”.

– Naprawdę tak nisko ją cenisz?

– Obserwowałam cię od początku. Ty nie potrafisz nic. Stosujesz przedpotopowe metody operacyjne, masz blade pojęcie o kreatywnym księgowaniu, jesteś powolna i średnio inteligentna. Wydaje ci się, że brak umiejętności nadrabiasz aparycją, ale ją również przeceniasz. Nie pasujesz do nas.

– Każdy potrzebuje czasu, by poznać prawa grupy i dostosować się do nich. Jestem tu od niedawna, dopiero opanowuję teren.

– I nie wychodzi ci to, sama czujesz. Opuść.

– Przyszłam tu jako najlepsza księgowa w okolicy. Potrafię więcej, niż myślisz.

– Postanowiłam zbadać twój rzekomy fenomen. I wiesz, co odkryłam? Byłaś ulubienicą pracodawców, bo wdzięczyłaś się do nich trzepotem rzes i odsłoniętym udem. Udawałaś elokwentną, czytana oraz obytą. Wmówiłaś im swój profesjonalizm, bo wywodzili się z nizin i niewiele trzeba było im pokazać, żeby czerwony mosiądz brali za złoto. Zbudowawszy sobie pozycję, korzystałaś z pracy koleżanek, udając, że wykonujesz ją samodzielnie. Pewnie z tego samego powodu wepchnęłaś tutaj tę Monikę. Dziewczyna na wejściu przebiła cię wiedzą i umiejętnościami. Teraz pewnie będziesz z nich śmiało, choć skrycie, korzystać.

– Dość! Wypluwasz z siebie ten jad, bo w głębi duszy zazdrościsz, że Jerzy uległ mojemu czarowi, a nie tobie! Nie dostałaś swojego trofeum, walczysz o nie każdego dnia. Ślepo ścigas się z doskonałością, ale nie ma ona dla ciebie żadnej nagrody. Jesteś tylko robotem przybranym ładną apaszką. Straciłaś swoją kobiecość i ludzki charakter. On cię potrzebuje, ale nie jesteś mu niezbędną. Jak widzisz, łatwo zastąpił cię mną.

– Wykorzystał cię jak inne.

– Pozwól, że to ocenię sama. Na razie chciałabym z nim po prostu porozmawiać.

– Nic nie zmieni prawdy o tobie. On już zdążył ją poznać.

– A czego dowiedział się o tobie?

– Ja i Jerzy znamy się na tyle długo, żeby wiedzieć, kto powinien tworzyć nasz zespół.

– Przypominam ci, że to właśnie Jerzy zaprosił mnie do tego zespołu.

– Ale mnie zlecił określenie twojej przydatności.

– Więc nie przewidziałaś, że będzie mnie potrzebował bardziej niż ciebie.

– Wynoś się stąd!

– Ja tu dopiero na dobre wchodzę.

Po tych słowach Ines zrozumiała, że Jerzy już za chwilę dowie się o ciąży i swoim nowym powołaniu. O ile wtedy, rok wcześniej, pewna była jego buntu, aktualnie z trudem przychodziło jej wyobrażenie sobie wybuchu nieprzygotowanej na ojcostwo wściekłości. Musiała przyznać, że miał do Niny jakąś dziką, niewytłumaczalną słabość, której nawet jej pokątne działania nie były w stanie osłabić.

Ines powoli zaczynała godzić się z przegraną. Zeszła Ninie z drogi, z zazdrością przyglądając się widocznemu już brzuchowi. Uznała, że dla niej samej nadszedł czas pokuty za ukryte przed światem dzieciobójstwo. Krew odpłynęła z górnych partii jej ciała, więc – pokonana – opadła na fotel. Miała ochotę płakać, krzyczeć, uderzać pięściami w blat biurka. W jednej chwili została zdegradowana do poziomu podrzędnych w życiu Jerzego kobiet. Chciała być wyjątkowa, a dała się wyprzeć bezbarwnej Ciesielskiej, która zastosowała najbardziej klasyczny z kobiecych chwytów. Ines poświęciła całą swoją młodość pracy nad projektami glinianych domów, żeby w końcu w jednym z nich zamieszkał z Niną. Zdruzgotana, w jednej chwili straciła młodość i złudzenia. Nigdy wcześniej nie czuła się tak beznadziejnie, samotnie i podle.

Długi korytarz wydawał się teraz Ninie bezkresną aleją spowalniającą drogę ku pomieszczeniu skrywającemu Święty Graal. Ale szła wolno i cierpliwie, by jak najlepiej móc przygotować się na oficjalne powołanie do istnienia nowej doskonałej Trójcy. Wypatrywała dużych masywnych drzwi gabinetu Stwórcy, który pewnie siedział przed monitorem komputera i głowił się nad skonstruowaniem kolejnej doskonałości. Rumieniła się na myśl o tym, jak zareaguje, gdy usłyszy, co nieświadomie skonstruował na uboczu swojej świadomej architektonicznej działalności. Coraz pewniej wyobrażała go sobie szczęśliwym i mile zaskoczonym. Nie było już między nimi Ines, zwątpień pani Krystyny ani nikogo, kto miałby moc odebrania im radości z nowiny, jaką ze sobą niosła.

Odważnie zbliżyła się w końcu do drzwi i położyła dłoń na klamce, po czym cicho uchyliła niestrzeżone już głową orientального Cerbera wrota. Zamiast dźwięków klawiatury usłyszała bicie własnego serca. Zamiast pochylonej nad klawiszami sylwetki dostrzegła zarys dwóch postaci zespolonych w jeden ociekający potem kształt. Poruszał się on jednostajnym ruchem odmierzonym coraz płytszymi i głośniejszymi oddechami. Łapczywie wydierał powietrzu tlen, zbliżając się stopniowo w stronę uchylonego okna. Spotęgowana do maksimum cielesność nie zważała na znajdujące się wokół

niej meble czy przedmioty, naznaczała je swoją dominacją i gwałtownie zmieniała ich położenie. Dopiero po chwili Nina wyizolowała wzrokiem postać Jerzego, który ściśle przylgął do silnych pleców i krągłych pośladków drugiego mężczyzny. Obaj napięli w ciałach wszystkie mięśnie, nad którymi mieli panowanie. Stali się ziszczeniem doskonałości utrwalonej w rzymskich posągach. Błądzili rozpalonymi dłońmi po swoich torsach i udach, dowilżali usta pocałunkami. Przyjmowali tryumfalne pozy gladiatorów zbliżających się do zwycięstwa. Namiętnością poprzesuwali wszystkie kosze z aktami, które Nina przez kilka dni tak skrupulatnie porządkowała. Po kilku chwilach zawiśli w bezruchu na szerokim parapecie. Jeden z nich zawojował już arenę i szybko przygotowywał się do ustąpienia pola drugiemu. Twarz zalaną miał nie tylko potem, ale i najśodsza rozkoszą spełnienia. Po chwili podobne zjawisko wstąpiło na oblicze tamtego. Zatrjumfował nad brązowym dywanem, wlewając weń śnieżnobiałą gęstą ciecz. Wreszcie rozluźnili cielesny splot i zaśmiali się – obaj tak samo lubieżnie. Szybko odnaleźli w zaparowanej przestrzeni bokserki oraz rzucone w kąć spodnie. Zartobliwie naciągnęli na kopię posążku Marka Agrypy kolorową skarpetę, odcinając jego martwy wzrok od swoich pulsujących jeszcze spazmatycznie ciał. Czuli, że właśnie dokonali widowiskowej detronizacji zasłużonego Rzymianina. W tym biurze władali sami, bez uznanych wcześniej autorytetów.

Obaj byli teraz zdobywcami i dowódcami, jak Marek Antoniusz i jego rówieśnik – Skryboniusz Kurion, którzy seksualnym uciechom oddawali się tak namiętnie, że ojciec Skryboniusza osadził syna w domowym areszcie. Nie przerwało to jednak pasma pożądliwości, bo Marek Antoniusz włamał się przez dach, by odpowiedzieć na naturalny zew swój oraz kochanka. Za progiem gabinetu Jerzego nic nie stało na przeszkodzie realizacji żądz potępionych przez kulturę. Było to jego prywatne królestwo wolności i nieskrępowanej twórczości. Mógł w nim robić wszystko, co były w stanie znieść grube ściany odcinające go od pozostałych zakątków firmy. Nikt, poza oślepionym Agrypą, nie wiedział, że „Glinianą Oazą” zarządza biseksualny cesarz.

Po kilkunastu minutach na główny korytarz wyszedł podśpiewujący pod nosem jakąś żwawą melodię Łukasz. Minął nieobecna duchem Ines, która nawet nie zauważyła zniknięcia gościa. Udał się na parking bez zwracania na siebie uwagi, po czym odjechał sportową hondą. Budowę nowoczesnych kortów tenisowych uznał za przypieczętowaną, a położony właśnie kamień węgielny miał stanowić jej gwarancję. Nina siedziała już w sąsiednim samochodzie, skulona w płaczący i drżący kształt. Nic nie równało się emocjom, jakie teraz nią targały. Powstrzymywała się przed wystrzeleniem z siebie salwy krzyku, mając na względzie obecność kamer, które mogłyby po wsze czasy uwiecznić upadek jej godności. Bezszykownie próbowała uciszyć mowę karykaturalnie roztrzęsionego ciała. Przed oczami przetaczała kolejno wszystkie obejrzone przed chwilą sceny tragedii. Wtłaczała je siłą do przednich płatów mózgu, by dokonać właściwej interpretacji, ale z trudem układały się w przyczynowo-skutkowe ciągi. Rozum odmawiał jej współpracy. Za to serce natychmiast rozpoznało semantyczną wymowę partii aktorów, tym łatwiejszych do zrozumienia, że grali bez kostiumów i masek. Nina nie przeżyła jednak *katharsis*.

Ukradkiem zdążyła przyjrzeć się aktorowi z przyjezdnej trupy. Swoim ledwo widzącym trzeźwo okiem zarejestrowała okazałą i wysportowaną zewnętrzną, ukoronowaną tępą oraz mało człowieczą twarzą. Był swobodny w ruchach, demonstracyjny w postawie, upakowany w najdroższe na rynku metki. Nie tylko ubiór zdradzał przywiązanie właściciela do luksusu. Oznaczył nim swój sportowy i bogato wyposażony w gadzety samochód. Zuchwale wymachiwał kluczykami, zanim wetknął je we właściwy otwór umożliwiający odpalenie czerwonej strzały. Zniknął w oddali szybciej niż Nina zdążyła sprawdzić świeżość rejestracji.

Swojej toyoty nie była w stanie odpalić. Ines kilkakrotnie pojawiała się na parkingu, zdziwiona, że widzi srebrny samochód, a nie może zlokalizować jego właścicielki, która zupełnie niedawno kierowała się w stronę gabinetu Jerzego. Tymczasem nie było jej ani tam, ani tu. Wróciła do glinianego wnętrza.

Zrelaksowany Jerzy przechadzał się korytarzem firmy, opowiadając swojej ulubionej specjalistce od wszystkiego o stosunkach damsko-męskich panujących w starożytnym Rzymie. Mówił, że na niewierność swych małżonek szanujący się mężowie nie mogli przymykać oczu. Gdy to robili, narażali

się na powszechne potępienie. Zdrada żony czyniła z męża obiekt kpin i pośmiewisko. Za to mężom można było robić z niewolnikami wszystko, co im tylko przyszło do głowy. Osobiście nie uznawał tego za przejaw podwójnej moralności. Płeć sama w sobie nie decydowała, według niego, o fascynacji drugim człowiekiem, zarówno duchowej, jak i cielesnej. Z kobietami mężczyźni wiązali się, bo tak wymyśliła natura, dając im wyłączność na przedłużanie równoprawnej pod względem płci cywilizacji. Z mężczyznami nawiązywali relacje, bo sami chcieli, w dodatku bez oczekiwań na miarę dziejowych przełomów. Uciemienieni codziennym zabieganiem o budowanie państw, dróg, mostów i rodziny, mieli do tego święte, choć pogańskie, prawo! Ich męskość przejawiała się w swobodzie seksualnego zarządzania sobą. Normy społeczne zostały stworzone po to, by ugruntować zależność od kobiet. W życiu cywilnym wszelkie odstępstwa od tradycyjnego porządku natury zaczęto traktować niechętnie, a zapisy te wprowadzali ci, którzy sami chętnie z owych nieprawości cichaczem korzystali. W tym świetle małżeństwo oraz wpadnięcie w zastawione przez kobietę sidła tacierzyństwa wydawało się największą głupotą, jakiej mógł dopuścić się mężczyzna.

Ines uznała, że jeśli mówił to człowiek, który przed chwilą dowiedział się o swoim udziale w poczęciu dziecka, musiał być chwilowo niespełna rozumu. Nie wiedziała, że przystojny kontrahent z kluczykami do hondy załatwił tu całkiem prywatny interes. Spodziewała się raczej wypadnięcia z gabinetu rozpromienionej i tryumfującej Niny zrzucającej z siebie maskujący ciężę płaszczyk. Ale ta rozplynęła się gdzieś w przestrzeni, a Jerzy zachowywał charakterystyczną dla siebie powściągliwość. Nie chciała być pierwszą, która wywoła temat dojrzewającego od kilku tygodni lub miesięcy potomstwa. Czekala, aż Jerzy sam zechce podzielić się z nią tą rewelacją. Zaparzył kawę, poczęstował się leżącym na jej biurku ciastkiem, po czym spokojnie wrócił do gabinetu.

Nina Ciesielska w końcu zebrała w sobie siły, by odjechać. Nie znała takiego wymiaru rzeczywistości. Można ją było zostawić dla kobiety, która pragnęła dziecka bardziej niż ona, jak uczynił to Maciej, ale nie była w stanie pojąć odrzucenia przez mężczyznę sypiającego z innym. Była to najgorsza i najbardziej haniebna ze zdrad, jakich doświadczyła. Poczula ulgę na myśl o tym, że nie zdążyła powiedzieć mu o dziecku. Pędziła przed siebie z prędkością światła, dzielnie powstrzymując wymioty, jakie zaczęły rodzić się w jej zniesmaczonym wnętrzu. Była zdruzgotana.

Po powrocie do mieszkania znów przebrała się w rozciągnięty sweter i znalazła schronienie w najciemniejszym kącie pokoju. Utopiła go w gęstych łzach spływających strumieniem na podłogę. Rozmazały one całą maskę euforii, którą odświeżnie namalowała na twarzy w celu potwierdzenia dobrej nowiny swoim kwitnącym wyglądem. Cienkie czarne kreski zamieniły się w rozległą otchłań o niewyraźnym konturze. W otchłań tę zapadły się wszystkie cieliste blaski, pozostawivszy jedynie zsiniałe cienie. Niczym nie różniła się teraz od Nowakowej w chwili, gdy wyciągała ona z kontenera swoją najnowszą kolekcję.

Wracała myślami do dnia, w którym utworzoną naprędce intymnością wzniesli się ponad gotyckie wieże. Raz jeszcze poczuła na skórze tamtą bliskość zacieśniającą się wraz z wywołaniem intelektualnych drgań, jakie uśpione były w ich samotnych sercach. Oboje przyznali wówczas, że za długo byli samotni. Tę magiczną więź pobłogosławił sam Pierwszy Stwórca. W swojej łasce zesłał jej najciekawszego z mężczyzn telefonicznym zwiastowaniem. Wybrał go jako czulego kochanka, idealnego męża i opiekuńczego ojca ich wspólnego potomstwa. Zawsze chciał dla Niny dobrze. Odsunął nawet Niewiernego Tomasza w postaci matki. Przestała dzwonić i zadawać nedorzeczne, sugerujące odpowiedź pytania. Złączył ich rozmową, wspólnotą postrzegania i pracą. Złączył ich Virginią Woolf, a wobec tego faktu należało Mu po prostu uwierzyć...

I uwierzyła. Po kilku latach emocjonalnego letargu w końcu odnalazła inspirację do dalszego życia. Wstawała rano po to, by przez kolejne godziny walczyć o względy Jerzego. Wspiniała się na wyżyny siebie. Uformowała niemal doskonałą Ninę, która była prawie tak dobra jak Ines. Zaczęła na niego zasługiwać. Poczucie to było na tyle silne, że założyła jedyny możliwy finał swojego boju – złączenie ciał i dusz na wieczność. W trudnych chwilach próby przypominało się jej, że każde cierpienie ma sens. Znosiła je więc wytrwale. Gdy nie dzwonił, po prostu patrzyła na martwy wyświetlacz, gdy ignorował ją, dyskretnie przepracowywała dzień przy swoim biurku. Narzucanie się Jerzemu byłoby

samobójstwem. Cesarz wychodził do ludzi wtedy, kiedy miał na to ochotę. Pokochała swoje idealne wyobrażenie tak bardzo, że przestała zwracać uwagę na jego realne przejawy. Snująca swoje marzenia dzień i noc, przegapiła moment porzucenia przez Jerzego zainteresowania jej osobą. Stracił je, gdy zdiagnozował u Niny sztywność granic jednoznacznej osobowości i silny paradygmat wiary. Stanowiły dla niego synonimy ciasnoty umysłowej.

Taki już był. Coraz rzadziej okazywał Ninie ciepło, za to coraz częściej zachowywał się autystycznie i obco. Gdy sklasyfikował ją jako niewolnicę, przestał o jej względy zabiegać. Odkrywszy jej silne przywiązanie do Boga, dodatkowo poczuł rozdrażnienie oraz znużenie wspólnymi spotkaniami. Zresztą, drażniło go wszystko, co nie było związane z glinianymi domami. Zaprzedał im duszę raz na zawsze. Naiwni byli ci, którzy myśleli, że to się z czasem zmieni. Przeklęci ci, którzy próbowali to zmieniać!

Ostatnie dni upłynęły Jerzemu na poszukiwaniu odpowiedniego patrona dla „Glinianej Oazy”, którego duch unosiłby się nad twórczymi projektami, zapewniając im powodzenie. Przywodził na myśl kolejne rzymskie bóstwa opiekuńcze, coraz bardziej wierząc w teorię głoszącą, że dobre zjawy powinny otaczać człowieka od urodzenia. A w jego nowoczesnych lepiankach miały rodzić się bezsprzecznie najlepsze dzieci. Nie jego, rzecz jasna, ale poddanych Stwórcy. Wyczytał, że istniało bóstwo pierwszego krzyku noworodka, a cztery boginie pilnowały jego pierwszych kroków. Każda rodzina miała własny domowy kult opiekuńczej siły. Progu strzegł Janus, wnętrza – Westa. Etruskie penaty stróżowały w spiżarni, domagając się ofiary podczas jedzenia posiłków przez rodzinę. Ostatecznie zdecydował się na żonę Jowisza. W ten sposób zaręczył się z odpowiednią dla siebie kobietą.

Dzieci interesowały go tylko z jednego powodu – miały za kilkanaście lat stać się nową falą entuzjastów jego pomysłów i architektonicznych rozwiązań. Miały przyzwyczać się do nowoczesnych awangardowych standardów, zachwycić się powrotem do natury i prasuubstancji, a potem każdego dnia składać hołd najwybitniejszemu współcześnie twórcy tych idei. Dzieci rodziły się po to, by ugruntowywać jego wielkość.

Dwa razy zdarzyło się Jerzemu nieopatrznie zapłodnić tymczasową brankę, ale dzięki błyskawicznej reakcji szybko resetował swoje konto. Poaborcyjnie pracownicy skierował w ramach rekompensaty do lżejszych prac w firmie. Trzecim przypadkiem była Ines. Jej na ratunek przyszła sama Matka Natura wcielona w zbyt wysokie i strome góry. Dzieci napawały go odrazą gorszą niż bezideowe życie. Bał się utracenia swobody oraz nabycia poczucia odpowiedzialności. Ta wymiana wydała się mu nieludzka. Poza tym nie znosił zapachu niemowląt. Nie wiedzieć czemu, przyprawiał go o mdłości. Ciężarne kobiety automatycznie stawały się dla niego aseksualne i wyzbyte głębszych wartości. Rolę ojca traktował jako śmierć za życia.

Ale Junonę uwielbiał i szanował, dlatego komputerowy wydruk orędowniczki wszystkich ziemskich opiekunek domowych ognisk zawisnął nad głównym wejściem do strefy biur. Poważna i dostojna matrona siedziała na biurku z owocem granatu w jednej ręce, drugą maczając w naczyniu z płynną jeszcze gliną. Towarzyszyła jej młoda kukułka zdobiąca jedno z ramion. Odslonięte nogi bogini były długie, zgrabne i przybrane w nowoczesne szpilki. U jej stóp leżały dwa martwe ciała: uśmierconej piorunem Semele oraz przeszytej strzałą nimfy Kallisto. Obie nieprzebaczalnie podpadły strażnicze domostw. Junona namalowana wyobraźnią Jerzego miała charakter i męską konsekwencję. Uosabiała matczyność pojmowaną jako misję bezustannego rozniecania ognia, a nie bierne poświęcenie oraz czuwanie.

Junona Jerzego nie potrafiła tylko jednego – rozpać iskry rodzinności w swoim stwórcy. Właściciela glinianej świątyni trudno było kochać tradycyjnie pojmowaną miłością, mimo to lgnęły do niego najlepsze partie w mieście. Każda przychodziła do niego ze swoim kagankiem, który natychmiast gasił lodowatą obojętnością. Wszystkie tak samo skazane były na klęskę i ostateczną autodestrukcję. Jerzy Dębski kochał jedynie materię nieożywioną. Egzotyczną Ines szanował, Niną Ciesielską zainteresował się, bo sobie to wymodliła.

Nina myślała już tylko o dziecku. Wyobraźnią i wspomnieniem ponownie zasiadła nagle w uniwersyteckiej ławce, by z otwartymi ustami słuchać międzywydziałowego wykładu o Sorenie

Kierkegaardzie. Inaczej spojrzę teraz na postać jego ojca, na którą próbował zwrócić uwagę studentów fanatyczny w swym filozoficznym uwielbieniu wykładowca. W jednej z opowieści kilkakrotnie przywołał moment, gdy – głodny i zziębnięty ojciec – musiał do późna paść owce. Przygnębiony swoim losem, przeklął wówczas imię Boga. Przez całe swoje późniejsze życie trwał w lęku i trwodze, żywiąc przekonanie, że za tamto bluźnierstwo Bóg będzie stale karać całą jego rodzinę. Długo milczał, tłumiąc poczucie winy w sobie oraz okazując domownikom niezrozumiały dla nich chłód. W końcu sam nie wiedział, czy przygniata go rzucone nieopatrznie przekleństwo, czy wspomnienie pozamałżeńskiego romansu, jaki przydarzył się mu występnie. Aby zatamować potok niszczących go myśli, postanowił wprowadzić surowe i jednoznaczne zasady. Tyle że miał się wznieść na nich nie on sam, ale jego syn – Soren. I tak obaj zaczęli żyć w bojaźni: Michael przed gniewem Bożym, Soren – przed gniewem ojca. Przestrzeń między nimi wypełniona została religijnym żarem i dokumentowaną dzień po dniu pobożnością. Mimo surowości ojca, darzyli się całkowitym wzajemnym zaufaniem. Syn powoli stawał się tym, kim nie był w stanie być ojciec. Jego życie zamieniało się w spełnianie oczekiwań i wcielanie dobrych zasad. Dziecko Michaela lepsze było z jedynej słusznej gliny, nad której składem czuwał srogi, choć bogobożny ojciec. On też zdefiniował małemu Sorenowi wolność i wybrał powołanie.

Zatem można było kochać, dusząc się jednocześnie jadem wewnętrznych zmor. Istniała ojcowska dominacja tak silna, że spychała obecność matki na daleki, niewidoczny plan. Żadne dziecko nie było wolne od zbrodni popełnionych przez swojego ojca. Czy jej dziecko i jego niestabilny ojciec byli skazani na stworzenie podobnej dwubiegunowości? Jeśli mieli kochać się i nienawidzić jednocześnie, jak tamci, nie mogli dowiedzieć się o swoim istnieniu.

20.

Nina zamierzała położyć się wcześniej niż zwykle. Kalendarz bezwzględnie wyznaczył konieczność powrotu do pracy wraz ze świtem i kontynuowanie codziennej rutyny, którą tym razem wzbogacić miało kamuflowanie coraz bardziej widocznej ciąży. Zapomniała o glinianych domach, finansach i realizowanych projektach, po raz kolejny wydały się jej niedostępnym terenem pełnym skomplikowanych zagadnień. Z trudem przychodziła jej świadomość, że znów trzeba będzie się z nimi zmierzyć.

Tak naprawdę nie lubiła swojej pracy. Kierowana od wczesnych lat przez matkę, dokonywała jej, a nie swoich, wyborów. Księgowość i finanse okazały się gwoździem do trumny, w której złożyła swoje humanistyczne zainteresowania. Nina przeczytała wiele książek, obejrzała setki wartościowych filmów i uczestniczyła w najważniejszych premierach teatralnych swoich czasów. Odwiedzała galerie sztuki, kontemplowała pozostałości dawnych kultur, śledziła rozwój literatury współczesnej. Jej dusza lgnęła do sztuki. Reagowała emocjonalnie jedynie na nią. I najpewniej została pilną studentką kulturoznawstwa, gdyby nie decyzja pani Krystyny, którą ogłosiła córce tuż po napisaniu przez nią matury. Wszechwiedząca matka i tym razem wiedziała, co będzie dla Niny najlepsze. Zbadała panujące na rynku pracy i edukacji trendy, skompletowała niezbędną dokumentację, następnie zawiozła Ninę w miejsce, gdzie należało ją przedłożyć. Potem szepnęła coś znajomej pani z dziekanatu, obdarowała ją dobrą paloną kawą najwyższej jakości, po czym obdarowana pokryła teczką Niny pozostałe aplikacje. Racja matki zawsze musiała być na wierzchu. Nina poczuła wewnętrzne wzburzenie, ponieważ protekcja nie była jej potrzebna. Osiągnęła ponadprzeciętne wyniki w nauce, więc dostałaby się na każde studia bez zbędnych ceregieli. Ale pani Krystyna chciała mieć pewność, że Nina dostanie się właśnie na te.

W ten sposób życie Niny Ciesielskiej zostało zdeterminowane przez aktywną postawę wobec obrotu pieniędzmi, których szczerze nienawidziła. Zawładnęły one jej umysłem i czasem. Coraz mniej zostawało go na czytanie książek i oglądanie filmów. W wyniku wewnętrznego buntu przeciwko takiemu stanowi rzeczy Nina porzuciła swój humanizm, czekając na lepsze czasy. Miała nadzieję, że nadejdzie dzień, w którym powróci do swoich prawdziwych pasji. Niestety, służenie mamonie przeciągało się niemiłosiernie. Znużenie powodowało spadek sił umysłowych oraz powolne zanikanie kreatywnego myślenia. Pierwotne ambicje rozmyły się w rzece godzin, jaka płynęła centralnym korytem egzystencji spracowanej księgowej. Czasami tak bardzo miała ochotę zawrócić jej bieg, że podczas porannej kąpieli w wannie zanurzała głowę w wodzie i tam wykrzykiwała całą swoją niezgodę. Matka instynktownie wyczuwała pojawianie się owych chwil słabości, szybko więc znalazła sposób na ich łagodzenie. Kupowała córce świeżo wydane, pachnące jeszcze nowością książki i z namaszczeniem ustawiała je według wielkości na półce. Stworzyła imponującą, estetyczną kolekcję. Kolekcję arcydzieł, których Nina miała nigdy nie przeczytać. Ale uspokajała się, zasypiając pod nazwiskami noblistów i mistrzów pióra. Razem czekali na lepsze czasy.

Gdy gładziła teraz lśniące obwoluty, próbując przypomnieć sobie, na jakim etapie przerwała gliniane projekty przed „chorobą”, wieczorną ciszę przerwał dzwonek u drzwi. Automatycznie zaciągnęła sweter na brzuch i podeszła do judasza. To Maciej Zimiński domagał się audiencji. Uznała, że jako właściciel wynajmowanego lokum nie mógł być do niego niewpuszczony. Poza tym doskonale wiedział, czym jego ofiara jeździ, a lśniaca wywoskowana toyota była prawdziwą ozdobą parkingu, na którym panowała tradycyjna, polska, przykurzona przeciętność. I choć szczerze nie znosiła tego człowieka, wpuściła go do nie swojego przedpokoju.

– Witam – zaczął sucho i bezosobowo, podejrzliwie rozglądając się dookoła. – Nachodzę po dobranocce, bo sprawa dość pilna. Dziś jest dwudziesty ósmy dzień miesiąca, prawda?

– Prawda – odpowiedziała wyczekująca ciągu dalszego Nina.

– Pani ma opłacone do końca miesiąca, prawda?

– Prawda.

– No to pieniędzy za kolejny miesiąc proszę już nie przelewać na moje konto. Jestem zmuszony

sprzedać to mieszkanie, najszybciej, jak to możliwe.

W pierwszym odruchu zaskoczony tą informacją jaźni ucieszyła się, bo wypowiedziane sztucznie przez Macieja Zimińskiego zdanie zwiastowało jakiś nagły kataklizm, który zakłócił jego sielską egzystencję. Życzyła mu wszystkiego najgorszego, a intencja ta chyba właśnie się realizowała. Po chwili jednak uświadomiła sobie dyskomfort własnego położenia. Nie było ono na tyle stabilne, by mogła teraz z zapalem przyjąć wyzwanie, jakim bez wątplenia była przeprowadzka. Nie miała na nią siły, czasu ani ochoty.

– To nie fair. Informuje mnie pan w ostatniej chwili o tym, że za chwilę mam wziąć cały swój dobytek na plecy i ruszyć z nim przed siebie. To jak wygonić kogoś na ulicę!

– Droga pani, kompetencje w ustalaniu tego, co jest fair, a co nie, ma Bóg, więc proszę mi tu na próżno nie strzepić języka i nie bawić się w Najwyższego Arbitra. Na ulicę pani nie wysyłam, skoro pofatygowałem się przyjść tu osobiście o tej porze. Mam ciekawsze rzeczy do roboty, gdy zgasną światła. Zdąży pani znaleźć jakieś rozwiązanie. Podobno jest pani bystra i sprytna.

– Nie wiem, co pan sugeruje i z kim pan o mnie rozmawiał, ale wciąż uważam, że postępuje pan nieludzko.

– Więc to ja będę smażył się w piekle, nie pani. Najwidoczniej nie spotkamy się tam.

– Z panem nie chciałabym spotkać się nawet przy tronie samego Boga.

– Uprasza się o gruntowne posprzątanie mieszkania i odświeżenie ścian. Chcę je przejąć w takim stanie, w jakim oddałem do użytku. To standardowa i oczywista procedura.

– Ale ja nie mogę mieć teraz kontaktu z chemikaliami. Nie dam rady.

– Alergie i uczulenia miewamy na różne rzeczy, ja również nie jestem od nich wolny. To jednak nasza indywidualna sprawa, innych nie obchodzi. Jak trzeba, to trzeba! Proszę potraktować ściany bielą. Na odbiór umówimy się telefonicznie. Dobrej nocy życzę.

Wyszedł, zanim zdążyła zaapelować do jego zimnego serca. Nie odpowiedziała na sarkastyczne pożegnanie.

Została sama, przytłoczona myślą o powrocie do pracy, obrazem Jerzego w objęciach innego mężczyzny, koniecznością wyprowadzki oraz własnym uciemnieniem. W dodatku przed oczami stała jej okrutna Ines wygłaszająca własną ocenę osobowości Niny. Miała teraz ochotę rozpędzić się swoją luksusową toyotą do prędkości światła i przebić nią wrota najbardziej oddalonego od Ziemi wszechświata. Albo zanurzyć się w wypełnionej wodą wannie już na wieki.

Resztką świadomości uruchomiła komputer, by sprawdzić, kiedy deweloper odda do użytku jej zarezerwowane zaliczką mieszkanie. Niestety, on najwyraźniej także przeżywał kryzys, bo początkowy termin zmienił na kolejny rok.

Zbyt słaba, żeby rozpocząć poszukiwania nowego mieszkania do wynajęcia, zadzwoniła do matki. Gdy następnego dnia Nina zameldowała się w „Glinianej Oazie”, pani Krystyna wynajęła firmę transportową, przeprowadziła córkę do siebie, a zanim wróciła ona ze swojej zmiany, ściany wynajmowanego mieszkania jaśniały już świeżą bielą. Znowu były razem – niezawodna matka i aspirująca do pełnej samodzielności potomkini.

Nina nigdy nie dowiedziała się, że Maciej Zimiński wcale nie zamierzał sprzedać wynajmowanego jej mieszkania, a w jego życiu nieprzerwanie trwała sielanka. Do jej rozwoju przyczyniła się pani Krystyna Ciesielska, która przekazała chciwemu właścicielowi sporą „darowiznę” w zamian za pomoc w sprowadzeniu córki do jedyne go słusznego lokum. Wiedziała, że z Niną dzieje się coś złego, co może mieć związek z tym typem spod ciemnej gwiazdy – Jerzym Dębskim. Serce pękało jej na widok bladej pierworodnej, która przemykała ulicami miasta niczym spłoszona mysz. Obserwowała ją ukradkiem, czając się w bramie sąsiedniego bloku. Matka musiała wiedzieć! Miała prawo inwigilować wydane przez siebie na świat stworzenie, któremu obiecała troskę i opiekę. Odnotowała brak porannych wyjść do pracy, całodzienne przebywanie w ciemności, wizualny uwiąd i niezapalanie się światła w kuchni w celu spożycia w niej posiłków. Nie miała wątpliwości, że trzeba Ninę ratować. A pomoc jej mogła, uzyskawszy do niej pełny dostęp.

Pierwszy tydzień wspólnego pomieszkiwania spędziły w oswajającym zbliżone do siebie na siłę

dusze milczeniu. Zwłaszcza Nina nie czuła potrzeby rozmowy z matką. Po powrocie z pracy zamykała się w swoim dawnym pokoju, z którego dość często i regularnie wychodziła, by zamknąć się w toalecie. Pani Krystyna uznała, że w pomieszczeniu tym córka próbuje ratować resztki podupadłej urody. O nic nie pytała, niczego nie wymagała, do niczego nie zmuszała. Za to cierpliwie czekała na przebudzenie swojej Ninuszki. Najważniejsze było to, że spędzała ona czas w domu, pod kuratelą matki, a nie tego samozwańczego cudotwórcy Jerzego.

Po tygodniu Nina przemówiła:

– Minie jeszcze sporo czasu, zanim odbiorę klucze do swojego mieszkania.

– Ależ nie spiesz się i nie martw tym! Będziesz tu mieszkać tyle czasu, ile potrzeba im na wykończenie twojego pałacu.

– Wolałabym, żeby skończyli go w ciągu kilku najbliższych miesięcy.

– Nie spiesz się z przeprowadzką. Naciesz się swoim miejscem z czasu dzieciństwa. Być może nie wrócisz tu już nigdy.

– Ostatnio niewiele mnie cieszy.

– Tutaj możesz odzyskać radość.

– To nie miejsce decyduje o stanie naszego ducha. To ludzie...

– Ktoś wyrządził ci krzywdę?

– Ktoś bardzo mnie zaskoczył, bardziej niż ktokolwiek przed nim. Nie mogę przestać o tym myśleć.

Pani Krystyna zajrzała na chwilę do kuchni, by przynieść z niej dwa kubki rozgrzanej jaśminowej herbatą i talerzyk pełen kokosowych kulek. Nim się zorientowała, Nina wchłonęła już wszystkie. Popatrzyły obie przed siebie w zamyśleniu, poobracały ceramiczne wytwory w dłoniach – każda w rytmie bicia własnego serca – po czym powróciły do konwersacji:

– Ludzie jeszcze nie raz rozczarują cię swoim zachowaniem – zaczęła pani Krystyna.

– Nie powiedziałam, że ktoś mnie rozczarował. Zaskoczył. Po prostu – sprecyzowała Nina.

– To dlaczego jesteś smutna i nieobecna? I pochłaniasz słodczyce, których zwykle nie tykasz?

– Bo poznawszy tego człowieka, obiecałam sobie po nim znacznie więcej.

Pani Krystyna nie miała już wątpliwości, że Jerzy Dębski przyniósł Ninuszcze cierpienie. Wzburzona, musiała ukryć w sobie ten gwałtowny przypływ wściekłości, choć pulsował on w jej skroni na granicy wylewu.

– Tak już w naszym życiu jest, że idealizujemy niektórych ludzi, przypisujemy im nadludzkie cechy, które wielbimy niezależnie od ich autentyczności.

– Ty też kiedyś kochałaś tatę.

– Nawet nie wiesz jak bardzo. Był człowiekiem idealnym. Pracowity, bez nałogów, spokojny i pobożny – wydał mi się najlepszym kandydatem na twojego ojca. Jedno wyszło mu w życiu – ty. Jesteś wspaniała i kocham cię bezwzględnie!

Nina płakała prawdziwym wzruszeniem.

– Co stało się z tą miłością później? – zapytała, przytulając się do matki.

– Jednostronnie uleciała. Z dnia na dzień, bez ostrzeżenia. Okazuje się, że mężczyźni potrafią świetnie udawać zadowolonych z życia i spełniających się na polu rodzinnym, podczas gdy tak naprawdę duszą się w granicach tej roli, nienawidzą jej i najchętniej cofnęliby czas do momentu sprzed uwiedzenia swoich małżonek.

– Przecież sami dążą do założenia rodziny i spłodzenia potomstwa.

– Owszem, nie inaczej było z twoim ojcem. Ale potem nastaje era znużenia, a na koniec – zubożenia. Brakuje im emocji, jakie mieli w sobie, goniąc króliczki. Pochwycone, przestawały być wyzwaniem. W dodatku zaczęły coraz więcej wymagać: pieniędzy, uwagi, poświęcenia. Mężczyźni nie lubią, gdy kobieta myśli, że coś jej się należy. Może dostać to w prezencie od swego pana, ale nie powinna wymuszać.

– Czyli kobieta ostatecznie zawsze ogranicza mężczyznę?

– Zawsze. Tak było, jest i będzie, jak świat światem.

– Więc jeśli mężczyzna rezygnuje z idei zrodzenia rodzinnych więzi, to między innymi dlatego, że nie chce kobiety skrzywdzić. Przewiduje ciąg dalszy, wyprzedza go. Wie, że ją zawiedzie.

– To bardzo szlachetne wytłumaczenie. I pewnie w wielu przypadkach prawdziwe. Ale nie gloryfikujmy mężczyzn. Większość z nich po prostu ucieka: przed odpowiedzialnością, przewidywalnością, obowiązkami. Mężczyźni, skoncentrowani na własnym ego, rzadko troszczą się o stan kobiecej duszy. Zakładają raczej, że one same stają się ofiarami własnych złudzeń i oczekiwań. Tak jest im łatwiej, a mężczyźni nie lubią komplikacji.

– Ojciec też nie lubił?

– Twój ojciec lubił służyć wielkim ideom, ale wśród nich nie było rodziny. Był harcerzem, społecznikiem, przyjacielem, działaczem sportowym, lokalnym patriotą, ale nie mężem czy wychowawcą dla swojej córki. Bycie moim mężem okazało się dla niego zbyt słabym wyzwaniem.

– Walczyłaś o jego zainteresowanie?

– Każdego dnia na nowo. Stoczyłam heroiczny bój, stając się powoli jednostką silną, niezależną i samodzielną. Chciałam wzbudzić jego podziw.

– Nie udało ci się to?

– Paradoksalnie, gdy byłam już odwzorowaniem potężnych samowystarczalnych matron, które są nie tylko piękne, ale także mądre, pracowite i zaradne, odrzucił mnie.

– Dlaczego? Musiał cię znów gonić.

– Dlatego, że od pięknej, mądrej, pracowitej i zaradnej kobiety gorsza jest tylko jedna.

– Jaka, mamó?

– Świadoma własnej wartości i nagle dostrzegająca niedostatki swojego mężczyzny. Zdemaskowałam twojego ojca. Odkryłam, że jego życiowa wielofunkcyjność jest tylko substytutem emocjonalnej ułomności.

– Z czym nie potrafił sobie poradzić ojciec?

– Nie potrafił kochać. Bardzo chciał, ale nie potrafił.

– Każdy potrafi kochać.

– Spotkasz jeszcze wielu mężczyzn, Nino, i sama przekonasz się, że niewielu z nich zdolnych jest do miłości.

– Przecież to naturalny odruch człowieka, nie wyczyn.

– Problem polega na tym, że miłość rzadko stanowi dla mężczyzn najwyższą wartość. Znacznie bardziej cenią oni sobie wolność, władzę, powszechne uznanie.

– Albo wynalazczość.

– Wartości alternatywnych dla miłości jest wiele.

– A więc to one odbierają nam miłość mężczyzn?

– Można tak w uproszczeniu powiedzieć. Łatwo nas nimi zastąpić.

– A jeśli odbierze się im to, co, według nich, stanowi jądro życia?

– Nigdy nie próbuj tego robić. Nie sprowadzi to na ciebie miłości.

Nina wiedziała, że jej matka jest bardzo mądrą kobietą, której należało uważnie słuchać. Stało za nią trudne doświadczenie bycia odrzuconą, a potem – porzuconą. Mimo to uznała, że nawet ona nie jest nieomylna. Poddawszy w wątpliwość ostatnią tezę, oddaliła się do swojego pokoju, gdzie czekała na zapadnięcie zmroku.

Są takie wieczory, podczas których unosząca się ponad powietrze woń skąpanych w deszczu drzew oraz błyszcząca luna mokrego światła tworzą atmosferę eschatologicznych wyobrażeń. Nina znów czuła, że została sama z brzemieniem, a jego wydobywanie na światło dzienne stanie się dla wszystkich palącą koszulą Dejaniry. Była zbyt rozchwiana emocjonalnie, by po „cudzie narodzin” pewnie dzierżyć w dłoniach kruchą istotę. Była wystraszona jak dawniej jej ojciec. Nie miała żadnej pewności, że już teraz nie uczyni prefiguracji dziecka krzywdy. Chociaż lekarz zapewniał ją o prawidłowym rozwoju płodu, nie pozbyła się przeczucia rychłego nadejścia czegoś złego. Cięża zaczęła boleć ją fizycznie i psychicznie. Położyła się na podłodze, by ulżyć dźwigającemu nadmierny ciężar kręgosłupowi. Nie doznała ulgi. Masując naciągniętą skórę brzucha, nie czuła bliskości stworzenia, które dojrzewało pod

jej cienką warstwą. Wstrzymywała oddech i zamykała oczy, gdy poruszyło się, jeszcze bardziej napinając elastyczną powłokę. Drażniły ją te spontaniczne przejawy rodzącej się energii. Zrozumiała, że byłaby w stanie pokochać to dziecko tylko wtedy, gdyby stanowiło ono wartość dla Jerzego. Ale on miał swoje wartości, których uwielbienie zamknęło się w szczelnych, wąskich granicach. Próba wepchnięcia w nie dziecka z góry skazana była na klęskę. Poza tym, dziecko Niny nie mogło mieć ojca, który kochał innych mężczyzn bardziej niż jego matkę. Miejsca na zdrowe ukształtowanie przyszłego życia w tej grzmiącej teraz przestrzeni po prostu zabrakło.

Lało niemiłosiernie, więc ulice opustoszały, a w oknach krzywych bloków pojawiły się żółte światła. Zwieszono głowy zatopionych w kałużach ostatnich powracających z pracy mieszkańców instynktownie prowadziły ich do czekających w ciepłych mieszkaniach Junon. Te starsze kończyły przygotowywanie kolacji, młodsze namaszczały ciała zmysłowym balsamem zachęty. Jedna Nina, wymknąwszy się niepostrzeżenie spod skrzydeł matki, szła powoli, ignorując konsekwencje atmosferycznego wyładowania. Z rzadka mrugała powiekami, by pozbyć się z nich nadmiaru kropli. Co pewien czas ocierała ręką spływający po policzkach tusz i wyciskała wodę sączącą się z pasm gęstych włosów. Stawszy się wodnym żywiołem, parła przed siebie z jakąś nieznaną jej dotąd determinacją. Wzrok miała mętny i pozbawiony wyrazu, a jednak bił z jej oczu jasny blask samoświadomości. Podobnie wyglądała Katarzyna Nowak, gdy z wypełnionym rzeczami osobistymi kartonem opuściła siedzibę firmy, z której zwolniono ją, by Nina mogła awansować.

Po godzinnym rejsie ulicami rozmytego miasta dotarła do celu. Zaczaiła się w pobliżu budynku i poczekała na wyjście Jerzego, który jak zwykle gasił w firmie światło. Opuszczał „Glinianą Oazę” ostatni, nie spiesząc się do żadnych pilnych spraw. Firma stanowiła dla niego najważniejsze ze wszystkich miejsc na świecie. To w niej realizował swoją kreatywność i twórczą pasję. Był przywiązany do każdego kąta tej starannie zaprojektowanej świeckiej katedry, w której władzę od początku sprawował tylko on. Codziennie przed przekroczeniem jej progu przystawał na chwilę, by napawać się widokiem swojego prywatnego imperium. Zainwestował w nie oszczędności, wysiłek, późną młodość i czas. Chciał podarować swoim pracownikom miejsce, w którym mogliby łagodnie realizować swoje poddaństwo. Chciał być dobrym i troskliwym cesarzem. Sam zaprojektował układ przestrzenny i rozmieszczenie pomieszczeń, pilnie nadzorował prace budowlane, a potem bawił się wybieraniem odpowiedniego koloru farb oraz biurowych mebli. W ten sposób powstała najładniejsza firma w regionie, a może i w całej Polsce. Zaspokajała wymagania największych estety, którzy najpierw podziwiali ją z daleka, wkrótce jednak odczuli silną potrzebę eksploracji jej opiewanego przez przedstawicieli mediów wnętrza. Przychodzili do Jerzego pod różnorodnymi pretekstami, wielu nie ukrywało, że chce po prostu przespacerować się korytarzami prestiżowego obiektu.

„Gliniana Oaza” urosła do rangi modelowej perły współczesnej architektury fabrycznej. Na tle szarych, brudnych, metalicznych magazynów wyróżniała się indywidualnym rysem upodabniającym ją bardziej do muzeum niż zakładu pracy. Była dumą właściciela i zapowiedzią wielkich projektów, jakie realizował. To w niej przechowywał rodzinne pamiątki oraz rzadkie podręczniki pamiętające jeszcze czasy studenckie. Obite skórą segregatory strzegły dostępu do ręcznie nakreślonych projekcji umysłu. Tylko tu, pod czujnym wzrokiem swojego Ojca, mogły czuć się bezpieczne.

Nina wiedziała, jak jednym ruchem sprytnie odłączyć systemy alarmowe, ponieważ Jerzy często robił to przy niej, by zapobiec zawałowi serca sprzątaczek, które snuły się po firmie, gdy jej pracownicy dopiero obracali się na drugi bok. Zrekrutował je w najbliższej rodzinie, więc automatycznie obdarzył zaufaniem poczciwe ciotki i kuzynki. Gdyby ktokolwiek chciał wtargnąć do firmy, z pewnością narobiłyby krzyku donośniejszego niż dźwięk alarmu.

Była sama. Spokojnie obeszła wszystkie korytarze, zajrzała do każdego gabinetu, sprawdziła zawartość szafek Ines. Odkryła, że przechowują one nie tyle podręczną dokumentację, co zestaw szminek i próbek perfum. Nie potrzebowała innych dowodów na to, że jej firmowa opiekunka była wierną kapłanką bóstwa, do którego obie wdychały. Obie przegrały, ale nie w siostrzanobójczej walce, lecz w konfrontacji z „tym trzecim”. Zrobiło się jej żal zimnej i wyniosłej boginki, tak brutalnie zdegradowanej do roli kolejnej niewolnicy. Poza „Glinianą Oazą” Ines była nikim.

Na koniec przekroczyła piekielne wrota imperatorskiego gabinetu. Rozsiadła się całą swoją podwojoną cielesnością w fotelu jej sprawcy. W skupieniu oglądała kopie rzymskich annałów i obracała w dłoniach dziwne orientalne przedmioty, których przeznaczenia nie знаła. Zza biurka wydobyła tenisową raketę opatrzoną inskrypcją: *Dla mistrza wszelkich dyscyplin*. W jednej z szafek znalazła zdjęcie roznegliżowanego darczyńcy. Darowała sobie odczytanie dedykacji. Po chwili spostrzegła portret przerobionej Junony – seksownej, współcześnie niedostępnej, drapieżnie zapraszającej w swoje ramiona. Było w niej coś silnie męskiego i diabolicznego zarazem. Nina poderwała się z siedzenia, odkleiła antyramę ze ściany, po czym z całą dostępną sobie mocą uderzyła nią o posążek Marka Agrypy. Waliła w niego nie tylko nadludzką siłą, ale i długo skrywaną nienawiścią do seksualnie pojmowanego człowieczeństwa. Obróciwszy Junonę w szklany proch, przeszła w stronę książek. Odchudzała je kolejno, zawzięcie wrywając stronicę za stronicą, aż zniknęły całkowicie. Pomiędzy nimi znalazła coś, czego istnienia się nie spodziewała.

Jerzy Dębski od przeszło dziesięciu lat prowadził osobisty dziennik. Spisał w nim wszystkie stany swojej duszy. Spotkanie z nimi okazało się dla Niny najmroczniejszym doświadczeniem w życiu. Dowiedziała się o erotycznych eksperymentach wzorowanych na rzymskiej rozwiązłości, ucieczce do Trójmiasta w celu tajemnego ich odbycia, wyśmianiu idei prostoty oraz ubóstwa, które były jedynie próbą sprawdzenia, jak podłe jest ziemskie życie w duchu ascezy, oraz milionach wydawanych na kolekcje rzadkich wolumenów, których nie mogli, według niego, posiadać zwykli śmiertelnicy. Wiedział o ciąży Ines i z ulgą przyjął fakt pozbycia się jej w górach przez niedoszlą matkę. Nikt nie podniecał go tak mocno jak Łukasz. Doznawał orgazmu, dotknąwszy jego tenisowej rakiety. Co jakiś czas korzystał jednak z podkładających się mu kobiet. Lubił wysoko zawieszać poprzeczkę. Miał świadomość, że nie sforsują jej inni mężczyźni. Nudziła go przyziemność i tkliwa kobieca natura. Do szału doprowadzała go Nina, która początkowo rokowała lepiej niż wszystkie przed nią, ostatecznie okazała się od nich płytsza i gorsza. Myślała, że zna się na literaturze i rozumie obejrzone filmy. Nie rozumiała ani ich, ani jego. Bezrozumnie przyswajała wszystko, co się jej mówiło. Owinęła się wokół dogmatów wiary i na ich szkieletcie zbudowała swoją dzieciinną moralność. Nie była zdolna do eksperymentowania z rzeczywistością. Nie umiała lepić z gliny. W akcie skrajnej głupoty jakimś sposobem wyłudziła z banku ogromny kredyt, by złożyć mu go u stóp jako własne oszczędności. Postanowił kupić nim stałość Łukasza.

Gdy wyszła z budynku, niebo zalało się granatem, zwiastując nadejście nocy. Mieszkańcy miasta złożyli do łóżek wszystkie swoje skrywane przed światem zmory. Jerzy Dębski spał snem twardym i niezmaconym. Regenerował się przed rozpoczęciem kolejnego twórczego dnia w swojej genialnej oazie. Noc ta była podobna do innych. Z perspektywy wzniesionego niczym ziemski piedestał pagórka miasto po ulewie wyglądało niezwykle onirycznie. Gęstwa woda zacierała kontury murowanych brył i zaciemniała rozłożyste korony tryumfujących nieprzemijalnością drzew. Błogi spokój otulił wszelkie twory natury. I tylko gdzieś pojedynczy ludzie chwiejnym krokiem przedzierali się do swoich odrealnionych dzielnic.

Zaczęła nerwowo poruszać się wokół budynku. Co jakiś czas przystawała, schylała się i podbiegała do kolejnej ściany. Rozlokowane w różnych punktach kamery monitoringu pozostawały ślepe na wykonywane manewry. Nina odpowiednio wcześniej odebrała im wzrok. Po kilku minutach dołączył do niej drugi, równie pobudzony cień. Jego długie ręce podawały coś dłoniom głównej księgowej, która nie przestawała krążyć prawoskrętnym szlakiem wyłaniających się z ciemności ścian. W końcu obie istoty oddaliły się od nich na odległość kilku metrów. Przysiadły na dużym kamieniu, od zamierzchłych czasów wystającym niczym pamiątkowy obelisk z rozmokniętej tym razem ziemi. Nie przejmowały się wszechogarniającym chłodem, błotem czy coraz silniejszymi podmuchami wiatru. Wsparły głowy na pięściach i zawiesiły się w czasie. Nigdzie im się w tej chwili nie spieszyło, a pierwotne podenerwowanie ustąpiło miejsca refleksyjnej zadumie. Czekały.

Pięć i pół dnia trwał pożar Rzymu w 64 roku naszej ery. Tylko cztery z czternastu dzielnic ówczesnego Rzymu uniknęły zniszczeń, trzy zostały kompletnie strawione przez ogień, zaś kolejnych siedem zostało poważnie zniszczonych. Podobno to ludzie Nerona, udając pijanych, podpalili miasto.

W tym czasie cesarz obserwował pożar ze swojego pałacu na Palatynie, śpiewając *Spalenie Troi* i grając na lirze. Place Rzymu długo rozświetlał jedynie blask księżycy. Przed nastaniem świtu na niebie po raz pierwszy tego lata ukazał się Syriusz. Jednak w tym momencie Wieczne Miasto nie było już oświetlone tylko księżycowo-gwiezdną poświatą, albowiem Rzym doświadczał jednego z największych nieszczęść w swej historii. W jego architektonicznym sercu rozprzestrzenił się gwałtownie destrukcyjny żywioł. Nie była go w stanie powstrzymać żadna zapora. Opanował równiny, potem piął się na wzniesienia, jednocześnie zaczął pustoszyć części niżej położone. Wyprzedzał wszelkie środki zaradcze, przejmując władzę nad ławą do opanowania przestrzeni uformowaną z ciasnych uliczek oraz nieregularnie rozrzuconych szeregowych domów. Całkowicie wymknął się spod kontroli: płonęły senatorskie domy przy Forum, niewolnicze lepianki, ogniem zajął się też niedawno zbudowany pałac Nerona – Domus Transitoria. Żywota dokonały w nim cenne obrazy i rzeźby, a łatwopalne lampy oliwne, meble oraz tkaniny stały się wysokokalorycznym pożywieniem dla rozjuszonego żywiołu. Ulice wypełniły się lamentującymi kobietami, przerażonymi dziećmi i znękanymi wiekiem starcami. Wystarczyło, że któreś z nich obejrzało się przez ramię, a z boku lub z przodu zajmował go śmiercionośny ogień. Straty w ludziach były spore, ale najwięcej krzywdy doznały świątynie bogów. Zagładzie uległa świątynia Jowisza Statora ufundowana podobno przez założyciela miasta – Romulusa, świątynia Herkulesa Pomocnego oraz świątynia Westy. Wszystkie one legły w gruzach wraz ze swoją królewską dumą. Ogień nie znał świętości.

„Glinianą Oazę” pochłonął w ciągu zaledwie godziny. W tym krótkim czasie Jerzy Dębski stracił swoją świątynię, w której zgromadził pamiątki przeszłości, snuł terazniejszość oraz wykreślał architektonicznie przyszłość. Piekielna pożoga pochłonęła rozległy magazyn, gdzie – obok albumów ze zdjęciami rodzinnymi – ulokował drogie repliki rzymskich rzeźb oraz zakupione na aukcjach antyczne manuskrypty. Mógł zabezpieczyć je przed złodziejami, ale nie przed gniewem odrzuconej kobiety.

Dwa kobiece cienie nie wykazywały symptomów podniecenia. Chłodnym spojrzeniem obejmowały równającą się z ziemią budowlę o doskonałych kształtach. Ogień trawił ją na swój sposób artystycznie, ale nie miały ochoty bawić się w Nerona.

– Nie chciał mnie, droga Katarzyno – przemówiła jedna z postaci siedzących na kamieniu – choć był jedynym mężczyzną, któremu mogłam siebie podarować. Przejrzałam go. Wykorzystał moją uległą kobiecą naturę do zrealizowania swoich wybitnie męskich celów. Odebrał mi stabilną pracę, znajomych, matkę i pieniądze. Na koniec chciał wydrzeć mi rozum, bez którego trudno odróżnić dobro od zła. Stopniowo przekształcał mnie w posłuszną, bezwonną imitację człowieka. Popełniłam wiele błędów, skrzywdziłam wiele osób, stałam się wynaturzeniem człowieka! A teraz noszę w sobie jego dziecko – symbol moich chorych marzeń o złączeniu się z nim. Pomyśleć, że nie ustawałam w trudzie walki o jego zainteresowanie. Chciałam wyleczyć go z mrocznego pomieszania sprzecznych elementów epigońskiej rzymskiej natury. Pragnęłam uczynić go potężnym tu i teraz, żeby nie musiał oglądać się za siebie i wdychać do minionych osiągnięć. Niestety, okazał się nieudolnym naśladowcą dawnych wielkości. Jerzy Dębski nie jest kolosem, jest karłem na glinianych nogach, które uginają się pod ciężarem nerwic i psychoz. Ale teraz to my, droga Katarzyno, podstawiamy mu nogę do upadku. Tylko w ten sposób zrozumiemy...

– Śpi, nie wiedząc, że jego świat obrócił się w proch, czyli swoje pierwsze autentyczne wcielenie.

– Sama rozumiesz, że tylko ono może zdjąć z jego oczu fantazmaty. Musi zobaczyć siebie raz jeszcze, ale prawdziwego.

– Znienawidzi cię za to.

– Nie dowie się. Za chwilę obie się stąd ulotnimy, dając sobie nawzajem alibi.

– Kogo więc będzie podejrzewać?

– Pewnie konkurencję.

– Mówiłaś, że „Gliniana Oaza” była bezkonkurencyjna.

– Ale wielu innym właścicielom łechtała ambicje. Tak jak Jerzy naśladował rzymskich cesarzy i gladiatorów, tak tamci naśladowali jego. Czuł ich oddech na karku.

– Odszkodowanie pokryje straty?

– Nie, w całej swojej wspaniałomyślności i przewidywalności zapomniał o odpowiednim zabezpieczeniu swojego domu. Przypisał mu nieśmiertelność, jak wszystkim swoim dziełom.

– A jednak sprawiłyśmy, że zapadło się potężne imperium glinianego cesarza. Jakież to było dziecinnie proste!

– Ale tak sprytne i bezwzględne, że nie będzie podejrzewał o ten niecny czyn głupiutkiej, ograniczonej chrześcijańską moralnością Niny.

– Nie boisz się kary?

– Boga? Dla niego ważne są intencje. Chcę, żeby Jerzy Dębski narodził się na nowo – lepszy i współczesny.

– Dlatego uśmiercamy jego stary świat...

– Źródłem szczęścia jest stabilny fundament. Na glinianych nogach wzrastają jedynie karły bez kręgosłupa.

– A jeśli Jerzy już nie powstanie?

– To ja go podniosę. Bóg powierzył mi to zadanie jako życiową misję. Postawił nas na jednej ścieżce, żebyśmy mogli iść nią dalej razem, ramię przy ramieniu.

– Dlaczego tak się jeszcze nie stało?

– Bo Jerzy musi przekonać się, że jestem mu potrzebna. Tamte uciekną wraz z ogłoszeniem informacji o upadłości firmy. Ines będzie miała w końcu czas na podróż dookoła świata. Nie interesuje jej Jerzy Upadły. Zostanie ze swoją stratą sam. Wtedy ja wyłonię się zza jego pleców. Podeprę je własnym ramieniem.

– I nie wycofasz się ze złożonej mi obietnicy?

– Nie, dotrzymam słowa. Wszystko zaczniemy od nowa, Katarzyno. Znów staniemy na nogi, zobaczysz. Za kilka miesięcy weźmiesz w swoje ręce małe bezbronne niemowlę i będziesz dla niego najlepszą z matek. Nadasz mu dowolne imię, wychowasz je według własnego wzorca, nauczysz wybranych przez siebie wartości. Ja załatwię wszystkie formalności. Nie mogę mieć tego dziecka. Nie umiałabym go kochać.

– Ja przywiążę je do siebie całą swoją miłością. Wystarczy za nas obie. Tak jak ty nie mogłabyś zdrowo funkcjonować z dzieckiem, tak ja nie jestem w stanie żyć bez niego. Ironia losu bywa po ludzku okrutna.

– Życie jest, wbrew pozorom, bardzo sprawiedliwe. Czasem po prostu ktoś musi oddać życie, aby ktoś inny mógł je odzyskać.

– Z całych sił będę starać się żyć lepiej! Gdy ma się cel, zaczyna się wydobywać z siebie nadzwyczajny heroizm. Chcę być dobrą i potrzebną matką.

– Pan Adam został uprzedzony, że będziesz aplikować do jego nowej firmy. Przygotuj się dobrze do podjęcia nowych wyzwań. I tym razem nie używaj zbyt często telefonu. Pracuj sumiennie i bądź jednoznaczna w gestach oraz słowach. On to doceni.

– A ty?

– Ja będę teraz bardzo potrzebna Jerzemu.

Obie kobiety podniosły się z kamienia i ruszyły w stronę centrum. Ukryte pod kapturami oraz obszernymi płaszczami, nie mogły być rozpoznane nawet przez samego Boga. Ale On znał je i wiedział. Wraz z nocą sprowadził nad ich głowy bezkresną granatową chmurę, która bezpiecznie odprowadziła je do drzwi domostw. Zrozumiał, że świat nie powinien więcej igrać z kobiecą naturą. Po raz kolejny w dziejach starożytność odchodziła do przeszłości. I choć na jej zgłiszczach nie dało się dostrzec twórczej iskry, Nina poczuła, że właśnie narodziła się nowa era. Glinę miała zastąpić miłość.